

Andrzej
Saramonowicz
POKRAJ



Andrzej Saramonowicz

Pokraj

Nigdy żaden naród
nie potrzebował bardziej śmiechu niż my dzisiaj.
I nigdy żaden naród mniej nie rozumiał śmiechu
- jego roli wyzwalającej.

(Witold Gombrowicz, Dziennik)

My stworzymy od razu taką ludzkość, jaką będzie aż po zgaśnięcie słońca. Aż po zagwazdrany koniec naszych gadów na zamarłej ziemiczce naszej, kochanej i świętej.

(Stanisław Ignacy Witkiewicz, Szewcy)

*„Cóż to za szkaradne indywidua?
Znów jacyś ulicznicy u ciebie. Ile razy przyjdę,
zawsze te wstrętne indywidua”.*

(Edmund Niziurski,
Niewiarygodne przygody Marka Piegusa)

Przygoda Pierwsza, czyli Szczurunia

Senny majak inżyniera Rawy. Trudne rozmowy z Mózgiem. Kto przestraszył Ciotkę Irenkę? Tajemniczy zapach z wnętrza głowy. Do kogo jest podobna babcia? „To drzewo ożyje, kochanie”. Cesarzowa krwiożerców

Tak...

Powiedzieć, że przyjęcia organizowane przez magistra inżyniera Sebastiana Rawę miały status legendy, to jakby stanąć w pół drogi do rajy. To było coś znacznie więcej. To były epickie bibki. To były kultowe bomblerki. To były baśniowe juble i mityczne dancingi. Tłocznie wrażeń niezapomnianych. Ochłaje potężne niczym hymn narodowy i lumpki nieśmiertelne jak tysiącletnia pieśń. To były melanże o szlachetnym szlifie, rżnięte z najcenniejszego materiału, jaki wydała tutejsza ziemia: rycerskich mężczyzn i zmysłowych kobiet. To były przekładańce ciał i dusz tak wyrafinowane, że mówiono o nich szeptem niczym o wielkich poległych, Pierwszym Obywatelu lub planach na imperialną przyszłość. Mruczano o nich sekretnie, z czcią niemal religijną, zarazem jednak ochoczo i z pasją, mruczano miesiącami i latami, a jeśli komu życie pędziło jak szalone, to nawet i stuleciami, obrazy zaś najwymyślniejszych ekscesów inżyniera Rawy i jego nieokielzanych tutti frutti wywoływały na twarzach poruszonych słuchaczy mikrodygot, poty i pąsy.

Opowiadano zatem o hulankach przy podświetlonym basenie z kusząco błękitną wodą, gdzie w konwulsyjnym tańcu wibrowali wybrańcy kosmatych bogów i iluminacji lubieżności. Rozprawiano o miszmaszu potraw najwykwintniejszych i zarazem najobrzydliwszych: o aksamitnych stekach z krów pojonych korszernym piwem i masowatych przez dziecięce rączki gdzieś w dzikiej Azji, o trzymetrowym tuńczyku żywcem pokrojonym w noc Kupały przez japońskich asasynów, w którego krwi kąpano

się później z dzikim wrzaskiem do świtania, oraz o białych truflach - przemocnym afrodyzjaku, wygrzebywanym gdzieś hen przez żarłoczne piemonckie świny, a potem pochłanianym kilogramami przez świny pokrajskiej society, żarłoczniesze i z pewnością bardziej rozbestwione.

Trajkotano o francuskich pasztetach ze słowiczych jęczyczków, o tarantulach potężnych jak talerz i smażonych na sposób kambodżański (przy czym nikt z trajkoczących nie miał pojęcia, co to znaczy) oraz o sercu kobry królewskiej, zaserwowanym w jej własnym jadzie, szczęśliwie zneutralizowanym przez wszystkimogące indiańskie jagody. Serce to podać miano ponoć jeden jedyny raz - z okazji awansu magistra inżyniera Sebastiana Rawy na stanowisko głównego specjalisty od utylizacji śmieci w warszawskim Oficjum Gospodarki Odpadami Komunalnymi.

Dużo perorowano też o ulubionych zupach inżyniera. O rossole z babcinymi łazankami, w którym aliści zawsze musiało pływać jajo z ugotowanym kaczym płodem, na wpół rozwiniętym. O parzybrodzie z kapusty zbieranej z pól, gdzie miłe sercom Pokrajaków bociany pod rzucały im pociechy. Nareszcie też o polewce z chińskiego grzyba, który wrastając w gąsienice, uśmierca je i mumifikuje. Wszelako tu relacje co do sposobu przyrządzania istotnie się różniły: niektórzy powiadali, iż polewkę ową inżynier Rawa podaje z gąsienicami w całości, dzięki czemu ma ona wielce odżywczy, bo proteinowy walor, inni natomiast zaklinali się, że zmumifikowane gąsienice gospodarz tłucze w młynku na suchy pieprz, a potem owym próchnem larwim wywar jedynie doprawia.

Byli i tacy, którzy jako naoczni jakoby świadkowie przysięgali, iż podczas bachicznych orgietek inżyniera Rawy alkohol płynął mało ze strumieniami, to wręcz kaskadami i siklawami, a z każdym przywoływanym ze szczególną rewerencją trunkiem ów bezlik nurtów trans formował w bezkresne rozlewiska i wielopalczaste delty.

Wymieniano więc koniaki i kordiały, grappy i armaniaki, tequille i okowity, wódki, wódziałka i wódczyska, nadto destylaty owocowe, bimbry, samogony, siwuchy, nastójki i przepalanki,

takoż krupniki, miody, giny, rummy, whisky, bourbony, winiaki i sake, nie zapominając, rzecz jasna, o napitkach delikatniejszych, zatem likierach, kruszonach, koktajlach, ponczach, nalewkach i ratafiach oraz najprzedniejszych piwkach i piweńkach, jakie, co podkreślano w dumą, dało światu chrystowierstwo, czyli niemiecckich weizenach, pepickich pilznerach, angielskich porterach, irlandzkich stoutach, belgijskich klasztornych i pokrajskich koźlakach.

Ma się rozumieć, iż w stugębnych narracjach o owych arkadyjskich dionizjach nie mogło zabraknąć też i wina, które - wedle najlepiej poinformowanych - pojawiała się w ilościach gargantuicznych i na jedno skinienie inżyniera Rawy, niczym w galilejskiej Kanie.

Było więc wino czerwone i białe, wytrawne i słodkie, z bąblami lub bez, było dosłownie wszystko, o czymkolwiek człowiek tylko zamarzył. Jeśli o węgrzynie, zjawiał się i węgrzyn, jeśli o maderze, nie brakło jej nigdy, jak również burgunda, reńskiego, brunello, blanc de blanc, merlota czy grand cru, podobnie zresztą madziarskiego tokaju, toskańskiego chianti, greckiej retsiny ani australijskiego shiraza. Było - powtórzmy to po raz kolejny - wszystko, co tylko kto chciał. Na wyciągnięcie kielicha, pucharu, czaszy, czarki, lampki, szklanicy czy też po prostu spragnionych ust.

Cokolwiek zaś zostało roztrąbione o uciechach stołu, było ledwie niemotą przy rewelacjach o krasie kobiecości, jaka oplatać miała Sebastiana Rawę ramionami rozkoszy i filuterii. Słuchy niosły, iż inżynier zarządzał płcią niewieścią niczym wszechwładny demiurg: niektóre z pań strącał w bezdeń arktycznego mrozu myślą, mową, uczynkiem, a zwłaszcza zaniedbaniem, atoli inne - a tych był legion więcej - przytulał do życiodajnej piersi, na której każdy lód tajał.

Nic dziwnego zatem, że nienawistnicy, którym zazdrość odbierała rozum, strzykali nań toksyną niczym szeolskie gady. Pies na baby, jebaka, kozi purwiarz, żydek pierdolony czy arcyruchacz to najbardziej kordialne z określeń, jakie wówczas padały.

Szczęśliwie tych, którzy dostrzegali przyrodzony wdzięk inżyniera Rawy, było znacznie więcej i już wkrótce wielkowiejska klechda przydała mu przymioty Apollina, Don Juana czy ulubieńca Pokrajanek, ministra wojny Sowietana Maczegewarowicza, a wcześniej wspomniane inwektywy padały znacznie rzadziej.

Bo stało się wszem wobec jasne, iż ów mężczyzna o seksapilu bezgrzesznym, jakby nie z tego świata, wyłamał się z tabel i gra w lidze za siedmioma edenami, gdzie nawet zawiść, najpotężniejszy statek kosmiczny ludzkość i, już nie dolatuje. I że sprawiedliwie należą mu się najpiękniejsze ciała firmamentu niewieściego, i to z wszystkich wszechświatów oraz wymiarów.

Brunetki i blondynki. Duże i małe. Krągłe i chudobrzuche. Cycowy i dupiary. Bładolice i te o barwie brzoskwini albo lepiej hebanu. Strażniczki domowych ognisk i rozbrykane hybrydy. Wiedźmy z kości słoniowej i te z cipkami jak kocie oko. Eksplozje bujności lubieżnych i mysie dziury. Zbawienia złądzwiwstałe i diabelskie kołysanki. Kleiste lachociągi. Obłudne półdziewice. Steatopygiczne anioły. Maciczne fantomy. Dziunie błotne, ruchadła leśne i miejskie sprośnice. Jętki jednodniówki i wieczne imperia do natychmiastowego podbicia. Penelopy, co dają z nudów, i zawsze wilgotne podfruwajki. Magnifiki z przydługim startem i lamparcice lukrem pryskane. Niby-utwory Bacha cudem odnalezione oraz pawany na śmierć od ciągłego walenia konia. Strażniczki mostów wzwodzonych. Pocieszycielki grzesznych. Arszeniczne purwy. Cyjanki kutasów. Wielkouste przytulanki. Na testosteron przeciwciała i miodów męskich kropielnice. Mistyczne drogi do piekła i szatańskie komturie. Sterczące drażnięta i lepkością witające dzyndzyki. Tajemnice bolesne, radosne i niechwalne. Bramy katedr i furtki od zakrystii. Trupie główki sekskomuniką obłożone i krągłe tyłki mirrą tudzież złotem opięte. Waginy łaski pełne. Waginy błogosławione między waginami. Waginy przezyste i pokornego serca. Waginy, które pieszczą grzechy świata, i waginy, do których się uciekamy teraz, jutro, pojutrze i na wieki wieków, amen.

[a oto i sam magister inżynier, Mózgu, spójrz!]

[wylonił się z ciemnej części ogrodu jakoby z nieistnienia i w oleistym świetle lampionów, odbijającym się w kieliszkach, butelkach, talerzach, sztućcach, okularach, biżuterii, a nade wszystko w rozedrganym lazurze wody, wysublimował w setki istnień. Skup się tylko na jednym z nich. Tym, co stoi aktualnie na kamiennym mostku, który spina antycznym łukiem dwie części basenu i z którego najlepiej widać wodospady prowadzące kaskadami do magicznego młyna]

[tak, nie przestyszałeś się, młyn naprawdę jest czarodziejski, ale to akurat nie ma dla naszej historii najmniejszego znaczenia, więc się, na miły Bóg!, nie rozpraszaj, jeno wbij wzrok w Sebastiana Rawę, albowiem każdy na świecie winien w tej chwili spoglądać wyłącznie na Sebastiana Rawę, widzisz go wreszcie? Jak jest ubrany?]

[owszem, Mózgu, ma biały smoking, co jeszcze?]

Pewną siebie minę.

[w rzeczy samej, zgoda, a jak byś ją określił?]

Radosne podniecenie zachwyconego wiosną jelonka, połączone z sardonicznym grymasem starego niedźwiedzia, co z niejednego już ula miód wygarniał.

[no, brawo, nie sądziłem, że stać cię na takie opisy]

[co jeszcze?]

Teraz widzę go w alejce między lilipucimi drzewkami i kwietnikami o barwie fuksji. Przechadza się, a żwir chrzęści mu pod stopami.

[czy tylko się przechadza?]

Nie, nie tylko.

[co zatem robi?]

Spija szampana z kieliszków podawanych mu przez długonogie kelnerki, do których coś mówi.

[co?]

Nie wiem, nie słyszę, jest za głośno, przy przeciwległym końcu basenu gra zespół japońskich lolitek w podkolanówkach, słysząc bardzo rytmiczne i ostre rockabilly.

[znasz się na muzyce?]

Pokraj

Nie, zupełnie, nigdy wcześniej nie słyszałem słowa rockabilly i nie miałem pojęcia, że w ogóle istnieje, ale jestem pewien, że muzyka, którą teraz słyszę, to rockabilly właśnie.

[zbliź się do nich, Mózgu!]

Zbliżam się.

[czy coś cię zastanawia?]

Tu nigdzie nie ma żadnych mężczyzn. W basenie, przy basenie i w ogrodzie widzę wyłącznie kobiety. Wszystkie są niewiarygodnie piękne i zmysłowe. Prężą ciała na leżakach, pływają leniwie, kręcą w tańcu biodrami, śmieją się, piją wielobarwne drinki, w długich firkach palą tytoń i haszysz. Niektóre ubrane wyłącznie w kostiumy kąpielowe, inne w wizytowe zwiewne suknie, jeszcze inne w ekstrawaganckie kreacje jak w filmach science fiction.

[lubisz kino?]

Nie wiem, kino mnie onieśmiela, to nie jest świat zwykłego człowieka.

[uważasz się za zwykłego człowieka?]

A dlaczego o to pytasz?

[nieważne, odzyskaj inżyniera Rawę, niepotrzebnie go zgubiliśmy]

[gdzie jest teraz?]

Poczekaj, rozejrzę się, o, już widzę, idzie wzdłuż basenu, strasznie długi ten basen, jakby się nieustannie rozciągał, kiedy przechodziłem tu przed momentem, wydawał się znacznie krótszy.

[pytałem o inżyniera]

[nie rozpraszaaj się!]

Przepraszam, już nie będę.

[w porządku, Mózgu, nie ma sprawy]

[co widzisz?]

One wszystkie patrzą na niego z hipnotycznym zauroczeniem.

[a on?]

Również omiata je wzrokiem, uśmiecha się, i... o Boże, nie!

[co się stało?]

Wyciągnął zza pleców dwa pistolety i zaczął strzelać na oślepie!

[zabił je?]

Nie wiem, zamknąłem oczy!

[ty tchórze!]

[chcę wiedzieć, czy je zabił!]

Ale boję się...

[otwieraj natychmiast!]

Poczekaj, już otwieram... Nie, nie zabił, bo to nie jest, teraz widzę wyraźnie, prawdziwa broń. Po naciśnięciu cyngla tryska z lufy fluorescencyjna maź, z każdego pistoletu w innym, krzykliwym kolorze.

[czyli to tylko zabawa?]

Być może, choć te kobiety traktują ją niezwykle poważnie.

[z czego wnosisz, Mózgu?]

Bo przez każdą z trafionych przechodzi dreszcz podniecenia, a w jej oczach pojawia się coś jakby...

[religijne oddanie?]

Tak, właśnie tak! I podchodzą do inżyniera, by wpić mu się w usta namiętym pocałunkiem.

[a on jak reaguje?]

[pozwala na to?]

Tylko wybranym, które przywołuje ruchem dłoni uzbrojonej w pistolet. Te, co dostały warg zespolenia, pokrzykują hosanna! i wznoszą ręce ku niebu, a... a... a...

[co „a”?]

[czemu się zaczęłaś jękać?]

...a na dobitkę od czasu do czasu obok tego całego rozgardiaszu przechodzi lub przejeżdża konno oddział żołnierzy, i to odzianych w najwymyślniejsze stroje z najdziwniejszych epok. Dasz wiarę, że widziałem tu już otomańskich baszybuzuków, westfalskich lancknechtów, jegrów z Grandenburgii i czerkieskich petyhorców, lombardzkich bersalierów oraz rajtarów króla Szwecji, dodatkowo arkebuzerię francuską, infanterię hiszpańską i lej-

Pokraj

bgwardię moskwicińską, nadto husyckich pawężników, egipskich mameluków, kuszników z Albionu i terakotową armię chińskiego cesarza Qin Shi, a z naszego umiłowanego Pokraju lisowczyków, cichociemnych tudzież piechotę łanową? Co więcej...

[znowu się rozpraszasz, Mózgu]

[wróć do inżyniera Rawy!]

...co więcej, dałbym sobie głowę uciąć, że pod tymi wszystkimi hełmami, kaszkietami, misiurkami, kirysami, pelerynami i futrzanymi kurtami...

[wróć do inżyniera!]

...i w tej plątaninie wielobarwnych akselbantów, rapci, lampasów, frędzli, chwostów i pomponów majaczyły mi wyłącznie twarze kobiet. Tak jakby żaden samiec nie miał prawa wstępu do owego ogrodu ziemskich rozkoszy, oprócz słynnego gospodarza, rzecz jasna.

[nie interesują mnie inni, Mózgu!]

[chcę wiedzieć, gdzie jest teraz inżynier Rawa!]

Nie mam pojęcia.

[to się rozejrzyj!]

Nie widzę go nigdzie.

[skup się, do cholery!]

Staram się.

[staraj się mocniej!]

[co widzisz po lewej?]

Po lewej rudowłosa Sybilla, wieszczka z Kurne, a obok piersiasta Erato, muza poezji miłosnej, obie kochanki Apollina, szarpią się za włosy. Inżyniera ani śladu.

[cholera, a po prawej?]

Już zerkam. O, losie...!

[co znowu?]

Kobieta!

[wszak wiele ich!]

Lecz nie takich!

[więc co z nią, wnet mi tu powiadaj!]

Od bożej myśli piękniejsza sefira różanopalca, blask od niej bije anielski, choć i demonem podszyta, oczy jej dwa karbunkuły, jak krew gołębia goreją, co słońcu rzucił wyzwanie, a suknie mroźną okową wulkan jej ciała spinają, by chuci żar nie spopielił na pieprz płochego kochanka, co w porcie jej międzyudzia żagłowiec swój zakotwiczy, twarz jej to bastion perfekcji nieznanej dotąd w kosmosie, to ewangelia rozpustna sukuba krągłych powabów, pachnie jak ogród rozkoszy bogini zgonów i wskrzeszeń, jak inkantacja zwodnicza królowej pstrych czarodziejek, takąż ci daję odpowiedź, gdy pytasz, co czyta serce, gdy oko patrzy na prawo.

[ty mówisz wierszem, Mózgu!]

[to piękne!]

Niemożliwe, ja nie znam się na wierszach.

[ale mówisz!]

Wydawało ci się. Mówię o tym, co widzę. Ja zawsze mówię tylko o tym, co widzę. To bezpieczne i właściwe.

[a co widzisz teraz?]

Że ona na mnie patrzy.

[kto?]

No, a o kim ci przed chwilą mówiłem? Ta w srebrnej sukience.

[mówiłeś, że w mroźnej]

Nie mogłem tak powiedzieć, mroźne sukienki nie istnieją.

[a ta kobieta istnieje?]

Oczywiście, że istnieje, po co miałbym strzępić język na darmo? Istnieje i przenika mnie teraz wzrokiem. Dlaczego ona tak się gapi? O, nie...!

[co znowu?]

Ona do mnie podchodzi!

[nie bój się jej, Mózgu!]

Jak się mam nie bać? Jak się mam nie bać, kiedy... Kiedy ona...

[co ona?]

...przysuwa się. Jest blisko. Za blisko i... Co ona robi...?! Co ona...?!

[wyduśże wreszcie!]

...całuje mnie w opętaniu, a ja się wyrwać nie mogę, jej zapach skuł mnie w niewolę, a ust ognistych aksamit miodowym ów jasyr czyni, wąż zaś gibkiego języka już mi się w trzewia zapuszcza, by wyjść serce i duszę, co gorsza, wąsy jej gibkie nos mi łachoczą i wargi, łaszcząc się sztywnym włosem, migdałac pędzla torturą, zwariuję od tych rozkoszy, od szcurzych pieszczot, od pisku: „mójżeś już na wieki wieków, szczurość cię czeka, tyś gryzoń, wąsem cię trącam i pieszczę, pląsem cię wąsem i...”. Precz...! Idź precz...! Tata...! Szcur...!

- Tata!

- Szcur!

- Tata!

- Szcur!

- Tata!

- Szcur!

- Co tu się za żydło dzieje?!

- Ilona???

Rozpoznawszy głos małżonki, magister inżynier Sebastian Rawa wystrzelił z pozycji horyzontalnej swoje prawie czterdziestoletnie ciało i ciężko dysząc, znieruchomiał na skraju łóżka. Oko miał nieprzytomne niczym bokser, co powstawszy przed momentem z ringu, nijak nie pamięta, gdzie jest, jak się nazywa i czym się trudni. Nieskoordynowanymi machnięciami usiłował ściągnąć sobie z twarzy coś jakby pajęczynę, muślin czy może folię spożywczą, a jego usta mamrotały bezgłośnie ni to modlitwę, ni to złorzeczenie. Nie sposób było rozeznać co, bo w powszechnym wrzasku - wszak równolegle krzyczały jeszcze jego córka i żona! - jękliwy dyszkant inżyniera Rawy przebijał się najsłabiej.

- Co tu się za żydło dzieje! - wycharczała ponownie Ilona Rawa, strzelając piorunami jaszczurzych spojrzeń w stronę męża i córki.

W kilku susach umysłu Oliwka pojęła, iż jej rodzicielka nie zamierza brać jeńców, i momentalnie się rozpląkała.

- Mamcia, onże przestraszył Ciotkę Irenkę! - zamiauczała przez łyzy i pochyliwszy głowę, otorbiła się w swojej dziecięcej nadwadze niczym w ślimaczej muszli.

- Sebastian!

Inżynierowi Rawie zdało się, iż w głosie żony pobrzękują zmijowe łuski.

- I ona teraz ucie... ciekła! - Kolejny spazm wstrząsnął Oliwką, a głośny poświst wypchnął zawartość jej perkatego nosa na zewnątrz.

Na ów widok Ilona, która ciągle stała w drzwiach od sypialni, skrzywiła się z niesmakiem i przeniosła zimne spojrzenie na męża.

- Ssssebasstian...!

- Co Sebastian? Co Sebastian? - bąknął inżynier Rawa półszepem i jakby w zamyśleniu. - Co Sebastian? - powtórzył raz jeszcze, a potem łagodnym pianissimo, skierowanym najwyraźniej do siebie, dodał: - Mało nie wyzionąłem ducha, jak tego ryja zobaczyłem...

Słyszac to, córka, która tymczasem zdołała niezauważalnie wetrzeć gile w ścianę, wydała rozpaczliwy okrzyk:

- Ciotka Irenka nie ma ryja! Ma mordkę ona!

- Mordkę, fakt - potwierdziła Ilona. - Poniekąd notabene sympatyczną.

Inżynier Rawa postanowił nie dawać za wygraną.

- Cygańsko do nosogardzieli chciała mi się przechera zain-tubować - zaczął ciepłym, choć ociupinkę drżącym głosem. - Jak te wąchy poczułem na wargach, to o mało nie umarłem formalnie.

- Ale nie umarłeś! - prychnęła Oliwka, kierując w jego stronę oskarżycielski palec.

Inżynier Rawa znieruchomiał i ewidentnie skonfundowany podrapał się po ciut-ciut łysiejącej głowie.

- Chyba nie masz o to żalu do tatusia, kochanie? - wykrztusił.

Oliwka wzruszyła ramionami.

- Najważniejsze to nie odziedziczyć babskości po ojcu magazaju - wydeła wargi. - Dziadzia mi tak zawsze powtarza i tego się będę trzymać.

Owo nagłe i jakże nieprzyjemne przywołanie teścia struło inżyniera Rawę na dobre. Zwinął się jak strucla i jedyne, co przez tę kłopotliwie przedłużającą się chwilę udało mu się wyprostować, to zagniecenia na piżamie w szyszki i łosie. W końcu dźwignął głowę, bawolim wzrokiem omiótł swą latorośl i próbując ze wszelkich sił nadać głosowi sprężysty ton, oznajmił:

- Twój dziadek błądzi w wielu aspektach, córko. I ja jestem jednym z nich.

Ilona szarpnęła się, jakby poczuła gwałtowną potrzebę potrząśnięcia włosami. W pierwszym odczuciu inżynierowi się zdało, iż przy tym pospiesznym młyńcu dostrzegł uśmiech - a może jedynie pierwiastek uśmiechu? - ale postanowił to zbagatelizować. Zwłaszcza że w tej samej chwili jego córka uznała, iż czas zwinąć flagę w sporze o niepoważne fintifluszki i powrócić do rudymentów.

- Tak czy inaczej nie umarłeś - skonstatowała, spoglądając mu prosto w oczy. - A Ciotka Irenka może, bo ma ascendent w Raku i jest na maksa wrażliwa.

Oczy dziewczynki na powrót się zaszkliły.

- Jeśli zaś ona umrze, to... to... - połykała powietrze tak szybko, iż zdawało się, że za moment uniesie się jak balon. - To...

- Wdech, wydech, wdech, wydech! - poradziła zaniepokojona Ilona, a inżynier Rawa uśmiechnął się opiekuńczo i dopowiedział: - I pełnym zdaniem, kochanie. Zawsze pełnym zdaniem.

Ledwie to wyrzekł, a już córka prześwidrowała go nienawistnym wzrokiem i eksplodowała niczym kocioł sprężonego gazu:

- Weź mnie nie wpurwaj! Co to, szkoła jest tu czy co?!

Tak właśnie, za sprawą czaru słowa, bezsprzecznie ordynarnego, ale i zadziwiająco skutecznego, doszło do nieoczekiwanej zmiany miejsc i teraz to inżynier łykał wielkimi haustami wa-

pory irytacji i upokorzenia, a wyszczekana progenitura przyglądała mu się z uśmiechem.

- Ty... ty słyszałaś?! Jak ona do tatusia...?! Do rodzonego...?! Ze słowem wpurwiał obrzydłym...?! - pojękiwał Sebastian Rawa, kołysząc się spastycznie na skraju łóżka.

Łypał przy tym na żonę, w nadziei, że go jakoś obroni. Że się za nim jak solidarny współrodzic wstawi i ofuknie tego rozpuszczonego bachora, który, owszem, odziedziczył po mieczu nazwisko, ale całą resztę, niestety, zassał po kądzieli zmendlowanej z barbarzyńskiego teścia i odstręczającej teściowej, więc jakieś poczucie odpowiedzialności za wady przodków przydałoby się tu, ślubna połowico, helo!

Ale Ilona milczała. Szorstko, wydrowato i kastracyjnie.

Zatem pozostałeś sam, kapitanie, wobec krwio pijnych krakenów, co wciągają twój korab w rozszałą kipieli oceanu.

Cóż było robić? Inżynier Rawa poderwał się z łóżka, podciągnął spodnie od piżamy i stanąwszy na środku sypialni, uniósł głos i ręce.

- I z jakiego powodu i przyczyny?! Spurwiałego szczura jakiegoś byle jakiego!

Krwio pijny kraken dopadł go w jednej chwili.

- Sam żeś spurwiały i byle jaki! - krzyknął i rozplakał się po raz kolejny.

- Co ty dziecku robisz, sadysto szubrawy! - zawyła Ilona, a białe plamy na jej szyi nabiegły szkarłatem odwetu.

- Jak ona umrze, to ja, mamcia, też!

Operowy spazm Oliwki odbijał się od sufitu i powracał ze zdwojoną prędkością, dziurawiąc szynel ojcowskiej doli. Na dodatek Ilona, której cierpliwość najwyraźniej się wyczerpała, ruszyła spod drzwi tak gwałtownie, że wystraszony małżonek zrobił szybkie trzy kroki w tył i apiać klapnął na łóżko.

I wówczas wydarzyło się coś piramidalnie zaskakującego. Bo oto inżynier poczuł przedziwny zapach, który pojawił się zgoła niespodziewanie i z wnętrza głowy.

Był to zapach bodaj inny niż wszystkie. Gdyby Sebastian Rawa trudnił się poezją, rzekłby, iż to aromat absolutu.

Bólu.

Ciszy.

Dramatu.

Egoizmu.

Furii.

Groteski.

Halucynacji.

Instynktu.

Jaskrawości.

Kabały.

Lamentu.

Łajdactwa.

Miłości.

Nienawiści.

Opętania.

Paniki.

Rewolty.

Samozniszczenia.

Tęsknoty.

Utraty.

Wniebowstąpienia.

Zakazu.

I żądy.

Atoli Sebastian Rawa był umysłem ścisłym i nie tylko nie zwykł mieszać pojęć mętnych z konkretem świata olfaktologii, ale też wiedział z empirii, iż wąchać można jedynie to, co pachnie na zewnątrz głowy, a nie w jej środku. Wiedział to doskonale, niemniej jednak czuł nieprzepartą chęć, by nakryć się teraz kołdrą i owo zagadkowe uniesienie, którego przed momentem doświadczył (a którego nie obejmował żelaznym rozumem głównego specjalisty od utylizacji śmieci w farszawskim Oficjum Gospodarki Odpadami Komunalnymi), przeżywać do wypełnienia czasów.

Rychło jednak skonstatował, że ewentualny manewr podkołdery przyniesie mu nie błogostan, ale wyłącznie pierepałki, strupowinę i młyński kamień u szyi. Uniósł więc ręce na wysokość barków, rozłożył je niczym kapłan i składając chytrze ofiarę z samego siebie, wymamrotał:

- Moja wina i grzech.

Wyznanie było na tyle niespodziewane, że Ilona stanęła jak wryta. Również Oliwka, ponad wszelką wątpliwość zaskoczona tak szybką kapitulacją, przestała wrzeszczeć i przekrzywając głowę na sposób gadzi, przewiercała ojca dociekliwymi łypnięciami. Inżynier Rawa pojął, że to ostatnia szansa, by uciec spod stryka porannej pyskówki, która mu była teraz potrzebna jak umarłemu kadzidło. Uśmiechnął się zatem do żony promiennie.

- Przepraszam, słońce.

- Dziecko przeproś, nie mnie! - mruknęła.

Nie kazał się długo prosić i ust słoneczny rogal skierował w stronę córki.

- Przepraszam, kochanie.

- W tyle to mam! - odburknęła. - Przeproś Ciotkę Irenkę!

Pokiwał głową, że dobrze, myśląc przemożnie o zapachu, który nieprzerwanie wypełniał sypialnię. Skąd się wziął? I jak to możliwe, że one go nie czują?

- Kupię jej nowe sianko i karmę, chcesz? - zaproponował bez zastanowienia.

- I dropsy jogurtowe wraz! - natychmiast podbiła stawkę Oliwka.

- I dropsy - potwierdził.

Przez czas dłuższy trwał w niegasnącym uśmiechu, ale kiedy już poczuł, że rodzinna rana nareszcie się bliźni, gwałtownie pokwaśniał i głosem, w którym dało się wyczuć pobrzęk goryczy, zapytał:

- Córuś, ale czemu ty, jak tatuś śpi... a spać wszak prawo ma, albowiem do obowiązków służbowych na nocną dopiero zmianę się udaje... to tatusiowi znienacka szczura po twarzy turłasz mu?... Mi...

Oliwka łypnęła na ojca spodełbnie. Najwyraźniej przedwcześnie uznała go za owadzio rozgniecionego i teraz miała to sobie za złe.

- To nie szczur, jeno szczurunia - wymamrotała, choć już bez wcześniejszej pewności siebie.

Inżynier Rawa uznał, że czas na kontratak, i uniósł brwi.

- Kochanie, tatuś ciągle jeszcze umie rozpoznawać płęć sam - oznajmił. - Tatuś chce po prostu wiedzieć czemu, jak tatuś śpi, to tatusiowi podtykasz w okolice ust jego... Moich znaczy się...

Przerwał i bezwiednie dotknął swoich warg. Palily go, nie wiedzieć czemu. Natychmiast opuścił dłoń i zerknął na żonę. Jakby się bał, że ów gest go zdradzi. Co i dlaczego mógłby zdradzić, Sebastian Rawa nie miał pojęcia, ale czuł się dziwnie winny, a przynajmniej podejrzany.

Szczęśliwie Ilona niczego nie dostrzegła. Stała na środku sypialni i jak to często miewała w zwyczaju, wpatrywała się w nic.

- Żebyście się oswoili ze szczurunią - dobiegło z oddali inżyniera.

Wychynął z zamyślenia i otaksował córkę rozkojarzonym wzrokiem.

- Się co?

- Oswoili - powtórzyła Oliwka. - Jedno z drugim, ty i szczurunia. Dlatego podetkłam - doprecyzowała i ni stąd, ni zowąd pokazała mu język.

Tego już było dla inżyniera za wiele.

- Ale tatuś nie chce się oswajać ze szczurunią! ryknął. - Przez sen zwłaszcza! W godzinach rannych zwłaszcza! I w fazie jego REM!

Gwałtowność ojcowskiej reakcji wywołała u Oliwki kolejne łzy.

- Mamcia, onże się z Ciotką Irenką oswajać nie chce! - rozdarła się.

Krzyk córki od razu napiął pępowinę matczynej empatii.

- Sebastian, franco lewacka! Co ty dziecku czynisz?

Ilona wyciągnęła w stronę męża oskarżycielski palec.

Inżynier zafalował ekwilibrystycznie, jakby się uchylał przed pociskiem zatrutego słowa, i wbił w córkę ganiące spojrzenie.

- Nie nazywaj tej wąsatej żywiny Ciotką Irenką!

Oliwka wytrzeszczyła zdumione oczy.

- Ale ona się tak nazywa! - zawyła.

- Nie nazywa! - zaprzeczył ojciec.

- Nazywa!

- Nie nazywa!

- Do purwy, mamcia, onże się przedrzeźnia! - eksplodowała w końcu dziewczynka, kopiąc z wściekłości w łóżko.

Do Ilony dotarło nareszcie, że czas położyć kres zamieszkom. W jednej chwili przypadła do męża.

- Na rany Rechrysta, co się z tobą dziś dzieje wyrabia? - tupnęła nogą. - Tłuszczu się na noc nażarłeś, skrzepie zbękartniały?

Ale inżynier Rawa, jako że impertynencja córki, a zwłaszcza jej leksykalne rozbójnictwo policzkowały jego ojcowską cierpliwość ponad codzienną miarę, zdawał się już nie słyszeć żony.

- Trochę szacunku do własnej rodziny, młoda damo! Mówisz wszak o swojej cioci i siostrze tatusia rodzonego! - huknął oburzony, bo choć Irena, istotnie, nie należała do niewiast najurodziwszych, nie był to przecież powód, by ją zestawiać z dżum fu-trzastym roznosicielem.

- Mówię o szcurze! - odhuknęła mu córka.

- Szczuruni! - poprawił ją nie bez satysfakcji. - I wszyscy dobrze wiemy tu, dlaczego nazwałaś ją Ciotką Irenką!

Szyderczy uśmiech wygiął twarz Ilony w diabelski amulet.

- Dziwisz się? - zachichotała.

Inżynier Rawa spochmurniał, a jego barki klapły jak przekłuty balon.

- Bawi cię to raduje? - rzucił smętnie w stronę żony.

- Mur-beton bawi! - potwierdziła.

- A co to w ogóle ta faza REM? - wtrąciła Oliwka, z nagłą zaciekawiona.

Inżynier Rawa wielce sobie cenił ów nieokiełznany pęd córki do zaspokajania wiedzy, tym razem jednak puścił pytanie mimo uszu, bo oblekał właśnie żonę plazmą trujących spojrzeń.

- Żebyś czasem ja głośno nie powiedział, do jakiego zwierzęcia twoja mamusia podobna jest przypomina!

- Babcia Cecutek? - wtrąciło się ponownie dziecko, najwyraźniej źle znosząc, że rodzice je ignorują. - Do świni!

- O...! - bąknął inżynier, wyszczerzywszy się sowizdrzalsko.

Dziewczynka klasnęła w dłonie, zachwycona, że mogła się na coś przydać. Ilona omiotła ją pancernym wzrokiem.

- Zęby umyte?! - ryknęła.

- Umyte! - odburknęła hardo dziewięciolatka, ujmując się pod boki.

- To umyj drugi raz! - syknęła Ilona przez zaciśnięte szczęki.

Oliwka wykrzywiła usta, jakby je trawił piołun.

- Drugi?

- A choćby, purwa, i piętnasty!

W chrypliwym głosie Ilony zadźwięczały wojny, pandemie i apokalipsy. Sebastian Rawa zerknął na żonę niepewnie, a potem postąpił pół kroku w przód i przyłożywszy palec do warg, zaciwierał z kaznodziejskim aksamitem:

- Pokój temu domowi zalecam i proteguję.

Niestety, chwalebny apel inżyniera trafił w próżnię, bo żona i córka nawet nań nie spojrzały.

- Do łazienki raus! - zaordynowała pierwsza.

- Po kiego grzyba? - podważyła matczyiny dezyderat druga.

- Żeby ci z japy nie waliło! - pojawiło się szczegółowsze uzasadnienie.

- Babci wali, a myć jej nie każesz! - kontrargument zdawał się niebagatelny.

Z każdym słowem atmosfera gęstniała jak zły gluten. Oliwka chciała dodać coś więcej, ale nie zdążyła, bo matka zrobiła kilka błyskawicznych kroków i zawisła nad nią, trzęsąc się niczym wulkan rozrywany od środka przez podziemne eksplozje.

- Milczeć, do purwy ruskiej!

Głos Ilony brzmiał lucyferycznie, więc sypialnię w okamgnieniu przeżarła trumienna cisza.

- Milczeć, powiadam! - powtórzyła, rozglądając się dookoła. Jej rybi wzrok wysysał zewsząd tlen i zjadał światło. - I słuchać matki, do kuta złamanego! Bo słowo matki święte jest!

Inżynier Rawa stał bez ruchu, nie mogąc złapać powietrza. Widział, jak jad i ropa rozlewają się po podłodze, jak pochłaniają mechaty dywanik i kapcie, których nie zdążył założyć, jak oblepiają mu stopy, pną się w górę po jego nogach i nogach jego łóżka, jak trawią prześcieradło, rozpuszczają kołdrę i liżą ściany.

Obrócił głowę w stronę Oliwki. Z przerażeniem dostrzegł, że ciastowaty glut wspina się także po niej, obrasta pulchne ciało kleistą pajęczyną i sięga szyi, pragnąc odebrać tchnienie, a z tchnieniem i życie. Chciał jej jakoś pomóc, wyciągnąć ją z opresji, powstrzymać to przeokropne okokonanie, ale nijak się nie mógł ruszyć. Zamurowany w krypcie lęku i skutu łańcuchem inercji, rozpuszczał się z wolna w magmie bezruchu i jedyne, co mógł teraz robić, to obserwować usta dziecka, w spastycznych kurczach łapiące ostatnie łyki powietrza.

- Wy... wy... wy... - dusiła się Oliwka.

Jej matka stała nad nią z kamienną twarzą.

- Wybacz, bo nie wiedziałam, co czynię - wyjęczała w końcu dziewczynka, a potem jej głowa opadła i znieruchomiała.

Dopiero wówczas Ilona uniosła rękę i złożywszy palce, wykręciła nimi nad głową wieźmi młynek. W jednej sekundzie znikły maziste jady i lepkie rynsztoki, słońce na powrót rozbiegło się świetlicie po ścianach i sprzętach, a niewidzialne dyby, co jeszcze przed chwilą miażdżyły pierś inżyniera, przepadły jak kamień w wodę. Strumień świeżego powietrza wdarł się junacko do sypialni, wyganiając z niej resztki śmierdzących fumów. Inżynier

Rawa wciągnął wielki haust do płuc i z ulgą dostrzegł, że to samo zrobiła też Oliwka. Na jej twarzy pojawił się jasny uśmiech.

- Mogę już iść myć ząbki, mamcia? - zaszcebiotała, przekrzywiając filuternie główkę.

- Nalegam i rekomenduję - odparła Ilona i również promiennie się uśmiechnęła.

Kiedy Oliwka wyszła, Ilona szast-prast spochmurniała i przenikliwie zazezowała na Sebastiana.

- A ty co?

- Ja? - bąknął lękliwie i obejrzał się za siebie w złudnej nadziei, że może jest tu jeszcze ktoś inny.

- No a kto? Ja? - pokręciła głową, jakby ciągle nie mogła uwierzyć, że taki ciapciak, lebiega i ecie-pecie trafił jej się za męża. - Przecież siebie o siebie bym nie pytała, zaćmo mózgową, głupia nie jestem wszak.

- Aktualnie... - zaczął niepewnie inżynier Rawa, a jego ciałem wstrząsnął przykurcz melancholii. - Aktualnie udam się podlać drzewo - dokończył i łypnął trwożnie na żonę.

Kiedy wypuściła z sykiem powietrze, wiedział już, że to zła odpowiedź.

- Najpierw złap tego futrzastego śmierdziela, co tu się dookoła dekuje zaszywa - kilkoma krótkimi ruchami Ilona omiotła przestrzeń wokół siebie. - Bo jeszcze gdzie spierdzieli i wykładzinę w salonie podziungu...!

- Oczywiście, skarbie. Już łapię - gorliwie przytaknął inżynier Rawa i nie czekając, aż żona wyjdzie, zanurkował pod łóżko.

A po kwadransie, kiedy nakarmiona i napojona Ciotka Irenka drzemała leniwie w klatce na poliestrowym hamaczku, stał już, w dalszym ciągu w piżamie, na tyłach domu i trzymając w ręku pomarańczowy wąż ogrodowy, podlewał martwe drzewo.

Może to się wydać dziwne, ale z całej swojej rodziny magister inżynier Sebastian Rawa najlepiej dogadywał się właśnie z nim. Może dlatego, że tylko ono o nic nigdy nie miało do niego pretensji?

Znalazł je na jednym z podległych sobie wysypisk śmieci. Umierało, porzucone i smutne, na stercie porzewiałych żelazek, ciekących baterii, zafajdanych pieluch, gnijących owoców i całej reszty przemysłowych fekaliów i organicznego złomu. Najwyraźniej pogodzone już z losem, leżało pokornie i bez szemrania na kobiercu z własnych liści, opadłych i gnijących.

Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, by wykopać je z ziemi wraz korzeniami, wielkie, zdrowe i w pełni życia, a potem potajemnie porzucić na wysypisku?

Z bezmyślnego okrucieństwa?

Dla bestialskiego żartu?

Z powodu dzikiej zemsty?

Nijak tego nie mógł pojąć. Wszelako nie pojmował też i siebie, kiedy to porzucone i niestety obumarłe już drzewo postanowił zasadzić za domem.

Czy chciał w ten sposób przeciwstawić się odwiecznym prawom życia i śmierci? Stanąć twarzą w twarz z Bogiem i zakrzyknąć: „Nie zgadzam się na to, na co zgadzasz się Ty”?

Nie.

Sebastian Rawa nigdy nie chciał wadzić się z Bogiem. Szczerze mówiąc, nigdy nie chciał wadzić się z kimkolwiek. Po prostu czuł, że musi to zrobić.

Dlatego właśnie pewnego pochmurnego dnia trzy lata temu sprowadził do ogródka ludzi i koparkę, kazał im, mimo protestów żony, wydrążyć głęboki krater, wstawić weń strzeliste łyse drzewo i ostrożnie, by ich nie połamać, obłożyć korzenie anty infekcyjnymi preparatami, a dół zasypać.

Potem troskliwie je pielęgnował, w błocie, deszczu i spiekocie, gdy padał śnieg i kiedy gęsty smog zawisał nad miastem, świątek czy piątek szprycował je żelami, o których czytał, że koją stresy roślin, bez ustanku okładał gąbką leczniczych mchów, spryskiwał witaminowo-hormonalnymi roztworami, karmił najlepszymi nawozami i regularnie podlewał. Hołubił niczym najukochańsze dziecko, które za sprawą złego czaru ukłuło się wrzecionem i zapadło w stuletni sen. A kiedy miał pewność, że nikt go

nie obserwuje, obejmował je i szeptał do niego słowa najczulsze, na jakie tylko może zdobyć się główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych.

Niestety, od trzech lat na tak opiekuńczo traktowanym drzewie nie pojawił się najmniejszy choćby listek. Być może dlatego, że - jak już zostało wspomniane! - było martwe.

- Zakręcisz mi wreszcie tę meliorację, lędźwiobólu zbyteczny!

Krzyk żony łomotnął go jak jesienny wichur, co wyrwać chce z ziemi stracha na wróble.

- Nie! - huknął tubalnie inżynier i tak się przestraszył owej akustycznej brawury, że dokończył już piskliwiej i ze znacznie mniejszą czupurnością: - Albowiem gdyż podlewam w chwili bieżącej.

Ilona zakaszłała. Nie wróżyło to nic dobrego, bo atak kaszlu zawsze poprzedzał ataki jej choleryczności. Wiedząc to nazbyt dobrze, Sebastian Rawa przymknął oczy i postanowił zniknąć.

Nie był, rzecz jasna, żadnym czarownikiem, magiem czy innym specjalistą od szurum-burum. Był inżynierem od odpadów. Dyplomowanym śmieciarzem. I choć epizod z drzewem jasno dowodził, iż nie należało go postrzegać jedynie jako człowieka pospolitego, to żadną miarą nie zaświadczał też o jakiegokolwiek jego nadprzyrodzoności.

Ale był również, a może przede wszystkim, szarym człowiekiem, a szary człowiek jest przyzwyczajony do przezroczyści. I że nikt go nie dostrzega. Ni świat, ni kraj. Ni wróg, ni przyjaciel. Ni obcy, ni rodzina. I to do tego wręcz stopnia, że z czasem szary człowiek przestaje zauważać nawet samego siebie.

Dlatego właśnie założył, że może mu się udać.

- Ja ci, purwa, dam podlewam! - pomiędzy jednym napadem kaszlu a drugim wrzeszczała tymczasem Ilona.

- Długo będziesz tak tu kwitł jak debil jakiś i bezmózg?! Wszak za dwa dni do Brzegobrzegu się udajemy, do Biedry trzeba zatem jechać w szybkich abcutach, w promocji co jest zobaczyć, dziecku sandał nowy kupić i strój plażowy, z pralni rzeczy ode-

brać, do banku skoczyć, a ty sobie medytacje urządzasz przy tym chabaziu wyschniętym, jak twój mózg suchym?!

Niestety, przezroczyście nie zapewniała zatyczek w uszach.

- I czemu tak tu stoisz bez ruchu jak dziwka w deszcz?! - krzyczała dalej żona.

Niewidzialności jak widać też. Trudno, pomyślał inżynier, kiedyś z pewnością się uda. Ciężko westchnął i otworzył oczy.

- To drzewo ożyje, kochanie, mówiłem ci - oznajmił.

- Jak ożyje, gdzie? - popukała się w czoło. - Denata żeś zdrewniałego zasadził, to jak niby ma ożyć?

- Po prostu kiedyś ożyje - wzruszył ramionami, usiłując się przebić przez chaszczę żoninych zwątpień. - Tylko należy o nie dbać.

Popatrzyła na niego jak na idiotę, a potem nie omieszkała podkreślić tego kąśliwą frazą.

- Idioto! - szorstkość jej głosu tarła przestrzeń między nimi do krwi. - To zewłok jest, ci powtarzam! Ile lat już tego źdźbłąga łysego podlewasz i nic?!

- Trzy - odrzekł zgodnie z prawdą.

Podbiegła, wyrwała mu szlauch i z grymasem obrzydzenia odrzuciła za siebie precz, nie bacząc na to, iż nieprzerwanie ciurkająca woda wnet zamieni ścieżynkę między rabatami w obleśne grzędawisko.

- I nie daję ci to do myślenia, nie zastanawia? - cedziła przy tym z miną anioła moralnej wzdargi i fizycznej nieomogi. - Boże, rozum niespełna chyba miałam, kiedy się z tobą wiązałam, także ślepooka byłam i gałkopląsem na zicher użądłona! Toć ja za Jarka Popiołka wyjść mogłam, król podwórka był z niego i picuś-glancuś, się tatuował dla mnie poprzecznie i wielokrotnie, dziarę z mym selfie na pół klaty sobie wyjebał, nie wspomniawszy już, że...

Głos Ilony ciął powietrze, unosząc się z każdym słowem wyżej i wyżej, przestraszył przysiadłe na martwym drzewie ptaki i z furkotem odfrunął wraz z nimi w górę, a polem znikł za chmu-

rami, hen w obcych kosmosach, tak odległych dla inżyniera, że aż nieistniejących. On sam zaś przyglądał jej się z coraz większym zdumieniem, ciągle jednak nie dostrzegając tego, co świat widział już od dawna: że ożenił się z kobietą żałośnie pospolitą, za to z krzykliwymi pretensjami do inteligencji i urody, do których podstaw daremnie było szukać, albowiem los obszedł się z nią srogo, wyposażając w powierzchowność ptasiego padlinożercy i polot betonu.

Ta nieprzyjemna prawda nadal więc była zakryta. Tymczasem obraz, który się w jej zastępstwie objawił, bodaj jeszcze straszliwszą przybrał postać.

Oto bowiem ogród - jakby pod wpływem złośliwego czar! - znikł był, a z nim absolutnie wszystko, a więc oczko wodne z pałąką i tatarakiem, wykopane w pocie czoła z okazji drugich urodzin Oliwki, jej huśtawka po przeciwległej stronie, pergola z rurek, w kształcie luku Tudorów, i ławka z pękniętą środkową deską, z której wymianą nie wiedzieć czemu inżynier od dawna zwlekał, nadto rabaty warzywne teściowej, mizerne jak jej miłość do zięcia, bombastyczne donice z bylinami tudzież filigrany doniczek ziołowych, dalej konewki, grabie, szpadle, taczki, szczotki, motyczki, opryskiwacze, sekatory, kultywatory, hydrant z pomarańczowym szlauchem, a nade wszystko - co było najbardziej przerażające! - siedmiometrowe ukochane drzewo.

Wszystko to zdematerializowało się w jednej sekundzie, a już w następnej, poprzedzony akordami potężnych organów, wychynął z niebytu gruzłowaty cementarzyk i w posoce sinoniebieskiego światła ukazał zdębiałemu Sebastianowi Rawie swą abominacyjną brzydę: zgruchotane płyty nagrobne, krzyże pogarbione jak znaki zapytania, przegniłe trumny rozrzucone gdzie popadnie, zmiążdżone czaszki z kępkami butwiejących włosów, połamane piszczele i wąpzia świeżo wypatroszone, kotły do gotowania tych, co zgrzeszyli, zeschłe róże, gnijące owoce w paterach z górskiego kryształu, pentagramy zwykle i odwrócone, amulety szatańskie i utensylia do seksu zwyrodniałego, szkielety dwugłowe ludzkie i zwierzęce, zegary bez wskazówek, księgi pornografów z

rycinami, co przeczą naturze i moralności, kielnie, cyrkle, fartuszki i półksiężycy, globusy z ładami, których nie ma, zjełczałe półtusze wieprzowe, w dygot przez robactwo i gazy wprowadzone, słoje z płodami uczciwych rechrystian, żydowskie mace o niejasnym składzie substratów, suszone błony dziewicze - przysmak reżyserów filmowych, pręgierze, gilotyny, hiszpańskie buty, ogniście koła i imadła do kciuków, nietoperze, wije i ścierwojady, szponiaste gargulce i kostropate lewiatany, lubieżne rozwieradła, sprzedajne purwy, półautomaty rozkoszy i markietanki wojsk zarażonych.

A w samym epicentrum owego turpistycznego bestiariusza stoi teraz - nurzając się w bezwstydzie i moralnej rozedmie! - główna księgowa w fabryce maszyn rolniczych oraz wojskowych dronów.

Gorgona z węzami, co gryzą się wzajem, płacząc w sykliwe koki.

Cesarzowa krwiożerców.

Ilona Rawa.

Stoi pośrodku cmentarza, a inżynier widzi, że wszystkie jej oczy (troje na głowie, dwoje na ramionach, jedno nad kolaniem prawej nogi) ścięte są od zajadłości i nasiąkłe pąsem jak kardynałskie płaszcze i bezeceństwa. Widzi, że każde okręca się wokół siebie, ciskając rubinowe gromy, a to, na co kuknie, roztopia się w rozedrganą ćwikłę. I żarna ust od nieustannych obrotów poczerniałe i kostropate też widzi, jak niezmordowanie miażdżą sensory, elokwencje i gramatyki.

A potem dostrzega jeszcze, że bestia rozpościera błoniaste skrzydła i postukując diablیم kopytem nogi lewej (bez oka, za to pokrytej łuską), człapie w stronę krypty, do której on jest zdradziecko przykuty. Ze przypada do niego, zbliża przerażającą głowę, że go obwąchuje, rozdziawia jedną z wielu szczęk, a lepiszcze śliny wylewa się z niej wraz ze smrodem. I słyszy mamrotanie potwora, całkiem niezrozumiałe, zapewne w odwróconym języku demonów wypowiedane, albo i po niemiecku.

- Cóż chcesz mi rzec, Frau Welt? - pragnie spytać główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych, ale nie zdąża, albowiem system nagłaśniający, zamontowany na nieboskłonie przez stwórcę wszechrzeczy i nie wiedzieć czemu od tak dawna przez niego nieużywany, odzywa się głosem lektora z programów przyrodniczych, tak chętnie oglądanych przez inżyniera w czasach pacholęstwa:

- Zmarnowałeś mi najlepsze lata, spurwysynu!

- Przepraszam - zamierza odpowiedzieć Sebastian Rawa, wszelako znowu się spóźnia, albowiem obmierzły dziwotwór, wbiwszy mu w trzewia trzy szczęki jednocześnie, właśnie inicjuje ostateczne odsysanie.

Mimozami jesień się zaczyna.

- Sebastian!

To ty, to ty jesteś ta dziewczyna.

- Sebastian!

Z przemodlenia, z przeomdlenia senny.

- Sebastian, skrzepie pachwiany!

Tyle tu krwi, Ilonka! Co się dzieje...?

- To ja się, purwa, pytam!

Inżynier Rawa drgnął. Otworzył oczy.

Przed nim stała Ilona i kłuła go palcem w pierś.

- To ja się pytam, co się dzieje! - powtórzyła.

Rozejrzał się nieprzytomnie.

Oczko wodne. Huśtawka. Pergola. Ławka z pękniętą deską. Donice. Narzędzia. Drzewo. Szlauch.

Wszystko na swoim miejscu.

- Głupstwo - wyszeptał inżynier, opuszczając głowę. - Zamyśliłem się, zafrasowałem.

- Ty mi się tu zbędnie nie frasuj, tylko do sklepu zapierdalaj, bo za niebawem, czyli jutro, tatko z mamusią przyjeżdżają! - wycedziła na jednym oddechu jego żona i nie czekając na odpowiedź, znikła w drzwiach domu.

A on stał jeszcze przez chwilę w bezruchu. Rozglądał się, drapał w głowę, ambarasował. Kiedy zaś w końcu poczuł, że wró-

cił mu właściwy ogląd rzeczy i spraw, po dreptał niespiesznie do drzewa i czule pogłaskał jego zeschniętą korę.

- Miłego dnia - wyszeptał.

Godzinę później - stojąc z wpychanym wózkiem w długim ogonku do kasy - usiłował odtworzyć sobie w pamięci poranny sen. Ale poza szczyrunią i jej wąsami nic mu się nie wyświetliło.

No, prawie nic.

Wszak przypomniał mu się przecież plan Adasia.

Genialny plan, który poznał kilka dni wcześniej.

I który miał na zawsze zmienić jego życie.

Przygoda druga

(choć wcześniejsza),
czyli Genialny plan Adasia

Nadwiślańskie baseny remedium na afrykański upał Adaś Rembelski przybywa na ratunek. Aktorskie marzenia Beaty Kąklusz. Nieprzyjemne spotkanie z wpływowym karłem. Kto nie zdradza, temu bije dzwon. O wyższości reżysera nad inżynierem. Sebastian Rawa lęka się internetu

Tamtego lata było tak upalnie, że Pokrajacy odchodzili od zmysłów.

A i ów dzień, w którym magister inżynier Sebastian Rawa poznał genialny plan swojego najlepszego przyjaciela, wprost drwił z Pokrajaków afrykańską spiekotą, zmieniając ich w nomadów, gotowych się pozabijać dla najmniejszego choćby źródelka, żalostnej strugi czy na wpół wyschniętego bajorka, ba, dla odrobiny wilgotnego błotka, a nawet lichej kropelki wody, góra dwóch.

Czyż można się zatem dziwić, że zdesperowany tłum zapośniętych, który kłębił się właśnie pod murem zespołu basenów kąpielowych Cud nad Piśłą, wydawał nieprzyjazne pomruki i łypał na siebie złowrogo?

Dzieci darły się wniebogłosy, żądając słodzonych napojów, cukrowej waty i balonów o kształtach frymuśnych delfinów, słoni i żołnierzy wyklętych. Ich rodzice pohukiwali na sprzedawców i w pełnych oskarżeń tyradach zarzucali im starozakorny stosunek do relacji produkt-cena, sygnalizując przy tym możliwość spowodowania rychłej i bolesnej kontroli ze strony izby skarbowej, biura antykorupcyjnego lub innego z wielu ważnych organów, jakie były odpowiedzialne za ład, porządek i szczęście w Pokraju.

Chudzi, ocierając pot z czoła, obwiniali grubych o podnoszenie temperatury i nieuprawnione społeczne beneficja. Pomstowali też, że otyłość, ów niepodważalny dowód na przynależność do ciągle jeszcze istniejących w ojczyźnie uprzywilejowanych elit

i pasożytniczych układów, powinna być z automatu powodem publicznych wykluczeń.

Młodzi pluli na starych, bo ci, zamiast wegetować w domu, wymachiwali kombatanckimi legitymacjami i próbowali dobić się do kasy bez kolejki. W odpowiedzi starzy krzyczeli o wojnie (nie tej, co była, wszak nawet najstarsi jej już nie pamiętali, ale o tej, co będzie), życząc wszystkim później od siebie urodzonym, żeby ich jaki nowy hitler porządku nauczył, gadów niewdzięcznych.

Długonogie nimfetki, o ciałach tak kuszących, jak tylko może to sobie wyobrazić chirurgia plastyczna, domagały się należytego szacunku od ostrzyżonych na głacę mięśniaków. Ci zaś w prostych kibolskich słowach komplementowali ich bieliznę, wdzięczącą się spod przykrótkich italskich sukienek prosto z chińskich marketów.

Lolity nie pozostawały łysolom dłużne, z sarkazmem komentując dumne tatuaże na pękatych bicepsach, przerośniętych mięśniach kapturowych oraz chudych łydkach. Pomijały jedynie, z delikatnością właściwą młodym Pokrajankom, tatuaże z papieżem tudzież kotwicą walczącą, bo świętość to świętość i nic się na to nie poradzi.

Na owalnym gazonie - gdzie strojny klomb z czerwonych i białych kwiatów układał się na podobieństwo dumnego godła państwowego - brodaty starzec z tubą i wzmacniaczem chrypiał o konieczności zrzucenia demoliberalnego chomąta i o trojańskim koniu żydłactwa, z którego trzewi wypełzały plemiona żmijowe, trujące od wieków Pokraj toksyną wolnomularskiej bezbożności, psychotronicznych eksperymentów i transgenicznej żywności.

Nieopodal, na równo przystrzyżonym trawniku, rozłożyła się grupa wysportowanych kleryków. Z sutannami podciągniętymi na tyle wysoko, by przydać bladym nogom odrobinę pożądanego opalenizny, a jednocześnie nie uchybić etosowi powołania, czekali, aż ksiądz opiekun powróci ze zbiorczym biletom ulgowym.

Na starca z tubą łypali nieprzyjaźnie. Jak zawsze, kiedy się spogląda na złodzieja, który ci kradnie chleb, a wdowom wdowi grosz, również tobie z racji bożego porządku przynależny.

Najmniejszy nawet zefir nie poruszał płóciennym transparentem każdego dnia tworzymy przyszłość pokraju i własną, który dostojnie górował nad basenową bramą. Rozgrzany eter z każdą minutą zdawał się gęstnieć.

Gdzieś w oddali migotał w drżącym majaku oddział fizylierów Księstwa Farszawskiego. Wysokie rogatywki z czarnymi pomponami poruszały się leniwie góra-dół-góra-dół, bagnety radośnie pobłyskiwały w słońcu, a śnieżnobiałe nogawki czechczarów, przyjemnie kontrastujące z ciemnym granatem kurtek, cięły klejące się od żaru powietrze w rytmicznym marszu.

Jeszcze niedawno podobna parada niechybnie przyciągnęłaby zaintrygowaną gawieź, teraz jednak, czy to za sprawą upału, czy też może z powodu nadmiaru grup rekonstrukcyjnych wszelkiej maści, przemierzających regularnie pokrajskie miasta, miasteczka, wsie i przysiółki, spotkała się z nieprzyjemną obojętnością.

Dużo więcej emocji budził już sprzedawca wody sodowej. Jego przewoźny saturator tłumnie oblegali spragnieni. Szklanka bez soku malinowego - złotówka, z sokiem - złoty pięćdziesiąt. Więc nie jest źle, myślał w cichości ducha ten i ów, wystarczy le-dwie pięć zeta i da się jakoś przeczekać ten nieprzyjazny czas w upokarzającym ogonku po bilet. A potem już tylko wyśniona oaza, beztroski plusk, fertyczny chlupot i nieustannie mokre gacie.

W tę oto głątwę zapotniałych zniechęceń i wniebopiennych oczekiwań, w której człowieczy zacier kisił się na podobieństwo żuru, majestatycznie wtoczył się miedzianozłoty Cadillac eldorado biarritz z 1959 roku i objechawszy dwukrotnie gazon z rozkrzyczanym starcem, stanął na trawniku, zmuszając zaskoczonych kleryków, by ustąpili mu pola.

Z auta wyskoczył dziarsko Adaś Rembelski, mężczyzna na oko czterdziestoletni, właściciel wypożyczalni zabytkowych aut ślubnych, a przede wszystkim najlepszy przyjaciel inżyniera Rawy od czasów wspólnego leżakowania i plucia budyniem w przedszkolu Pionierów Joliborskich, dziś placówki imienia Przyjaciela Dzieci Księdza Alojzego Buhacz-Badylaka Kapelana Plu-

tonu Przeciwpancerneho 7 Pułku Strzelców Konnych XIV Brygady Kawalerii.

Oblicze miał Adaś szczere i krotochwilne, a przy tym niepozostawiające wątpliwości, iż geny jego antenatów meandrowały po wielu zakolach nieprostych pokrajskich dziejów. Okrągła czaszka, twarz gąbczasta jak bochen, kartoflowaty nos i mięsiste wargi o barwie wątróbki z wołu świadczyły o wielowiekowym uwikłaniu przodków w stan trzeci. Wszelako bystre i dumne spojrzenie Sarmatów, a nade wszystko filuterny uśmiech arystokraty dowodziły niezbicie, że klasowe podziały, które szarpały Pokrajem w dawnych wiekach, tak czy owak nie stanowiły wystarczającej tamy dla prawdziwych namiętności.

Stanąwszy przy aucie, Adaś przeciągnął się. Rozłożył przy tym szeroko ramiona i zamachał nimi kilkukrotnie niczym ptak drapieżny, któremu instynkt podpowiada, iż nadszedł oto czas łowów. Na obu tricepsach, jakże atrakcyjnie uwidocznionych dzięki podkoszulkowi z logo zamorskiej drużyny koszykarskiej, zamigotały tatuaże: z lewej - pochylony w klęku templariusz, owinięty wstęgą z napisem: Prawdziwemu Wierni Bogu, efekt niegdysiejszych fascynacji ezoterycznych, z prawej zaś - skośnooka sylfida z wydatnym biustem, pamiątka z wyprawy do jednego z rajów męskiej turystyki, o której to ekskursji Adaś wolałby nie pamiętać.

Gdzieś z boku rozperlił się jasny dziewczęcy śmiech. Trzy gracje, miłośniczki jakże popularnej w Pokraju farby do włosów o nazwie „Spurwysyński Heban”, kołysały biodrami w stronę końca kolejki.

Adaś błyskawicznie zsunął z czoła na nos lustrzane okulary i łypnął w stronę nadchodzącego szczęścia.

- Dzień dobry, śliczne wy moje! - wyszczerzył się, ujawniając między górnymi jedynekami zawadiacką diastemę. - Bileciki wam może załatwić zorganizować?

- Goń pałę, leszczu! - warknęła środkowa, a zewnętrzne wybuchły idealnie zsynchronizowanym śmiechem.

Bontonowy despekt nie zmącił uśmiechu Adasia nawet na moment.

- Zatem przy zjeździe! - podniósł rękę i rzucił za odchodzącymi. - Si ju!

Odwrócił się. Zająrzył do wnętrza auta.

- Dobrze jest! - zakomunikował tonem znawcy. - Dzięki dzisiejszej spiekocie wyroiło samczością tak okrutnie, że nawet ślepy ustrzeli pluszaka pocieszenia!

- Nie jestem ślepy - wymamrotał cicho głos z cadillaca.

- Seba, na miły Bóg! - skrzywił się Adaś. - Alegoria taka i metafora!

- Preferowałbym alternatywne - głos z wnętrza zdawał się jeszcze cichszy.

- Wróg u bram, nie czas na mysi skowyt! - huknął tubalnie Adaś. - Więc targaj graty, a ja nam załatwię tak zwany wjazd na cito!

Wrzucił do środka kluczyki i nie czekając na reakcję Sebastiana Rawy, pomaszzerował w stronę kasy.

Minęło kilka dobrych przerażeń, zanim inżynier zdecydował się opuścić schron cadillaca. Czy to w ogóle ma jakiś sens? Czy wystarczająco dokładnie ogolił włosy na klatce piersiowej? Co powie, kiedy zobaczy go ktoś z pracy? Jak się wytłumaczy? Na przykład pani Halince z działu finansów, ona zawsze taka opalona, pewno bez przerwy siedzi na basenie? Albo - uchowaj Boże! - dyrektorowi Paciudze z zakładowego koła modlitewnego? Czy też dyspozytorowi Malinowskiemu, temu z kwadratową szczęką, który się chwali, że miał więcej studentek niż niejedna uczelnia?

A nawet jeśli uda mu się ich wszystkich uniknąć, to czy uniknie drwiących spojrzeń różnych obcych, kiedy już wystawi na publiczny osąd swoje blade i nieumięśnione ciało? A te jego kąpielówki? Wszak teraz się ponoć nosi długie i luźne gaciory, a on tuż przed wyjściem na basen wyciągnął ukradkiem z pawlacza wyblakłe slipy, w których kąpał się jeszcze za kawalera, bo przecież innych nie ma. Czy nie wzbudzą one aby niemiłego rehotu i palcami wytykania? A co będzie, jeśli Ilona jakimś cudem zoba-

czy, że tych slipów nie ma w domu? Na przykład strzeli jej co do łba i zechce sprawdzić, czy aby lampki choinkowe nie są popalone? A one na pawlaczu właśnie! No, po prawdzie w lecie jeszcze nigdy nie sprawdzała, bo niby po co, ale jak feralnie akurat sprawdzi? I go moralnie potępi? Się z nim rozwiedzie? Zabierze dziecko i widzenia z domem? Albo - i tu inżynier Rawa zadrżał najpotężniej - powie o wszystkim swojemu ojcu?

Wspomnienie teścia w mgnieniu oka wywołało w inżynierze stan prawdziwie spastycznych drżeń, a ich gwałtowna amplituda przesłoniła wcześniejsze lęki, jakie towarzyszyły mu w drodze na basen, wśród nich najistotniejszy.

Czy ja się w ogóle mogę komuś podobać?

Nie mogąc ścierpieć elektryczności owego pytania, Sebastian Rawa wyfrunął nerwowo z auta.

Zająć się czymś szybko, wykalkulował. Uwić gniazdko z patyczków zwykłych czynności. Umościć mchem hehesznych konwersacji. Przykryć siankiem bezrefleksyjności. Nie myśleć. Nie myśleć. Nie...

Otworzył bagażnik cadillaca. W środku kłębiło się wszystko, co było potrzebne Adasiowi do życia, a że było mu potrzebne naprawdę wszystko, ściśnięte rzeczy wystrzeliły Sebastianowi w twarz. Odskoczył, krzyknął przerażony, rozejrzał się trwożliwie - szczęśliwie nikt nie zwrócił na niego uwagi. Pozbierał szybko to, co wypadło na chodnik (rakieta tenisową, Xięgę Świętą, trzy sportowe buty, każdy od innej pary, dwa opakowania cielistych rajstop gładkich i jedno czarnych z ozdobnym szwem, zestaw masek karnawałowych, lubrykant oraz hełm salamandra, wzór 31), a potem zanurkował w czeluść potężnego kufra i przedzierając się przez coraz to głębsze warstwy, wyznaczające ery, okresy i epoki w życiu przyjaciela, dotarł do archaiku, jakim był zeszlóroczny sezon kąpielowy. Złapał torbę, z której wystawały płetwy, i mocno się natężając, wyszarpnął ją z tej gargantuicznej gęstwy na powierzchnię. Odetchnął z ulgą, otworzył torbę, sprawdził, czy jest wszystko, zadowolony kiwnął głową, zamknął samochód, pomknął w stronę długiej kolejki i już po chwili kręcił się przy jej

końcu, zdezorientowany i zagubiony, bo przyjaciel - ku jego błyskawicznemu niepokojowi - zagadkowo się zdematerializował.

Na szczęście przeciągły gwizd, który rozpoznałby w miliardzie równoległych gwizdów, obrócił inżyniera Rawę w stronę drewnianego kiosku z napisem: KASA. Dostrzegł przy nim Adasia, który górując nad węzowiskiem człowieczym, kłębiącym się wokół okienka biletowego, machał doń przyzywająco.

Inżynier Rawa począł się przeciskać w stronę kiosku. Czuł, jak wrogie spojrzenia, otchłanne wapory i kwaśne inwektywy obłapiają go i duszą. Najchętniej by się wycofał, ale Adaś drwiłby z tego do samej pasterki. Dlatego brnął przez tę klejowatą ćmę, a jako że nigdy nie miał predylekcji do cudzej wilgoci powierzchniowej, krzywił się z obrzydzenia. Kiedy dotarł wreszcie do Adasia, niosąc na sobie przywlokę obcych kosmosów, dyszał niczym szerpą, który na szczycie góry gór przypomniał sobie, że nie zabrał plecaka z aparatem fotograficznym, i teraz wbiegł z nim ponownie, uprzedzając wybuch złości wspinacza, który go był wynajął.

- Ja tu, purwa, walczę z przeważającymi siłami wroga, jak nie przymierzając minister wojny albo i sam Pierwszy Obywatel, a wy się na tyłach dekujeecie?! - przywitał inżyniera przyjaciel. - Co z wami, ogniomistrzu?

Sebastian pragnął odpowiedzieć równie dowcipnie, ale nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Rzęził potępieńczo, fabrykując jedynie jakiś ogrzy mamrot, więc Adaś pojąwszy, iż na próżno oczekuje klarowności - pokręcił głową w zde gustowaniu, złapał inżyniera za rękę i pociągnął go mocno w stronę kasy.

I stało się jak w bilardzie czy kręglach: Sebastian Rawa luknął w stojącego przy kasie niskorosłego mężczyznę, wystrzelił go precz i znieruchomiał na jego miejscu, a Adaś, korzystając z owej nieoczekiwanej zbijanki, momentalnie m; przygarbił i wcisnął w szczelinę okna kasowego mięsisty uśmiech.

Celebrytko najpiękniejsza, daj no mnie tu dwa specjalni' dla ludzi filmu! - zadudnił głosem o częstotliwości pitagorejskiej, która zestrąja ludzi z wszechświatem.

Beata Kąklusz, młoda, najwyżej dwudziestopięcioletnia, kasjerka z lisią twarzą, aż podskoczyła na krześle i odpowiedziała matowym, jakby wystruganym z drewna klekotem:

- O, pan reżyser Adam!

Uśmiechnęła się przy tym szeroko, ukazując szereg równych, choć nieprzyjemnie cofniętych zębów, osadzonych w masywnej żuchwie.

- I co i jak? - zakłapała. - Uchyli pan rąbka dziewczynie? Nazwany reżyserem właściciel wypożyczalni aut ślubnych zmarszczył czoło w zakłopotaniu i zawiesił na dziewczynie spojrzenie psa sieroty.

- Becia, słońce ty moje - siorbnął funeralnie. - Niebo bym kradł ci, lecz nie mogę, gdyż etos zawodu mi wzbrania tudzież regulaminy.

- Ale ja muszę wiedzieć, czy w tym filmie gram się wcielam! - Beata Kąklusz wbiła w Adasia błagalne spojrzenie. Cdyż bez wiedzy owej nie śpię, a bez snu przyszczeję!

Adaś potarł nos dla podkreślenia, że się zastanawia, a potem zalukał na boki, jakby sprawdzał, czy aby jakie szpiegowskie ucho zbyt nachalnie nie nadstawilo się w pobliżu, i konfidencko-ściągnął brwi.

- Zatem dobrze, przeciek ci ekskluzywny uczynię, aczkolwiek nieoficjalne to dane i boczkim.

Potaknęła, że czuje ciężar chwili, i z wrażenia przestała oddychać.

- Znalazłaś się w wąskim finale, żaba - zaszemrał.

Beata Kąklusz zapiszczała i w tej samej sekundzie, najpewniej przestraszona własnym wizgiem, złapała się za twarz. Głęboki wydech ulgi zasyczał jej przez palce.

- Jak wąskim? - wymamrotała, nie odrywając dłoni od ust.

Przygryzł wargi, sugerując tym, że nic więcej nie może zostać teraz ujawnione.

- Czekaj na znak sygnał - mrugnął do Beci półjawnie.

Pokiwała głową ze zrozumieniem i uwznioślona dobrocią, jakiej doświadczyła przed momentem ze strony znanego reżysera,

najwyraźniej przychylnego jej talentowi, poklikała w klawiaturę, zmusiła drukarkę do wypłucia dwóch biletów i z wielkim hukiem przystawiła na nich pieczętkę:

ZASŁUŻONY DLA POKRAJU! GRATIS

Szponiaste palce Adasia pochwyliły zdobycz chwacko i uniosły poza zasięg jej wzroku.

Na widok biletów inżynier Rawa rozejrzał się trwożliwie. Obce mu były bonanzy i hajdamactwa, a pomny maksymy *tisze jediesz, dalsze budiesz* (którą ojciec kazał mu powtarzać co wieczór przed snem wraz z modlitwą o kupomocnym aniele), zawsze wołał najpierw zatargać swój łupik do cichej norki i dopiero tam się nim cieszyć i sycić. Wszelako Adaś z krzykliwszego pierza był ulepiony i pęd życiowy czerpał nie tylko z osobistej zaradności, ale także z zawistnych spojrzeń co lichszej konkurencji. Więc i tym razem nie powstrzymał się przed prózną manifestacją i uniósłszy buńczucznie bilety nad głowę, omiółł skołtuniony w tyle tłum spojrzeniem satrapów i cesarów.

- Na chama tak? Bez kolejki nieuprzejmie? - zręczliwy pomruk wydobył się niespodziewanie z nizin wszechrzeczy.

Adaś i Sebastian pochylili głowy.

Przed nimi stał karzeł nie pierwszej już młodości, z pobrużdżoną twarzą, o ruchliwych, owadzych oczach. Jedną ręką trzymał się za nos, drugą przekierowywał oskarżycielko od Adasia do Sebastiana i z powrotem. Jakby zamierzał ich zamrozić albo obwinąć pajęczyną, która - przemknęło inżynierowi przez myśl - wystrzeli zaraz z tych krótkich i grubych palców.

Sebastian błyskawicznie je policzył: raz, dwa, trzy, cztery...

Sześć!

Jak u homunkulusa!

Główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych zadrażał, bo uświadomił sobie, że to tego właśnie karła wypchnął przed chwilą z kolejki. A kiedy dodatkowo dostrzegł na jego ku-

sym rękawku zieloną opaskę z napisem: KONFRATERNIA WIELKIEGO POKRAJU, serce zaczęło mu walić jak szalone. Bo nawet jeśli powtarzane przez niewykształcony lud szeptanki, jakoby niziołki zawdzięczały istnienie samemu Lucyferowi, były jedynie cygaństwem i na wodę picem, to już opinii, iż ich Konfraternię lepiej omijać szerokim łukiem, nie należało zaliczać do płochych plotek. Zbyt wielu bowiem, co tak uczyniło, cierpiało dziś inwalidztwo obywatelskie, a nawet i banicję.

Trzeba go natychmiast przeprosić, pomyślał inżynier Rawa, ale nim zdążył w myślach odpowiednio dać rzeczy słowo, Adaś omiół karła wyniosłym spojrzeniem i wystrzelił:

- Weteranowi z Iraku żałujesz, moskalu jeden?!

Po czym wskazał na Sebastiana.

- Hieny, nie ludzie! - dorzucił, wydymając mięsiste wargi.

Niskopienny konfrater łypnął pytająco na inżyniera, a ten - nie mniej wstrząśnięty - przerzucił ogłupiały wzrok na swojego najlepszego przyjaciela.

Na twarzy Adasia nie drgnął nawet najmniejszy muskuł.

- Panie majorze! - ryknął Adaś i ujął inżyniera za łokieć. - Tędy proszę!...

Napierająca na kiosk ciżba w jednej chwili się rozstała. Ludzie zerkali teraz na Sebastiana z szacunkiem i bojaźnią, a on - targając ciągle dwie torby, swoją i Adasia - mijał ich wolno, na miękkich ze strachu nogach, podtrzymywany przez przyjaciela niczym stuletni starzec.

Kiedy znaleźli się przy bramie, Sebastian cichutko zapiszczał, jakby sam siebie chciał pożałować, ale Adaś ścisnął go mocno, bo oto wyrósł przez nimi siwy strażnik z sumiastymi wąsami, ubrany mimo spiekoty w długi szary szynel, buty z cholewami oraz wielką czapę, na której złotym otoku widniał dumnie napis: CUD NAD PISŁĄ.

Siwy strażnik przyciągnął strzelbę do ramienia, stuknął obcasami i zasalutował.

- Praw-dzi-wy to za-szczyt, ma-jo-rze! - wysylabizował po żołniersku.

Sebastian, coraz potężniej zestresowany, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Kiwnął więc tylko głową i podniósł do niej dwa palce w geście powitania.

W mózgu miotało mu się jedno pytanie: jak do tego człowieka dotarło, że jestem majorem, skoro Adaś powiedział to tylko raz, zaledwie minutę temu, w dodatku pięćdziesiąt metrów stąd?

Tym bardziej że nim nie jestem - skorygował sam siebie.

Czuł, że powinien to zgłębić, ale z oczywistych powodów bał się zapytać.

Tymczasem Adaś Rembelski podał strażnikowi bilety. Ów przedarł je zdecydowanym gestem, zwrócił i na koniec jeszcze raz zasalutował.

Tuż za bramą uderzył ich zapach chloru i bogactwo kobiecych krągłości. Adaś puścił już inżyniera i obracał się teraz na wszystkie strony niczym strzelec pokładowy bombowca atakowanego zewsząd przez sforę wrogich myśliwców. Z tą różnicą jedynie, że on akurat chciał być zestrzelony, i to jak najszybciej.

Tu jest jak w rajach, myślał i wszystko mu się podobało: włosy długie i krótkie, jasne i ciemne, kręcone i proste, sterczące piersi i biusty grawitacji podległe, nogi do samego nieba i zawieszenia dużo niższe, pełne biodra oraz skóra i kości, alabastrowa błądź cery, ale też kawa z mlekiem, dosłownie wszystko.

Tymczasem inżynier Rawa włókł się za nim z opuszczoną głową. Widok tych wszystkich ciał onieśmiał go i wręcz przerażał. Co roku z nastaniem upałów Adaś zabierał przyjaciela do ośrodka nadpiślańskich basenów kąpielowych i co roku ów cierpiał tam niewymowne męki. Bo choć kobiety mu się podobały, był pewien, że on nie podoba się im. A mając taką świadomość, trudno wszak swobodnie pluskać się w jacuzzi, przeżyć na zjeżdżalniach czy chełpić prawidłowym ułożeniem rąk przy delfinie. Zwłaszcza że tego ostatniego i tak nigdy nie umiał.

I jeszcze teraz ten niby-major! Tudzież nieodpowiedzialne śmichy-chichy z lilipuciego funkcjonariusza Wielkopokrajskiej Konfraterni!

Sebastian Rawa czuł, że powinien w końcu postawić Adasiowym wicom stanowczą tamę. A jeśli nie tamę, to przynajmniej jazik. Dodreptał więc do przyjaciela i szturchnął go torbą w ramię.

- To nieuczciwe publicznie, a i wobec mnie prywatnie, Adas - wydeklamował.

- Co? - bąknął właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych i nawet na niego nie spojrzął, ciągle bowiem był zajęty lustrowaniem dookolnego żywiołu niewieściego.

- Weteranem z wojny mnie definiować - uszczegółowił inżynier.

Adas się skrzywił, jakby przełknął coś naprawdę gorzkiego.

- Teścia masz żołnierza, to starczy. A i fortel zmyślny docień, bo do zimy byśmy tu zimowali, gdyby nie mua - oznajmił beznamiętnie i przyspieszył kroku.

Sebastian czknął smutno i powlókł się za nim.

Skręcili w stronę przebieralni i przez chwilę maszerowali w milczeniu. W niegasnącym upale inżynier uginał się pod ciężarem toreb i uznał, że to właściwy moment, by prosić przyjaciela o zamianę.

- Te, patrz, a te?! - zakrzyknął niespodziewanie Adas, ruchem głowy pokazując Sebastianowi, gdzie powinien spojrzeć.

Inżynier podniósł szybko oczy i równie szybko je opuścił. Jednak ta krótka chwila wystarczyła, by przyswoił sobie obraz dwóch piersiastych blondynek, kołyszących rozłożystymi biodrami przy kamiennym grzybku, z którego tryskały strumienie wody. I by ten obraz zaturkotał mu w mózgu niczym rozpędzona kula we flipperze, ulubionej rozrywce obu przyjaciół z lat szczenięcych, pomijając rzecz jasną grę w kapsle i wrzucanie chrabąszczy do windy

- Efektowne bardzo - potwierdził Sebastian Rawa tonem, w którym ku własnemu zaskoczeniu usłyszał swojego ulubionego lektora z filmów przyrodniczych. - Może nie klasycznie piękne, ale z niewątpliwym pierwiastkiem młodzieńczej dzikości, spotęgowanym przez odpowiednią dietę.

Adaś stanął jak wryty i wbił w niego spojrzenie niewolne od osłupienia.

- Ty mi tu nie dryluj wiśni, Seba! - fuknął. - Wszak nie jesteśmy w Telewizji Narodowej Pokraju, gdzie się uprawia intelektualne rodeo, tylko gdzie?

- Gdzie? - powtórzył jak echo inżynier i rozejrzał się zaskoczony, że jego najlepszy przyjaciel docieka spraw elementarnych w stopniu przedszkolnym. Albo - co bardziej prawdopodobne, a przez to nie mniej przykre - że to jego uważa za kompletnego bęcwała i ptasi mózdzek.

- Pierwszy zapytałem! - dociskał Adaś, kukając nań pedagogicznie.

Sebastian Rawa zrobił krok do przodu.

- No, w Cudzie nad Pislą, ośrodku rekreacyjno-sportowym, Adaś, przecież wiem - odpowiedział, podciągając jak uczeń nogawki spodni.

Adaś uznał tę odpowiedź za dobrą, ale najwyraźniej niewystarczającą.

- Ani chybi jednak postradałeś, po jaki frędzel znaleźliśmy się w tymże Cudzie - zaczął, podnosząc przy tym palec dla nadania sobie większej powagi. - I to w porze dnia, która tradycyjnie służy farszawskim mężczyznom do zarabiania na chleb dla ich ukochanych rodzin, he...?

Inżynier się zaczerwienił. Nie dlatego, że nie znał odpowiedzi. Znał doskonale, problem w tym, że wstydził się jej udzielić.

- A zatem...? - dociskał tymczasem Adaś.

Sebastian Rawa pochylił głowę.

- Mówiłeś, że celem dup oglądania - wyszeptał.

Adaś klasnął w dłonie i wciągnął powietrze głęboko w płuca.

- Celem dup oglądania to sobie tu może siedzieć jakiś starością cuchnący baron de Coubertin, dla którego liczył się sam udział w igrzyskach - oznajmił elegijnie.

Potem się przybliżył i opiekuńczo położył inżynierowi dłoń na ramieniu, a sztandar jego głosu załopotał samczością i braterstwem.

- Wszelako nas, Sebuś, nie zrobili w dziewiętnastym wieku! Więc dla nas liczy się wyłącznie zwycięstwo! I dlatego zjawiliśmy się tu, owszem, celem dup oglądania, ale w celu ich wyrwania!

- Ja też? - zapiało się Sebastianowi przedmutacyjnie.

Adaś błyskawicznie spochmurniał.

- Zwłaszcza ty! - mruknął. - U którego aktywność typu „wskocz mi na puklerz, mała!" to, powiedzmy sobie szczerze, bida i slams.

Omiótł inżyniera karawaniarskim spojrzeniem, odwrócił się i wszedł do przebieralni.

Obolały Sebastian Rawa trwał jeszcze przez dłuższą chwilę w mentalnym wytrzeszczu, spotniały od upału i obaw, aż w końcu nacisnął klamkę i podążył za przyjacielem.

Szatnia przywitała go kwaśnym melanzem zapachów sanitarnych i organicznych, a także wizualną apokalipsą.

Na dzień dobry całkiem golutki starzec, bez powodzenia usiłujący wcisnąć na pokrzywione goścem stopy piankowe klapki, w odrażającym pochyleniu ciała ukazał inżynierowi przydługi miśzek swych półimperiałów, zapewne już dawno z obiegu wycofanych.

Obok niego ćwiczył garbus, zawzięcie pochylając się i prostując; to ostatnie nie mogło się jednak udać do końca z przyczyn elementarnych.

Dalej siedział gładko ogolony podrostek, najwyżej osiemnastoletni, w mundurze z kampanii wrześniowej, i podśpiewując o rozmarynie (a może i pąkach róż? - ze względu na gwar inżynier nie słyszał dobrze), rozrabiał w żeliwnej manierce odżywkę białkową.

Kolejny starzec, pękaty jak świnka skarbonka i dokumentnie wydepilowany w miejscach, których Sebastian wolałby nigdy

nie zauważyć, prężył się przez lustrem, wcierając w mięksiz brzucha oliwkę do pielęgnacji niemowląt.

Grupa wytatuowanych pakerów, targnąwszy z byczych karków koszulki przysięgające ojczyźnie miłość, a jej wrogom śmierć, rozprawiała głośno o pompkach, przysiadach, podskokach, wymykach, sztangach, hantlach, ławkach, trenażerach, a nawet - co się już inżynierowi Rawie zupełnie nie kleiło - modlitewnikach. Dużo słów dedykowano również aminokwasom i hormonom, ekspresowo pompującym muły. Dlaczego akurat te zwierzęta wzbudzały szczególne zainteresowanie panów osiłków, inżynier się nie dowiedział. Za to usłyszał wiele o hybrydzie europejskiej zdrady wymierzonej w Pokraj, o reptiliańskim spisku, co zniszczyć chce ludzkość arabskim liszajem, i o tym, że tylko pedały golą klaty, tfu! Ta ostatnia konstatacja została zresztą rozszerzona na kulturystów przed zawodami, aliści z zastrzeżeniem, że to jedyne dopuszczalne odstępstwo od zakazu. Na koniec szerokokarcy dyskutanci poruszyli problem tabletek, po których staje. Ponoć widnieją na nich symbole okultystyczno-masońskie, ale mało kto to dostrzega, bo wszyscy je sobie aplikują ukradkiem i po kątach, zaślepieni -jak zostało obrazowo powiedziane - wizją atomowego ruchania.

Że są takie tabletki, inżynier uznał za warte zapamiętania, nie miał jednak czasu nad tym długo deliberować, albowiem pakerzy przebrali się i wyszli, odsłaniając tym samym Adasia. Stał przy otwartych drzwiach szafki, nagusieński, jak go Bóg stworzył, i piorunował przyjaciela spojrzeniem pełnym przygany.

- Długo mam tu świecić dupą jak żona Lota znieruchomiała? - wycharczał oziębłe, wręcz wrogo.

Sebastian Rawa uniósł dłonie w wszechgalaktycznym geście przeprosin i pojednania.

- Panowie tak rezolutnie prawili, że się zasłuchałem, wybacz!

Zrobił dwa szybkie kroki w stronę Adasia i nagle stanął w miejscu. Jakby wyrosło między nimi potężne pole siłowe. Prze-

krzywił głowę. Łypnął na przyjaciela. Wyprostował głowę. Ponownie łypnął.

- Masz coś z szyją? - spytał osłupiały Adaś.

- Czemu ty prącie wietrzysz? - odpowiedział inżynier pytaniem na pytanie.

Właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych popatrzył na niego wściekle, zmiął w ustach szkaradne przekleństwo i starając się zapanować nad wybuchem, począł wyliczać głosem wibrującym od wewnętrznego płomienia:

- Kremy, balsamy i mleczka faktorów wszelakich. Frotowy ręcznik mały. Frotowy ręcznik duży. Japonki lub kuboty do wyboru. Płetwy. Rurki. Okulary. Magnetyczne szachy. Gra „Chińczyk, czyli człowieku nie irytuj się”. Odświeżacz do ust. Antyperspirant. Dezo...

- Ale po co...? - wszedł mu w słowo zdezorientowany Sebastian Rawa.

- Ja panu nie przerywałem, inżynierze! - usadził go błyskawicznie Adaś i kontynuował: - Dezodorant. Żel pod prysznic. Myjka. Prasa motoryzacyjna i kolorowa. Ale przede wszystkim bermudy! Bermudy, którymi co, Seba?

- Którymi nie wiem... - bąknął inżynier, bo istotnie nie wiedział.

- Którymi zwykłem sobie na basenie jaja okrywać! - ciągnął dalej Adaś, a z każdym nowym słowem potężniały mu żyły na szyi. - Otóż te bermudy, błękitne i w różowe flamingi czy tam marabuty, nie kruszmy o to kopii, to teraz bez znaczenia, są aktualnie w tym, co dźwigasz na plecach, farfoclu półtrupci!

I wskazał na swoją torbę, która choć nadal skręcała kręgosłup inżyniera w kabłąk, zdołała jakimś cudem wymknąć się z obławy jego świadomości. A teraz żgnęła go nagłym bólem, jakby ktoś rozpaloną żagiew przystawił mu do karku.

Sebastian syknął i stracił z siebie parzący ciężar.

- Więc mnie nie irytuj śledztwem niedorzecznym, chińczyku ty mój! - krzyczał tymczasem Adaś. -I nie pytaj, proszę, czemu pindola akurat wietrzę w przytomności przedstawicieli tej samej

płci, tylko w szybkich abceugach przybliź tu organizm i oddawać mi gacie, gadzie!

Inżynier Rawa przydreptał, położył przed Adasiem torbę i przezornie cofnął się o kilka kroków.

Zapadła cisza.

Dopiero wówczas obaj przyjaciele zdali sobie sprawę, że od chwil paru są przedmiotem bacznej obserwacji.

Starzec z gościem łapał ich w odbiciu lustra, podobnie podrostek, który kręcił głową tak zapamiętale, że aż sobie ofaflunił odżywką pagony, garbus porzucił wygibasy i wgapiał się przenikliwie, choć w sposób esowaty, miał bowiem oprócz problemów szkieletowych także znaczący mankament okulistyczny, a świnka skarbonka zakremował się w zapatrzeniu cały na biało.

Lecz kiedy Adaś omiółł szatnię bawolim wzrokiem, namolne łypnięcia rozpełzły się po kątach jak insekty.

Przez chwilę obaj przyjaciele przebierali się w milczeniu.

- Nie widzę tego tak dramatycznie, Adaś - odezwał się w końcu dyskretnym głosem Sebastian Rawa, skrępowany jak zawsze, gdy trzeba było pokazać światu klatkę piersiową. - W sensie, że u mnie z płcią piękną już tylko bida i slams.

Adaś pokręcił głową w niedowierzaniu, a potem zaczął równie cicho, choć z każdym kolejnym słowem jego głos potężniał.

- Bo jesteś nieprzytomny na granicy zgonu. Ale prawda w dupę kole nawet otumanionych! - dudniło w całej przebieralni, odbijając się od blaszanych szafek. - A twoja prawda, mój biedny Sebo, brzmi, jak następuje: życie seksualne magistra inżyniera Rawy to złom, szczerupy i chińska zupka!

Na dźwięk własnego nazwiska inżynier rozejrzał się trwożliwie. Ta wątpliwa sława była mu potrzebna jak diabłu matka, a beznogiemu pończochy. Obkurczył się więc i przyszarzał, mimetycznie upodabniając do lamperii, i gdyby nie głośna czkawka, bez wątpienia o neurotycznej etiologii, skryłby się bezpiecznie w niedostrzegalności.

- Adaś, proszę... - jęknął i popatrzył na przyjaciela żałośnie nieuzbrojonym wzrokiem.

Właściciel złocistego cadillaca wzruszył jedynie ramionami. Jak lekarz, który musi wytłumaczyć rodzinie, że zrobiono wszystko, co w mocy medycyny, ale i to okazało się za mało. Tak w każdym razie odczytał to inżynier Rawa i dlatego wstrząsnął nim przykurcz melancholii, spotęgowany przez kolejne czknięcie.

- Że źle, czyli...? - zaskamlał.

- „Że źle” to było, jak było dobrze - stanowczy głos Adasia zdawał się nie mieć litości. - Teraz jest zgon i anielski orszak.

Pluton egzekucyjny wycelował kulomioty. Dziesięć luf wbiło w skazańca matowe ślepie.

- I znikąd ratunku skądinąd? - usta inżyniera Rawy wygięły się w modlitewny wiraż.

Adaś uniósł ręce niczym posłaniec dobrej nowiny.

- W nikczemnej kondycji, w jakiej się aktualnie znalazłeś, świerszczyku, żywot wieczny da ci jedynie ciała zpadłychwstanie! - zamilkł i przez chwilę obracał oczami, jakby szukał czegoś w mózgu. - Czyli regularna waginoterapia plus uczciwie dawkowany błódzobing! - dodał po chwili.

Jeszcze chwila, a doznam wewnętrznego przesilenia, pomyślał inżynier Rawa. Czy on sobie winszuje, bym ja...?

Przerwał, bo przestraszył się konsekwencji domyślenia owej wizji do końca.

- Wszystko naraz niby? - kwęknął i ściągnął brwi.

- A tak, Seba, a tak! - rozkogucił się Adaś. - Jedyne, co cię do żywych przywrócić może, to radosne wczudzewłózenie!

Tego już było inżynierowi za wiele. Przecież to jeszcze kto postronny usłyszy i doniesie, gdzie nie trzeba!

- Ale ja mam żonę, Ilonę moją! - krzyknął Sebastian Rawa nawet głośniejszy, niż należało. - Której wierność i uczciwość małżeńską przysięgałem!

Nowi mężczyźni, którzy tymczasem pojawili się w przebiegalni, wystrzelili w stronę inżyniera Rawy przeszywające go spojżenia. Było w nich o piekło więcej wścibstwa niż empatii. Inży-

nier poczuł, że wstrząsa nim dreszcz niepokoju i trwogi. A jeśli któryś z nich jest znajomym teścia? Turbiny mózgu zawyły w gwałtownym poślizgu i Sebastian Rawa poczuł nagle, jak potężna fala zachybotła jego Titanikiem. Złapał się szafki i znieruchomiał.

- Garbisz mi uszy takimi tekstami, Seba! - perorował tymczasem Adaś, nieświadom, jak bliski omdlenia jest jego przyjaciel. - Po primo, gdyż wiem, co przysięgałeś, wszak byłem świadkiem na twoim ślubie! A po secundo, albowiem upoczywie nie jarzysz, jaka jest twoja aktualna mapa pogody! Więc pozwól, że ci ją jeszcze raz naszkicuję!

- Szkicuj - jęknął słabo inżynier Rawa, ciągle jeszcze nie mogąc odnaleźć wyłącznika do diabelskiego młyna mentalnych samobiczowań.

- Zatem nie tylko nie jesteś już kolibrem, co popierdala nad kwietną łąką w blasku słońca, ale wręcz leżysz, purwa, na OIOM-ie życia, a twój anioł stróż się zastanawia, czy warto w ciebie za-inwestować jakiegokolwiek pierdnięcie jeszcze! - wydeklamował Adaś i trzasnął drzwiami szafki dla lepszego akcentu.

Inżynier Rawa przełknął ciężko ślinę.

- Nie przesadzasz ty aby? - wystękał ze strutą miną.

Adaś złapał się za głowę. Najwyraźniej z jego przyjacielem było gorzej, niż zakładał w najczarniejszych spekulacjach. Otworzył ponownie szafkę, pogrzebał przez chwilę w torbie, a potem wyciągnął z niej przepotężnie wymiętolony egzemplarz niezwykle opiniotwórczego w Pokraju tygodnika.

- Masz, czytaj! - podetknął go inżynierowi niemal pod nos.

Inżynier Rawa z początku się wystraszył, lecz kiedy Adaś zachęcił go do działania łagodnym uśmiechem, otworzył pismo i drżącym głosem zaczął:

- „Według najnowszych badań, Pokraj był krajem patologicznym na długo przed przyjęciem chrztu. Swarożyc to nic innego jak słowiańska wersja imienia Święty Roger...”

- Nie to, lamusie! - huknął Adaś i wyszarpnął tygodnik z rąk przyjaciela. Przez chwilę nerwowo przewracał stronę za stro-

ną, po czym się zatrzymał i tak mocno stuknął w jedno miejsce palcem, aż uczynił w nim wgłębienie. - To!

Inżynier Rawa ponownie przejął tygodnik. Wypuścił powietrze z płuc, chcąc, by zesza z niego nieznośna sztywność, a potem na pełnym bezdechu przeczytał:

- „Nie wszyscy panowie zdają sobie sprawę, że kryzys wieku średniego może skończyć się śmiercią. Zdaniem wielu naukowców, niewyjaśnione przypadki zgonów mężczyzn w wieku czterdziestu lat spowodowane są monotonią ich życia seksualnego...”.

Ostatnie słowa zabrzmiały tak cicho, że niemal niesłyszalnie. Inżynier zakolebał się i połknął wielki haust powietrza. Jak nieszczęśnik, który w ostatniej chwili wychynął spod fali ciągnącej go w czeluść morderczych oceanów.

Adaś wyrwał mu tygodnik, zwinął w rulon i cisnął do szafki.

- Nie pytaj, komu bije dzwon, stary! - rzucił.

- Jaki dzwon? - zaniepokoił się główny specjalista od utylizacji.

- Mówiłem, nie pytaj! - ofuknął go Adaś, zamknął szafkę, owinał się ręcznikiem i wyszedł.

Skonfundowany potężnie inżynier potwierdził ruchem głowy, że o żaden dzwon już pytać nie będzie. Potem ciężko westchnął, złapał torbę z płetwami i ruszył za przyjacielem.

Słońce stało w zenicie, dając największy kontrast i najkrótszy cień. Przepalający migot uderzył Sebastiana Rawę niczym kryształowy młot, którego szlify przenoszą ognisty paraliż z powierzchni oka do wnętrza czaszki. Inżynier zaczął od razu łzawić, a gigantyczny baner, rozpostarty na wprost wyjścia, objawił mu się w nieostrości, jakby oglądany przez mleczny luksfer.

POKRAJAKU, PAMIĘTAJ!

MODLITWA PIELEGNUJE I DOSKONALI!

Woda w pierwszym basenie, tym okrągłym, pachniała kwaśkowato, jak zawsze, gdy chlor zmiesza się z potem, moczem i sebum. Na szczęście, nad wszystkim unosiła się jeszcze silniejsza woń nieokiełznania i bałamutności, więc inżynier postanowił ześrodkować się na niej. Wciągnął do płuc tę dookolną dzikość, a kiedy poczuł, że rozlewa mu się po krwiobiegu jak narkotyk, nabrał odwagi i się rozejrzał.

Tuż przy brzegu, gdzie łagodna płycizna dopuszczała jednoczesne taplanie się i w wodzie, i w promieniach UVB, spoczywała grupa beczułkowatych emerytek. Ich ciała, uformowane z cukru i niespełnienia, naznaczone zapomnieniem i plamami wątrobowymi, obracały się za słońcem na kuglarskim różnie iluzji. Nieopodal dwie biuściaste dziewczęta, stojąc po uda w wodzie, usiłowały odbijać piłkę siatkową wraz z dwoma husarzami w pancerzach i ze skrzydłami, co dumnie łyskały w słońcu. Jeszcze dalej, gdzie głębia pozwalała skryć lędźwie z ich kłopotliwą fizjologią, tuliły się do siebie pary nastolatków, zakleszczone w bezruchu i nieprzerwanym szepcie. Inżynier Rawa drgnął i zaskoczony nagłą empatycznością podbrzusza, zaczerwienił się. Odwrócił szybko głowę i począł rozglądać się w poszukiwaniu Adasia.

Dostrzegł go zaklinowanego w ścisku przy wąskim przejściu na drugi basen, znacznie głębszy i podługowaty. Dodreptał tam i precyzyjnie się z odrazą przez zwilgłą cizbę, ucałował przyjaciela.

- Naprawdę dzwoni mi dzwon, Adaś? - zapytał z marszu. - Ze niedobrze jest, informując?

Pochłonięty lustracją samiczego fenomenu, który w kalejdoskopie form nieprzeliczonych objawiał się z każdego niemal kierunku, właściciel wypożyczalni zabytkowych aut ślubnych przez chwilę zezował na inżyniera nieprzytomnie, jakby go nijak nie poznawał.

- Źe bardzo niedobrze jest! - potwierdził w końcu, bezwiednie skubiąc włosy na kłacie. - Ile ty masz do czterdziestki, chłopino, przypomnij mi?

- Trzy tygodnie - odburknął Sebastian Rawa, nieprzyjemnie zawiedziony, że jego najlepszy przyjaciel nigdy nie mógł tego spamiętać.

Mięsiste wargi Adasia wygięły się w żalobnym grymasie.

- Ożpurwa, jak jest niedobrze!

Inżynier zadrżał. Niemal usłyszał, jak chwytna macka śmierci przysysa się do niego z głośnym ślump!

Co gorsza, Adaś sprawiał wrażenie, jakby to również usłyszał. Przekręcił głowę niczym puchacz i zagałł niepokojąco:

- A ty w ogóle dobrze się czujesz? Oglądałeś się w lustrze ostatnio?

- Rano - chrząknął Sebastian i stropił się. - A co? Coś nie tak?

Dlaczego on patrzy na mnie jak na mrozoną półtuszę? Horyzont bez okrętu? Martwą naturę z wędzidłem?

Tymczasem Adaś dobijał go dalej.

- Plamy masz żółte jakieś. I ta cera... - zawiesił głos w sposób, który nie mógł oznaczać niczego pomyślnego.

- Co z nią? - zaniepokoił się inżynier. Najlepszy przyjaciel nie przestawał go przerażać.

- Słaba jakaś, ziemista. Jęzor pokaż!

Sebastian Rawa posłusznie wywalił język. Adaś się skrzywił.

- Poniżająco obłożony! - zawyrokował. - Sto pompek zrobisz?

- Nie - odparł zgodnie z prawdą inżynier.

- A sto przysiadów? - dał mu kolejną szansę Adaś.

W pierwszym odruchu Sebastian Rawa zaczął się zginać, ale kiedy uświadomił sobie, ile osób może teraz na niego patrzeć, usztywnił się w zawstydzeniu.

- Nie wiem - wyszeptał obolały.

Adaś ponownie przygwoździł go wzrokiem.

- Oj, chaos widzę w oczach! - obgryzł paznokiec środkowego palca i wypluł jego blaszkę pod nogi. - I panikę! - dokończył, wycierając zaślinioną dłoń w bermudy.

Inżynier Rawa zatchnął się suchotniczo.

- Bo mnie tak skołowałeś, że nie wiem, co robić czynić mam! - wystękał.

- Ratować się - powiedział Adaś i rozjaśnił oblicze niczym najlepszy kapłan, oferujący penitentowi szeroką paletę zbawień.

- Tylko jak? - dociekał Sebastian Rawa, bowiem nie wystarczyły mu jedynie uśmiechy i usiłował przedostać się z poziomu ogólności na szczebel rozwiązań detalicznych.

Wszelako Adaś Rembelski, jak każdy apostoł, nie był skory do ekspresowych oświeceń. Więc jedynie przyłożył dłoń do ust, zwinął ją w trąbkę i udając radio pokładowe myśliwca North American P-51 Mustang, wycharczał:

- Mejdzej, mejdzej! Delta papa brawo, czy mnie słyszysz?

Sebastian Rawa zbaraniał. Owszem, bardzo często bawili się tak w dzieciństwie, ale teraz - wrażenie inżyniera graniczyło niemal z pewnością - nie było czasu na płocze szutki.

- Jak się ratować, mów mi? - zapytał więc po raz wtóry.

Niestety, Adaś zdawał się całkowicie ignorować impetyczną dociekliwość przyjaciela. Jakby jakiś niepojęty przymus kazał mu się uwstecznić i na powrót przemienić w najbardziej denerwującego gówniarza na całym osiedlu.

- Delta papa brawo, delta papa brawo, tu Rawa Sebastian, zirolan zirofri! - rzeził przez tubę zaciśniętej pięści, udalnie imitując zanikania i powroty radiowej fali. - Dostałem w wirnik! Tracę wysokość! Przekażcie mojej żonie, że...!

Struchlały inżynier zwilżył wargi wysuniętym językiem. Przez roztrzaskany kokpit widział już ziemię. Zbliżała się błyskawicznie.

- Jak się mam, purwa, ratować, Adaś?! - zapytał po raz trzeci.

I wtedy zapiał kur.

Nie. Jednak nie.

To jakieś bydlę nieczułe, z wygolonym łbem i tatuażem *Amor Patriae Nostra Lex* na pryszczatych plecach, parsknęło gdzieś z boku. Inżynier Rawa spąsował, a jego i tak niezbyt

krzepka podmiotowość wyróżnęła pyskiem o kant tego rehotu. Miał już dosyć tego całego basenu. Najchętniej wróciłby do domu i schował się pod kocem.

Nie. Jednak nie.

Najchętniej nakryłby się bezpiecznym płaszczem śmieci na którymś z podległych sobie wysypisk. Tam było jego miejsce, tam był jego prawdziwy dom.

Odwrócił się, by odejść.

I wówczas Adaś złapał go za ramię. Mocno, ale po kumpelsku. Jak wtedy, gdy byli jeszcze dziećmi i bali się ciemności, potworów z japońskich filmów i obwiesi z innych podwórek.

- Jest tylko jeden jedyny sposób, żeby się uratować - wyszeptał z tajemniczą miną, jakby zdradzał miejsce ukrycia Świętego Graala.

- Jaki? - zamrugął inżynier, przejęty do ostatnich głębi.

- Musisz coś wyruchać, chłopie - mrugnął do niego Adaś.

Sebastianem zatrzęsło. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- I to rajt ci powiem nał - dodał Adaś, klepiąc zaskoczonego towarzysza po plecach.

Inżynier Rawa odskoczył na pół kroku.

- Ilonie by się to nie spodobało! - wysyczał.

- Loda może?

Anielski głosik zaperlił się z boku tak niespodziewanie, że obaj przyjaciele aż podskoczyli.

Jak spod ziemi wyrosła tuż-tuż zmysłowa dziewczyna, młodziuteńka, dwudziestoletnia bądź odrobinę zaledwie starsza. Ubrana w strój żołnierki, a ściślej, powstańczej łączniczki lub sanitariuszki, jakże modny od kilku sezonów wśród Pokrajanek, choć nieco bardziej kusy niż te z czasów wojny, i z wydatniejszym dekoltem, dzierżyła dziarsko niewielką lodówkę przenośną, na której ścianie widniało logo Wszechmłodzieży Pokraju i napis: LIŻEMY, CO NASZE.

- Loda może? - powtórzyła i uśmiechnęła się do Sebastiana Rawy.

- Nie loda! Loda nie! - szarpnął się ów nerwowo. - *Apage, Satanas!*

Jego sprzeciw, tyleż gwałtowny, co histeryczny, miał w sobie nieprzyjemny, wręcz antypatriotyczny redukcjonizm. Jakby inżynier zamierzał uszczuplić czyste intencje dziewczyny, wekslując je w stronę leksykalnych wyuzdań bananowego lewactwa.

Właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych wyczuł to od razu, więc uprzedzając zmarswienie lica pięknej lodziareczki, przepchnął nierozgarniętego przyjaciela do tylnych rzędów i sam zajął jego miejsce.

- A ja liznę formalnie! - przekształcił miękisz ust w bisurmański wyszczerz, po czym wyciągnął z kąpielówek drobniaki i z uśmiechem playboya wręczył je sprzedawczyni. - Pani wybaczy, że z majtek, ale *pecunia non olei*.

Lodowa łączniczka uśmiechnęła się wdzięcznie.

- *Et cum spiritu tuo* - odpowiedziała, podając Adasiowi lody.

Jednak w następnej chwili błyskiem spoważniała i zaczęła się przesuwac nieco w bok, jakby koniecznie chciała się raz jeszcze przyjrzeć inżynierowi Rawie. Ale Adaś obracał się również, przez cały czas zasłaniając przyjaciela swoim rozłożystym ciałem.

- Pyszne zaiste! - zachwalał przy tym, choć nawet nie zdążył lodów rozpakować. - Z samych naszych produktów pokrajskich, nic obcego, prawdaż?

- Nic - potwierdziła dziewczyna.

- Ale to lód o czekolady smaku! - zakrzyknął Adaś, a potem przekrzywił głowę i wbił w lodziareczkę pełne wątpliwości oczy. - A my nie mamy wszak w ojczyźnie rodzimych kakał, nieprawdaż?

Dziewczyna ściągnęła czoło.

- Z San Vascobaru import najpodobnie...

Przez dłuższą chwilę dumala nad tym, mrugając zniewalająco długimi rzęsami, a potem się odwróciła i w owej pięknej zadumie odeszła.

Adaś pomachał jej na pożegnanie, po czym odetchnął ciężko i obciął inżyniera spojrzeniem niewolnym od irytacji.

- Wszechmłodziaków ty lepiej nie tykaj, Seba! - pomrukiwał, odpakowując loda. - Słyszałeś, jak Pierwszy Obywatel mówił, że są nową elitą i solą pokrajskiej ziemi? Zapewniam, przyjacielu, że nie chcesz mieć owej soli ni w oczach, ni w dupie!

Ale inżynier Rawa był ciągle tak poruszony poradą przyjaciela, że w ogóle nie dostrzegł, w jak wielkich opałach mógł się przed chwilą znaleźć.

- Ilonie by się to nie spodobało! - wycedził.

Żrenice posiadacza najpiękniejszego cadillaca w mieście rozszerzyły się mimo słońca, a jego język znieruchomiał na czubku lodów.

- Co? - wymamrotał Adaś.

- No, że mam rajt na kogoś wyr... - inżynier przerwał i rozejrzał się niepewnie. - No, ty dobrze wiesz, co! - dokończył.

Rozeźlony Adaś odgryzł pół loda jednym kłapnięciem.

- O, ciekawe, czy jej się spodoba, jak odwalisz kitę! Za młoda jest na wdowę! A i za stara zarazem! - miksował w ustach gorące słowa i zmrożoną masę.

- Ale...

- Nie aluj mi tu bez potrzeby, Seba! - zagotował się Adaś i wepchnął sobie do ust resztę lodów. - I potraktuj to wyzwanie medycznie stricte! Wszak wpierdalając piguły, nie skarżysz się, że gorzkie! Choć te akurat będą słodkie...!

- Nie, Adaś! - pokręcił głową inżynier Rawa. - Ja nie mogę!

- To twoje ostatnie słowo? - zamlaskał z pełnymi ustami Adaś.

- Nie! - krzyknął Sebastian, po czym dotarło do niego, że jak na człowieka nauk ścisłych jest zawstydzająco nieprecyzyjny.

- Znaczy tak! - poprawił się i również to nie było to. - Znaczy tak, że „nie"! - doszlifował leksykalną pedanterię, westchnął ciężko i zadumał się nad meandrycznością losu.

Owszem, doceniał szlachetne intencje swojego najlepszego przyjaciela, który po prostu chciał go ustrzec przed śmiercią. I je-

śli odrzucał pomysł ratowania własnego życia poprzez radosną kopulację pozamałżeńską, to nie z powodu jakichś religijnych fantazmatów, którym on (człowiek z umysłem ścisłym, a przeto dedykowany rozumowi) się zabobonnie nie kłaniał, ale wyłącznie dlatego, że nosił w sobie ogromne pokłady lojalności. Przecież się zobowiązał, że będzie ze swoją żoną na dobre i na złe. A że zła jest na świecie znacznie więcej niż dobra? Cóż, przecież to nie wina Ilony.

A potem - skoro nie było już nic więcej do dodania - obaj przyjaciele precyzyjnie się przez tłum na głębszy basen, który przywitał ich transparentem:

PROGRAM PIERWSZEGO OBYWATELA PROGRAMEM CAŁEGO NARODU!

I zażywali tam rozkoszy dnia, pływając się naprzemiennie w chłodzie wody i ukropie słońca, w krótkich drzemkach i dłuższych pogawędkach, a nade wszystko w obserwacjach człowieczego młyna, który kręcił się nieprzerwanie przed ich leżakami.

Adaś, co oczywiste, lustrował wyłącznie dziewczyny, inżynier Rawa przeciwnie. Jak każdy facet niepewny własnej męskości przyglądał się bacznie innym samcom, analizując punkt po punkcie wszystkie różnice, jakie tylko dostrzegł. I był naprawdę sobą zdumiony. Po pierwsze, że nie mając tych wszystkich mięśni, które innym mężczyznom wydawały się tak potrzebne, w ogóle się porusza. Po wtóre zaś - bo dotarło do niego, że jest jedynym człowiekiem w zespole basenów kąpielowych Cud nad Piśłą (i tu obserwacje rozciągały się również na żywioł kobiecy), który nie ma tatuażu.

I choć ze względu na obecność kilkorga niewytatuowanych dzieci spostrzeżenie to należy uznać za cokolwiek przesadzone, wszelako dotknęło ono czegoś istotnie prawdziwego: od pewnego czasu mieszkańcy Pokraju pasjami lubili się tatuować, a ich skomasowanie w neglizju i jednej przestrzeni - jak to miało miejsce teraz! - pozwalało na badania wszelkiego rodzaju: socjologiczne,

psychologiczne, historyczne, archeologiczne, a nawet, o ile potraktować kłębiący się w nadpiślańskich basenach tłum niczym nakładające się na siebie warstwy planety, geologiczne.

Były więc konterfekty z czasów liberalnej tyranii, zarówno te świadczące o braku głębszej świadomości, czyli kwiaty, koty, tancerki, baloniki, fraktale, króliczki, bohaterowie ulubionych komiksów, twarze narzeczonych, najczęściej już eks, elementy indiańskie, orientalne i romantyczne oraz napisy w rodzaju: *Remember Who You Are*, *Carpe Diem* czy *Pamiętaj Słowa Matki*, jak i dziary, w których sam Lucyfer, pan piekła i dzenderu, maczał swoje szponiaste palce, a więc zakapturzone mordy demonów i trupie czaszki, klepsydry piasek grzechu przesypujące i purwiszony diabelskie z ustami jak słoik dżemu, rozdziawione kruki i inne ptaszydła Złego, pająki, nietoperze i pozostałe ścierwo niessacze, czyli smoki, bestie, trolle, gobliny oraz cycate wampirzyce, nadto okultystyczne wzory, jakieś przeraźliwe oczy, pentagramy, egipskie piramidy, masońskie cyrkle, żydowskie lichtarze i wreszcie napisy germańskim gotykiem kreślone, jak *No future* czy *666*, nie wspominając o chińskich znakach, które już ni cholery nie wiadomo, co znaczą, również dla tego, kto pozwolił je sobie na skórze wygarbować.

I na tę zastygłą już skorupę wulkanicznego miału pokrajskiej tatuomanii z lat ancien régime u nadpisywała się teraz warstwa nowa, niosąca - jak całe czasy dumnej sanacji narodowej - zgoła innego ducha. Ucieleśniał się on w naskórnych rysunkach, co chwaliły dawnych bohaterów Pokraju, bez różnicy, zwycięskich czy przegranych. Zatem obok pancernych rycerzy, którzy z szumem skrzydeł rozbijali hordy antagonistów etnicznych i religijnych, były też. dzieci w zbyt dużych mundurach, na chwilę przed bohaterską śmiercią dumnie prezentujące wiązki granatów i karabiny maszynowe. Na szerokich klatkach piersiowych Pokrajaków i na krągłych udach Pokrajanek ożywiali też najdzielniejsi z dowódców i najszlachetniejsi z przewodników religijnych, a przy figlach w wodzie czy odbijaniu piłki plażowej furkotał również

Pokraj

pokrajski orzeł z koroną, rozrysowany na setkach pleców na setki sposobów.

Z murem, który niszczył.

Z kajdanami, które rozrywał.

Z mieczem wyszczerbionym o bramę wroga.

Ze sztandarem w barwy narodowe.

Z koroną cierniową i łzami.

Wykluwający się z rozpękłego serca.

Z Matką Boską Ostrogórką.

Z Matką Boską Slicheńską.

Z Matką Boską, co ma usta jak Angelina Jolie.

W konturach Pokraju.

W konturach Pokraju sprzed zdradzieckiej wojny.

W konturach Pokraju sprzed judaszowych rozbiorów.

Z napisem: *Semper fidelis*.

Z napisem: *Wielki Pokraj*.

Z napisem: *Wszystko pomścimy!*

- Patrz, jaka tam funia sunie! - odezwał się w końcu po trzech dobrych kwadransach Adaś Rembelski.

Inżynier Rawa zwrócił głowę w stronę wskazaną przez przyjaciela. Istotnie, brzegiem basenu szła prawdziwa piękność, kołysząc zmysłowo biodrami.

- Przyznaj się - mrugnął Adaś. - Chlapnąłbyś jej mintaja nawet bez dzień dobry, co?

Sebastian Rawa skrzywił się.

- Nie lubię, jak tak mówisz o kobietach, zwracasz się!

Adaś wyprostował się na leżaku.

- Gdyż?

- Gdyż to w końcu też jednostki ludzkie są!

- Kobiety?

- Tak, Adaś, kobiety! - ożywił się inżynier Rawa. - Kobiety to ludzie!

- Mam nadzieję, że ludzie! - Adaś Rembelski uśmiechnął się i ponownie zaległ w leżaku. - Bo jakby cię miał za tadzika tarnosić jakiś alien z kosmosu, to w końcu żadna wigilia, nie?

Inżynier Rawa westchnął ciężko.

- Ty nic z życia nie pojmujesz, Adaś...

- Pojmuję, Sebuś, i to lepiej, niż ci się wydaje! - przerwał mu Adaś. - I dostrzegam, że z tobą gorzej jest, niż myślałem.

Umilkli.

Inżynier Rawa uświadomił sobie, że nie widział ani jednego tatuażu, w którym pokrajski orzeł mógłby sobie po prostu postać w spokoju. Albo usiąść w gnieździe. Czy nasz orzeł bodaj ma jakieś gniazdo? Czy ma czas, by wychować młode, skoro od tysiąca lat musi nieustannie odpędzać naszych wrogów? I czy on w ogóle coś je? Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek ktokolwiek o tym pomyślał, żeby się o to zatroszczył - zauważył w duchu inżynier Rawa i w tej samej chwili przypomniał sobie o swoim drzewie. Gdyby pokrajski orzeł zechciał w nim uwić gniazdo, on by go karmił. A i drzewo z pewnością by ożyło. Bo żeby chcieć żyć, trzeba mieć najpierw cel.

Uznał, że muszą o tym porozmawiać przy następnym podlewaniu.

- Te, a tamta?! - krzyknął ponownie Adaś.

Sebastian Rawa obrócił się za palcem przyjaciela. Na zjeżdżalni chichotało platynowowłose bógwico w staniku tak obcisłym, jakby pożyczonym od komunijnej lalki.

Podeksytowany Adaś z wrażenia aż ściągnął okulary.

- Z tą to bym dopiero połączył naczynia, stary! Jakbym ją dorwał, to bym jej tak wypolerował grażynę moim dziarskim armandem, że... - przerwał i spojrzał przenikliwie na przyjaciela. - Ej, ej, co to za mina? Tylko mi nie mów, że nie chciałbyś takiej kosmicznej suni poczochnąć muflona?

- Chciałbym - wyszeptał cicho inżynier, ciągle myśląc o orle i drzewie.

- Pełnym zdaniem, Sebuś!

- Chciałbym tej kosmicznej suni poczochnąć muflona...

- I...?

- ...i wypolerować jej grażynę dziarskim armandem...

- Brawo, Seba! - roześmiał się Adaś, ale już po sekundzie zmarsowiał. - Ale ci nie wierzę! Tak nie brzmi zwycięzca, tak nie brzmi pretendent do tytułu, tak nie brzmi madafaka tudzież demon męskości!

Inżynier Rawa popatrzył na przyjaciela ze strutą miną.

- A kto tak brzmi?

Adaś uśmiechnął się krzywo.

- Cipa, Sebuś. Cipa i herbatnik.

Inżynier Rawa odwrócił głowę. Ludzie w basenie stracili kolor. Byli czarno-biali i śnieżyli.

- Nie po to ci w nadpiślańskim Cudzie towarzyszę, Adaś, abyś mnie tu obrażał - wyszeptał cicho.

- Ja cię nie obrażam, ja tobą wstrząsam! - krzyczał tymczasem Adaś. - Bo jak mężczyźnie nie chce się już pukać, to gorzej, niż załapać raka lub paraliż. Albo nóg odjęcie.

- Ale mi się chce, Adaś - mruczał sennie inżynier Rawa. - Strasznie mi się chce.

Obraz był coraz słabszy. I chwilami zanikał zupełnie. To nie ma sensu, tak się nie da, pomyślał, wyłączę telewizor i odrobuję lekcje, zanim mama wróci.

- Tobie się tylko wydaje, że ci się chce, ale ci się nie chce! - dobiegał go z najdalszych kątów kosmosu głos Adasia. - A jak ci się nie chce, to jest pierwszy krok do śmierci. Chcesz umrzeć, Sebuś? Chcesz dać kitę, gryźć piach i nosić dziny z mchu i paproci?

Spać. Położyć się do łóżka i już się nie obudzić.

- Nie, Adaś - skłamał głosem jak drewno. - Nie chcę.

Przestało nawet śnieżyć. Obraz był czernią. Jeszcze tylko wyłączyć dźwięk.

- Jedynie bzykanie ma w życiu sens! - syntezytor mowy typu Adaś wtłaczał mu do mózgu nieproszony przekaz. - Zapamiętaj, Seba! Reszta to dno i wodorosty!

- Nie wszyscy tak myślą, Adaś...

Gdzie jest wyłącznik dźwięku?

- Regulamin obowiązuje także tych, którzy nie znają regulaminu! - ekscytował się przesadnie głos najlepszego przyjaciela

inżyniera Rawy. - A w życiu zasady są proste, Seba! Nie masz jedzenia, umierasz z głodu! Nie masz tlenu, dusisz się! Nie ruchasz, umierasz z głodu i dusisz się jednocześnie! Ty, zobacz, jaka tam bicz sunie, ja pierdziu...!

Sebastian bezwiednie powiódł wzrokiem w stronę wskazaną przez Adasia i ze zdumieniem skonstatował, że obraz nie tylko mu się włączył, ale wręcz wyostrzył.

Brzegiem basenu szła kolejna piękna dziewczyna. Bikini ze znakiem Pokraju Walczącego oblekało znikomością jej nienaganą figurę o barwie krew z mlekiem.

- Albo tamta obok, jeszcze lepsza, co za labadziara, patrz...!
Inżynier Rawa znowu obrócił głowę. I było jeszcze ostrzej.

Niestety, im więcej atrakcyjnych kobiet dostrzegał inżynier Rawa - a zwłaszcza im bardziej miało to charakter detaliczny, by nie powiedzieć: teleskopowy! - w tym większe popadał przygnębienie. Bo wiedział, że Adaś ma rację.

W relacjach ze światem kobiet życie Sebastiana Rawy wydawało się całkowicie skończone, co było tym przykrzejsze, że nawet się jeszcze nie zaczęło.

Nic więc dziwnego, że inżynier czuł się na pływalni ośrodka rekreacyjno-sportowego Cud nad Pislą niczym wegetarianin w dziale mięsnym, paralityk na konkursie salsy i heteroseksualista wśród damskich fryzjerów. Samotnie, obco, źle.

Jak pies, pomyślał.

Jak bezpieczny pies, pomyślał po chwili.

Jak bezpieczny, potrącony przez rozpędzoną ciężarówkę historii pies...

- Co za bicz cielęca, weź weryfikuj!

Wyrwany z zamyślenia inżynier uświadomił sobie, że jego przyjaciel ani na moment nie przestał się samczo entuzjasmować.

- Tej to byś dopiero obtaśtał mortadelę, nie? - trząsał się Adaś w swawolnym zacieszu, stukając go w ramię.

Wyglądał przy tym jak pięcioletni złodziej przyłapany w sklepie ze słodkościami. Twarz umazana czekoladą, błyszczące

oczy i całkowita nieumiejętność rozpoznania między czynem stosownym a nagannym. Wściekać się na takiego byłoby bezzasadne.

Inżynier Rawa pogroził przyjacielowi palcem, choć w wyobraźni jedynie, bo nie chciał sprawiać mu przykrości, i podjął grę.

- Nie wiem, czyby chciała - uśmiechnął się.

Zdziwiony Adaś łypnął na Sebastiana przyciężkawo.

- Czemuż chciałyby nie chcieć?

- Ładna jakaś taka - mruknął inżynier i wzruszył bezradnie ramionami. - Za ładna.

- Nie karz jej za to, okrutny! - roześmiał się Adaś.

Ale Sebastianowi Rawie zupełnie nie było do śmiechu. W jednej chwili wszystkie niepowodzenia z płcią przeciwną wyświetliły mu się jak w przyspieszonym filmie i to z pewnością nie było kino wielkiej przygody. Nawet w awangardowej etiudzie studenta szkoły filmowej działało się więcej.

- Przecież wiesz, że ładne ze mną nigdy nie konweniowały - stęknął.

Adaś machnął ręką, jakby odpędzał namolnego owada lub problem o podobnym gabarycie. Pochylił się, pokazał inżynierowi, by patrzył na jego mięsiste usta i powiedział hiper wyraźnie, jak do głuchego albo obcokrajowca.

- Bo reżyserem nie byłeś filmowym!

Inżynier Rawa potężnie się zmieszał, bo przecież właśnie w tej samej sekundzie wyświetlał sobie w głowie najnudniejszy film świata ze sobą w roli głównej.

- Nie byłem, to prawda! - przytaknął głośno i zmusił mózg, by wygumkował obrazy, zanim jego najlepszy przyjaciel zdoła je odtworzyć nieprzyjemnym rentgenikiem wścibstwa, który posiadał już w dzieciństwie.

- A ja jestem - pochwalił się Adaś.

Inżynier Rawa miał wrażenie, że się przesłyszał. Czy Adaś Rembelski, człowiek z którym znał się od zawsze, jeszcze od leżakowania i plucia budyniem w przedszkolu Pionierów Joliborskich, i którego życie znał równie dobrze jak alfabet, czyli: a) że

zrobił raz na boisku kupę w majtki, bo mu starsi koledzy nie pozwalali zejść z bramki; b) że jego ojciec pracował jako magazynier i wszystko przepijał, a jak był pijany, to śpiewał sprośne piosenki; c) że nie zdał matury i dwa lata później ją sobie kupił za pieniądze, które zarobił w Niemczech; d) że się ożenił, bo mu Karina powiedziała, że jest w ciąży, a potem się okazało, że tylko tak utyla; e) że pojechał do Ameryki i pracował tam jak wół, a kiedy wrócił, założył wypożyczalnię limuzyn ślubnych; f) że nie jest szczęśliwy z Kariną, ale kto - na Boga! - wytrzymałby z taką żoną, co jest jeszcze okropniejsza od jego Ilony, a przecież Ilona ma w byciu żoną czarny pas; g) że jest poza tym najlepszym, najłojalniejszym i najprzystojniejszym człowiekiem na całej Ziemi, który go nigdy w niczym nie okłamał, i dalej mógłby tak inżynier wymieniać aż do samego końca alfabetu, łącznie z ą, ę, ń i ź, czy tenże Adaś Rembelski, o którym nikt na świecie nie wie więcej od niego, powiedział mu właśnie, że jest reżyserem filmowym?

Że kim?

Czy ja pana aby opacznie nie zrozumiałem, panie Adaś?

Purwa pańska mać?!

Wszystkie te osobliwe myśli, łącznie z ostatnią inwektywą, wykręciły Sebastianowi Rawie w mózgu nagłą pętlę z półobrotom, a potem wpadły w furiacki korkociąg na pozakrytycznych kątach natarcia, powodując całkowitą niemalże utratę sterowności. Umysł inżyniera zawył i począł ostro pikować, a z lotu nurkowego wyszedł naprawdę w ostatniej chwili, kiedy pilot - ciągle na granicy bezświadomości! - wiedziony instynktem przetrwania, zwiększył przyrost ciągu, wypowiadając jedno ciche:

- Gdzie?

- Co gdzie? - powtórzył Adaś, mocno zdumiony.

- No gdzie jesteś tym reżyserem, Adaś? - doprecyzował Sebastian Rawa, potężnie zdziwiony, ile spokoju i kociej samokontroli słyszy we własnym głosie.

- W cyberpochwie!

- Gdzie? - powoli pytanie inżynier, uznając, że to jest właśnie jeden z tych dni, kiedy nawet najlepszym przyjaciołom ciężko się porozumieć.

Adaś rozłożył bezradnie wielkie dłonie.

- W internecie, freszczu!

Aha, jęknął w duchu Sebastian Rawa, znowu internet! Co ci ludzie w nim widzą? Używał komputera, owszem, ale tylko w pracy. I to z nieukrywaną niechęcią. Bo i po co? Wszystkie cywilizacje radziły sobie ze śmieciami bez komputerów, a nasza je ma i nijak sobie z utylizacją nie radzi!

- Nie cenię komputerów, Adaś - oznajmił inżynier ze stanowczością, z jaką niezwykle rzadko cokolwiek oznajmiał. - Szkodzą planecie i człowiekowi.

Jego najlepszy przyjaciel wybałuszył oczy, a potem złapał się za głowę.

- Chyba cię źrebi! Tkwisz w nieświadomości jak chłoporobotnik w uprzednim stuleciu! - jęknął i silnym ruchem przyciągnął leżak inżyniera Rawy ku sobie. - Internet to największe odkrycie ludzkości od cycków wynalezienia! Dzięki niemu, Seba, jesteś właśnie reżyserem filmowym o potężnym, nie lękam się tego powiedzieć, dorobku.

Najpierw on reżyser, teraz ja. Z tej jałowizny małżeńskiej całkiem już postradał rozum biedny mój Adaś - zasępił się inżynier Rawa i odpowiedział powoli, bez żadnych gwałtowności akustycznych:

- Nie jestem, Adaś, żadnym reżyserem, albowiem pracuję w stołecznym oficjum utylizacji śmieci jako specjalista główny.

Adasiem aż zatrzęsło.

- Wiem, lamusie! Tylko że średniowiecze już się, purwa, skończyło, więc nie licz na to, że zaimponujesz dziś lachonowi stałym dostępem do śmietnika!

To była, niestety, racja. Więc nawet jeśli mój najlepszy przyjaciel najadł się blekotu - analizował rzeczywistość inżynier Rawa - i zbałwaniał na punkcie reżyserii filmowej, to i tak należy go wysłuchać, albowiem gdyż nie we wszystkim się mylił.

Pokraj

- Zatem co, Adaś? - wystękał głosem ziemistym i pozbawionym sił witalnych. - Co?

Adaś po raz kolejny szarpnął leżakiem inżyniera.

- No jak to co, karczochu?! Dobra zmiana! Która w twoim przypadku wygląda tak...

I zaczął opowiadać, a jego tubalny bas unosił się nad zespołem odkrytych basenów kąpielowych Cud nad Piśłą jak balon, coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zawisł nad pokrajską ziemią, gdzie na błoniu błyszczy kwiecie czerwiejsze od malin i gdzie wstęgi szos oraz miedze pól malowanych zbożem rozmaitem, połączonych pszenicą, posrebrzanych żytem, i gdzie rów, w którym płynie mętna rzeka, a dopóki płynie, Pokraj nie zaginie, gdzie wsi spokojna, wsi wesola, w niej studnia z żurawiem, gołębnik przy stronie, za gumnem w kwiecie bielą się jabłonie, i gdzie dziecię z Bogiem gwarzy, a grudka ziemi w ręku świeci nawet po ciemku.

A potem zaczął się ów donośny Adasiowy bas kolebać nad jeszcze innymi miejscami, gdzie echa głuszą, a owce wełną się puszą, i gdzie rozkwitają pąki białych róż, gdzie biją w tarabany i trza być w butach na weselu, gdzie poloneza czas zacząć, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie, gdzie jeszcze męzne nie wygasło plemię, a na lamusie klekocą bociany, gdzie żywi, nie tracąc nadziei, przed narodem niosą oświaty kaganiec, gdzie siądź pod mym liściem, a odpocznij sobie, i gdzie daj, ac ja pobruszę, a ty poczywaj, gdzie jasny świt się roztoczy, a wiatr owieje nam oczy, gdzie flaga jak ballada Szopenowska, co ją tkąła sama Matka Boska, gdzie nigdy przed mocą nie ugniemy szyi, gdzie na tygrysy mamy visy, gdzie nie polezie orzeł w gówna, gdzie krwi nie odmówi nikt, gdzie kto szablę mógł utrzymać, ten formował legion, wojsko, gdzie sobie śpiewam a muzom, gdzie byli sobie dziad i baba, bardzo starzy oboje, gdzie która więcej malin zbierze, tę za żonę pan wybierze, gdzie wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły, gdzie kury wrzeszczą, świnię kwiczą, na ołtarzu jajca liczą, gdzie nie wiesz, czy popiół zostanie i zamęt, czy może na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament.

I unosił się głos właściciela wypożyczalni zabytkowych aut ślubnych nad tą pokrajską krainą, która się w sercu zaczyna, nad tą pokrajską krainą zdobytą krwią i blizną, nad tą pokrajską krainą, co jest wielkim zbiorowym obowiązkiem, Chrystusem narodów, Winkelriedem narodów, pawiem narodów, papugą narodów, nad krainą, której okrwawione stopy włosami ocierać należy, w której wszystko przez ducha i dla ducha stworzone, a nie dla cielesnego celu nie istnieje, w której ja i ojczyzna to jedno, w której ręce myć, głębę myć, suknię prać, nie będzie znać, w której jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie, w której na koniku wronym jedzie panicz młody, a w gaju zielonym dziewczę rwie jagody, w której słońce z cieniem gra w berka, a pan kominiarz z dachu zerka, w której kto mnie wołał, czego chciał, w której ja z synowcem na czele i jakoś to będzie, w której wyście sobie, a my sobie, w której ksiądz pana wini, pan księdza, a bodaj ci nóżka spuchła, w której piję, bo ja muszę, jeno odmień czas kaleki, przyjdzie walec i wyrówna, bywaj dziewczę zdrowe, spisane będą czyny, ideał sięgnął bruku, słowa, słowa, słowa, słowa...

I w której ostał się ino sznur.

A kiedy wreszcie głos Adasia Rembelskiego - jak to z balonami bywa! - opadł ponownie na ziemię, inżynier Rawa miał już na nogach pletwy, nerwowo miętosił maskę, bezwiednie zaciskając i rozluźniając jej gumowy pasek, a przede wszystkim zdumiewał się swoją nową konstytucją.

- A więc jestem reżyserem filmowym...

- No raczej! - potwierdził Adaś i zziąjany, jakby przed chwilą przybiegł z Maratonu do Aten, otarł pot z czoła.

- A jestem nim, gdyż? - dociekał Sebastian Rawa, albowiem nie wszystko w genialnym planie przyjaciela było jeszcze dla niego jasne.

Z irytacji Adaś zamlaskał, a jego kauczukowa twarz rozciągnęła się w grymasie zniecierpliwienia.

- Gdyż każda kobieta na świecie ciut-ciut ładniejsza od kapusty z grochem marzy, aby zostać aktorką! *Dec de pojnt!* - doprecyzował, unosząc palec niczym nauczyciel.

Inżynier Rawa przygryzł wargi, jak zawsze, gdy w zalewie danych zmuszony był odsiać ziarno od plew. Pokręcił przy tym bezwiednie głową, w tę i z powrotem, i ze zdumieniem dostrzegł, iż zewsząd otacza go rozchichrany i rozgokolony tłum pięknych kobiet. I że każda z nich - o ile, rzecz jasna, wierzyć Adasiowi - pragnie, by...

- Od dawna jesteś reżyserem? - wystękał Sebastian, zakładając sobie na czoło maskę.

- Od wielu orgazmów, Seba - mrugnął Adaś. - Czego i tobie życzę.

Wizja spełniających się życzeń przyjaciela uderzyła inżyniera wewnętrzną falą gorąca. Poczul, jak nagły pąs zagarnia mu szyję, zmierza do uszu, i przestraszył się, by kolejna fala, z tą różnicą, że o przeciwnym wektorze, nie wyruszyła z nagłą w stronę dolnych flaczków. Przy moich obcisłych slipach byłby to naprawdę niepotrzebny ambaras, pomyślał i w okamgnieniu postanowił zanegować samego siebie. Wszak - co wie każdy samiec, którego przestano już karmić piersią! - nic lepiej nie ujarzmia męskiej fizjologii niż samopogarda.

- Ale na filmach czy ja się znam aby?! - wbił sobie oskarżycielki palec w zapadłą klatkę piersiową. - Nie otóż!

Adaś machnął lekceważąco ręką.

- A po co? One też nie przecież! Grunt, że masz reżyserskie cierpienie wypisane na twarzy jak Jędrzej Hayda, Krzysztof Indesynt czy Salomon Ancymonowicz. Bo ja, niestety, ryja mam tak obśrumpanego, że żadna nie uwierzy - zasępił się.

Po raz enty już tego dnia Sebastian Rawa poczul w umyśle stajnię Augiasza.

- Przecież, że jesteś reżyserem, mówiłeś! - wrzasnął, robiąc wielkie oczy.

- Ale od castingu! - rozeźlił się Adaś. - A ty możesz odpierdalać pierwszego! Czyli defakto boga!

Czy ta cholerna pływalnia nazywa się wieża Babel? Bo najwyraźniej ktoś nam pomieszał języki, pomyślał zdruzgotany inżynier i całkiem już skołowaciały zakrzyknął:

- Kto to jest reżyser od castingu?

- Taki lopez co przy obsadzie pomaga! - zakipiał Adaś, zdumiony, że aż do tego stopnia można nie pojmować spraw zaiste elementarnych. - Z moją urodą to maks, ale też działa, więc nie biadolę! Kupiłem se kamerkę w Saturnie, przez fejsa ściągam lachony z całego kraju, od kumpla klucze biorę, trochę odkurzę, kawka-srawka, powiedz coś o sobie, o, pięknie, zagraj strach, o, pięknie, zagraj żar zmysłów, o, jeszcze piękniej, nie za gorąco ci w rajstopach, o, jak purwa pięknie, mam kumpla w teatrze, chcą zastąpić Faustynę Żandę, przestała się sprawdzać, łoś, co za śliczne piersi, dużo za nie dałaś, mam kumpla w Poksacie Cyfrowym, szukają nowej Rzeżuchowskiej, uwolnisz mi orkę, skarbie... - przerwał, dostrzegłszy zdumione spojrzenie głównego specjalisty od utylizacji śmieci, a potem rozłożył ręce, jakby chciał objąć cały świat, i zakończył: - No i tak to właśnie działa, stary!

Inżynier Rawa przełknął ślinę.

- Nie wierzę - mruknął cicho i popadł w zadumę.

- Nie czas na ateizm, Seba! - zahuczał Adaś. - Dwa oddechy ci do czterdziestki zostały, my tu o życie gramy, przypominam! Ty płaczesz? - zatopił w inżynierze zaniepokojone spojrzenie.

- Nie skąd! - zaoponował gwałtownie Sebastian Rawa, ocierając dłonią łzę, która pojawiła się zgoła nieproszona. - To chlor! Zawiało mi chlorem od basenu, zakropiło zniecka! Stężenie nieprzyjazne najwyraźniej. No nie patrz tak, od nawietrznej siedzimy, tobie nie zakropiło?

- Nie - zaprzeczył fałszywy reżyser od castingów, nie przestając patrzeć na przyjaciela podejrziwie.

- To szczęście masz, Adaś - rzucił krótko Sebastian Rawa i naciągnął maskę z czoła na twarz niczym przyłbicę. Wstał.

- A ty co? - zdumiał się Adaś.

- A, naszło mnie na sprincik zabą - wysepleniał inżynier, bo mówienie w masce okazało się trudniejsze niż zakładał.

Przecież mówię tłumaczę coś, pomyślał zirytowany Adaś.

- Przecież mówię tłumaczę coś! - powiedział.

- Okąpię się, dokończysz! - zamaszycie zakręcił ręką Sebastian Rawa, starając się nadać młynkowi maksymalnie nonszalancki charakter.

Jednocześnie, klapiąc głośno płetwami, ruszył sztywno w stronę basenu. Na brzegu obrócił się, by krzyknąć: „Niech dupy patrzą i podziwiają!” - ale nie zdążył, bo wcześniej poślizgnął się haniebnie i runął jak kłoda do wody.

A potem długo nie wypływał.

Ale nie dlatego, że się utopił, nie.

Po prostu wiedział, że kiedy wychyli w końcu głowę, kobiety - te cholerne istoty, przez które życie bywało tak cierniste! - znów będą łytać na niego pobłażliwie.

Trzy godziny później obaj przyjaciele siedzieli już w kantorku firmy „Adam Rembelski - limuzyny ślubne wynajem”, a jej właściciel, postukując palcem w ekran komputera, grzmiał:

- Czas najwyższy odgruzować piwnicę twojej niewiedzy, Seba! Co instagram, co tinder, a co fejsbuk, fachowo zwany fejssem, cię nauczyć! A w pierwszym rzędzie ci profil zrobić wszędzie!

Inżynier Rawa skrzywił się w mig i jął machać beładnie rękami, jak to czynią w filmach o plagach i pandemiach bohaterowie śmiertelnie zainfekowani, lecz o dobrych sercach. Tacy, co błagają, by się do nich pod żadnym pozorem nie zbliżać.

- Z profilu, Adaś, to ja niekorzystnie! - skarżył się przy tym inżynier Rawa. - Nos mi się podobnie uolbrzymia, a teść mój podkreśla, że i oczy po bokach mam jakoś tak... - zamilkł zawstydzony. - Więc może ałas?

Sto tysięcy przekleństw przemknęło przez głowę Adasia, szczęśliwie zdołał je pochwycić i upakować, nim wyrwały się na powierzchnię zdarzeń.

- Co? - zapytał spokojny jak zimnokrwisty gad.

- Ałas bym preferował - powtórzył równie spokojny inżynier i dotknął tej części twarzy, którą wolałby ujawnić światu, skoro już którąś, jak się okazało, ujawnić musi.

Adaś westchnął ciężko.

- Ogarnij dauna, co? Profil nie w sensie kierunku twarzoczaszki względem obiektywu, tylko lep wirtualny taki internetowy, miodem wdzięcznej nieprawdy wysmarowany.

Sebastian Rawa uraczył przyjaciela wzrokiem zahipnotyzowanego dziecka.

- Rozumieć cię przestałem obecnie, Adaś...

- Nawet nie zaczęłeś gdyż! - tupnął nogą właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych. - Skup się!

Inżynier Rawa kiwnął głową, że się już skupia. Adaś pochylił się nad nim.

- Tłumaczę łansmor - zaczął powoli i z namaszczeniem, jakby puszczał bańki z drukowanymi literami w środku. - Samice gatunku naszego łykną każdy bajer, byleby opakowany w świecące coś. Jasne?

- Coś. Aha - przytaknął inżynier Rawa i uśmiechnął się, że to skupianie całkiem łatwo mu idzie, ale wnet się zasępił.

- A co?

Adasiem zatrzęsło.

- Byle co! - ryknął. - Wklepiesz w internecie jako swoich parę gibkich cytatów z Coehlo Pedro... - zawahał się. - Czy Paulo, jeden chuj...!

- A ów kimże? - dociekał posiadacz ścisłego umysłu.

- Pisarzem waginy nawilżającym o światowym zasięgu!

- A jak poznają, że to nie moje refleksje i aforyzmy?

- A gdzie? - zatrzęsł się Adaś. - Ty nie czytasz, one tym bardziej! W razie czego możesz odpisać z tuziemskiego zamiennika. Bo tych naszych grafomanów pokrajskich, tych gryzimyszków, płątosłowów i zanudzaczy to już nikt nie czyta forsiur!

Inżynier Rawa przechylił głowę i wlepił w przyjaciela wzrok, w którym atencja biła się o palmę pierwszeństwa z podziwem.

- Bez świadomości żyłem, że na literaturze się znasz, Adaś!

Właściciel wypożyczalni ślubnych aut zbył ów komplement gestem odpędzania muchy.

- Na dupach się znam, Sebuś, jak je optymalnie wyharaba-
ścić!

- Jak?

- Toż ci mówię, gamoniu, że przez wrażliwość własną! -
irytacja zakolebała Adasiem po raz kolejny. - Znaczą cudzą, ale
jako własną podaną!

- I to wystarczy? - podrapał się w głowę Sebastian Rawa.

- Prawie! - huknął Adaś. - Dobrze mieć przy tym murzyń-
ską kolbę!

Inżynier skulił się w sobie.

- Ja nie mam...

- Nikt nie ma! - zarechotał rubasznie Adaś. - Wszak my nie
od afrykańskiego pranegra i jego mitochondrialnej Lucyny się w
ojczyźnie naszej wywodzimy, ale jak głosi psalm nasz narodowy,
kanconą popularną będący: hen od Piasta, Graka, Lecha!

Pochylił się i mrugnął znacząco.

- Dlatego właśnie jesteśmy reżyserami! - zarechotał po raz
wtóry, kładąc Sebastianowi Rawie dłoń na ramieniu.

Było w tej dłoni tyle przyjacielskiego ciepła, że inżynier
poczuł chęć, by się do niej od razu przytulić, i z trudem się po-
wstrzymał, by tego nie zrobić.

- Bo reżyserzy mają murzyńskie kolby? - zapytał głosem
ufnego dziecka.

Adaś cofnął rękę.

- Nie mają! - rzekł ostro. - Ale nie muszą. Dziś laski są tak
wyculone na kamerę, że powinno się je wozić w bagażniku jako
antyradar! I przyczołgają się do każdego filmu, nawet jak go na-
kręcisz komorą!

- Ale ja nie mam komory - zaznaczył inżynier Rawa.

- Wiem, Seba! - wrzasnął Adaś, cofając ręce za siebie, bo
poczuł, że jeszcze chwila, a złapie przyjaciela za szyję i zacznie
dusić. - I z tym też musimy zrobić klar!

- Wolałbym nie! - zaproponował główny specjalista od utyli-
zacji odpadów komunalnych. - Albowiem komory są rakotwórcze
gdyż!

- Żal.pl! - zaryczał jak ranny żubr doprowadzony do ostateczności Adaś. - Czemu ja się przyjaźnię z sierpem?!

I nie mogą już zdzierzyć tej wielogodzinnej męki z idiotą, który był jego przyjacielem od chwili, kiedy jako trzylatkowie obaj mieli obok siebie szafeczki w przedszkolu Pionierów Joliborskich, on z grzybkiem, a inżynier z sarenką, trzasnął w półkę nad biurkiem tak mocno, że stojące na niej modele amerykańskich aut z czasów wyścigu zbrojeń i wolnej miłości, pospadały jeden po drugim tuż obok klawiatury.

Przez głowę inżyniera Rawy przegalopowały bezdźwięcznie miriady przerażeń, a w całym kantorku zrobiło się cicho jak makiem zasiał. I bezdźwięk ów gęstniał z każdą sekundą, aż nie dało się niemalże oddychać w tej zupie.

Wówczas Adaś chrząknął, odkaszlnął, przetarł gąbczaste oblicze i zdmuchując z samochodzików kurz, zaczął je ponownie ustawiać na półce.

- Sebuś, przyjacielu mój jedyny - odezwał się po chwili, bardzo już spokojnie i z troską tak silną, że inżynier Rawa się zawstydził, iż na moment w nią zwątpił. - Zrób, o co proszę, i załóż ten jebany profil, a zobaczysz, że już wkrótce Bóg zaśpiewa ci przebój...

Przygoda trzecia, czyli Saperski Przysmak

Wielki dzień Sierocińca Narodowego. Podskarbnik Narcyz Barszcz przedstawia siostrę Irenę. Jeden orzeł - wszystkie piórka!". Eligiusz Krumpolc czuje się obrażony. Anna Glass - najjaśniejsza gwiazda na firmamencie pokrajskiego kina. Tysiąc podpisów dla haitańskich rodaków. Bękart ministra policji podsłuchuje

Na widowni panowała ciemność niemal idealna. Na scenie podobnie, jedynie dwie sylwetki z uniesionymi rękami majaczyły w dyskretnie kontrowym świetle. Kobieta i mężczyzna.

Trąby dęły w dur, czuło się wzniosłość chwili, czerpiącą ze szlachetnych dźwięków i doskonałości ducha, który unosił się nad salą. A kiedy fanfary w końcu ucichły, rozświetlił się wielki ekran:

FUNDACJA DOMU ORLĄT SIEROCINIEC NARODOWY

A wraz z neonem pojawiły się oklaski.

Mężczyzna na scenie opuścił ręce i wsunął się w wąski snop światła. Poczucie misji dziejowej, którym błyszczały mu bystre oczy, uszlachetniało sperloną potem twarz. Oklaski wciąż nie cichły, więc zgasił je jednym gestem i już w sekundę później jego głos rozniósł się po perfekcyjnie skalibrowanej akustycznie sali:

- Przewielebni księża biskupi i arcybiskupi, wszyscy duchowi nasi przewodnicy, wszystkie władze według godności i urzędów, panie marszałku, reprezentujący tu dziś Pierwszego Obywatela, oraz panowie oficerowie, z upoważnienia Jego Ekscelencji ministra wojny Sowietana Maczegewarowicza tu będący, czcigodni generałowie armii świeckich i bożych, nobliwi posłowie, senatorowie, rajcy i komisarze, szlachetni rokoszanie i konfederaci, znakomici myśliwi i strażnicy ojczystych lasów, wszyscy zasłużeni donatorzy oraz prześwietni przedstawiciele Konfra-

trów Wielkiego Pokraju, nazywam się Narcyz Barszcz, jestem podskarbnikiem regionalnym, reprezentuję Fundację Domu Orląt i kłaniam się wam nisko!

I mówca rzeczywiście się uklonił, na co sala odpowiedziała brawami już znacznie krótszymi. Narcyz Barszcz podziękował za nie ruchem głowy i poprawił mikrofon, przyklejony taśmą do coraz silniej spotniałego policzka, kontynuował powitanie:

- To zaszczyt gościć was dziś w skromnych progach Sierocińca Narodowego, będącego, jak wszyscy doskonale wiemy, kuźnią kadr dla nowych elit naszego ukochanego państwa! Jako że nie ma w tym przesady najmniejszej, iż jest obecnie nasz Dom Orląt placówką, w której patriotyzm wykuwa się w czystym złocie! A złotem tym, jak wiadomo, najmłodsze Pokraju są pokolenia!

Tu Narcyz Barszcz przerwał, a publiczność natychmiast nagrodziła go burzą braw. Podskarbnik regionalny pochylił głowę i wytarł spocone czoło, pozwalając, by oklaski wybrzmiały do końca. A potem zgarnął je szybkim ruchem, jak iluzjonista, co dematerializuje w cylindrze królika albo gołębia.

- Tyle dziś atrakcji przed nami, że zatem nie przedłużajmy! Przed wami przełożona generalna Domu Orląt Sierocińca Narodowego i pomysłodawczyni akcji charytatywnej „Rodakowi Rodak”, czcigodna siostra Irena! - dokończył i wskazał ręką czerń po swojej lewej stronie.

Pach!

Pach!

Pach!

Trzy snopy światła skumulowały się w jednym miejscu, ukazując postać zakonniczki o ostrych rysach i głosie, jak się wnet okazało, kłującym niczym oset.

- Sen miałam! Dziwny, a piękny zarazem! Unosiłam się nad ziemią! Nie sama! - modulacja siostry Ireny przypominała dźwięk syreny alarmowej o zmiennej częstotliwości. - Wraz ze mną wisielei w powietrzu wszyscy rodacy! I trzymali się za ręce! A pod nimi... czyli pod nami, bo przecież wisiałam i ja, a wszak jestem

Pokrajanką z dziada pradziada... przeciągały się bezpiecznie w ciepłych promieniach słońca miasta i wioski, zieleniły się gęste lasy, rzeki radowały oko błękitem, chlebobajne pola złotem, a srebrem wieżycy kościołów naszych strzeliste!

Słowa mniszki cięły rytmicznie przestrzeń jak kańczug ciało pokutnika. Był w nich żar, co nie pozwalał wysiedzieć nieruchomo, na powrót zatem eksplodowały oklaski, lecz ascetyczna mniszka abortowała je w zarodku jednym obrotem długopalcej dłoni i rozkrzyczała się jeszcze głośniej:

- I dotarło do mnie, że śnię oto prawdę o kraju naszym i narodzie, który tylko wówczas wolnym jest i niezwykniętym, gdy nie w ziemi ryje, lecz nad ziemią się unosi, jej dogląda i strzeże! Bo pokrajskość to orzeł biały, co jeno w locie wolności zaznaje...!

Zakonnica opuściła rękę jak doświadczony dyrygent i aplauz wybrzmiał z jeszcze większą siłą niż poprzednio. Widzowie z pierwszych rzędów zerwali się z foteli, ktoś wydał kilka głośnych okrzyków, niezrozumiałych w tłumie niestety, gdzieś niedzie rozległy się nawet gwizdy aprobaty, natychmiast jednak ścichły pod karcącym spojrzeniem rosnących mężczyzn w butach z cholewami i ciemnoszarych koszulach z opaskami Sierocińca Narodowego, którzy najwyraźniej niechętnie przyjmowali hipisowskie formy okazywania entuzjazmu.

Byli to dorośli już absolwenci tej najbardziej renomowanej w Pokraju placówki edukacyjnej, choć nie można wykluczyć, że wymieszani również z ojcami obecnych uczniów. Dom Orłąt miał bowiem prestiż tak potężny, iż ojcowie synów, którym udało się dostać do szkoły, również z dumą nosili jej stroje. Wszak nie było lepszego świadectwa przynależności do nowych elit i bez najmniejszej przesady powiadało się, że bateldresy najślynniejszego sierocińca w kraju stały się tym samym, co zegarek z tourbillonem czy karta klubu golfowego dla establiszmentu z czasów reżimu liberałów.

I tylko jeden człowiek - na samym środku widowni - nie wstał i nie klaskał.

Siedział na przenośnym podwyższeniu, które pozwalało mu - o ile wszyscy również siedzieli! - obserwować scenę bez despektu. Teraz jednak widział wyłącznie plecy w kolorze feldgrau i był z tego powodu okrutnie niezadowolony. Wszak nie po to się tu zjawił, by podziwiać obrzydliwie podskakujące tyłki w czarnych, skrojonych na wojskową modłę spodniach. Co prawda sceniczne atrakcje również go nie interesowały, ale skoro już musiał się na tej żalösnej gali pokazać - przede wszystkim po to, by uścić czujność siostry Ireny i jej wasalnego posła - to oczekiwał przynajmniej odrobiny szacunku.

Wydawało się mu więc całkiem oczywiste, że zostanie usadzony na honorowym miejscu w pierwszym rzędzie. I wcale nie dlatego, że natura obeszła się z nim po macoszemu, wtrącając potężnego ducha i jeszcze potężniejszy charakter w ciało o lilipucim gabarycie. Owszem, już choćby zwykła uprzejmość nakazywała sadzać takich jak on z przodu, skoro jednak nigdy wcześniej nie oczekiwał od ludzi politowania, tym bardziej teraz nie wypatrywał wielkoduszności od jędzowatej mniszki i jej finansowego kaprała.

Ale honorowe miejsce na tej zasranej imprezie należy mi się jak psu buda! - kipiała w nim z trudem powstrzymywana wściekłość.

Ze względu na rolę, jaką od lat pełnię w państwie!

Ja, Eligiusz Krumpolc, założyciel i krajlider Konfratrów Wielkiego Pokraju!

I to była prawda. Zaufania, jakim Pierwszy Obywatel go obdarzał, nie dało się przełożyć na żadne oficjalne zaszczyty czy urzędy. Miał z roku na rok coraz większe wpływy, a od czasu, gdy stugębna plotka rozniosła po kraju, że jest z Pierwszym Obywatel nieodległe spokrewniony, także realną władzę. I choć nikt tego ani razu oficjalnie nie potwierdził, nikt też - co okazało się znacznie istotniejsze! - nigdy temu nie zaprzeczył.

Zatem to, co spotkało Eligiusza Krumpolca w sali widowiskowej Domu Orłąt, można było określić wyłącznie jako ostentacyjne lekceważenie. I świadczyło niezbicie, iż siostrze Irenie oraz

podskarbnikowi Barszczowi dokumentnie przewróciło się w głowach.

Fakt, że ta pingwinia frędzla - myślał zirytowany krajlider Konfraterni - zarządza szkołą, w której Pierwszy Obywatel pokłada wielkie nadzieje na zbudowanie nowych elit, a jej wiecznie spocony barabaluch jest podnóżkiem i zausznikiem zarządzającego pokrajskimi finansami nadskarbnika Eryka Sabadury, nie oznacza, że mogą czuć się bezkarni, psia ich szpryca gnilnoropna! Bo nikt nie ma prawa czuć się bezkarny! Nikt!

Tak oto zżymał się w duchu Eligiusz Krumpolc, nie chcąc przyznać przed samym sobą, że najbardziej rozjuszyło go zgoła co innego. Bo choć prawdą było, że zjawił się tu w obawie, by jego nieobecność na gali nie wzbudziła w zakonnicy i podskarbniku jakichkolwiek podejrzeń - wszak chciał jak najdłużej trzymać tych dwoje szubrawców w stanie imbecylnego uśpienia! - to istniał jeszcze jeden powód.

Krajlider Konfraterni pragnął po prostu błysnąć nowym galowym strojem, stworzonym przez wziętych projektantów wedle jego osobistych wskazówek.

Tak, wiem, to małoszkowe, ale kto jest bez grzechu, niech pierwszy ciśnie we mnie kamieniem! - powtarzał sobie w myślach, pieszczotliwie gładząc biały uniform z topazowymi guzikami, zieloną szarfą, zielonym wykończeniem otaczającym pagony, mankiety oraz brzegi kurtki, z tego samego koloru emblematem Wielkiego Pokraju, wyhaftowanym złotym bajorkiem na rękawie i powtórzonym w miniaturze na otokach wysokiego kołnierza. Oraz z szerokim białym pasem, zwieńczonym klamrą o barwie ognia.

Ten przepiękny mundur naprawdę go cieszył. W latach cyrkowej poniewierki, kiedy musiał się poniżać jako klaun gdzieś hen w kaczych dołach i wygnajewach, marzył o nim, rozrysowując podczas bezsennych nocy wszelkie detale. A teraz, gdy już ów nierealny, jak się zdawało, fantazmat zmaterializował się nareszcie, ta zbydlęcona strupowina, co podskakuje owadzio dookoła, w ogóle na niego nie patrzyła.

Zapłacą mi za to! Zapłacą już wkrótce! - powtarzał w myślach Eligiusz Krumpolc, strzepując z rękawa nieistniejące paprochy.

Tymczasem wrzawa ucichła i szorstki dyszkant przełożonej generalnej Domu Orłat Sierocińca Narodowego ponownie zapłonował nad salą.

- Aliści nie wzięci orzeł ku niebu z wyrwanymi pióry! Którymiśmy są my! Pokrajacy! - kościsty palec siostry Ireny na chybił trafił wskazywał osoby na widowni. - Każdy z nas jest jednym maleńkim piórkiem wielkiego orła narodowego naszego...!

Z podwieszonych na podsufitowym sztankiecie pojemników poczęło wypadać na scenę pierze. Dwa ustawione poprzecznie reflektory - czerwony i biały - nadały mu barwy pokrajskiej flagi. Mniszka rozłożyła szeroko ręce i zebrani z prawdziwym wzruszeniem dostrzegli, że ów niebiański śnieg z czerwono-białych piór zatrzymuje się na jej twarzy, dłoniach i habcie.

- Zatem dopóki wszystkie piórka pod jednym skrzydłem razem się nie znajdą...! A nawet pod dwoma, jeśli uwzględnić stabilność lotu...! - krzyczała siostra Irena w uniesieniu prawdziwie ekstatycznym, jakby to nie ona przemawiała, jakby ona ledwie wypowiadała słowa, i przemawiał przez nią ktoś znacznie potężniejszy. - Dopóty nie dumnym ptakiem Piastów i Zagiellonów na powrót się staniemy, ale jedynie kurą na europejski rosół tudzież pogardy godnym narodów nielotem! Na co zgody nie ma, amen!

W tym momencie tumult zrobił się tak piekielny, że Eligiusz Krumpolc pochylił głowę i skrył pobrużdżoną twarz w krótkopalcych dłoniach. Tymczasem Narcyz Barszcz wyrwał kilka kroków do przodu i stanąwszy obok zakonnicy, która z wyciągniętymi ku niebu rękami, w czerwono-białej łunie, trwała w bezruchu jak spiżowy pomnik, krzyknął ile sił:

- Jeden orzeł - wszystkie piórka!

Zelektryzowany tłum odpowiedział tym samym:

- Jeden orzeł - wszystkie piórka!

Podskarbnik regionalny uchwycił siostrę Irenę za wyciągniętą rękę i ponownie zaryczał:

- Jeden orzeł - wszystkie piórka!

- Jeden orzeł - wszystkie piórka! - zripostowali równie głośno zebrani, a euforyczny rozgwar poszybował ku niebu, ciesząc uszy pokrajskich świętych, bohaterów i za ojczyznę pomarłych.

Wzruszony doskonałą współgrą gardeł i serc Narcyz Barszcz wznosił okrzyk po raz trzeci, a gdy tłum począł odpowiadać mu stadnie, ekran nad sceną rozpulsował się w rytm okrzyków:

JEDEN ORZEŁ

- WSZYSTKIE PIÓRKA!

JEDEN ORZEŁ

- WSZYSTKIE PIÓRKA!

JEDEN ORZEŁ

- WSZYSTKIE PIÓRKA!

Eligiusz Krumpolec pomyślał, że to najlepsza okazja, by się wymknąć. W końcu zaznaczył już swoją obecność i sfilmowała go telewizja, zatem starczy. Przecież nie miał najmniejszej ochoty, by po gali ucinać sobie w kularach grzecznościowe pogwarki z siostrą Ireną, Narcyzem Barszczem i pozostałymi nieprzyjemnymi indywiduami. Najwyżej ktoś z biura zadzwoni później i wytłumaczy, że wezwały go pilnie sprawy państwowej wagi.

I już miał machnąć na stojących pod filarem roślących ochroniarzy, by go z tego bałaganu wyciągnęli, gdy światło niespodziewanie zgasło i potężny dźwięk muzyczny, towarzyszący nagłemu rozbłyskowi ekranu, uciszył wiwatującą publikę.

Na ekranie pojawił się płotek, marny i koślawy, sklecony z desek oraz blachy falistej, a przed nim dwa Murzyniątka maluskie, kilkuletnie zaledwie: dziewczuszka w stroju krakowskim i półgoły chłopczyna, jedynie w góralskich portkach i z ciupażką.

- Ktoś ty jest? - zapytała z ekranu dziewczuszka, z silnym hiszpańskim akcentem.

- Pokrajak mały - odpowiedział łamaną pokrajszczyzną chłopczyna i potarł nosek.

Widać było, że jest mocno skrępowany i najchętniej uciekłby sprzed kamery, gdzie pieprz rośnie. Ale jego koleżanka, zachwycona najwyraźniej swoją rolą, dociskała:

- Jaki znak twój?

- Orzeł biały.

- Gdzie ty mieszkasz?

- W obco... - mamrotał chłopczyk. - W obco...

- W obcowiźnie! - odpowiedział zza kamery czyjś sykliwy szept.

- W obco... wiźnie - hebanowe góralątko z trudem powtórzyło niełatwe słowo i w odruchu zakłopotania nerwowo podciągnęło porcięta.

- Gdzie chcesz mieszkać?

- W swej ojczyźnie.

- Twą ojczyzną?

Cisza.

- Twą ojczyzną?

Cisza.

- Twą ojczyzną Pokraj wielki! - odpowiedziała w końcu zniecierpliwiona krakowianka.

- *Si, por supuesto!* - zapewnił chłopczyzna i uśmiechnął się z ulgą. - Pokraj wielki!

- Kto w nim mieszka?

- Rodak wszelki! - krzyknął z całych sił uroczy półnagus i roześmiał się głośno, najwidoczniej uradowany, że mimo wcześniejszych perturbacji finał wyszedł mu koncertowo.

W tej samej chwili fanfary zadęły ile sił w blasze, a urocze dzieciaczki znikły z ekranu równie niespodziewanie, jak się pojawiły, w ich miejsce zagościł zaś wielki napis:

RODAKOWI RODAK!

Tuż pod nim rozbłysło logo Domu Orłąt Sierocińca Narodowego i numer konta, na który najlepsi patrioci winni wpłacać datki.

By nikt nie miał wątpliwości, czego się od niego oczekuje, niski, aksamitny głos lektora oznajmił:

- Jeszcze dziś wpłać pieniądze na akcję „Rodakowi Rodak” i pomóż sprowadzić wszystkich Pokrajaków do macierzy! Jeden orzeł - wszystkie piórka!

Znowu rozległy się oklaski, tym razem jednak króciutkie, bo Narcyz Barszcz i siostra Irena wykwitli błyskawicznie na środku sceny i wypowiedzanymi z emfazą frazami błyskawicznie naciągnęli cięciwę wzruszeń.

- Zawieruchą historii targani...! - zaczął nabijać tempo mokry od potu podskarbnik regionalny.

- Przez wojny krwawe rozproszeni...! - synkopowała z nim sucha mniszka.

- Zdradzeni przez obcych...!

- A bywało i swoich...!

- Rozpierzchli się rodacy po całej planecie Ziemi...! - rozpostarł szeroko ręce Narcyz Barszcz.

- Rozpierzchli się rodacy po całej Ziemi, ale nie, by bogactwa szukać...! - pokręciła głową siostra Irena.

- Jeno dlatego - wtórował podskarbnik regionalny - że im ojczyznę miłą zły wróg na wieki odebrał...!

Gwałtownie opuścił ręce, a zakonnica uniosła swoje niemal w tym samym momencie. Jej głos łamał się na granicy płaczu.

- Dziś, kiedy kraj szczęśliwie z tyranii bezbożnych wyrwany, wielu z wygnańców nadal znój na obczyźnie cierpi, pytając...

Na chwilę zamilkła i nakreśliła w powietrzu znak zapytania.

- Dlaczego?! - dokończyła z bólem.

Krajlider Konfratrów Wielkiej Ojczyzny Eligiusz Krumpolc rozejrzał się po widowni. Wielu ze słuchających miało łzy w oczach.

Oni są naprawdę dobrzy - pomyślał. I dlatego są niebezpieczni.

Ponownie przeniósł wzrok na scenę, gdzie podskarbnik Barszcz wbijał w mózgi zebranych kolejny gwóźdź.

- Dlaczego Pokraj, choć na nowo wolny, się dziś o nich nie troszczy, nie upomina?!

- Dlaczego o nich zapomniał?! - dobijała wielkim młotem siostra Irena.

Głucha cisza, która w tej chwili zapadła, pozwoliła słuchającym odczuć nie tylko dramatyzm pytań, ale też wręcz golgotę dwustuletniej emigracji.

Są już na dnie, frajerzy - pomyślał Eligiusz Krumpolc, ponownie łypiąc na widownię. I że teraz tamci „magicy” zaczną ich z owego dna podnosić.

- Nie, Pokraj o nich nie zapomniał...! - ryknął Narcyz Barszcz.

Krajlider Konfraterni uśmiechnął się pod nosem, kontent, że potrafi przewidzieć każdy krok „magików”, którzy tymczasem rozpoczęli swoją mantrę na nowo.

- Domy Orląt Sierocińca Narodowego powstały, by już po wiek wieków Pokraj o dzieciach swoich pamiętał.- zapewniała siostra Irena.

- W tym roku kierujemy nasze serca w stronę rodaków z ziem najdalszych...! - wtórował jej Narcyz Barszcz.

- Tam, gdzie pod gorącym słońcem Haiti żyją potomkowie żołnierzy z Legionów Pokrajskich...! - niósł się nad dalą mniszy dyszkant.

- Co na tej wyspie odległej za wolność naszą i waszą krew pokrajską przelewali...! - współgrał z nim stentorowy baryton podskarbnika. - I którzy...!

Eligiusz Krumpolc przestał słuchać. Zamknął oczy i odpłynął myślami w czasy, kiedy ta piękna sala widowiskowa Domu Orląt była jeszcze wilgotnym i obdrapanym pomieszczeniem do ćwiczeń gimnastycznych. Nigdzie na świecie nie było miejsca, w którym przeżyłby większe upokorzenia. Owszem, inni chłopcy z sierocińca (który wtedy nie nazywał się jeszcze Narodowy i był zwykłym bidulem prowadzonym przez zakonnice) wyśmiewali jego mikry wzrost przy każdej okazji, ale prawdziwą torturą były dopiero zajęcia z wuefu. Karzeł, kurdupel, konus! - inaczej na niego nie wołano. Nikt nie chciał z nim grać i ćwiczyć, wszyscy

drwili z jego krótkich nóżek, pękatego tułowia i nieproporcjonalnie wielkiej głowy.

Po latach przeczytał, że ludzie szydzą z karłów ze strachu. Bo tak naprawdę przeraża ich liliput wystawiający łeb z trzewi ich skarłałych dusz.

Ale kiedy Eligiusz Krumpolc był małym dzieckiem, jeszcze tego nie wiedział. Chciał być lubiany, jak każdy. A ponieważ lubiany nie był, to się nienawidził. Za swą starczą, pooraną siatką bruzd twarz sześciolatka. Za piskliwy głos, którym prosił Boga, by pozwolił mu jeszcze urosnąć. I za matkę, która nie umarła, jak matki części kolegów w sierocińcu, i nie piła wódki, tak jak matki wszystkich innych kolegów, ale która go tam pewnego zimowego ranka przyniosła i zostawiła.

Wyłącznie z tego powodu, że budził w niej wstręt i wstyd.

Krajlider Konfratrów Wielkiego Pokraju rozejrzał się po sali, która była ongiś świadkiem niezliczonych kopniaków i poszturchiwań, jakie mu wymierzono. Spisane zostały jeden po drugim - pomyślał, muskając delikatnie, dla poprawy nastroju, poły swojego prześwieanego munduru. I rachunek za nie już się drukuje.

A potem przywołał w pamięci dzień, gdy przełożona generalna siostra Michaela zjawiła się w ich sypialni z mężczyzną, który wyglądał zupełnie jak on.

- Eligiuszu, pan zabiera cię ze sobą - oznajmiła.

Było to najbardziej metafizyczne zdanie, jakie kiedykolwiek od niej usłyszał. Najpiękniejsze zdanie, jakie kiedykolwiek w życiu usłyszał.

„Eligiuszu, pan zabiera cię ze sobą”.

Kiedy nocami chlipał w dormitorium pod kołdrą, chciał, żeby Bóg się nad nim ulitował. Ale nigdy, przenigdy nie sądził, że jego zbawiciel zjawi się pod postacią karła. A potem, kiedy już dorósł, nie mógł się nadziwić swojemu pierwszemu zdziwieniu. Bo przecież tylko tak mógł wyglądać ktoś, kto go miał uratować. I pokazać, że nie jest potworem. A nawet jeśli, to nie jest w tym już sam.

Tamtego dnia wszystko się zmieniło. Tamtego dnia poczęła się budować jego dzisiejsza siła.

I już nigdy więcej Eligiusz Krumpolc nie zapłakał. Nawet wówczas, gdy wielogodzinne ćwiczenia w cyrku powodowały ból nie do wytrzymania. Ale i „nie-do-wytrzymania” da się wytrzymać, jeśli tylko wiesz, że jest ktoś na świecie - nawet jeden jedy-ny! - kto w ciebie wierzy.

Ten, który przyszedł, by go zabrać z dziecięcego piekła, w niego wierzył. Honorat Glom, pierwszy klaun Cyrku Pincla, najdumniejszy karzeł na świecie. To właśnie on go przekonał, że należą do rasy znacznie starszej niż ta, co tak rozczarowująco zaludnia dziś świat.

Kiedy krajlider Konfraterni przypomniał sobie jego twarz, szeroki nos, mądre oczy i gęstwę poskręcanych rudych włosów nad niskim, pobrużdżonym czołem i kiedy przywołał w wyobraźni krótkie, silne palce opiekuna, głaszczące go do snu, poczuł, jak w mgnieniu oka serce wypełnia mu spokój, i po jego policzkach poleciały łzy.

Był z nich dumny i nie miał powodu, by je wycierać. Uśmiechnął się tylko i nie chcąc się całkiem rozkleić, energicznie ściągnął zrosnięte brwi.

W tej samej chwili brama sierocińca otworzyła się niemal bezdźwięcznie i na obszerny dziedziniec ostro wjechała wielka biała limuzyna. W ostatniej chwili wyminęła grupkę ubranych w jednakowe mundurki kadetów, nie więcej niż dziesięcioletnich, których prowadziły dwie szczupłe i wysokie zakonnice, a potem z piskiem opon zatrzymała się na środku placu, tuż przy cokole, z którego wyrastał kilkumetrowy krucyfiks w stylu neorokoko.

Kierowca w jasnogranatowej liberii i kepi z otokiem Telewizji Narodowej Pokraju wyskoczył z auta jak z procy i w kornym pochyleniu otworzył tylne drzwi.

Najpierw ukazał się złoty bucik na bardzo wysokim obcasie, a tuż za nim noga, którą zdołał. Być może ze względu za doskonałość kształtu owej kończyny należałoby powiedzieć, że to bardziej ona zdołała bucik niż odwrotnie, ale próżno by było się

dłużej nad tym rozwodzić, bo oto w okamgnieniu i but, i nóżkę przesłonił widok jeszcze piękniejszy.

Niczym z czarodziejskiego źródła wytrysły mianowicie z limuzyny barwy cesarzy, kardynałów oraz dziewic i na dziedzińcu Domu Orłąt Sierocińca Narodowego stanęła - w złotej sukni o średniowiecznym kroju i w purpurowej pelerynie, obszytej futrem białych gronostajów! - największa gwiazda kinematografii pokrajskiej, Anna Glass, kobieta urody nieskazitelnej, rzec by wręcz można: perła w koronie, jaką niechybnie była legendarna uroda wszystkich Pokrajanek.

Królewskie nakrycie głowy wspomina się tu zresztą niebezpiecznie, albowiem na rozkosznej główce prześlicznej aktorki, pośród burzy rozpuszczonych i wdzięcznie kręcących się loków, mieniła się poblaskiem szmaragdów, rubinów, turkusów i pereł arcypiękna korona właśnie. A dłonie Anny Glass, ukryte pod jedwabiem długich rękawiczek i upierścienione, trzymały złote jabłko z krzyżem i wysmukłe berło.

Cokolwiek pospieszonym, jak na okoliczności miejsca i stroju, krokiem aktorka podreptała do budynku sierocińca, by tam przemykać niczym anioł niekończącymi się westybulami i korytarzami, wzdłuż szpalerów kłaniających jej się na powitanie kadeków, przyodzianych w galowe mundurki, oraz towarzyszących im mniszek opiekunek. Znieruchomiała dopiero w kulisach sali widowiskowej, gdzie przysłuchując się głosom ze sceny, z trudem regulowała oddech.

Kobięcy dyszkant, który usłyszała najpierw, był tak nieprzyjemny, jakby ktoś jeździł styropianem po szybie.

- Zanim jednak Pokrajaków z Haiti do macierzy na powrót ściągniemy, sami wyruszamy do nich, z pomocą humanitarną się udając!

Znacznie milej brzmiał męski baryton, choć profesjonalny słuch aktorki wyczuwał w nim zdenerwowanie.

- Z darami, które zgromadziliśmy dzięki szczodrobliwości naszej narodowej i ludziom dobrej woli! Takim jak ambasadorka naszej akcji, wspaniała gwiazda pokrajskich scen i ekranów...

Słyszając to, Anna Glass wymamrotała pod nosem:

- Na pohybel starej purwie...

Od czasów szkoły aktorskiej zawsze mówiła te słowa przed wejściem na scenę. Wierzyła, że przynoszą jej szczęście.

Kiedy się wreszcie pojawiła, promieniejąca i majestatyczna, brunatnoszary męski rój poderwał się z foteli, by oddać jej cześć w sposób, jakiego został nauczony: strzelaniem obcasami, okłaskami i tubalnym bzykiem. Poczula się jak na łące pełnej pękających trzmieli. Omiotła wzrokiem salę i zdziwiła się mocno, bo chłopców z sierocińca wyobrażała sobie jako znacznie mniej wyrosniętych. Lecz ani trochę jej nie zmartwiło, że jest inaczej.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, weszła w snop ostrego światła. Migotliwa kula eksplodowała jej momentalnie w oczach. Widownia znikła w oślepiającej czerni i jedynie niemilkące wciąż brawa i tubalności świadczyły, że nadal pozostaje tam, gdzie była.

Mam nadzieję, że się za bardzo nie świecę - pomyślała, niezbyt szczęśliwa z faktu, że przyjechała tu na ostatnią chwilę i już nikt nie zdążył poprawić jej charakteryzacji.

Kiedy zagrały pierwsze takty piosenki, świdrujący dyszkant po jej lewej stronie ponownie się uaktywnił.

- Prosto z planu filmu o królowej Jadźwini...

- Pokrajskiej świętej, co chorym szpitale fundowała, a biednym grosza nie szczędziła...! - dopowiedział baryton.

- Anna Glass...! - zaanonsował ją szczurzy pisk.

Wiedziała, że powinna teraz podejść do mikrofonu i się przywitać. Ale nie miała pojęcia, gdzie go znaleźć. Cholerne reflektory, zdecydowanie zbyt mocne, przepalały jej oczy. Widziała ciągle ciemność i poczuła, że łzawi.

Nie dość, że jestem jak ślepa, to jeszcze makijaż mi się rozmaże! - zadrzała.

Gdzie jest mikrofon? Gdzie jest ten cholerny mikrofon? Zrobiła dwa kroki w bok, by wyjść choć na moment ze światła i go zlokalizować. Ale realizator światła natychmiast przestawił reflektor i ponownie ją oślepił.

Ćwiczył się w więzieniu czy co? - pomyślała z wściekłością i rozłożyła ręce jak najszerzej. Miała nadzieję, że przypadkiem wymaca stojak.

Niestety, jej ręce, które swoją drogą już omdlewały od trzymania tych sakramenckich insygniów królewskich, napotkały jedynie pustkę.

Niech to szlag!

Dotarło do niej, że intro za moment się skończy i trzeba będzie śpiewać. Ale to nie był jej aranż! Nie jej wersja piosenki!

Łzy ciekły jej już strumieniami, bo idiota z reflektorem na górze rozkręcał go coraz mocniej. Co robić? - myślała gorączkowo, żalując, że dała się w ogóle w to wplątać. I to za darmo! Przystąpiła sobie, że to jej ostatnia akcja charytatywna w życiu! Pieprzyć sieroty, kaleki i bezpańskie psy! Ja też przez całe życie byłam sierotą, kaleką i bezpańską suką i jakoś nikt się tym nie przejmował!

Ujęła ją ta zaskakująca metaforyka. Uznała, że musi ją zapamiętać, i jednocześnie zaczęła instynktownie odliczać.

Raz...

Dwa...

Trzy...

Na cztery - myśląc: niech się dzieje, co chce, chrzanię to! - otworzyła usta, a z głośnika szczęśliwie poleciały pierwsze słowa. Boże, dzięki, że pośród wielu cudów stworzyłeś też playback!

- A kiedy, a kiedy, z Pokraju wyjechałeś gdzieś...

Głos rozpoznała od razu. To śpiewała ta dziwka z wydziału pieśni religijnej, którą na czwartym roku Pokrajskiego Instytutu Sztuk Teatralnych znalazła w łóżku ze swoim chłopakiem.

Ale nie czas teraz na płochy wpraw - pomyślała, starając się złapać jak najlepszy synchron.

- To nawet, to nawet, po latach rozpoznamy się...

Otwierała szeroko usta, starając się nie wyobrazić sobie, w jakich okolicznościach tamta przed laty otwierała swoje.

- Bo wszyscy w Pokraju to jedna rodzina, starszy czy młodszy, chłopak czy dziewczyna...

Poczuła, że jej biodra samoistnie zaczynają podrygiwać.

- Bo wszyscy w Pokraju to jedna rodzina, starszy czy młodszy, chłopak czy dziewczyna...

Szczęśliwie kochała muzykę naprawdę. Więc już po chwili zapomniała o zdradliwej suce z wokalno-religijnego i pozwoliła się porwać rytmowi. I w jednej chwili przestało ją ruszać, że reflektor przepala jej źrenice i że nikt nie słyszy jej prawdziwego głosu. Że przez tę gównianą suknię oraz przykrywającą ją pelerynę jest już cała mokra od potu i że ręce jej omdlewają od tych królewskich ciężarków.

A jedyne, o czym teraz myślała, to że kocha być na scenie. Oraz że kiedy już wróci do domu, musi nastawić pranie.

O niczym więcej, naprawdę.

Tymczasem dziarscy faceci w ciemnoszarych koszulach i podkutych butach z cholewami trzymali się na widowni za ręce i patrząc na piękną świętą, co płacze, gdy śpiewa o ojczyźnie, kołysali się łagodnie jak polne kwiaty.

W godzinę później, kiedy widownia była już całkiem pusta i tylko kilka zakonnic na scenie zwijało kable i demontowało wzmacniacze, przełożona generalna siostra Irena, podskarbnik regionalny Narcyz Barszcz i aktorka Anna Glass przemierzali szybkim krokiem pokrętne korytarze Domu Orłąt Sierocińca Narodowego.

- Następnym razem aby się pani nie spóźniała, proszę i nalegam! - syczała siostra Irena, wściekła tak ostentacyjnie, jakby sukces dzisiejszej gali nic dla niej nie znaczył.

- Siostrzo przełożona, wszak to nie moja wina - próbowała tłumaczyć Anna Glass. - Plan zdjęciowy mi się przedłużył i...

Przełożona generalna raptownie stanęła i złapała ją za ramię. Miała tak mocny uścisk w chudych palcach, że Anna Glass aż jęknęła z bólu.

- A czymże jest plan zdjęciowy wobec planu bożego, puchu marny!

Puchu marny?

Nawet producenci filmowi, czempioni nietaktu i entuzjaści parafowania kontraktów laską w kiblu wydają się uprzejmiejsi niż ten niesympatyczny pingwin! - pomyślała Anna Glass. Nie pozwolę się tak traktować!

Wyszarpnęła rękę i spojrzała hardo na siostrę Irenę. Zamierzała powiedzieć, że nie życzy sobie dotykania, ale szczurzy wzrok mniszki świdrował ją tak przeszywająco, iż zabrakło jej śmiałości.

Na szczęście między obie kobiety wsunął się kojący baryton Narcyza Barszcza.

- Siostrze Irenie chodzi, że z powodu pani spóźnienia improwizować musieliśmy, przez co wkradł się zbędny nerw...

Anna Glass otaksowała podskarbnika regionalnego wzrokiem, w którym nadzieja walczyła z podejrzliwością. Lepiej rozmawiać wyłącznie z nim - pomyślała. To mężczyzna. Kobiety cię nienawidzą, powinnaś już do tego przywyknąć. Nawet mniszki, jak widać.

Aliści szorstki ton przełożonej generalnej Domu Orląt Sierocińca Narodowego szybko ujawnił, kto w owym tandemie, który stał naprzeciw Anny Glass, jest głównodowodzącym.

- Pani aktorko, my tu miłosierdzie na świat szerzymy, a z nim i dobro! - rozległ się ponownie szczurzy pisk. - I się nam wielce spieszy, bo jak mówił święty Paweł: piłka jest krótka!

Czując, że spodełbne spojrzenie siostry Ireny wprost ją rozwałkowywuje, Anna Glass przerzuciła zdziwiony wzrok na podskarbnika regionalnego. Ten jednak powtórzył niemal bezgłośnie:

- Piłka jest krótka.

A potem opuścił głowę, nie wiadomo, ze wstydu czy z podległości.

Przełożona generalna zrobiła krok do przodu. Jej oddech pachniał osobliwie. Nie tyle był nieprzyjemny, ile raczej zaskakujący. Anna Glass przysięgłaby, iż wyczuła w nim szałwię, tanis i - czy to w ogóle możliwe? - zapach domu pogrzebowego.

- Pani aktorko, dobiegło do mnie, że stara się pani o rolę pepickiej księżniczki, co rękę władcyce pierwszemu piastowskiemu oddała i chrystowierstwo do Pokraju wraz z łonem swym królorodnym sprowadziła, prawda li to?

- Owszem, nie przeczę - odrzekła cicho Anna Glass, zauważając, że koniuszek nosa mniszki rusza się niczym ryjek gryzonia wywachuującego co i gdzie.

- I że wspomogłoby to ponad wszelką wątpliwość pani piękną kartę zawodową i umocniło okrutnie, czyż nie? - dociekała siostra Irena.

- Jak amen w pacierzu, siostrzo przełożona - zawachlowała rzęsami Anna Glass i pokornie schyliła głowę. Kto wie, może i tę jędzę uda się jakoś oczarować? - pomyślała.

Na wąskiej twarzy zakonnicy pojawił się ni to uśmiech, ni grymas.

- A te rumory stugębne o pani niesakramentalnej relacji z Salomonem Ancymonowiczem, reżyserem libertynem i seksualnym obsesjonistą, piewcą cywilizacji śmierci i gloryfikatorem propagandy wstydu, nadto zaś człkiem żonatym, dzieciatym i niepewnego genomu narodowego, czy aby nie zaszkodzą? - wbiła w aktorkę wiertło stalowego wzroku. - Oficjum Do Spraw Niepokalaności Czystej Kultury Pokraju okrutnie na takie rzeczy bywa wyczulone...

Anna Glass poczuła, że krew odpływa jej z głowy. Pociemniało jej w oczach, zachwiała się.

Siostra Irena ponownie chwyciła ją mocno za ramię. A potem przysunęła się blisko, tak przeraźliwie blisko, że Anna Glass czuła, jak wąskie wargi mniszki muskają płatek jej małżowiny.

- Nie potępiam cię, córko, wszak dobrze wiem, jaki krzyż dźwiga kobieta, gdy bez nadziei kocha - wlewał się w ucho aktorki pozornie kojący, ale w swej najgłębszej istocie bazylijszkowaty szept. - Możemy sobie nawzajem pomóc. Znam Ojca Komisarza z Departamentu Kinematografii, zatem wystarczy jedno moje słowo, by ...

Przerwała i odsunęła się od Anny Glass. Wydawała się teraz wyższa, jakby panowanie nad ludźmi dodawało jej centymetrów.

- Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą!

Wyraźnie zadowolona, klasnęła w dłonie i nie czekając na resztę, ruszyła energicznie przed siebie, by za moment zniknąć za rogiem.

Anna Glass ciągle stała jak sparaliżowana. Z nieznośnym poczuciem, że nie jest w stanie nabrać powietrza do płuc.

Narcyz Barszcz podkołysał do niej i wyszczerzył się ciepło.

- Pani Anno kochana, proszę mi wierzyć, że nie jest tu pani z nami, jak mawiają Anglosasi: baj ślepy los - pomlaskiwał nieśpiesznie, próbując wetrzeć balsam swojego barytonu w znękany naskórek duszy przepięknej aktorki. - Jest pani dla mnie najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie naszego kina narodowego. Co ja mówię dla mnie! Dla nas, wszystkich Pokrajaków! Bezapelacyjnie i czarno na białym!

Anna Glass podniosła głowę. Narcyz Barszcz dojrzał kryształowy poblask w jej oczach i samczy ferwor pochwycił go za układ limbiczny i naczyniowy.

- Przeto wierzyć proszę w me słowa i frazy, albowiem jako człek finansom dedykowany nie zwykłem strzepić jęzora po próżnicy! - zapewniał gorliwie podskarbnik regionalny. - A i dodam nie bez kozery, iż nasi zamorscy rodacy, od wieków odosobnienie od ojczyzny cierpiący, znają wszystkie pani filmy ewidentnie i bez apelacji!

W zapamiętaniu złapał rozmówczynię za rękę i wzmocnił zapewnienie:

- Ewidentnie, bez apelacji i namacalnie ponad wszelką wątpliwość!

- Znają? - zakwiliła sieroco Anna Glass. - Jakże, że znają?

Widząc, iż urodziwa aktorka nie cofa dłoni, którą trzymał, Narcyz Barszcz przysunął się nieco bliżej.

- Albowiem gdyż Kongregacja Do Spraw Promocji Czystej Kultury Pokraju ogromne nakłady finansowe poczynią celem

promocji właśnie! - oznajmił tonem dobrze poinformowanego. - Co wiem, bo nadskarbnik krajowy, sam pan Eryk Sabadura, którego protegowanym, a i nie ukrywam, komilitonem jestem, chwackie znaczenie do obwieszczania świata kultury pokrajskiej przywiązuje! I propokrajski jest w tym co-sił-co-sił, jak śpiewał nasz niezapomniany poeta i bard!

Anna Glass uśmiechnęła się wdzięcznie, a podskarbnik uczuł, że topnieją mu lody serca, i przysunął się na odległość, którą zowią bliskość.

- Narcyz...! - zadrżały w tym samym momencie korytarzowe rury, przenosząc zgrzytliwe wibrato siostry Ireny. - Gdzieżeś to zbarłoczył w mitrędze czasu zbytecznej...? Narcyz...!

Słyszając kolczasty dysztant szefowej Domu Orłąt, poskarbnik Narcyz Barszcz puścił dłoń zmysłowej aktorki, syknął, jakby go parzyła, i z kopyta odhycnął o barani skok, może nawet półtora. Szyję oblał mu przedzawałowy szkarłat, fronton twarzy spomniał, a oko dostało kłopotliwej rotacji.

Zza ściany ponownie wychynęła siostra Irena. Anna Glass odniosła wrażenie, że czubek nosa mniszki rusza się jeszcze rychlej niż poprzednio. Jakby to właśnie węch był zmysłem, w którym pokładała największą ufność.

- W chwili obecnej tłumaczę pani aktorce, że zachodzi potrzeba autografu złożenia na kilku puszczykach aktualnie! - wyrecytował piskliwie Narcyz Barszcz i wytarł chusteczką mokre czoło.

Annie Glass zdało się, że widzi teraz przed sobą nie urzędnika skarbowego istotnego szczebla, ale przełęcznionego kadeta Domu Orłąt Sierocińca Narodowego, i to zdecydowanie z roczników młodszych, zuchowych, nie junackich.

Tymczasem siostra Irena przez kłopotliwie długą chwilę przerzucała posępne spojrzenie z podskarbnika na aktorkę i z powrotem, by w końcu wycedzić głosem jak rtęć srebrzystym i niebezpiecznym:

- A jakaż w tym trudność i łamigłówka, że prościznę owego faktu tak długo uprzytamniać zachodzi potrzeba?

Jej dyszkant miał w sobie szorstkość jaszczurczej łuski. Anna Glass poczuła lęk i momentalnie wszystko się w niej skurczyło, włącznie z silikonem w piersiach. To święte monstrum w habicie naprawdę ją przerażało.

- Dla najbardziej aktywnych rodaków Pokrajaków na Haiti wyspie słonecznej nie szrajbnie pani autografu? - skrzywiła się zakonnica. - Pożałuje li podpisiku?

- Wprost przeciwpołożnie - wyszeptała aktorka, czując, jak korona królowej Jadźwini wbija się jej w głowę i zgniata myśli. - I tak mi dopomóż Bóg...!

Zapadła nieprzyjemna cisza, w której siostra Irena lustrowała Annę Glass iście lodowatym spojrzeniem. A potem, ciągle bez słowa, odwróciła się i gestem nakazawszy obojgu, by podążali za nią, ruszyła przed siebie.

Szli zatem w milczeniu. Anna Glass, gotowa zrobić wszystko, czego od niej zażądają, byleby tylko wypłatać się z infernalnych korytarzy Sierocińca Narodowego. Narcyz Barszcz, wyobrażając sobie, że wyłuskuje kształtną kibić aktorki z królewskich peleryn i sukien, by w alkowie z baldachimem obsypać ją płatkami pocałunków. A siostra Irena z nieprzyjemnym przeświadczeniem, iż to jednak rażąca niesprawiedliwość, że kobieta w jej położeniu nie może wybrać sobie partnera, na jakiego naprawdę zasługuje.

Nareszcie stanęli przed ciężkimi drzwiami magazynu, a przełożona generalna wyciągnęła spod habitu pęk masywnych kluczy i zaczęła chrzęścić w zamkach. Anna Glass miała wrażenie, że ktoś grzebie jej w mózgu.

Odrzwia otworzyły się z chrapliwym wizgiem i ze środka buchnął kwaskowy wapor niesprzątanego od wieków misterium.

Weszli.

Na obrzeżach sporego pomieszczenia wały się połamane rzeźby świętych, wśród nich Jan Chrzciciel z odłupaną prawą ręką, tą, która ochrzciła samego Zbawiciela, nadto fragmenty wyblakłych baldachimów, wiele z nich podziurawionych przez gryzonie, trzynogi fotel z drewna mahoniowego, z wyplatany za-

pieckiem, resztki zniszczonego cyborium, parę portretów trumiennych i kilkanaście innych jeszcze malowideł, w tym wiele z dziurami po wystrzałach, oraz obraz świętej Łucji z haniebnie wydrążonymi oczodołami, zapewne szpadą, choć może i śrubokrętem?

Prócz tego zniszczone ławki kościelne, zdewastowane chrzcielnice i niegrające sprzęty grające, pomiędzy nimi gitara elektryczna Jolana i radio tranzystorowe Śnieżka, do tego szaty liturgiczne, wśród nich ornat gobelinowy czarny z wizerunkiem Ukrzyżowanego oraz pokryte kurzem habity, kapy, komeżki, mantolety i manipularze, oraz kończyły lalek dziecięcych, sztuk co najmniej kilkaset, całkiem nowe, jak i z pewnością ponad sto lat mające, kurzem grubym pokryte.

Poza tym klęcznik fornirowany z wysuwającym podnóżkiem, szafa gdańska dębowa, paschały, pateny, kropidła, bulle, pacyfikatory, lekcjonarze, różańce, relikwiarze, tabernakula i jakby tego było mało, stary motocykl w kolorze bordo, ze złotymi literkami „Junak” na pękającym baku.

Wszystko to sprawiało wrażenie rzuconego pod ściany przez jakieś wyjątkowo silne ziemi kołysanie. Albo jakby musiało ustąpić czemuś znacznie ważniejszemu, co nagle znalazło się na środku magazynu.

A stało tam kilkadziesiąt drewnianych palet, każda owinięta grubą folią, spod której prześwitywały równo poustawiane puszki z napisem: SAPERSKI PRZYSMAK.

- Kilka puszcerek? - jęknęła Anna Glass na widok palet piętrzących się niemal do sufitu. - Tu jest ich... - zawahała się - ...ze trzy tysiące!

- Cztery - odpowiedziała stanowczo siostra Irena. - Wszak nie będziemy rodakom obczystym dobra żydzie, nie...?

Widząc przerażone spojrzenie Anny Glass, podskarbnik regionalny Narcyz Barszcz pospieszył z pocieszającym wyjaśnieniem.

- Ale liczka marsem oblekać konieczność tu nie zachodzi! - zahuczał z entuzjazmem, jaki tylko udało mu się w sobie wzbudzić, po czym złapał piękną aktorkę za rękę i pociągnął ze sobą.

Wyminawszy trzy monstrualne filary, które - jak się zdawało - utrzymywały całą konstrukcję budynku Sierocińca Narodowego, dotarli do obszernej ceglanej wnęki, w której znajdował się długi dębowy stół z kilkudziesięcioma puszkami „Saperskiego przysmaku” na grubym blacie. Nieopodal przeżyły się palety jeszcze nierozpakowane.

- Pani ma szrajbnać podpisik na tysiącku ledwie - wytłumaczył ciepłym głosem Narcyz Barszcz, uśmiechnawszy się przy tym z sympatią, choć cokolwiek nazbyt gorzko, i odszedł.

W chwilę potem ciężkie drzwi zamknęły się z głuchym zgrzytem i do Anny Glass dotarło, że jeśli nie zrobi tego, czego chcą ci okropni ludzie, to mimo swojej sławy, wielu wspaniałych ról i gigantycznych banerów z jej podobizną widniejących w całym kraju, nigdy się z tego diabelskiego labiryntu, w którym utknęła, nie wydostanie.

Tymczasem siostra Irena i Narcyz Glass wracali w milczeniu.

- Myślisz, że się nie domyśli? - odezwał się w końcu podskarbnik regionalny, romantycznie zamyślony, bo piękna aktorka ciągle nie mogła mu wyjść z głowy.

Z przeciwległej strony korytarza nadchodziło kilkunastu kadetów prowadzonych przez trzy zakonnice, w tym siostrę Hiacyntę, preceptorkę korpusu kadetów imienia Świętego Longina z Cezarei.

- A gdzie, jak?! - zachnęła się siostra Irena. - Wszak to aktorka, a w tej profesji sami debile! W najlepszym przypadku degeneraci!

- Musimy się pospieszyć! - wysapał Narcyz Barszcz. - Po mojemu ten gliździec Krumpolc coś wyczuwa przez skórę!

- Nie histeria to aby? - haczykowały nos przełożonej generalnej poruszył się niespokojnie.

- Nic a nic! - przygryzł wargi podskarbnik. - Od dawna ma na nas oko! Chodzą słuchy, że chce przejąć sierociniec!

- Mści się, kusajda spurwiały i pokurcz świętego Lucyfera!
- wycharczała zakonnica i ni stąd, ni zowąd rąbnęła pierwszego z mijających ich kadetów, rudego i z nadwagą. - A ty co, purwa, podsłuchujesz, tuszczaku jeden?!

Zaskoczony grubasek pochwycił się za głowę i jał pojękiwać z bólu.

- Jak się nazywasz? - zasyczała siostra Irena, puszczając płacz chłopca mimo uszu.

- Bożydar! - rozległ się wystraszony chłopięcy pisk.

Przełożona generalna Domu Orląt złapała otyłego kadecika za ucho i skręciwszy je boleśnie, podciągnęła nieszczęśnika do góry.

- Drwić ci się z instancji szkolnych zachciewa, huncwocie i szalawiło? - darła się naprawdę głośno, by przekrzyczeć wrzaski chłopca. - Taki z ciebie boży dar, jak z żabiego skrzeku szampan!

- Siostro przełożona! - ostro rozpoczęła siostra Hiacynta, a potem, przestraszona własną śmiałością, dokończyła niemal szep-tem: - On naprawdę tak się nazywa... Bożydar Bobro...

Siostra Irena potrzebowała dobrej chwili, by do niej dotarło, co usłyszała. Puściła ucho chłopca i łypnęła niepewnie na Narcyza Barszcza. Ów, z paniką w oczach, wycierał spocone czoło.

Szefowa Domu Orląt przysunęła się do siostry Hiacynty i zapytała cicho:

- To ten bękart ministra policji?

Mniszka zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, siostro przełożona, bękart jest w młodszej grupie. A ten tu to legał - wyszeptała zbielałymi z emocji wargami. - Z małżonką go pan minister spłodził sakramentalną...

Siostra Irena przełknęła ślinę, ciężko przetarła twarz i zdecydowanym machnięciem ręki kazała się oddalić całej reszcie, oprócz Bożydara Bobro i siostry Hiacynty. A potem z wielkim wysiłkiem usiłowała popatrzeć na chłopca tak ciepło, jak tylko potrafiła.

- No dobrze, mój kochany Bożku... - zaczęła dość niepewnie, lecz rezon szybko jej wrócił. - Przeskrobałeś, owszem, ale młodość ma swoje prawa i takie tam... Miał być klęcznik i brak kolacji. Klęcznik ci odpuszczam.

W oczach grubaska zawitało przerażenie.

- Jak brak kolacji? - wykrzywił się. - Ja chcę kolację! Ja kolację muszę!

Siostra Irena rozłożyła ręce jak do modlitwy.

- Siła i honor, kadecie Bobro! - powiedziała i w tej samej chwili uśmiechnęła się łagodząco. - Ale dasz radę, chłopcze! - pocieszyła go. - Zresztą to tylko raz!

Wyciągnęła rękę, by go pogłaskać, ale Bożydar Bobro odpechnął ją i odskoczył.

- Powiem ojcu, że mnie szarpałeś! - zawarczał. - I że kuzyrna Pierwszego Obywatela nazwałaś pokurczem Lucyfera!

Narczyz Barszcz poczuł, jak twarz nabiega mu krwią. Jeszcze tego brakowało, żeby im minister policji zaczął wchodzić w paradę! Spojrzał więc błagalnie na przełożoną generalną, a jego oczy wyrażały tylko jedną jedyną myśl: załagodź to! Załagodź to natychmiast!

Siostra Irena momentalnie odczytała intencje swojego kompana i lekko pokiwała głową. Podeszła do chłopca, uśmiechnęła się - tym razem naprawdę ciepło - i bezceremonialnie wyrznęła go w szczękę.

Syn ministra policji osunął się na ziemię jak ścięty.

Podskarbnik regionalny Narczyz Barszcz zapiszczał z przerażenia, zerkając pytająco na przełożoną generalną. Miał wrażenie, że postradała zmysły.

Ale siostra Irena czuła się dobrze, jak rzadko wcześniej. Popatrzyła na nieprzytomnego chłopca i wyjaśniła, rozmasowując obolałą pięść:

- Chwilami człek przestaje wierzyć, że się coś z tej hołoty wykrzesać uda!

A później rzuciła krótko do siostry Hiacynty:

- Jak się ocknie, klęcznik! I żadnej kolacji przez trzy dni, gnojkwowi!

I najwyraźniej uznając sprawę za zakończoną, ruszyła dziarsko przed siebie. Narcyz Barszcz dopadł ją dopiero w następnym korytarzu.

- Przecież to syn ministra policji! - wysapał przerażony, a w jego oczach garbił się strach. - Czy ty wiesz, co teraz będzie?!

Przełożona generalna Domu Orłąt Sierocińca Narodowego długo mierzyła go wzrokiem, jak gracz, który przed wyścigiem ogląda konia, na którego postawił. A potem wzruszyła ramionami i z zadziwiającym spokojem w głosie powiedziała:

- Przecież i tak stąd spierdalamy, Cyziu...

Przygoda Czwarta, czyli Teść W Dom, Strach W Dom

Pułkownik Szmaroń wkracza do akcji. Wstyd, żeś śmieciarzem, zięciu! Przygoda w przygodzie, czyli oczy po bokach. Trudny obiad w rodzinnym gronie. Czarnoskóra piękność pragnie poznać reżysera. Brzegobrzeg czy Egipt? „Niech mamusia jedzie za mnie!”. Ojciec uzdrowiciel oraz Różańcowa Husaria Przygraniczna. Gdzie jest kasyno, synu?

Na ogół Sebastian Rawa wołał, gdy teściu na niego nie patrzył. A teraz w dodatku wiedział, że nie zwiastowałoby to niczego dobrego. Sterczał zatem obok niczym słup soli, w nieruchomości wszakże pozornej, albowiem narządy wewnętrzne interferowały w nim bojaźliwie, a aury płątały się niespokojnie.

Tymczasem emerytowany pułkownik Florian Szmaroń strzykał niespiesznie słowami jak chłopcy metodycznie popluwający na rozgrzany afsalt w pierwsze dni wakacji, kiedy to czas staje w miejscu i trzeba odnaleźć czynność, która pozwoli ów bezruch odmierzać.

- Wartości zamierają, Europa się wali, matecznik białego człowieka kurczy, wręcz kuli, a ty, mój zięciu zbyteczny, co wyprawiasz w swej płochomyślności?

Inżynier nie odpowiadał.

- Na rany Rechrysta, chceszli rodzinę z torbyma puścić, na poniewierkę finansową i smycz obcą ją skazawszy?

Inżynier nadal milczał, łypiąc niepewnie na atletycznego mężczyznę o dłoniach jak bochny i bombiasto wypiętej piersi, który bez zachwyty wpatrywał się w turkusową limuzynę, stojącą na podjeździe przed domem.

Przy tym wielkim i pięknym aucie szara skoda fabia emerytowanego pułkownika wyglądała zawstydzająco mizernie. Sebastian Rawa doskonale wiedział, że ów sękaty i czerstwy rębajło, którego szorstki los podarował był mu jako teścia, nie cierpiał, by cokolwiek, co do niego należało, wyglądało mizernie. I dlatego

właśnie inżynier kulił się teraz w sobie i kurczył niczym przywołana już Europa.

Był ześlony, iż dał się namówić Ilonie na tę infantylną maskaradę. Mieli rozpadającego się passata i trudno - w przeciwieństwie do rodziny swojej małżonki inżynier nigdy nie przywiązywał wagi do płochych błyskotek bytu. Najwyżej teściowie by ponarzekali, poszydźli z niego ociupinkę bądź nawet ociupinę, bez znaczenia, pochichrali sobie, jakiego to ciućmę i marnotę los im za zięcia przysposobił, a potem - przy przystawkach albo najdalej zupie! - wszystko wróciłoby to normy. Wszak zawsze tak bywało i główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych zdążył do tego przywyknąć.

Niestety, Ilona, niepomna, iż kłamstwem świat przejeździesz, lecz nazad nie wrócisz, kazała mu ich tabaczkowego pasacinę ukryć na parkingu firmy „Adam Rembelski - limuzyny ślubne wynajem” i wrócić czymś bardziej reprezentacyjnym. Po prawdzie chodziło jej o beemkę Kariny Rembelskiej, ta jednak ani myślała rozstawać się ze swoim ulubionym autkiem i Adaś - nie chcąc rozdrażniać i tak już drażliwej połowicy! - zaproponował przyjacielowi turkusowego lincolna town car z 1979 roku. Przepięknie utrzymane auto, z winylowym dachem, kanapami z białej skóry i felgami jak wirnik silnika odrzutowego, było ulubionym wyborem nowożeńców korzystających z firmy Adasia, a teraz stało na podjeździe przed segmentem, który emerytowany pułkownik Florian Szmaroń podarował swojej jedynaczce z okazji ślubu, i kłuło go w oczy.

Inżynier Rawa znał teścia nie od dziś i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że owo klucie musi mieć swoją cenę. Jak również, że ową cenę lepiej będzie - by zmniejszyć ból finalny - od razu negocjować. Zaczął więc niepewnie:

- To nie jest tak, jak tata myśli...

- Co ja myślę, to ty się nawet nie domyślasz, rozumiesz-wiesz...! - przerwał mu teściu, a jego głos chrząścił jak zmrożony śnieg pod butami. - Poniekąd jedno jest pewne: nie stać cię na taki wielki kredyt, synu...

Inżynier Rawa przestraszył się nie na żarty. Jego teściu był człowiekiem legendarnie oszczędnym i jeśli czegoś nienawidził bardziej od cywilbandy, to chyba wyłącznie cywilbandy lekko-myślnie gospodarującej groszem.

- Ale jaki kredyt, tato, co tata!

Florian Szmaroń powoli przekręcił głowę i po raz pierwszy w tej rozmowie popatrzył na zięcia.

- Nie pobrałeś kredytu? - wymamrotał, nieprzyjemnie zaskoczony, i machnął ręką w stronę turkusowego lincolna. - Czyli to, co właśnie widzę niniejszym przed sobą, jest za... purwa-nie-daj-boże... żywy pieniądz?

Z każdą chwilą sytuacja zdawała się pogarszać i Sebastian Rawa uznał, iż najlepiej będzie od razu się poddać.

- Nie, tata, nie...! - zaproponował gwałtownie. - Ten lincoln to kolega...

- Służbowy on jest, tatko!

Krzyk z tyłu zabrzmiał tak dramatycznie, że inżynier i pułkownik zeszytnieli i obrócili się w tej samej chwili.

Kilka metrów za nimi stały trzy najważniejsze kobiety w życiu obu mężczyzn: córka i wnuczka Oliwka, żona i córka Ilona oraz teściowa i żona Cecylia, zwana w rodzinie Cecutkiem.

- Służbowy on jest, tatko, powtarzam! - powtórzyła Ilona znacznie już spokojniej, po czym podeszła do ojca, delikatnie wyjęła z jego wielkiej dłoni kluczyki i wręczyła je mężowi, rozkazując tonem nieznoszącym sprzeciwu: - Rodziców rzeczy do domu łan-tu-fri!

Sebastian Rawa rzucił się w kierunku skody - naprawdę, wszystko zdawało się lepsze od stania przy teściu! - i już po chwili zawzięcie mocował się z zamkiem w bagażniku.

Za to dla emerytowanego pułkownika najwyraźniej nadal nie wszystko było jasne.

- Ale jak służbowy, kiedy ów pojazd używanym znajduję, choć nie przeczę, że w stanie modelowym i jak spod igły? - dociękał Florian Szmaroń.

Sebastian Rawa zeszywniał w niepewności, niejako zapominając, że to nie on musi już sobie radzić z dalszym śledztwem. Tymczasem dla jego małżonki była to najwyraźniej kaszka z mleczkiem.

- Ależ tatko, czyżby ci... nie daj Rechryste!... umknęło rozporządzenie Pierwszego Obywatela o nacjonalizacji majątku elementów liberalnych, zdradzieckimi mordami starego reżimu i podnózkami antypokrajskiego spisku będących?

- Ależ gdzieżby umknęło, córunia? - zachną! się Florian Szmaroń. - Dzięki owej decyzji przemądrej eksjednostka moja cichociemna szkołę baletową od chłopcołóżników nie dalej jak niedawno przejęła i małpi gaj ćwiczebny rychtować tamże zamierza!

- Nie inaczej się i u nas dzieje poprawia! - zapewniła ojca Ilona Rawa. - Wodociągnictwo kilka teatrów permissywnych na magazyny przejęło, muzeum sztuki zgniłej za spichlerz Banku Zbożowego dziś szczęśliwie służy, a Oficjum Gospodarki Odpadami samochody, liberalnej targowicy tudzież znarkotyzowanym celebrytom zasadnie odebrane, otrzymało i rozdysponowało.

Inżynier Rawa uporał się już, co prawda, z zamkiem w bagażniku skody fabii, ale żadnych waliz jeszcze nie wyciągnął, tak był zdumiony opowieściami żony. Ta zaś - jakby intryga, mistyfikacja i obłuda były jej najlepszymi przyjaciółkami albo i wręcz siostrami! - ciągnęła dalej:

- W ten oto sposób, tatku mój kochany, Sebastian otrzymał tę oto turkusową automaszynę. Po jakimś pisarzynie, co bez honoru z ojczyzny naszej drwił.

Florian Szmaroń zamrugał kilka razy, po czym odwrócił ciężki łeb i ponownie omiółł wzrokiem swego prozaicznego, a jednak - jak się właśnie okazało - nieoczywistego zięcia. Ten zaś natychmiast zbladł, czując, że pod ciężarem owego spojrzenia za chwilę się wywróci.

Ilona wyczuła słaby moment męża (w czym była zresztą prawdziwą mistrzynią) i po raz kolejny pospieszyła z pomocą:

- Z awansem nowym wraz!

- Jezuuuus! - zaświegotała nagle teściowa Cecylia, zwana w rodzinie Cecutkiem, do tej pory poniekąd mentalnie nieobecna. - I się nie chwalicieeee...?

Klasnęła w dłonie o palcach jak serdelki, a galaretowate draperie na jej ramionach zafalowały filuternie.

- Mamcia, kiedy obiad? - spytała niespodziewanie Oliwka.

- Nie przeszkadzajże! - ofuknęła córkę Ilona i uśmiechnęła się do matki. - No jak się nie chwalimy, jak się chwalimy! Seba, nie, że się chwalimy...?

Inżynier zrozumiał, że teraz to on musi żonę wspomóc w nieprawdzie.

- No jak nie, jak tak! Chwalimy się jak amen w pacierzu! - wykrzyknął z nadmiernym entuzjazmem, nurkując równocześnie w bagażniku, z którego nijak nie mógł wyszarpnąć wielkiej walizy.

Florian Szmaroń przyglądał mu się z dezaprobatą, za to jego żona, zwana Cecutkiem, eksplodowała dziarskim piskiem:

- Bogu dzięki, że zmieniłeś tę gównianą pracę awansowałeś!

I uśmiechnęła się przy tym szeroko, a jej niewielkie oczy zmniejszyły się jeszcze bardziej i prawie znikły pod rozciągniętymi polikami. Z perkatym nosem i lokami rzadkich włosów, wznoszącymi się symetrycznie po obu stronach głowy, by w końcu klapnąć na podobieństwo wielkich uszu, teściowa inżyniera Rawy rzeczywiście przypominała świnię.

- Niczego nie zmieniałem! - zacharczał główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych, do żywego rozdrażniony lekceważeniem jego profesji, i ile miał tylko sił, naprężył się, by wyszarpnąć ciężki sakwojaż z bagażnika.

- Synu, lakier mi porysujesz! - jęknął zrozpaczony Florian Szmaroń i ruszył w stronę zięcia. - Daj tę walizkę!

- Nie! - tępy sierp pisku w sekundę rozharatał niewinny do tej pory rwetesik.

Wszyscy stanęli jak wryci i wlepili zdumione spojrzenia w Cecylię Szmaroń, zwaną Cecutkiem.

- Ty się, Floryś, za dźwiganie nie chytaj, bo kręgosłup sterrany masz! Chłop młody, niech się z życiem mocuje! - oznajmiła teściowa stanowczo i przebiegła oczami od męża do zięcia. - Mocujesz się z życiem, Sebuś?

Inżynier Rawa, ciągle jeszcze spocony od wyciągania rzeczy z bagażnika, nie miał najmniejszego powodu, by kłamać.

- Nieustannie, mamusiu! - zasapał. - Nieustannie!

Teściowa uśmiechnęła się łagodząco i najwyraźniej uznając, że kryzys został już zażegnany, wróciła do wątku, który jej nonsensownie przerwano.

- I Bogu dzięki, że zmieniłeś tę gównianą pracę awansowałeś!

- Mamcia, kiedy obiad? - spytała ponownie Oliwka. - Bo mi już burczy!

- Właśnie, obiad! - klasnęła w dłonie Ilona. - Czym chata bogata was podjąć umyśliłam, ale i skromnie zarazem, boć to nie czas na pstre karnawały i celebrę gnuśną! Chceszli wiedzieć, mamunia, jakie menu na wasz tu w stolicy pobyt niedługi zaordynowałam?

Niestety, ku utrapieniu Ilony jej matka pozostawała obojętna na zanęty stołu, wwiercając się za to niebezpiecznie w sprawę rzekomego awansu zięcia.

- Bo wstyd było sąsiadom coś mówić nawet wręcz! - rozwijała metodycznie rolę zbędnej intrygi. - „A gdzie zięciu pracuje?” „A śmieciarzem jest!”

Ilona zbladła i na migi zaczęła pokazywać mężowi, by pod żadnym pozorem nie wchodził w polemiki. Na próżno. Narowista pośepność zbyt mocno już szarpała jelitami inżyniera.

- Tysiąc razy mamie powtarzałem, że nie śmieciarzem, bo my w naszej placówce komunalne odpady utylizujemy! - Sebastian Rawa zazgrzytał nieprzyjemnie niczym zgniatarka do plastiku.

Sytuacja wyraźnie zmierzała w stronę katastrofy, więc Ilona uznała, że najwyższy czas na tak zwany rzut poświęcenia, i wydała rozpaczliwy okrzyk:

- Mamunia, ja fakam, ale mi się ryj cieszy, że was widzę i goszczę!

Jakież było jednak jej rozczarowanie, kiedy okazało się, że nikt na nią nie zwraca uwagi.

- Czyli, żeś utylizatorem? - spytał zaciekawiony teściu.

- Wysypiska pracownikiem! - odpowiedział hardo Sebastian Rawa, dziwiąc się, że głos mu nie zadrżał.

- Jak zwał, tak zwał, a prawda taka jest, że to w syfie babranie, ot co! - zmarszczyła się emocjonalnie Cecylia Szmaroń. - Dobrze zatem, że defakto pizgnąłeś tę robotę!

No, tego już naprawdę było za wiele. Inżynier Rawa przeszył teściową spojrzeniem pełnym niechęci i wyszarpnął z bagażnika kolejną walizkę.

- Ale ja niczego nie pizgnąłem, co mama!

- Nie? - głos korpulentnej kobiety był skrajnie rozczarowany. - A Ilonka mówiła, że zadzwonił do ciebie sam... no wiecie kto...

Zamilkła, rozkładając ręce z emfazą przedszkolanki starego typu.

Zmagając się z ciężarem, Sebastian Rawa wbił w żonę wzrok domagający się wyjaśnień.

- Bo zadzwonił! - pospieszyła z odpowiedzią Ilona. - I Seba się już nie babrze, mamunia, bo Seba teraz zarządza i dyrekturuje!

Zdumiony inżynier upuścił walizkę na chodnik.

- Ja dyrekturuję?

Widząc walizkę na chodniku, teściu skrzywił się marsowo, a Ilona uznała, że najzręczniej będzie nie usłyszeć pytania męża, i z błyskiem w oku doskoczyła do matki.

- Wraz z nowym porządkiem zieć twój stanowisko dostał wyższe, i to bynajmniej odpowiedzialna jest funkcja i zacna! - ścisnęła mocno matczyną dłoń, jakby chciała, by jej słowa przeniknęły również dzięki osmozie powierzchni skórnych. - Wieszże, kobieto, ile odpadów nasze bohaterskie miasto Farszawa produkuje dziennie wypluwa?

- Nic a nic - pokręciła głową otyła kobieta, zwana w rodzinie Cecutkiem i bagatelizując u zarania wątek miejski, zagadnęła po raz kolejny zięcia: - Jak dobrze, żeś w te gremia kierownicze trafił, Sebuś! Wszak Pokraj nas potrzebuje, ludzi prawych i sortu lepszego!

- Oczywiście, mamó! - przytaknął inżynier, bo cóż w takiej chwili można było powiedzieć innego, po czym z najwyższym trudem dźwignął obie walizki, które udało mu się wyjąć z bagażnika.

- A jak twoja siostra, apropo, co u niej? - dociekała tymczasem teściowa.

- Bóg ją ma w opiece, zakładam - wystękał inżynier, krzywiąc się z wysiłku.

- Na wieki wieków amen - odbiła Cecylia Szmaroń i jak zawsze, gdy wspomniano pana i stwórcę świata, przeżegnała się.

Oliwka szarpnęła matkę za sukienkę.

- Mamcia, głodna jestem...

- Morda! - padła krótka odpowiedź, po której dziecko zamilkło.

- Tak czy siak tyle dziś do odbudowania po latach zaprzaństwa i ruiny, cały kraj w śmieciowisko zamieniony, a ty się na śmieciach profesjonalnie znasz, więc awansujesz, proste! - trajkotała nieprzerwanie teściowa. - A podwyżka duża?

- Ale mamó, czy marna mnie aktualnie w ogóle mnie słucha mnie?! - doprowadzony do ostateczności inżynier Rawa zaplątał się w meandry pokrajskiej frazy. - Czy jeno siebie w tym glugdaniu jak stołowa noga cepowatym?!

Co powiedziawszy, w geście protestu upuścił obie walizki na trotuar.

Teściu spojrział na niego wściekle, a teściowa, najwyraźniej dotknięta do ostatnich głębi, poczęła astmatycznie łapać powietrze.

- Próbujeszże mnie obrazić? - wyjęczała.

- Nie idź tą drogą, Seba - dopowiedział oschle jej mąż.

Schrypiły gulgot w jego głosie znamionował uruchomienie prawdziwie niebezpiecznych procesów hormonalnych. Instykt przetrwania podpowiedział inżynierowi, by wrócił na ścieżkę kompromisu.

- Ale tato, co tata! Ja jedynie podałem w wątpliwość, czy mama...

- Od poddawania to my, Pokrajacy, mamy Niemców, synu!
- szczechnął teściu, a w jego oczach zapaliły się nieprzyjemnie sine ogniki. - Zapamiętaj!

- Jasne, tato - zgodził się skwapliwie inżynier.

- I jeszcze ci jedno powiem.

- Tak?

- Wolę swoją skodziawkę niż to twoje amerykańskie gówno...

- Bo mniej pali?

- Pieprzyć oszczędności! - zagotował się teściu. - Jest ważniejsza kwestia, rozumiesz-wiesz...

- Mianowicie? - spytał cicho Sebastian Rawa, choć wcale nie był pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź.

- Mianowicie, że to nasze słowiańskie auto!

Inżynier wiedział, że powinien teraz milczeć, ale jakiś niepojęty wewnętrzny głos kazał mu się - całkowicie wbrew rozsądkowi - opowiedzieć za prawdą.

- Skoda jest akurat niemiecka, tato...

Emerytowany pułkownik zaryczał jak trafiony niedźwiedź, po czym dopadł do zięcia i złapał go za klapy.

- Co ja ci, purwa, mówiłem przed momentem, Seba?!

Inżynier Rawa poczuł, że ziemi dotyka zaledwie czubkami butów. Oraz że teściu jadł na śniadanie coś z cebulą. Obie te rzeczy nie wydały mu się warte bliższego poznania, ale było już za późno.

- Żeby nie szedł tą drogą? - jęknął cicho i spróbował uformować twarz na podobieństwo disneyowskiej przytulanki.

Najwyraźniej jednak teściu nie był wrażliwy na wdzięki menażerii z pluszu i trząśł się jak wulkan, który przerwał negocjacje i postanowił, że jednak pierdolnie.

Zginę, tak mało o życiu się dowiedziawszy - pomyślał inżynier Rawa, zaskoczony kalejdoskopem pięknych kobiet z basenu, który pojawił mu się właśnie przed zamkniętymi oczami. Naprawdę był zdziwiony, że tak dobrze je zapamiętał.

- Japa, śledzie!!!

Krzyk Ilony był tak dojmujący, że w okamgnieniu znikły nie tylko basenowe lolitki, ale też inżynier Rawa poczuł, że stoi twardo na ziemi.

Otworzył oczy.

Florian Smaroń stał obok niego i całkowicie zaskoczony wpatrywał się w córkę.

- Nie czyńcie mi tu jaskini zbójców! - krzyczała Ilona, a pierś jej falowała jak u francuskiej Marianny. - Wszak gość w dom, Bóg w dom, tak w Pokraju święty obyczaj nakazuje, a kto świętości nie szanuje, niechaj do Niemiec wypierdala!

- Pięknieś rzekła, córuś! - pochwaliła ją matka i rozejrzała się. - A Oliwka gdzie? Bo kapcioszki mam dla niej i różaniec...

- Pewno już w kuchni dojada, charamza nienażarta! - Ilona wzruszyła ramionami. - Chodź, mamunia, barszczyk trzeba nastawiać...

Ujęły się za ręce i podreptały w stronę domu. Za nimi ruszył niespiesznie Florian Szmaroń. Przy drzwiach odwrócił się i wydał zwięzły rozkaz:

- Łap się za walichy, synu!

I znikł, nim inżynier zdążył pokiwać głową, że się, oczywiście, złapie.

Relacje Sebastiana Rawy z ojcem Ilony nigdy nie należały do łatwych. Teściu był z natury człowiekiem porywczym, a i trzydzieści lat służby w oddziałach komandosów również pozostawiło trwałe ślad na tej części jego charakteru, którą ludzkość nazywa łagodnością. Nie pomagało także i to, że od początku ich znajomości pułkownik Florian Szmaroń uważał inżyniera (wtedy jesz-

cze studenta Katedry Zagospodarowywania Odpadów i Unieszkodliwiania Ścieków farszawskiej politechniki) za totalnego pierdołę, a inżynier (wtedy jeszcze student) całkowicie się z tym zgadzał. Bez wątpienia miał na to wpływ również ich pierwszy kontakt, który wypalił w duszy Sebastiana Rawy tak silne piętno, że przez następne czternaście lat nie tylko się ono nie zabiżniło, ale nawet odrobinę bodaj nie przestygło.

Więc jeszcze teraz - stojąc z dwiema ciężkimi walichami przed domem, w którym mieszka już od ślubu, a do którego tamtego mroźnego poranka przed czternastu laty podązał ze swą pierwszą narzeczeńską wizytą - doświadczał inżynier Rawa wręcz organicznej terażniejszości odczuć.

Przygoda w przygodzie, czyli oczy po bokach

Oto pochyla się nad nim sinobure niebo, melanz nieprzychylnych ustawień zimowych Pokraju względem słońca oraz kominowych wyziewów z pieców opalanych plastikiem, folią, gumą, torebkami po czipsach i sreberkami po margarynie, a on drepcze w trzeszczącym śniegu, z zawiniętą w ocieplacz ciężką donicą, która wyciąga mu ręce przy każdym kroku, i mijając kolejne szare kloce szeregowców, zwane Osiedlem Oficerów, a przy nich mikroskopijne ogródki z kikutami drzew i krzaków, spomiędzy których wystają chochoły gipsowych łabądków, grzybków i krasnali, żałuje, że dał się wpuścić swojej narzeczonej w zupełnie, jego zdaniem, zbędną dyskusję o zaletach myślistwa.

- To nie jest zabijanie! - poucza go Ilona. - To eliminowanie jednego gatunku w trosce o drugi jest!

- Ale to był, zdaje się, jeden gatunek ten sam - riposta jest celna, choć niepozbawiona złośliwości.

Narzeczona staje na środku drogi i zerka na niego nieprzychylnie.

- Ty mi ojca nie bagatelizuj, Sebastian! - dyszy. - Szlachetny to sport myślistwo! I w pokrajskiej tradycji zakorzeniony!

Wykrzywia się przy tym asymetrycznie, jakby cokolwiek nazbyt ukośnie, falisto i na bakier, a on się boi, by tak jej nie zostało. Więc milknie i się uśmiecha, bo co jak nie uśmiech kobietę udobruchać może.

I słuszna to strategia, albowiem ona boczy się jeszcze tylko przez chwilę, a potem przystępuje i poprawia mu ubranie. Nieco się jeszcze przy tym krzywi, ale w żadnym wypadku nie dlatego, że jest zde gustowana jego wypłowiałą kurciną z sekendhendu Dandys, nie! Zapewne wyłącznie z wyziębienia, bo mróz niecnota wycisnął z siebie ostatnie poty, by dać im tej zimy do wiwatu.

- To naganiacz był tylko - szepcze już spokojniej, wręcz czule. - To się zdarza, ma miejsce często. Papa winy tu nie miał.

Sebastian Rawa zamyka na chwilę oczy i widzi na śniegu małe krople krwi. Potem trochę większe, zmieniające się z każdym skrzypnięciem butów w plamki, plamy i kałuże. Na koniec widzi naganiacza, w wieku wyklutej ledwie młodości, myszatego i o długiej, nieco mrówczej czaszce, który leży w czerwonej brei i trzyma się za brzuch.

- Kumpel to był - mówi smutno przyszły inżynier.

- Naganiacz - nastaje Ilona.

- Ale kumpel - stara się trzymać faktów jej narzeczony.

- Kumpel, ale taki mniej znany - próbuje rozmydlić rzeczywistość córka myśliwego.

- A mniej znanego to fuzją, bronią palną znaczy, potraktować się godzi? - wytyka jej niekonsekwencję Sebastian. - To hałaburda i raptus nieobliczalny!

Ilona odsuwa się krok, dwa od Sebastiana, jakby chciała skorygować głębię ostrości albo - nie daj Boże! - oburzenie nakazywało jej zwiększyć dystans cielesny do przyszłego męża, i wybucha z gniewnym dąsem:

- Mówisz o moim ojcu hałaburda i na drugie raptus?

- Mówię, co myślę, Iluś, i nie karz mnie za to ni cenzuruj, albowiem gdyż szczerą wieczną sobie poprzysięgliśmy - zaznacza dobitnie student katedry od ścieko-odpadów i czuje się jak na barykadzie ten i ów, o których uczą w szkole. - Zatem ci powta-

rzam, że nie tylko hałaburda, ale i gwałtownik oraz zacierzwieniec! I jak ja mam teraz onego raptusa o rękę córki prosić, do kolan padłszy? Jak go teraz w ogóle zalajkować i ojcem własnym ochrzcić? Z tą wiedzą, którą posiadam, o nieszczęsnego naganianca postrzeleniu? No jak? - kończy, wchodząc na najwyższy diapazon egzaltacji i piskiu.

I jest w tym uniesieniu na tyle wiarygodny, że narzeczona - wbrew utartemu w ich krótkiej relacji zwyczajowi - nie ciemieży go i nie utrupia, ale kładzie uszy po sobie, mięknie, wręcz rozmakka.

- Ty go pochopnie oceniasz, Sebuś - tłumaczy aksamitnie. - Myślistwo to papy życie! Nasze życie, moje, twoje! Pokraju, ojczyzny naszej całej, nie waham się!

- Nie przesadzasz ty aby? - podważa odrobinę Sebastian Rawa.

- Ani trochę! - narowi się Ilona. - Nie pamiętaszli?

I już staje na środku ulicy, prawą rękę unosi i recytuje:

- „Natenczas Wojski róg swój chwycił bawoli i cętkowany jak wąż"... coś tam, coś tam, „oburącz i zadał jak w banię, a strzelcy, szczwacze i psiarnia zamilkli zadziwieni harmoniją pieni, a wtedy ten Wojski przerwał" i... - przerywa Ilona, walcząc heroicznie z krecią robotą pamięci. - A, już mam...! „Tu przerwał, lecz róg trzymał, wszystkim się zdawało, że gra, a on już nie grał". Jakież to piękne, purwa!

- Echo - dopowiada nieśmiało przyszły inżynier.

- Co echo?

- „Że to echo grało!"

- Nie wydaje mi się bynajmniej, chyba że w poprawionym wydaniu. - Ilona potrząsa głową w sposób, jaki podpatrzyła u aktorki Żandy. - Ale w mojej rodzinie od wieków był wyłącznie najoryginalniejszy z oryginalnych oryginał. I zeń mi papa czytał do snu o myślistwie, co prześwietnie wywodzi, iż polowania za czytelnictwa przewodem spajają rodzinę.

Uśmiecha się z satysfakcją, iż jej logiczny gambit ujawnił siłę eboli.

- Spajają rodzinę? - powtarza przyszły mąż i inżynier, z uśmiechem nie mniej sardonicznym. - Powiedz to zajączkom przez matki osieroconym...

- *Quod dixi dixi i tertium, purwa, non datur!* - krzyczy potężnie już nabzdyczona Ilona i tupie nogą dla dodania powagi słowom szlachetnych praprzodków.

Przyszły inżynier może i miałby jeszcze ochotę z tym również popolemizować, ale po pierwsze jest narzeczoną dżentelmenem, a po drugie czuje, że donica waży już szesnaście ton, a może i więcej, więc zaraz mu upierdoli ręce na amen.

- Przepraszam! - przeprasza i rusza przed siebie, byle dalej.

- Mam nadzieję. - Ilona drepcze przy nim, łapiąc się pod boki jak czerstwy Hucuł. - Bo wątpić zaczynam w miłość twoją i związek nasz narzeczeński! Czy ty mnie kochasz, Sebastian, czy ty mnie nie kochasz aby, zamilcz w sumieniu i rozważ! Bo ty mnie jak bies wciągasz w narrację abominacyjną o papie ukochanym, a wszak to teść twój przyszły, zatem rodziciel niejako też! Zaś jak wiadomo, zły to ptak, co we własne gniazdo kała i popiarduje, więc ty się lepiej postaraj, Sebastian, i ja ci radzę, uprzejmy ty bądź!

I tak sobie dyskutują, dochodząc do furtki najohydniejszego na całym Osiedlu Oficerów domu, którego front wyłożony jest świecącymi kawałkami butelek.

- To tu! - wdzięczy się Ilona. - Gotów?

- Nie - odpowiada Sebastian Rawa, a czarne mroczyki przedziwne mu poczynają wyprawiać w oczach hopsztosy.

- To pozytywnie raczej. - Ilona ciągle się uśmiecha, ale nagle poważnieje. - Tylko Sebastian, najważniejsze teraz: ty w oczy mu się nie patrz, bo on tego wielce nie lubi! Ty na wprost patrz! Ja cię błagam, nigdy papie memu komandosowi w oczy nie zaglądasz!

- Z przyczyny jakiejż to? - bąka student odpadologii i sam nie wie, do narzeczonej się zwraca czy do emaliowanych diablików, co mu się w głowie trykają o siebie, okrutny rej wach powodując.

- Albowiem gdyż ojciec mój urodzony to samiec alfa, mięsożerca nienasycony tudzież odrzyskóra! - jójczy Ilona nie na żarty i trzęsie się przy tym (nie dojdiesz: z ekscytacji czy trwogi?) jak góra zmijowych żelków. - Przeto oczy w siebie wbite za wypowiedzenie wojny traktuje, a jako weteran soldateski jeńców ci on nie bierze! Więc mu w twarz *expressis verbis* nie zaglądam, raz jeszcze zaklinam i rekomenduję!

A potem stoją już w przedpokoju, matka Ilony, pani Cecylia, zwana, czego jeszcze przyszyły zięć wiedzieć nie może, Cecutkiem, odwija donicę z ocieplacza i jej zdumionym oczom ukazuje się osamotniony badyl roślinny, wystający wertykalnie z ziemi jak suchotnik, bez jednego liścia, ba, choćby i cienia po liściu, więc łypie zdumiona pani domu to na córkę, to na męża, to wreszcie na osobliwego przybłędę, co jej ten absmaczny prezent dostarczył, a ów, ciągle jeszcze rzygliwie wykończony, ale już wracając do przytomności po krwi z mózgu nagłym odpłynięciu z powodu zbyt długiego przedźwigu, z magmy plam niewyraźnych wyostrza w końcu swoich teściów in spe, a dostrzegłszy szklisty wzrok zwalistego kłoca w kamizelce moro, w którym zasadnie rozpoznaje ojca Ilony, zgodnie z sugestią stara się tak meandrować własnym spojrzeniem, by ich oczy się nie zetknęły, ani teraz, ani najlepiej nigdy, wygina zatem przeciwpołożnie głowę, trochę jak kura albo jaki hecny mizerota z zespołem Touretteh, i peroruje o urodzie kwiatu, który przyniósł, że to roślina trwała, z łodygą nierozgałęzioną, u nasady zgrubiała w bulwocebule, z kwiatami dzwonkowatymi o barwie białej lub różowawej i przepięknym, ale to przepięknym zapachu, zapewnia i dodaje, iż miał serdeczną nadzieję na spotkanie z rodzicami jego ukochanej Ilusi, jak zdrobniale nazywa latorośl ludzi, do których się właśnie zwraca, już latem, gdy płatki urody niebiańskiej zdołały łodygę, którą teraz dzierży szanowna pani Cecylia, albowiem okres kwitnienia tuberoz, tłumaczy uprzejmie młody człowiek, przypada na kwiecień-czerwiec, choć on był nawet przygotowany i na wariant jesienny, nie uwierzycie państwo bynajmniej, wystarczy bowiem przechować bulwy w chłodnym miejscu i zasadzić je w sierpniu, by prze-

pięknym kielichem kwiat ów śliczny nagroził nas nawet i w listopadzie, apropos kielichów, trąca go ojciec Ilony, to może byśmy się już tak przemieścili na pokoje celem kusztyczka zapoznawczego, sznapsika, maluszka, lufki, karniaczka głębszego, uśmiecha się i łypie, ale Sebastian, pomny ostróg narzeczonej, by jej ojcu komandosowi w oczy nie spoglądać, obraca głowę, a z nią słowa, czy wie pani, że bulwy wymagają ziemi żyznej, próchnicznej, wyjaśnia student Katedry Zagospodarowywania Odpadów i Unieszkodliwiania Ścieków, rekomenduję zatem donicę zadołować w chłodnym inspekcje, a tenże w dni pogodne silnie wietrzyć, z wiosną zaś, zapala się coraz bardziej w tłumaczeniu, po silnym spulchnieniu gleby kikut zasadzić i zlewać obficie nawozami, mówi, uśmiechając się przy tym wdzięcznie do swojej przyszłej teściowej, tej zaś operetkowo podskakuje nietrwała trwała, zapewne z osłupienia, a jakże się ów kwiat tak w ogóle nazywa, pyta kobieta, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, wspominałem już, ale powtórzę po raz wtóry, że tuberoza, wyjaśnia cierpliwie zadziwiająco wygadany absztyfikant córki, a potem przybliży się do Cecylii Szmaroń i głosem niskim, na ile mu pozwala organizm, szepcze: „pani pachnie jak tuberoza, to nastraja i to podnieca, a ja lubię tuman narkozy, a najbardziej - gdy jest kobieca” i wie, że zapunktował u przyszłej teściowej, bo ta pąsowieje i ucieka ze wzrokiem, więc Sebastian, dla zmultiplikowania wrażenia, dodaje jeszcze: „Julian Tubim, maj namber łan”, na co pułkownik Szmaroń, dotychczas milczący, kwituje: „Ten Żydek?”, po czym zapada cisza jak makiem zasiał.

Trzy kwadransy później Sebastian Rawa dłubie widelcem w sałatce jarzynowej i już naprawdę traci rezon, nie wiedząc, w jaki sposób jeszcze mocniej przekonać do siebie tych ludzi.

- Być może to państwa zaskoczy, ale najwięcej odpadów organicznych pochodzenia roślinnego powstaje w cukrowniach i są to głównie odłamki oraz wysłodki buraczane, a także szlam defekosaturacyjny tudzież melasa - opowiada, ale z coraz mniejszą wiarą, że jego bezsprzecznie spora wiedza wywrze na rodzicach Ilony należyte wrażenie. - Aliści największe problemy z za-

kresu gospodarowania odpadami są udziałem branży mięsnej i drobiarskiej oraz ściśle z nimi powiązanej branży utylizacyjnej. Ponadto...

- Chudy jakiś - odzywa się nagle pułkownik Szmaroń, bagatelizując fakt, że oblubieniec jego córki tłumaczy niełatwe zagadnienia swej przyszej profesji.

- Chudy i mięsa nie je - dopowiada pani pułkownikowa.

Sebastian Rawa milknie i lękliwie zerka na narzeczoną.

- Ale je! - przychodzi mu z odsieczą Ilona. - Konsumuje!

- Pasjami wręcz! - wpisuje się w jej narrację Sebastian i wpycha sobie do ust wielki kawał pasztetu z dzika.

Komandos drapieżca obraca doń swą szczwaną i pełną wojennych tajemnic twarz.

- Nie ufam ludziom, którzy nie jedzą mięsa, rozumiesz-wiesz.

Głowa Sebastiana Rawy obraca się jak na szypule i chowa niemal pod pachą.

Wszystko, byle nie patrzeć mu w oczy - myśli młody człowiek, zmęczony już tą pierwszą narzeczeńską wizytą i ciągle nieświadom faktu, iż to dopiero początek męki. Czuje przy tym, że ów oschły mężczyzna z licencją na zabijanie ani na sekundę nie przestaje go obserwować.

- Oczy po bokach ma jakoś...

Metaliczny głos pułkownika dudni jak wyrok śmierci i Sebastian - ciągle pochylony, jakby mu coś pod stół upadło, co się podnieść stara - jest teraz pewien, że twarz ojca Ilony wykrzywia grymas repulsywnej wzgardy.

- Jak po bokach? - wydyma tymczasem wargi Ilona, przyglądając się swojemu wybrankowi. - Pośrodku ma, papa, popatrz...

I nuże ciągnie do góry łeb Sebastiana, a ów jak głupia owca, co się dać ostrzyc nie chce, narowi się i odkształca, taki sobie zatwardziały softler wczytał, by panu ojcu w oczy nie ślipić. Ale przyszła teściowa, co siedzi bliżej, skutkiem czego ogląd rzeczy ma lepszy, już toczy wzrokiem po obrotowej twarzy młodego

człowieka, a dostrzegłszy interesujące ją detale, wykrzykuje triumfalnie:

- Floryś, na wprost ma! Córunia ma rację!

Jej mąż jednak, który naprawdę nie lubi, gdy mu się błąd w oglądzie świata wykazuje, ciągiem obstaje przy swoim.

- Po bokach ma, kobieto, więc swarów ze mną poniechaj! Jak każdy człowieczy fitofag tudzież dostarczyciel pokarmu dla mięsożerców, ma je po bokach, by lepiej drapieżczego hegemonu ekosystemu wypatrzyć! Zaś z przodu gdyby owe miał, znaczyło-by, iż jest do ataku łowcą nawykłym. *Tertium non, purwa, datur!*

I zapada trupia cisza, bo i cóż da się powiedzieć po tak klarownym myśli wywodzie.

On ma mnie za fitoplankton - krzywi się w duchu Sebastian Rawa i intuicja z wolna poczyna mu podpowiadać, że w duecie z przyszłym teściem to nie on będzie, niestety, robił za prowodyra i cziczersona.

Z przyszłym teściem, który pochyla się teraz i ogląda ambitnego studenta śmieciownictwa z góry. Jak jakąś rybę nadymkę lub szkielet garbatego psa w libertyńskim monstruarium.

- A wódkę pije? - pyta po chwili pułkownik.

- Pije! - wykrzykuje Sebastian Rawa, czując, że to jego ostatnia szansa, więc musi wypaść perfekcyjnie. - I mu smakuje!

Ale ku jego zaskoczeniu ojciec Ilony się nie uśmiecha, jeno drapie się w ucho i krzywi, jakby ssał cytrynę.

- Osobliwy melanż natury - mlaska, nie kryjąc zdziwienia. - Pijak i roślinożerna.

W trzy kwadransy później pokój wiruje jak największa karuzela w Narodowym Lunaparku imienia Świętej Pamięci Rodzicielki Pierwszego Obywatela.

- To nie jest tak, synu, żebym miał coś naprzeciwko ciebie - mówi Florian Szmaroń i rozlewa spirytusowy likwor własnej produkcji do kłopotliwie dużych kieliszków. - Pij!

Przyszły zięć wyciąga drżącą rękę po trunek, ciągle starając się unikać wzroku przyszłego teścia. Idzie mu jednak coraz trudniej, bo trunek siłę ma i niezłe już mu w mózgowiu wytatuował

szurum-burum. Obrazy maślą się i mechacą, pani Cecylia, zwana Cecutkiem, majaczy gdzieś przy zlewie i się zagina, narzeczona zaś przefruwa z lewa na prawo i z góry na dół bez żadnej w swych trajektoriach logiki.

Logiko, powróćże i przytul! - myśli Sebastian Rawa, choć uczciwiej byłoby rzec, że w tych okolicznościach to raczej myśli się jemu.

A oschły komandos draży, jak drażył wcześniej:

- Z niezrozumiałych powodów, w zaćmieniu jakimś, dziecko moje wybrało ciebie. No ja się pytam, o czym to świadczy? Że jaka jest?

- Ślepa? - strzela bez celowania konkurent do ręki.

Pąsowe lico Floriana Szmaronia w okamgnieniu przybiera barwę pustynnej burzy.

- Miarkuj, purwa! - huczy. - O krwi mojej mówisz rodzonej!

Sebastian Rawa gotów jest przysiąc, że razem z nim drży stół. A może i cały pokój?

- Przepraszam...! - piszczy mysio.

Musi wyglądać naprawdę żałośnie, bo pułkownik go nie zabija. I powoli rozluźnia pięści, jeszcze przed momentem zaciśnięte w śmiertcionośne kilofy z rurek węglowych. Zamyśla się.

- Młoda jest, głupia... - mówi po długiej pauzie. - Pole manewru mam niewielkie, rozumiesz-wiesz.

Znowu milknie. Sięga po butelkę. Uzupełnia szkło po menisk wypukły.

- Toteż synu, ostatecznie, możesz zostać - stuka swoim kieliszkiem w stakańczyk przyszłego zięcia. - Pij!

- Dzięki! - odpowiada Sebastian Rawa i czuje, że go właśnie pasowano na rycerza i przyjęto do żołnierzy wyklętych.

I jak na pokrajskiego partyzanta przystało, stara się pić do dna. Ciesząc się, że sam pan dowódca, legendarny pułkownik Szmaroń, właśnie się do niego uśmiecha.

- A jak już jesteś u nas, to na polowanie cię wezmę, mężczyznę zrobię, życia nauczę...

Sebastian krztusi się wódką i niepomny zakazów łypie w przerażeniu na ojca Ilony, który zapewnia głosem najłagodniejszym z łagodnych:

- Się nic nie bój, na wodę głęboką nie rzucę. W nagonce pójdiesz.

Małe krople krwi na śniegu. Potem większe.

Niedobrze mi.

Plamki, plamy, kałuże.

Obrzydliwa ta wódka.

Ktoś leży w czerwonej brei i trzyma się za brzuch.

To ja.

Sebastian Rawa łapie się za usta i wybiega z pokoju. Zdegustowany pułkownik Szmaroń odprowadza go wzrokiem.

- To co, Sebastianku? - pani pułkownikowa, zwana w rodzinie Cecutkiem, pochyła się nad nim czule. - Pościelę ci w gościnnym...

Narzeczony Ilony ciągle leży na podłodze obok sedesu. Cała łazienka śmierdzi kwaśno acetonem i młody student, niewolny przecież od kindersztuby, bardzo chciałby przeprosić za cały ten burdel, a zwłaszcza za rzygi w kącie i stłuczony flakon perfum Masumi, których korzenno-różane wapory dopełniają ów osobliwy bukiet zapachowy. Chciałby, ale nie może, bo słowa ciągle nie chcą mu wyjść z obolałego gardła, które w ostatniej godzinie przeżyło transport z Sodomy do Gomory.

- Nie ma potrzeby - mówi zimno pułkownik Szmaroń, przytykając sobie do nosa mydełko Fa. - Z Iloną spał będzie.

Ciężko ranny szeregowy uśmiecha się do swego dowódcy z wdzięcznością. Ten jednak daleki jest od pacyfistycznych miązmatów. Prześwietla go wzrokiem kaliber 7,62 i strzela krótką, acz celną serią:

- Jeśli ją ruszysz... a poznam, że ruszysz... ubiję!

Brzuch szeregowego eksploduje.

- O, purwa, znowu rzyga! - słyszy głos swojej przyszłej teściowej Sebastian Rawa i umiera.

Zmartwychwstanie przychodzi zgoła osobliwie.

Bo gdy Sebastian Rawa spoczywa w ciemnym grobie, nagle czuje, że ktoś mu wsuwa rękę w majtki. Zaambarasowany otwiera więc oczy i w mlecznym świetle dostrzega Ilonę, która wierci się pod kołdrą przy jego boku w celu bynajmniej nie sypialnym. Uznaje tedy za niezbędne, by precyzyjnie wytłumaczyć narzeczonej swój aktualny status.

- Śpię - ziewa, usiłując przewrócić się na drugi bok.

- Przecież widzę, że nie - przytrzymuje go dziewczyna, a jej policzki zdają się zaczerwienione jak zdrowe oblicze gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze, na spoczynek powraca.

- Śpię bardzo - nasila argumentację jej zakłopotany narzeczonej, wszelako jego słowa najwyraźniej padają w próżnię.

- No, Sebuła, dajże mi tu swojego ogryzeczka, łan-tu-fri...

Spuszcza się na wierzch boru, z czego to było? - zastanawia się przyszły inżynier i nie mogąc sobie przypomnieć, zwała to na ów bimber zdradziecki, który mu wyjadł neurony. I skąd mi to w ogóle teraz od łba strzeliło?

Nie ma jednak czasu na płocze rozkminy, bo Ilona znów wwierca się pod kołdrę jak włosogłówka na głodzie.

- Ilo, nie tutaj! - tłumaczy cierpliwie Sebastian Rawa sprawy elementarne. - Nie pod rodzicieli twych dachem rodzinnym...!

Ale w oczach dziewczyny skrzy się już lepka Świtez i otwartość na gusła.

- Zrób mi to swoją szybkostrzelną gwintówką...!

- Nie mogę! - ryczy przyszły inżynier dokładnie w tym momencie, kiedy chwytna dłoń jego ukochanej natrafia na wielkie - bo małe! - rozczarowanie.

- Cóż to? - krzyczy dziewczyna i w desperacji półzwierzęcej zadziera kołdrę wysoko i precz odrzuca.

- Dysfunkcja mała taka - tłumaczy cicho student katedry odpadów i ścieków.

A potem czerwieni się dokładnie w chwili, w której jego oblubienica blednie.

- Chcesz powiedzieć, że za impotenta wychodzę wiąże się?
- padają słowa jak rapier kłujące.

cem, ale że pieca nie ma, namawiają właściciela czaszki, żeby przynajmniej zamknął ponownie powieki.

Ale on już nie umie, a raczej nie chce, bo z gęsią skórką na plecach i duszy wsłuchuje się w te przeraźliwe ni to rżenia, ni to jęki, jakie tylko otchłań samego Lucyfera produkować może. Jakby ktoś w środku monstrialnej ubojni, dla uciszenia skowytu wszystkich jednocześnie zabijanych zwierząt, a więc beku owiec, płaczu krów, lamentu koni, jazgotu kur, krzyku gęsi, bulgotu indyków i pisku lisów, puścił na cały regulator złote przeboje grupy Nergaloth, zakazanej w Pokraju z powodu okultyzmu i miziania się z piekłem.

I co najgorsze, w chwil pierwszych parę po wybudzeniu przyszedł inżynier nie wie, co jest przyczyną tej infernalnej orkiestry. Czy to - nie daj Boże! - tumor mózgowy jakiś we łbie mu eksplodował i doświadcza właśnie, biedak, ostatnich chwil swojej świadomości, odchodząc w tak osobliwy sposób w ów wymiar, gdzie wymiar nie ma znaczenia? Czy też może całkiem inna jest tego przyczyna, zewnętrzna zwana? Skupia się zatem student Rawa przepotężnie na rozcięciu tego kłopotliwego węzła niewiedzy, by już po chwili uzyskać pewność, iż ryki owe nieprzyjemne i jęczczenia od powały idą, a szczegółowiej: z sypialni rodziców Ilonki, nad pokojem córki za przyczyną decyzji architekta umiejscowionej.

Szturcha więc narzeczoną delikatnie i o wyjaśnienie prosi, ale ta wzrusza jedynie ramionami, poprawia stopery w uszach i wraca do lektury najnowszego numeru modnego pisma dla pań, czyta o wyciskaniu ropnych wrzodów i dawnych Pokrajankach, które nie bały się umierać na barykadach.

Aliści diabelskie wycie nad głową się wzmaga, więc Sebastian Rawa najpierw rozpoznaje jego dualny charakter, a potem obie jego składowe przypisuje do właścicieli głosów: pułkownika Floriana Szmaronia i jego małżonki. Dalej zaś, wsłuchując się z coraz silniejszym skupieniem w odgłosy z góry, uczy się je rozszczeplać na składowe pomniejsze i z każdą minutą coraz sprawniej rozwija ten przeraźliwy zlepek dźwięków, coraz doskonalej rozplą-

tuje ów kłęb pomruków, wizgów, skrzypów, chrzęstów, trzasków, sapnięć, pisków, zawodzeń, dyszeń i charknięć.

Aż dochodzi do takiej wprawy, że słyszy wszystko jakby na wielu śladach. Tu płytki wdech Floriana Szmaronia, tam głęboki wydech pani Cecylii, zwanej Cecutkiem. Tu stukot nóg łóżka, dobijanych do podłogi rytmicznym katarem bioder jurnego pułkownika, tam plask pośladków jego małżonki o ceratę...?

Czy to możliwe?

Nie, to pewno prześcieradło z wiskozy.

A potem poszczególne słowa: jeszcze, zakupy, lubię, włosy, dupa, masło, szerzej, oko...

Oko?

Chyba się przesłyszałem.

A potem nawet całe zdania: Rób mi to, Floryś, rób mi...! Wypnij się, no...! Jedziesz, jedziesz, jedziesz...! Uuuu...! Uuuu...! Oglądamy coś potem w telewizji...? Uderz mnie, uderz...! Oczyma po bokach, ci mówię...! Wsadź...! Wygląda, jakby był opóźniony w rozwoju...! Dochodzę, dochodzę...! A jak dzieci będą mieć głupie...? Rechryste, Rechryste, Rechrystuniuuu...! Ja też, ja też, ja... uuuuhhhh...!

Dalej już słyhać tylko przeraźliwy trzask, jakby pękał monstualny lodowiec i wielki jego kawał odrywał się, wpadając z pluskiem do oceanu, bulgotliwy krzyk małpy - a może świni? - dźgniętej w płuca wielkim nożem, oraz ryk króla lwa, który wszystkim hienom i całej reszcie cholernego tałajstwa daje do zrozumienia, kto naprawdę rządzi sawanną.

A potem zapada cisza, która zdaje się krzykiem nie do wytrzymania.

Ilona odkłada czasopismo, wyjmuje z uszu stopery i nie patrząc w ogóle na narzeczonego, gasi światło.

Sebastian Rawa śni, że nie śni. A dokładnie, że nie powinien. Więc co chwilę się we własnym śnie budzi i upomina, by nie śnić. Lub by śnić co najwyżej czerń. I ok ropicie go ten majak, w którym się ciągle budzi, męczy, choć lak naprawdę nie budzi się

w ogóle, ale śni o tym jedynie. Cóż z tego jednak, że śni, skoro i tak czuje się zmęczony, jakby w ogóle nie spał.

W końcu jednak dopina swego i wymusza na sobie zba-
wienny sen czerni najczarniejszej. I kiedy zapada nareszcie w nic,
i to, zaiste, głęboko, wówczas niespodziewanie, ale i przeraźliwie
nieprzyjemnie, znika całkiem tlen.

I Sebastian Rawa się dusi. Nie na żarty. Na amen niemalże.

Próbuje więc się ratować. Podrywa się tedy z łóżka, pragnąc
wciągnąć wielki haust powietrza, jednak jakaś potężna siła przy-
trzymuje go w miejscu i unieruchamia.

Przerażony otwiera oczy.

I widzi nad sobą dzikie oczy, co przeraża go jeszcze bar-
dziej.

Upiorna twarz pułkownika Szmaronia, pomalowana w ma-
skujące pasy. Bochen jego dłoni na ustach trzęsącego się ze stra-
chu studenta. Do tego mundur myśliwego i dwururka na plecach.

Nie zdejmując ręki z ust Sebastiana Rawy, pułkownik teść z
licencją na zabijanie pokazuje mu głową śpiącą obok Ilonę.

- Ciii, synu... Darzbór...

I uśmiecha się.

A potem w towarzystwie majora Kwiatosława Wydryszki,
będącego pułkownika Szmaronia cichociemnym komilitonem i
ziomem number 1an, brną przez gęsty las w kopnym śniegu, prze-
dzierając się przez gęstwę igielną i pni zmurszałych labirynty, a
przyszłemu inżynierowi z każdym kolejnym krokiem się zdaje, że
gubi buty, i coraz mniej mu się ta zabawa podoba.

A już zwłaszcza gdy docierają na miejsce zbiórki i po roz-
dzieleniu zadań - na miגי, by wróg zwierzęcy ich nie podsłuchał! -
kamienny ojciec Ilony każe mu ruszać przodem.

Sebastian Rawa robi więc minę, którą podpatrzył jeszcze w
cielęcych latach u Adasia Rembelskiego, swojego najlepszego
przyjaciela, człowieka skądinąd wielce błyskotliwego, wszelako
mającego silnie kontestacyjny stosunek do wydawanych mu pole-
ceń. Mina ta oznaczała nie tylko całkowite desinteresment dla
treści proponowanych przez pedagogów przedszkola Pionierów

Joliborskich, ale też jednoznacznie i ze wszelkich miar starała się im dać do zrozumienia, iż dalsze obstawanie przy swoim nie ma żadnego sensu, albowiem osoba, którą poprosili o to czy owo, jest absolutnym kretyńcem, wręcz doskonałym w swym skretyńczeniu, niczego zatem pojąć nie może.

Niestety, ku zaskoczeniu Sebastiana Rawy, pułkownik Florian Szmaroń nie reaguje właściwie na jego twarzy pusty stupor i nadal powtarza obcesowe gesty znaczące: naprzód! naprzód! ty tchórzliwy i pokurczy spurywysynu! I wymachuje strzelbą, strosząc przy tym brwi jak sowa lub Zygmunt Freud.

Właśnie owa broń palna jest przyczyną, dla której wystraszony student odpadologii nie chce odstąpić od przyszłego teścia na odległość większą niż lufa. I nadal udaje, że nie jarzy, co się do niego miga.

Ale i komandos cichociemny nie w ciemność jest bity (choć wielokrotnie w głowę poraniony) i nie z takimi rebeliami dawał sobie był radę. Dlategoż ani myśli po raz kolejny min i gestów stroić, tylko łapą swą bochniastą za kapiszon kurciny krnąbrnego studenta łapie, silnym odepchnięciem kierunek mu nadaje, a kopniakiem w dupsko nieodwracalność decyzji stempluje.

Rusza tedy Sebastian Rawa przed siebie i lak się stara meandrować, by go choje i dębczaki choć trochę w trajektorii śmiertelnej przesłaniały. Co chwilę też łypie za siebie przestraszony, czy aby ojciec Ilony już w niego dwururki nie wymierza. A co się, w przód idąc, obróci, to się na gałąź potylicą nadzieje, więc niezadługo podziabany jest i obolały oraz mokruleńki od potu, co zawsze lepka strugą skazanych na śmierć zalewa, i obiecuje sobie solennie, że jeśli cudem jakimś wyjdzie z tej karkołomnej awanturki żywy, to nigdy, przenigdy dziczyzny do ust już nie włoży.

I trwają te podchody ze dwa kwadransy najmarniej, a kiedy już w podszytym zajęcym studencie poczyna kwitnąć żonkil nadziei, iż wszystko po kościach się rozejdzie szczęśliwie, pułkownik Szmaroń, skradający się jakieś pięćdziesiąt metrów z tyłu,

przystaje i ruchem doświadczonego deerhuntera poczyna ściągać z pleców fuzję.

I już nie można mieć dłużej złudzeń, więc Sebastian rzuca się do ucieczki i kicając lekko przez wykroty, kluczy po zagajnikach, przelatuje jak trznadel nad rzeczulkami i ruczajami, prześmiguje zamarżniętą bagniska, smyrga w akrobatycznych przegibach nad wądołami, czmycha przez knieje i dąbrowy, pierzcha przez załomy i rozpadliny, daje dyla przez chruśniaki i gaiki, zmyka wzdłuż parowów i wedle przy stawie grobli, aż w końcu, za siedmioma lasami i siedmioma maratonami, gdy czuje, że uszedł żołdactwu pułkowniczemu zwycięsko, bestia jakaś ropusza, w zaroślach podstępnie ukryta, chwytą go za nogę szczęką gargantuiczną, miażdży ją i urywa.

Zapada ciemność.

A potem pojawia się okropny zapach bimbru i kiedy Sebastian Rawa otwiera oczy, widzi pochylonych nad sobą dwóch cichociemnych: pułkownika Floriana Szmaronia i majora Kwiatosława Wydryszke.

Pierwszy leje mu na twarz alkohol z menażki.

Drugi mówi:

- Patrzaj, Floryś, ja się tyle tych wnyków naszukałem, a kocur od razu znalazł!

Po czym zwraca się do leżącego:

- A teraz się nie drzyj, żołnierzu, choć będzie bolało.

Obaj komandosi zaczynają rozciągać wnyki, a Sebastian Rawa drze się, wbrew sugestiom, jak opętany.

Drze się, bo jak wiadomo, ma oczy po bokach.

Przygody czwartej ciąg dalszy

Więc najpierw teściowa długo opowiadała o tym, że Matka Boża ukazała się u nich na Pojezierzu Bzdziawskim już trzykrotnie.

- Pierwszy raz w Łędogrzycach na rynku, a dokładnie na witrynie sklepu Liwjatan, wczesną wiosną, jeszcze przymrozki były. Potem zaś w Cycach Kościelnych na rozstaju dróg, gdzie kapliczka ku chwale bohaterskiej klęski z Moskwicinami wzniesiona. Dzieci ją tam widziały, co z białego tygodnia wracały. Wisiała nad polnym duktem, płacząc złotymi łzami, zapewne nad ojczyzną naszą, nieustannie grzechem niewiary zagrożoną, bo przecież z byle powodu Najświętsza Panienka nie płacze. Wszak nawet, gdy się rodziła, łzy ani jednej nie uroniła, po raz pierwszy w życiu dopiero w chwili, kiedy jej Żydzi syna umiłowanego ukrzyżowali. A drugi - gdy w trójporozumieniu zdradzieckim ci sami Żydzi, wspólnie z Niemcami i Moskwicinami, nasz piękny Pokraj, co był naówczas od morza do morza, między siebie na trzysta lat z okładem podzielili. Zaś trzeci raz, z tego, co ksiądz proboszcz Kajetanek na mszy zapewniał, dopiero miejsce właśnie w maju tego roku miał, w tychże Cycach Kościelnych wspomnianych. Gdzie w przeciągu lat niewielu sanktuarium powstanie przeogromne jak w Fatimie lub Medziugorie. Tylko, jak przestrzegał ksiądz dobrodziej, wieś trzeba będzie jakoś tam przemianować, albowiem nie godzi się całego świata rechrystiańskiego z papieżem na czele zapraszać do Cyców, nawet i Kościelnych.

- A skąd wiadomo, że owe łzy złote były, babcia? - zapytała Oliwka, którą tak ta opowieść wciągnęła, iż całkiem zapomniała, że jeszcze przed momentem burczało jej w brzuchu przeokrutnie.

- Bo jedno z dzieci onych widziało - padła szybka odpowiedź. - Takie w twoim wieku, kochanie, ale nie dziewczynka, jeno chłopczyzna śliczny, blondasek i żywe srebro oraz ulubiony ksiądz Kajetanka ministrant, o nazwisku Brajanek Mydło. On to właśnie nie tylko widział naocznie Przenajświętszą Panienkę z jej

złotymi łzami, ale nawet i zdjęcie komórką jej uczynił. Niestety, blask taki bił był od Matki Bożej, że się jeno dwanaście promieni buchających od niej sfotografowało, który to cud ksiądz proboszcz natychmiast u siebie na instagram wrzucił.

- A ów trzeci cud? - spytała Ilona, z emocji obgryzając paznokcie.

- Ów trzeci był całkiem niezadługo potem, zaraz po Bożym Ciele - zaczęła Cecylia Szmaroń i czując, że mówi o sprawach fundamentalnych, natychmiast się przeżegnała. - Rębacz Filon Marmuzel z naszego nadleśnictwa, skończywszy właśnie wycinkę drzew, zaatakowanych kornikiem, z powodu lekkomyślności ekologów podatnych na miazmat myśli niemieckiej, wracał do bazy swoim harwesterem i przy wyjeździe na drogę Łęgogrzyce-Myszczastrawko czekał na do ruchu włączenie się. Zapalił papierosa, zachwycił się słońcem, które ostatnich kresów nieba dochodziło, i już miał ruszać, gdy nagle muzykę postyszał, jak gdyby dzwoneczki kryształowe pyrzyły rzewliwie niczym kropelki rosy w filmach rysunkowych. Obejrzał się zatem w bok rębacz Filon Marmuzel, skąd nadjeżdżał bezgłośnie, nie licząc tych dzwoneczków, jasna sprawa, pojazd o barwie perła metalik, a w nim Matka Boska Ostrogórska siedziała i przez otwarte okno pac-pac różańce wyrzucała. Jak trafiony-zatopiony pozostawał rębacz Filon Marmuzel w unieruchomieniu w czasie wspomnianego zjawiska nadprzyrodzonego i dopiero, gdy dzwonki na amen już były ucichły, do sprawności ruchowej powrócił, a puściwszy się przed siebie, asfalt począł po Matce Bożej całować i różańce zeń zbierać. Rychno się też okazało, iż nie wyłącznie na Pojezierzu naszym Bódziańskim, ale i w całym calutkim Pokraju przypadki podobne miały miejsce i odnotowanie, ale to pewno już wiecie, kochani moi, wszak Telewizja Narodowa Pokraju o owych cudach niezwykłych pręźnie informowała i cały czas informuje, amen.

Teściowa otarła spocone czoło, wyciągnęła z torebki różaniec z akrylowych koralików imitujących bursztyn i z niezwykłym przejęciem pokazała go zebrany.

- Od Matki Bożej bezpośrednio - wyszeptwała uroczyście. -
Via rębacz Marmuzel, rzecz jasna - uściśliła.

Po czym mrugnęła do męża, a ów - bez słów ją zrozumiał -
kiwnął głową i z kieszonki myśliwskiej kamizeli wyciągnął
inny różańczyk, o koralikach czerwono-białych.

- W barwach narodowych - potrzęsnał nim z dumą. -
Otrzymałem od ministra wojny Sowietana Maczegewarowicza, w
czas spoczynku przechodząc. Uściskał mi naoczas dłoń, podzię-
kowawszy za te wszystkie misje, o których nie mogę wam opo-
wiedzieć, boście choć rodzina najbliższa, to jednak cywilbanda, i
rzekł: jeśli ojczyzna nasza odrzuci różaniec, przestanie istnieć. Bo
tylko, kiedy Boga był wierny, był Pokraj bezpieczny, a kiedy...

Wzruszony teściu umilkł, a inżynier Rawa pierwszy raz w
życiu dostrzegł w jego oczach łzy.

- A kiedy odchodził od Boga, upadał - podjęła myśl męża
pułkownikowa, zwana Cecutkiem. - I jeszcze pan minister Ma-
czegewarowicz powiedział następująco, cytując: „Spróbujmy choć
raz jako naród uprzedzić wypadki, spróbujmy więcej się modlić,
bo za tym idzie wszystko”. Pięknie, prawda?

Wszyscy pokiwali głowami, że się zgadzają.

Zapadła cisza.

I trwała naprawdę długo.

Aż wreszcie teściowa klasnęła mocno w dłonie i jej galare-
towe ramiona zatrzęsły się wesoło, zapraszając do stołu. A kiedy
znieruchomiały, uniosła powoli ręce, ale nie za wysoko, tylko w
sam raz, jak to robił papież, a głowę opuściła lekko, wbijając
wzrok między sałatkę warzywną a jajka w majonezie.

- Pobłogosław, Matko Nasza, stół, gdzie chleb pokrajski,
kasza, co je będziem spożywali, niech apetyt nasz Cię chwali!

Odpowiedzieli chóralnie:

- Amen.

Przez twarz inżyniera Rawy przeszedł przykurcz melanco-
lii. Obwinał się, że jego głos zabrzmiał najslabiej. Szczęśliwie
nikt nie zwrócił na to uwagi, bo natychmiast zaczęli siadać, szurać
krzesłami, brzęczeć sztućcami i talerzami.

- No to co tam nam dziś, córca, winszujesz? - roznamiętniła się Cecylia Szmaroń, brzmiąc z każdym słowem coraz mniej wyraźnie, a to za sprawą gwałtownego przebudzenia ślinianek.

- Flaczki, nóżki, matjaski... - zarekomendowała Ilona. - Niby z dyskontu, a jak od babuni!

- O, jak od babuni, to wiadomo! - tubalnym basem odhuknął teściu. - Jak to od babuni, rozumiesz-wiesz!

Inżynier Rawa nie miał pojęcia, co znaczy „od babuni”, bo ożenił się z Iloną trzy lata po tym, jak jej babunia nie tylko przestała gotować, ale i jeść, a nawet oddychać. Zatem milczał. Czternaście lat przynależności do rodziny jego żony nauczyło go, że milczeć jest nie najgorzej. Aliści kiedy potężna dłoń teścia opadła mu przyjacielsko na plecy, poczuł, że śledź staje mu okoniem w gardle.

- A dla starego teścia co tam wyrychtowałeś, synu, pochwal się w szybkich abugach!

- Mołdawskie półsłodkie! Z Biedry, ale najwyższa półka! - zarekomendował inżynier głosem tyleż entuzjastycznym, co pozabawionym wewnętrzną szczerością.

Twarz teścia skrzywiła raptownie na północ.

- A wódki, synu, nie masz?

Spierdalaj, nie mam! - przyszło do głowy inżynierowi, szybko jednak skarcił się za tę płochość. Bo czyż warto się klócić? Zwłaszcza z człowiekiem, któremu służba w oddziałach specjalnych pozostawiła uszczerbek w tej części palety uczuć, którą ludzkość nazywa łagodnością?

Więc z opuszczonym wzrokiem Sebastian Rawa oznajmił tylko:

- Mocne trunki mi nie konwenują, tato...

Teściu uśmiechnął się szelmowsko.

- Szczęściem przywiozłem coś roboty własnej, rozumiesz-wiesz. Nie zgadniesz, ile toto gradusów zaposiada.

Zaprawdę, inżynier ani trochę nie chciał zgadywać, ale było po zawodach, bo teściu odbił właśnie flaszkę i zaczął polewać do kieliszków po winie.

- Za wasz urlop w Brzegobrzegu, dzieci! Do dna!

Sebastian Rawa zadławił się przy pierwszym łyku, ale teściu, nie poświęciwszy temu ani bozonu uwagi, rozpoczął peregrynację sentymentalną:

- Piastowskie tereny piękne i Niemcom sprawiedliwie odbite! Za młodego kota tam służyłem. Się brało ładunki na kuter, rozumiesz-wiesz, się wypływało i trzask-prask! Jak to jebło pod wodą, rozumiesz-wiesz, aż szkoda gadać! A potem te wszystkie rybska wypływały i wypływały, wielkie i tłuste. Zeżreć tego nie szło, więc szczury po nas kończyły, po plaży tylko łaziły leniwie jak koty. Piękne czasy, rozumiesz-wiesz...

- Apropo, szczury... - teściowa z głośnym mlaskiem przeknęła ziemniaczaną i spojrzała nieprzyjaźnie na klatkę z Ciotką Irenką, stojącą nieopodal nóżek i ryby po grecku. - Czy to higieniczne aby, gryzonia wśród żywności sadzać pomiędzy?

Zapadła niespodziewana cisza i wszyscy równocześnie przenieśli wzrok na szczurunię, która od dłuższego czasu usiłowała dosięgnąć przez kratki serka korycińskiego, ze względu na krótkość łapki daremnie. Pod ciężarem człowieczych spojrzeń biały gryzoń znieruchomiał, a potem wycofał się do plastikowej chatynki w kształcie serca.

- Jeden gancegal, skoro dziś i parówki się ze szczurzyny bynajmniej wytwarza! - zachichotał teściu, przerywając w końcu nieprzyjemną inercję dźwięków.

I sięgnąwszy po półmisek z frankfurterkami, uchwycił jedną i jął ją wpychać do klatki, mówiąc:

- Przywitaj się z kuzynką!

W tej samej chwili Oliwka poderwała się z krzesła i zdecydowanym ruchem odciągnęła klatkę od dziadka.

- Ja szczurzyny jeść nie dam, purwa!

Gwałtowna cisza ponownie spadła na zebranych, tym razem jednak - jakkolwiek paradoksalnie to brzmi - z prawdziwym hukiem.

Inżynier Rawa zamknął oczy i rozkazał sobie natychmiastowe zniknięcie.

No, już!

Teraz!

Już!

- Córcia, słowo obrzydłe wypłuj! - rozległ się głos żony inżyniera, a po nim stukanie widelcem o kubek z barszczem. - Dziadunia o wybaczenie pros!

No i znowu się nie udało - pomyślał z goryczą Sebastian Rawa, otworzył oczy i zerknął lękliwie na teścia.

Ów jednak, ku zaskoczeniu inżyniera, ani trochę nie zdawał się być zirytowanym. Mało tego, z trudem powstrzymywał się od śmiechu, aż w końcu się poddał i zarżał jak dziki koń.

- Niezłomna ci po mnie!

I zanim ktokolwiek zdołał pojąć, co tu zaszło, Florian Szmaroń pogładził Oliwkę po włosach.

- Swojego bronić trzeba, rozumiesz-wiesz! - uśmiechał się łagodnie. - A opowiadałem ci już, jakieśmy beżowych w Iraku szatkowali?

- Nie opowiadałeś, dziadzia.

- Albowiem nie mogę - emerytowany pułkownik rozłożył wielkie łapska w geście bezradności. - Gdyż permanentnie mnie top secret jawność uniemożliwia!

A potem, jakby chciał natychmiast splukać szłam owej nieprzyjemnej prawdy, napenił kieliszki przywiezionym przez siebie bimberkiem.

- No, synu... - zwrócił się do Sebastiana Rawy. - Za tych, co nie wrócili! Bęc-bęc do dna!

Bęc-bęc!

Bęc-bęc!

I jeszcze raz bęc-bęc!

Kanonada, palba, wystrzały.

Bęc-bęców cały ostrzał. Detonacje, erupcje i grzmoty.

Kiedy się ocknął, leżał inżynier z rozerwanym brzuchem na plaży Omaha i bezskutecznie usiłował łapać powietrze, czując, jak spieniona krew tryska mu spomiędzy zębów. Gdzieś z oddali słychać było niewyraźne głosy Niemców:

- Pyszne te koreczki, córcia!

- A skosztuj paszteciku!

Nadludzkim wysiłkiem - tylko nie mdlej! tylko nie mdlej, żołnierzu! - odzyskał świadomość i wepchnął sobie ratunkowego korniszona w bolesną wyrwę po ustach. Ból nieco zelżał i mgła, co wyginała dotąd prześmiewczo kształty, poczęła się z wolna przeredzać.

Nieopodal usłyszał słodkie:

- A jak wolisz zabijać, dziadzia? Karabinem, pałką czy nożem?

Uratować ją! Natychmiast ją uratować!

Otworzył raptownie oczy.

- Skarbie, a może ty się do łóża położysz celem odpocznienia?

Skarb nie odpowiedział, wystawił za to język.

Pierdoli tatusia! - pomyślał inżynier Rawa, zde gustowawszy się jednocześnie żołdackością własnej frazy.

Tymczasem teściu zamyślił się nie na żarty.

- Powiem ci, wnusia: dobre pytanie. A po namyśle uściśnę, że nożem. Bo najhygieniczniej. Tylko cięcie perfekcyjne musisz wykonać. - Ujął nóż do wędlin. - O, tak...

Poderał się z krzesła, w okamgnieniu przeskoczył za plecy inżyniera Rawy i fachowym uchwytem złapał go mocno za głowę.

Inżynierowi ponownie pociemniało w oczach.

- Tato...-zacharczał.

Teściu zdawał się go nie słyszeć.

- Widzisz, gdzie ręce trzymam? - tłumaczył wnucze.

Oliwka pokiwała główką.

- Tato... - ledwo zipiał Sebastian Rawa.

- I jak przyduszam, też widzisz? - żyłaste bochny teścia do kręcały na szyi inżyniera żelazną obręcz.

- Widzę, dziadzia - odpowiedziało dziecko jak w szkole.

Otumaniony zaciskiem Sebastian Rawa wybałuszył błagalnie oczy w stronę małżonki. Ta jednak była hen daleko, gdzieś w

doskonalszym świecie perfekcyjnej pani domu, i tamże zachwalała swej rodzicielce zalety nowego szybkowara.

Tymczasem teściu zaciskał łapska coraz mocniej.

- Potem odwodzę głowę, o, popatrz, jak to robię - tłumaczył rzeczowo. - Żeby mi gnój szyi w ramionach nie schował...

- Thaaathaaa... - rzeźił z coraz większym bełkotem półprzytomny inżynier, słysząc już nie tylko akustycznie, ale wręcz na poziomie komórkowym, jak spokojny i rzeczowy bas teścia zamienia się w głos Boga Najwyższego.

- A potem zdecydowanym cięciem jak ów u Żydków rzezak - charat!

W przedpokoju zadzwieczał telefon.

- Aliści nie dziabiemy na oślep, kochanie, nie! Jedynie jedno precyzyjne tętnic i splotów nerwowych przecięcie!

Komu dzwonią, temu dzwonią - pomyślał inżynier.

- A w konsekwencji natychmiastowa w ofierze utrata świadomości!

Nie pytaj, komu bije dzwon.

- I tylko raz na zawsze zapamiętaj, moja śliczna: grdykę omijać należy, bo się ostrze ślizga!

Mnie nie dzwoni żaden.

- Thatha, thelefhon... - wydyszał bezgłośnie ziemistoszary inżynier.

- Co mówisz, rabie boży? - zainteresował się w końcu Florian Szmaroń, a widząc drgawki zięcia, rozluźnił uścisk.

- Że dzwon dzwoniący dzwoni... - jękliwy żwir wysypał się z ust podduszeńca mizernym strumykiem. - A komu dzwoni, sprawdzić wychodzę muszę...

I podźwignąwszy się nie bez trudności, wybladły inżynier pokuśtykał w stronę przedpokoju, gdzie na ścianie, pokrytej do samego sufitu sosnową boazerią o agresywnym połysku, wisiał beżowy telefon z czarną słuchawką, niezmienny od czasów, gdy mieszkawali tu jeszcze państwo pułkownikostwo z niezamężną córką.

Inżynier Rawa przytknął słuchawkę do ucha.

- Rhawha inżynier przy automacie - wybełkotał nierówno, po przyduszeniu bowiem głos jego nie wrócił jeszcze do stanu pierwotnego.

W telefonie rozległo się, niczym drwiące echo, chrząkanie i dławienie, zatem główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych zebrał się w sobie i powtórzył, tym razem znacznie wyraźniej.

- Rawa inżynier przy automacie.

- Wiem, że Rawa inżynier, w końcu do niego dzwonię...! Ciebie znaczy...! - zahuczał tubalnie w słuchawce podekscytowany głos Adasia. - Wbijaj do mnie na warsztat, freszczu, i to ruchem węża, albowiem los właśnie ci cofnął miskę z zimnym bigosem...!

Jeszcze tylko brakowało mi teraz szaleństwa tego szaleńca - pomyślał Sebastian Rawa i trwożnie obejrzał się w stronę salonu, skąd dobiegały pochrumkiwania teściowej i wystukujące rytm marszowy oracje teścia.

- Ale ja teraz nie mogę, Adaś - wyszeptał konspiracyjnie. - Albowiem kolację z rodziną aktualnie mam.

Właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych przygryzł wargi, rozejrzał się po swoim zabałaganionym kantorku, strzepnął pył z dawno niedotykanych papierzysek na końcu biurka i poprzysiągł sobie, że tym razem nie da się wyprowadzić z równowagi.

- Co masz? - zapytał obojętnie.

- No, śledzie mam... I pasztet... I nóżki... I mortadelę...

W jednej chwili oczy Adasia zwężyły się jak u kota.

- Co ty mi tu, Seba, za kuchenne rewolucje odpierdasz?! - ryknął, odruchowo zwijając dłonie w pięści. - Przyjeżdżaj jak z bicza i na pełnej purwie...!

Inżynier Rawa poczuł, że rozjeżdżają mu się nogi na lodowisku życia.

- Ale tata Ilonki o pracy właśnie ciekawie opowiada...

- Piętnaście masz minut, frędzlu! Inaczej przyjadę ja! - zaryczał w odpowiedzi Adaś i z wściekłości cisnął komórkę na biurko.

Słusznie uznając, że wizyta jego najlepszego przyjaciela to najbardziej fatalne z rozwiązań tego wieczoru, inżynier Rawa zjawił się kwadrans później w kantorku firmy „Adam Rembelski - limuzyny ślubne wynajem” i pochylił się nad komputerem, w którym leciało arcydziwne nagranie.

- Hejka, nazywam się Bułas Anita, lat dwadzieścia i pół. Znalazłam twój... znaczy... pana anons o filmie informację. Marzyłam o takiej chwili od dziecka, bo wszak mam talent od dziecka...

Mówiąca wprost do kamery dziewczyna była zaiste oszałamiająca. Karmelowa karnacja, wielkie oczy, ufne, choć czarne niczym diabelski obsydian, oraz zmysłowe i naturalne usta, cokolwiek tylko przesadnie uszminekowane waginalnym różem, stawały jej urodę w rzędzie takich piękności jak Beyonce, Rihanna czy grająca królową Jadźwinę Anna Glass (czego inżynier Rawa wiedzieć nie mógł, albowiem o żadnej z nich nigdy nie słyszał). Ogólną hollywoodzkość Anity Bułas obniżał jedynie jej osobliwy strój słowiańskiej pin-up girl: obcisła biała koszulka z potężnym wycięciem na biust i napisem: OD URODZENIA DUMNA Z POCHODZENIA, spódniczka do pół uda, w kolorze gwałtownego pawia, legginsy w łowickie kwiaty oraz pseudoludowe trzewiki z fluorescencyjnymi sznurówkami.

Drobne te mankamenty pozostawały jednak poza jakąkolwiek przytomnością obu zbaraniałych przyjaciół, gapiących się w ekran komputera, z którego padały słowa coraz bardziej egzotyczne.

- Aha, no i zawsze chciałam cię poznać... pana znaczy... bo ja wszystkie filmy pana znam, panie Rawo reżyserze. I zrobię też wszystko...

Czekoladowa bogini zamilkła, najwyraźniej szukając odpowiednich słów, a dla lepszego ich odnalezienia podniosła obie ręce i smukłymi palcami o tipsach w barwach narodowych zaczęła przejeżdżać po gęstych, wysoko upiętych włosach, mrużąc przy tym oczy. Po czym uśmiechnęła się, podeszła bliżej do kamery i wyszeptała:

- ...naprawdę wszystko, żeby cię do siebie przekonać, Sebastian.

I nim jej piękną twarz unieruchomiła stopklatka, zdołała jeszcze przesłać w eter zmysłowego całusa.

Sebastian Rawa poczuł, jak płomieniste motyle zaczynają mu krążyć wokół czakry korzenia, i zamierzał rozmarzyć się na chwilę lub dwie, niestety Adaś klepnął go w ramię tak mocno, że nastrój uwznioślenia zwiądnął mu w jednej sekundzie.

- Zeszfał! - ryknął najlepszy przyjaciel inżyniera. - Afrykańska królowa w Chinach niepodrabiana!

Inżynier zerknął na opis przy zatrzymanym filmie.

- Tu pisze, że z Żółciostoczczyzny.

Adaś wyciągnął rękę i począł wymachiwać przed oczami przyjaciela swoim grubym palcem.

- Nie boli nic! Najwyraźniej piękno człowiecze i w tamtejsze dotarło ostępy! - zakrzyknął z werwą, ukazując w triumfalnym zacieszu swą okazałą diastemę. - Reżyserze Sebastianie, świat stanął przed tobą czarownym otworem!

Jednak widząc niepewność na twarzy inżyniera Rawy, ściągnął czoło i przyprószył oblicze gruzem zmarkotnienia.

- A co ty masz za wyraz na twarzy grymas? Jak, purwa, pingwin w lato?

Istotnie, inżynier Rawa skwaśniał w jednej chwili i na zdjęcie pięknej Anity zerkał aktualnie z miną pozaziemskiego zwierzęcia E.T., bez wiary łypiącego w stronę nieboskłonu.

- Gdyż myślę, że jak sąsiedzi ją zaobserwują albo kto... - zadrżał na samą myśl, iż tym kimś mógłby się okazać, nie daj Boże!, jego pieniacki teściu. - Piękna istotnie jest Anita, ale charakterystyczna. A jak mnie kto z nią zobaczy, rozpozna?

Ale Adaś najwyraźniej na wszystko miał odpowiedź.

- To do Egiptu heban węź!

Sebastian Rawa złapał się za głowę. Owszem, w szkole jego przyjaciel zawsze był durnowaty z geografii, ale można było mieć nadzieję, że się od tego czasu choć odrobinę podciągnie. Jak wiadać jednak, na próżno.

- Żeby czarną piękność w tłumie zgubić, to nie ta część Afryki, Adamie Rembelski! - inżynier zamachał rękami tak samo, jak to czynił pan Onufry Kipiączka, który uczył ich o krajach i kontynentach w szkole podstawowej imienia Bojowników o Wolność i Demokrację, przemianowanej obecnie na Obrońców Życia Poczętego.

Ale Adaś zupełnie owej manualnej aluzji nie dostrzegł.

- Siebie zgubić masz! - zaśmiał się i tylko głową pokręcił, jaki z tego Seby nielot tudzież łeb kapuściany.

- Ja z kolei za jasny na Egipt jestem, albowiem gdyż...

Inżynier Rawa zamierzał właśnie wytłumaczyć przyjacielowi, że rasa negroidalna, z której śliczna Anita najwyraźniej wywodzi korzeń swój kolorystyczny, zamieszkuje część Afryki poniżej Sahary, zwaną nie bez powodu Czarnym Lądem. Natomiast Egipt - jakkolwiek ciapato byłby postrzegany przez mleczną ludność Pokraju! - zaludnia rasa biała, choć w semito-chamickiej swej wariacji.

Jednakże Adaś nie dał mu skończyć, a nawet - bądźmy uczciwi - zacząć, krzyknąwszy z irytacją:

- Nie na karnacji twej strategię swą opieram, ale na skłonności do mordowania gatunku naszego! Tam teraz zawierucha terrorystyczna jest i pożoga w Egipcie tym! Dlatego tam się udasz z kochanką zatem tam!

I wałnął pięścią w stół, chcąc owym imperatywnym gestem zakończyć dyskurs, który uznawał za bezcelowy. Ku jego zaskoczeniu, zazwyczaj zgodny inżynier uznał, że tym razem nie da na sobie drew rąbać, i podparłszy się chwacko, zapewne, by nadać posturze większą moc, wystrzelił:

- Przyznam, że nie podzielam!

Z początku Adaś zlustrował Sebastiana Rawę wzrokiem niewolnym od irytacji, wszelako gdy dostrzegł, jak pocieszenie rysuje się jego najlepszy przyjaciel w tym swoim wątlwym uporku, pokiwał jeno z politowaniem głową.

- Oj, bogiem wojny Clausewitzem to ciebie, Seba, nie wydrukowali - zachichotał, a potem jął tłumaczyć: - Szurum-burum

jest teraz w Egipcie polityczne i społeczne, to raz! Niby nic takiego i nie na skalę przemysłową, ale co pewien czas ciapateria miejscowa strzela do turystów jak do, nie przymierzając, bocianów.

- W tym akurat przypadku zwrot „nie przymierzając” jawi mi się jako niefortunny, Adaś - wyznał smutno inżynier Rawa.

- Lingwistyczny wersal jest teraz całkowicie bez znaczenia, Seba - skontrował z zaciśniętymi zębami szef firmy „Adam Rembelski - limuzyny ślubne wynajem”. - Ważne, że w Egipcie nadmienionym jest aktualnie w turystyce sytuacja, którą bez zbędnych bizantyzmów można określić jako burdel hybrydowy. To dwa.

Inżynier pokiwał koncyliacyjnie głową, że się zgadza.

- Czyli jak tam burdel w turystyce jest, to jak tam aktualnie jest? - pięć ostatnich słów Adaś zaakcentował, pięciokrotnie dźgając palcem w ramię przyjaciela.

Ostatnie kujnięcie było na tyle mocne, że Sebastian Rawa aż się skrzywił.

- Bardzo źle? - wyjęczał.

Adaś klasnął z całych sił w dłoń.

- No! - ucieszył się. - Czyli bardzo dobrze!

Inżynier Rawa zamrugał oczami.

- Dla kogo? - bąknął.

- No dla ciebie, a dla kogo?! - zdziwił się nieprzyjemnie Adaś. - Beżowi łby sobie urywają, to i nikt tam nie jeździ! Ergo żaden cię sąsiad, znajomek, przyjaciel rodziny czy inny łożogrzej nie namierzy, nie wyczai, nie sfotografuje. To trzy! A i last minet jak se jutro wykupisz, to cię tanio obleci, bo na tereny terroryzmem infeknięte jak nic promocja jest! - zakończył, klasnął w dłoń głośno po raz kolejny i roześmiał się szczerze, najwyraźniej zauroczony tężyzną własnego intelektu.

Tymczasem Sebastian Rawa łypał na niego oczami monstrualnie rozwartymi, jakby wzrok mu się dusił i rozpaczliwie łąpał tlen.

- Jak to jutro last minet wykupisz? - wybełkotał w końcu przerażony. - Wykupię, znaczy?

- Bo jutro już Anita do stolicy przyjeżdża! - zagrział właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych i stuknął paluchem w ekran komputera. - Co w korespondencji dodatkowej obwieszcza!

Sebastian Rawa przerzucił swój ciągle niedotleniony wzrok na ekran komputera. Istotnie, „przyjeżdżam jutro, pa!” było wisienką na torcie mesydu od prześlicznej Anity Bułas z Żółciostoczyzny.

Inżynier poczuł, jak jego ciałem wstrząsa gargantuiczny przykurcz melancholii.

- Ale ja nie mogę, Adaś, jutro... - wystękał głosem napęczniałym apatią.

Mięsista facjata właściciela przedsiębiorstwa wynajmu limuzyn ślubnych wygięła się w grymasie rozczarowania.

- Terminu wigilii się nie wybiera!

To akurat Sebastian Rawa wiedział aż nazbyt dobrze. Jak i że seksowna żółciostoczanka to dla niego zbyt wysokie progi. A nawet gdyby, w co trudno było mu uwierzyć, zechciała na niego cudem jakimś popatrzeć przychylniej, to już los ladaco, co nieraz z inżyniera drwił i na gościńcu męsko-damskiej przygody kopniaki poniżające wymierzał, zadba, by zmakiemfigość, niedlapsakielbaństwo i niedlakotaspyrkość sponsorowały mu dni najbliższe. Dlatego też główny specjalista od odpadów i ścieków, poczuwszy się jak przedmiot swych mozołów zawodowych, poszarzał w tym momencie ze smutku i rzekł głosem nieprzyjemnie zagrobnym:

- Pojutrze też nie. W ogóle u mnie w życiu, Adaś, przez najbliższe dwa tygodnie zawisa tabliczka „nieczynne”.

I otarł łzę, co skapnęła mu na rękaw.

Adaś chwycił się za poły koszuli, by ją rozedrzeć w rozpacz przemieszanej z irytacją. Jak ów Reytan herbu Rejtan, co protestował przeciw bisurmanom, którzy przed wiekami cięli Pokraj niczym postaw czerwonego sukna, wspólnie z Moskwicinami, Hiperborejczykami i pruską żydomurzynerią.

Ale szybko pomiarkował, że ma na sobie nie koszulę, jeno bluzę od dresu wciągana przez głowę i szarpanie gównem, nie symbol ojczysty. Więc się niczym baron Münchhausen za włosy

złapał i w ten sposób się wyciągnąwszy z chwilowej desperacji, zakrzyknął rozeźlony i jak osa cięty:

- Co ty mi tu za targowicę odpierdalasz, Seba?! I dobrą zmianę w padole swego żywota odrzucasz?!

Najsampierw zapadła trupia cisza, a potem inżynier Rawa odezwał się strutym głosem:

- No przecież jutro do Brzegobrzegu się wakacyjnie udaję. Wraz z Iloną plus córką Oliwką mą.

Twarz Adasia ponownie się wykrzywiła, tym razem w dąsie obrzydzenia.

- Chyba cię pojebało...!

Nie minęły trzydzieści trzy pacierze (którą to jednostką odmierzania czasu od czasu swojej religijnej reaktywacji uwielbiała się posługiwać matka Ilony), a Sebastian Rawa owo oschłe w swej komunikacyjnej bezpośredniości zdanie usłyszał po raz kolejny.

- Chyba cię pojebało...!

Siedział już wówczas na powrót przy stole w domu rodzinnym, z zaschniętym gardłem i wielką kulą niby-gipsu, która tężała mu gdzieś pod splotem słonecznym, by następnie pod swym własnym ciężarem obsuwać się z wolna w okolice dolnych flaczków.

Naprzeciw niego rozmościł się familijny trybunał inkwizycyjny. Nieruchomi i zimni jak kamienne posągi przewiercali go laserowym wzrokiem hammurabijna żona i jej okrutni rodzice: emerytowany bóg Marduk oraz bogini Mardukowa, zwana w Babilonie, nie wiedzieć czemu, Cecutkiem. Nie było tylko Oliwki, którą rozboleł brzuch, więc zamknęła się z tabletem w toalecie.

- Chyba cię pojebało! - powtórzyła po raz kolejny Ilona, blada jak śmierć angielska. - Niby co? Że do Brzegobrzegu odmawiasz i nie udajesz się?!

Raz po raz Sebastian Rawa wydawał sobie polecenia natychmiastowego zniknięcia, ale oprócz przykurczu w plecach i dokuczliwego żgania nerwu piszczelowego, które wyginało mu szponiasto palce prawej stopy, nic innego nie zdołał na swym organizmie wymóc.

Ta mrzonka, że mi się uda, była szaleństwem, za które właśnie przychodzi teraz uiścić opłatę. Jak mogłem uwierzyć, że uda mi się ich okłamać? Mnie, który nigdy nie umiałem oszukać nawet kogoś tak łatwowiernego jak ja sam?

Ale przecież nie z czystego egoizmu to robię! - dygotał dalej inżynier. Wszak profesorowie przesławni wypowiedzieli się w owej kwestii najlepsi, w sposób niepozwalający mieć złudzeń.

„Niewyjaśnione przypadki zgonów mężczyzn w wieku czterdziestu lat spowodowane są monotonią ich życia seksualnego”!

Nie pytaj więc, rodzino, komu bije dzwon!

Bo bije on mnie, samczemu biedaczynie!

A i nie tylko mnie, bo kiedy Sebastian obumrze, to obumrze nie jedynie sobie, ale i wam, nieszczęśni! I wówczas brak męzowskiego pierwiastka tudzież ojcowskiego ciepła przeobraca was i wymiętosz w bezwzględny wirnik istnienia!

Na co wszak żaden odpowiedzialny filar rodzinny pozwolić nie może!

I dlategoż to, choć z oporami (wszak sumienie posiada tudzież rozum politechniczny obliczający konsekwencje jak kalkulator), podjął tedy wasz filar rodzinny spontanicznie ową misję, przez najlepszego mu przyjaciela wyznaczoną! By do robala nie odchodzić, rodziny przedwczesnym kirem żałoby nie oblekając! By zbyt pospiesznie kapci nie otrzepywać, kuśtykając na wieczną wartość! I by nie dednąć na zbyt wczesnym lewelu, nie zstąpić z areny życia, nie wykorkować jak zwietrzałe wino, nie powiększyć grona aniołków oraz nie przenieść się do niebieskiej chwały, brak amen, stop!

Aliści zaprawdę powiadam wam, że by tę akcję epicką wykonać, odpowiedzialny filar i fundament nie może do Brzegobrzegu na urlop podążyć, a czas ów - poza kontrolą żony i córki przepędzony - na seks ratowniczy przeznaczyć musi! I choć nie ma w nim wiary strzelistej, iż misja ostatniej szansy, co ją z najwierniejszym druhem i towarzyszem zaplanował, uda się na zicher, to musi podjąć grę ze śmiercią, albowiem - na rapy Rechry-

sta! - właśnie tego wymaga od niego odpowiedzialność odpowiedzialnego Pokrajaka tudzież zaszczytna funkcja głowy domu!

Oto dlaczego aktualnie kłamie i choć nogi mu drżą, a prawa stopa dygocze jak u perkusisty, co strasznym łomotem satanizm opiewa, kłamać dalej będzie! Albowiem wszystko uczynić należy, by ów seks ratowniczy mieć w końcu za sobą! I fortelem tym swą podstawową komórkę społeczną, czyli rodzinę, w szczęściu i pomysłności zachować!

- Nie mogę bo... - zaczął śmiało inżynier Rawa, wnet jednak przerwał, rozglądając się za odwagą, która momentalnie hycnęła gdzieś w ciemny kąt.

- Coś ty powiedział co? - oblekła go Ilona spojrzeniem niewolnym od febry i międzyludzkiego smogu.

- Głośniej! - wtrącił się teściu, strzelając nieprzyjemnie kóściami bochniastych dłoni.

- Coś ty powiedział co?! - powtórzyła więc, znacznie donośniej.

Ekspułkownik Szmaroń skrzywił się abominacyjnie.

- Nie ty głośniej! On głośniej! - zaryczał, racząc zięcia jednym z owych łypnięć bawolich, po których odechciewało się wszelkiego oporu.

Jednak inżynier Rawa dobrze wiedział, że nie czas teraz na białą flagę. Przełknął więc tylko ślinę i zgodnie z szorstką propozycją starał się mówić głośniej.

- Nie mogę, bo... - improwizował, z każdym słowem zaskakując samego siebie - ...bo zawezwał mnie... no wiecie kto i mówi... „Panie Sebku kochany, sprawa jest tu i teraz i bez odwołania... jak nie pan, to... panie Sebku kochany, szczerzy być muszę, nikt!”...

A kiedy zamilkł, skulił się w sobie niczym polny robaczek przepelniony trwożą, że jego kamuflażyk nie okazał się dość przebiegły i ptaszyska kołujące nad łąką zaraz go dopadną, a za kłamstewko ukarzą. Ale - o dziwo! - na twarzach Ilony i jej rodziców malowało się raczej trwożne zaintrygowanie niż policyjne fupy.

- No, Sebuś, powiem ci... - wybąkała w końcu Cecylia Szmaroń, sykliwie wypuściwszy powietrze jak złachany bojler. - Sami wiecie kto go zawezwał...! No...!

Inżynier Rawa powoli rozprostował kabłąk pleców, bo w głosie teściowej odnalazł niespodziewanie ździebełko wiary, więc postanowił je podać życiodajnym kompostem cygaństwa i błagi.

- Bogu dzięki, mamusia rozumie! - ucieszył się i zachęcony pierwszymi sukcesami zmyślał dalej. - I jeszcze się nachylił, głos ściszył i tak mówi: „Panie Sebciu kochany, dobrą zmianę w zakładach komunalnych czas wprowadzić. Wszystkie szmaty z miasta ziuuu, pan mnie wyczuwa?”...

Dla zwiększenia efektu Sebastian Rawa zawiesił głos i nie pomylił się. Na to, co dalej powie, czekano już z otwartymi ustami i ani trochę nie była to metafora.

- I tylko tak ręką machnął, no wiecie kto, jak mam oczyszczać... - inżynier wykonał nad głową zawadiacki wywijas i wbił przenikliwe spojrzenie w teściową, upatrując w niej obecnie najlepszego sprzymierzeńca. - Wyczuwa mamusia, jaka odpowiedzialność...?

Pani pułkownikowa aż zafalowała z emocji.

- Awansu to konsekwencje? - wyszeptała i z wrażenia przytknęła serdelki palców do wąskich ust.

- Nie inaczej - potwierdził konspiracyjnym szeptem Sebastian Rawa i mrugnął zawadiacko, by przerzucić dyskurs na wyższy poziom tajności.

Niestety, zapomniał przy tym, że wspomniany awans nie faktem był, ale jedynie wymysłem Ilony, który choć w niewielkim stopniu miał poprawić żaloszny obraz męża nieudacznika w oczach jej rodziców. I że oszukiwanie oszukującego oszustwem jego autorstwa może - a nawet musi! spotkać się z odporem tudzież pasją szewca rozwarcholoną.

- Awansu-sransu! - prychnęła więc impertynencko małżonka inżyniera i nalała sobie bimbru wprost do herbaty. - A co z urlopem, ty ludzka parafrazo?! Wszak dupą nie do morza się teraz wystawiasz, ale do żony swej i latorośli!

Na szczęście jej matka przybieżała zięciowi z lirą błyskawicznej pomocy.

- Ależ córcia, po co turbinę grzać, gdy konsensusu żagiel już się bieli?

- Się gdzie bieli? - zagulgotała Ilona, zbita z pantałyku niepojętą dla siebie postawą rodzicielki.

- W metaforze! - wyjaśniła pani pułkownikowa, wpychając sobie do ust potężną porcję sałatki jarzynowej. - Ze skoro nie może Seba z tobą brzegobrzeżyć, to sama się tam udaj i ciesz!

- Ale jak mam się sama po dorsza w tłoku pchać, to na koci chuj mi w ogóle mąż! - prychnęła z irytacją małżonka inżyniera Rawy.

Aliści gwałtowność jej reakcji zdezaktywowała się momentalnie pod ciężarem profesorskiej przenikliwości, jaką przyniosły najbliższe słowa matki:

- Córcia, z *vis maior* w życiu męża kobieta nie walczy!

Co powiedziawszy, Cecylia Szmaroń uniosła szklankę z herbatą, trzymając ją ostrożnie - by się, Boże broń, nie poparzyć! - za ucho stalowego koszyczka we wdzięczne formy kwiatowe. Potem długo smakowała napitek, z wyraźną rozkoszą, lecz powolutku, nadawszy ustom formę tulejki lub wręcz motylej tutki. Nie bacząc przy tym zupełnie, iż tkwiąca w szklance łyżeczka wbija jej się coraz głębiej w gąbczasty polik. A kiedy już skończyła, uśmiechnęła się promiennie i - choć mówiła do córki - ujęła za rękę swojego męża, z opiekuńczością Matki Ziemi.

- Mało to ja razy z tobą samotną kanikułę odprawiałam, kiedy Florysia rozkazy w jednostce haltowały...?

- Bo w wojsku mus to mus, rozumiesz-wiesz! - odpowiedział machinalnie ekskomandos, zaskoczony cokolwiek niespodziewaną czułością małżonki.

I również się ciepło uśmiechnął. Inżynier Rawa uznał to za idealną okazję do zadzierzgnięcia teściowsko-zięciowskiego braterstwa.

- I w służbie oczyszczania miasta także mus! - pochwalił się i poklepał teścia po przedramieniu.

Atoli reakcja pułkownika Szmaronia okazała się daleka od oczekiwanej.

- Co ty mi tu żołnierski mundur ze śmieciarskimi gaciami zestawiasz!

Sebastian Rawa zbladł wewnątrznie, ale ze wszech sił postanowił tego nie ujawniać.

- Bo i my się z wrogiem mierzymy! - zakrzyknął, starając się z siebie wydusić taki rodzaj emocji, jaki znał z filmów wojennych. - Którym to wrogiem smród jest i zarazek! Oto dlatego na posterunku wytrwać muszę!

- Brawo, zięciu! - pochwaliła go płomiennie Cecylia Szmaroń, zagryzając radość śledzikiem w oleju. - Dobrą w tobie dostrzegam zmianę!

- Bo zaszła! - wydarł się wręcz inżynier, tak mu się udzielił entuzjazm chwili.

A potem, nagle i - trzeba to przyznać koniecznie! - genialną myślą przeszyty, poderwał się z miejsca, dopadł upierścienionej dłoni pani pułkownikowej i począł ją całować siarczyście oraz z sarmacka.

- Niech mamusia jedzie za mnie! - krzyczał, nie przestając obślinać ręki teściowej aż po nadgarstek. - Ilonce potowarzyszy i mej córuni!

- Nie, no co ty, Sebuniek... - krygowała się Cecylia Szmaroń, zwana Cecutkiem, wyraźnie zaskoczona zachowaniem zięcia.

Ów zaś, czując, że jest blisko celu, nie przestawał się wdzięczyc, powtarzając raz po raz:

- Niech mamusia jedzie za mnie...! Niech mamusia jedzie za mnie...! Niech mamusia jedzie za mnie...!

I trwałoby to nie wiadomo ile, gdyby pani pułkownikowa nie wyszarpnęła całkiem już wilgotnej dłoni z rąk zięcia, zakrzyknąwszy falsetem utrudniającym dalszy dyskurs:

- Wykluczone! A ojciec Dinunzulu Mbarara? A Różańcowa Husaria Przygraniczna?

Momentalnie zapadła cisza tak dramatyczna, że inżynier Rawa posłyszał, jak skręcają mu się - nie miał pojęcia: ze stresu, wstydu, rozpaczy? - helisy DNA.

Ojciec uzdrowiciel Dinunzulu Mbarara.

Różańcowa Husaria Przygraniczna.

Jak mógł - purwa! - o tym zapomnieć?

Czyżby to dlatego, iż nawrócenie Cecylii Szmaroń było ty-leż potężne, co świeże? Przecie nie tak dawno jeszcze religia inte-resowała ją nie bardziej niż boks, na który owszem, lubiła popa-trzeć w telewizorze, powtarzając, że zawsze to miłe oku, jak jeden czarny diabeł drugiego w mordę leje. Ale żeby zapamiętywać na-zwiska, federacje czy wagi? To już naprawdę było dla niej wsio ryba i ganc pomada.

Nie inaczej traktowała przez całe życie Boga i tę całą jego resztę. Koniec końców jednak smutne opadły na Ziemię czasy, na podobieństwo czarnych chmur, i ciapaterii światowej przestało wystarczać, by się awanturować gdzieś tam w swoich odległych czarnych łądach, mekkach oraz laswegasach. Co gorsza: zapra-gnęła zamieszkać wraz ze swoją dzikością obyczajów i płciowym nieumiarkowaniem pomiędzy narodami statecznymi. Ku utrapie-niu i zgryzocie ludzi grzecznych i cywilizowanych.

A po co?

Pytanie to poczęło dręczyć pułkownikową Cecylię Szmaroń jak rwa kulszowa, by wkrótce przynieść odpowiedź, popartą lek-turą świętych tekstów (przez liberalny reżim dawniej zakazanych) oraz kontaktem z nielicznymi rozgłośniami radiowymi, które prawdziwej prawdzie hołdowały.

A po to - dzięki dogłębnej edukacji pojęła to Cecylia Szm-a-roń szybko - by pasożycie, psuć, kraść, podwieszać się i odsysać, co nie swoje! Oraz cywilizacją śmierci plus pedagogiką wstydu dobrodziei swoich i protektorów naiwnych infekować! A zwłasz-cza by chucią swą wszeteczną i rozpasaniem genitalnym, właści-wym uboższym w rozum i ducha rasom podzwrotnikowym, osła-biać witalność Plemion Rechrystusowych, wśród których Pokraj-a-cy miejsce najpierwsze na Planecie Matce zajmują!

I gdy jeszcze przypomniła sobie zafrasowana pani pułkownikowa (po latach błędnych kluczeń wskroś zgubnych sahar niewiary) odwieczną pokrajską maksymę, że jak trwoga, to do Boga, udała się w te pędy pod jego ochronne ramiona, odnalazłszy nareszcie spokój duszy i nadzieję na lepszą przyszłość.

Szczęśliwie również jej ukochany Floryś (Panu Najwyższemu niech będą dzięki, amen!) podążył tup, tup za nią i teraz razem chwałą Pana, alleluja i do przodu!

Tak właśnie rozmyślała Cecylia Szmaroń w onej chwili, kiedy inżynier Rawa - marząc o czekoladowej powierzchni skórnej Anity Bułas! - obcałowywał jej pulchne i pokryte wątrobowymi plamami paluszki. I dlatego tak się przed chwilą znarowiła, mimo iż męskie usta, nawet należące do dość nikczemnego przejawu samczości, jakim był śmieciowy zięć, nigdy nie były jej nieprzyjemne.

Aliści Pokraj innych zadań i innych misji od swoich kobiet potrzebuje niż ciała płocze delicje i heheszki. Wszak ojczyzna nasza nade wszystko potrzebuje dziś potężnego świadectwa wiary, a wszystko, co inne, od Złego pochodzi - furkotało teraz w głowie pani pułkownikowej, a jej myśli krążyły wokół postaci niezwykłego człowieka, jakim był ojciec uzdrowiciel Dinunzulu Mbarara. Bez cienia przesady zawdzięczała mu przecież całą swoją wiarę.

Ów święty mąż, urodzony - jak sprawdziła - na zapyziałym i przez Pana Boga poligonowo traktowanym Czarnym Łądzie, był bowiem dla niej najlepszym świadectwem, iż nawet przyrodzona dzikość, okiełznana dzięki błogosławionej uździe jedynie słusznej wiary, może posłużyć dobru i poczciwości człowieczej.

Albowiem jeśli nawet narowisty z natury Negr - dedukowała Cecylia Szmaroń - za przyczyną otrzymanego charyzmatu pomagać może ludziom, na ścieżce cywilizacyjnego rozwoju znacznie dłużej się znajdującym niż on i jemu podobni, jak wielką to znamionuje moc baterii bożych, alleluja nad allelujami!

Dlatego też od kilku lat nie opuściła żadnego ze spotkań z ojcem Mbararą, które odbywały się na farszawskim Stadionie Na-

rodowym imienia Świętej Pamięci Rodzicielki Pierwszego Obywatela.

Kochała być częścią owego rozkrzyczanego, rozmodlonego tłumu. Uwielbiała patrzeć, jak ci, którzy zdrowieli w jednej chwili pod wpływem modlitwy uzdrowiciela, odrzucali kule lub wstawali z wózków inwalidzkich. Albo kiedy inni lewitowali, unosząc się nad ziemią. Drżała, przepęlniona gęsioskórną bojaźnią, gdy ojciec Dinunzulu Mbarara śpiewał swą najczarniejszą z czarnych pieśń uwalniania, a z ludzi zaczynały wychodzić demony: niektórzy je wypluwali, tocząc jedynie pianę z ust, inni - słabsi lub ci, u których demony musiały być potężniejsze! - dostawali torsji.

Niezapomniane widoki!

Lepsze niż jakakolwiek telewizja, rozumiesz-wiesz!

A po seansie stadionowym z legendarnym uzdrowicielem zawsze opowiadała to samo: „Najpierw czułam wielką błogość i boży magnes, a później Duch Święty do mnie przemówił i przestały mnie boleć stopy”.

Za każdym razem zapewniała też, że jako bonus otrzymała również łaskę radości, dzięki której może się śmiać perliście jak aniołowie. I by to udowodnić, wybuchała głośnym śmiechem, ów jednak nic a nic się nie różnił od jej codziennego rechotu.

Wszelako teraz, podczas niniejszej bytności teściów inżyniera Rawy w Farszawie, ekscytacja religijna Cecylii Szmaroń wzmocniona miała zostać kolejnym (po spotkaniu z najślynniejszym uzdrowicielem świata) przeżyciem metafizycznym, jakim była organizowana od czasu wyrwania Pokraju z wnyków liberalnego zakleszczenia Różańcowa Husaria Przygraniczna.

Była to jedna z genialniejszych inicjatyw ministra wojny Sowietana Maczegewarowicza. Wedle wyliczeń jego uwspólnionych sztabów, zespołów, biur, kwater, central, rad, szefostw, korpusów i dowództw, ustawienie na rubieżach zorganizowanych grup modlitewnych, zespolonych wspólnym odmawianiem różańca, przyniesie ojczyźnie większą korzyść militarną niż ta lub owa brygada pancerna, tamta czy siamta tarcza antyrakietowa, nie wspominając już o wątpliwej wartości bojowej śmigłowcach, za

które zawsze nieprzychylna Pokrajowi zagranica żądała sum ba-jońskich i semicko wygórowanych.

Czyż można się więc dziwić, że mając przed sobą tak gargantuiczne przeżycia w sferze transcendencji i metafizycznej abrakadabry, pułkownikowa Cecylia Szmaroń przeciwstawiła się propozycji swojego zięcia? Kuszającej, acz wyłącznie w orbicie dorsza z frytkami i na plaży leniwego kłapnięcia się obracającej?

- Wykluczone, mój zięciu! - rozległo się nad stołem jak echo trąby ostatecznej po raz wtóry.

W tej samej chwili wątpy duch, który jakimś niepojętym cudem telepał się jeszcze w Sebastianowych wątpiach, skisł był ostatecznie, zgnił, sflaczał, uśląkł i trupem się podszywając, wyzionął ducha.

A potem jeszcze szybciej zmartwychwstał, usłyszawszy pułkownikowe:

- A właściwie to czemu nie...?!

Zdumione oczy zebranych wbiły się w zwalistego ekskomandosa.

- Ale jakże: czemu nie? - zawibrowała jego żona głosem dalekim od łaski radości.

- Ano temu - odpowiedział spokojnie Florian Szmaroń.

Pani pułkownikowa sprawiała wrażenie ciągle nielecho wywirikowanej.

- Dyć to zaskoczenie dla mnie przeokrutne, Florysiu mój, albowiem z jednej strony ojciec Mbarara, z drugiej zaś husaria nasza przygraniczna i... - zamilkła, ciągle nie mogąc zebrać myśli.

- Nie najistotniejsze to priorytety czyż?

Florian Szmaroń przysunął się do żony i nie przestając patrzeć jej w oczy, pocałował ją czule w rękę.

- Najistotniejsze, i tak nam dopomóż Bóg, wszak dla każdego uczciwego Pokrajaka święty to obowiązek oraz patriotyczne poruczenie! - zapewnił głosem, w którym kadzidło mieszało się ze złotem. - Aliści, Cecutku kochany, żono ma najmilejsza, dozwól, że za nas dwoje przywilej ów i zaszczyt niczym niezmordowany

koń dorożkarski pociągnę, tobie pomysł zięcia Sebastiana jako primasort i olinkluziw zarekomendowawszy.

- Dyć to uchodzi aby...? - zawibrowała w niepewności Cecylia Szmaroń.

- Ależ wprost tak! - gorliwie i od razu zapewnił ją mąż. - Plan taki przedsięwzięmiemy, iż ja się na Stadion Narodowy i ku granicom udam w celach modlitewnych, a ty se odpocznij w Brzegobrzeżu, bo nikt uczciwiej na to nie zasłużył od ciebie, pta-szyno moja i najwierniejszy ogarze!

- Myślisz?

- Ja nie myślę, ja wiem! Toć to prawdziwie oficerski pomysł, rozumiesz-wiesz! - zadudnił tubalnie Florian Szmaroń i huknął się potężnymi łapskami w jeszcze potężniejsze uda.

- Oficerski, choć, fałszywej skromności tu nie ujawnię, mój! - wtrącił się inżynier Rawa i zaczął wyliczać na palcach. - No bo tak: kąpiel morska... kąpiel słoneczna... bicze z błota... halibut... turbot... - zamilkł i popatrzył na dłoń. - O, palce mi się skończyły, a jeszcze do gofrów nie doszedłem!

- Sam słyszysz, Cecutku! - podbił emocje pełen wigoru teściu. - Jeszcze do gofrów nie doszedł!

Ponownie zapadła cisza, z której jedynie ktoś obdarzony słuchem absolutnym mógłby wyłowić bicie serduszka szczuruni i chrobot zwojów mózgowych pani pułkownikowej.

- No, może, może... - powiedziała w końcu Cecylia Szmaroń i oblizała łyżkę po majonezie. - Co myślisz, córcia? W końcu i tak walizkę ciuchów nawiozłam, żeby na różańcu godnie brać żon oficerskich reprezentować... A kostium plażowy to se w Brzegobrzeżu dokupię, nie...?

Ilona przez chwilę milczała intensywnie, a potem uśmiechnęła się szeroko i złapawszy flaszkę ojcowskiego likworu, połała zamasyście sobie i matce.

- Mamunia, dla mnie nawet lepiej, bo urlop z tym moim patogenem to jak z denatem taniec! Bęc!

Wysunęła swój kieliszek nad stół. Matka podstawiała swój.

- Bęc!

Wypiły do dna.

- Ale czy aby Florysiowi smutno nie będzie samopas? - zaniepokoiła się Cecylia Szmaroń, zagryzając nieprzyjemny posmak bimbrowej pajdą niekoszernego na zakwasie.

- Ale czemu samopas, kiedy samowtór z Sebą zamieszkać może! - poczęła ją uspokajać Ilona. - Chałupa wolna. Z Sebą se pogadają, na stadion pójda cudu zaznać i duchowego odrodzenia, a wieczorami bimberku se popiją...

- Jak im co zostanie! - zachichotała pani pułkownikowa i napełniła szkło po raz kolejny. - Bęc, córca!

- Bęc!

Rach-ciach wypiwszy, sięgnęły po nóżki i tatara.

Sebastian Rawa i jego teściu zerknęli po sobie zaskoczeni. Inżynier był całkiem blady. Czuł, że jego misterna intryga grzęźnie w magmie całkiem nieprzewidzianych komplikacji.

- Ale ja do pracy chodźć muszę... - zainicjował niepewnie.
- A roboty taki huk, że huk.

- A i u mnie też huk! - pospieszył z gorliwym potwierdzeniem pułkownik Szmaroń.

Ilona omiotła ojca spojrzeniem charakterystycznym dla dezorientacji, a nawet otumanienia w początkowej jego fazie.

- Ale jak u ciebie, tatuś, huk, skoro ty emeryt jesteś?! - zdziwiła się.

Pułkownik Florian Szmaroń zachnął się teatralnie.

- A różaniec na rubieżach ojczyzny to pies?! Z bronią morderczą przy boku stać, pierwszy to żołnierza obowiązek tudzież powinność, rozumiesz-wiesz! Nawet emerytowanego!

- Floryś, zasię Różańcowa Husaria Przygraniczna to dzień ledwie, z dojazdem dwa może... - próbowała przywołać męża do realności pani pułkownikowa. - A my brzegobrzeżyć będziemy dwa tygodnie bynajmniej, ergo czasu potężny nawis ci pozostanie. Byś gnuśnej nudy nie zaznał, z latoroślą twą bez ogródek jedynie się martwim...

- A Obrona Terytorialna?! - teściu trzasnął pięścią w stół tak mocarnie, aż zapiszczały talerze, a szczurunia czmychnęła w mysią dziurę plastikowej chatynki.

Widząc, jak amok ekskomandosa wysadza ostatnie bariery ochronne, wszyscy domownicy zastygli w trwożnym bezruchu. Tymczasem rodzinny pieniacz poderwał się z krzesła.

- Sama się nie zrobi! - krzyczał. - Uchodźcy, terroryści, Murzyni i te ich zarazki! Kto to wszystko zatrzyma, rozumiesz-wiesz...?!

Nagle zamilkł, wyraźnie zdziwiony tym, że stoi.

- No i się uniosłem niepotrzebnie - zamruczał pod nosem, bardziej do siebie niż do reszty.

- To se klapnij znów może - zaproponowała nieśmiało pani pułkownikowa.

- Za późno! - syknął złowrogo jej mąż. - Co stało, już stoi!

Bez chwili wahania nalał sobie bimbrowa do połowy szklanki i wychylił ją jednym haustem.

- Seba, za mną! - zakomenderował krótko. - Kurzymy!

I wyszedł z jadalni.

Inżynier Rawa dopadł teścia dopiero pod uschniętym drzewem. Stał obok strwożony, z zaschniętym gardłem i świdrującym pulsowaniem nerwu piszczelowego, które na powrót wyginało mu palce prawej stopy. Z lękiem czekał na bicz boży, który już za chwilę niechybnie zacznie go smagać.

Tymczasem Florian Szmaroń wyjął z kieszeni paczkę wiarusów kingsajz i podsunął pod nos zięciowi.

- Bierz!

Słyszając oschłą komendę, inżynier Rawa wysunął odruchowo rękę, lecz zaraz cofnął ją jak niepyszny.

- Ale tata... - wybąkał. - Bo ja nie kurzę...

Pułkownik Szmaroń wciągnął głęboko powietrze, a jego nozdrza rozszerzyły się jak u rozjuszonego buhaja.

- Poszedł rozkaz? To bierz i nie hysteruj! - wydusił z siebie gniewnie.

Sebastian Rawa złapał szybko papierosa. Teściu mu go podpałił i schował paczkę do kieszeni.

- A tata co? - spytał inżynier zaskoczony. - Nie kurzy?

- Konował zabronił, rozumiesz-wiesz... - machnął ręką w geście irytacji ojciec Ilony. - Ale lubię ten zapach, nerwy koi! Więc dmuchaj!

Inżynier zerknął na niego niepewnie.

- No, na mnie! - doprecyzował niecierpliwie teściu. - Co-bym doświadczył...!

Sebastian Rawa pośpiesznie się zaciągnął, przybliżył twarz do wielkiej pułkownikowej głowy i ze wszech sił postarał się wydmuchnąć dym. Niestety, chcąc w ostatniej chwili powiększyć objętość płuc dodatkowym hańsikiem powietrza, zatchnął się niebezpiecznie i wydobył z siebie jedynie charkotliwy, zwirowy kaszel.

- Oplućś mnie, interwale! - zazezował na niego wściekle teściu.

- Koryguję! - zapiszczał inżynier, desperacko uspokajając konwulsyjne wywijasy płuc. - Koryguję już!

Wbrew zapowiedzi minęło jednak sporo zawstydzających rzęcholeń, nim wrócił do pulmonologicznej beztroski. A potem, z dużo większym respektem dla potężnej mocy tytoniu, począł łagodnie wydmuchiwać dym w stronę teścia. Ów zaś, owszem, rozkoszował się nikotynowym waporem nie bez przyjemności, co chwilę atoli łypał badawczo na inżyniera, podnosząc mu tym samym tętno, a z nim prawdopodobieństwo rychłych tarapatów kardiologicznych.

- Papieros to fortel, synu - odezwał się w końcu Florian Szmaroń, wbijając w zięcia jedno z najintensywniejszych spojrzeń w swoim repertuarze. - Wywlokłem cię ze sztabu, by w intymności okopu szczerłość usłyszeć!

Sebastian Rawa zadygotał.

- Ale jaką szczerłość, jak ja od początku szczerzy jestem najszczerzej? - jęknął, szczerze zadziwiony, że teściu zdołał tak szybko przejrzeć plany jego mężowskiej niewierności.

Florian Szmaroń odwrócił się w stronę obumarłego drzewa i zaczął je z wolna obchodzić, uważnie mu się przyglądając.

- Synu, ja ekskomandos jestem, mnie z owcy nie klonowali. Więc rzeczywistość monitoruję jak noktowizor. I wiem, że oddzielny urlop potrafi zdemolować małżeństwo mocniej niż dywanowy nalot.

- Ależ co tata! - wystękał inżynier Rawa, okrążając drzewo w ślad za teściem. - Ja na żadne romanse lepny nie jestem! U mnie tylko praca, praca i jeszcze raz wysypisko!

Emerytowany pułkownik popukał z zaciekawieniem w pień drzewa. Odpowiedział mu głuchym brzmieniem tarabanu.

- Nie o tobie teraz mówię, zięciu specjalnej troski, ale o Ilo-nie, kobiecie ciągle atrakcyjnej, a niedociśniętej...

Sebastian Rawa stanął jak wryty.

- Jak niedociśniętej?! Gdzie niedociśniętej?!

Ale teściu, któremu najwyraźniej przeskakiwanie z tematu na temat nie robiło najmniejszego kłopotu, popatrzył mu teraz ze smutkiem prosto w oczy i rzucił:

- Ten chabaż już nie ożyje, synu...

- Ożyje, ożyje! Tylko należy o niego dbać! - zaprotestował odruchowo inżynier, atoli znacznie bardziej interesował go teraz ów drugi wątek, więc docisnął: - W jakim sensie niedociśniętej?

Teściu pochylił się nad nim jak onkolog, który musi oznajmić pacjentowi, że fundusz emerytalny, na który od tylu lat ciułał, to wyrzucone pieniądze.

- Wszak w tymże Brzegobrzeżu, co stolicą pokrajskiego cudzołóżkingu bywa nazywany, rośli marynarze, szerokoplecy ratownicy, gibcy trenerzy odnowy i naoliwieni masażyści poruszają biodrami w rytm rumby, samby, mamby i dżamby, i obcy pałąk wie jeszcze czego, rozumiesz-wiesz - rzekł grobowo.

- Naprawdę? - zdziwił się Sebastian Rawa. - To się musiało strasznie zmienić! Bo jak ja tam na kolonie jeździłem, to tylko wata cukrowa i karuzela... Pamiętam, nasz zastęp nazywał się Jelonki...

Florian Szmaroń złapał inżyniera swoimi wielkimi łapskami i potrząsnął nim potężnie.

- Co ty mi tu watą uszy lepisz?! Ty się, jelonku, purwa, módl, żebyś się w rogacza nie przemienił!

- Ależ co tata... - wydusił z siebie inżynier Rawa szeptem rachitycznym, albowiem w żelaznych objęciach teścia zawsze mu głos wędnał. - Ja Ilonie uf... fam....

- I dobrze! Bo ufać ślubnej ślubny musi! - oznajmił teściu i rozluźnił uścisk.

A potem objął zięcia już znacznie czulej, przycisnąwszy go do siebie jak mistrz, co przekazuje czeladnikowi najtajniejszą tajemność ich rzemiosła.

- Jednak o gdy posłaniec przybieże z wieścią, iż ślubna zdradziła, musi ją ślubny zabić! - w głosie ekskomandosa szcęk stali damasceńskiej mieszał się z jękami nieszczęśników poparzonych napalmem. - Jesteś na to gotowy?

Sebastian Rawa zadygotał, bo przenikliwy wzrok teścia domagał się natychmiastowej odpowiedzi.

- Ale po co? Ja jej nie chcę zabijać! - wyjęczał.

- Po to, że nie masz wyjścia, rozumiesz-wiesz - doprecyzował ojciec Ilony. - Gdyż jak nie zabijesz, honor utracisz.

- No trudno - wzruszył ramionami Sebastian Rawa. - Jakoś przeżyję bez honoru.

- Nie przeżyjesz - ekskomandos postanowił przenieść trudność misji na poziom profesjonalny. - Albowiem ja zabiję ciebie.

Inżynier poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

- Ale za co?

Pułkownik Szmaroń rozłożył ręce jak ktoś, kto chce pokazać, że jest naprawdę bez wyjścia.

- A jak to sobie wyobrażasz? Ze pozwolę, by człowiek bez honoru był mężem mojej córki? - obruszył się. - To mi odbiera honor!

No, to było logiczne. A z logiką - zwłaszcza zaś z logiką człowieka z licencją na zabijanie - nie ma się co spierać.

- Nie miałem pojęcia - zafrasował się inżynier Rawa.

- To już masz - uświadomił zięciowi jego nową sytuację pułkownik Szmaroń.

Co robić? Co robić?

Sebastian Rawa uznał, że najważniejsze to grać dalej. Nawet jeśli rejony, w które go wiodł żołdacki teściu, nie były mu szczególnie miłe.

- No to ją zabiję, trudno - powiedział, starając się cedzić słowa jak prawdziwy twardziel. - Jak mus, to mus.

- Nie zdążysz.

- Gdyż?! - zakrzyknął hardo inżynier Rawa.

Emerytowany pułkownik starał się ukryć pierwiastek poślania ukryty w swoim wzroku. Wszelako robił to tak nieumiejętnie, że jego zięć ponownie poczuł niepokój, na tyle silny, iż powtarzając pytanie, uczynił to teraz znacznie łagodniej:

- Gdyż?

- Gdyż ja wcześniej zabiję ciebie, rozumiesz-wiesz - uśmiechnął się kwaśno Florian Szmaroń. - By ratować honor, rzecz jasna.

- Nie rozumiem - tym razem Sebastian Rawa bardziej się zdziwił, niż przestraszył. - Przecież będę ją zabijał, by właśnie honor taty nie ucierpiał.

- Ale ucierpi tak samo!

- Gdyż?

- Gdyż stracę go, nie zabiwszy kogoś, kto córkę mą zabić idzie!

- A nie może mnie tata powstrzymać bez zabijania? - w głosie inżyniera Rawy zaterkotał niewielki brzęczyk nadziei.

Pułkownik Szmaroń objawił minę wielce zakłopotaną, jakby zmuszano go do tłumaczenia spraw bezapelacyjnie elementarnych w rodzaju „Ala ma Asa” i „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”.

- Gdyż jeśli cię oszczędzę, to owszem, ujdiesz z życiem, ale bez honoru, bo nie zabiłeś, choć powinieś, a twój brak honoru, przy założeniu, powtarzam, iż przeżyłeś i kalasz świat swą

niehonorową w nim obecnością, stanie się, jak wiadomo, dyshonorem dla mnie...

Sebastian Rawa podrapał się w czoło.

- Pogubiłem się.

- Bo honor rzecz nieprosta! - pokiwał głową pułkownik Szmaroń.

Tak czy owak jedno jest pewne - pojął inżynier Rawa. Żywy z tego nie wyjdę się nie wywinę.

I w swym politechnicznym umyśle począł rachować, czy aby nie dałoby się jakoś, mimo syberyjsko wyniszczających okoliczności, w jakich się znalazł, odnieść w tym wszystkim choć libidalnej korzyści przedśmiernej.

- Tata... - zaczął spokojnie, ale z każdym słowem coraz mocniej się rozśmiałał -...skoro już tata musi mnie zabić, to może chociaż i ja Ilonę zdradzę, he? Żebym przynajmniej wiedział, za co...

Co powiedziawszy, mrugnął do teścia, jak to czynią plejboje z filmów szerokoekranowych.

Florian Szmaroń zbaraniał. I pozostawał przez dłuższą chwilę w piramidalnym osłupieniu, po czym eksplodował śmiechem, który z każdą sekundą narastał i rozrywał się w kolejnych detonacjach, roziskrzył chrapliwymi koloraturami, ulatując gdzieś w niebo, by potem opadać kaskadami niskotonowych rechotów, a następnie - wraz z kolejną fazą zacieszu wywołaną widokiem zakłopotanej facjaty zięcia, w oczywisty sposób upośledzonego w swej samczości - namnażać się od nowa, pączkować jak nowotwór na podatnym gruncie osłabionego ciała i nabrzmiwać cuchnącym wewnętrznym wichrem do rozmiarów heksagonalnie sportworniałych, by finalnie rozprysnąć się niczym granat ostatecznego rozpiardolu.

- Ale że co? - zapytał w końcu zdezorientowany Sebastian Rawa, kiedy jego teściu się już ostatecznie wychichotał. - Bo ja nie rozumiem...

Na próżno czekał jednak odpowiedzi, bo pułkownik Florian Szmaroń ponownie zaczął się śmiać. I to tak potępieńczo, jakby go w stopy lizały same diabły.

Nic zatem dziwnego, że biednym inżynierem, dokumentnie wywirikowanym i zmechaconym w bębnie podśmiechującej kąśliwości szorstkiego teścia, wstrząsał raz po raz - który to już tego dnia! - potężny przykurcz melancholii.

Obrócił się tedy Sebastian Rawa apatycznie w stronę drzewa i zapragnął przytulić się do jego suchej kory, ponoć już nieżyjącej, ale z którą, tak to czuł, miał więcej wspólnego niż z całym pozostałym światem. I postanowił się przy tym nie przejmować wcale a wcale, że ów jego głupi teściu uzna to zachowanie za niegodne mężczyzny.

W dupie to mam - pomyślał.

I już prostował rękę, by dotknąć pnia, gdy pułkownik Szmaroń niespodziewanie ucichł i gorylim gestem zagarnął zięcia na nowo pod swoje przyciężkie ramię.

- A tak z alternatywnej beczki, synu: macie tu gdzieś w tym mieście zepsutym Farszawie kasynko jakieś? - zapytał szeptem i mrugnął znacząco. - Ruletka, pokerek, automaciki...?

Sebastian Rawa popatrzył zdziwiony na teścia i już mu chciał udzielić gorliwej odpowiedzi, gdy dotarło do niego, że cwany komandos po raz kolejny go sprawdza. Więc szast-prast wymazał w głowie wszystko, co zamierzał wyjawić, i gwałtownie zapewnił:

- Nie wiem, nie wiem, nie wiem! Albowiem do hazardu awersję żywię z odrazą!

Zabrzmiało to naprawdę wiarygodnie, miał zatem cichą nadzieję, że przynajmniej tym razem teściu go pochwali. Wszelako ku zaskoczeniu głównego specjalisty od utylizacji odpadów komunalnych niskie czoło emerytowanego pułkownika zmarszczyło się jedynie w ciemniejącym adwencie rozżalenia.

- Czyli że, kurde balans, grzyb - padły zagadkowe słowa.

A potem po raz kolejny pułkownik Florian Szmaroń objął żelaznym ramieniem swego zięcia specjalnej troski i zacisnąwszy

na nim okowy pancernej czułości, dodał głosem aksamitnym, w którym tylko najlepsze ucho wyczuć by mogło powiew arktycznego chłodu:

- Nie było tematu, synu, rozumiesz-wiesz...

Przygoda piąta, czyli Mambo-Dzambo

Nocne omamy się nasilają. Kulisy zdrady, czyli aktorski przegląd dworcowy. Pożegnania kilka słów. Zbawienna misja pułkownika Szmaronia. Weź gryzonia.; przyjacielu! Oniryczna kochanka się materializuje. Ekstacyjny taniec Anity Bułas. One way ticket. Gdzie leży Egipt? Inżynier Rawa daje upust kłamliwej wyobraźni. Adaś ukrywa prawdę

Powiedzieć, że przyjęcia organizowane przez magistra inżyniera Sebastiana Rawę miały status czarnej mszy to jakby stać w pół drogi do piekła. To było coś znacznie więcej. To były bezecne sabaty. Permisywne iluminacje. Libertyńskie pandemonia i infernalne sarabandy. Czeluście lepkich podniet i upojenia spurwiałej konduity. To były satanalia najpodlejszych pomiotów, jakie wydała tutejsza ziemia: lubieżnych kozłów i wszetecznych czarownic. Kopulodromy potężne niczym hymny do Lucyfera i fakabreski cuchnące zepsuciem jak jego oddech.

Opowiadano o nich z pełnym odrazy lękiem, jak o pleśni na skórcie soczystego owocu albo trudnej do opanowania zarazie, śliniąc się jednocześnie z ekscytacji, bo im co plugawsze, tym większą gorączkę w żyłach budzi. Już sam dobór gości, których zapraszał na owe rozpustne konwentykle szambelan inżyniera Rawy, a raczej - bądźmy precyzyjni! - jego główny rajfur i niewieściej zwierzyny naganiacz Adaś Rembelski, powodował u plotkolejców drżączki i migotania. Zaprzysięgano się przy tym na głowy dzieci i weksle we frankach, iż inżynierskie orgietki przyciągały moralnie zadzumionych ze Wschodu, Zachodu, Północy i Południa, a jakby tego nie było dość, także z Góry i Dołu.

I tak pałac Sebastiana Rawy odwiedzać mieli mięsopustnicy z północnych Niemiec, którym towarzyszyły kudłate lafiryndy o hotentockich krągłościach, oraz lubieżni markizowie paryscy pod rękę z otępiałymi od chuci i opiatów dziewczojami z Różowej Rusi i Przyporoża. Ten i ów powtarzał, że widziano tam nie raz, nie dwa

także rozbabrywaczy ładu moralnego z bisurmańskiego Lewantu, piegowate wiccanki oddające cześć Rogatemu Bogu i cycatej Dianie, owłosionych Italczyków, wibrującym głosem oferujących promocyjne wycieczki do dziewiątego kręgu piekła, szeptuchy znad Biebrzy, warzące napoje miłosne z kogutów, borsuczych łapek i puchu nietoperza, nienasycone birbantki ze Szwecji, co mają waginy z tytanu tudzież zorzy polarnej, japońskich torturmiistrzów, biegłych w sztuce zadawania orgazmicznego bólu, oraz wyciosanych z hebanu wojowników Wahima. Ci ostatni - wedle upartej plotki - byli przez naturę obdarowani tak priapicznie, iż nie wdzielali niczego, by pozostały świat samczy klucz w oczy monstrialnością swych przyrodzeń.

Jakby tego było mało, znaleźli się i tacy, którzy zaręczali niemal pod przysięgą, iż widzieli osobiście (lub widział to ktoś z ich najbliższej - na rany Rechrysta się klnę! - rodziny), jak sam Asmodeusz, demon pożądliwości klasy pierwszej, kapłan mazi-stych strzyknień oraz patron prostytutek i kobiet wyzwolonych, obcował cielesnie z Aradią, córką bogini Diany, w pogańskich kręgach uważaną za kobiecego mesjasza. Dziać się to miało na diabelskim ołtarzu, pobudowanym nieopodal basenu, gdzie w bulgoczącej zupie przypominającej kwaśnicę - a może żurek w chlebie? - parzyła się gęstwa najpotworniejszych kopulantów.

I tak oto w owym brunatnym krochmalu, pomiędzy wychylającymi się co chwilę na powierzchnię polipami i ukwiałami, rozpoznawano kolczaste oksyrynksy o gadzich pancerzach i brukselskich ryjach, obłapiające się z ciągle jeszcze, niestety, żyjącymi w Pokraju liberalnymi ścierwantynkami, których jedynym celem było zachodzić w ciążę i ją dla beki usuwać. Tuż obok - jak zapewniał jeden z naocznych świadków - potępieńcza mantykora o przewodze hormonów męskich i zdradzieckiej mordzie relatywisty (a w niej: równusieńkie zęby beneficjenta ancien regime'u tudzież oczyska nabiegłe ateizmem i krwią) szpuntowała aż po ostatnie żebro wolnomyślicielskie purwiątko, krzyczące w bezwstydnym otumanieniu o prawie do własnego brzucha, jakże po-

chopnie oddanego teraz we władanie pogańskiemu penisowi bez sakramentów.

A nieco dalej - zdaniem kolejnych informatorów - gziły się monstra jeszcze ohydniejsze:

Oślizgłe hagioturiany, spokrewnione z krakenami, choć dużo mniejsze, za to żyjące w pobliżu kościołów i składające jaja w wodzie święconej, przyduszały swoimi mackami te z lekkomyślnych Pokrajanek, które w swej metafizycznej płochości nie tylko odmawiały odmawiania różańca, ale - o czasy, o obyczaje! - go ze sobą nie nosiły, a potem wiły się w panice i zaciskając mocno szczęki, usiłowały się wyswobodzić z gumiastych macek, na próżno jednak, w końcu bowiem zaczynało im brakować tchu i otwierały usta, by zaczerpnąć powietrza, a wówczas podstępne hagioturiany wpychały nieszczęśniczkom do gardeł swoje giętkie hektokotylusy, składając plemniomieszki wprost do ich żołądków.

Futrzaste zygotomorfy, powstałe jako skutki uboczne in vitro i łątami hodowane w metalowych pojemnikach przez liberalnych doktorów frankensztajnow, kicały po trawnikach, mnożąc się króliczo. Od królików (które również, nie wiedzieć czemu, odwiedzały posiadłość inżyniera Rawy) różniły się charakterystyczną bruzdą czołową, dowodem na artyfiszizm i zwyrodnienie.

Tęczowe cyrrypydy, które w moralnej brzydzie doprowadziły do całkowitego wyginięcia płci żeńskiej swojego gatunku, pełzały po ogrodach, trzymając się za włochate odnóża, a lesbijskie bamflondrygi tuliły się do ciastowatych stowaginek, te zaś obscenicznie rozchyłały swoje różowe fałdki, albowiem co najmniej połowa z mięsistych muszelek służyła im do oddychania.

Spondylusy, galaretowate jak stułbie, wpuszczały do swych wąpeli ekumenicznych religiantów, którzy usiłowali je genitalnie nawracać zgodnie z herezją papieża rozwodnika, co się za przyczyną lucyferycznych czarów rozsiadł był w Stolicy Piotrowej.

Amorficzne lutry z pryszczami jak u ropuch wytwarzały wokół siebie stęchłą atmosferę permissywizmu, a kto się w jej pole siłowe dostał, ten grzech Onana przedsiębrał i tak długo go na sobie praktykował, aż popadał w całkowite wycieńczenie, a ciało

jego umęczone pokrywało się ropnymi wrzodami, przyprawiającymi fetorem o mdłości.

Widziano także:

Unoszącą się nad ogrodami jak balon olbrzymią głowę, w której ustach i oczodołach upomadowane lolitki uniwersyteckie obłapiały się z chutliwymi szczurami w rogowych okularach, wyglądającymi na wykładowców *gender studies*.

Stare wiedźmy (do niedawna jeszcze opuchłe, łyse, o zwiotczałych kibiciach i piersiach jak puste bukłaki, a po operacjach plastycznych jędrne i sprężyste niczym nastolatki), nacierające uda magiczną maścią, by latać długimi godzinami na miotłach męskich przyrodzeń.

Bukłaki na kaczych nogach, obdarzone tak niezwykłym węchem, iż mogły wyczuwać alkoholików na odległość, a to tylko po to, by dopełzać do tychże i nastawiać im kuprów, z których lało się wino i trunki mocniejsze.

Piersionogi przesuwające cyce swych chitynowych ciał na podobieństwo raków, czyli tyłem.

Penisogłowców pozbawionych ust i odżywiających się wyłącznie zapachami grzechu.

Żuki ubrane w liberie, podające dziewczicom alkohol i pigułki gwałtu.

Oraz wegan masturbujących się warzywami.

Liczne relacje - potwierdzone później przez śledztwo pokrajskiego Oficjum Do Spraw Zwalczania Amoralności - wskazywały również na obecność w rezydencji magistra inżyniera Rawy monstrów zestawionych przez Inwigilatorów w porządku alfabetycznym od A do E, a zatem:

A) ektoplazm samiczych (będących pomiotami seansów spirytystycznych, ze sterczącymi brodawkami obfitych piersi zarysowanych pod muślinem ich hologramowych sukni), które polowały na duchy dopiero co zmarłych biskupów, by im drogę do nieba mylić i w bagniskach pośmiertnego duszorujstwa przytapić;

B) nadjordańskich handlarzy o haczykowatych nosach (którymi wyczuwali padlinę zysku z wielu kilometrów niczym pustynne sępy), co kazali sobie płacić krwią i diamentami za medykamenty chuć zwiększające, a przed ich straganami niekończących się kolejek ogłupiałych rechrystian;

C) nimfetek udających dzieci, by do nieczystych myśli i czynów przywołać pokrajskich księży, jakże przecie wrażliwych (przez pamięć i umiłowanie niepokalaności Matki Bożej!) na niewinność i błonodziejność;

D) pornoptaszysk dwugłowych o wyrastających im spod skrzydeł mocarnych ramionach, którymi okładały pocziwych Pokrajaków, zmuszając ich do oglądania wyuzdanej kinematografii;

E) żółkniętego i wzdętego od wewnętrznego zepsucia zewłoka (za życia płci męskiej), pokrytego fioletowymi guzami i śmierdzącego niczym krowie flaki, który za wszelką cenę usiłował wyrwać różaniec święty z rąk pułkownikowej Cecylii Szmaroń, zwanej Cecutkiem, szczęśliwie jednak bez powodzenia.

„Niech dobry Bóg wybaczy ziemi pokrajskiej owe bezecenstwa!” - tak brzmiały ostatnie słowa raportu Inwigilatorów szacownego urzędu (walczącego z ciągle jeszcze wybuchającymi w Pokraju ogniskami amoralności), wszelako wyłącznie w części dotyczącej grzeszności inżyniera Rawy - jak to zostało określone - okołolędźwialnej.

Albowiem rejestr jego przewin bynajmniej nie kończył się na tym. I tak oto w teczce osobowej rozpracowywanego obiektu RAWA SEBASTIAN, w zbiorze Siedem Grzechów Głównych (*Septem Peccata Capitalia*), pojawia się właśnie podzbiór Obżarstwo. W nimże patriotycznie nastawieni sygnaliści wzmiankują, iż goszczący w rezydencji głównego specjalisty od utylizowania odpadów komunalnych orgiaści kazali sobie *post coitum* wnosić na stoły murbie na zimno w sosie agamelinowym, zupy z czerwonych marmontijów, krypsy z gonzalagą a la Coctcau oraz pieczenie ze strusia w jajecznicy z jaj tegoż na sałacie z mleczów australijskich, ślimaków z jeziora Nemi i okrągłych kronplajtów dama-

sceńskich, przypiekanych uprzednio po brzegach metodą Whigh-ta. Nadto jądra małą Dżoko w makaronie z jajowodów kapibary, posypane tartymi koprolitami marabutów, karmionych specjalnie turkiestańskimi migdałami, rybki Ping-Fing w zielonawym sosie z onanizowanych nosorożców z Jardin d'Acclimatation oraz kanapki z pieczonej gorgondylii i surowego fryku na mankanilowym pum-perniklu.

Dalej raport wymienia kruche ptifury w majonezie z homa-ra Ubo-Tubo, waparsje w kremie à la Picadore branlé par sa maîtresse, wędliny z cejlońskich dzików, langusty w wywarze z niebieskich fląder, jaskółcze gniazda w słodkim sosie z gniecionych karaluchów oraz wszelakiego sortu pasztety: z wątróbek gandyjskich trywutów, z nóżek nowo narodzonych czarnych koźląt, marynowanych zielonych żmijek oraz - last but not least - młodych białych karzełków.

Wszystko to pochłaniano - tu cytat z donosu podpisanego: „TW Genezyp Kapen” - „do twardego rzygu”, a potem zapijano à la manière russe wódką ryżową z różaną wodą, winami z wyspy Dżebel-Cukur, koniakiem ze zdegenerowanych winogron Radży Timoru, perangiem Camolli-Bemba, piwem z Bremy, wermutem z makalabiną (słynnym alkaloidem drzewa makalaban), naparami z afrodyzjaków, zsiadłym mlekiem szczurów oraz trzema rodzajami likierów: cytrobananasowym, z indyjskich konopi oraz z owoców stu kilkunastu gatunków drzew He-He z dodatkiem olejków lotnych, na koniec zaś kawą z plantacji samego Radży Balampangu.

A kiedy już wreszcie odurzeni sprośnością i obżarstwem goście popadali w katatoniczny stupor, objawiający się ślimaczym uśmiechem i mątwowatością spojrzeń, pojawiał się między nimi - tak jak czyni to i teraz! - magister inżynierii społecznej, inżynier technik seksualnych oraz główny specjalista od manipulacji odpadami człowieczymi, prześwietny mistrz ceremonii i najpierwszy w Pokraju magnetyzer, Sebastian Rawa. Na jego widok rozlegają się frenetyczne brawa.

[dzięki, Mózgu!]

[pokaż dalej!]

Pokraj

Wyłania się z ciemnej części ogrodu jakoby z nieistnienia, po czym staje w oleistym świetle la...

[stop!]

[zapamiętać: obraz miękki i bez ostrych kontrastów, lekko „przydymiony”].

[cofnij nieco!]

...staje w oleistym świetle lampionów na spinającym antycznym łukiem dwie części basenu kamiennym mostku, z którego najlepiej widać wodospady prowadzące kaskadami do magicznego młyna...

[przeviń!]

...gorąca, letnia noc...

[przeviń!]

...słyszać bardzo rytmiczne, ostre rockabilly...

[przeviń!]

...ma frak z czerwonych cekinów...

[stop!]

[bla... bla... bla...!]

[Mózgu, daj coś treściwego!]

Magnetyzer Rawa, z pewną siebie miną, łączącą radosne podniecenie wiosennego jelonka oraz sardoniczny grymas starego niedźwiedzia, co z niejednego już ula miód wygarniał...

[to już było kiedyś]

[ale lubię, jak tak mnie widzisz, więc jedź dalej!]

...przechadza się uliczkami pełnymi wdzięcznych klombików tudzież karłowatych baobabków, oświetlonymi lampami gazowymi. Spija szampana z kieliszków podawanych mu przez steatopygiczne kelnerki. Wszędzie napotyka piękne kobiety, wpatrujące się w niego z hipnotycznym zauroczeniem. Omiata je wzrokiem, co pewien czas którąś wskazuje palcem - wówczas ta podchodzi do magnetyzera Rawy i wpija mu się w usta namiętym pocałunkiem...

[a gdzie jest Czarna Mamba?]

[przyśnij mi Czarną Mambę!]

...te, które zostały wybrane, sprawiają wrażenie przeszczęśliwych, a pocałunki zdają się nie mieć końca...

[Butas Anita]

[ona się nazywa Bułas Anita - przypominam!]

[lat dwadzieścia i pół]

[z Zólcioścoczny]

...czasami gdzieś niedaleko przechodzi lub przejeżdża na koniach oddział żołnierzy ubranych w stroje z najdziwniejszych epok...

[stop!]

[nie chcę żołnierzy!]

[chcę Bułas Anitę z Zólcioścoku!]

W pewnej chwili magnetyzer Rawa wchodzi w alejkę, w której - ku swojemu zaskoczeniu - zauważa...

[Bułas Anitę z Zólcioścoku?]

...oberfuhrera Florhansa Czyngischanowicza Szmaronia...

[stop! stop! stop!]

[nie chcę tu teścia, Mózgu!]

[skasuj go natychmiast!]

...siedzącego przy stoliku z kości słoniowej w towarzystwie trzech pięknych, chichoczących krotochwilnie rusalek o kształtach wprost doskonałych...

[skasuj teścia, mówię!]

...wszyscy są już w zaawansowanym negliżu, albowiem grają w rozbieranego pokera. Szeroka pierś niewyciężonego komandosa - cała w bliznach, męskim włosiu i tatuażach! - wciąga powietrze niczym miech kowalski, chrapy chodzą mu jak u wyścigowego konia, trzyma w ręku pięć najmocniejszych kart w historii wszechgalaktycznego pokera, a trzy nadobne rusalki (Dyrszczka, Drzyzdulicha i Drutomila) mają już całkowitą świadomość, iż przegrały, lecz ani trochę ich to nie martwi. Wprost przeciwnie, mruczą jak...

[nie możesz tego skasować, Mózgu?]

...lwiczki w rui, przęąc swe fidaszowo wysklepione ciała i...

[widać, nie możesz]

[trudno]

[to chociaż przewiń tak sprytnie, by mnie nie zobaczył]

Inżynier Rawa wycofuje się cicho, by teściu go nie dostrzegł.

[dzięki!]

Ponownie dochodzi do miejsca, gdzie jest basen, zjeżdżalnia z wodą i scena muzyczna. Wokół niej stoją wszystkie kobiety, które są tego wieczoru na imprezie. Nad sceną wisi kilkaset różnokolorowych balonów. Czuje się wkoło wszechsamicze napięcie. Ze zjeżdżalni wprost do wody zjeżdża szambelan Rembelski, ubrany w błękitny mundur, ozdobiony haftami w złote klucze.

[ten to się zawsze wszędzie wkręci, spryčiuła]

Szambelan Rembelski wyciąga z kieszeni złote pudełeczko, które otwiera. W środku jest piękny pierścionek z brylantem. Pokazuje go zebranim wokół białogłowom, te zaś piszczą i wyją z zachwytu. Wśród nich jest również najpiękniejsza kobieta świata Salubatina Mbarara.

[oj, Mózgu, przecież nie żadna Salubatina Mbarara, tylko Bułas Anita]

Szambelan podaje pierścionek magnetyzerowi Rawie, a magnetyzer Rawa...

[daje go Anicie?]

...wyciąga z kieszeni swojego cekinowego fraka złotą procę, wkłada w nią pierścionek i...

[stop!]

[skąd mam złotą procę, Mózgu?]

[cofnij!]

...wyciąga z kieszeni złotą procę, która za przyczyną czarów wyrosła na jego czarodziejskim drzewie, i celuje w balony.

[drzewo żyje?]

[hurra, podoba mi się!]

[wyświetlaj dalej!]

Magnetyzer Rawa strzela. Jeden z setek balonów ulega przebicciu. Wypada z niego duży złoty żeton, na którym jest czarny

numer. Szambelan Rembelski podnosi żeton i czyta: - Czterdzieści cztery!

Wszystkie kobiety zaczynają grzebać w torebkach i sprawdzają, czy trafiło na nie, i już po nanosekundzie na wielu twarzach maluje się rozpacz, gdyż los okazał się niełaskawy.

Nagle, gdzieś z tylnego rzędu, słychać huk i widać strzelające fajerwerki. Wszyscy spoglądają w tamtą stronę. Magnetyzer Rawa i jego wierny szambelan również. Tłum kobiet się rozstępuje, odsłaniając...

[Czarną Mambę]

[to zbyt proste, Mózgu!]

...Czarną Mambę, która trzyma w ręku żeton, a na nim numer...

[czterdzieści cztery]

...czterdzieści trzy...

[O, punca!]

[przepraszam, Mózgu!]

[ale jestem zaskoczony!]

Czarna Mamba płacze. Spogląda z przeraźliwym smutkiem w stronę magnetyzera Rawy, ten jednak nie ma czasu jej współczuć, albowiem po raz kolejny strzelają fajerwerki, w całkiem innym jednak miejscu.

Tłum kobiet ponownie się rozstępuje i oczom zaskoczonego magnetyzera Rawy ukazuje się kobieta w długiej złotej sukni i purpurowym płaszczu - a może pelerynie? - obszytym białym futrem, emanująca niebiańską wprost szlachetnością i majestatycznym dostojenstwem, nad której głową fluorescencyjne koliberki układają się w kształt dwóch czwórek.

Z nieba dobiega diamentowo piękna muzyka. Kantata - albo wręcz i requiem! - na szczęście grana w rytmie walca, i to tak rozbudzającego zmysły, iż zauroczony magnetyzer Rawa oraz intensywnie się w niego wpatrująca Nieznajoma z Kolibrami nad Głową zbliżają się do siebie kocimi ruchami.

Potem on przytyka jej rękę do swoich warg, a Ona się rumieni. I nie przestając patrzeć sobie w oczy, poczynają tańczyć. A

pozostałe kobiety - którym natychmiastowo udziela się piękniczka uroda chwili! - okrążają ich i kołyszą się, przekrzywiając wdzięcznie główki. Przyklaskują przy tym do rytmu, a niejedna też roni łzę wzruszenia, mości Rembelski zaś tworzy już pierwsze listy chętnych na piastunki dla potomstwa pary młodej, lub i na późniejsze guwernantki i bony, co więcej...

[przewiń już do całowania, Mózgu!]

Uniesieni szczęściem magnetyzer Rawa i złoto-purpurowa Piękność z Ptactwem nad Jasnymi Lokami padają sobie w objęcia, a kiedy ich usta stykają się ze sobą, czują miodowy aksamit jej warg, całuje mnie w ognistym uniesieniu, jej delikatny język muska mi nie usta, lecz duszę, a opiumiczna woń rozśladza mnie niczym małmazja, kim jest Ona, pojęcia nie mam, ale furda z tym, szczęście się tylko teraz liczy i owa prawdziwie boska jednia, w której współistotne hipostazy - Jej i moja! - łączą się w adoracji wzajemnej, w tańcu jin i jang, w pieszczocie Księżycy ze Słońcem, w osmozie zależności wczepionych w siebie po wieczność, ach...!

[o, jak zacnie mi to wyświeglasz, Mózguniu kochany!]

...a gdy spoglądam w Jej podkrążone po balu oczy i matowość pachnącej twarzy, z miejsca omracza mnie zwiewny sen i czuję, jak życiodajna energia przepływa z Jej kosmosu do jądra mojej Ziemi i jak moje kosmosy przenikają energią Jej planetę, słyszę współpomruki jaspisowych czakr i nefrytowych meridianów, odbieram dreszcze obcowania z nadprzyrodzonym, dostrzegam migotliwy...

[ale ja nie znam tych słów, Mózgu...]

...poblask jaźni, w której nurzają się nasze ciała astralne i...

[Mózgu, skąd ty to bierzesz... ?]

...zdobynam ośnieżone diapazony ekstazy, emanuję płciotworem i...

[Mózgu, jesteś tam...?]

[chyba straciłem z nim łączność!]

...lukruję się wydzieliną myśli lędźwiobiodrowych, rozpękam od trzewiopląsów, nacieram się mazidłem z łożysk rodnych

Pokraj

bogini Asztarte, ociekam frenezją, tryskam ambrozją oraz... o, purwa jego franzla zapryszczała...!

[jakiś problem, Mózguniu?]

On wrócił!

[kto?]

I ma nóż!

[kto, na Boga?]

Dookoła słycać przeraźliwe piski i krzyki, tłum kobiet ponownie się rozbiega, a w szczelinie, która w tym momencie powstaje, wyrasta gigantyczna postać w habicie pułkownika. To padre Floriano, Wielki Inkwizytor Świętego Trybunału...

[tylko nie on, Mózgu!]

[zabierz mnie stąd natychmiast!]

Z przerażeniem w oczach inżynier Rawa dostrzega, że w jednej chwili przestał być magnetyzerem.

[no trudno!]

[najważniejsze, byś mnie wyrwał z rąk tego raptusa i nagi-niaczożercy!]

Inżynier Rawa usiłuje uciec gdzie pieprz rośnie, ale - widzę to bardzo wyraźnie - nie może.

[czemuż to, Mózgu, czemuż?!]

Albowiem piękna Nieznajoma w Gronostajowej Pelerynie trzyma go mocno za rękę i prosi błagalnie:

- Uratuj mnie, waszmość, uratuj! Uczucia, co wzeszło, nie tratuj! Jam białogłowa jest słaba, dyć w jasyr mię weźmie i za-ba...!

[nie słuchaj jej, Mózgu]

[i wyprowadź mnie stąd, błagam!]

Inżynier Rawa doskonale wie, że nie może spełnić jej proś-by...

[dzięki, Mózgu!]

...bo po prostu nie potrafi...

[oj tam, nie potrafi!]

[po prostu ma inne plany!]

...nie jest przecież przeświecym rycerzem, jakimś tam słynnym Sebastianem Lwie Serce, Orlandem Szalonym,

Tankredem czy Marchołem, nie jest Lancelotem z Jeziora, Zbyszkiem z Bogdańca ani Rolandem z Pieśni o Rolandzie, nie jest też żadnym mołojcem, junakiem, zuchwalcem, śmiałkiem, chwackim szalawilą i niezłomnym łupaszka, a nawet tanim draniem, odrażającym drabem, ba, nawet kawałem zbója nie jest, bo daj najmniejszym...

[możesz przestać?]

...i nie nadaje się ani trochę na obrońcę dziewic, nieustraszonego Człowieka Nietoperza i hektora kamienieckiego, pierwszego żołnierza Świętej Niepospolitej, bo to po prostu safandula i niemrawiec!

[przestań, proszę]

Ciepla klucha i oferma batalionowa!

[przesadzasz]

Zafajdany dekownik i ciamcia-ramcia!

[wolałbym: pragmatyk]

Trzęsidupa, platfus i gryncbuła!

[chyba cię, Mózgu, ponosi]

Męska pipa i damski pędzel!

[już stop!]

Męska pipa i damski pędzel!

[stop, mówię!]

Męska pipa i damski pędzel!

[stop, purwal]

[wygrałeś]

Powtórz!

[wygrałeś]

Nie to.

[jestem męska pipa i damski pędzel!]

[a teraz przewiń dalej!]

- W imię małżeńskiego rózańca, który zbecześciłeś, zaklinam cię, grzeszny Sebastianie, stań i poddaj się karze! - krzyczy Wielki Inkwizytor padre Floriano i wymachuje nożem.

[pamiętaj, że obiecałeś mnie stąd wyprowadzić!]

Jednak inżynier Rawa nie ma zamiaru go słuchać, wyszarpuje się z rąk Nieznajomej o Miodowych Wargach, znad Której Głowy Ulatują Przerażone Kolibry, i ucieka, ile sił w nogach.

[dzięki!]

Wbiega w tłum oszalałych z paniki kobiet, roztrąca je, niektóre wpadają do basenu, inne czmychają w rabaty i oranżerie, a ich różnobarwne suknie rozwiewają się na wietrze, kątem oka wychwytuje pierzchający w popłochu big-band skośnookich lolitek, wskroś ogrodu przebiega też co chwilę międzyrasowa nagość, którą bojaźń i drzenie wyгнаły z darkrumów, fraucymerów i szambreseparetów. Zewsząd słyhać jeremiady, lamenty i złorzeczenia, aż wreszcie gasną światła, zapada całkowita ciemność i inżynier Rawa traci orientację...

[wyciągnij mnie z tego natychmiast!]

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zza chmur wychyla się księżyc i w jego srebrnej poświacie dostrzega zagubionego inżyniera Rawę jego wierny szambelan Adam Rembelski. Przypada wnet do swojego protektora i dobrodzieja, całuje w pierścień i tak o rzeczce:

- Wasza miłość, Bóg łaskaw, że w owej ciemnicy, co ją sam Teść Belzebub na Ziemię zesłał, miesiąc wychynał niespodzianie i w jego poblasku waszą miłość żem dostrzegł. Loszek mam tu niedaleko pod pniami ukryty, tam waszą miłość zaniosę i chleba z pajęczyną na ranę, której niegodnym całować, przyłożę.

Odpowiada na to inżynier:

- Mości Rembelski, pierdolić rany, oto pragnę obmyć się z grzechów moich, nowy żywot rozpocząć i ojczyźnie pocziwie służyć, do króla zatem pojedziem, któren pod szwedzką ręką jęczy. Siodłaj konie!

I już mają odjeżdżać, gdy nagle trzęsie się ziemia, a pałac inżynierski, grzebiąc pod sobą wszystkich magów i mięsopustników, a także wstrętne monstra oraz lafiryndy wszeteczne, w gruzy się zamienia, basen zaś jego błękitnowody występuje z łożysk i rozlawszy się na wszystkie strony, ukazuje dno suche, na którym

pentagram z rubinowych kafli jest ułożon. Ci, co przeżyli, nagłym strachem zdjęci, od zmysłów i rozumu naonczas odchodzą, nie inaczej koń inżyniera Rawy, który to na widok diabelskiego znaku dęba staje i jeźdźca swego zrzuca, przytomności go pozbawiając.

- Co ty mi tu, synu, za gibona odpierdalasz?

[to głos Wielkiego Inkwizytora, Mózgu!]

[samego diabła wcielonego!]

[nie daliśmy rady, wybacz!]

Sebastian Rawa powoli otworzył oczy.

Pułkownik Florian Szmaroń stał nad nim i wykrzywił się nieprzyjemnie.

- Co ty mi tu, synu, za gibona odpierdalasz? - wycharczał po raz wtóry.

Inżynier uniósł się lekko z podłogi i jął rozcierać sobie część potyliczną czaszki.

- Niech będzie pochwalony Rechrystus i Maryla Zawsze Dziewica - wybąkał, ciągle słabo się orientując, gdzie jest, a nawet kim jest.

Teściu łypnął na niego z niekłamaną odrazą.

- Męska pipa, damski pędzel...

Inżynier Rawa zamrugął nieprzytomnie powiekami, bo wydało mu się, że już to wcześniej słyszał. Ale nijak nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach. Tedy ponownie roztarł głowę, która po upadku z łóżka bolała go wciąż pieruńsko.

Tymczasem Florian Szmaroń wciągnął nosem powietrze, aż zafurkotało.

- Zbieraj dupsko, zięciu nieszczególny! - rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Na dworzec czas się udać i nasze panie odprowadzić, rozumiesz-wiesz...

Inżynier Rawa czknął, czując, jak wzdłuż wszystkich jego czakr przeciska się robak melancholii. Gdzieś w odętach mózgu - na złączach iskrzących jeszcze emocją neuroprzekaźników, po których nieświadomość zaganiała owce nocnych fantazji do zagród ukrytej pamięci - kołatało mu się, że śnił o czymś istotnym, i próbował sobie teraz usilnie przypomnieć o czym. Aliści szybko

pojął, iż to, co chciałby sobie teraz przypomnieć, bolesna żołnierska pobudka rozproszyła nieodwracalnie, niczym huragan, co jednym oddechem anihiluje puszystą kulę dmuchawca. Więc pokiwał głową w rezygnacji, jakby sam siebie chciał pożałować, i ciężko dźwignął się z podłogi.

W dwa mendle pacierzy później stanęli przed drzwiami dworca autobusowego Farszawa Zachodnia, nad którymi powiewał monstrialnej wielkości transparent:

Dobrobyt Stolicy Radością Władz Partyjnych i Państwowych!

Potem weszli do środka, minęli kasy i przeniknąwszy na plac manewrowy, przepychali się przez tłum znękanych przesiedleńców z drugiej wojny światowej.

Sebastian Rawa dźwigał ogromniastą walichę, w którą jego małżonka upchnęła rzeczy swoje i córki. Tuż obok niego kroczył teściu, unosząc bez najmniejszego wysiłku jeszcze większy sakwojaż Cecylii Szmaroń.

Przed nimi szły „nasze panie”, co chwili; wskazując na kogoś z obszarpańców, których mijali.

- A ten, córcia, to kto? - pytała pani pułkownikowa, zezując na wychudzonego mężczyznę w poszarpanym mundurze żołnierskim z pamiętnej kampanii wrześniowej, kiedy to psubraccy sąsiedzi rozszarpali Pokraj jak skradziony ze stołu rozbef.

- Nie poznaje mamunia? - wyjaśniała Ilona Rawa. - Toż to Damazy Potylicz!

- Ten, co za reżimu bezbożnego grał we wszystkich komicznych popularnych? - próbowała doprecyzować Cecylia Szmaroń.

- I w teatrze opiewającym cywilizację śmierci w całym wachlarzu jej zwyrodnień! - przytaknęła jej córka. - Ten sam, mamunia, ten sam...

- Boże, jak się pobruździł i przyszarzał! - pani pułkownikowa nie mogła wyjść ze zdumienia. - W ogóle bym nie poznała.

- Od koryta odcięty, to i przyszarzał - wzruszała ramionami żona inżyniera Rawy.

- A ta z brzuchem, mamcia, to jak się nazywa? - zapytała Oliwka Rawa.

Trzymając klatkę ze swoją ukochaną szczurunią, dziewczynka ostrożnie slalomowała między przesiedleńcami i wrogami ludu, których pilnowali palący machorkę żołdaci w moskwicińskich szynelach. Bardzo się przy tym starała, by nikt z tych brzydko ubranych ludzi nie dotknął jej ukochanego zwierzątka. Parszywie ją bowiem brzydzili ci wszyscy obszarpańcy.

Ilona Rawa popatrzyła na wskazaną przez córkę kobietę w widocznej ciąży, siedzącą na tekturowej walizce.

- Maja Osjanowska to to.

- A za co tu siedzi, mamcia? - dopytywała dziewczynka.

- Gdyż pluła na naszą nację świętą tudzież kobiety do amoralności namawiała - uszczegółowiła matka.

- I z onej amoralności ma teraz to brzuch bękarcie, sapristi! - dopowiedziała Cecylia Szmaroń, marszcząc się jak rechrystiański buldog na zapach Judasza Iskarioty.

- A nie, mamusia, to udawane jest - uśmiechnęła się Ilona Rawa, odrobinę rozbawiona prostolinijnością rodzicielki. - Jeno rekonstrukcja taka. Teatr taki. W sensie, że życie na niby.

- Dyc ja wiem, że rekonstrukcja, wszak prasę czytam i w Telewizji Narodowej gustuję! Ale te aktory to takie do kłamania nawykłe, że już same się zagubiły, co udawane, co nie! - ofuknęła córkę Cecylia Szmaroń, jeszcze raz łypnęła z odrazą na siedzącą na walizce kobietę i z kopyta ruszyła dalej.

Inżynier Rawa powlókł się za teściową. Nie rozglądał się, bo i tak nikogo by nie rozpoznał. Kino go nie interesowało, teatr jeszcze mniej, więc nikogo nie miał szans rozszyfrować z tej aktorskiej ciżby, poprzebieranej za ofiary wojny sprzed wielu dziesięcioleci.

Owszem, wiedział o pomyśle Kongregacji Dobrego Imienia Pokraju, popieranym gorąco przez ministra kultury Witalisa Cherchułę, by w ramach działań resocjalizujących aktorzy teatrów nie-

patriotycznych, rozwiązanych przez dekret Pierwszego Obywatela, mieli obowiązek uczestnictwa w publicznych widowiskach rekonstrukcyjnych, przypominających o najbardziej fundamentalnych wydarzeniach z tragicznej historii Pokraju.

„Dość już czasów terroru elit, które wiodły naszom najdroższom ojczyznę na manowce! Czasów tyranii bezczelnych zdrajców i lewackich piontych kolumn! Zbłódkanych kosmopolitów bez korzeni i totalistów sztuki zdegenerowany! Skorumpowanych alkoholików, erotomanów, piewców seksualnych patologii i polityczny poprawności! Wyznawców zgniłego relatywizmu! Zniewieściałych facetów w rurkach i różowych baletkach, co adoptujom pszczoły, drzewa i mały! Wielbicieli satanistów, bogobójców i ćpunów! Precz z pseudoartystycznym targowicom!”

Telewizja Narodowa Pokraju tak często cytowała słowa Pierwszego Obywatela, uzasadniające jego decyzję, iż nawet inżynier Rawa - choć ogniskował swą uwagę na problematyce utylizacji śmieci i nie pozwalał umysłowi na płocze wędrowni w towarzystwie przykusych muz przez bezdroża michałkowatych dywertymenów! - słyszał o resocjalizacji przez rekonstrukcję niemało.

Cóż z tego, skoro nadal nie potrafił odróżnić Jana Dwugwiazdy z telenoweli Potęga Zagiellonów od Szorysa Byca z Teatru Współczesnego ani Tobiasza Parolaka z Rodzinki.pj od Paskała Drapirzyta z homoseksualnej wersji spektaklu Betlejem Pokrajskie, po której reżyser Igor Maria Hapetyk musiał się salwować ucieczką za granicę.

I szczerze mówiąc, do niedawna wcale go to nie martwiło.

Teraz jednak, kiedy już zgodził się wziąć udział w genialnym pomysle swego przyjaciela, czuł niepokój, czy sobie aby w tym udawaniu reżysera filmowego poradzi. I choć - jak już zostało wspomniane - nie przyglądał się aktorom, poprzebieranym za jeńców i cywili tuż przed wywózką na Sybir oraz za moskwicińskie żołdactwo, które ich pilnowało (bo i tak nic by to nie dało, wszak zupełnie nie miał głowy do twarzy), to próbował chociaż zapamiętać nieco nazwisk, którymi wciąż przerzucały się jego żona i teściowa.

- Popatrz, córcia, na tego chałaciarza pejsatego, co tam na lewo moskwicińskiemu kapitanowi donosy do ucha szepcze - podniosła wysoko rękę pani pułkownikowa, ukazując pod pachą kępki mokrego włosia. - Czy to aby nie Tyberiusz Małokto, co występował w komediach Salomona Ancymonowicza, które tak raziły wulgarnym słownictwem i rozpasaniem obyczajów jak z masońskiego burdelu?

- On ci to, mamunia - potwierdziła Ilona Rawa, przerzucając od razu wzrok na drugą stronę. - O, a tamta, co właśnie trzyma list i płacze, że jej Jasieńka rozstrzelali, to Balbina Kuśtyg z reklamy Oranza, co to się podpisała za prawem do aborcji...

- Tfu, Niemra! - wzdrygnęła się z oburzenia Cecylia Szmaroń. - A ta blada obok?

- Jakże mamusia wiedzieć tego nie wie? Wszak ona zagrała w dwudziestu siedmiu filmach, siedemnastu serialach, dwudziestu dwóch spektaklach teatralnych i trzydziestu czterech teatrach telewizji!

- A jak się nazywa?

- Cielemęcka.

- Pierwsze słyszę.

Tak sobie oto właśnie gaworzyły pani pułkownikowa z panią inżynierową, przechodząc przez środek wielkiego widowiska scenicznego „Kulisy zdrady, czyli moskwiciński nóż wbity w plecy Najświętszej Niepospolitej”, przygotowanego przez demiurgów propagandy z Kongregacji Dobrego Imienia Pokraju wspólnie z funkcjonariuszami Oficjum Przeciwno Zniesławieniom.

I wymieniały aktorów i aktorki, którym sędownie nakazano odpokutować nie tylko akty zniesławieńcze wobec ojczyzny, opluwanie nacji, kulturowe kacerstwo oraz bluźnierstwa przeciwko Bogu i pokrajskim świętym, ale także urąganie moralności, duchową pornografię, przewiny wobec świętości natury, dzenderyzm, czarodziejstwo, czarnowidztwo i ekosatanizm: o, tu w mundurze ruskiego komisarza rozsiadł się Fortunat Pącki z Teatru Miejskiego w Proclawiu, a nieopodal o wodę dla umierającej matki błaga pięknym sopranem Messalina Findenbals z Grakowskiej

Opery Kameralnej, jeszcze dalej rozstrzeliwują Macieja Sztuma z Teatru Komedialnia, a ta gwałcona na parcianych workach przez kałmucką soldateskę dziewczyna to Ala Lelujaska z serialu dla nastolatków Psiapsiółeczki, obok zaś w kałuży krwi... i tak dalej, i tak dalej...

Tęże fachową wiedzę zasysał Sebastian Rawa z taką intensywnością, iż całkiem przestały mu ciążyć kubatura i tonaż walizki, którą dźwigał. Ani się więc spostrzegł, gdy zatrzymali się tuż obok transparentu: POTEPIAMY BURZYCIELI PORZĄDKU PUBLICZNEGO, przy stanowisku numer 5, z którego czerwono-białe peteeny (czyli autobusy Pokrajskiego Taboru Narodowego) odjeżdżały do Brzegobrzegu. Właśnie podjechał jeden z nich i tłum żądnych morskiej bryzy urlopowiczów rzucił się z tobołami do luku bagażowego. Sebastian Rawa poczuł, jak potracają go spocone ciała, a przebogaty bukiet pokrajskich aromatów, od kapuścianego, przez postwieprzowinowy, aż po woń długo niepranych tekstyliów syntetycznych, odbiera mu radość oddechu i przygniata do trotuaru. I nim się spostrzegł, stał już na końcu kolejki, wyprzedzając wyłącznie inwalidów i dzieci, którym i tak będzie musiał przecież ustąpić pierwszeństwa.

Tymczasem teściu postawił przed nim walizkę Cecylii Szmaroń, bawolim spojrzeniem nakazał natychmiastowe umieszczenie jej w luku, a sam zwrócił się do córki:

- Na matkę oko miej, żeby jej co do łba nie strzeliło, rozumiesz-wiesz...

- He, he, jasne! - parsknęła śmiechem Ilona Rawa. - Od razu se z mamą po narzeczonym weźmiemy! Najlepiej jakim ratowniku!

- Co mówię, to mówię! - ołowiana barwa w głosie ekskomandosa znamionowała, iż wcale mu nie jest do śmiechu. - Małżeństwo jak młode wojsko! Na sekundę człek kociarstwu odpuści i już mu na orderzy szczają!

Florian Szmaroń ponownie łypnął na zięcia.

- No, powalcz trochę, klaptoniu zjeżdżały, bo się lato skończy, a ty tu będziesz sterczał jak chart na przesmyku! - wycharczał i popchnął inżyniera w stronę autobusu.

Siła przesunięcia była tak wielka, że Sebastian Rawa, roztrąciwszy jak kręgle kilkanaście emerytek, wylądował w zasięgu uszu kierowcy autobusu. Napiął się zatem w sobie i dźwignąwszy żoniną walizkę, na której rączce zaciskał w spastycznym kurczu zbiegające palce, począł krzyczeć.

- Pan wrzuci...! Pan to wrzuci...!

Atoli krępy szofer w ciemnoniebieskim uniformie i sztywnej czapce z napisem PETEEN na srebrnym otoku zdawał się go całkowicie ignorować. Patrzył w niebo i skubiąc z zadumą bokobrody, zaznaczał swą duchową nieobecność.

- Floryś, nie durnuj...! Nie durnuj, ci powiadam...! - zżymała się tymczasem pani pułkownikowa. - Gdzie mnie melanże w głowie, ochłaje i genitalna swawola, kiedy ja Marylę Królową Pokraju w sercu aktualnie noszę, a z nią i wszystkich świętych!

Po czym popatrzyła na małżonka uważnie.

- No chyba, że to tobie, pod nieobecność kobiety, z którą żeś wobec Boga i sakramentów jednym ciałem jest, przypominam, bisurmaństwo lędźwiowe się marzy i dolnych flaczków karnawał! - dokończyła i pogroziła mu palcem z taką energią, aż fiszby jej ramion zafalowały złowrogo.

Owym strasznym oskarżeniem spotwarzony, pułkownik Florian Szmaroń w okamgnieniu spąsował z oburzenia.

- Ty mnie, kobieto, nie obrażaj, bo jeszcze nie wyjechałaś i ja cię zawrócić mogę w try... purwa... miga!

Czując narastającą burzę, Sebastian Rawa postanowił nie dorzucać do niej najmniejszych bodaj piorunków. Przepchnął się zatem jeszcze bliżej kierowcy, omiótł wzrokiem srebrną tabliczkę nad kieszenią jego munduru, gdzie drukowanymi literami napisano: SATURNIN JANIELSKI - STARSZY SZOFER, i niemal łapiąc go za rękaw, wymamrotał błagalnie:

- Panie starszy, jeszcze moje... Moje jeszcze...

Atoli starszy szofer Saturnin Janielski zatopił w inżynierze spojrzenie głęboko niechętnie, wręcz wrogie.

- Gdzie mi tu...! - zabalgotał. - Kolejkę szanować...!

Speszony Sebastian Rawa odruchowo zazezował w stronę rodziny. Na całe szczęście trwała gorąca wymiana argumentów i nikt nie zauważał jego niepowodzeń.

- Tata! No już by tata...! No...! - próbowała udobruchać ojca Ilona. - Zamiast wątrobę kwasować, lepiej by se tata zostałby...

- Ale jak, że zostałby? - zamrugał powiekami nieco zdeorientowany pułkownik.

- No, z Sebastianem parę dni pomieszkawszy - doprecyzowała córka. - Skoro już se tata do Farszawy przyjechał!

Słyszając słowa małżonki, inżynier Rawa upuścił walizkę, którą tak długo ścisnął niczym Katechizm Małego Pokrajaka. Ale jakże to? Miałby li cały fortel Adasiowy na budę się okazać psu lub - gorzej jeszcze! - mu w dupę? Wszak wici dawno rozesłane, znaki dymne w stronę Żółciostoku puszczone, a tam-tamy swym niskim pomrukiem potwierdziły przyjęcie zaproszenia! Rozkazy poszły i nie da się już - hej, hej, komendancie! - akcji „W” odwołać!

A na dodatek czegoż to się dowiaduje żołnierz, do najsroższej potyczki się szykujący?! Że mu chcą Niemca dokwaterować?! Wrażego okupanta w środek donżonu wpuścić? Nienawistnego ciemieżyciela w jedną i tę samą piżamę przyodziać?

Przecież pod bawolim okiem tego rębajły i gwałtownika nigdy inżynier czarnomambności nie zazna! Obcołożnym kołem fortuny nie zakręci! Egzotycznych treści nie popieści!

Ze szkodą dla rodziny, rzecz jasna! Wszak znane są powszechnie badania, iż bezpłciowość życia płciowego śmierć gwałtowną i we śnie na mężczyzn w jego wieku zsyła!

Miałżeby córuchnę swą odumrzeć i małżonce Ilonie czarny woal na wdowią głowę założyć?

Nie!

Nie!

I jeszcze raz nie!

Inżynier Rawa odwrócił się w stronę żony, czując, że musi natychmiast zareagować.

Może powie, że zachorował nagle na krup? Albo koklusz? Błonicę? Chorobę wściekłych krów? Afrykańską gorączkę krwotoczną?

Nie. Afryki lepiej do tego w ogóle nie mieszać.

Więc może hotel teściowi wynająć w dzielnicy Farszawy jakiejś odległej? Albo karnet all inclusive do którejś z fabryczek Pokrajskiego Monopolu Spirytusowego sprezentować? Ale jak sprawić, by się nie zorientował, że wiarołomny zięć do Egiptu udaje się w czas, który na zlecenie samego wiecie kogo poświęcić na ciężką pracę powinien? Jak...

- A co po miałbym niby zostawać w Farszawie, rozumiesz-wiesz? - niespodziewanie wybuchnął pułkownik Szmaroń, a jego groźny bas zawisł nad stanowiskiem numer 5 dworca autobusowego Farszawa Zachodnia niczym obwieszczenie o rozstrzelaniu.

- No, se tata po mieście by pochodził i stolicy po latach nieobecności nieco liznął - powiedziała Ilona, ale wyczuwając irytację w głosie ojca, już nie tak pewnie jak poprzednio. - Się rozbudowuje nam miasto znamienicie, a gospodarska troska Pierwszego Obywatela wielce się do poprawienia warunków życia i komfortu mieszkującego tu suwerena przyczynia. Wszak dobrobyt stolicy radością władz partyjnych i państwowych jest, ojczy!

Sebastian Rawa zadrżał zaniepokojony. W głosie jego żony pobrzmiwał tak potężny zaśpiew Oficjum Narodowego Bezpieczeństwa Narracyjnego, że inżynier się przestraszył, iż również jego teściu ulegnie owej optymistycznej wizji. Atoli - ku jego zaskoczeniu! - Florian Szmaroń najwyraźniej odmiennie zapatrywał się na tę kwestię.

- Tego syfu i smrodu lizać mam? - wzruszył ramionami.

- A gdzie on ci zostanie? - zagdała Cecylia Szmaroń. - Ojca nie znasz? Na starość się odludek zrobił, co się jeno w kniei dobrze czuje! Z Flubertusem świętym tylko by w matecznikach siedział lub też w babrzyskach i przy gawrach! Gdzie jak kto dwóch zająców goni, żadnego nie uchwyci! Gdzie nie wierz wil-

kowi, choćby i zabity! Gdzie jeszcze niedźwiedź w lesie, a już skórę targują! Gdzie każda strzelba raz do roku sama strzela! Gdzie lepszy dzięcioł w ręku niż orzeł na sęku! Gdzie mówiła sroka wronie, nie siadaj mi na ogonie! Gdzie baba w poprzek drogi, to zwierzyna w nogi! I gdzie na świętego Bartłomieja po raz pierwszy jęknie knieja!

- A tak! A tak! - na wspomnienie lasu emerytowanemu pułkownikowi zaświeciły się oczy. - Boć i cóż w tym co złego, że sobie do żywny na świeżym powietrzu postrzelam, miast onego waszego miastowego smrodu i syfu pulmonologicznie doświadczać?

To moja ostatnia szansa! - pomyślał Sebastian Rawa. Giń albo zwyciężaj!

- Przenikliwe to słowa i dalekowzroczne! - zaczął na tyle głośno, by przedrzeć się przez dworcowy pogwar. - Tym bardziej iż nam ostatnio w stolicy okrutnie zanieczyszczenie wzrosło, trwałą degradację miasta wzmagając! Smogi mamy iście wawelskie, a zatrucie powietrza wielopierścieniowymi węglowodorami aromatycznymi wzrosło o...

- Dajesz pan te walizki czy na wylęgu siedzisz? - przerwał mu niespodzianie starszy szofer Saturnin Janielski.

- I co przerywasz, liszaju, zamiast specjalisty eksperta posłuchać, człowieka awansowanego! - osadził go w miejscu Florian Szmaroń, a potem obrzucił jednym z tych spojrzeń, po których odehciewa się dalszego oporu.

Sebastian Rawa od razu się wyprostował i spojrzał z wdzięcznością na teścia. Również i kierowca peteenu kuknął na zwalistego pułkownika, ale - przeciwnie niż inżynier - zgarbił się przy tym pańszczyźniano, po czym, całkiem nieproszony, złapał walizkę Ilony Rawy i z gorliwością prymusa ją ją upychać w luku bagażowym.

- A w ogóle to od wdychania zanieczyszczonego powietrza umiera rocznie dwa miliony ludzi nawet! - dokończył swój wykład Sebastian Rawa.

Starszy szofer Saturnin Janielski wychynął z brzucha autobusu i wbił przerażony wzrok w głównego specjalistę od utylizacji odpadów komunalnych.

- W Farszawie? - jęknął.

- Na świecie całym.

Saturnin Janielski odetchnął z ulgą.

- Którego Farszawa jednak jest częścią - dodał inżynier, żeby nie było za wesoło.

Pracownik Pokrajskiego Taboru Narodowego poskubał się w gęstwę baków i z kwaśną miną wycofał po walizkę pani pułkownikowej.

Tymczasem z megafonów wylał się spotworniały bełkot, zapowiadający coś gdzieś kiedyś i przez coś.

- No, idźcie już! - Florian Szmaroń począł zaganiać kobiety w stronę autobusu jak stado gąsek. - Miejsca czas zająć, pozycje.

- I bawcie się dobrze - rzucił Sebastian Rawa, wykonawszy dłonią tradycyjne pa-pa.

Teściu popatrzył na niego krzywo.

- Byleby nie za dobrze - mruknął.

Ilona rzuciła się w stronę ojca i ucałowała go z dubeltówki.

- I niech tata tylko nie zapomni zabrać Seby na stadion! - zakrzyknęła cokolwiek piskliwie, zapewne w rajzefibrycznym podnieceniu. - Żeby i on cudów ozdowieńczych ojca Mbarary doświadczył!

Inżynier Rawa z miejsca się nastroszył.

Po co ona w ogóle o tym przypominała, głupia?

Zmarszczył czoło i z niepokojem zerknął na teścia, który uniósł dłoń, wyprostowawszy palce jak do przysięgi.

- Ależ oczywiście, kochanie! Nad Pokrajem naszym znąkanym przetacza się aktualnie potężna wojna duchowa, a że demoniczne zwierzchności na smokach latające oraz pozostający na ich usługach medialni hipnotyzerzy oddać chcą Najświętszą Niepospolitą w pacht islamu, ateizmu i ekumenii, waśń to będzie śmiertelna, depfundis oraz kamienie na szaniec! - oświadczył ekskomandos z niezwykle uroczyisk] miną i przeniósł wzrok na Seba-

stiana Rawę. - I dlategoż to nawet taka cywilbanda i ecie-pecie żalosne jak ten tu oto twój małżonek przyda się nam u Rechrysta na ordynansach tudzież w hufcu bożym! Bo w razie niemca jako różańcowe mięso armatnie go wystrzelim!

Owe piękne słowa pułkownika tyleż uspokoiły jego córkę, co zaniepokoiły zięcia.

Purwa, wpadłem jak śliwka w kompot! - uświadomił sobie Sebastian Rawa, czując, jak czarny smętek i odrętwienie siadają mu na piersi ciężkimi dupskami. I w tym psim weltszmercu zapragnął najlichszej bodaj pieśczoły.

- Przytulisz tatusia? - wyciągnął ręce do córki.

Twarz Oliwki Rawy wykrzywiła się w zgoła nie dziecięcym grymasie abominacji.

- Gila masz.

I nim zawstydzony ojciec zdołał wytrzeć nos, wepchnęła mu klatkę w wyciągnięte dłonie.

- A szcuruni mi pilnuj! - wycodziła dowódczym tonem, bez wątpienia zasłyszonym od dziadka. - Żeby jej jaka krzywda nie dosięgła!

Inżynier Rawa osłupiał, mając przez pierwsze sekundy nadzieję, iż się po prostu przesłyszał. Niestety, fakt, iż trzymał w rękach klatkę z gryzoniem, który miotał się przerażony z kąta w kąt, kazał mu tę nadzieję uznać za płonną oraz stojącą w poprzek twardych faktów.

- Ale jak to? - jęknął w nieśmiałym proteście. - Żywiny swej ukochanej nie bierzesz? Kontaktu z jodem pozbawiasz? Na rozłakę narażasz?

- A po chuj mi szcur nad morzem?! - odbiła retorycznie córka. - Pożegnać się jeno wzięłam!

Sebastian Rawa podniósł klatkę na wysokość twarzy. Szcurunia wpatrywała się w niego świdrująco, a jej biały pyszczek wibrował nerwowo. Jakby próbowała rach-ciach wywuchać, jakież to intencje ma wobec niej nowy opiekun. I wpadło inżynierowi do głowy, że między nim a tym wystraszonym zwierzątkiem nie ma najmniejszej bodaj różnicy.

- A jak jej serce pęknie? - spytał cicho.

Oliwka wzruszyła ramionami.

- Już twoja w tym głowa, by nie pękło! - syknęła.

Potem zaś autobus odjechał fru.

A srogi teściu - nim się odwrócił na pięcie i udał w misję tajną przez poufną łamaną - zawisł nad inżynierem na odległość cebulowego oddechu i wbiwszy weń bagnet stalowego spojrzenia, wycodził:

- Synu, będę mówił prosto, boś nie rezolut! Armia to armia, nie tylko swój etos ma, ale i tajemnice, rozumiesz-wiesz. Których przed cywilbandą i ciurostwem zdradzić niepodobna, albowiem to dla żołnierza dyshonor i głównem samoobłożenie!

- Ale... - zaczął nieśmiało Sebastian Rawa.

Pułkownik Szmaroń wciągnął przez nos powietrze, aż za-furkotało.

- Było, purwa, spoczniej?! - zasapał przez zaciśnięte zęby. Inżynier poczuł, jak wiotczeją mu nie tylko mięśnie, ale i kości.

- Tata wybacz... - wyszeptał, opuszczając głowę.

Przez chwilę zdawało mu się, iż szzurunia zachęca go wzrokiem, by się tak łatwo nie poddawał, ale z pewnością było to tylko złudzenie.

- Cywilbandą i ciurostwem, powtarzam! - powtórzył teściu.

- Których żeś, bez urazy, lichym przejawem! Dlatego wiedz wy-łącznie to, iż wróg nieustannie na naszą pomyślność dybie i nie spocznie, póki jak jaki ryjec wilczych dołków pod nami nie wyrze-je! I że nie dla modlitwy ja się na Stadion nasz Narodowy udaję...

- pułkownik zawahał się, podrapał w głowę, po czym uściślił: -...a może precyzyjniej: nie tylko dla modlitwy, wszak rozmowa z Bogiem to rzecz dla mnie prymarna i konstrukt duchowy niczym pancerz mi budująca, ale też jako ojca Mbarary pretoriański body-gard i łebski cerber. A że oko muszę mieć czujne, by zamachowca podleca przedwcześnie wypatrzyć i antycypować, przeto cię, łajzo, nie wezmę, bobyś mi zwisał u kulbaki jak hemoroid!

Inżynier Rawa zamrugał oczami w potężnym zaskoczeniu. Jak każdy, kto jest nieprzyzwyczajony do tego, by Matka Boska -

łaską dobroci go obdarzając! - tak mocno świeciła mu w oczy blaskiem swojej chwały.

Teściu mnie nie zabiera na cudów oglądanie!

Cud to najwyższy!

Alleluja!

Momentalnie jednak powściągnął mięśnie mimiczne i walcząc z tymi, które odpowiadają za uśmiech, wyprowadził na przedpole obniżacz wargi dolnej, by nadać twarzy grymas mazgaja i męskiej miągwy.

Widząc to, pułkownik Szmaroń z trudem pohamował obrzydzenie. Atoli czasu miał niewiele, więc szybko się przemógł i rzekł:

- Ale że to tajemnica także dla małżonek naszych, przeto zobowiązuję was, szeregowy, do trzymania mordy na kłódkę. Jakby która pytała, razem byliśmy na modłach, zrozumiano?

- Tak jest! - ryknął Sebastian Rawa i po raz pierwszy w życiu poczuł się jak prawdziwy żołnierz.

*

- Wyjątkowo obrzydliwe bydlę...

Słowa te usłyszał inżynier od swojego najlepszego przyjaciela krótko po tym, jak rozstał się z teściem. Pognął do domu w szybkich abugach, by zadzwonić po poradę, a teraz stał w jadalni i przyglądał się z niepokojem, jak właściciel firmy „Adam Rembelski - limuzyny ślubne wynajem” mierzy się na spojrzenia z białą jak śnieg szczurunią, co pewien czas usiłując ją dziabnąć ołówkiem przez pręty stojącej na stole klatki.

- Patrzy tak jakoś, świdruje - notował głośno swoje obserwacje Adaś. - Słowem: usztywnia mnie gad potwornie.

- To gryzoń jest - nieśmiało sprostował inżynier.

- Przecież mówię! - zachnął się jego najlepszy przyjaciel. - Ale ma ryja gadziego!

Sebastian Rawa zerknął na klatkę. Szczurunią mrugnęła do niego. Tak mu się przynajmniej zdawało.

- Mordkę ma - powiedział cicho. - Poniekąd notabene sympatyczną.

Adaś pokręcił głową w geście smutnej zadumy nad jaskrawym zimbecyleniem przyjaciela. Ponownie wsadził ołówek między pręty klatki, a kiedy szczurunią odskoczyła i schowała się w plastikowym sercu, które służyło jej za domek, odwrócił się i popatrzył na inżyniera jak kobra na obiad.

- To w ogóle do czegoś podobne jest? - zasyczał.

- Do siostry mojej Ireny ci znanej - wyjaśnił pośpiesznie Sebastian Rawa. - Jest bardzo inteligentna. Szybko uczy się sztuczek.

- Irena? Bez jaj... - odburknął Adaś, wyraźnie zde gustowany. Znał starszą siostrę inżyniera od dziecka i ów ostatni komunikat nijak mu do niej nie pasował.

Sebastian Rawa łypnął na przyjaciela jak na jednostkę z silnym niedoborem ajkiu.

- Szczurunią - mruknął.

Fałszywy reżyser od castingów wyduł mięsiste wargi.

- Istotnie, podobna do Ireny. Też uroda w deficycie.

- Uroda jej zbędna. Ona Bogu służy - wzruszył ramionami Sebastian Rawa.

- I zasadnie! - twarz Adasia wypaczyła się w sardonicznym zacieszu. - Albowiem nie tego, co twoja siostra mogłaby ofiarować, szuka w samiczym puzderku prawdziwy mężczyzna.

Inżynier Rawa postanowił przemilczeć owe liche przytyki. Akurat to, czego mógłby szukać w samiczym puzderku jego siostry jakikolwiek mężczyzna, obchodziło go tyle co zeszłoroczne śniegi. Niestety, najlepszy przyjaciel zdawał się tego nie pojmować i drażył dalej:

- A prawdziwy mężczyzna czego szuka, Sebuś?

Milczeć. Nie odzywać się. Przeczekać.

- Czego szuka, raz jeszcze ponawiam i pytanie restytuuję? - dociskał obcesowo Adaś.

No dobra. Odpowiem, bo się nie odczepi.

- Piękna i etosu jego?

Adaś wybuchnął głośnym śmiechem.

- Brawo, synu wysypisk i rur ściekowych! - szturchnął inżyniera dotkliwie w żebro. - Etosu, portosu i aramisu! A ogólnie kształtnych tyłków!

Sebastian Rawa z miejsca się nachmurzył, bo ostre rwanie w podżebrzu poczęło w nim walczyć z klującym cierniem egzystencji.

- Życia nie sypłasz aby, Adaś? - syknął.

Najlepszy przyjaciel ponownie zarechotał.

- Kontrpostawnie wprost! Nie sypłam, jeno garściami biorę i gniotę, tarmoszę, miętolę!

Niespodziewanie zamilkł i podniósł ze stołu klatkę ze szczurunią.

- Po coś mi to brzydkie prezentujesz coś?

Nareszcie wracamy do meritum i praźródła spotkania - ucieszył się inżynier Rawa i wypalił na jednym oddechu:

- Żebyś do domu zabrał i opiekę roztoczył.

- Chyba cię prąd popizgał! - wykrzywił się Adaś, jakby bosą nogą wdepnął w cudzą tragedię gastryczną. - Jak mnie stara z ohydą zobaczy, to nas w trymiga z domu wyrzuci z prędkością światła albo i bozonu!

Nie można tego wykluczyć - pomyślał Sebastian Rawa. Karina Rembelska była żoną prawdopodobnie jeszcze większą niż jego ślubna. Harpią wręcz cyklopową. Szantrapą regularnie trenującą Kosmiczny Rozpierzdol i arcycholera rozwidloną na nieskończenie wiele ścieżek podłości. Wszelako życie czasem wpycha cię do ostatniego ostatniusiego szanca, za którym jest już tylko lita skała, i Sebastian Rawa właśnie w nim siedział. Dlatego nie na rozdwanie włosa to już czas - myślał inżynier - a jeno na zdecydowane kroki! Wóz albo przewóz! Sprzątamy kompost lub ginie my pod jego śmierdzącą pulpą! *Tertium non, purwa, datur!*

- Ja przecież do Egiptu, kolebki faraonów, się udaję! - zakrzyknął psalmodycznie, jakby obwieszczał o kolejnej niewoli ludu wybranego.

- Wiem... - odrzekł Adaś zadziwiająco spokojnie. Najwyraźniej nie miał świadomości, że atomowy guzik został już wciśnięty.

- Na kontynent odmienną drogą powietrzną potajemnie! - wzmocnił swój lament Sebastian Rawa.

- Mówię, że wiem...

Inżynier poczuł nieprzyjemny powiew. Jakby chamsin sennych słów przyjaciela spychał go ze szczytów rozpaczy w kisiel banalnej codzienności. A co gorsza nie był to jeszcze koniec, albowiem Adaś ziewnął - w takim momencie?! jak mógł! - i naśladując miodny zaśpiew wikarego Celestyna Oszczydury (u którego obaj musieli przejść cykl nauk przedmałżeńskich), powiedział:

- Sebastianie mój miły, czyżbyś postradał w pamięci, iż ja ci to wszystko, za wstawiennictwem Paniarki Ostrogórskiej, zorganizowałem niczym anielski strateg?

- Strateg-strateg! - wycodził inżynier Rawa z wściekłością, która wnet ustąpiła miejsca kłopotliwemu rozczarowaniu, iż jedynie tak rachityczny odpór leksykalny przyszedł mu był do głowy.

- A o szczuruni zapomniałeś!

Adaś Rembelski wybałuszył szeroko oczy.

- Ja?

Bogiem a prawdą nawet w złości człek winien trzymać się prawdy - pomyślał inżynier i postanowił bezzwłocznie skorygować akt oskarżenia.

- Śmy znaczy - zamruczał cicho.

Adaś uniósł wysoko brwi.

- Śmy?

- No, ja bardziej... - przyznał Sebastian Rawa, pochylając głowę w zawstydzeniu. I zaraz dodał w potrzebie usprawiedliwienia: - Ze stresu połączonego z podekscytowaniem lekkomyślnie postradałem w świadomości, iż ów gryzoń, córce mojej przez kuzynostwo z Podszczupacia na komunię ofiarowany, pod opiekę może zostać mi powierzonym!

- Zaiste płoche to i zwiewnomyślne - skomentował Adaś z zatroskaną miną księdza pacynki z telewizyjnego serialu dla najmłodszych Dziecięcy bastion.

Inżynier Rawa ani trochę nie przepadał za tą bajką, a jego Oliwka tym bardziej. Aliści od pewnego czasu oboje - nie do końca z własnej woli - brali udział w ogólnopokrajskiej zabawie, polegającej na ciułaniu przy zakupach punktów i ich wymianie na pluszowych księży i zakonników. Umiejętnie podsycana przez Telewizję Narodową Pokraju histeria ogarnęła w krótkim czasie wiele milionów dzieci oraz - a może przede wszystkim! - ich rodziców. Ludzie zapisywali się po odbiór zabawek w sklepach, a potem gorliwie pilnowali, by nikt się nie wepchnął przed nich w kolejkę po pluszaczki dominikanów, odziane w białe habity i czarne kapy z kapturkami, po brązowe pacynki kapucynów z pelearnkami do kolan i spiczastymi kapturkami, po czarnohabitowych kamilianów z czerwonym krzyżem na piersi czy choćby - niezwykle rzadkość, bardzo poszukiwana przez dzieci! - po pustelników w workowatych szarych szatach, z gęstymi brodami i długimi włosami. A jeśli rodzice nie dostawali owych wymarzonych pluszowych zakonników dla swoich milusińskich, to pisali gniewne donosy na kasjerki i kierowników sklepów do ministra edukacji narodowej Porfiriusza Zagardłaka lub Oficjum Do Spraw Cnotliwego Wychowu, a nawet do samego Pierwszego Obywatela.

Nie przepadał ani trochę - jak już zostało wspomniane - za tą bajką, ale (chcąc zetrzeć patynę zbędnej powagi z lica ich obecnego dyskursu) wszedł w zaproponowaną przez Adasia konwencję i zaświergotł niczym mali goście telewizyjnego księdza pacynki:

- I cóż z tym gryzoniem kłopotliwym uczynić ma biedny Sebastian, proszę ojca? Wszak nad Nil go nie zabierze!

Adaś się uśmiechnął. Uniósł dłoń i naśladując nią kukiełkę z Dziecięcego bastionu, odezwał się głosem pedagogicznie miłym:

- No raczej.

- Robić zatem ma co i powinien ów chłopczyk? - szczebiotał dalej inżynier.

Adaś popatrzył na niego z jakimś dziwnym błyskiem w oku i porzuciwszy tembralny jedwab, zarechotał:

- Łeb mu ukręcić, gadu! Gadowi!

A potem rżał jeszcze dziko przez dłuższą chwilę, a ów śmiech pełnogębny, choć bez wątpienia pozbawiony był złych intencji, to jednak prątkował jakąś zbędną parszywością i ukłął inżyniera naprawdę nieprzyjemnie.

- To ulubiony pluszak Oliwki, serce by jej pękło - wymamrotał Sebastian Rawa bardziej do siebie niż do przyjaciela. - A jak jej, to i mnie, ojcowi. Ojcu.

Był w tym wyznaniu kir, całun i hiobowy pokwęk, więc Adaś z miejsca spoważniał i zawstydzony się swą płochością płytką, objął przyjaciela i rzekł najcieplej, jak potrafił:

- Serce to ci pęknie, jak nie zamoczysz pytonga w owej Czarnej Mambie młodocianej, co ci ją Bóg zesłał przy pomocy mojej, o której nie wspominajmy...

- Wiem, przyjacielu - przytaknął smutno Sebastian Rawa. - Ale, jak to mówią, *tertium non*, purwa, *datur* i jeśli opieki nad futrzastym nie znajdę, przyjdzie mi cały plan odwołać anulować.

Adaś przycisnął inżyniera bardzo mocno, jakby się obawiał, że bez tej przyjacielskiej kłamry ów rozpadnie się na zgliszcza, odpady i ścinki.

- Nie możesz, Seba, anulować planu, gdyż o życie twoje i jego przedłużenie batalia się tu toczy, przypominam!

Inżynier Rawa spojrział na niego podpsio i astenicznie.

- Dlatego ponawiam: gryzonia w trybie emerdzensy węź - wydyszał z niemałym trudem jak jakiś szopen. - Skoro nie do domu, to do wypożyczalni może?

- Serca, niemcu, nie masz? - popukał się w czoło Adaś. - Chcesz, żeby się biedactwo zatrulo spalinami?!

Sebastian Rawa wyślizgnął się z objęć przyjaciela i klapnął ciężko na krzesło. Uniósł dłoń i podrapał się w pośmiertną maskę, wcześniej służącą mu za twarz.

- Trudno, Adaś - w jego głosie zabrzmiały iuneralne nuty. - W tych okolicznościach to ja jechać nie mogę.

Zapadła przygnębiająca cisza i beczyn rozsiadł się w jadalni, przygniecionej ciężkim wiekiem odartego z nadziei piestojebia.

Pierwszy poruszył się Adaś, a dokładnie jego powieki. Jakby łapały na nowo ostrość, jakby po babilońskiej niewoli mózgu poczęły doń wracać impulsy. Mruganie owo wywołało ruchy szyi, ta zaś z kolei obracała głowę, uważnie rejestrującą dookolną przestrzeń i z każdym omiecionym kątem wymuszającą coraz szerszy uśmiech na gąbczastych polikach.

- Ostatecznie w sumie... - zaczął właściciel wypożyczalni aut ślubnych, gdy tylko powściągnął szeroki zaciesz i doprowadził mimikę do stanu zadumy i zatroskania. - Mógłbym się zająć gadem u ciebie w domu...

Głos przyjaciela wydał się inżynierowi Rawie niczym chrobot kamienia, odwalanego z grobu przez wysłanego z niebios anioła.

- Zrobiłbyś to dla mnie? - zadrzał główny specjalista od usuwania odpadów komunalnych. - Poświęciłbyś się?

- Ostatecznie... - potwierdził Adaś krótko, bo na więcej nie pozwalał mu umysł wyświetlający właśnie wizję seksualnego rodeo, które pod nieobecność przyjaciela urządzi w jego czterech kątach.

Sebastian Rawa podniósł się z krzesła.

- Dzięki... - wybąkał.

Pseudoreżyser od castingów uśmiechnął się do niego szeroko.

- I drzewo ci w promocji podleję... - zapewnił. - Bo dla mnie przyjaźń to... Sam wiesz...

- Wiem, przyjacielu, wiem... - Sebastian Rawa walczył ze wzruszeniem, nie chcąc, by pstra mimozowatość zbrudziła pancerz chwili. - Się kiedyś odwzięczę...

Adaś momentalnie spochmurniał.

- Nie dla odwzięki to czynię, Seba - rzekł z powagą defensora wartości fundamentalnych.

- Rzecz oczywista! - spłoszył inżynier, ganiąc się w duchu za to, iż mógł obrazić przyjaciela sugestią nadgniętego merkantylizmu, po czym dodał uroczyście: - Wszelako męska przyjaźń to nie tylko pomoc w potrzebie, ale i w tejże potrzebie ewentualna zwrotna...

- Ładnie powiedziane - pokiwał głową Adaś i uśmiechnął się, choć ni cholery nie rozumiał, o co chodzi.

Za to magister inżynier Sebastian Rawa wprost przeciwnie. Rozumiał wszystko.

A przynajmniej tak mu się zdawało.

*

Kiedy w kilka godzin później przed jego domem zatrzymał się z piskiem opon miedzianozłoty Cadillac eldorado biarritz z otwartym dachem, stał już na chodniku. Na ramieniu dźwigał torbę jeszcze z czasów studenckich, do której dotoczył zgrabną kłódeczkę szyfrową, miał też koszulkę w kwiaty i płócienne spodnie, które Ilona kupiła mu do Brzegobrzeżu, oraz sandały z nubuku i z grubą podeszwą, zapinane na rzepy - jego ulubiony model, którego pięć par kupił wiele lat temu przy jakiejś premii czy podwyżce i systematycznie donaszał. Zaledwie godzinę temu zmagął się jeszcze z dylematem, czy zabrać parę sprawdzoną już od dwóch sezonów i dopasowaną perfekcyjnie do stopy, ale odrobinę przeszlifowaną na paskach i podeszwie, czy też wziąć świeżą (już trzecią z całego zbioru), pachnącą nowością, ale zawsze dającą ryzyko lekkich obtarć. Po dłuższej analizie wybrał świeżą, uznając, że i tak jest to jedno z mniejszych kozactw, na które się decyduje.

Miał też inżynier Rawa okulary przeciwsłoneczne, mocno osobliwe, ale całkiem zapomniał o kupnie zwykłych i musiał się ratować tym, co znalazł w domu. A znalazł okulary swojej babci, służące jej do czytania aż do samej śmierci i dziwnym zbiegiem

okoliczności, którego już zupełnie nie pamiętał, przez niego jakoś tam odziedziczone. Pasowały do nich niemal idealnie nakładki przeciwsłoneczne, które Ilona nabyła sobie, gdy go pierwszy raz zostawiła z półtoraroczną Oliwką i pojechała do sanatorium wojskowego w Ciachocinku.

Bardzo mu się dobrze przez ten zestaw patrzyło, bo choć nakładki były zbyt ciemne, to okulary babci mocno powiększały kształty, przez co wzrok niemal nic nie tracił. Dlatego przemilczał początkową uwagę przyjaciela, że wygląda jak musza dupa z za krzaka, i podawszy mu torbę (którą ten wrzucił od razu do bagażnika), rozsiadł się na miękkim siedzeniu.

- Gumki ci wsadziłem do bocznej kieszonki, tam gdzie masz klapki! Tylko nie pomył! - zachichotał Adaś, gdy już usiadł za kierownicą. - Komorę rozkminiłeś?

- Nie.

- Jak nie?! - jęknął posiadacz złotomiedzianego cadillaca. - Komora teraz najważniejsza!

- Ale szkodzi - skrzywił się inżynier Rawa.

Adaś chwycił białą kierownicę i przez chwilę się zdawało, że chce ją wyrwać z korzeniami i cisnąć precz.

- No jak, purwa, szkodzi, kiedy pomóc ma!

Sebastian Rawa wzruszył ramionami.

- Pokaż no mi ją tu lan-tu-fri! - rozkazał Adaś.

Inżynier karnie sięgnął do płóciennej nerki, przytroczonej do paska po lewej stronie, i wyciągnął z niej zawinięty w celofan (by choć trochę złagodzić niszczycielskie działanie fal) telefon komórkowy. Adaś pochwycił go i zaczął tłumaczyć po raz kolejny:

- Przekierowanie ci zrobiłem! W razie niemca, jak Ilona zadzwoni na domowy, odbierzesz se w Egipcie na luzaku, rozumiesz?

Inżynier Rawa pokiwał spokojnie głową.

- Ten guzik naciśniesz i już! - gruby palec kilkakrotnie stuknął w przycisk z zieloną słuchawką. - A potem zaczniesz bobonić, co ci tam do łba wpadnie! Na przykład: „Kochanie, aktual-

nie wyszedłem z kąpieli i w kuchni parówkę warzę, co słyhać, jaki faktor dziś kładziesz, tak tu pusto bez ciebie, tęsknię"...

- ...pusto bez ciebie, tęsknię... - powtórzył Sebastian Rawa w skupieniu, jakby starał się zapamiętać każde słowo.

- Czujesz moc dezinformacji? - roześmiał się Adaś. - Sam moskwiciński satrapa cię nie wytropi! No, nie wiem, co ty byś beze mnie zrobił, Seba! Zginałbyś normalnie, umarł i usechł jak to twoje drzewo...

Specjalista od śmieciownictwa stęzał i z irytacji aż podniósł przeciwsłoneczne nakładki. W babcinych okularach jego najlepszy przyjaciel był teraz powiększony i dziwnie opuchły, a przez to nieprzyjemnie obcy.

- Ono ożyje! - oznajmił inżynier z mocą, na jaką tylko było go stać.

Adaś wzruszył ramionami.

- Jak ożyje? Gdzie? Zejdź na ziemię, fantasto! - mruknął.

A potem - najwyraźniej nie znajdując innego sposobu na pocieszenie - huknął inżyniera mocno w plecy, po czym uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon.

Niestety, były straszne korki, więc na lotnisko imienia Świętej Pamięci Rodzicielki Pierwszego Obywatela dotarli dopiero po godzinie i pacierzu z okładem. Na frontonie budynku powitał ich wielki napis:

Jeśli Nie Kochasz Pokraju -
Nikt Cię W Nim Siłą Nie Trzyma!

Przejechali obok wejścia i zatrzymali się na miejscu dla inwalidów. Adaś sięgnął do schowka, wygrzebał z niego zaświadczenie o niepełnosprawności i przykleił na szybę, a dokonawszy owego aktu legalizacji, który neutralizował ewentualne anse i kontrole ze strony policji, Obrony Terytorialnej, milicji miejskiej czy justycjariuszy Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego, uznał swą misję za zakończoną.

- Dalej już musisz lecieć sam, orle mój odpadożerny - rozciągnął ramiona i ziewnął naprawdę szeroko.

Na dźwięk tych słów inżynier Rawa poczuł, jak rajzefiber poczyna mu pięścić kręgi L1-L5 i wpycha swój kościsty paluch w sam środek żołądka. Czknął - bardziej jednak mózgowo niż przy użyciu przepony i głośni - i bez zapachu wychynął z cadillaca, by wyjąć torbę podróżną.

Aliści jak wolno z auta wychodził, tak błyskawicznie wleciał do niego z powrotem. Jakby potężna pięść jakiegoś giganta ze stali trafiła go w sam środek istnienia. I tak też, zdaniem Adasia (który przyglądał się teraz w osłupieniu potężnie zamroczonemu przyjacielowi), wyglądał.

- Purwa jego mać dziewicza! - zakrzyknął z trwogą właściciel miedzianozłotego Cadillac eldorado biarritz, rocznik 1959.

I aż się rozejrzał, czy to aby nie jakaś ciężarówka - zjawiwszy się nagle i nie wiadomo skąd! - uszkodziła mu najlepszego przyjaciela.

Ale i z przodu, i z tyłu droga była całkowicie pusta.

Więc tylko szarpnął inżynierem, by go mechanicznie wyrwać z katatonii, a zwłaszcza odegnać ciećwiera bezmyślności, który mu siadł był na obliczu.

- Co ci? - zasapał lękliwie, poruszając nim jak szmacianą kukłą.

- Ona... kobieta... ona... kobieta... - mamrotał imbecylnie Sebastian Rawa, nic więcej nie potrafiąc z siebie wydusić.

Na szczęście wymachiwał przy tym ręką, i choć czynił to niezbornie, Adaś pojął, że przyjaciel usiłuje mu coś pokazać.

Obrócił się tedy w stronę, w którą - jak mu się zdawało - kieruje jego uwagę Sebastian Rawa, i dojrzał potężny baner reklamowy jednej z licznych organizacji rządowo-kościelnych, które uświadamiały miejscowym kobietom, iż aborcja to nie tylko ciężkie i karane wieloletnim więzieniem przestępstwo, ale także - a może przede wszystkim! - grzech śmiertelny, nieodwoalnie uniemożliwiający życie wieczne w Pokraju pozagrobowym.

- Nie hysteruj, Sebuś, wszak antybachorcze oprzyrządowanie z cienkiego, lubo piekielnie wytrzymałego lateksu włożyłem ci do kieszonki z klapkami, zapomniałeś?!

W głosie Adasia Rembelskiego pojawiła się prawdziwa kraina łagodności w całym jej tonizującym krajobrazie, aliści inżynier Rawa zdawał się tego nie doceniać, albowiem, nadal drząc jak osika, powtarzał:

- Ta kobieta... Ja ją znam... Ja już ją widziałem...

Właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych obrócił się zatem po raz kolejny i tuż obok gigantycznej fotografii - na której ubrany w biały kitel rogaty ginekolog, z ogonem i racicami, wyrwał szponiastymi rękami prześliczne dziecko z brzucha młodej kobiety! - dostrzegł równie wielkogabarytową reklamę kinowej arcyprodukcji o królowej Jadźwini, którą zagrała uśmiechająca się właśnie ze zdjęcia Anna Glass, najpiękniejsza pokrajaska aktorka.

- No pewnie, że ją widziałeś - wzruszył ramionami Adaś. - Jak każdy w tym kraju.

Jednakże się mylił, i to boleśnie! - zważywszy na fakt, iż człowieka, do którego kierował powyższe słowa, znał od hen! hen! pacholeństwa w przedszkolu Pionierów Joliborskich, dziś placówki imienia Przyjaciela Dzieci Księdza Alojzego Bohacz-Badyłaka Kapelana Plutonu Przeciwpancerneho 7 Pułku Strzelców Konnych XIV Brygady Kawalerii. A mylił się boleśnie - i wręcz zagadkowo tudzież niepojęcie! - albowiem jego dawny kamrat z zuchowego przedstawienia O Walecznym Grzybku oraz niezapomniany Węgielek z barbórkowej śpiewogry Gwarek i jego czarodziejska żupa, którą przygotowali już w starszakach, a dziś magister inżynier Sebastian Rawa oraz główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych w farszawskim Oficjum Gospodarki Odpadami Komunalnymi, do tego stopnia pozostawał poza przestrzenią pokrajskich figli-migli rozrywkowych, jak i edukacyjnego relaksu audiowizualnego, iż nie miał zielonego pojęcia o istnieniu aktorki Anny Glass.

Choć miał wszelako - skomplikujmy rzeczywistość, albowiem proste światy w ogóle nie zasługują na egzystencję! - doj-

mującą świadomość istnienia owej pięknej kobiety, jako że już dwukrotnie mu się ona była przyśniła. I w owych fantazjach nie tylko z nią tańczył, ale się również całował, i to z języczkiem.

Niepojęty Mózgu, na jak arcyfikuśne próby potrafisz wystawiać swoich posiadaczy!

Atoli świadomość romantycznych tańców - a przede wszystkim jeszcze romantyczniejszych pocałunków! - pozostawała do tej chwili, za sprawą kaprysu pamięci, dogłębnie przed inżynierem zakryta. Tym większy był zatem jego szok, gdy cud przypomnienia - wywołany widokiem reklamy filmu Jadźwinia - królowa, co pragnęła być świętą - odwalił płytę amnezji i zawołał do snu, co leżał bez tchnienia: Łazarzu, wstań!

I o tym właśnie pragnął teraz Sebastian Rawa opowiedzieć swojemu najlepszemu przyjacielowi! Mało, że opowiedzieć, chciał mu to wykrzyczeć, czuł bowiem, że o emocji, która wulkanicznie rozrywała mu od środka pierś, do tej pory tak inżynierską i opanowaną, szeptem szeptać nie sposób! Mimo to nie krzyczał, bo i jak ma opisać, co wyrazić pragnie? W jakie wżdy słowa ubrać? jaką giętkość nadać językowi, by powiedział, co przyśniła głowa? A z drugiej strony: jakiej zwrotnej się spodziewać od specjalisty, co o kobietach wiedział wszystko, gdy w sferze męsko-damskich interferencji samemu się jest dziewiczym ciuścukiem, melepetą i tabaką w rogu? Dyć wykpi plugawo, kanalik! Rozstrzela serią poniżających uśmieszków! Oblepi mamałygą żrących jak kwas półśłówek! Jednakoż ze strony trzeciej - dygotał w emocji Sebastian Rawa - to przecież od tego ma się przyjaciół, do purwy nie-filtrowanej! Żeby im takie rzeczy opowiadać! Się dzielić, nie?!

W ten właśnie sposób zmagął się sam ze sobą inżynier Rawa, rozdwojony w umyśle i miękki wewnątrz niczym skarga nimfy, gdy nagle jego najlepszy przyjaciel, zerknąwszy w przeciwną stronę niż baner z Anną Glass, zawołał:

- Japierdole, Seba, czy ty to, brachu, obczajasz?!

Krzyk Adasia miał siłę termobarycznej eksplozji i w jednej chwili zmiażdżył myślowe dygoty inżyniera, który odruchowo przerzucił wzrok na drugą stronę ulicy.

Na jaskrawolimonkowej walizce siedziała tam ciemnoskóra dziewczyna urody bezsprzecznie zjawiskowej, wyglądająca - zapewne z powodu różowego dresu, który ściśle opinał jej zgrabne kształty! - jak kawowa pralinka w polowie z malin.

Tak przynajmniej pomyślał o niej inżynier Rawa, dostrzegając jeszcze, że obok popijającej niespiesznie z puszki pokraj-koktę piękności - w której czarno na białym rozpoznał Anitę Bułas z Żółciostoku! - stał na chodniku bumbox. Niewielki, ale również rzucający się w oczy, bo w kolorze fuksji.

- Poezja, stary... - skomentował Adaś widok, który ukazał się ich oczom. - Co ujrzałem i widzę, oddać może jedno słowo zaledwie może...

- Mianowicie przytocz. - Sebastian Rawa przygryzł wargi w nerwowym oczekiwaniu i poprawił swój osobliwy zestaw okularowy, który lekko mu się, najpewniej z emocji, przechylił był na nosie.

- Piękna w chuj!

- Podzielam, Adaś - przytaknął inżynier, przelękając ślinę. - Tym razem bardzo trafne to słowo i adekwatne!

Ponownie wbił wzrok w siedzącą na walizce Anitę, a atomowy seksapil, który z niej promieniował, zawładnął nim tak szybko i całkowicie, że na amen i do szpiku niepamięci wyrzucił ze świadomości kobietę z reklamy filmu o królowej Jadźwini, tę, która dwukrotnie mu się przyśniła.

Wszelako i przytomnością Adasia piękna żółciostoczanka musiała potargać niewąsko, bo kiedy po długim milczeniu obrócił oblicze zaślinionego obserwatora w stronę inżyniera, oczy mu jaśniały jak zakład pracy latarnika.

- Gdy sobie pomyślę, jakie ci się mambo-dzambo szykuje, jakie szuru-buru i czarna wudu msza, to aż mi się ataman gwintuje! I to do trzech pokoleń wstecz!

Ku jego zaskoczeniu biedny inżynier - miast się na te słowa ucieszyć zgodnie z tradycją samczego zaklęcia i rytuału! - jedynie się stropił i przygryzł wargę, jakby za chwilę miał się rozpląkać.

Pokraj

- Mnie też, Adaś - zajęczał. - Tylko się boję, że to nie moja liga, nie moja murawa.

Bez dwóch zdań należało go natychmiast przywrócić do pionu.

- Rozluźnij warkocz, Seba! - huknął tubalnie Adaś. - Raz w życiu i beznogi staje się królem bieźni!

Inżynier łypnął na niego z nadzieją.

- Myślisz?

- Ktoś z nas musi! I pamiętaj: jak to spierdolisz, do końca życia będziesz sandał jadł! - zakrzyknął Adaś buńczucznie i klasnąwszy w dłonie, najpewniej dla dodania sobie animuszu, oznajmił niespodziewanie: - No, to idę!

- Ty? - zdumiał się Sebastian Rawa. - Chyba ja!

Najlepszy przyjaciel popatrzył na inżyniera jak wigilijny biesiadnik zerka na dodatkowe nakrycie: z szacunkiem, ale i z nieprzewartym poczuciem zbędności.

- Zluzuj wreszcie pompę - ziewnął i począł kręcić głową, jakby był sztangistą rozciągającym mięśnie przed dźwignięciem rekordowego ciężaru. - Jesteś bogiem kina, tak? A bóg nigdy nie wychodzi pierwszy! Czaisz?

I nie czekając na reakcję inżyniera, wyskoczył z cadillaca bez otwierania drzwi, zwiewnie i lekko niczym gazela lub daniel. A potem, uznając zapewne, iż rogacizna robi na kobietach gorsze wrażenie niż płowogrzywi królowie sawanny, porzucił parzystokopytną wersję, przejechał energicznie ręką po głowie i wprowadziwszy włosie w estetyczny ferment, ruszył w stronę piękności w różowym dresie powolnym krokiem znudzonego lwa. Ta zaś, wiedzona odwiecznym instynktem wyczuwania feromonu władztwa i krzepkiej seksmotoryczności, odstawiła puszkę pokraj-kokty na chodnik, uniosła zgrabną kibić z walizki i - skrzyżowawszy nogi, jak to czynią największe gwiazdy aktorstwa, gdy je fotografują na ściankach i pokazach mody! - przegięła się zmysłowo w biodrach, pozwalając równocześnie, by jeden z wielu tak długo ćwiczonych przed lustrem uśmiechów w stylu „hełoł, mężczyzno życia!” zawitał na jej zmysłowej twarzy.

Owe słodkie gody, na które przyszło mu teraz patrzeć z od dali i przez powiększające okulary, wcale się inżynierowi Rawie nie spodobały. Poczul ukłucie zazdrości, lecz wnet spoliczkował się mentalnie za czelność, iż o zazdrości mógł w ogóle pomyśleć. On - legendarny platfus, trąba i ecie-pecie.

Tymczasem Adaś, stojąc już u Anity bram, zapytał porażająco niskim głosem:

- Bułas Anita?

- Zgadnij - odpowiedziała tajemniczo, choć i w sposób dorozumiany, dziewczyna, przekrzywiając przy tym zalotnie głowę niczym pogańska południca lub famfatal z romansu w lakierowanej okładce.

I nie czekając na odpowiedź, odwróciła się, a pochyliwszy się w sposób, który znacząco ułatwiał zachwyty nad doskonałością jej mięśni pośladkowych wraz z naprężaczem powięzi szerokiej, nacisnęła klawisz START w bumboksie o barwie fuksji.

Lecz nim Adaś Rembelski zdołał się zauroczyć figurą Anity Bułas, popadł w konfuzję, która poprzez otumanienie i kołowacizną doprowadziła go jeśli nie do szoku, to z pewnością do krępującej egzaltacji. A wszystko za przyczyną kolejnych wydarzeń, które się poczęły przed nim wyświećlać jak błyskawicznie zmieniające się figury z kolorowych szkielek w dziecięcym kalejdoskopie. Ledwo bowiem rozległy się pierwsze takty piosenki One way ticket, Anita Bułas ściągnęła z siebie dresową bluzę, ujawniając za sprawą nieopresyjnego biustonosza, iż nie tylko dolne, ale również i górne rejestry jej wyrafinowanego organizmu zasługują na Fidiasza czy Michała Anioła. Potem zaś, mrużąc jak kotka na gorącym blaszanym czymś tam, zaczęła się przeginać zmysłowo we wszystkich osiach, a kiedy bumbox - wykorzystawszy całą siłę, jaką dawała mu funkcja wzmocnienia basu! - jął nabijać niezapomniany rytm disco z czasów równie odległych dla Anity, co bitwa pod Brunwaldem czy młodość jej matki, wykonała tak zdumiewający zestaw wygięć, nawinięć, zakołysań, podskoków, hołubców, salt, młyńców, arabesek, półszpagatów, piwotów i korkociągów, iż Adaś Rembelski, mężczyzna czterdziestoletni i

czempionko przecież obyty z kobiecym żywiołem, z każdą minutą owego niezwykłego spektaklu coraz bardziej rozdziawiał ze zdumienia gębę, zresztą nie sam, lecz w towarzystwie wcale licznej grupy turystów, którzy - najwyraźniej zapomniawszy, co ich przywiodło na lotnisko imienia Świętej Pamięci Rodzicielki Pierwszego Obywatela - otaczali rozwibrowaną danserkę kręgiem ścisłym i skołowaciałym.

A kiedy utwór się skończył, Anita Bułas, nie reagując na głośne oklaski, które zerwały się jak spłoszone stadko szpaków, ponownie wbiła swój zmysłowy wzrok w mężczyznę ze szparą między zębami, który stał przed nią.

- Tak, to ja... - zamruczała. - I cieszę się, że to ty...

- Nawet nie wiesz... bogini... jak bardzo bym chciał być ja...

- wykwoktał niezbornie fałszywy reżyser od castingów, ciągle nie mogąc dojść do siebie po tym, co zobaczył. - Ale ja to nie ja...

Anita Bułas sprawiała wrażenie, jakby jej percepcja mocno się poślizgnęła na owym rebusie, dlatego też Adaś pospieszył z ratowniczym kołem podpowiedzi i wyjaśnił szczerze, choć cokolwiek pompatycznie:

- Ja jestem jedynie heroldem!

Przepiękna tancerka zamrugała niepewnie oczami, więc Adaś dopowiedział:

- Posłańcem!

Kolejne ruchy powiek. Tym razem wolniejsze.

- Zwiastunem dobrej nadziei ledwie!

Nieruchomość. Jakby się coś w niej zacięło - pomyślał właściciel cadillaca eldorado biarritz i pojął, iż czas najwyższy przedzierzgnąć słowo w czyn.

- Nie odchodź nigdzie, okej? - wybąkał i nim zdołała zareagować, potruchtał do auta.

Energicznie otworzył drzwi od strony pasażera.

- Zwijaj garba, Seba! Szakira stygnie!

Twarz Sebastiana Rawy, już wcześniej pobieliała od stresu, zamieniła się momentalnie w podpis pod aktem bezwarunkowej

kapitulacji. I o ile głos może się zapierać nogami, to właśnie głos inżyniera podjął taką próbę, piszcząc jak guma na parkiecie:

- Nie, Adaś! Rozmyśliłem się! Nie idę!

Najbliższy przyjaciel inżyniera wykrzywił się, jakby mu błonę bębenną przekłuwało mrowie wrednych igiełek.

- Zmoskwiło cię, daunie! - ryknął. - Jakie nie idę?!

Pod wpływem krzyku nieszczęsny specjalista od śmieci i ścieków wcisnął się tak głęboko w beżową kanapę cadillaca, że niemal się w niej zdematerializował.

- To się nie uda bo! - zahuczał niczym pęknięty fagot.

- Jak nie uda, jak się udało już! - zagotował się Adaś. - Nie widziałeś? Soczysty melon sam ci się rozkroił i na tacy położył! Ale sam się nie zje! Dlatego smaruj wrotki i wał, purwa, na peron!

I nie czekając na reakcję przyjaciela, złapał go za kłapy i wyciągnął z auta.

Po chwili obaj stali przed zjawiskową Anitą Bulas, która idealnie powtarzała wszystkie - wcześniej obserwowane przez inżyniera z oddalenia - zafalowania i wygibasy.

One way ticket...!

One way ticket...!

Dźwięki niezapomnianego przeboju grupy Eruption unosiły się nad budynkiem portu lotniczego imienia Świętej Pamięci Rodzicielki Pierwszego Obywatela, a inżynier Rawa - wpatrzony w wijącą się przed nim piękność w kusym staniczku i różowych spodniach od dresu - pomyślał niespodziewanie, że ktoś kiedyś wykuje zapewne te słowa na jego grobie.

One way ticket...!

One way ticket...!

Przetarł więc okulary wraz z nakładkami i nachyliwszy się do najbliższego przyjaciela, wyszeptał tonem małego chłopca z przedszkola Pionierów Joliborskich, który dostrzegł na środku szatni bezpieczną czekoladę:

- Myślisz, że naprawdę mogę to zrobić?

Mięsiste usta o barwie wątróbki wołowej wygięły się w szczerym uśmiechu.

- Myślę, że możesz zrobić wszystko...

*

Niedługo potem inżynier Rawa i najpiękniejsza przygoda jego życia stali w ogromnej kolejce do odprawy. Tuż obok ściany, z której monstrualny billboard zapytywał z zachętą, ale i nie bez perswazji:

Czy Jesteś Już Członkiem Ligi Morskiej i Kolonialnej?

To gigantyczne JUŻ CZŁONKIEM wyraźnie inżyniera Rawę rozpraszało, więc odwrócił się do ściany tyłem. Wówczas Anita Bułas, zalekniona, iż słynny reżyser tak się prawdopodobnie wierci z powodu znudzenia jej wykładem o zbawiennym wpływie lakierów hybrydowych na poprawę stanu rozdławających się i łamliwych paznokci, powiodła konwersację w rejony dyskursów ludzi z wyższej półki.

- Egipt, no szła...! W każdym ziarnku piasku mistykalnie zaklęta historia. Bogowie, groby, uczeni... Lepiej nie mogłeś wybrać, Sebi...

Niespodziewanie zadrżała, przestraszona własną śmiałością.

- Mogę ci mówić Sebi...?

- Nie dostrzegam przeciwwskazań - mruknął cicho inżynier Rawa, ciągle najwięcej uwagi poświęcając temu, by nie wpaść w panikę. - Żanda tak do mnie mówi Faustyna... I ta... no...

Zamarł, bo uświadomił sobie, iż w stresie nie może przywołać żadnych innych nazwisk. Ściągnął z nosa przeciwsloneczny zestaw optyczny - albowiem zdało mu się, iż to właśnie przezeń ma coraz większe vertigo tudzież czachy łomot! - i schował do torby podróźnej.

- Cielemęcka... - wybąkał w końcu niepewnie.

Przejękna Anita uśmiechnęła się szeroko.

- Szła!

Serce Sebastiana Rawy waliło naprawdę przeraźliwie. Przecież oni wszyscy muszą słyszeć, że nie mam pojęcia o filmie! - myślał, rozglądając się trwożnie na boki. Ku swemu zdziwieniu skonstatował jednak, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

Istotnie, tak było. Oprócz Anity nikt nie dostrzegął jego istnienia. A i ona była daleka od jakichkolwiek podejrzeń, sama bowiem skręcała się z lęku, by słynny filmowiec się nią nie rozczarował. I by szansa, którą podsunęło jej życie za pośrednictwem internetowych objawień, nie poszła - jak to mówią ci, co się na tym znają! - się jebać. Ponownie więc nawiązała do tematu, w którym czuła się naprawdę mocna.

- A Egipt to moja pasja i konik mój. Twoja też twój?

- No raczej! - potwierdził udawany reżyser z gorliwością. - Zwłaszcza kino! Kinematografia tamtejsza egipska! Mocny, świeży cios w zmurszałą mumię Hollywood!

Słyszając to, Anita aż przytknęła z wrażenia dłonie do ust.

- Czyżbyś tam robić kręcić zamierzał aby? - wyszeptała, doskonale wiedząc, że spraw wielkiego biznesu nie należy podnosić pełnym głosem.

Inżynier Rawa uznał, iż prawdziwy filmowiec z pewnością by się taką okolicznością nie entuzjasmował.

- Agent coś tam naciska i namawia - mruknął, starając się nadać głosowi śniedź rutyny i cierpkość zblazowania. - Wręcz draży...

Oczy Anity Bułas zapłonęły niewiarygodnym światłem.

- No szal!

Sebastian Rawa poczuł, jak wszystkie motyle w jego brzuchu poderwały się do lotu i przysiadły na burcie rozfalowanej męskości.

- Ale nie mówmy o mnie - zaczerwienił się i opuścił głowę, by nie widzieć zmysłowego poblasku dziewczyny, od którego równocześnie miękł i tężał. - Urlop mam i wolne w poszukiwaniu własnego incognito i odosobnienia...

Ostatnie słowa wypowiedział na kompletnym bezdechu, niczym romantyczny poeta w ostatnim stadium opieki paliatywnej.

Zupełnie bezwiednie, po prostu go przytknęło z nerwów, ale i tak wywarło to na Anicie niezwykle wrażenie. Dotarło do niej bowiem, iż z tak wiotkim i wrażliwym materiałem człowieczym jeszcze nigdy nie miała do czynienia.

- Czytałam, że artyści muszą się wyciszać - wyszeptęła.

- Nieustannie wręcz - przytaknął Sebastian Rawa i przybrał minę, którą podpatrzył w albumie o wyniszczającym wpływie tropikalnych chorób pasożytniczych.

- Bo ja w ogóle dużo czytam - pochwaliła się Anita. - I zasadniczo to kultury różnych kultur od zawsze szaleją mi w głowie. Bynajmniej kocham też podróże, świat, ludzi...

Zamilkła i delikatnie dotknęła dłoni inżyniera.

- Taka już jestem, Sebi...

Drgnął tu i tam.

- Idealna - wydusił z siebie, przełamując fale.

- Skoro nalegasz! - zarżała niespodziewanie i wypuściła jego dłoń.

Nie wiedział: ucieszyć się czy zmartwić. Jednocześnie chciał jej dotyku i nie chciał go zupełnie.

- Ale życie związać z filmem głównie zamierzam - oznajmiła ze stanowczością, poprawiając sobie równocześnie spodnie od dresu.

A potem puściła do inżyniera oko i nim ów zdołał pomyśleć, cóż to mrugnięcie mogło oznaczać, zdywersyfikowała sabdżekt rozmowy po raz enty.

- A czy ty wiesz, mój reżyserze najulubieńszy, że Egipcjanie ciało cytryną smarowali i olejem, a potem patykiem skrobali?

- Komu? - zapytał cokolwiek mechanicznie Sebastian Rawa, ciągle bowiem lewitował w okolicach niedawnych miżnięć skórno-powierzchniowych.

Zerknęła na niego zadziwiona. Taki lotny artysta, a czasami najprostszych spraw nie pojmuje.

- Sobie - wyjaśniła. - Taką higienę osobistą wymyślili, czytałam.

- No proszę - zdziwił się. - Taka niby kultura, a wychodzi na to, że głównie brudu i bakterii...

- A jak ktoś chory był, to go ze skały rzucali, o w ten sposób... - wygięła się do tyłu, machając teatralnie rękami, a jej biust tak się naprężył, iż zdawało się, że zaraz wystrzeli i doleci do Egiptu na długo przed nimi.

Sebastian Rawa zrozumiał, że zmarnował ostatnie czterdzieści lat życia.

- Albo może w ten sposób? - tym razem rzuciło Anitą do przodu.

Wpadła na inżyniera, a ów od razu poczuł jej zapach. Ale nie słodkich perfum, którymi się obficie skropiła, tylko ten prawdziwy - pierwotny, dziki i przyciągający jak magnes.

Zakręciło mu się w głowie.

- Do końca nie wiem, nie jestem naukowcem, który by ten temat zgłębił zawodowo - trajkotała tymczasem gorączkowa szelmutka, poprawiając dekolt, co się trzpiotnie rozchełstał podczas demonstrowania starożytnych okrucieństw egipskich. - Choć gdybym nie była aktorką... którą zamierzam być... to byłabym uczonym...

A gdy tak rozprawiała, główny specjalista od utylizacji wyobrażał sobie, z wypiekami na twarzy, wszystkie figury i geometrie, dzięki którym w ciągu najbliższych dwudziestu czterech egipskich godzin zostanie członkiem ligi kolonialnej. I to wielokrotnie.

- Albo projektantką mody dla inwalidów... - kontynuowała tymczasem ponętna żółciostoczanka. - Bo dla nich nikt nic pięknego nie projektuje, wyobrażasz sobie?!

Inżynier Rawa zachybotał się, gdyż pytanie dopadło go w samym oku myślowego cyklonu.

- Człowiek renesansu z ciebie, Anita - wymamrotał, próbując na skróty powrócić do rzeczywistości.

W podzięce za dobre słowo dziewczyna z gracją dygnęła, a na jej obliczu zawitał przesłodki emotikon zadowolenia.

Pokraj

- No, ba! - rozłożyła ręce w geście helo! - Takoz i formą przestrzenną się param, instalacją fachowo zwaną. Z puszek po pokraj-kokcie to takie cuda potrafię, że ho-ho! Kiedyś ci zrobię rzeźbę, zobaczysz!

- Doczekać się nie mogę! - przełknął ślinę inżynier.

- Bo rzeźbiarką chciałabym być najbardziej po aktorce - pytowała dalej Anita Bułas. - A ty, Sebi, kim byś chciał być najbardziej?

Na myśl, że jej zmysłowe usta nigdy nie potrzebują odpoczynku, Sebastian Rawa poczuł bojaźń i drzenie. Odegnął podbrzuszne tsunami, nim zdołało się wypiętrzyć do rozmiarów kłęski żywiołowej, i zakrzyknął z gorliwością przedszkolaka, który chce się popisać na przyjęciu u wujostwa:

- Reżyserem filmowym bym chciał!

Prześliczna buzia dziewczyny wygięła się w podkówkę smętnego zawodu.

- Ale nie możesz!

- Dlaczego?

Anita spojrzała na niego jak na podwórkowego niedojdę, który psuje zabawę niemożnością zapamiętania naprawdę nieskomplikowanych reguł.

- Bo jesteś! A masz być tym, kim nie jesteś!

- Nie jestem kim? - zaniepokoił się.

- No właśnie nie wiem, kim nie jesteś, i pytam o to! Taka gra, Sebi! Masz powiedzieć, kim chciałbyś być...

Inżynier zadrzał. Żeby się tylko nie wydało, że kłamie! Żeby się nie wydało!

- Reżyserem filmowym chciałbym bymbyć! - krzyknął, stukając się w pierś niczym sam Pierwszy Obywatel, gdy w Parlamencie przychodzi mu zapewniać, jak bardzo kocha ojczyznę.

- Ale przecież jesteś! - przypomniała mu Anita, nieco zdezorientowana.

- W rzeczy samej! - ucieszył się Sebastian Rawa, czując ulgę, iż jego konspiracja wciąż trwa. - Ale też chciałbym nim

bymbyć dalej! - docisnął, by już nie było nawet milimetra na jakiegokolwiek wątpliwości.

Zapadła głucha cisza, w której Anita poczęła się fałszywemu filmowcowi bacznie przyglądać. Od razu mały czyżyk serca zakolebał mu trwożnie w klatce klatki piersiowej, wszelako niepotrzebnie, albowiem myśli dziewczyny krążyły purewsko daleko od nieokej.

- Rechryste, jak ty kochasz to, co robisz! To takie sexy, że szal! - obniżyła głos, a jej powieki zamrugały jak na romantycznym filmie z efektem slow motion. - Bo kobieta, Sebi, gotowa jest zrobić wszystko dla mężczyzny z pasją...

Postąpiła krok w przód, a kiedy objęła go czule, w okamgnieniu zapodział się w jej feromonowym chruśniaku, słysząc połączone chóry pożądania i onieśmienia, śpiewające Alleluja! Z miejsca też poczuł, jak kosmaty żuk pozamałżeńskiej pieśczoły poczyną mu wędrować po grzbiecie, i zapragnął słodkie owoce upojeń wygarniać wargami z dłoni życia, które mu właśnie dłoń podało. I nie przeszkadzało mu zupełnie, iż jej palce były na oślep skrwawione lepkiem sokiem oraz przepojone wonią spoconego czoła. A gdy pomyślał ze smutkiem, że jest jak chory liść, który po prostu pragnie wygrzać w słońcu swoje chore guzy, niespodziewanie odnalazł w ustach smak malin i wiedziony niepojętym dla siebie przymusem, porwał dłonie pięknej Anity, a ona mu je w skupieniu oddała. I trwali tak przez długie godziny, zapodziani po głowy przed ciekawych wzrokiem, aż tu nagle - łocdefak! - bąk złośnik zahuczał basem, jakby straszył kwiaty:

- Co mi tu pani prezentuje?

Alleluja! znikło w jednej chwili i inżynier Rawa zorientował się, że stoją już przed stanowiskiem odpraw, z którego przeciwnej strony zezuje na nich, pomachując znacząco dowodem osobistym Anity, ulepiony z glutenu i łyka funkcjonariusz służb lotniskowych.

- Co mi tu pani prezentuje? - powtórzył raz jeszcze funkcjonariusz, a jego posępna twarz zmięła się w grymasie zniecierpliwienia oraz dziedziczonej od pokoleń opryskliwości.

- No co co? - parsknęła dziewczyna, ująwszy się pod boki, jak to od wieków czyniły w jej rodzinie kobiety chcące kogoś obso baczyć, obrugać, objebać i obtańcować. - Dokument tożsamości w sensie dowód!

Inżynier Rawa odniósł wrażenie, że się przesłyszał. Prawdopodobnie to samo pomyślał ponury funkcjonariusz i piolun jego spojrzenia początkowego ustąpił miejsca rumiankowej ciekawości.

- Ale ja paszportu potrzebuję - uśmiechnął się lub przynajmniej podjął taką próbę.

- A ja nie! - zagotowała się Anita Bułas. - Teraz się bez paszportów lata podróżuje!

I popatrzawszy na Sebastiana Rawę spojrzeniem człowieka wtajemniczonego, prychnęła głośno:

- Niedouczony...

Zanim inżynier zamknął oczy, kątem oka dostrzegł, że ów personalny przytyk okrutnie łykowatemu funkcjonariuszowi nie przypadł do gustu.

- Lata, ale w Europie - wycodził przez zęby odprawca lotniskowy, postukując kantem dowodu opryskliwej obywatelki w szary blat swojego My-Office-Is-My-Castle.

Tymczasem opryskliwa obywatelka atakowała niczym świecę ćma dalej:

- No i?

- No i Egipt nie leży w Europie - głos funkcjonariusza służb lotniskowych powrócił już całkowicie do monotonnego brzmienia bionakładki na urzędnicze krzesło.

- Nie? - zakrzyknęła Anita, zdecydowanie bardziej zdumiona niż zirytowana. - Od kiedy?

I w tym szczerym, choć nieprzyjemnym oszołomieniu, w tym kłopotliwym szurum-burum, wywołanym przez geograficzną nowalijkę, jaką przed momentem zasadził jej w umyśle opryskliwy odprawca z portu lotniczego imienia Świętej Pamięci Rodzicielki Pierwszego Obywatela, szarpnęła za rękę człowieka, który przecież wiedział wszystko.

Ale on, rzecz to przecież oczywista, nie wiedział wszystkiego, choć z całą pewnością wiedział przynajmniej jedno: że raj - tak przed chwilą bliski! - oddalił się właśnie zdecydowanie.

I nie chciał powrócić ani wtedy, gdy stojący za nimi turyści kazali im się wynosić z kolejki, „bo blokują, a ludziom się spieszy”, ani wówczas, gdy z dala od stanowiska odpraw klapnęli na krzeselkach pod wielkim transparentem:

Bądź czujny Wobec wroga narodu!

Gdzieś nieopodal rozłożył się oddział barczystych Szwoleżerów Nadpiślańskich, którzy - jak wynikało z ich pełnych podniecenia pohukiwań - wybierali się na środkowoeuropejskie zawody ułanów chuliganów. Do Bukaresztu czy Budapesztu, Sebastian Rawa dobrze nie usłyszał. Mało go to zresztą obchodziło i choć przyglądał się teraz ich wspaniałym czakom z orłem ze złotej blachy na karmazynowym tle oraz granatowym dresom z żółtymi wyłogami i pąsowymi kołnierzami, to jednak czynił to niejako bezwiednie, albowiem myśli jego orbitowały po trajektoriach bliższych sektorowi bankowemu niż militarno-sportowemu.

Dwa bilety do Egiptu, z góry opłacony czterogwiazdkowy hotel all inclusive, ubezpieczenie na wypadek tropikalnych chorób i ataku rekina młota, zagraniczna waluta, kremy do opalania i kremy po, nowe kąpielówki, pierścionek, który zamierzał wręczyć Anicie ostatniej nocy, no, cholera, cholera, cholera...!

I w dodatku co dalej? Bo z jednej strony najchętniej by schował łeb w piasek jak byle struś, a z drugiej...

Łypnął ukradkiem na czarnoskórą piękność, która w niezwykłym skupieniu kartkowała przewodnik turystyczny, i zadrżał z ekscytacji. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, ale nie dbał o to. Wszak zupełnie mu wystarczało to nieznanne wcześniej samcze odurzenie z jego atakami hormonalnej niepoczytalności. Zarówno tymi, których już doświadczył, jak i tymi, których zakosztować miał ciągle nabrzmiałą nadzieję.

W końcu Anita Bułas najwyraźniej znalazła, czego tak zawzięcie szukała, gdyż uderzyła dłonią w bedeker, jakby go chciała skarcić, i wbiła w inżyniera diabolicznie intensywne spojrzenie.

- No popatrz sam, Sebi, no sam popatrz! Stoi tu jak bykowi!
- trzęsło ją z irytacji. Zaczęła czytać: - Od dwa tysiące czwartego roku jest członkiem Unii Europejskiej! Leży na wyspie, znanej pod nazwą Wyspa Miłości...

- Na wyspie? - zdumiał się inżynier. - Na jakiej wyspie?

- No na jakiej? - zachnęła się zniewalająca żółciostoczanica.

- Na tej, co się tam ta bogini wyłoniła, z piany się ujawniwszy!

- Pokaż! - jęknął inżynier, coraz potężniej zadziwiony, a potem, zakłopotany własną bezpośredniością, wyrwał jej przewodnik.

Kilka rzutów oka wystarczyło, by jego osłupienie prześlancowało się w anafilaktyczny niemalże wstrząs.

- Ale to Cypr jest! - zarzęził gardłowo, jakby mu brakło tchu.

Zamrugwała niepewnie oczami. - Co Cypr jest?

- No, o Cyprze to bedeker i wademekum! - krzyknął.

- Gdyż ten wyspą miłości bywa nazywany! - doprecyzował. Kolejne ruchy powiek. Tym razem wolniejsze.

- A Egipt?

- Egiptem. Tradycyjnie.

Oczekiwał reakcji, ale nadaremnie.

Nieruchomość.

Jakby się w niej coś zacięło... - wystraszył się główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych i powtórzył znacznie głośniejszym, wręcz ryknął:

- Egipt Egiptem bywa nazywany! I to już od dłuższego czasu!

Szczęśliwie metoda „podkręć gałę” okazała się wielce skuteczna. Nagły stupor Anity odszedł precz, a w jego miejsce powróciły siostry: energia i grandilokwencja.

- Pokaż!

Anita Bułas wyrwała inżynierowi przewodnik i gwałtownie zaczęła go kartkować, w emocji potężnej wysuwając koniuszek języka spomiędzy boskich warg. A po chwili - gdy już natrafiła na korzeń wiedzy tyleż zaskakującej, co przykrej, i potknęła się na nim - cisnęła książką gdzie popadnie i popatrzyła na inżyniera ze zboloną miną.

- Egipt... Cypr... Purwa, te nazwy takie do siebie podobne...
- Oczy się jej zaszkliły. - A tak chciałam tam jechać!

Złapała go za rękę.

- Możesz to jeszcze odkręcić?

- Jak? - wyszeptał bez wiary.

Uścisnęła go mocniej.

- Przecież ty wszystko możesz, Sebi...

Jej wzrok wyrażał bezgraniczne wprost oddanie, więc inżynier Rawa poczuł się jak człowiek, na którego jednocześnie patrzą pełne nadziei oczy setek wymizerowanych kundelków w Schronisku dla Zwierząt imienia Niedźwiedzia Wojtka, Kaprała 22 Kompanii Zaopatrywania Artylerii.

Przywrzyp, piękna Anito, do grzbietu chutliwej kłaczy i warem rozkoszy rozogniona poleć ze mną ku gwiazd zawierusze, gdzie groźne bezedno! - przyszło mu ni stąd, ni zowąd do głowy.

Zdziwiły go własne myśli, ale i nie zmartwiły, wszak fraza była zacna i mogła umaić chwilę. Uznał zatem, iż winna zostać rach-ciach wypowiedziana, i już otwierał usta, gdy nagła melodyjka - dobywająca się z wnętrza przytroczonej do jego paska płóciennej nerki - zmąciła ów pięknie zapowiadający się moment.

We are the champions, my friends

And we'll keep on fighting till the end...

Nieprzywykły do dźwięczącego właśnie przeboju, Sebastian Rawa rozglądał się przez jakiś czas nieprzytomnie i dopiero wzrok Anity, wpatrującej się z zaintrygowaniem w zagadkowo rozśpiewane okolice jego podbrzusza, naprowadził go na właściwy ślad.

No time for losers

'Cause we are the champions of the world...

Zirytowany wyciągnął z nerki torebkę foliową, z niej zaś telefon komórkowy, a potem zgodnie z instrukcją Adasia nacisnął zieloną słuchawkę i z lekką odrazą przytknął onkogeny przedmiot do ucha.

- Czy ty się, liścionogu, czołgasz do tego telefonu, czy jak...?

Głos małżonki rozpoznał inżynier od razu, od razu też kurczył się i podupadł na każdym lewelu jestestwa, a przez umysł przefurkotał mu jak pendolino obraz wielookiej gorgony o diabolicznych kopytach i błoniastych skrzydłach, która tocząc z pyska toksyczną ślinę, zagaduje go po niemiecku:

- Mam, purwa, do menopauzy czekać, aż łaskawie odbierzesz...?

Wszelako całkiem chybiona to była wizualizacja, albowiem Ilona Rawa, ubrana w najmodniejszy strój plażowy (z limitowanej serii w białe lilie i dzieci nienarodzone), siedziała najzwyczajniej w świecie na sofce w pokoju numer 237 brzegobrzezkiego hotelu Panorama, w towarzystwie rodzonej córki i rodzonej matki, która w tym właśnie momencie wcierała we wnusię potężny faktor antypoparzeniowy.

- Mam, purwa, do menopauzy czekać, aż łaskawie odbierzesz...? - spytała gniewnie Ilona Rawa.

Już wcześniej zdumiony inżynier, zdumiał się teraz do kwadratu albo i sześcinnie, oto bowiem usłyszał przez komórkę zdanie, które już wcześniej zarejestrował był w czeluści własnego mózgowia. Jawiło się to więc jako kolejny i niewątpliwie twardy dowód na kancerogenność telefonii owego typu, atoli nie miał czasu, by ów problemat zgłębiać, albowiem życie postawiło go aktualnie w pozycji typu musik, do góry brzuchem i Niemcy-mnie-biją!

- W pralni byłem! - przeciwstawił się zatem żoninej nawale, niczym ruch oporu. - Z pralką! Wirowanie, bęben, huk...!

Słyszając te słowa, Anita Bułas łypnęła zdumiona na słynnego reżysera, ów jednak krótkim gestem zapewnił ją, iż wszystko znajduje się pod całkowitą kontrolą.

Szczęśliwie w Brzegobrzeżu również - jak dotąd przynajmniej! - tak uważano.

- W pralni był, dekiel jeden - rzuciła Ilona do matki.

Jednakowoż teściowej inżyniera Rawy nie uspokoiło to ani ani. A nawet wprost przeciwnie.

- Oj, to ci kolorowe z białymi zmiesza...

Słusznie prawisz, matko - pomyślała Ilona Rawa i uprzedzając katastrofę, przestrzegła:

- Tylko kolorowych z białymi nie mieszaj!

Przerażony inżynier aż podskoczył i począł się odruchowo rozglądać za kamerami.

- Żadnych kolorowych! - zapewnił. - Same białe!

Anita Bułas wlepiła w niego pełne trudnych zapytań spojrzenie. Dostrzegł je i złapawszy ją za rękę, wyszeptał:

- Producent... Kompletny wariat...

A potem wyprężył się i próbując ze wszystkich sił wyobrazić sobie, jak powinien się w takiej chwili zachować prawdziwy reżyser, zagaił tonem, w którym ciekawość walczyła o swoje ze zblazowaniem:

- A jaka tam pogoda u was jaka? Bardziej plener czy raczej wnętrze?

Ilona Rawa zdębiała. Odstawiła od ucha komórkę i aż się jej przyjrzała. Przez chwilę bowiem zdało jej się, iż w trakcie owej małżeńskiej konwersacyjki jakiś hecny skrzacik musiał jej ani chybi komorę podmienić, niecnota. Wszelako nie. Ciągle dzierżyła starą. Cóż więc czynić? - pomyślała i ponownie przytknąwszy telefon do ucha, ryknęła:

- Co ty mi tu, Sebastian, kursywą napierdalasz?!

Na te zaś słowa matka jej pokiwała smutno głową i cichy lament popłynął z ust jej wąskich a zatroskanych:

- Pewno pił...

- Piłeś, tak? - podchwyciła Ilona, słusznie zaniepokojona.

- I będzie teraz zaprzeczał, zobaczysz - dopowiedziała Cecylia Szmaroń, nie przestając oliwić Oliwki. - Floryś zawsze zaprzeczał.

- I tylko mi nie zaprzeczaj, jądrojadzie pastewny! - zatrzęsła się małżonka inżyniera Rawy. - Ja wszystko wyczuwam jak pies gończy ogar, po ojcu tak mam komandosie...!

Sebastian Rawa przetarł sobie mocno twarz, by choć na chwilę pobudzić resztkę krwi, jej większość bowiem już dawno uszła mu w stopy. Intuicja wszakże podpowiadała mu, iż najlepiej będzie się przyznać.

- Jak zawsze masz rację, piłem - potwierdził. - Pół piwa... - przerwał, ponieważ w komórce zbulgotało. - Nie, nie ciemnego, co ci przyszło do głowy...?! - Kolejny bulgot. - Nie, nikt inny nie odbierał...!

Na twarzy inżyniera malowało się coraz bardziej piramidalne osłupienie.

- Jak to buczał i chrypiał...?! Jak ktoś mógł buczeć i chrypieć w słuchawkę, kiedy ja tu przebywam samiuteńki sam...?!

Niestety, wbrew owym zapewnieniom, rozległ się właśnie potężny gong, a lotniskowe głośniki, poczęły złośliwie, jeden przez drugi, jak szalone informować o fajnalkolach na loty do Paryża, Hurghady, El Dorado i San Vascobaru.

Słyszając owe huki i wizgi, inżynier Rawa się zakołysał, jakby zdradziecki Moskwin zadał mu wrześniey cios w plecy. Zwłaszcza że komórka, którą trzymał przy uchu, gotowała się od pokrzykiwań żony.

- Słyszę odgłosy, Sebastian! - bulgotało w toksycznym rakofonie. - Odgłosy słyszę!...

Cóż było zrobić, musiał wydobyć z siebie dramatyzm najwyższej próby.

- To serial! Serial to! - zakrzyknął w uniesieniu.

- Gdzie serial? Serial gdzie? - odbiła w lustrzany sposób małżonka, zadając tym samym kłam złośliwym językom, co szemrały o ich rzekomym niedopasowaniu.

- W telewizorze, a gdzie! - sprowadził jej chaos na ziemię, przez chwilę milczał, zapewne słuchając, a potem dodał: - Jak to jaki serial? Bardzo fajny! O czym? No...

W oczach Sebastiana Rawy pojawił się zrazu przestach, a z nim myśl o poddańczych zwyczajach rytualnych, z wywieszaniem flagi i nadstawianiem okrężnicy pospołu. Szczęśliwie powściągnął histerię i zebrawszy się po trzykroć (w garść, kupę i w siebie), dał upust, całkiem dla siebie niespodziewanie, kłamliwej wyobraźni.

- No wiesz... - zaczął niepewnie, ale z każdym słowem rozkręcał się coraz śmielej. - Ona się dla niego zabiła... Ale nie do końca, bo to była tancerka i ją odratowali... A potem zapytała, czy on też by się dla niej zabił... A on nie chciał... Właściwie chciał, ale się bał... I ona miała do niego żal o to i pretensję... I on się z tym źle czuł i uciekł na lotnisko... Ogólnie to chciał przed światem uciec, ale nie miał paszportu... No i musiał wrócić... - zamilkł i popatrzył smutno na Anitę. - By stawić czoło tej miłości...

Ciemnoskóra piękność z Żółciostoku aż rozchyliła wargi, tak ją zauroczył swą opowieścią Sebastian Rawa. Pierwszy raz w życiu tak znamienity reżyser zdradził przy niej swoje najbliższe plany serialowe. W dodatku to, co usłyszała, było historią na miarę Vatryka Pegi i tego no... - sięgnęła do najgłębszych kłastrów pamięci - ...Szekspira. Jej kobieca i artystyczna intuicja podpowiadała niezbitcie, iż nowy serial Sebastiana Rawy stanie się kamieniem milowym kinematografii pokrajskiej, jej kopernikańskim przewrotem i kulą u nogi. Było zatem oczywiste, że ona musi w nim zagrać.

Lecz nie tylko Anita Bułas drżała, bo - co niespodziewane! - wzruszenie udzieliło się także małżonce inżyniera Rawy.

- Piękne jakie to! - siąknęła nosem, poprawiwszy bezwiednie opalacz w lilie i płody.

Cecylia Szmaroń szturchnęła ją.

- Na jakim kanale, spytaj!

- A na jakim kanale? Bo może obejrzymy z mamusią może?

Głos Ilony Rawy był łagodny i aksamitny. W innych okolicznościach inżynier z pewnością by to dostrzegł i się zadziwił, teraz jednak - w diabelskim klinczu cierpkiego nieegiptu i słodkiego międzyjudia! - nie miał głowy do pierdoł.

- Na kodowanym! Pa!

Anita ujęła go za rękę i delikatnie pociągnęła, by usiadł.

- Ten producent to tyran jakiś, co? - przyłgnęła do niego.

Odetchnął głęboko.

- Nie pytaj.

- I co robimy? - spytała.

Nie odpowiedział. Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że udało mu się wywinąć. I nagle przypomniał mu się ten skończony idiota, który odebrał telefon u niego w domu.

Poderwał się więc z miejsca i nerwowo począł wciskać klawisze, a widząc zaskoczenie w oczach Anity, wyjaśnił krótko:

- Do studia kolnę zmiążdżyć, że mnie łączą w urlopie!

Po kilku sygnałach odezwał się w komórce głos jego najlepszego przyjaciela.

- Alloooo...?

- Adaś? - syknął inżynier Rawa głosem dalekim od gry na remis.

- Adaś - padło w odpowiedzi.

- Czemu odbierasz?

- Bo dzwonisz.

- Ale wcześniej czemu?! - Sebastian Rawa trząśł się jak węgierski chłopiec z ulubionej lektury jego dzieciństwa. - Ilona mnie właśnie opierdoliła, że buczysz i chrypisz!

- Bo jak ją usłyszałem, to udawałem zwanie! - wyjaśnił z absolutną szczerością Adaś, po czym przeszedł do tematów znacznie, jego zdaniem, istotniejszych. - No i jak? Zaparkowałeś już konkorda w hangarze...?

- Jakiego konkorda, Adaś?! - ryknął inżynier.

I zaraz się skarcił za ów płochoy wybuch, bo już nie tylko Anita, ale i okoliczni turyści wlepili w niego zaciekawione gały. Odszedł więc kilka kroków i wyjaśnił:

- Nie lecimy, bo ona paszportu nie ma!

- To istotnie duży gil - zmartwił się Adaś. - I co teraz?

- Do domu myślę ją wziąć!

Dobry Boże!

Gdyby inżynier Rawa zdawał sobie sprawę, że owo zdanie - tak lekko i wręcz sztubacko wypowiedziane! - doprowadzi niemalże do zgonu jego najlepszego przyjaciela, z pewnością by go nie uzewnętrznił. Atoli wyobrażał sobie, iż jego rozmówca siedzi teraz - zgodnie z obietnicą - przy klatce ze szcurunią, podaje jej jogurtowe dropsy i śpiewa czastuszki o myszach. Cóż więc niebezpiecznego w tak sielankowych okolicznościach mógł ów niewinny komunikat uczynić? Nic.

Wszelako rzeczywistość kształtowała się zgoła inaczej niż panainżynierowe o niej przekonanie, albowiem - spójrzmy na nią tak, jak złośliwi demiurgowie łypią na gościniec durnej ludzkości - w trakcie obecnej rozmowy telefonicznej Adaś nie siedział przy klatce z gryzoniem, bacząc, by temu na niczym nie zbywało, lecz gibał się na wysokim stołku w jadalni domu państwa Rawów, usiłując ją zamienić (za pomocą folii przemysłowej i szarych szmat udających fotograficzne tło) na studio filmowe. Nic zatem dziwnego, że kiedy usłyszał o pomyśle przyjaciela - który ni stąd, ni zowąd zapragnął wrócić do domu jak ta jebana Lassie! - to z nerwów i pomieszania wahał się raz i drugi, zabijał się, pochopnie usztwywił grzbiet i nieprofesjonalnie rozluźnił pośladki, a w konsekwencji owych niefortunnych czynności pierdolnął na podłogę.

I to właśnie z jej poziomu - leżąc między lampami na statywie i fotograficznymi parasolami - usiłował odwieść przyjaciela od karygodnego, jego zdaniem, manewru zbyt szybkiego odwrotu.

- Czyś ty się z serem na rozum pomieniał? - tłumaczył Adaś, rozcierając biodro. - Twój houm chcesz jej pokazać? Twój kastyl? To może od razu po grabarzy dzwoń!

Przez halę odlotów - tuż obok Anity Bułas i Sebastiana Rawy - przechodził właśnie patrol zawsze czujnej na moralne krzywizny Wszechmłodzieży Pokraju. Ale zdesperowanemu i umęczonemu inżynierowi było już naprawdę wszystko jedno, więc zaskamlał głośno jak pijak w ciągu i heroinista na głodzie:

- Ale ja muszę, Adaś, bo nie wytrzymam! Stoi mi jak brzoza w mgłę!

- To do hotelu mambę weź! - nakierował inżyniera na właściwy kurs i ścieżkę jego najlepszy przyjaciel. - A jutro się wycieczkę do Bułgarii kupi czy innej mekki turystyki europejskiej, gdzie paszport przeżytkiem już i skamieliną!

Chwilę słuchał, tym razem masując sobie stłuczony łokieć.

- Tak, wiem, że koszty wzrosną, ale w końcu reżyserem jesteś, tak? Jesteś? To powtórz!

- Jestem reżyserem - wymamrotał Sebastian Rawa. - Jestem w końcu reżyserem.

Potem wyłączył komórkę i klapnął ciężko na krzesło, a przykurcz melancholii zawładnął jego przyszarzałym obliczem. Bo nie dość, że czuł się teraz jak dół kloaczny, kupa złomu i ślepa kiszka, to najbardziej bał się jednego: że owej kobiecie obok nigdy się nie spodoba.

Tymczasem, wbrew jego lękom, kobieta obok patrzyła w niego jak w obraz. Nigdy bowiem nie widziała człowieka, który by tak kochał swój zawód, że aż musiał sobie nieustannie na głos powtarzać, kim z zawodu jest.

I który - tak się dla niej szczęśliwie przy okazji złożyło! - byłby równocześnie najśłynniejszym pokrajskim reżyserem.

Przygoda szósta, czyli Ciotka nie żyje

Taniec hormonów w hotelu Patria. Nieoczekiwany koniec roździewiczania langustą. Eligiusz Krumipolc wspomina piekło dzieciństwa. Krótki kurs historii KWP. Wielki Pokraj małych ludzi. Czy Anita przeżyje? „Winda do Nieba”, czyli reanimacja życia wiecznego. Cudowne ozdrowienie i przykra namolność doktora Fik-Doleskiego. Burzliwe zebranie politkomu. Skarlimy naród na wzór nasz i podobieństwo! Inżynier Rawa nie poznaje własnego domu. Szczurunia w padlinkę zamieniona. Najlepsi przyjaciele wchodzi w spór. Cynowy Książę, czyli inżynier robi kino. Świat widziany z Mąblanku

Skoliotyczny recepcjonista, siedzący na tle migoczącego z nieprzyjemnym pobzykiem neonu HOTEL PATRIA, zamrugał rozbieranymi oczami.

- Polański?

Inżynier Rawa przytaknął.

- Roman?

Inżynier Rawa przytaknął po raz kolejny.

- Ten Polański? - hotelowy gnom stał się nieprzyjemnie do-
ciekliwy.

- Nie - wyszeptał inżynier cicho, bo ostatnią rzeczą, jakiej sobie teraz życzył, był rozgłos. - Ja jestem przez dwa el.

Garbus gibnął się nerwowo na krześle, a potem zazezowała w stronę Anity Bułas. Stała w rogu wyłożonego marmurem i pali-sandrem foyer i pobłyskując miedzianoczekoladowym pięknem, limonkową walizką i różowym dressem, wpatrywała się beznamiętnie w ścienny transparent, równie mamuci, co cały hotel:

**Dziś pracujemy dobrze
- jutro pracujemy lepiej**

- Przez dwa el to u nas kosztuje podwójnie, panie Romanie.

Sebastian Rawa ciężko westchnął i sięgnął po portfel. Prześliczna ekspedientka z żółciostockiego Liwjatana, o której istnieniu jeszcze niedawno nie miał pojęcia, kosztowała go więcej, niż zakładał w budżecie początkowym.

Wszelako już w windzie, która wiozła ich teraz do pokoju numer „czterysta czterdzieści cztery złote i doba do jedenastej”, inżynier Rawa przestał żałować jakichkolwiek wydatków. Po raz pierwszy w życiu (mając już przecież tyle osiągnięć: pracę, żonę, passata i córkę) poczuł bowiem, że smok, przed którym drżał całe życie, ledwo zipie. I że za chwilę urznie mu wszystkie łby i rytualnie odda mocz w pokryty łuską otwór zwany szyją. A potem dostanie w nagrodę nie tylko rękę księżniczki, ale i całe jej królestwo z wszystkimi zakamarkami.

- Windą do nieba, nie? - wyszeptał więc w ciągłym rozmazaniu, patrząc na tę, która była Czystą Poezją.

- No... - odpowiedziała Czysta Poezja, poprawiając sobie makijaż w windowym lustrze. - Siku mi się chce, tobie nie...?

Cóż, najwyraźniej poezja posiadała wiele oblicz. Na szczęście ta, którą inżynier Rawa poznał za pośrednictwem genialnego planu swojego najlepszego przyjaciela, miała też krągłe biodra, jędrne piersi i zgrabny tyłek. I to właśnie one, niczym genialne strofy...

- No szął, panie reżyserze! Szął!

...rekompensowały strofy liryczne ociupinkę mniej.

- Jak kocia pizda, szął!

Spuściwszy więc na nie zasłonę milczenia, pozwolił Anicie - gdy już się znaleźli w pokoju - naskakać się po wielkim jak lotnisko łóżku i kontemplował jej powab oraz kinetyczną zapalczliwość.

A kiedy w końcu - gwałtownie i niespodziewanie znudzona - zeskoczyła na podłogę, wziął przyspieszony oddech dziewczyny za dobrą monetę i spróbował dotknąć jej piersi. Skarciła ów pośpiech głosem doświadczonej odaliski:

- Ej, tygrysie! Może byś najpierw pozwolił damie upudrować noseksss...

I ominąwszy węzowym floresem ciężko dyszącego inżyniera, znikła w łazience.

Zrazu poczuł silne ukłucie w wątpiach - odwieczny znak sygnał, co zawsze się zjawiał w momentach przemożnego pragnienia rejterady. Wszelako uznał, że musi nad nim ze wszech sił zapanować.

Są w życiu chwile, na które czeka się czterdzieści lat bez kilku dni, zatem kiedy się pojawiają, nie powinno się ich spieprzyć - synapsyzował, uspokajając z każdym impulsem zdyszany oddech myśli. Owszem, jest lęk, a z nim zaburzenia gastryki, aliści popłochom podobnym należy spuszczać łupnia i przetrącać kości, bo ten tylko zdusi centaury i windą się uda po laury, kto sięga, gdzie wzrok nie sięga, i hydrze łeb urwać przysięga.

I jeszcze myślał, że tej nocy będzie wrażliwy, ale i zdecydowany. Romantyczny, ale i szorstki zarazem. I że - choć nie zapali świec, bo są w hotelu czujniki dymu prawdopodobnie! - to nie bacząc na kolejne koszty, zamówi ekskluzywny posiłek o światowym posmaku, bo w końcu raz się żyje, nie...?!

Wykonał więc szybki telefon do garbusa z hotelowej recepcji, ordynując wszystko, co mu się z wykwinem kojarzyło, a potem - całkiem dla siebie nieoczekiwanie - zamienił się w stuletnie oczekiwanie nie do końca śpiącej królowny na pocałunek księcia ratownika. Siadał na krześle. Wstawał. Siadał na łóżku. Wstawał. Siadał na krześle. Wstawał. Odślaniał zasłony. Zasłaniał zasłony. Krążył wokół drzwi do łazienki. Przykładał do nich ucho. Odska kiwał jak płóche koźlę. Odślaniał zasłony. Siadał na krześle. Znowu przystawiał ucho do drzwi. Skakał po łóżku, śmiejąc się do rozpuku. Zasłaniał zasłony. Układał pościel, którą pogniótł. Napinał mięśnie. Zraszał się wyciągniętą z torby wodą kolońską. Wyglądał na korytarz, czy nikt nie podsłuchuje. Siadał na krześle. Wymachiwał rękami, imitując ciosy karate. Przeplukiwał usta gazowszanką, orientując się ku swemu przerażeniu, że nie ma jej gdzie wypluć, a okno się nie otwiera. Siadał na łóżku, celem przemyślenia sytuacji. Podnosił róg dywanu i pluł pod niego. Siadał na krześle. Wstawał i podnosił dywan, sprawdzając, czy nie

przeciekło. Poprawiał pościel na łóżku. Przemawiał czule do poduszki. Przytulał poduszkę. Całował poduszkę. Ugniatał podusz...

- Sebi...?

Długonogi absolut owinięty jedynie w kusy ręcznik - choć także w szpilkach na potężnym zaiste obcasiku! - przyglądał mu się z uwagą. Więc wyprężył się niczym struna i odepchnął poduszkę precz, jakby parzyła.

- Miętkość sprawdzałem! Jej aksamitność i gładkość! - zapewnił.

I spąsowiawszy okrutnie, odwrócił się raptownie, nie chcąc, by dostrzegła, iż - tak wielką uwagę poświęciwszy miękkości! - nie zapanował nad jej fizjologiczną antytezą, która mu się w skarbczyku spodni dorodnie rozpanoszyła. Co za wstyd! - obwinił się.

Najwyraźniej jednak piękna ekspedientka z Liwjatana inaczej pojmowała problemat wstydu i winy, albowiem zapytała głosem, w którym sodoma tuliła się do gomory:

- To co, Sebi, bzykniemy się teraz może, co? Tak dla przełamania lodów, he...?

Z emocji inżynier próbował przełknąć ślinę, wszelako w ustach odnalazł jedynie subsaharyjski miazmat.

- Nie powiem nie, Anita - zachrząścił pustynnie. - Zasadniczo nie powiem nie.

A potem przypomniał sobie słowa starego wiersza - niech się dzieje wola piekłą, gdy cię żądza wściekła siekła! - i choć nie był do końca pewien, czy czegoś aby w harmidrze nieuczesanych myśli w cytacie owym nie zmylił, uznał, że to idealne motto na najbliższe noce i dnie.

Odwrócił się zatem do dziewczyny, ta zaś uśmiechnęła się na widok jego chłopięcego zakłopotania tudzież zgoła nie chłopięcej nabrzmiałości i zapytała:

- Lubisz, jak ci tańczę, Sebi?

- Jak żaba deszcz, Anita - pokiwał głową. - Jak żaba deszcz.

A kiedy włączyła bumbox o barwie fuksji, w pokoju za głupie czterysta czterdzieści cztery złote rozblęły potężnym wybu-

chem także barwy inne, łącznie z niedostępnymi dla ludzkiego oka.

I pojął Sebastian Rawa, że gibie się przed nim i odkształca znacznie więcej niżli tylko kobieta! Że to demon kobiecości, ba, jeszcze dalej: że to największe marzenie każdego twórczego umysłu, co się para problemem przerobu odpadów komunalnych, czyli sublimat w formie czystej! Absolut kobiecości, pozostały po całkowitym oczyszczeniu niedoskonałej - bądźmy szczerzy - pańswiatowej samicości z jej tandetnych miazmatów!

Wciąż jednak jeden element kalał tę doskonałość i jej ubliżał, a był nim biały ręcznik z wyhaftowaną na czerwono nazwą hotelu, co falował tuż przy Anity ud delcie i ogrodzie nieziemskich rozkoszy. Zerwij z niej to cholerne frotté! - rozkazał mu rozdygotany hormonalny chochlik, a główny specjalista od utylizacji mało że nie zaprotestował, to jeszcze - wiedziony odwiecznym instynktem odziedziczonym po kochankach mitochondrialnej Ewy! - ponownie sięgnął śmiało po biust.

I wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Odkoczyli od siebie jak Adam i Ewa, kiedy Bóg im spierdolił zabawę.

- Któż? - trwożliwie spytała danserka, wyłączając bumbox.

- Parda, że sprawdzę - odbąknął inżynier.

Starął się nadać głosowi ton maksymalnie zobojętniały, wszelako trusia serca już mu odkicała w pięty, uśmiercając po drodze podbrzusznego watażkę i harcownika, jak nożem uciał.

Kiedy zaś uchylił leciutko drzwi, te odkoczyły z hukiem i do numeru wparował wielki wózek z przykrytym dymiącymi kopytkami jedzeniem, a za nim kelner o twarzy konia, w szarym tuzurku ze lśniącymi klapami i złoceniami obszyć oraz w sztywnej czapce bez daszka, za to z imponującym napisem: PATRIA na topazowym otoku.

- Zamawiane było! - zakrzyknął od progu.

A na widok Anity, tak skąpo, a jednocześnie - o, paradoksie! - rozrzutnie się prezentującej, rozdziawił dziób od ucha do ucha, ujawniając paralelnie zarówno wielką pasję do płci prze-

ciwnej, jak i całkowite *désintéressement* wobec problemów profilaktyki dentystycznej.

Sebastian Rawa z miejsca poczuł nieprzyjemne kopnięcie mojry. Tym silniejsze, iż piękna Anita zdawała się swój dla-niego-wyłącznie-negliż traktować lekce.

- Żarcie, ła! - złapała się za głowę, a jej kształtne piersi uniosły się jak główki aportujących buldożków.

- Dzięki! - błysnął cząstkowym użębieniem kelner o twarzy konia.

- Do mnie to było to! - warknął inżynier, niestety, jego tem-bralna irytacja osłabła gdzieś w pluszach poduch oraz ściennych okładzin i wyrznęła w podłogę.

Tymczasem koń w czapce uniósł srebrną pokrywkę, spod której eksplodowały wapory czosnku i kolendry.

- Włożyć pani? - rozczapierzył usta w lubieżnym półuśmiechu. - W sensie na talerz?

Anita zalotnie przekrzywiła głowę.

- Byłoby najs. Poniekąd.

Widząc, co się święci, inżynier Rawa wskoczył pomiędzy frotte a braki dentystyczne w misji zdecydowanego wygaszenia.

- Nic nie włożyć! - podniósł ostrzegawczo serdeczny palec lewej dłoni. - Opuścić! - palcem wskazującym dłoni prawej uzmysłowił kelnerowi drogę do drzwi. - Pozostawić! - zazezował w stronę wózka z parującymi darami bożymi.

Klarowność owych komunikatów nie mogła budzić najmniejszych wątpliwości, wszelako kelner nie w kapuście polotu i zmyślności musiał zostać odnaleziony, albowiem usztywnił się niczym żona Lota i wodził za inżynierskimi palcami wzrokiem tępy, w którym doszukiwać się kontaktu z częścią mózgu odpowiedzialną za świadomość byłoby pochopnością.

- Włożę ja! W sensie na talerz zaserwuję! Żegnam! - ryknął Sebastian Rawa.

Po czym wypchnął go za drzwi, wcisnąwszy mu w kieszeń wymiędloną dychę, i z grymasem potężnej repulsji wytarł dłonie

w koszulę, jakby się oczyszczał z czegoś gangrenowatego i mazi-
stego.

- Cham, cham i jeszcze raz bez kultury!

Aliści Anita Bułas już go nie słuchała, wpatrując się w pół-
miski jak zahipnotyzowana.

- No szal... - mruknęła, choć jej twarz wyrażała myśl zgoła
daleką od aprobaty i bimajgest.

Pochyliła się ostrożnie nad półmiskiem.

- A to co toto? - wskazała palcem. - Robaki takie obłe jakieś
z wąsikami oślizgłe. Jak toto patrzy, patrz!

- To pokarm smoków - wyjaśnił inżynier Rawa. - Langu-
stami zwany - dookreślił tonem znawcy.

- Nikczemie wygląda - skrzywiła się Anita.

- Ale smak pyszny posiada! - zapewnił kulinarny cziczeron.
- Głowa owego żyjątko ma w sobie mnóstwo płynnego mózgu
purpurowego, rozumu jej własnego. I mózg ten ja i ty wypijemy z
tej głowy jak z kieliszka.

Jej pełne usta wykrzywiły się w odruchu przewomitacyjnym.

- Nie ohydne to aby?

- Wprost wicewersa! - uśmiechnął się. - Afrodyzjak to naj-
znamienitszy!

Cieszyło go, iż bawi ją galanterią. Tak półdrwiąco. I półse-
rio.

- Okrutnie zwiększa ochotę na miłość... - mruknął.

- Bo jej nie masz? - zdziwiła się.

- Bo ją mam! - zaręczył gorliwie.

I porwawszy skorupiaka, wgryzł się weń tak zajadle, aż sos
wytrysnął spomiędzy zmiażdżonego głowotułowia i począł mu
ściekać po brodzie.

- To jakbyś morza chłoneła i oceany! - zakrzyknął w unie-
sieniu, czując, jak jego krwiobieg zrywa się ze smyczy i zieje naj-
czerwieńszym ogniem z wszystkich możliwych kraterów. - Ko-
lebkę życia!

- Niczym syrena? - wyszeptała, a nagły rozbłysk jej oczu dobitnie poświadczając, że i jej się udzielił jego ogień i płciowy kuraż.

- Królowa tychże wręcz!

Oderwał zębami dwa odnoża naraz i cisnął nimi o ścianę.

- Och, Sebi, twój słowozbiór mnie roznamiętnia! - zadrzała.

- Chcę być twą syreną, ty zaś moim Neptunem się stań z potężnym widłem!

- Widłami - poprawił odruchowo i z miejsca się spoliczkował mentalnie za ów karygodny brak dżentelmenem.

Na szczęście niebiańska Anita była już tak roznamiętniona, iż puściła ów nietakt mimo zwojów.

- Też - wymruczała.

Pochwyciła z półmiska kolejną langustę i ujęła ją w sposób, w jaki zwykła była brać... no, mniejsza z tym. Podniosła pachnące kolendrą i rują ekszyjatkę na wysokość ust i spoglądając wybitnemu reżyserowi prosto w oczy, wyszeptała:

- Jestem dziewczicą, wiesz?

Zakrztusił się w okamgnieniu, albowiem z setek tysięcy wyznań, których mógł się w tym momencie spodziewać, owo startowało z jednym z najdalszych numerów.

- W sensie pełnym? - wydukał.

- Półpełnym.

Jej niski głos udrożnił mu przepływ w czakrach niczym buddyjska misa.

- Albowiem nigdy o me usta się nie otarła się langusta - dopowiedziała.

Na moment zastygła w bezruchu, jakby odsłuchiwała taśmę po raz kolejny, po czym wybuchnęła śmiechem radosnym i szczerym jak figle młodych aniołów.

- Sebi, do białej purwy, toć ja przy tobie wierszem mówię i powiadam!

W innych okolicznościach poczytałby to za komplement, teraz jednak - gdy szpon pożądliwości wbijał mu się boleśnie w gruczoł nie dla pstrej hecy zwany sterczem! - każde słowo pełno-

ustej nimfетки jawiło mu się jak policyjny radar na autostradzie żądzy. Toteż złapał ją za rękę i przyciągnąwszy do siebie, wyrzeźził głosem kasanowy i galopanta:

- Weźże do ust robaka, kobieto, a powiesz cię w nieskończoność doznań!

Przywarła do niego pełnią magicznych krzywizn.

- Nakarm swą dziewicę, Sebi...!

Rozchyliła usta, a inżynier (który pojął nareszcie, że świat nie jest zły, albowiem złe bywają jedynie sposoby jego odczytania, w tym również ów brajl, który go wiódł był po omacku przez blisko lat czterdzieści) podsunął jej langustę, w którą dziewczyna, przymknąwszy oczy, wgrzyła się z całym naddatkiem swego diabło-anielskiego seksapilu.

A potem jej powieki się rozwarły i Sebastian Rawa ze zdziwieniem skonstatował, że oczy pięknej Anity składają się wyłącznie z białek.

Drgnęła.

Raz.

Drugi.

Znieruchomiała.

I kiedy inżynier odetchnął z ulgą, gwałtowny przykurcz wstrząsnął nagle jej całym ciałem, które w jednej chwili stężało, jakby je wypełniła szybko schnąca żywica lub mróz z arktycznych piekieł, co zmienia życie w lód.

A kiedy znowu rozwarła szeroko powieki, było w jej oczach przerażenie. I krzyk o pomoc, dochodzący z najodleglejszych wszechświatów. Zaraz też pojawiły się wstrząsy kolejne, tym razem seriami po kilkadziesiąt. Zaczęła przy tym rzeźić i łapać kurczowo powietrze, aż w końcu obraz jął się jej całkiem rozmywać.

- Nie podążaj do światła...! - słyszała coraz bardziej oddalający się głos naj słynniejszego reżysera świata. - Nie podążaj do światła...! Nie podążaj do...!

W końcu wszystko skurczyło się do nieskończonego czarnego punktu, który wnet się rozszerzył w n-wymiarów przestrzeń, ta

zaś, po kłapięciu jak przekłuty balon, ujawniła nicość, dyszącą własną pustką.

*

Choć pałacyk Konfraterni Wielkiego Pokraju znajdował się w ścisłym centrum Farszawy, to - dyskretnie wbity pomiędzy zwaliste domiszcza pobudowane krótko po wojnie przez moskwi-cińskie pacholectwo - nie rzucał się w oczy ani trochę. Od zawsze zresztą, albowiem wszystkim jego właścicielom i użytkownikom, kimkolwiek byli, zależało zdecydowanie bardziej na dyskrecji niż rozgłosie. Od końca XIX wieku aż do wojny mieściły się tu podejr-zane instytuty metapsychiczne i towarzystwa iluminackie, w okupację stał się siedzibą okultystów z organizacji Ahnenerbe, którzy szukali rzekomo się w Pokraju znajdujących dwóch z ośmiu tablic Arki Przymierza, później zaś przypadł w udziale taj-nym i ściśle tajnym służbom, zapamiętałe tropiącym rodzimych ezoteryków.

Eligiusz Krumpolc pozyskał go dla swojej organizacji po wieloletnich staraniach i nie bez kłopotów. Ale warto było ów trud ponieść, ponieważ w owym budynku czuło się prawdziwą moc. A tej kraj lider Konfratrów Wielkiego Pokraju potrzebował jak kania dżdżu. Jego projekt był bowiem tak potężny, iż wymagał siły iście demiurgicznej, którą Eligiusz Krumpolc gotów był czer-pać zewsząd, choćby i z piekła, w którym zresztą już przecież kiedyś był.

Nie będzie przesadą powiedzieć, że do wspomnianego pro-jektu - który miał nadzieję niebawem rozpocząć! - szykował się Eligiusz Krumpolc przez całe swoje życie. Życie, które rozkwitło w nim dopiero owej pamiętnej nocy, gdy w sierocińcu zjawił się jego wybawiciel. Wcześniej bowiem był martwy, nawet gorzej niż martwy. Był ży wy-nieżywy, a jednocześnie - z nerwami odsło-niętymi na najdrobniejszy choćby podmuch cudzego istnienia! - czujący wszystko.

Jego matka - oby była przeklęta na wieki! - zostawiła go w domu dziecka, gdy znów zaszła w ciążę, a kolejny mężczyzna, którego pokochała, zaproponował jej ślub. Uznała wtedy, że los daje jej szansę na całkiem nowy, wreszcie piękny życiorys, w której sześćioletni syn karzeł o krótkich nóżkach i nieforemnym łbie wprowadzałby tylko estetyczny dyskomfort. Więc po krótkich rozterkach wepchnęła go w najgłębszą otchłań dziecięcego infernum.

Owszem, odwiedzała go w niej jeszcze przez jakiś czas, zapewne z lęku, by los (a może rozgniewany bóg?) nie ukarał jej za bezduszne okrucieństwo. Lecz gdy się okazało, że nie ukarał - kolejne dziecko, również syn, urodziło się całkiem zdrowe! - uznała, że nie musi już dłużej frymarczyć własnym szczęściem, i znikła na zawsze.

A potem było pięć długich i koszmarnych lat. Po nich zaś wspomniana już noc, w której straconego przez własną matkę na samo dno chłopca wyciągnął ten, co tam po niego specjalnie zstąpił.

Honorat Glom.

Pierwszy klaun Cyrku Pincla i najdumniejszy karzeł na świecie.

Eligiusz Krumpolc był pewien, że zawdzięczał mu znacznie więcej niż życie. Albowiem oprócz życia dostał również od Honorata Gloma wiarę w nie. A jest to udziałem naprawdę niewielu na świecie, pominąwszy, rzecz jasna, te miliardy nieświadomych niczego idiotów.

Tak czy inaczej wszystko, czego się nauczył i co powoli - dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku - jął porządkować w chaosie zwanym egzystencją, otrzymał od klauna z cyrku. To on go nauczył, jak myśleć skutecznie i jak nie zaśmieczać umysłu rojeniami. Co czuć i jak zamrażać czucie, gdy życie zanadto boli. Kiedy podać rękę w geście pomocy, a kiedy zadać nią śmiertelny cios. Jak ze sterty gówna wydobyć jadalne cząstki i którą z tarcz parować cudzą pogardę. W imię jakich celów przezwyciężyć nie-

nawiść do samego siebie i jak panować nad głupcami, którym się wydaje, że panują nad nami.

A co najważniejsze, przekonał go Honorat Głom, że tacy jak oni nie są od ludzi gorsi. Wręcz przeciwnie.

Od niego właśnie dowiedział się, że karły to najstarsza z sześciu ras zamieszkujących świat. Ze powstałi z kości olbrzyma i przez tysiące lat mieszkali we wnętrzu Ziemi, w pałacach z górskiego kryształu oraz złota. I że wyłącznie dlatego - z powodu przystosowania do podziemi właśnie, a nie jakiegoś kalectwa! - są niscy.

To żadna wada! - powtarzał mu nieustannie Honorat Głom. Bo wielkość nasza nie we wzroście się kryje, lecz w potężnej sile, owszem, fizycznej również, ale przede wszystkim duchowej! Oraz w magicznych zdolnościach! - dodawał, pokazując Samuela Gromotlena, karła iluzjonistę z Cyrku Pincla, który potrafił robić takie rzeczy, o jakich żadnemu kuglarzowi na świecie się nie śniło.

Eligiusz Krumpolc uwielbiał słuchać swojego Mistrza. I co noc przed snem - choć już mu się oczy kleiły po wielu godzinach akrobatycznych ćwiczeń! - kazał sobie opowiadać o nieprzebranych skarbach niziołczych, strzeżonych przed ludźmi przez tajny zakon koboldów, którzy dopuszczają do nich wyłącznie najważniejszych z odważnych. Rzecz jasna był przekonany, że i on się takim nieustraszeńcem kiedyś stanie, zatem i jemu pozwolą zobaczyć owe skarby, zrobione przez przedwieczne karły. Była wśród nich włócznia Odyna i był cudowny pierścień, który się sam powielał. Był młot Thora oraz złoty dzik, na którym można było latać. Ale przede wszystkim był statek bogów Skidbladnir, który mógł wszystko. I który, gdy zaszła taka potrzeba, dawało się magicznie pomniejszyć i skryć w kieszeni. To właśnie on najbardziej rozpałał wyobraźnię małego Eligiusza.

Pewnego dnia Honorat Głom wystrugał mu go z kory i przysiągł, że jest magiczny.

- Spełni on każde twoje życzenie, ale wyłącznie jedno, więc wybierz mądrze! - powiedział.

Od tamtej chwili przepędził Eligiusz Krumpolc miriady nieprzespanych nocy, ściskając ów magiczny kawałek kory. Tysiące razy otwierał usta, by już-już poprosić o to czy owo, i nagle gwałtownie zatykał je sobie ręką. Niezliczonymi przekleństwami obrażał swojego Mistrza za męki, jakie mu tym prezentem sprawił, i równie niezliczonymi modlitwami go zań błogosławił. Trwało to latami i było najdoskonalszą lekcją, jakiej mu Honorat Głom kiedykolwiek udzielił.

Przypomniawszy to sobie teraz, nie potrafił ukryć wzruszenia. Siedział za biurkiem w swoim gabinecie i mając przed sobą na ścianie wielki portret Honorata Głoma, jeszcze raz dziękował mu za wszystko.

Ów obraz był jedyną rzeczą, jaka mu po Mistrzu została. Nie licząc, rzecz jasna, stateczku z kory, który w specjalnie dla niego wyrychtowanej szafeczce stał w gabinecie na komodzie bombé z drzewa różanego i czekał na tę swoją jedną jedyną misję.

Krajlider Konfraterni Wielkiego Pokraju jeszcze raz wbił wzrok w wiszący przed nim obraz i przypomniał sobie kolejny z najgorszych dni w swoim życiu. Miał już dwadzieścia jeden lat i był niekwestionowaną gwiazdą Cyrku Pincla. Pewnego wieczoru, gdy po kolejnym występie wparował do wozu cyrkowego swojego Mistrza, by się pochwalić brawami, jakie zgarnął, znalazł na stole list, ledwie jednozdaniowy.

Jesteś już gotów, kroc po moich śladach.

I nic więcej.

A Honorat Głom znikł równie niespodziewanie, jak się był ongiś pojawił.

Dwie dekady zabrało, nim się Eligiusz Krumpolc otrząsnął z szoku i gniewu. Albowiem uznawszy, iż podły klaun nikczemnie z niego zakpił, przepędził kolejne lata w beznadziei, na błotnistych upodleniach oraz birbanckim rozuzdaniu w towarzystwie haniebnych mętów i purwiszonów. Najmował się do coraz lichszych cyrków, trup i czeredek, by padając na pysk, dając się kopać w tyłek i pozwalając z siebie lżyć, rozśmieszać ludzką tłuszczę w

wypiądziewach tak obmierzłych, iż nawet muchy brzydziły się tamtejszych gówiem.

Kiedy się w końcu ocknął, siwizna pokrywała mu rude skronie. Nie mając żadnego pomysłu na siebie, wspomniął stary list Honorata Gloma i zgodnie z zaleceniem począł kroczyć po śladach swego Mistrza. Dotarł do karłów, z którymi kiedyś pracował w Cyrku Pincla, od nich dowiedział się o innych, ci zaś mu powiedzieli jeszcze o następnych. I tak chodząc od Annasza do Kajfasza i wypytując o dawnego Mistrza (którego wszyscy znali z legendy, lecz bodaj garstka miała przywilej go poznać), począł na powrót składać rozsypaną mandalę własnego życia. Atom po atomie, ziarenko po ziarenku, skorupka po skorupce.

Tak właśnie natrafił na obraz, na który teraz patrzył. Honorat Glom, z wyprostowanymi krótkimi nóżkami i zaciśniętymi w kułak dłońmi, siedział nań w stroju klauna na środku cyrkowej areny i zerkał prosto w oczy artysty, który go malował. Krajlideo-rowni konfratrów nigdy nie udało się dociec, kim był ów malarz, wszelako nie miało to dla niego znaczenia. Liczyło się wyłącznie to spojrzenie na wprost, tyleż przeraźliwie smutne, co głęboko mądre.

Bo taki właśnie był klaun z Cyrku Pincla, jego Mistrz.

Niedługo potem - ku swojemu bezgranicznemu zdumieniu! - odnalazł ten sam wzrok i tę samą twarz w Madrycie na obrazie Velazqueza. I dotarło do niego, że Honorat Glom żył w Hiszpanii pod nazwiskiem Sebastiana de Morry blisko czterysta lat wcześniej. Czyżby zatem to wszystko, co mu opowiadał o niezwykłości ich karlej rasy, było prawdą?

Na kolejne lata Eligiusz Krumpolc zagrzebał się w badaniach. Zmieniał archiwa i kraje, przedzierał się przez zapomniane języki, dokumenty i artefakty. W starożytnym Egipcie napotkał Besa - krótkonogiego, płaskonosego i garbatego boga karła, do którego modlono się co najmniej o tysiąc lat dłużej niż do Jezusa. U gnostycznego alchemika Zosimosa odnalazł uformowanego ze snu Boga małego człowieczka, zwanego homunkulusem, który wzrastał, przechodząc przez trzy fazy rozwoju - od miedzianej

przez srebrną aż do złotej, która była celem. Odczytawszy je jako ciało, duszę i ducha, postanowił pójść tą samą drogą.

Nareszcie u Paracelsusa, genialnego przyrodnika, zwanego ojcem współczesnej medycyny, napatoczył się na gotowy przepis, jak homunkulusa stworzyć. Dość osobliwy był to koncept, bo zrazu należało połączyć męskie nasienie z kurzym jajem, by pozyskany tym sposobem embrion kisić potem przez dni czterdzieści w końskim łajnie. Uznał to za idiotyzm, wszelako co innego przykuło w księgach szwajcarskiego maga jego uwagę: ni mniej, ni więcej, Paracelsus twierdził, że karły potrafią inicjować życie nie tylko poprzez kopulację (jak wszystkie zwierzęta łącznie z człowiekiem), lecz również za pomocą Sztuki. Czyli po prostu alchemii.

Od tego czasu poczęła w Eligiuszu Krumpolcu kiełkować wielka idée fixe. Była tak prosta i logiczna, że aż dziw, iż nikt przed nim na nią nie wpadł. Tak to już jednak w dziejach często gęsto bywało, iż prawdy ludzki motłoch miał tuż-tuż przed oczami, a nijak się nie mógł ich dopatrzeć. Dlatego i teraz nie należało wywąchiwać w tym niczego osobliwego.

Prześwietny plan, który już wkrótce krajlider Konfraterni Wielkiego Pokraju zamierzał przedzierzgnąć w czyn, pozwalał się streścić zaledwie w trzech punktach:

1. Od tysiąca lat największym marzeniem Pokrajaków jest, by ich ojczyzna była wielka. Należy im więc to zapewnić.

2. Niestety, nie da się tego osiągnąć przez terytorialne zdobycze. Dzieje Pokraju aż nadto dowodzą, że im bardziej jego mieszkańcy próbowali się rozszerzać, tym brutalniej siła ich sąsiadów odcinała kawałki ojczystego kontusza, doszywając je do moskwicińskich szyneli i szwabskich jagermantli.

3. Skoro zatem nie da się powiększyć terytorium Pokraju, a Pokrajacy wciąż snią o wielkości, trzeba ich skarlić. I wówczas wszystko, co mają obecnie, stanie się o wiele większe.

Wszelako by to osiągnąć, trzeba było pozyskać współników, którzy w mig pojną geniusz owego przedsięwzięcia. A któż, jeśli nie karzeł, mógłby to zrozumieć lepiej?

Rzucił się tedy Eligiusz Krumpolc w wir pracy organicznej i jął z zapalem tworzyć swą Konfraternię. Początki były arcytrudne, bo w owym czasie demoliberalny reżim (w bezdusznym swym dogmacie wpychający jednostki w żarna rozbuchanej rywalizacji) skazał pokrajską liliputerię na męki Tantalą i nomadyczną poniewierkę. Dlatego działo się wręcz gorzej niż za poprzednich tyranii. Przede wszystkim zbankrutowały cyrki i najznamienitsza klaunada musiała pójść na bezrobocie i żebrzy. Poza tym pozostali obywatele - zachłysłnąwszy się płochą mirażem estetyzmu i nadobności! - nie chcieli już dłużej patrzeć na kurdupli, odmawiając im praw do prac nawet najpośledniejszych. W ich wizji Pokraj miał mieć wysoki połysk, a karły dawały mu ledwie przyziemny mat.

Przyszło więc krajliderowi konfratrów działać w warunkach grobowej beznadziei, duchowej śpiączki i kamienia u szyi. Część karłów odnalazł w stanie tak wielkiego kalectwa umysłowego, iż nie mógł mieć z nich żadnego pożytku. Do innych się spóźnił - odebrali sobie życie w zbyt długim oczekiwaniu na emisariusza, którego im Honorat Glom był przyobiecał. Sześciopalczystego Dźwigosława Drwalskiego (obecnie obszarlidera dystryktu północnego Konfraterni) odnalazł w Huwejcie; był tam jednym z członków lilipuciej sztafety ścigającej się z wielbładami. Miejscowi szejkowie wielce go cenili za szybki finisz i musiał się Eligiusz Krumpolc nieźle napocić, by ich do wcześniejszego rozwiązania kontraktu nakłonić. Obszarlidera dystryktu zachodniego Joachima Jaszczułga odszukał w Edynburgu, gdzie ów startował w konkursach rzutu karłem (a ściślej nim startowano). A księżka kardynała Fabrycego Flusa - dziś swojego najbliższego druha! - w przygranicznych Dowbuciszkach, których burmistrz Krystyn Kaszanat (jednocześnie właściciel ubojni Zakłady Mięsne Kaszanat S.A.) kazał go zakopać żywcem, bo mu ulubionej małpy nie chciał pochować na cmentarzu.

Eligiusz Krumpolc wyratował nieszczęsnego kardynała dosłownie w ostatniej chwili. Porażony przy tym do żywego szaleństwem burmistrza Kaszanata chciał wszczynać wielkie afery, po-

wiadamiając liczne telewizje i episkopaty, ale go Fabrycy Flus powstrzymał, wyznając ze śmiechem, że nie jest duchownym ani w centymetrze swego karlego ciała. A jedynie przed laty, w Cyrku Braci Truzzich, uprawiał woltyżerkę w stroju kardynała i tak mu zostało z przyzwyczajenia.

Spodobała się ta odpowiedź Eligiuszowi Krumpolcowi i wraz z przyjaźnią zaproponował Fabrycemu Flusowi, by i w ich Konfraterni pełnił funkcję purpurata, na co ów przystał z ochotą. W krótki czas potem odwdzińczył się organizacji, przyciągając do niej siostry Ciné, bez których ofiarności i zaangażowania Konfraternia Wielkiego Pokraju z pewnością nie osiągnęłaby sukcesu w tak krótkim czasie.

Aurelia i Salma Ciné były bliźniaczkami o niezwykle silnym charakterze i jeszcze silniejszym temperamencie. Utrzymywały, iż są nieślubnymi córkami nazistowskiego kancelarysty Abelharda von Eggerode, trzymanego ongiś w półniewoli przez promoskwiński reżim celem wyrabiania fałszywych dokumentów, którymi kompromitowano przeciwników, oskarżając ich o rzekomą współpracę z Niemcami. Nie było to jednak prawdą w najmniejszym stopniu, ponieważ o rodzicach sióstr Ciné nie wiadano nic ponad to, że ich nie chcieli. Odnaleziono je bowiem w przyklastornym oknie życia w Szemrzogrodzie Pszczyńskim, skąd trafiły do sierocińca dla dziewcząt Ostójka w Rżążewicach, tamże też przepędziły lata najmłodsze aż do pokwitania.

Nikt biedaczek nie chciał przygarnąć ze względu na ich fizyczną szpetotę - nie miały nawet metra wysokości, za to twarze ich były nazbyt wyraziście ciosane, z nosami poznaczonymi ospą i nieco skośnymi oczami, w których nieprześlągana nienawiść kipiała krwawymi odbłyskami. Siostry opiekunki również za nimi nie przepadały, trudno się więc dziwić, że w wieku lat czternastu Salma i Aurelia uciekły z rżążewickiego bidula i słuch po nich zaginął.

Odnalazły się w Badenii-Wirtembergii (czy może w Hesji?), gdzie wkrótce - już jako siostry von Eggerode! - zrobiły ze swej nieurody intratny użytek. Miejscowi amoralisci, purwiarze,

wieprze i tajnogrzesznicy byli bowiem gotowi płacić sumy iście bajonkie za ich frywolne wyuzdanie, czemu szpetne liliputki się nie sprzeciwiały z zaangażowaniem wprost zadziwiającym. Trwało to blisko ćwierć wieku i snadź dożyłyby przedsiębiorcze siostrzyce swoich dni na wychodźstwie, nurzając się w bogactwie i dystyngowanym bezszacunku, gdyby ich nie odnalazł kardynał Fabrycy Flus, by - powoławszy się na obowiązek ratowania ojczyzny! - ściągnąć je do Pokraju.

I był to, trzeba przyznać, manewr prawdziwie clausewitzowski, wnet się bowiem okazało, że w krainie bogolubnych wojów i niezłomnych świętych jest więcej chętnych na seks z karlicami niż w psiogermańskim hajmacie. W krótkim więc czasie zapobiegliwi konfratry zdołali zgromadzić prawdziwie potężną filmografię, w której pokrajscy politycy od lewa do prawa, duchowni wszystkich funkcji i wyznań, ministrowie i generałowie, dziennikarze, celebryci, lekarze i prawnicy, nadto finansiści, biznesmeni, policjanci, nauczyciele, funkcjonariusze wszelkich oficjów tudzież kongregacji, prości murarze, krawcy, piekarze, szewcy, a nawet najostatniejsi w społecznym łańcuchu pokarmowym młodszy akanci i sejslmeni przeżyli swoje torsy, twarze i genitalia do ukrytych - wszelako niezwykle wyraźnie wszystko rejestrujących! - kamer. A potem, gdy ich o takich nagraniach uwiadomiano, z tych samych torsów, twarzy i genitaliów błyskawicznie uchodziła im krew wraz z powietrzem. I byli gotowi uczynić naprawdę wszystko (z naciskiem na wszystko!), byleby tylko bractwo zapobiegliwych niziołków nie ujawniało światu ich chwilowej - panie Boże wielki, wybacz! - słabości.

Przypomniawszy sobie to wszystko, krajlider Konfraterni Wielkiego Pokraju jeszcze raz spojrzął na portret swojego Mistrza i uśmiechnął się w zamyśleniu. A potem sięgnął po stojący na rogu biurka szylkretowy telefon - służący wyłącznie do bezpiecznych połączeń z Pierwszym Obywatelem w sprawach najwyższej wagi! - i zaczął niespiesznie wciskać klawisze.

*

Na ostrym dyżurze przyjęto ich bez kłopotu, wszelako zapowiedziano uczciwie, iż wobec krytycznego stanu dziewczyny wielkich szans na przeżycie szpital jej nie daje.

I rzeczywiście, przez całą noc w sali imienia Świętej Reparaty Sieneńskiej Anita Bułas nie odzyskała przytomności. Co więcej, piszcząca aparatura, do której ją podłączono, wykazywała większą predylekcję do linii poziomych niż rozfalowanych sinusoid, ogłaszając bardziej niebyt niż byt.

Nic zatem dziwnego, że nad ranem, w części szpitala znacznie cieplejszej kolorystycznie niż ponure rejony Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej, zaproponowano znękanemu Sebastianowi Rawie rozległą pomoc duszpastersko-funeralną w ramach pakietu „Profilaktyka życia wiecznego od chwili jego agonalnego poczęcia do nieskończoności”.

- Nazwisko?

- Bułas Anita.

- Nie umierającej! - głos zza komputera miał barwę rdzy. - Pańskie!

- Czy to konieczne aby? - Sebastian Rawa się skrzywił. - Niezbędne i niecierpiące zwłó...? - złapał się za usta.

Szurnęło głośno krzesło i znad ekranu wychyliła się trójkątna głowa z osobliwie wąskim czołem (którego stożkowatość podkreślał jeszcze biały, sztywny kornet), rozszerzająca się ku ustom, szerokim i wygiętym do dołu jak u przydennej ryby.

Była to siostra Brygantyna - przełożona personelu pozalekarskiego w szpitalu imienia Trzech Młodzianków Cudem Ocalałych W Piecu Ognistym. Raz w miesiącu spędzała noc na ostrym dyżurze i bardzo tego nie lubiła. Była też osobą wielce zasadniczą, której uchybiało każde słowo czy fraza, uznane przez nią za zbędne, a więc i diabelskie.

Ostatnie frazy wystraszonego wypłosza, który aktualnie siedział przed nią i podszczypywał nogawki swoich płóciennych porciąt, z pewnością do takich należały, z czego doskonale sobie zdawała sprawę pielęgniarka Telimena Oszloch, wypełniająca

przy sąsiednim biurku dokumentację medyczną z taką zapalczywością, jakby się w niej chciała rozplątać.

Siostra Brygantyna ceniła Telimenę Oszloch za to, że znała mores i nigdy nie przekraczała grubej kreski między tym, co boskie i cesarskie, a szpitalnym gminem. Dlatego lubiła z nią pracować, nie dopuszczając nawet myśli, iż mógłby to być sentyment nieodwzajemniony.

Za to - jak już zostało nadmienione - nie lubiła się powtarzać, a tym razem, niestety, musiała:

- Nazwisko.
- Rawa Sebastian.
- Zawód.
- Inżynier.

Po raz kolejny łypnęła znad komputera.

- Nie mógł tak od razu?

- Mógł - zgodził się inżynier Rawa, choć jak na gust siostry Brygantyny zbyt cicho i z imbecylnym spojrzeniem.

- Niech wasza mowa będzie tak-tak-nie-nie, a co nadto jest, od Złego pochodzi! - wyjaśniła zatem, przywołując podstawę swej postawy.

- Tak-tak-nie-nie - odrzekł wypłosz, ani na jotę nie transformując spojrzenia.

Uznała go za idiotę, machnęła ręką i ponownie skryła się za komputerem. Resztę formalności odbyli bez większych problemów i flegmatyczny osobnik ożywił się dopiero przy prezentacji programu „Winda do Nieba” w wersji olinkluziw.

- Czy to konieczne aby? - zajęczał i skubnął się w spodnie. - Niezbędne i niecierpiące...?

Siostra Brygantyna ponownie wychylnęła zza komputera i ze wzrokiem iskrzącym wściekłością przerzuciła obowiązek dodatkowych wyjaśnień na Telimenę Oszloch.

- Ale czego pan nie rozumiesz, inżynierze Rawo? - uśmiechnęła się promiennie pielęgniarka. - W zestawie masz pan... - otworzyła błyszczący prospekt reklamowy i poczęła długopisem wskazywać poszczególne zdjęcia oraz punkty - ...wiatyk

w postaci dożyłnej komunii świętej, namaszczenie algami zmarłych wstania, fachowe ułożenie dłoni zmarłej, trzydniowe czuwanie modlitewne w izbie jednotrumiennej...

- O ileż to wygodniejsze wszak! - wtrąciła zakonnica. - Gdyż w izbach dwutrumiennych bywa, iż pienia żałobne nakładają się na się, kakofonicznie interferując.

- Cóż że tam mamy dalej...? - nie przestawała się uśmiechać Telimena Oszloch. - Aha, już dostrzegam... Profesjonalny śpiewak żałobnik, wieńczarz ze świeżym kwiatem, dyżurnicy przy zmarłej córce...

- To nie jest moja córka! - zaprzeczył gwałtownie Sebastian Rawa.

- Nie córka, mhm... - zagryzła wargi siostra Brygantyna i wklepała coś do komputera. - A kimże w takimże przypadku dla niego zmarła i razie?

- Ależ ona nie zmarła jest jeszcze! - zaprotestował inżynier. - Gdyż życie w niej się ciągiem kolebie i o swoje walczy!

- No cóż... - mniszka o twarzy przydennego płodu morza rozłożyła ręce. - Z punktu widzenia niespecjalisty i dyletanta tak się to może dziecięco rysować. Wszelako my tu w placówce naszej religijno-leczniczej z doświadczenia wiemy, iż nigdy, przenigdy nie należy tracić z oczu perspektywy mementomorycznej.

Inżynier Rawa opuścił głowę, a pielęgniarka Telimena Oszloch podsunęła mu ponownie folder pod oczy i rozścieliwszy aksamit ciepłego głosu, zaprezentowała wszystkie składowe zestawy „Winda do Nieba” w wersji pełnej, z których wymienimy tu jedynie najważniejsze, a zatem: zasłanianie luster czarnym materiałem, księdza, który zjawi się tuż przed ceremonią i odprawi krótką modlitwę z udziałem nabożników, klimatyzowany autokar oraz - *last but not kast!* - cztery rodzaje alkoholi na stypę plus słone paluszki.

- Musi przyznać, że jak za taki luksus, cena jest niewygórowana - powiedziała siostra Brygantyna, gdy już pielęgniarka zamknęła prospekt. - Wręcz za Bóg zapłać!

Inżynier Rawa postanowił się nie spierać, miał wszelako kilka wątpliwości i znaków zapytania.

- A gdyby tak zrezygnować z fachowego ułożenia dłoni?

Telimena Oszloch pobladła, a przełożona personelu pozalekarskiego, uczyniwszy przezornie znak krzyża, zakrzyknęła:

- Panie Boże wielki, uchowaj! Ułożenie dłoni, by się nie rozsunęły, jest bardzo ważne. Dlatego czynimy to dopiero w trumnie!

- A czemu że ważne? - zaciekawiał się inżynier.

- Bo jak się rozsuna, to będzie nieszczęście! - dopowiedziała przejęta pielęgniarka. - Niechybny to bowiem znak tego, iż wkrótce w rodzinie niejeden pogrzeb się zdarzyć musi!

- Czego by chyba nie chciał - wbiła w inżyniera surowe spojrzenie siostra Brygantyna. - Snadź inne dzieci oprócz zmarłej posiada jako ojciec lub też opiekun?

- To nie jest moja córka! - poderwał się z krzesła Sebastian Rawa, jednakże karcący wzrok mniszki kazał mu na nim wnet przyklapnąć. - I co tam mamy dalej? - rzucił więc z wymuszoną flegmą obojętności w stronę pielęgniarki. - Aha, śpiewak żałobny...! - nastroszył się. - Strasznie dużo ów bierze! Najwięcej!

- Najwięcej bierze ksiądz - łagodnie naprostowała pomyłkę Telimena Oszloch.

- Istotnie, przepraszam - zawstydział się. - Ale wspomniany kantor też nie mało - powrócił opłotkiem do kwestii, która go paliła.

- Onże bowiem za trzech pracuje i tyra, inżynierze Rawo - wyjaśniła pielęgniarka. - Wszak nie tylko o Anielski orszak się tu rozchodzi, ale że i wszelakie pozostałe modlitwy pogrzebowe ów intonować potrafi. I to nie tylko podczas pogrzebu, także w czasie trzydniowych modłów czuwaniowych, w autokarze na cmentarz oraz w czasie konsolacji, inaczej stypą zwanej bądź kulinarną pocieszką po zmarłym.

- Zmarłej - poprawił ją inżynier Rawa.

- Istotnie, przepraszam - zmieszała się.

Siostra Brygantyna kuknęła z ostentacją na zegarek.

- Wszystko już pojął, zrozumiał?

- Chwileczkę... - podniósł lewy palec serdeczny, a drugą dłonią począł kartkować folder. - O, mam! Wspomniane tu „zasłanianie luster czarnym materiałem”! Dyć to zabobon jakiś!

Tym razem Telimena Oszloch nie zbladła, lecz spąsowiła, a surowa mniszka wyrwała inżynierowi prospekt i napęczniawszy niczym mułojad zgrywający nadymkę, cisnęła go precz między pity i brewiarze.

- Zabobon?! - fuknęła z wściekłością. - Gdyby nie piastował tak wysokiego stanowiska w oczyszczalnictwie, tobym myśl powzięła, iż z lewackim przechrztą mam nieprzyjemność i na udry niesnaszę! Przecie ważne to wszystko, mospanie, tudzież rudymentarne dla zbawienia córki jego!

- To nie jest moja...

- Milczy mi tu! - warknęła horrorystycznie, wręcz wilkołaczko.

Skulił się zatem w sobie, szarpiąc spodnie, a serce poczęło mu walić, co koń wyskoczy.

Tymczasem siostra Brygantyna, złapawszy w żagle wiatr pieniactwa i dąsu, rozdarła się niczym niebiosu nad Hiobem:

- Noc wprawdzie młoda jeszcze, ale my ciągle nie w wiecznym, jeno doczesnym życiu się babrzem jak w leguminie i czas na milsze Bogu zajętości niż objaśnianie imponderabiliów imbecylo-m tracim! Wszelako kto ma uszy, niech słucha, a on ma, zauważam... - łypnęła uważnie na inżyniera. - Więc niech się skupi, bo dwa razy powtarzać nie zamierzam, sapristi!

- Ale...

Tupnęła ciężkim glanem o posadzkę, aż zafurkotały futryny.

- Polecenia „milczy mi tu” nie rozumie, do purwy pogańskiej?! - zatrzęsa się.

- Rozumie. Akceptuje - wydusił z siebie ledwie dwa słowa inżynier, bo na więcej nie było go stać.

Siostra Brygantyna zacisnęła drobne piąsteczyny aż do zsi-nienia, więc pojął, iż i to było o dwa słowa za dużo.

- Kardynalia obecnie objaśniane będą - wycedziła. - I zaiste, powiadam mu, że jeśli ich aktualnie nie zapamięta, to ja na to kładę pastorał i pył z sandałów otrzepuję! Poniał?!

Pokiwał głową, że tak, choć nie pojmował, o co jej chodziło z tymi sandałami, skoro tupiała glanami. Identycznymi, jakie sobie kazała kupić jego Oliwka. Wszelako uznał, że puści to mimo uszu, zbyt dobrze bowiem wiedział, jak wielkie wyrwy w kobiecej wrażliwości czyni mnisi habit i dotyk zimnej pryczy.

- Wszystko, co program „Winda do Nieba” zawiera, do zbawienia duszy się wydatnie przyczynia - jęła tymczasem tłumaczyć przełożona personelu nielekarskiego w szpitalu imienia Trzech Młodzianków. - A rzecz to prymarna w szpitalnictwie nieodartym z metafizyki i na doczesnej powłóce tudzież jej zachciankach się niefokusującym. Wszak człek nie małp, zatem o wieczność turbować się powinien, nie zaś pokłony bić kloace rozwiązłości alias swemu cielsku, czy rację mam?

Pokiwał głową, że owszem, a w głębi serca pomyślał, że siostra Brygantyna jest jeszcze gorsza od jego siostry własnej, choć myślał, że to zupełnie niemożliwe.

- Tak tu przez niego zważone lekce zasłanianie luster znalazło się w naszej ofercie nie bez kozery - objaśniała dalej oschła mniszka. - A to za przyczyną, iż generalnie usuwanie wszelakich potencjalnych zwierciadeł, w których nieboszczyk, czy też w tym wypadku nieboszczka, odbić się może, znaczenie ma arcyważne. Bo co się stanie, jeśli się odbije...?

Sebastian Rawa nie odpowiadał. Po pierwsze dlatego, że mu się zabroniono odzywać. Po drugie, gdyż nie miał zielonego pojęcia. Z pomocą pospieszyła mu Telimena Oszloch:

- W takim przypadku duch nie odejdzie z miejsca, a nasz szpital, jako placówka i tak już przepelniona, nie może sobie na to pozwolić.

To było całkiem logiczne, więc inżynier Rawa podziękował kiwnięciem głowy za wyjaśnienie. Pielęgniarka uśmiechnęła się ciepło, a siostra Brygantyna powróciła do swego instruktazu:

- Ponadto wszystkie zegary w pomieszczeniu, gdzie zmarła leży, muszą zostać wstrzymane. Ogromnie ważne też, by jej nie zostawiać ani samej, ani po ciemku. Stąd właśnie w fakturze opłata za prąd i czuwanie wynajętych przez nas czuwaczy. Chyba że on sam przewiduje przez całe trzy dni przy zwłokach siedzieć jak palec? - wbiła w inżyniera ostre spojrzenie.

Potrząsnął głową, że nie przewiduje, ciągnęła zatem dalej:

- Ubierając zmarłą, należy do niej mówić, bo jej dusza ciągle jeszcze kręci się wokół truchła i przeszkadza. A jak się do niej mówi, to odpuszcza i łatwiej ubrać. Aha, i pieniądze do trumny niech jakie włoży, nie za wiele, ale i na podróż w zaświat zawsze jaki grosz się przyda. Samą zaś trumnę to my już przyozdobim mirtem i gałązkami barwinka, a pod głowę zmarłej zioła święcone w dniu Matki Bożej Zielnej włożym. To z grubsza wszystko.

Telimena Oszloch zawibrowała nerwowo na krześle i wypowiedziała cicho:

- Grzebień...

- A, no racja! - stuknęła się w kornet zakonnica. - Jak już zmarłą uczesze, niech grzebień w pizdu spali!

- Z powodu? - spytał nieśmiało inżynier, mając nadzieję, że już mu wolno wychynąć z eremu milczenia.

- Jadu trupiego, a czego? - wzruszyła ramionami siostra Brygantyna, a potem popatrzyła na pielęgniarkę. - Ty teraz informuj, gdyż ja się zgrałam aktualnie.

Dźwignęła butlę gazowszanki i poczęła pić długimi gulgotami.

- Czyliśmy już w dniu pogrzebu, świetnie - uśmiechnęła się Telimena Oszloch. - A zatem, gdy już ksiądz dobrodziej zakończy wstępne egzekwie w szpitalu i z izby szpitalnej jednotrumiennej, na którą się pan jakże zasadnie zdecydował, zwłoki zostaną wyprowadzone, nie wolno - Boże broń! - zamykać drzwi izolatki rękami. Niech pan łaskawie użyje do tego nóg albo pośladków. Najlepiej lewego. To arcyważne dla spokoju duszy nieboszczki Bułas. Spamięta pan, inżynierze?

- Spamiętam, a jakże! - zapewnił Sebastian Rawa.

I odwzajemnił uśmiech, niespodziewanie jednak pielęgniarka sposepniała, łapiąc się oburącz za czepek i okolice.

- Bożęciutymój, gdzie ja głowę trzymam?! - spytała retorycznie. - My se tu gadu-gadu o eksycie z prosektoizolatki dywagujem, a ja nadmienić poniechałam, iż nim ją zmarła opuści, musi pan krzesła, na których stała trumna, powywalać myk-myk!

- Kiej tam nie ma krzesel, ino ławy! - skorygowała ją siostra Brygantyna.

- Bądź ławy, łotewer - zgodziła się pielęgniarka.

- I nareszcieśmy na mszy w kościele się znaleźli. Tuszę, że wolno mi nie wyjaśniać, jak ów obrządek przenajświętszy wygląda i czym się go je? - mruknęła zakonnica, a na jej obliczu wykwitł kołtunik sarkastycznego uśmiechu.

Sebastian Rawa pokiwał głową na znak, iż jest w tej materii całkowicie i satysfakcjonująco wyedukowany. Wszelako coraz mniej mu się podobał przydenny ton mniszki, a zwłaszcza jej herodowa swawola. Absolutnym za to jej przeciwieństwem była sympatyczna pielęgniarka, która do końca starała się objaśnić jak najwięcej:

- Może jeszcze dopowiem, że zalecane jest nie tylko oprószenie trumny ziemią, co nawiązuje do słów pańskich: „prochem jesteś i w proch się obrócisz”, ale i posypanie jej solą w celu zapobieżenia wychodzeniu zwłok zmarłej. Nie są to częste przypadki, ale jak wiadomo, strzeżonego Pan Bóg strzeże! - uśmiechnęła się Telimena Oszloch. - Proszę o tym również pamiętać, inżynierze Rawo!

Sebastian Rawa pokiwał głową, że tak uczyni, a siostra Brygantyna sięgnęła po leżący nieopodal gruby plik papierzysk i podsunęła mu go do podpisania.

Jako umysł ścisły od razu zajrzał na ostatnią stronę. Niby korzystna oferta przewyższała ceną hipotetyczny pobyt w Egipcie z całą reprezentacją lewjatanowskich ekspedientek, i to bardzo długi.

- Za drogo - rzucił hardo, patrząc przełożonej personelu pozalekarskiego prosto w matowe oczy.

- Biały obrus, wodę święconą, krzyż, dwie zapalone świece i watę do wycierania olei dorzucim gratis - odpowiedziała, również nie opuszczając wzroku.

Przez chwilę ścierali się spojrzeniami. Jak farszawski Bazyliuszek z Meduzą, córką Forkosa.

- Ciągle za drogo - oznajmił.

I zdziwił się, że głos mu nie tylko nie drży, ale się i obniżył. A kiedy zaproponowała dyskont, był już pewien, że owa nieprzyjemna kobieta o twarzy ryby nie jest ani w procencie tak twarda, jak mu się początkowo jawiło. Tym bardziej że - wyczuwszy opór - próbowała go podejść od innej strony.

- Dzięki współpracy z wydziałem dermatologicznym naszego szpitala możliwa jest znacząca obniżka - mamła go niepewnym, ciut łamiącym się głosem. - Jeśli się pan zgodzi, by w czasie trzydniowego czuwania przywozić do prosektoizolatorium nieboszczki Bułas pacjentów z dermatologii i pocierać ich znamiona skórne jej palcem, moglibyśmy dać dziesięcioprocentowy upust. Bądź nawet piętnasto. Takie działania są niezwykle skutecznie i nasi pacjenci wielce je sobie chwalą.

Podniósł się gwałtownie z krzesła.

- Nie sądzę, by siostra Irena z Domu Orłąt Sierocińca Narodowego pochwałała takie praktyki! - rzucił oschle.

- A ja nie sądzę, by byle inżynierzyna od śmieci był dla niej wiarygodnym partnerem do rozmowy - syknęła jak wąż, a w jej oczach pojawił się prawdziwy jad.

O dziwo, w ogóle się tym nie przejął. Sięgnął za to powoli do płóciennej nerki przy pasku i wyciągnął z niej dwie niewielkie fotografie.

Na pierwszej siedział w wózekku, który Irena pchała.

Na drugiej stali obok siebie, tuż po jej zakonnych ślubach.

To były jedyne zdjęcia, na których się uśmiechali.

Dlatego je nosił.

Uśmiechnął się.

- Byle inżynierzyna pewno nie. Ale rodzony brat...

Gdy po pięciu minutach opuszczał pomieszczenie, miał w kieszeni podpisaną umowę, jaką otrzymywali wyłącznie najwykwintniejsi pokrajscy VIP-owie. Czyli wszystko za darmo. Aliści satysfakcji nie odczuwał żadnej. Szedł ciężkim, powolnym krokiem w stronę OIOM-u, gdzie spoczywało ciało Anity Bułas, i myślał ze smutkiem, że nie nacieszyło się ono przykrótkim życiem, a i on również nie ocukrzył się nim bodaj przez ociupinkę.

I że powinien teraz odnaleźć i powiadomić jej rodzinę.

A także jakie to głupie, że człek całe życie boi się raka, a ginie od langusty.

Potężne było zatem jego zdziwienie, kiedy otworzywszy drzwi sali imienia Świętej Reparaty Sieneńskiej, ujrzał Anitę Bułas nie tylko niemartwą, ale i siedzącą na łóżku, z błyskiem w oku i z ust boskich rozwartym sezamem.

Nieopodal zaś przycupnął w delikatnym przysiadzie (jakie jęli przedsiębrać dżentelmeni ze stuleci, co w chuj już odeszły i mroki) lekarski personel medyczny płci męskiej, wpatrzony w prześliczną pacjentkę jak w obrazek i karmiący ją zupą mleczną albo kleikiem (w początkowym oszołomieniu Sebastian Rawa nie był w stanie tego uszczegółwić).

Przypadł tedy rychło inżynier do łóżka, wszelako młody człowiek w białym kitlu ani myślał ustąpić mu miejsca.

Pochylił się więc jedynie nad cudownie ozdrowiałą i z euforią, jakiej świat nie zaznał od chwili, gdy Marta i Maria klasnęły w dłonie na widok swego wskrzeszonego brata Łazarza, zakrzyknął:

- Anito, ty żyjesz!

A piękna, choć wymizerowana kilkunastogodzinnym nieistnieniem żółciostoczanka przekrzywiła główkę i zaszczyciła inżyniera spojrzeniem, które do tej chwili fokusowała na przystojnym lekarzu rezydencie. Potem zaś wyszeptła:

- A już myślałam, że mnie opuściłeś w niedoli, Sebi...

- Przenigdy! - uderzył się mocno w pierś inżynier Rawa.

Wszelako trafiwszy opuszkami palców na wsunięty w kieszeń koszuli gruby dokument (opisujący, jak wiemy, detale po-

grzebu precudnej sylfidy, która teraz na niego tęsknie spojierała), poczuł się jak ów pepicki premier, co poddał tchórzliwie cały kraj, nim choć jeden jego żołnierz wystrzelił byle pierdzik z karabinu. I w zawstydzeniu okrutnym, które mu w sercu błyskawiczny kociokwik uczyniło, nie zdzierzył poblasku wyrazistych oczu dziewczyny. Więc głowę tylko schylił i do lekarza się zwrócił:

- I jak, doktorze? Rad bym i pańskiej opinii uświadczyc.

Atoli medyk, choć istotnie szybkiej udzielił odpowiedzi, nie Sebastiana Rawę uczynił jej adresatem.

- Kryzys największy za nami precz już, Anito - zamamrotał, prześwidrowując dziewczynę zgoła nie hipokratesowo. - Aczkolwiek rejestruję puls podniesiony. A i serce masz trzepoczące niczym ptak w klatce zraniony...

I ledwie jej podsunął kolejną łyżkę z kielkiem, a już ją dziewczyna zgarnęła wargami w sposób, w jaki Sebastian Rawa całe życie pragnął być jedzony.

- Trzepoczące - przytaknęła przy tym w niepokojącym zahipnotyzowaniu. - Wyczuwam też i ja.

Coś tu się święci nieświęcie - wydedukował inżynier, wyrozumowując równocześnie, iż tylko chłodny ogląd rzeczywistości pozwoli mu odsiać plewy banialuk od ziaren faktów. I zaczął ów ogląd od obiektu w białym kitlu.

Był nim osobnik o fizis, niestety, nieszpettej oraz oczach jeśli nie przenikliwych, to intensywnych, jakie cechują ludzi obrotnych. Młody, nie więcej niż trzydziestoletni, z burzą ciemnych włosów i nieco przyciężkim, jak na jego delikatne rysy, nosie, który wszelako ani trochę nie szpecił mu twarzy, a nawet dodawał jej figlarności, niejako informując, iż rozmiar ma dla jego posiadacza niemałe znaczenie. Szyję okalał obiektowi niedbale zarzucony stetoskop, z kieszonki jego lekarskiego fartucha uśmiechała się starannie udrapowana poszetka, pod nią zaś mizdrzyła się plastikowa plakietka, z której inżynier Rawa wyczytał, iż ów nazbyt opiekuńczy lekarz nazywa się August Fik-Doleski i zatrudniony jest w Klinice Ostrych Zatruc.

Potem rozejrzał się dalej i ku silnemu swemu zaniepokojeniu skonstatował, iż nieprzyjemny syk, jaki towarzyszył mu od momentu wejścia do sali, nie był efektem pracy jakiejś opresyjnej maszyny hydraulicznej, lecz oddechem był wychudzonej staruszki, która - podłączona do wszystkich możliwych monitorów i urządzeń! - leżała bez żadnej, jak się zdawało, przytomności po przeciwległej stronie.

Wszystko zatem było już jasne: sala imienia Świętej Reparaty Sieneńskiej nie należała do miejsc, w których odpowiedzialny mężczyzna przed czterdziestką chciałby zostawiać bez kontroli swą dwukrotnie młodszą kochankę, i cóż z tego, że platoniczną.

- Z radością kryzys już precz dostrzegam, doktorze - inżynier Rawa pochylił się nad Augustem Fik-Doleskim. - Czyli wypisać się wyrejestrować zachodzi sposobność, czyż nie...?

Niestety, młody lekarz po raz kolejny potraktował go jak powietrze, albowiem - podając Anicie kolejną łyżkę ryżowego kleiku - jej znów odpowiedział głosem rozciągliwym niczym lateks:

- Rekomendowałbym tobie pozostać na oddziale naszym i bym był radził.

- To konieczne czy? - wyszeptała czarnoskóra piękność, pokłnąwszy ryżową maź z wdziękiem w skali od zera do dziesięć maksymalnym.

- Właśnie? - zainteresował się Sebastian Rawa.

I pochylił się przy tym tak nisko, że już całkiem się wciął w oś kontaktu między niewiastą a węzem. A pozostając z tym niewygodnym, ale - jak mniemał - skutecznym wychynięciu, dostrzegł, iż nieprzytomna staruszka po drugiej stronie sali całkiem przestała oddychać. Zazezował więc czym prędzej na doktora Fik-Doleskiego, ów jednak nic sobie z owej niemiłej okoliczności nie robił.

- Tam na łóżku obok! - trącił go werbalnie inżynier Rawa.

I furt to samo!

Przystojny rezydent z Kliniki Ostrych Zatruc zważał się go nie zauważać!

A dokładnie rzecz ujmując, starał się nie zauważać, że zauważa!

W tym celu odstawił nawet talerz z kleikiem i nieco się odsunął. Ale wyłącznie po to, by zgarbiony nad nim intruz dłużej mu już zmysłowej pięknotki nie przesłaniał. Co więcej, ujął przy tym Anitę za rękę (której ona, ku zdziwieniu skulonego ciągle inżyniera, nie wyszarpnęła) i zatokował:

- Zostać pod mą kuratelą celem dodatkowych badań zrobienia zalecam. Czy do zaburzeń w narządach nie doszło kilku aby...

- Doktorze! - syknął Sebastian Rawa muskularnie już rozżalony. - Ta pacjentka po lewo to ona...

Wnet jednak zamilkł, widząc, że pierś jego niedoszłej kochanki faluje niczym morze z reklamy hotelu, do którego nie dolecieli.

- Kilku...? Jak bardzo kilku...? - pojękiwała piękna Anita.

- Najchętniej przebadalbym twych narządów całość - przybliżył się ku niej August Fik-Doleski.

- Doktorze! - szarpnął się gwałtownie inżynier Rawa i tak okrutnie przy tym wykoślawił, iż wpatrywał się teraz w twarz młodego lekarza pod niełatwym dla błędnika i kręgosłupa kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Ale i to psu na budę się zdało, bowiem cielesność Anity oddziaływała na młodego lekarza promieniami takiego afektu i ponęty, iż mu się inne powłoki organiczne jawiły przezroczystymi, poza jego własną, rzecz jasna. I farmazonił w narkotycznym prawdziwie opętaniu:

- Chciałbym cię przeanalizować dogłębnie... Przeorać diagnostycznie...

Nie było innej rady, jak frywolnego medyka ucapić mechanicznie. Szarpnął go tedy Sebastian Rawa silnie za ramię, rycząc wprost w ucho:

- Pani oddechu poniechuje tu ta!

Poskutkowało mistrzowsko.

Doktor Fik-Doleski poderwał się na równe nogi - jakby mu kto nareszcie odciął pępowninę amorycznych spojrzeń! - i dosko-

czywszy do pacjentki obok, wcale mocno uderzył ją otwartą dłonią w policzek. Babuleńką szarpnęło, jej wątłe ciało poderwało się na łóżku z głośnym charkotem, a potem opadło i ponownie, będąc stale w stanie nieprzytomności, jęło oddychać.

Wyglądało to wszystko niczym osobliwa metoda udrażniania przepływów w biokanalizacji celem napowietrzenia, toteż inżynier Rawa (jako specjalista dedykowany podobnym zagadnieniom) przez dłuższy moment zgłębiał poznawczo ów kazus. I to wystarczyło, by namolny doktor apiać usadził tyłek na łóżku Anity Bułas, podnosząc jej dłoń do swych ust, z całkowitą pogardą dla szpitalnych zaleceń antyseptycznych.

- Po co życie narażać, gdy uroda o złoty medal wnioskuje? Zrobię ci kilka prześwietleń i innych szuru-buru... - wyszeptał, a potem niespodziewanie popatrzył po raz pierwszy na inżyniera. - Jeszcze mi twój ojciec podziękuje...

- Ojciec...?! - wrzasnął Sebastian Rawa, jakby go polano wrzątkiem. - Szuru-buru...? - zadygotało w nim wściekle.

Ten kosmaty lowelas na zbyt wiele sobie pozwala!

I już chciał go inżynier obtańcować, już fanfaroną i arcymiglanca na perłowo objechać, już psa na baby obsobaczyć i dogryźć mu do kości, już amatora cudzych jabłek wyłajać, zelżyć, spotwarzyć oraz zrugać, a wsiadłszy na niego z mordą, zmyć mu głowę prosto z mostu tudzież unurzać w błocie bez ogródek, gdy niespodziewanie ozwał się obcojęzyczny zaśpiew - Jeseśsza łona móiojęsi zafszeją byaż końju wreśsie śni...! - a doktor Fik-Doleski, wyciągnąwszy z kieszeni kitla komórkę, zatokował niczym rajski ptaszor:

- Haluuuuu...!

Wszelako po chwili zmarsowiał.

- Jak to umarł? Przecież żywy był!

Po czym wyłączył telefon, pokręcił głową w niedowierzaniu i dźwignąwszy się z łóżka Anity, rozłożył ręce w geście bezradności wobec żywiołów życia i śmierci.

- Cóż, proza...

Śliczna buzia Anity Bułas wygięła się w podkówkę nie-szczęścia.

- Poniechaj chandry, przepacjentko ty moja, albowiem wró-cę jak z bicza i doopiekuję - uspokoił ją doktor Fik-Doleski, poda-jąc wyciągniętą naprędce wizytówkę. - Wizytka oto moja. Na wszelki kejs...

Po czym mrugnął obscenicznie i wyszedł.

- Wspaniały lekarz - odchyliła głowę Anita.

- Rezydent ledwie! - burknął inżynier Rawa. - Czyli w gru-pie medycznych maluchów się dopiero obracający!

- Ale wspaniały! - powtórzyła z naciskiem, a jej dolna war-ga łakomie wysunęła się naprzód.

- Furda wspaniały! - prychnął. - Frant i tyle!

Podbiegł do wieszaka i ściągnął stamtąd peniuar we wście-kłe kwiaty. Podbiegł do Anity.

- Opuszczamy i wychodzimy!

- Ale jak tak, Sebi, że nagle już? - zmrużyła oczy. - A na-rządów przeoranie?! A życia zagrożenie?!

- Życia zagrożenie to chyba w tej tu placówce religijno-leczniczej! - zachichrał się inżynier i dżentelmeńsko nadstawił peniuar.

Skrzywiła się, pokazując łóżko po przeciwległej stronie.

- Dyc to owej wegety znieruchomiałej tam!

Powiódł odruchowo za palcem dziewczyny i dostrzegł, że starowinka ponownie nie oddycha.

- Chwilowo nigdzie się ona nie wybiera, zauważam! - syk-nął i nie czekając na dalsze słowa protestu, wyciągnął Anitę z łóż-ka. - Do prywatnej się instancji udamy! Specjalisty niedościgłego, lekarza filmowego, przyjaciela mego! Dla niego zagrożenie życia to pestka z masłem i pisofkejk...!

Minutę później wybiegli z sali, w której zapadła martwa ci-sza.

Na szczęście nie na długo, albowiem już po chwili drzwi się ponownie otwały, a inżynier Rawa, doskoczywszy do łóżka star-szej pani, silnie huknął ją otwartą dłonią w policzek. I znowu, jak

poprzednio, jej ciało podskoczyło w górę z astenicznym poświęceniem, a potem opadło, by z regularnym już pohukiwaniem kołysać się dalej na chybotałej taflif życia.

*

Na zwołane nagle posiedzenie komitetu politycznego Konfraterni Wielkiego Pokraju stawili się w sali plenarnej wszyscy, brakowało jedynie szefa pionu bezpieczeństwa Maksyma Wódemęta, ów jednak zapowiedział już wcześniej, że się spóźni. Byli tedy obszarliderzy z całego Pokraju, szefowie pionów i sekcji oraz szifrant Mirolad Niewierko, którego obecności zażądał sam krajlider, zjawił się również kardynał Fabrycy Flus oraz mające status członkiń honorowych siostry Cinć.

Z początku nic nie zapowiadało awantury. Eligiusz Krumpolc był w doskonałym humorze, także dlatego, że jego nowy mundur (granatowa kurtka z żółtymi wyłogami i pąsowymi naramiennikami) leżał jak ulał. Więc choć nie znosił dymu, pozwolił Gniewoszowi Safanderowi zapalić cygaro. Safander był konfratrem trzeciego stopnia i obszarliderem dystryktu centralnego, ale przede wszystkim najstarszym członkiem politkomu. Mocno już zgrzybiały, z niskim, pobrużdżonym czołem oraz grubą szczecina wyrastającą z uszu i nosa, coraz mniej rozumiał i niemal nic nie słyszał, ale dla pokrajskiej liliputerii wielce się był zasłużył, więc krajlider traktował go ze szczególną rewerencją.

Po wstępnych gadkach szmatkach Eligiusz Krumpolc jął referować swoją telefoniczną rozmowę z Pierwszym Obywatelem.

- Otóż jest tak, jak was uwiadomiłem w szyfrogramach, moi konfratry! - rozjaśnił się mimicznie, lecz i zaraz skarcił za tę kłopotliwą niesubordynację fizjonomii, a potem, zmarszczywszy brwi, ciągnął już głosem jak lód skamieniałym: - Pierwszy Obywatel potwierdził bezgraniczne do nas zaufanie i dziękuje strzeliście naszej Konfraterni za wszelakie boje i krzątanie, jakieśmy podjęli, by ojczyznę naszą uczynić jeszcze monumentalniejszą! Kazał wam rzec: brawo! brawo! - i do pasa się kłaniać!

To powiedziawszy, pochylił lekko głowę, a zebrani rzucili się klaskać jeden przez drugiego. Nie pierwszy raz ich uwiodło, że Pierwszy Obywatel - zazwyczaj tak spartańsko surowy i nieskory do pochwał! - okazuje ich organizacji tyle ciepła.

Najsamprzód poderwał się z krzeselka Tworzimir Lelito, konfrater drugiego stopnia i szef sekcji podsłuchu.

- Niech żyje Pierwszy Obywatel! - zapiał.

- Niech żyje...! Niech żyje...! Niech żyje...! - zawtórowali natychmiast pozostali.

Eligiusz Krumpolc się uśmiechnął. Miał zgraną załogę, bez dwóch zdań. Z takimi można konie kraść - pomyślał z dumą. Albo księżyc - poprawił się, bo nie lubił koni. Tymczasem z tylnych rzędów poderwał się już ktoś następny. Kątem oka krajlider rozpoznał sklepioną w stożek głacę Denisa Kakerlaka, szefa pionu zwalczania bandytyzmu politycznego.

- Niech żyje Świętej Pamięci Rodzicielka Pierwszego Obywatela! - zaskrzeczał Kakerlak, który był z nimi od niedawna i miał dopiero pierwszy stopień wtajemniczenia.

I aż podskoczył, by go dostrzeżono (albowiem nawet w towarzystwie karłów uchodził na niskiego), a sala zarezonowała z jeszcze większym wigorem:

- Niech żyje...! Niech żyje...! Niech żyje...!

Ucieszony Denis Kakerlak hycnął w górę raz jeszcze i wbił psi wzrok w Eligiusza Krumpolca. Był pewien, że sprawił się gracko, miał przeto nadzieję dostrzec w jego oczach gospodarski akcept. Jakże się zatem zdumiał, gdy napotkał wyłącznie ostre igły. Rach-ciach pobladł, klapnął ciężko na tyłek i poczuwszy bolesne świdy w wątpiach, znieruchomiał niczym kleszcz w zimę.

- Wróćmy do naszych baranów... - mruknął krajlider Konfraterni Wielkiego Pokraju, strząsnąwszy kilka nieistniejących pyłków z rękawa przepysznego uniformu. - Pierwszy Obywatel wielki czuje smucień, iż śledztwo, któreśmy wywiedli z wstępnych donosów, jakoby poządliwość mamony zmieniła podwładnych ministra skarbu w malwersantów i łapowników, znalazło potwierdzenie w twardych faktach. I w owym struciu bezbrzeż-

nym obwieścił mi, co następuje: utnijcież łeb hydrze przywłaszczenia, szlachetni konfratry!

I łypnął na Joachima Jaszczułga, a ów - wyskoczywszy w górę, jakby nim ciśnięto na zawodach - rozdarł się, ile sił w płucach:

- Grzechobrojcy i złodzieje, cały Pokraj z was się śmieje!

Politkom Konfraterni zerwał się z krzesłek i odhuknął jak jeden mąż:

- Grzechobrojcy i złodzieje, cały Pokraj z was się śmieje!

Czując moc, rozochocony Jaszczułg, konfrater trzeciego stopnia i obszarlider dystryktu zachodniego, wskoczył dla lepszego efektu na swoje siedzisko i tym razem zaryczał następująco:

- Kto nam czyni kantowiznę, tego wyśiem na obczyznę!

Rzecz jasna, odpowiedziano mu tubalnie tym samym, a w oczach krzyczących zapaliły się ogniki rewolucji.

Wszelako Eligiusz Krumpolc uznał, że czas ruszyć dalej, i jednym obrotem uniesionej ręki - jak to był czynił dematerializujący gołębie i króliki magik z Cyrku Pincla! - uciszył konfratrów. Zastygli w minie, umizgu i grymasie jak zamrożeni. Więc pojąwszy, że ich snadź zanadto wystraszył, zdecydował się rozładować nieco atmosferę.

- Skrzaty wy moje... - zaczął, a gdy wybuchnęli uwspólnionym rechotem, uśmiechnął się nawiasowo i kontynuował już w rozluźnieniu: - Cel mamy, jak wiecie, dziejowy, fundamentalny i podniebieski: skarlić naród cały na wzór nasz i podobieństwo! Dać szansę Pokrajakom na wielkość w małości! I powiadam wam zaiste, żeśmy już blisko! A choć nieprzyjacioły i mordy zdradzieckie nieustannie pizgają w nas kamieniami, a takż jeb-jeb strącają lawiny, to ich już, śmiało rzec można, za jajaśmy capnęli!

Tym razem z krzeselka zerwał się sam kardynał Flus.

- E-li-giusz...! E-li-giusz...!

Reszta nie kazała na siebie długo czekać.

- E-li-giusz...! E-li-giusz...!

Zazwyczaj pozwalał im się wykrzyczeć, obecnie jednak prawdę nie miał na to ni czasu, ni ochoty. Więc ponownie uniósł

dłoń i wywinął nią nad głową młynka, a oni zamilkli jak zaczarowani.

- Wysiłki dalsze niech zreferuje i nam ukonkretni znamienity genetykus i konfrater drugiego stopnia, doktor Emil Ojcieńko!
- rzekł krajlider Konfraterni i obrócił głowę w stronę okna.

Siedział pod nim piędzimeżyk tak bombiasty i beczkowaty, iż zdawało się, że gdyby go nakłuć, wyciekłoby z niego kroćset kwart tłuszczu, a może i półgarnców. Pozorna była to jednak ociężałość, albowiem tyleż był doktor Ojcieńko bezradny cielskiem, co gibki umysłem. Więc dźwignąwszy się z lilipuciego krzeselka (które specjalnie dla niego poczyniono w rozmiarze XXL), począł zgromadzonym ze swadą objaśniać meandry genetyki oraz medycznych procedur i operacji, jakie zamierzał niebawem przedsiębrać. Czynił to jednak w sposób takuczony, iż większość zebranych jęła się wkrótce kolybać sennie na boki, a tu i ówdzie zafurkotało nawet niezdużone w porę chrapnięcie.

Dość powiedzieć, że dwie myśli warte były zapamiętania z wykładu doktora Emila Ojcieńki. Pierwsza głosiła, że najsprytniej będzie rozpocząć skarłanie od osobników młodych, dezaktywując ich hormon wzrostu. Druga z kolei odnosiła się do aspektu psychologicznego, który doktor Ojcieńko uznawał za niezwykle istotny, twierdząc, iż karłowatość od samego początku winna zostać uznana za pożądany atrybut, wręcz cnotę, a najlepiej charyzmat.

- Bo najważniejsze to nie żałować, że się jest karłem, i jako dopust boży tego nie postrzegać, amen! - zakończył wzniosłe doktor Ojcieńko, a ukłoniwszy się, klapnął na krzeselko i jął wycierać chustką spocony karczek.

Kiedy zaś oklaski dla niego wygasły, krajlider Konfraterni powiódł wzrokiem po zebranych i spytał:

- Czy ktoś na tej sali żałuje, iż jest niziołkiem?

Zapadła głusza tak trumienna, iżby można w niej nurzać raperów, didżejów i całą resztę wrzaskunów, wartą skazania na wieczne wyciszenie. Pławił się w niej przez chwilę Eligiusz Krumpolc, a potem pokiwał głową z uznaniem i rzucił:

- Ciesz się mnie owa jednomyślność, moi drodzy konfratry, tudzież syci! Zasadnie jest wszakże być karłem, a kto inaczej uważa, tego rozdepczem i splugawim! Albowiem skarlenie jest wielkością i nikt nam nie wmówi, iż małością nazywane być powinno! Dość już pedagogiki wstydu! Przemienim tedy wrazę sensy i odwrócim leksykalne zakłamania! Niech od dziś słowa karzeł, liliput, kusajda, kurdupel, piędzimeżyk, krępciwaty i czym tam nas jeszcze w dziejach próbowano znieważać, staną się wyłącznie tytułami do chwały! - krzyczał Eligiusz Krumpolc, czując, jak wzdłuż adrenalinowej grobli rozpalają mu się kolejne stosy i ogniska. - Bo oczywista to oczywistość, że skarlenie jest najdoskonalszym stanem istnienia! A dla naszej umiłowanej ojczyzny Pokraju oraz współrodaków, co nie z własnej winy przecie kaleko urosli, bez wątpienia najlepszym!

Chciał w uniesieniu, jakie nim zawładnęło, dodać coś jeszcze, ale już Syriusz Babierad, haczykonosy szef sekcji do walki z werbalnym poniżeniem i sabotażem, wybiegł na środek sali i z hyziem w oczach rozdarłszy koszulinkę na piersi, począł skandować:

- Wielki Pokraj małych ludzi...! Wielki Pokraj małych ludzi...!

Cały politkom poderwał się na krzywe nogi, wtórując mu chóralnie:

- Wielki Pokraj małych ludzi...! Wielki Pokraj małych ludzi...!

Tym razem Eligiusz Krumpolc pozwolił im się wykrzyczeć do woli. A gdy w końcu ucichli - uspokajając oddechy, ocierając łzy wzruszenia oraz podając sobie ręce na znak pokoju - pociągnął następująco:

- Wszelako nie samym chlebciem karzeł żyje, tedy na nasz cel miniaturyzacyjny potrzebujem funduszy, i to potężnych! Jak wiecie, przyobiecał nam Pierwszy Obywatel, że gdy dowiedziem, iż nadskarbnik krajowy Eryk Sabadura - oby szczeź! - oraz jego urzędnicze przedłużenia zagarniają pod siebie lepką rączką, wówczas odda nam nieodwoływalną władzę nad całym pokrajskim

skarbem! Czujecież ciężar, konfratry? Wszak będziem naonczas prakarłom przedwiecznym równi, co precjozów bożych w podziemnych pałacach strzegli...!

Tu przerwał, lecz głos mu dźwięczał. Wszystkim się zdawało, że Krumpolc mówi jeszcze, a to tylko echo czyniło takie akustyczne figle-migle. I nim sens owych słów zdołali zebrani przetrawić, krajlider konfratów, zrosiwszy ciut-ciut usta gazowszanką, ponownie zadał w róg dobrej zmiany:

- Aktualnie zjawia się ku temu okazja znamienita, bracia! Albowiem trop w Domu Orląt Sierocińca Narodowego pochwycawszy, jak ogar za nim poszlim i bombastyczną aferę by zdusić w zarodku, wciąż prima sort szansę mamy! Inwestygacja nasza twardo otóż dowiodła, iż siostra Irena, tamtejsza przełożona generalna, a przede wszystkim bezwstydna frybra i klitoryda, alians przestępczy z podskarbnikiem regionalnym Narcyzem Barszczem, pomiotłem totumfackim Eryka Sabadury, zawiązała, którego celem jest nasz Pokraj umiłowany wycfankować monetarnie i jak byle purwę za frajer wygrzmocić!

Tu Eligiusz Krumpolc przerwał na moment, by członkowie politkomu mogli się wybuczeć do woli, a potem snuł dalej:

- W tymże celu oboje akcję „Rodakowi Rodak” zawiązali, myśląc, iż mogą bezkarnie - podłe kiłowiny i geszefciarze! - współziomków naiwnych bez znieczulenia ciąć w małofieja! Ale stop ja temu powiadam! I stop po raz drugi mówię! A potem stop po raz trzeci, odstukując, krzycząc: sprzedane! Już się wasza paserska picblaga kończy i obumiera!

To rzekłszy, uniósł obie krótkie ręce, co zebrani odczytali jednoznacznie i poderwawszy się z krzesłek, zaintonowali w postawie na czuwaj kantyk narodowy. Ale nie taki miał pomysł na ową chwilę Eligiusz Krumpolc, więc stuknąwszy raz i drugi zaciśniętym kułakiem w blat stołu przyzoidalnego, przywrócił w sali bezmuzyczność i pogwar zaniepokojonych chrumknięć.

A potem zaczął tonem już spokojniejszym, w którym dało się odszukać pierwsze oznaki znużenia:

- Nie czas jeszcze na pienia oraz patriotyczną laudę. Pierwej sprawozdanie wam sprawozdamy, w jaki sposób owych gałganów i łapiczkarzy Konfraternia Wielkiego Pokraju do klęski powiedzie. A uczyni to aktualnie Jonasz Cedziworek, konfrater drugiego stopnia tudzież szef pionu kierowania strukturami nielegalnymi.

I wyłowiwszy z tłumu kędzierzawego chudzielca o żółciowej twarzy i oku tak wodnistym, że aż mroźnym, począł go do siebie przywoływać palcem.

- Prosiemy, konfratrze, prosiemy! - zachęcał.

Wszelako im gorliwiej to czynił, tym gwałtowniej Jonasz Cedziworek giął się i odkształcał, aż w końcu jął ruszać spastycznie wargami niczym ryba, której nie odpowiadają warunki tlenowe, potem zsiniał, a gdy wodniste oko uciekło mu w głąb czaszki, runął jak długi na ziemię, nie wypowiedziawszy słowa.

Rwetes się zrobił straszny i kołomyja. Przyłgnęli doń jednym susem konfratrzy i nuże go cucić, po pysku strzelać i krótkie nożyny do góry mu zadzierać. I każdy odmienny miał koncept na nagłą pomoc. Ten radził, by otwierać okno, ów zaś zaklinał, by tego nie czynić, albowiem wraz ze świeżym powietrzem zdradziecki jaki wirus dostać się do sali może i osłabiony organizm omdlałego konfratry do nieodwracalnego bezistnienia przymusić. Znalezli się też liczni, co w owym zajściu niemiłym oczywisty zamach dostrzegli, rychło tedy powstał spór, czym szefa pionu kierowania strukturami nielegalnymi skrytobójczy adwersarz powalić zdołał.

Podzielono się wnet na obozy, przekrzykując gwałtownie, a bywało, że i o zdradę oskarżając. Jedni optowali za zatruciem polonem lub nowiczokiem, inni za wyciągiem ze skorupiaków, kolejni klęli się duszą, iż czuć jeszcze ciągle w powietrzu stary dobry arsenik. Jeszcze następni przywoływali jad kiełbasiany lub kobrzy, rycyninę, trotyl, ładunek termobaryczny, a nawet kurarę wystrzeloną, ich zdaniem, z mikrodrona w kształcie muchy. Każdy chciał przy tym postawić na swoim i doszłoby do niechybnej bijatyki, gdyby nie siostry Cinć, których wieloletnie doświadczenie niejedną już zwiotczały ludzki organ na nogi stawiało. One to

właśnie - ucisnąwszy mu tętnicę w międzyudziu! - przywiodył Jonasza Cedziworka do przytomności i choć ciągle osłabiony szef pionu kierowania strukturami nielegalnymi nie nadawał się już do sprawozdań przed szacownym politkomem, zdołał opuścić salę plenarną o własnych siłach.

A kiedy już wreszcie zapanował spokój, oczy zebranych skupiły się na jego zastępczyni, konsorelli pierwszego stopnia, młodziutkiej Beatrycze Gadulas. Ta zaś - jakby zupełnie sobie nie zdając sprawy z tego, co czyni! - sięgnęła po teczkę szefa i odczytała znajdujące się w niej papiery, z których wynikało niezbitcie, iż drobiazgowe śledztwo, przeprowadzone przez ich pion (wraz z wykorzystaniem dostępu do dokumentów i informacji pozyskanych od tajnych współpracowników wewnątrz regionalnych urzędów skarbowych oraz w Domu Orłąt Sierocińca Narodowego), wykazało ponad wszelką wątpliwość, że akcja „Rodakowi Rodak” została przeprowadzona zgodnie z prawem i bez naruszenia żadnych przepisów, czy to finansowych, czy wynikających ze statusu zaangażowanych instytucji, czy też jakichkolwiek innych.

Skończywszy referowanie, Beatrycze Gadulas zamknęła teczkę, spojrzała na krajlidera Krumpolca i skonstatowała ze zdziwieniem, że jest jedyną osobą spośród zgromadzonych, która się ośmieliła to uczynić. Bo wszyscy inni mieli już oczy wbite w podłogę.

No i jeszcze ta cisza, że arcydziwna, pomyślała.

I rzeczywiście tak było, albowiem glut, co raptem zawisł nad salą plenarną, co chyłkiem i ukradkiem rozbryzgnął się w niej cichaczem i milczkiem, nie należał do zjawisk pospolitych, ów glut był ciszą najcichszą z cichych, która w okamgnieniu otorbiła zebranych, a czyniąc to, nie rozciszała się cieplusio, nie opadała cichusio, nie perliła cichuteńko, cisio jak twój płacz, mateńko, nie kwiliła - cich-cich, świecie! - jak w żłóbeczku boże dziecię i nie spała cichudziutko, pod sianeczka cną narzutką, o nie, zdecydowanie wręcz nie, to była cisza zła, cisza macosza i niekochająca, cisza przed burzą, wręcz groza nagłych cisz i w owej grozie ciszarańcza ciszabrująca, to była ciszalbiercza cichujnia, córka ci-

chutliwej ciszachrajki i ciszajbniętego ciszatana, oplatająca zastygły w przerażeniu komitet polityczny Konfraterni Wielkiego Pokraju niczym zły bluszcz, to była cisza jak ściana między bliźniami, jak na tej ścianie zakwitły grzyb, jak nieszczęsne ochędóstwo w żalobnym trenie, pięści wzniesione w niebo lub tegoż nieba z nieba pierdolnięcie.

I w owej afonii totalnej Eligiusz Krumpolc uświadomił sobie z żalem, że nie nosi okularów. Bo gdybyż nosił, mógłby teraz ściągnąć je drżącą ręką. Bo choć nie lubił teatru, to lubił teatralne gesty, te zaś najlepiej sprawdzały się z rekwizytem.

Tak dywagując wewnętrznie, pozwolił zebranyom pomierzać jeszcze w klatce oczekiwania, a potem rozkazał głosem najspokojniejszym, na jaki go było stać:

- Konfratry Drwalski, Jaszczułg, Flus oraz szyfrant Niewierko zostają. Reszta kurdupli won mi z oczu na cito!

Udając, że strach i pośpiech są im całkowicie obce, wszystkie niziołki wykatapultowały z krzesełek i jeden przez drugiego jęły się przeciskać do drzwi.

Wstali również wytypowani do pozostania konfratry, wszelako żaden w nich nie sprawiał wrażenia szczęśliwego z wyróżnienia. Co więcej - i w obawie, by krajlider nie zarzucił im spisku! - bali się nawet na siebie spojrzeć. Dźwigosław Drwalski wyginał w nerwach swoje po sześć palców i oddychał płytko niczym suchotnik, Joachim Jaszczułg pochylił głowę, kontemplując fakturę własnych trzewików, Fabrycy Flus wprost przeciwnie - wznosił oczy w niebo, a Miroład Niewierko kartkował w tę i z powrotem swój szyfrozyszczik.

A ledwo za ostatnim z wychodzących zamknęły się drzwi, Eligiusz Krumpolc huknął pięścią w stół, po czym rozdarł się za całe gardło:

- Czy was do imentu popurwiło, obśmyrgusy kloaczne?! To ja was wiodę do sławy i chwały, a wy mi sabotaż w rewanżu odpierdalacie, kociomózgi?! Toż raz na ruski rok wam coś zlecić zlecę, a i to za dużo! - zatrzęsł się. - Wszak wszystko na talerzu

wam dałem, ciężkosraje wy wszowate, a wy nie! Robić wam z dupy kościotrupy, a nie ojczyzny losy odmieniać!

- Ale szefie... - spróbował wejść mu w słowo Joachim Jaszczułąg.

- Milcz, jak do mnie mówisz, gruczole! - osadził go wściekły krajlider. - Cały Pokraj wie, że Narcyz Barszcz i ta jego gziwa mniszka chędożą skarb państwa na ciężki grosz, a wy ich za rzyć złodziejską schwytać nie potraficie?! Czyńcież tak dalej, randomy, a wyrurkuje was z Konfraterni ajn-cwaj-draj!

I znowu trzasnął pięścią w stół, tym razem tak potężnie, że podskoczyli nawet ci, co podsluchiwali pod drzwiami. Najbardziej przerażoną minę miała, rzecz jasna, Beatrycze Gadulas. Biedaczka dopiero teraz pojęła, że jej los został ofrankowany pieczęcią trądu, dzumy i raka. Co gorsza, zrozumieli to też inni, odsuwając się od niej z nieukrywaną ostentacją.

Tymczasem w sali plenarnej Eligiusz Krumpolc dalej rozstawiał po kątach swoich najwierniejszych pretorian.

- Womitywa mi się zbiera, jak na was patrzę! W wątpiach mi chełbie i do usru się zbiera! Zmartwychwzbudzić was chciałem i wynieśmiertelnić, a wy mnie w odwzięce czarną polewką karmicie, świniowrzody?! Toć ja was za to sponiewieram i wypatyczę! Splądruję cielesnie oraz mentalnie!

I z owego wpurwu tudzież rozjątrzenia aż mu w gardle zachręścił piasek. Złapał tedy butelkę gazowszanki, a gdy przepijał drażniącą suchość, ozwał się Fabrycy Flus, cały w dygocie:

- Nie zasłużyli na słowa tak kłujące, szefie! Wszak śledztwo nie dowiodło, iżby w Sierocińcu Narodowym szwindel miał miejsce i funduszy chapcydens!

Eligiusz Krumpolc zazezował na niego nienawistnie.

- No to rozdupczyłeś bazę, Luke! - prychnął drwiąco. - Tylko to nie są roboty, których szukamy, ciulu!

Kardynał spąsował i spuścił głowę. Za to wyrwał się do przodu obszarlider dystryktu północnego Dźwigosław Drwalski i połykając pospiesznie słowa - jakby w obawie, by mu nie przerwano - wy terkotał na jednym oddechu:

- Hej, hej, komendancie, wodzu kochany, za tobą pójdziem, przejdziem i nie rzucim, bo my u ciebie dziś na ordynansach, tyś nam dał przykład cnej podniety, więc trąb nam, trąb, strzelecka trąbko, w dal, a kłuj, a rąb i w łeb lub serce pał, nasz los na stos, dziś triumf albo zgon, spod serca kap-kap, słonina i schab, byle przodem, chrobrych chodem, braciom karłom dopomagaj, nie-przyjaciół naszych zmagaj i ucałuj, jak za dawnych, miły wodzu mój!

To były słowa iście prometejskie i arcypiękne, więc nawet szyfrant Niewierko przestał kodować i otarł łzę wzruszenia. Cóż z tego, skoro krajlider Konfraterni Wielkiego Pokraju pozostał na ów hołd teutońsko zimny i wciąż procedował swój sadystyczny paternoster.

- Mów do mnie babciu, suko! - zacharczał. - Kpinkujecie sobie ze mnie, frandzlownicy?! W balona mi dmiecie?! Jak długo jeszcze, ja się pytam, zamierzacie mi podobne pierdoły bobonić?!

I poderwawszy się z krzesła, cisnął z całej siły gazowszanką o ścianę. Roztrzaskała się niczym wiara w dobrą ludzkość.

- Bijcie w żyto, pajace! Rżnicie mi tu jagiełłów nieustraszonych, a jak przychodzi co do czego, to was baba pęcherzem wystrasza! - skulił się Eligiusz Krumpolc, jakby miał atak gastryczny. - Przez waszą wyfajdaną miałkomyślność pośepność mnie aktualnie gniecie i muli! Bana macie na wszystko, pachciarze i skulidupy! Chliporzygi krótkofajcze! Kuperszlaki zjęczałe i płaskokoślawe surogaty karłowatości! Czy aby się nam plan skarlenia współrodactwa udał, muszę ja być dla was jak kat?! Jak, purwa, tyran, asasyn bądź Stalin?!

To rzekłszy, zadrzał i opadł ciężko na krzeselko, a salę po raz kolejny owionął mroczny bezdźwięk.

- Dyc ja bym chciał jeno, by który do mnie przyszedł i wykonanie zadania zameldował. Jednego serca trzeba mi na ziemi - wyszeptał rozrzewniony do ostatnich głębi krajlider. - Jednego serca - powtórzył po chwili. - A jednak widzę, że żądam za wiele.

Po czym znów zamilkł i schował głowę w granacie munduru, a nieznośna tęsknica szarpnęła mu duszą i jelitami.

- Można? - rozległo się z boku niespodzianie.

Pochylone nad skurczonym embrionalnie szefem łokietki łypnęły z przerażeniem w stronę drzwi. Nieśmiało wsunął się przez nie szef pionu bezpieczeństwa, konfrater trzeciego stopnia Maksym Wódmęt.

- Można? - powtórzył.

Eligiusz Krumpolc odgarbił się powoli i wbił w przybysza zęby oczu.

- Reżaj knagę, lolku - zaszemrał.

Maksym Wódmęt przeczesał włosie z widoczną kontuzją.

- To może potem, szefie, bo teraz głębokie gardło mam - bąknął.

Krajlider konfratów ściągnął brwi.

- Co masz?

- No, kapusia z Domu Orłąt. Raportować chce o podskarbniku Barszczu i tej tam siostrze Irenie - zatarł z radości ręce szef pionu bezpieczeństwa. - Dużo wie, basałaj...

- Dawaj go - mruknął szef wszystkich szefów.

Maksym Wódmęt pokiwał głową. A kiedy szerzej otworzył drzwi, stanął w nich syn ministra policji, pyzaty kadet Bożydar Bobro.

*

Taksówka odjechała, odsłaniając rozglądającego się konspiracyjnie na boki Sebastiana Rawę. Obok niego leniwie kołysał się powód owej bondowszczyzny - czarnoskóra nimfa w peniuarze we wściekle kwiaty. Powód wystarczająco charakterystyczny, by wścibscy sąsiedzi zdołali tę okoliczność zapamiętać do siedmiu pokoleń wprzód.

Inżynier pociągnął dziewczynę w stronę domu, którego front - jak wtedy, gdy i on zjawił się tu po raz pierwszy - wyłożony był świecącymi kawałkami butelek. Nacisnął dzwonek do drzwi, dezinformując przy tym blagiersko:

- Doktor Adam tu pomieszkuje, praktyk wybitny! On wszystkich w branży leczy - Jajosa, Prączewskiego, Heddę Gasler, a nawet Jana Pawła Danczyka...

I pewno mógłby tak bajtlować dalej jak łgarski pies, atoli mu odjęło wszelką mowę. Ujrzał bowiem w drzwiach własnego domu nie twarz bochniastą, z nosem jak kartofel tudzież diastemą w pierogu mięsistych warg, lecz lisią fisis jakiegoś czupiradła samiczego, które łupało nań z abominacją i wzgardą że oko wykol.

- Jehowy świadkowie? - zaklekotało owo coś nieprzyjemne głosem z drewna wystruganym. - Dzięki, ale precz!

I zatrzasnęło drzwi, nim inżynier zdołał pomiarkować, co, jak, gdzie, komu, dlaczego i po co.

O, losie!

Jakże drwiąco potrafisz się obchodzić z człowieczym państwiskiem!

Toć przecie małowiele wystarczało, by Sebastian Rawa zapoznał się z lisim czupiradłem, aktualnie mu przeniknąć przez próg własnego ogniska niedozwalającym, już ho-ho temu. Ono to bowiem - pracując na stanowisku „młodszy kasjer w zespole basenów kąpielowych Cud nad Pislą, Kąklusz Beata" - obdarowało go przed kilkunastoma dniami gratisowym entransem. Wszelako - przywołajmy tu dramatyczne okoliczności owego upalnego przedpołudnia! - detali tamtej chwili inżynier nie miał szans zakonotować, ponieważ doświadczał był wówczas nieprzyjemnego zderzenia z sześciopalcym karłem z Konfraterni Wielkiego Pokraju.

Nie mając tego najlichszej świadomości, Sebastian Rawa ponownie nadusił dzwonek i trzymał na nim palec tak długo, aż Becia Kąklusz otworzyła po raz drugi. Tym razem była już naprawdę wściekła - jej wąska twarz nabrała krwistych rumieńców, po których nie należało się spodziewać niczego polubownego.

- Rzekłam won, wyznawcy kociej wiary, kacerze! - syknęła.

I nim inżynier zdołał otworzyć usta, na powrót zamknęła drzwi.

- Może nie ma wolnych numerków już? - zawyrokowała Anita Bułas, owijając się szczelniej peniuarem, który się jej tymczasem był rozchełstał.

Na myśl o najlepszym przyjacielu, który - jak się właśnie okazało - wsadził go na minę dupą do wiatru, inżynierem zatrzęsło.

- Ja mu dam wolne numerki! Ja mu, dziadu, dam! Dziadowi!

Potarł nerwowo potylicę, a przypomniawszy sobie, iż ma w płóciennej nerce zapasowy komplet kluczy, wyciągnął go drżącymi rękami i przypadł do zamka.

- Klucze do gabinetu posiadasz masz? - zdziwiła się Anita.

- Gdyż zarządzenie Pierwszego Obywatela jest, żeby każdy klucze do swojego lekarza mieć miał! - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Na wypadek wypadku!

Po czym wpadł do środka i oniemiał. Albowiem nawet wówczas, gdy na Boże Narodzenie zjeżdżali teściowie oraz kuzyni Ilony z Podszczupacia (ci, co na komunię podarowali Oliwce szzurunię) wraz z cierpiącym na borderline personality disorder psem marki amstaf, jego dom bardziej przypominał jego dom niż obecnie.

Bo teraz wszystko wyglądało jak po bomby jebnięciu bądź po prewencyjnej kontroli z Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego. Meble poprzestawiane. Ze ścian zwisają szmaty i folie. Na środku jadalni kamerka na rachitycznym statywie. Po jej bokach - niczym złoczyńcy z Golgoty - dwie stare lampy fotograficzne.

Aliści nie estetyczna obcość była tu najgorsza, tylko ta niepokojąca energia. Jakby mistyczna, ale i przylędźwiowa. Wypełniała wszelkie kąty oraz bryły jego domu rodzinnego, powodując u inżyniera stan lekkiego poirytowania.

- Co to, purwa, ma, purwa, być?!

Korekta. Poirytowanie nie było ni chuja lekkie, co doskonale wyczuła Anita Bułas i opatuliwszy się jeszcze szczelniej kwietnym peniuarem, wyszeptwała tonem autokontroli i rozjemstwa:

- Sebi, ty się nie unos, ja cię proszę, bo mnie nie przyjmą...

Wszelako rozsierdzony jak stado słoni inżynier ani myślał jej słuchać i hajda ją wymachiwać trąbą oskarżycielskiej ręki.

- Co ty tu mi robisz, obca, mi tu?! - lżył i ciskał pioruny.

Anita spostrzegła z zakłopotaniem, że lisia morda mruga neurotycznie powiekami. Szykował się ewidentny skandal, który zdusić należało w embrionie. Spróbowała zatem rozbroić niebezpiecznie wzbierającą skłładź towarzyską.

- Ta pani to pewno żona jest doktora, Sebi...

Niestety, słynny na cały świat reżyser nygusował się już bez żadnej kontroli, jakby go kto szalejem skarmił albo wieszczą szalwią.

- Ja jego żonę znam! - darł się. - A ta nie jest nią! Jest nie nią!

Szczęśliwie Anita Bułas przypomniała sobie program Mity i psoty, z którego krynicy czerpała piersią pełną i garścią. W nimże radzono, by w razie kontaktu z furią geniuszu, nie rozniecać jej piromańsko i w apogeum nie dotleniać, lecz poprzez usypiającą konwersację wyprowadzić sukę na pastwisko latencji i energetycznego zwisu. Tak też spróbowała teraz uczynić, zapytując głosem, który ziewał od pozornej desaturacji:

- A spod jakiego zodiaku się wywodzisz ty, Sebi?

Bez dwóch zdań podziałało, bo reżyser awanturnik łypnął na nią zaskoczony i - co najważniejsze! - milczący mową, którą mu najwyraźniej odebrało. Zatem nie zasypiając gruszek w popiele, ujęła się pod boki rozumu i poczęła dalej oflankowywać:

- Spirulina czy chlorella, co preferujesz?

Zamrugął bezrefleksyjnie, chwiejąc się niczym poraniony tytan ze skośnookiej kreskówki. Uznała więc, że już czas na cios z mańki ostatecznej, i wskazując na Becię Kąklusz, oznajmiła tonem przedszkolanki:

- Kimże owa pani, pojęcia nie masz, Sebi! Więc zmilcz, skoro i bonton, i sawuar tego nakazuje!

Był to wielce zmyślny fortel i przebiegły, ale psu się na budę zdał i obrócił wniwecz, albowiem reżyser Rawa - wbiwszy po-

nownie w lisicę oskarżycielski palec! - rozdarł się przeraźliwie, okrutny despekt obcemu domowi de novo czyniąc:

- Niech mi tu zaraz, skąd się wzięła, mówi ta miazga ludzka i kanalik! -

Słów tych, jakże hadkich i niczym harap tnących, spokojna jak dotąd bileterka z Cudu nad Pisłą postanowiła płazem nie puszczać.

- No to już przechodzi ludzkie pojęcie rozumienie! - ryknęła. - Gdyż nie dość, że włam do posesji miejsce ma, to jeszcze chamstwo i gwałt na obyczaju!

Stało się bowiem dla niej całkiem jasne, że oto do studia filmowego słynnego reżysera Adama Rembelskiego wdarł się - przez całkowity przypadek, a trochę, niestety, za przyczyną jej lekkomyślności - wariacki grandziarz, chamuś i upośledzak! I że odpór jemu jak najrychlej dać należy, żeby się za bardzo nie rozkręcił. Więc jęła dawać:

- Kto wchodzi do ogniska cudzego wkracza, się pierwszy przedstawia, ciulu ty!

- Mnie ciulem?! - zagotował się dziki raptus na kilka słów prawdy. - Ciulem mnie?! W domu tym?!

Przez chwilę zdawało się, że ten narwaniec i fiksumdyrdum rozpuknie się jak szwedzka armata. Obracał łbem na wszystkie strony (jakby się zaciął albo - nie daj Bóg! - rozglądał za czymś ciężkim), w końcu jednak znieruchomiał i zawiesiwszy wzrok na Anicie Bułas, wysyczał:

- Pilnuj tej tragifarsy i z oczu nie spuszczaaj, a ja, czy czego nie ukradła, zmonitoruję...!

Po czym pognał z jadalni w głąb domu.

Co za wstyd! - pomyślała seksowna ekspedientka z Liwjan. Niby taki wielki artysta, a zachować się zachowuje, jakby kindersztuby w życiu nie wachał! I weź to, człowieku, teraz odszajbiaj! - kipiała wewnątrz. W dodatku, przed lisią doktorową stercząc w niemodnym szlafroku po umrzycy!

W końcu machnęła w umyśle ręką. A, chuj z pętelką! Wszakżem aktorką wielką, co i ten kielich na klatę talentu dźwignie!

I uśmiechnęła się ciepło, obłóczywszy jadalnię spojrzeniem pełnym rewerencji.

- Oryginalny ten państwa gabinet niespotykany - kiwnęła głową z dystynkcją, jaką podpatrzyła u żony jednego z ministrów.
- Bardziej wręcz eklektyczny niż medyczny...

Doktorowa o lisiej mordzie zdawała się obojętna na dusery i komplementy.

- Mąż to pani twój? - wskazała kierunek, gdzie znikł Sebastian Rawa.

Ręka Anity wykonała nieokreślony zawijas, mający oddać heksagonalność człowieczych relacji.

- Narzeczony bardziej - bąknęła.

- Raptus i krzykacz - przestąpiła z nogi na nogę doktorowa.

Jej komentarz był szybki i krótki, ale Czarna Mamba nie wyczuła w nim agresji. Raczej próbę osikania granic własnego ekosystemu. Więc pomyślała, że jest szansa na szybszy pokój, niż zakładała, i wybąkała pół żartem, pół serio:

- Artysta. Reagujący bardziej indukcyjnie. Jakby.

Na lisiej twarzy doktorowej pojawił się pierwszy pobłysk akceptu.

- Mój też artysta.

- Nie lekarz zatem? - zdziwiła się Anita.

- A gdzież! - wzruszyła ramionami już nie doktorowa. - Reżyser mu z zawodu. A jam aktorką.

To było naprawdę zaskakujące. Wszelako Anita postanowiła nie dać tego poznać po sobie i jakby spotkania córek Melpomeny należały do najczęstszych muśnień międzyludzkich w jej życiu, oznajmiła z pełną godności flegmą:

- I jam nią, traf chciał.

- Traf i koincydencja - mruknęła nie-doktorowa, której nie drgnął na lisiej mordzie najmniejszy bodaj muskuł.

Przez nieskończenie długą chwilę obie kobiety przyglądały się sobie z uwagą, aż w końcu bileterka z Cudu nad Pisłą wyciągnęła rękę.

- Kąklusz Beata.
- Bułas Anita.
- Wolę Becia.
- Wolę Anita.

Ponownie zamilkły, lecz tym razem - co piękna ekspedientka z żółciostockiego Liwjatana czuła doskonale! - piłeczka znajdowała się po jej stronie. Uśmiechnęła się zatem wdzięcznie i uściskawszy ciągle wiszącą w powietrzu dłoń swojej nowej kumci, zaszczebotała:

- Szał, nie...?

I zamierzała dodać miliard kolejnych zdań, jakie podobne im dziewczyny wypowiadają zawsze w prapoczątkach siostrzeństwa, kładąc kamień węgielny pod wieczną przyjaźń, gdy nagle z wnętrza domu dobiegł przeraźliwy krzyk ni to wściekłości, ni rozpaczy.

Więc poderwały się obie niemal pod sufit i już po sekundzie wpadły do pokoju Oliwki, gdzie ujrzały Sebastiana Rawę, z obłędem w oczach, trzymającego za ogon martwego białego szczura.

- Co to, purwa, aby jest...?! - wybryzgnął na widok Beci Kąklusz inżynier i iskrząc zbrodniczo z oczu, podsunął jej zewłok gryzonia pod nos.

- Weź to ode mnie, nicponiu! - odskoczyła ze wstrętem. - Martwych stworzeń się wystrzegam ja!

- Dlaczego martwych się pytam, kiedy żywa była żywina! - zjątrzył się pieniście Sebastian Rawa. - Raptem wczoraj była!

Nie dość, że awanturnik, to jeszcze kocimózg! - prychnęła w duchu Becia Kąklusz i rozłożyła szeroko ręce. Jak zawsze, gdy przychodzi człekowi tłumaczyć sprawy życia i śmierci tajemne.

- Bo obrót świata już taki... Przychodzimy, odchodzimy...

Mówiła wolno i wyraźnie, lubo bez większej wiary w chłonność umysłu osobnika, który jej wymachiwał przed głową nieżywym szczurem. I słusznie, bo ów gburowaty filister i burdel-

nik przerwał jej wywody głośnym tupnięciem, po czym uniósł zwierzęce truchło aż pod żyrandol i zawył:

- Nie rób mi tu z mózgu pasterki, kobieto! Dlaczego Ciotka nie żyje?!

Słyszając to pytanie - a zwłaszcza dramatyczną formę, w jakiej zostało zadane! - młodszy kasjer Kąklusz Beata poczuła w głowie wszechzamęt i dalsza chęć dyskursu zjeżdżała w niej w okamgnieniu. Wryła więc tylko w inżyniera słaboduszne spojrzenie, a potem przeniosła je na nową psiapsiółkę, w nadziei, iż może ona - znając owego srajdułę i haniebnika lepiej - odnajdzie pasłord do jego umysłowych rebusów. A jeżeli nie, to że przynajmniej go doprowadzi do zagrody opamiętania.

Wszelako czarnoskóra gościni - wnosząc z jej zdurniałej miny - zdawała się równie bezradna.

- Tragedii rodzinnych nie przyszłim tu wywlekać, Sebi - zaczęła niepewnie, by przejść szybko do prażródła całej draki. - Tu lekarz miał być, przypominam...

- Wiem, kto tu miał być i kogo tu, opryszka, nie ma! - rozdrapieżył się na nowo intruz. - Ale w innej sprawie interpeluję obecnie!

I po raz nie wiadomo już który począł wymachiwać przed oczami Beci Kąklusz gryzonim padłem.

- Czemu ów zwierz martwy, ty przestępniczo?!

Wzruszyła ramionami.

- Bo się nawpieprzał żelków i zdechł?

- Jakichże żelków?! - nastroszył się szaleniec, jakby ją chciał bodnąć.

- Co to ma być?! Sto pytań do?! - rozeźliła się Becia Kąklusz i poczuła, jak z jej puzderka fasonu i kindersztuby błyskawicznie uchodzi powietrze. - Mówię chyba wyraźnie, że misiów z kwaśną posypką!

- O, ja lubię je... - rozmarzyła się Anita Bułas.

- Prawda, że smacznych wielce? - rozpromieniła się błyskawicznie bileterka z Cudu nad Pisłą i równie szybko zmarkot-

niała. - Więc cholera wie, czemu zdechł, ja je jem i nie zdycham, nie?! Może jarosz był!

- Była - skorygował przycichły nagle krzykacz. - Samicą te zwłoki są... - przytulił czule martwą padlinkę i pocałował.

W tym prostym goście ów mężczyzna ujawnił tyle smutku i matczyności, że gul, jaki do tych pór w niej wywoływał, odleciał Becię niczym mara. I już w całkiem innej optyce ujrzała zarówno jego, jak i tę nieżywinę futrzastą, ofiarę płochych nawyków żywieniowych, zgoła przecie nie swoich, tylko - do purwy nędzy! - jej. Po czym spopieliwszy się od tej świadomości, sponurzała do szczętu.

I chciała poprosić o przebaczenie, jeno nie potrafiła jeszcze we właściwe tego ubrać słowa. A gdy je cierpliwie nanizywała na sznurek gramatycznej misterności, zaszcząkał zamek w drzwiach i z przedpokoju doleciał ich rozanielony głos Adasia Rembelskiego:

- Kochanie? Batman powrócił...!

Słyszając to, Sebastian Rawa przytulił mocniej szczurunię i wybiegł z pokoju córki.

Na jego widok Adaś stanął jak wryty.

- Nożpurwa, chyba mnie oczy rodzone zawodzą, rzeczywistość alternatywną prezentując! - zaburkotał. - Albo ja jestem w Bułgarii, albo ty w niej nie jesteś!

I szybko odstawił różowe pudło, które dzierzył, by - rozłożywszy ramiona szeroko jak wierzba - przywitać się z przyjacielem jak Pokrajakz Pokrajakiem zwykli to czynić.

Inżynierowi Rawie ani w głowie były jednak teraz umizgi i jaj wzajemne cukrowanie. Dlatego już od progu wytyczył ich konwersacji twarde limesy, wgrywając między nie pole minowe typu dead on arrival.

- Bodajby ci szatani szarpę wydupali! - ryknął. - Coś ty mi z domem zrobił, ty psie dingo ty? Drzewo miałeś podlewać i szczurunię w samotności wspierać, skurczypało, a nie dziwki spraszać, żyjątko liche tym do śmierci doprowadzając!

I zamachał białym truchelkiem, zimnym jak sopel w sercu chłopczyny, co go ta śnieżna purwa na sankach w bajce porwała.

Początkowo Adaś nie przejął się tym ani dudu i jął szopenhauerować, ile wlezie:

- Po pierwsze, Sebuś, nie dziwki, bo gdzie ty tu plural widzisz! A po kolejne to nie abstrahuj, że memento mori i gadów futrzastych dotyczy, takie są prawa boskie i chuj! Na szczęście w szczury padół nasz bogaty, więc nie hysteruj niczym Arab prądem rażony, tylko się z nową Ciotką Irenką przywitaj helo!..!

To rzekłszy, uniósł wieko różowego pudła, w którym kręcił się niespokojnie szary szczur, ani trochę niepodobny do świętej pamięci białej Ciotki Irenki.

Sebastian Rawa zasyczał, jakby mu rakarz Kuklinowski płonącym kwaczem boczek przypiekał, po czym odłożył delikatnie martwą szczurunię i złapawszy szarego gryzonia, podetknął go Adasiowi pod same oczy.

- Czy ty na oczach jesteś ułomny, homerze? - wycodził wściekle. - A może ja optycznie stałem się zmatowiały? Bądź Oliwka córka moja? Ślepą ją nazwiesz może, wyskrobku ludzki ty? Dyć jak mi dziecko z wakacji wróci i ukochaną swoją szczurunię białą w szarej maści napotka... o jajach dyndających nie wspomnę... to mi tu taki afganistan wyfasuje, że...

Wobec jakże precyzyjnie wywiedzionych argumentów, właściciel wypożyczalni aut ślubnych zdał sobie sprawę ze swej dotychczasowej miałkomyślności, a jego fanfarońska zadufka jęła się wyczołgiwać rakiem, plackiem i chyłkiem.

- Taki jeno był egzemplarz, Sebuś! - zajączył. - W pośpiechu brałem!

- W pośpiechu to cię zrobili, Adaś! - dźgnął go kordzikiem złościwości inżynier Rawa, po czym włożył szczura do pudła i przykrył je wiekiem.

- Odkręcisz mi to! - zaordynował. - I to ruchem węża!

Adaś łypnął w stronę tej części domu, gdzie bez niego stażała się Becia Kąklusz.

- Zluzuj pompkę, Seba... – wystękał błagalnie.

- Już ty mi już nie mów, co robić mam, niedopłato! - osadził go inżynier głosem drżącym od wewnętrznego wzburzenia. - Z doradcy funkcji zwalnię cię i wyrzucam! Ale zanim to uczynię, replikę szczuruni mi dostarczysz w barwie oryginału!

Uniósł szczurze ciało i przytuliwszy po raz kolejny, podał je delikatnie Adasiowi.

- Weź jako referencję kolorystyczną - stęknął cicho.

Gąbczasta facjata Adasia wykrzywiła się abominacyjnie.

- Kiedy się trupem brzydę...

Inżynier wzruszył ramionami na znak braku empatii i wdu-pietomienia, a następnie wskazał palcem ścianę, za którą zostawił obie kobiety.

- A apropos obrzydzeń, skoro już wspomniałeś, to mi z tej twojej pseudoaktorskiej wywłoki łań-tu-fri dom obezłudnisz! - mruknął.

Adasiem wstrząsnął dreszcz niepokoju i trwogi.

- Seba, ja cię pro... - zaskamlał i szybko zamilkł, dostrzegając stal w oczach przyjaciela.

- W niniejszych okolicznościach wołę: panie Sebastianie! - przygwoździł go inżynier jednym sztychem.

Fałszywy reżyser od castingów klapnął ciężko na krzesło.

- Przebóg, przemysł to... - wybąkał.

- Przeprzemyslałem! - wycedził inżynier Rawa, dziwując się ździebko tężyźnie własnego mózgowia. - Wystarczająco mi już żywot obagniełeś, Adaś, i basta! Dlatego szopce naszej reżyser-skiej mówię adieu!

Właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych zadrżał. Purwa pramać! Ekspiacja ekspiacją, ale to już idzie za daleko! Wszak jest granica, za którą prawdziwy mężczyzna przestaje być sobą i nie może już oddać nawet guzika, bo choć ceni spokój, obce mu jest pojęcie spokoju za wszelką cenę!

A ponieważ owa granica została właśnie przekroczona, musiał Adaś - choć okrutnie czuł się znękany - przejść teraz do kontrnatarcia.

- Pochopne to, Seba, i trzpiotem jedzie! Nie chcesz Anicie łasicy wyczesać? - wszpuntował znieńacka inżynierowi celny hak pod hormonalne źebro.

Sebastian Rawa w sekundę znieruchomiał, znędzniął i znieznaczniał.

- Pragnę i nie pragnę - wyszeptał.

Jego najlepszy przyjaciel się skrzywił, jakby powróciły czasy szkolnej fluoryzacji.

- Przestań odpierdalać duńskiego wymoka, Seba, bo my tu nie mumii teatru się kłaniamy, jeno we wszechnowoczesny przemysł iluzji inwestujemy, kinem zwany! - oznajmił. - Więc może lepiej powtórz dekalog, którego punkt pierwszy brzmi: „Chcesz wybrudzić świerszcza, odpierdasz Spielberga!”.

Inżynier Rawa zazezował na niego ze strutą miną.

- W innej to już optyce postrzegam i przyzmacie...

- Przyzmacie-sracie! - Adaś ze wzdrgną wydał wargi. - Łąduj na ziemi i spójrz na mnie, Seba! Luk et mi! Złom? No złom! I wejrzyj na się! Też cipy nie ściska, nie?!

Podreptał do ściany i delikatnie w nią postukał.

- A obecnie przyjrzyj się kontekstowi! Tam, w sypialni, siedzą dwie kosmiczne przesunie, rześkie i ciągle jeszcze nieouzdane! Myślisz, że chciałyby tu z nami, pardą, pierdzieć, gdybyśmy nie byli filmowcami...?!

To rzekłszy, uśmiechnął się szeroko, lubo nie do Sebastiana Rawy, lecz do samego siebie, i zamruczał pod nosem cichusieńko:

- Prezesie Adamie, melduję wykonanie zadania.

I był naprawdę z siebie kontent, bo nie tylko uratował swój genialny plan, ale przede wszystkim najlepszego przyjaciela. Który przecież nie może udać się do robala z tak błędnego tylko powodu, iż posiada zbyt krytyczny stosunek do pozamałżeńskiej uciechki i staromodnie wierzy w gusła wierności.

Wszelako mylił się Adaś potężnie, albowiem problemat zdalasakramentalnej jebaderii Sebastian Rawa rozstrzygnął na swoją korzyść już wiele godzin temu. Jeśli zaś się teraz wahał, jeśli się gibał w rozterce i hamletyzował, to wyłącznie dlatego, iż

po raz kolejny rozdzwierał mu we łbie głos dziewczęcy odsennego pochodzenia, jakby zaprzepaszczony i zza wielkiego muru. Głos, któremu - jakkolwiek daremny byłby to sprzęg i usił! - zapragnął inżynier z całego serca oddać swe ciało na strwoń.

I o tym właśnie chciał opowiedzieć Adasiowi (bo przecież od czego ma się przyjaciół, jeśli nie od tego, by im podobne sprawy powierzać), aż tu nagle zza ściany doszły ich przekleństwa, wrzaski, dogryzki tudzież impertynencje oraz inne jędzowatością nabiegłe odgłosy kobiecego rozindyczenia.

Kiedy wbiegli do sypialni, Anita i Becia rozwijały dyskurs, który je był poróżnił, zakleszczone na podłodze w splocie wielkończynowym. Rzekę czasu zajęło obu przyjaciółom, nim je ustawili do pionu, a potem poziomemu właściwego damom. W końcu jednak - po wrzaskach, pokrzykach, wybryzgach, jękotach i kociokwicznym meksyku! - udało się zasiać w pomieszczeniu jako taką cichość, może nie opiumiczną, ale bodaj flautkę.

- Czy tak się zachowują Melpomeny córki na planie produkcji? Profesjonalistki? Otóż że nie! - ryknął Adaś, przybrawszy minę Szczepana Marszczelca, ich srogiego matematyka z liceum imienia Chłoporobotniczej Kaźni, później przemianowanej na Hekatomby Księży i Ułanów.

- Aktorką żem słabą, powiedziała, owca! - wyjaśniła przyczynę swej irytacji Becia Kąklusz, pokazując przy okazji język pięknej żółciostoczance.

Ta zaś nie pozostała jej dłużna i uniósłszy w geście symbolicznego sponiewierania środkowy palec prawej ręki, zaflabotała:

- Bo że nią w ogóle nie jestem, ona zaczęła!

Właściciel wypożyczalni limuzyn ślubnych zaklaskał mocno w dłonie.

- Stop, kamera! Cięcie!

Obie dziewczyny zamilkły w jednej chwili, a następnie wbiły w niego wzrok niczym w omnipotentnego budowniczego Ziemi i Kina. I małowiele się myliły, albowiem w świecie, który im stworzył - i cóż z tego, że ograniczonym do kilku pomieszczeń w

domu swojego najlepszego przyjaciela! - był Adaś Rembelski prawdziwym demiurgiem i dajmonem.

Czuł ów ciężar doskonale, dlatego nakazał teraz umysłowi rozluźnić ciało, po czym dźwięcznie swobodnym i jakby ze środka tybetańskiej misy płynącym głosem oznajmił:

- Obieście aktorkami wybitnymi i jedynych to powód w studiu mym... - dostrzegłszy grymas na twarzy inżyniera Rawy, natychmiast się poprawił: - w studiu naszym... obecności tu waszej!

Zabrzmiało wściekle zacie, z czego się jeszcze wścieklej uradował, choć i przypilnował, by się mu ów zaciesz nie odmalował nieopacznie na ryju. „Pan Bóg oraz mężczyzna nie mizdrzą się nigdy!”. To jedno zapamiętał z przedmałżeńskich nauk wikarego Oszczydury i uznał, że pasuje teraz jak ulał.

Niestety, zarządzanie człowieczym stadem to okrutnie trudne zadanie dla niebieskiego pasterza, który się zawczasu nie wyposażył w ostrożnego zaganiacza typu diabeł. Wiedział to dobry Pan Bóg, nie wiedział zaś Adaś Rembelski, dlatego teraz - miast cieszyć się dziękczynnymi pieniami i kobiercem z ciał zgrabnych ochoczo przed nim rozścielanym - znów musiał wysłuchiwać jazzgotu, od którego szpikulcowało go w wątrobie.

- Ale ja trzaskam główniaka, co nie, Adaś? - zatrajkotała Becia Kąklusz i przypadła do niego, szarpiąc za rękę. - Wszak sam mówiłeś sam! Że księżniczką być mam!

Widząc, co się święci, Anita Bułas doskoczyła do Sebastiana Rawy i przytuliła doń mocno wszystkie wżgórza, żleby i plaśnie swojego zmysłowego terenu.

- Chybaś z rosołu wyszła, klucho! Taka z ciebie księżniczka jak z wibratora pianino! - pohukiwała, wychylając się zza inżyniera. - Ja główniaka gram! Nieprawdaż, Sebi?!

To ostatnie rzekłszy, zajrzała mu w duszę tak dogłębnie i wilgotnie, iż miał wrażenie, że dostrzegła jego wewnętrzny księżyc, w mgnieniu oka pełniący i powlekający się ośrebrzyną.

Tymczasem Adaś ponownie zaklaskał w dłonie.

- Cięcie, mówię! Cięcie...!

Jako profesjonalistki wyczulone na fachowy kod oraz za-sób, Anita i Becia błyskawicznie ucichły, choć - co wszak się na-gminnie zdarza pomiędzy gwiazdami srebrnego ekranu! - nie przestawały na siebie łytać z dzikością i insurekcją.

- Zasadniczo główna rola jeszcze nieobsadzoną pozostaje - jął im tłumaczyć Adaś. - Prace trwają. Lecz nim decyzje zapadną...

Zawiesił głos i wbił w obie dziewczyny intensywnie hormonalne spojrzenie.

- ...a wiele tu, miłe panie, od waszej aktywności zależy...

Odwrócił się i podpełzł do inżyniera, mrugając doń znacząco.

- ...to koncepcję całości dzieła, wraz z jego ideą i treścią, przybliży paniom Sebastian Rawa reżyser, wuala!

Główny specjalista od utylizacji śmieci w farszawskim Oficjum Gospodarki Odpadami Komunalnymi wybałuszył na przyjaciela zdumione oczy.

- Ja? - jęknął.

- No tyś nim, więc ty!

Brwi Adasia zafurkotały tajnym szyfrem, niestety, nierozpoznanym przez inżyniera.

- Ja nie... - próbował zaprotestować Sebastian Rawa, lecz Adaś szturchnął go dokuczliwie i wypchnął przed siebie.

- No, nie kryguy się tu jak dziwka w post! - jerdyknął tubalnie pseudoreżyser od castingów. - Szoł mast gol...!

- ...On! - dopowiedziała Becia.

- Oczywiście, że on! - kozaczył dalej Adaś. - Bo któżby inny wszak!

I jeszcze raz go dzióbnał palcem pod zebro, ale już znacznie delikatniej, bo nie dla paniszmentu tym razem, jeno serdecznej zachęty.

- No, Sebuchna, w słuch nas tu zamień tu...!

Inżynier Rawa przełknął ślinę. Spojrzał na Adasia. Na piękną Anitę. Na lisią Becię. Wpatrywali się w niego jak w proroka,

który bez pudła ujawni datę przyjścia zbawiciela. A może i jak w samego zbawiciela?

- No więc... - zaczął niepewnie. - No więc otóż... - wystartował ponownie. - Sprawa ma się tak, że...

Zamilkł, czując, że ma w głowie wyłącznie pomroczość i pustkę. Całkowitą, absolutną, jedynowładczą i wszystkożerną. Istną prze-pustkę, która go od przepustki do świata kreatorów, co własne tworzą światy, skutecznie oddala.

I już się chciał poddać, jak zawsze. Już obmyślał, by zwinąć żagiel, podkulić ogon, wywiesić flagę i gdzie pieprz spieprzyć, gdy dotarło do niego, że nawet Bóg jest w podobnych momentach diabelsko samotny. Albowiem najtrudniej (czego może nie rozumieć byle idiota, ale Bóg z pewnością to wie) jest zacząć świat tworzyć. Potem już się on tworzy sam, lepiej czy gorzej. Aliści zawsze najważniejsza jest pierwsza myśl, pierwszy impuls, który uruchomi życie. I bywa, że nawet Bóg musi na niego czekać miliardy lat.

To pomyślawszy, uświadomił sobie, że nie ma aż tyle czasu.

Wszelako wcale się tym nie przejął, przeciwnie. Poczul wypełniający go od środka spokój, a potem jakaś nieprzeparata siła kazała mu zerknąć w stronę okna. I w jego czworokącie - niczym w lupie kamery filmowej - ujrzał martwe drzewo, które znalazł ongiś na wysypisku śmieci, by potem - wiedziony niepojętym dla siebie imperatywem - zasadzić je w ogrodzie.

Uśmiechało się teraz do niego.

Bez wątpienia się uśmiechało.

Więc cóż mógł zrobić? Zaczął tak, jak zacząć musiał.

Cynowy książę, czyli inżynier robi kino

- Na początku było drzewo...

- Liściaste czy iglaste? - pyta Becia Kąklusz i drapie się w nos.

- Genealogiczne - odpowiada łagodnie inżynier Rawa.
Becia Kąklusz wybałusza oczy.

- Jakie?

Anita Bułas łypie na nią krzywo.

- No, z praszczurami, przeceno! Każda księżniczka drzewo takie posiada ma!

Bystra i śliczna - myśli inżynier Rawa. I uśmiecha się do niej najpromiennie, jak potrafi, mówiąc:

- Akurat powyższe nie do owej księżniczki, lecz księcia należało.

Słyszając o księciu, boska ekspedientka z Liwjatana aż się zachłystuje powietrzem. Jak mała dziewczynka, co rozpakowała już wszystkie prezenty gwiazdkowe i teraz nie wie, na który pa-trzeć. Szepcze.

- Księcia jakiego?

- Cynowego. Bohatera głównego.

Głos ma Sebastian Rawa zadziwiająco zwyczajny. Można by pomyśleć, że nic innego w życiu nie robi, tylko od czterdziestu lat regularnie oprowadza wycieczki po własnej głowie.

Za to Adaś sprawia wrażenie, jakby jego szczeka podlegała silniejszej grawitacji niż reszta ciała. I choć ciągiem milczy, to jego oczy pytają o wszystko: od łocdefak! do adresu dilera owego szurum-burum, które jego najlepszy przyjaciel zaczął niechybnie ćpać.

Również Anita pragnie, by rozwiano kilka jej znaków zapy-tania.

- Czemu że Cynowego? - docieka, przechylając główkę jak kotek psotek.

Inżynier Rawa wzrusza ramionami, bo przecież nie ma w tym najmniejszej wręcz tajemnicy. Oznajmia:

- Nazwisko miał takie przydomek.

Zwoje mózgowie żółciostockiej lolity napinają się, aż fur-czy.

- Po praszczurach tych wszak?

Sebastian Rawa docenia szybkość jej intelektualnej reakcji. Wszelako - jakby naprawdę robił od dawna w kinematografii! - przenosi niewiadomą o level wyżej. Czyni tak, bo intuicyjnie czuje, iż nie byłoby dobrze, by się widz we wszystkim zbyt szybko połapał. Dlatego też meandruje intrygą, mówiąc:

- Tego Cynowy Książę nie wiedział. Gdyż jego osobiste drzewo genealogiczne, na którym, jak dobrze wszyscy wiemy, prastarym zwyczajem dziadowie i pradziadowie na podobieństwo liści wiszą, pozostawało, niestety, całkiem łyse.

W tym momencie doświadczonemu filmowcowi powinno się zrodzić mnóstwo pytań. Dlaczego łyse, skoro wszystkie inne drzewa genealogiczne świata miały liście? Czy za przyczyną kłątwy? A może choroby? Lub pstrego chaosu wszechświata? I cóż to właściwie oznacza dla głównego bohatera? Ze jest wybrańcem? Pechowcem? Zabawką w rękach bogów?

Jednakże Sebastian Rawa ani trochę nie dręczył się podobnymi dylematami. I pewno by się zdziwił, że ktoś w ogóle mógłby je mieć. Wcale a wcale ich nie widział, choć przecież - co dobrze wiemy - były integralnie wpisane w jego opowieść.

Po prostu: powiedział o łysem drzewie, bo było łyse.

A że przy okazji uruchomił tę część struktury narracyjnej filmu, którą mądrzy ludzie kina określają jako Zew Przygody? Cóż go to mogło obchodzić. Ważne, że zadziałało.

Nie wierzycie, że zadziałało?

To spójrzcie na lisią twarz Beci Kąklusz, przez którą właśnie przechodzi skurcz bojaźni i drżenia.

- Całkiem łyse? - krzyczy bileterka z Cudu nad Pisłą. - Ojej!

I łapie się z emocji za usta, a Sebastian Rawa robi minę, że za momencik będzie jeszcze straszniej. A potem rusza z dalszym bajaniem, nie mając absolutnie żadnej świadomości, iż zarysowuje w tejże chwili główny problem swojego protagonisty, czyli potrzebę samoakceptacji. A czyni to, mówiąc tak:

- Skutkiem łysości swojego drzewa Cynowy Książę nie posiadał świadomego pojęcia, skąd się na świecie wziął był. I boleścią przez to był targan...

Na te słowa, dość zaskakujące w ustach specjalisty od problemu miejskich śmieci, mięsiste wargi jego najlepszego kumpla zmieniają ze zdumienia kolor z wątrobiany na czerwony mak, co pił pokrajską krew. I skołowaciały Adaś - któremu do tej pory się wydawało, że zna swojego Sebę-Sebusia-Sebuchnę na wylot! - chce teraz zapytać przyjaciela o pierdyliard rzeczy naraz. Wszelako milczy, bo ciągle nie może dźwignąć szczęki z podłogi.

Pyta za to - coraz obficie zasysana w jądro intrygi - Anita Bułas:

- Był czyżby sierotą księżę ów?

Inżynier odpowiada szybko:

- Tak.

I równie szybko koryguje:

- Nie.

- To tak czy nie, bo się gubię! - denerwuje się Becia Kąklusz.

Widzicie? Już połknęła haczyk Zewu Przygody. Chciałaby nawet tupnąć nogą dla rozładowania napięcia, ale się lęka.

Tymczasem Sebastian Rawa doprecyzowuje:

- Nie. Cynowy Księżę nie był sierotą.

W jego głosie dźwięczy stalowa pewność.

- Albowiem żonę miał - dodaje po chwili.

Powtórzmy po raz kolejny: inżynier Rawa nie ma zielonego pojęcia o teorii filmu, bo jest pracownikiem Oficjum Gospodarki Odpadami Komunalnymi. Skąd zatem miałyby wiedzieć, że właśnie w głowach odbiorców uruchomił pierwszy punkt zwrotny? A jednak uruchomił.

Co to jest punkt zwrotny, pytacie?

To takie miejsce w filmie, które już nie pozwala bohaterowi zawrócić z obranej drogi. Sebastian Rawa, tak jak wy, nigdy o nim nie słyszał. W jego przypadku to zrozumiałe, bo inżynier nie lubi chodzić do kina (drogo i śmierdzi), a w telewizji zawsze wybiera programy o zwierzętach i pandemiach. Tym bardziej jednak zasługuje na najwyższy szacunek, że w chwili, gdy jął ściemniać swoje dyrdymały o Cynowym Księżu, gdy spróbował wymyślić

coś, czego nie ma, gdy zaczął - nie wstydzmy się tego słowa! - tworzyć, artystyczna intuicja, o którą się nigdy nie podejrzewał, podpowiedziała mu, że pierwszy punkt zwrotny, czyli zabieg dramaturgiczny w stylu aż tu nagle!, musi wywołać w odbiorcy należyłą reakcję.

I nie pomylił się! Bo Anita Bułas, łapiąc się teraz za głowę, krzyczy z wielkim przejęciem:

- Żonę miał? Książę?

Widzicie? Dobrze wymyślony punkt zwrotny zawsze szarpnie widzom jak rekin.

Wszelako warto go po chwili czymś delikatnym ułagodzić. Choćby i po to, by odbiorca poczuł się jak na emocjonalnym rollercoasterze. Rozumiecie, ciągła zmienność. Bo widz niczego nie pragnie bardziej, niż by nim nieustannie telepano.

Nie wiadomo skąd, ale inżynier Rawa to wie. Dlatego mówi teraz:

- Winy w tym Cynowego Księcia nie szukaj, prześliczna Anito, albowiem taki się był, biedaczyna, urodził...

A jego głos jest umęczony od wiekuistej wiedzy o wszechświecie.

Dla wielu widzów taki zabieg zupełnie wystarczy. Ale Anita - miast się wzruszyć - marszczy gniewnie czoło i furczy:

- Żonaty się urodził?

Widać, że zakiełkowała w niej nieufność. Owszem, to pewien kłopot, atoli doświadczony filmowiec nie powinien z tego powodu wpadać w panikę. Całkiem to bowiem naturalna reakcja i dotyczy wielu widzów na całym świecie, którzy podejrzewają, że są robieni w chuja. Największym błędem jest się w takich okolicznościach przed nimi tłumaczyć. Bo w tej fazie filmu najlepiej to po prostu olać i przeskoczyć byle jakim mykiem z kapelusza wyjętym.

Sebastian Rawa czuje to w kościach doskonale, więc przeskakuje:

- Zły to czar i zaklęcie sprawiły, że od powicia żonę miał. Smoczycę.

Proste, nie? I zupełnie wystarczy, bo resztę Anita dopowiada sobie już sama.

- Wiedźmy tu jakiejś wyczuwam obecność!

I łypie nieprzychylnie w stronę Beci Kąklusz.

Na te słowa bileterka z Cudu nad Pisłą od razu zaciska palce w pięści.

- O, nie!

I trzęsie się w gniewie.

- Wiedźmę grać zgłaszam sprzeciw!

A gdy po chwili dopada do Adasia, w jej oczach skomle już stadko osieroconych marzeń.

- Księżniczkę mi przyrzeczono!

Ze złością kąsa Adasia palcem w pierś, ów zaś - w obawie, iż mu Becia ze zgryzoty i podpurwienia jagody panieństwa nie użyczy - szast-prast blednie i krzyczy:

- Ale gdyż wiedźma...! Gdyż wiedźma ale...!

Wszelako jak gwałtownie zaczął, tak gwałtownie i wędnie, albowiem ni cholery nie wie, co miałby rzec dalej. Oj, nie jest ci łatwo wymyślać światy, choć się niejednemu tumanowi w durnej arogancji zgoła inaczej zdaje!

Dlategoż łypie aktualnie Adaś na Sebastiana Rawę i rozszerzonymi źrenicami telefon do przyjaciela wykręcając, o łaskę i zmiłowanie prosi. Ów jednak niewzruszenie stoi jak skała, jak sumienia wyrzut, jak sami wiecie co.

Cóż mi zatem czynić, biednemu?! - popłakuje więc nad sobą właściciel wypożyczalni aut ślubnych, trwożąc się, iż pewna, jak dotąd, wizja wygrzmocenia lisiczki z Cudu na Pisłą odjeżdża bez pożegnania.

Dyć samemu trza coś wypicować! - konkluduje Adaś i łapskami młynki wykręca, w nadziei, iż dopomoże to zbrylonej wyobraźni. A kiedy czuje, że jest gotów, zaczyna:

- Ta wiedźma, o której już wspomnieliśmy... Ta fajna, prze-fajna i w ogóle taka... purde... że sam nie wiem jak fajna wiedźma, to ona...

I znowu milknie, bo podle mu się to wymyślanie kuternoży i klapździkuje. Więc najchętniej by to w kął pizdnał i psu w dupę wraził, wszelako nie potrafi - do purwy burej! - albowiem jego filut wewnątrzgaciowy ciągle ma jeszcze nadzieję wbić się u Beci na hecne bawim-bawim.

Skreca się więc i wije niepewny posiadacz filuta (a może raczej filuta sługa i podnózek?), aż nareszcie - eureką niskiej klasy w łeb trafiony! - wyjękuje:

- Bo wiedźma też jest księżniczką!

To rzekłszy, szczyrzy się od ucha go ucha, kontent, iż wybrnął chwacko z pułapki. O, naiwny!

Bo oto Becia zadaje pytanie:

- A jak to wogólnieź możliwe że?

I już spurwysyn stres wyskrobuje mu uśmiech z twarzy, a w jego miejsce zatrudnia sine przerażenie. Cóż więc robić? Biedny Adaś apiać zezuje na inżyniera i motylimi ruchami powiek esoe-suje o pomoc. Niestety, Sebastian Rawa milczy, jak milczał, przeto jego najlepszy przyjaciel pochyla łeb i prosi:

- Jak to możliwe, zapytujemy kornie? Wyjaw nam, Mistrzu!

Dopiero na takie otwórz-się-sezamie! inżynier ożywa. I drapiąc się w ucho, mówi zwyczajniusieńko, jakby najoczywistszą oczywistość obwieszczając:

- Gdyż wiedźma siostrą jest księcia rodzoną. A siostra księcia księżniczką wszak zwana.

Uff, i po krzyku, purwa!

Adaś aż klaszcze w dłonie i gardłuje:

- Definitywnie! Definitywnie tak!

Jednocześnie patrzy na najlepszego przyjaciela z prawdziwym podziwem. Ho-ho! Toż z ciebie istny figlanc i zwodzizaczek, druhu mój! - myśli. I pragnąc, jak to się wykwinie mówić, podążyć za ciosem spraw i zagadnień, ponownie korzy głowę, zachęcając:

- Co dalej, mówże nam, Mistrzu!

Atoli Sebastian Rawa nie odpowiada, pochyla jeno głowę i przymyka powieki. W tym czasie zaś wierny ludek wpatruje się w

niego z napięciem. Jest jak posąg człowieka na posągu świata! - myśli Adaś. Jak góra z jakiegoś poematu! - dostrzega jego ogrom Anita. Zasnął? - wystrasza się Becia.

Nie, nie zasnął, ty durna pało! Wędrował po wewnętrznych kosmosach tylko! A teraz już otwiera oczy, w nich zaś - patrzcie, wszyscy! - jarzą się Poezja i Dobroć, więcej nic.

I rzecze:

- Więc ubolewał nad tym biedny książę, że w czarnej więzy, dla Boga wzniesionej, wiedźma, co siostrą była mu rodzoną, cześć szatanowi oddaje i żabom. Wszelako bulgot życia nie ustawał, Smoczyca księciu córkę urodziła, a ta, żarłoczna, rękę mu odgryzła. Szczęściem odrosła. Teściowie zaś jego, Smok i Smokowa, śmiali się wszetecznie, w łóżnicy grzesznej chuć zaspokajając, bo Smok był jurny niczym stado dzików.

Znowu milknie, bo takiz to i los poetów. Za to krzyczy Anita, choć nie na pełen ryj, czyli po chamsku, ale głosem przeciągłym i modulowanym, jak to w dawnych teatrach aktorki już nieżyjące czyniły:

- No smook, że szooook! Aż mię gęęesia wszęęędzie taaak...!

Takoż i Adaś Rembelski na środek sceny się wpycha i z emocji drząc, łapsko unosi.

- O rycerzu powiedzzeli!

- Którymżeli? - pyta wieszcz Sebastian.

Jest kapkę skonfundowany, bo właśnie posiadał był na białej kredowej skale nad morzem, czytając Szekspira, a tu mu tak obcesowo przerwano, purwa mać!

- No jakże, którymżeli! - dziwi się Adaś. - O tymżeli co trzeba! O druhu jego najwierniejszym z wiernych!

I nuże pomrukuje, a w pierś się własną tłucze.

- A, o tymżeli...!

Inżynier się uśmiecha i zamyka oczy. Teraz siedzi w ładynskim parku pod drzewem, wokoło zielone łąki, dalej sadzawka ocieniona drzewami, trzody *[trzody? - co ty tu odpierdalas, Mózgu, dziwi się, ale Mózg mu wyjaśnia, żeby się odpieprzył, bo*

wieszczych wizji się nie wybiera, same przychodzą i chuj!], a dookoła parku pałace i dwie wieże Istminsteru czy czegoś tam.

I mówi, nie mając bladego pojęcia, że właśnie wprowadza do swojego filmu niezwykle ważną postać, zwaną przez teoretyków kina Pomocnikiem, Mentorem lub Mądrym Starcem.

- Żył też na zamku rycerz, dzielny wielce, co księciu sprzyjał, zatem tak powiada: Smoczyca pragnie twojej śmierci, Panie! Umrzesz w męczarniach, nim wiosna czterdziesta skroń ci oszroni...

- Czterdziesta?

Anita się krzywi, jakby połknęła langustę.

- Takież stary on?!

Inżynier Rawa nie reaguje ani trochę na tę nieprzyjemną uwagę, albowiem stoi teraz, z założonymi na piersiach rękami, na najwyższej igle góry Mąblank. I co ciekawe, w ogóle nie jest mu zimno.

Za to chamskiemu przytykowi do ich wieku odpór dać postanawia jego najlepszy przyjaciel:

- Nie stary, jeno młody! Jak i druh jego rycerz! Z powodu mianowicie, iż w owej krainie czas się na pół dzieli, obaj są ciągle piękni i dwudziestoletni! A w ogóle, cholera jasna, czy już tak cięgiem będzie naszemu wspaniałemu arcywajdzie przerywane tu?!

Co wykrzyczawszy, spodełbnie się wgapia w Anitę. A tej z miejsca w pięty idzie, więc się szast-prast sromięźliwie czerwieni i w pierś kształtną w geście pokajania uderza. Potem zaś, zbliżywszy się do największego wieszczka filmowego w Pokraju, ujmuje go za rękę - o Boże, jakże lodowatą! - pytając cicho:

- A księżniczka? Jaki jej los w udziale?

Inżynier Rawa otwiera oczy i nie bez przyjemności dostrzega obok siebie na Mąblanku Czarną Lilię z Żółciostoku. I uznaje, że skoro już tak wysoko wlaźła, nie można jej tedy zostawiać bez odpowiedzi.

Rzecz zatem tak:

- Krzyknie księżniczka: książę, niechaj cię zagarnę! Niech cię ud mych igraszka obejmie rozkwitła, a do nieba powiedzie ciało moje czarne, by w Egipcie rozkoszy nurzać się i tytlać! Gdy mi rzucasz wzrok dziki, padam, słabnę, mdleję, jak na róży przesłodkiej mrą złote motyle! A gdy męskość swą zbliżasz, zaraz wilgotnieję! I ozywam na długą naszych puknięć chwilę!

To wypowiedziawszy, wgapia się w Czarną Lilię, czując, jak mu żyła poprężna w podpepczu hałaburdę czyni.

I podobnie Anicie się już w damskim tabernakulum cukrzy, stąd świdruje go dziewczyna okiem jak karbunkuł łyskliwym i pyta:

- A po czymże księżniczka kochanka ustali?
- Gdyż na krawędzi śmierci on stoi!
- I onaż go uratuje?
- Calem swem ciałem. I duszą.

I dalej się w siebie wślepiają. Anita w gnat, a inżynier na wrota.

Nie podoba się to Beci Kąklusz, która ciężko znosi narracyjne osierocenie ze strony słynnego reżysera i z żalu tudzież irytacji fizjonomię lisią wykrzywia. Z orlą bystrością wylapuje to właściciel wypożyczalni, cadillaca i diastemy, o rozwinięcie wątku dla młodszego kasjera z Cudu nad Piśłą słusznie się upominając:

- A druga?
- Co druga?

Bodajby choć półypnął na Adasia inżynier, to nie zadawałby tak głupich pytań, wszak jego przyjaciel szyję w kierunku Beci Kąklusz cyrkowo wręcz arcywygina. Ale i nie ćwierćtypnie nawet, gdyż ciągle omaszcza wzrokiem Anitę.

Musi go zatem Adaś docisnąć kolanem repetycji:

- Księżniczka druga, no! Kogóż ona pokocha...?
- Aaaa, druga! - stuka się w łeb inżynier.

I z miejsca picuje jak najęty:

- Rycerza, co życie ratuje.
- A tegoż jak rozpozna?

- Bo biały będzie ten rycerz. Białyrycerz po prostu.

- W sensie że skóra? - próbuje uściślić Adaś.

- Ogólnie że! Biały i już!

Inżynier się rozsierdzą, bo go ciągle na tym Mąblanku nachodzą i dupę zawracają, a on - jak każdy artysta! - chciałby mieć choć trochę spokoju.

- Toć jak mnie z wątku nieustannie zrzucać będziecie, nigdy wam tego filmu nie skończę przenigdy! Więc mogeż zruszyć lawiny?!

Przekrzykują się jedno przez drugie:

- Tak! Tak! Tak!

Więc im zrusza, ale tak bardziej na odwal się, żeby już mu dali spokój. I w tych lawinach narracji się okazało, że Cynowy Książę został otruty przez okrutną Smoczycę. Albo murbią, albo kronlpajtem, albo langustą, albo jądrami małp Dżoko, dokładnie nie wiadomo. W każdym razie czymś śmiertelnym. Więc wyruszył wraz ze swym dzielnym druhem Białyrycerzem na poszukiwanie jedyne go w świecie antidotum. A był nim rosnący hen na końcu świata kwiat, Czarną Lilią zwany. Wszelako nie wystarczyło w trakcie owej awanturniczej wędrówki zmierzyć się z miliardem przeciwieństw i wrażeń sił. I nie wystarczyło Czarnej Lilii na mecie zwycięsko zerwać. Bo by czar uzdrowienia zadziałał, musi ona dobrowolnie rozchylić płatki i wpuścić Cynowego Księcia do wnętrza swego życiodajnego kielicha.

Wszelako czy to zrobi? Czy uratuje i jego, i siebie, bo wszakże i ona w kwiat przez złe moce jest podle zaklęta? Oraz czy aby nie powrócą Smokowie niedobrzy? I co dalej z Białyrycerzem oraz Księżniczkwiedźmą?

Zasiawszy te i inne wątpliwości w umysłach trójki swoich widzów, zlął inżynier z igły Mąblanku, wsiadł na chmurę i odleciał.

Przygoda siódma, czyli a Jednak się kręci!

Adasiu, idź do hotelu! Anita Bułas przywołuje chochoły. Co kryją konserwy z „Saperskim przysmakiem”? Finta wewnątrz finty w fencie. Spóźnione karty odchodzą z niczym. Anna Glass, czyli kobieta ze snu. Wszystkie dramaty inżyniera Rawy. Smutne skutki hazardu. Paralizujący telefon z hotelu Patria

Wielka improwizacja inżyniera Rawy zrobiła na słuchających wrażenie piramidalne. Tak dźwięcznie nikt jeszcze nigdy nie poruszył w nich najcieńszych strun wrażliwości, o które się nawet dotąd nie podejrzewali.

Anita Bułas dygotała, myśląc o księżniczce, której zadaniem było uratować kochanka i - jak się właśnie okazało! - nie miało to być jakieś tam hop-siup różowe i lukrowane miziu-miziu, o nie! Wszak wieszcz powiedział, że „na krawędzi śmierci on stoi” i byłoby nietaktem wobec Wielkiej Sztuki to bagatelizować. Zwłaszcza że wieszcz (tak w każdym razie podpowiadała Anicie jej kobieca intuicja) wieszczyl o sobie, więc chyba powinien być dobrze poinformowany!

Łypnęła na niego dyskretnie. Istotnie, nie wyglądał najlepiej. Błady, z rozpalonymi oczami i świszczący, sprawiał wrażenie, jakby się już w nim całkiem fortepian o bruk rozpurwił.

Tylko mi, cieniu, za szybko nie odjeżdżaj! - pomyślała i dyskretnie zebrawszy łzę, co jej się z twarzy oderwała, położyła wieszczowi rękę na ramieniu. Ów drgnął, ale na nią nie spojrzął, trwał jeno z powieką nieruchomą i dłońmi złożonymi w krzyż, jakby dogasając w płomieniu niewyjaśnień.

Również Becia Kąklusz pozostawała w wewnętrznej drżączce, a to dlatego, że z nagłą zamruwała do niej - wychynawszy z niebytu i zapomnienia! - dziecięca wyliczanka:

Która więcej malin zbierze, ene due rikefake, tę za żonę pan wybierz, torba borba usme smake, siostra twoja rwie maliny, deus mens kosmateus, a ty? a ty? nóż twój siny i morele baks!

I raczej przestraszył ją ów wierszyk, niż ucieszył, albowiem brzmiał dużo posepniej niż wtedy, gdy za jego pomocą rozstrzygała z koleżankami z podwórka wszystkie kontrowersje i swary.

Poza tym głowę by dała, że w tej rymowance nie było nic o nożu, purwa! I nawet próbowała Becia Kąklusz kopać pod własnym mózgiem wilcze doły nieufności, ów jednak odpowiedział zdecydowanie, by spierdała na drzewo, bo on i tak - od czasu gdy się najęła do bezmyślnego sprzedawania biletów na pływalnię! - nie ma z nią łatwo. I dodał, że będzie dla nich obojga znacznie lepiej, kiedy Becia ruszy łbem, w jaki sposób najsprawniej rozpoznać owego cholernego białorycerza, który - jak głosiła przepowiednia wieszczka - „ratuje życie”.

Z kolei Adaś cierpiał obecnie na ostro go ćmiącą schizomysłność.

Oto z jednej strony miał pewność niemal całkowitą, iż jego najlepszy przyjaciel został podmieniony przez kosmitów, bo tak się ostatnio zaczął zachowywać, jakby wszedł w niego zmiennokształtny z serialu sci-fi albo - co było jeszcze gorsze! - reptilianin z gwiazdy Thuban w konstelacji Smoka. I myślał Adaś o inżynierze następująco: to praktycznie niemożliwe, by ten sympatyczny, ale niezdolny do samodzielnego działania przegryw, który się otorbił w samym środku mojego życia niczym wchłonięty bliźniak, dostał nagle takiego szumimózgu i tak imponująco skoguciał! Wszak tak się w przyrodzie nie dzieje!

Wszelako druga składowa wspomnianego pęknięcia jawiła się, niestety, jeszcze przykrzejszą, albowiem miodność wyobraźni Sebastiana Rawy rozbudziła we właścicielu wypożyczalni aut ślubnych apetyt tak niedźwiedzi, iż stało się dla niego nabrzmiące oczywiste, że jeśli natychmiast - szparko, śmigle, galopem i jak z bicza strzelił! - nie zadekuje swojego oberfiluta gdzieś między ustami a brzegiem pucharu, to mu się ów zaskorupi, strędownaci i melancholią porośnie.

Tym bardziej więc był dyskontent, gdy go inżynier Rawa wyciągnął do pokoju swojej córki pod pretekstem szczegółowych

ustaleń reżyserskich i głosem naznaczonym hormonalnym mesjanizmem, ozwał się doń w te słowa:

- Czuję, że wybrany i Anita swego zmysłowego cielca pragnie mi złożyć w ofierze! Dlatego eksmitujesz mi się, Adaś, z lokalu, i to w szybkich abugach! Aha, i flamę nadprogramową zabierzesz też!

Twarz właściciela cadillaca oraz oberfiluta w sekundę przyoblekła się neurastenicznym kirem.

- Seba, błagam! Toż i mnie hultaj w spodniach kosę na sztorc stawia!

- Odkisnij, przyjacielu, o wszystkim pomyślałem! - srebrnodźwięczny głos inżyniera rozperlił się w powietrzu. - Do hotelu Patria się udasz, gdzie mój pokój, opłacony, na ciebie otworem czeka. Tamże swą donżuanerię możesz przekosmacać w lubieżne kłębowisko do upadłego. A przy okazji rzeczy moje i Anity weźmiesz.

- Chytrze - uśmiechnął się szeroko Adaś.

- Aha, i jako Pollański się przedstawisz.

- Bardzo chytrze - uśmiechnął się jeszcze szerzej Adaś.

I już-już słyszał nad głową srebrne dzwony, gdy inżynier Rawa przyoblekł je niespodzianie śniedzią, farfoclem i rdzą.

- Aha, ale najpierw onego gada szczurzego wymienisz na białego.

- A szary nie styknie? - Adaś wykrzywił się znowu. - Bo szary bynajmniej jest...

Sebastian Rawa się zachnął.

- No chyba nie we w królestwie, o którym my tu w pocie i znoju epikę czynimy! Bo u nas czemu ma być biały szczur, hę?

Jego najlepszy przyjaciel zmarszczył czoło.

- Bo to praszczur?!

- Nie, idioto! - najeżył się inżynier. - Bo szczur mej córki białym był! - Zamilkł i po chwili skorygował: - Białą w sensie. I taką niech pozostanie, okej?

Adaś pokiwał z uznaniem głową.

- Chytrze.

I w tuzin pacierzy później, zabrawszy ze sobą szcurzą podróbę oraz lisią mordę, opuścił dom przyjaciela, by w hotelu Patria poszukać szczytki szczęścia.

A ledwo się za nim drzwi zamknęły, rozgorączkowany inżynier Rawa pognał w dyrdy do przerobionej na studio filmowe jadalni i z najseksowniejszą z liwjatanowych ekspedientek w całym kosmosie odbył tam dramat następujący:

(AKT I, SCENA 1):

ANITA

No, szął ten film nasz, Sebi Sebastianie!

Sama już nie wiem, jak ująć...

INŻYNIER RAWA

Ustami?

ANITA

Toż pragnę tego!

INŻYNIER RAWA

Z ust uczyń pożytek,

Anito, któraś między Anitami

najanitniejsza! I której cny owoc

wysysać pragnę od dziś do premiery!

ANITA

Oj, dana, dana, chcę być przez cię ssana,

bo tyś jest dla mnie wzorem don Juana i reżysera!

INŻYNIER RAWA

Zatem niech ociera o ciało moje swe ciało

Anita!

ANITA

Z wizji twych, Sebi, niech się spełni i ta.
Takeś ją gracko wyłuszczył, mospanie,
że żar poczułam, tu gdzie pierś faluje
i gdzie tajemnic wszelkich jest początek
- w zatoce ud mych. Tam mi motyl bije
skrzydełkiem trwożnem... Chyc go więc!

INŻYNIER RAWA

Anito,
cóż ty wyczyniasz z moją konduita!
Czuję napięcia nie do ogarnięcia!

ANITA

Gdy szept twój szepczesz, coś mi klęknąć każe
i warg, co księcia pragną od dziecięcia,
żagiew gorącą ofiarować w darze.

INŻYNIER RAWA

Więc ugość gości, którym złe wciórności
i których piekło dręczy, którym źle...

ANITA

Skoro nalegasz, Sebi Sebastianie,
niechaj się wola twego nieba stanie!

INŻYNIER RAWA

Z wola się nieba zawsze zgadzać trzeba!

ANITA

Trafnieś to ujął...

INŻYNIER RAWA

Bywaj, dziewczę, bywaj!
Chochola mego, niecnotę przyzywaj!

ANITA

O, przyjdźcie, przyjdźcie wszystkie z piekła duchy!
Na mego ciała zapraszam poduchy!

INŻYNIER RAWA

Tyś jest jak jaśmin! Tyś jest jak jagoda!

ANITA

Nie przeczę, zgoda!

INŻYNIER RAWA

Bóg niech rękę poda!

ANITA

I cóż to tera, panie reżyserzu?

INŻYNIER RAWA

Łelkam in chruśniak! Zagość w mym alkierzu!

Anita pochyla się. Na twarzy Inżyniera Rawy maluje się błogostan. Niespodziewanie słycać przeraźliwy dzwonek do drzwi. Anita zrywa się z kolan. Jest wściekła.

ANITA

Purwa jego sucza maść! Tak się nie da Sztuki uprawiać!
Cós z tym poczyń, Książę?!

INŻYNIER RAWA

Szczurami bym poszczuł, ale były wyszły! Parda, że okiem rzucę na przybysza!

Inżynier Rawa wysuwa się z objęć Anity i wybiega z jadalni. Dopadłszy drzwi, wygląda przez wizjer. To, co widzi - nie wiemy co! - budzi jego panikę.

INŻYNIER RAWA

(do siebie - na stronie)

O, ja nieszczęsny, do po trzykroć purwy!

Przez chwilę miota się wte i wewte. Bardziej ślapstikowo niż dramatycznie, ale w końcu takie są tragedie, jakie bywają rzeczpospolite, co je wystawiają (czy jakoś tak).

Finalnie decyduje się nie otwierać i choć dzwonek napurwia bez chwili wytchnienia, wraca do jadalni. Ma już zupełnie inną minę niż przed wyjściem. Łapie Anitę za rękę i wyciąga ją z jadalni do sypialni. Tam w panice i pośpiechu otwiera szafę.

INŻYNIER RAWA

Do szafy! Do szafy przepadnij!

ANITA

Gdyż?

INŻYNIER RAWA

Paparazzi gdyż! Hieny prasowe, zysk z plotek czerpiące!
Nie mogą cię tu zobaczyć zarejestrować!

ANITA

Toć może wywiad mogłabym ofiarować światu na początek?

INŻYNIER RAWA

Jest czas wywiadów i czas niewywiadów! Do szafy mówię raz!

Nie bacząc na jej protesty, INŻYNIER RAWA wpycha ANITĘ do szafy, a potem wybiega, by otworzyć drzwi. Ciąg dalszy owego dramatu, oczywista, nastąpi, tymczasem jednak w innej części galaktyki i kilka godzin wcześniej...

...najpierw pojawił się stukot trzewików, zrazu cichy, z każdą sekundą jednak narastający. A po nim cień, co w takt nerwowych kroków zdawał się potężnieć, wręcz pulchnieć. Był w owym pośpiechu niepokój ambarasujący, zgoła groźny, więc wszyscy święci pańscy przerwali odwieczną kontemplację i zaczęli łytać z przykurzonych obrazów, któż im ich olejny bezruch bezcześci. Okazało się, że to siostra Hiacynta, preceptorka korpusu kadetów imienia Świętego Longina z Cezarei.

Pobrzękując wiszącymi u pasa kluczami i różańcem, zziąjana mniszka pędziła wskroś korytarzy Domu Orląt na łeb, na szyję, aż dopadłszy drzwi celi przełożonej generalnej Sierocińca Narodowego, jęła w nie walić z całych sił.

Dłuższą chwilę wzięło, nim siostra Irena otwarła.

W satynowej piżamie i z platynowymi lokami, na co dzień skrzętnie skrywanymi pod zakonnym kornetem, przypominała siebie teraz w niewielkim stopniu.

- Przed gwiazdą zaranną, szatanie, budzisz? - ryknęła. - Na amen cię z rozumu obrało?

- Bożydar...! - wystrzeliła siostra Hiacynta, próbując uspokoić wzburzony oddech. - Bożydar Bobro...!

Na wspomnienie syna ministra policji siostra Irena wykrzywiła się z odrazą.

- A co z tym debilem znowu?

- Nie ma go w dormitorium! Znikł! - jęknęła mniszka i z lękiem popatrzyła na przeoryszkę.

Siostra Irena zagryzła wargi.

- Sakra jego mać! - zaklęła i rozejrzała się konspiracyjnie. - Do celi raz-raz!

Lokum przełożonej generalnej Domu Orląt Sierocińca Narodowego tytułowane było celą jedynie z racji przywiązania zakonnic do wielowiekowej tradycji nazewniczej w ich zgromadzeniu. W rzeczywistości był to bowiem kilkusetmetrowy apartament z gotyckim sklepieniem krzyżowo-żebrowym oraz wyposażeniem,

które w osobliwy sposób łączyło wykwint rokoko ze smakiem gminnego chujumuju.

W samym centrum pobudowano kącik kąpielowy z wielką miedzianą wanną. Dawało to perwersyjnej przeoryszy sposobność do ciągłego powtarzania, iż dla Boga nie ma nic niemożliwego, łącznie ze zrobieniem kącika w środku. I że ona musi mieć po prostu taką wannę, ponieważ najważniejszym obowiązkiem dobrej mniszki jest żyć w czystości.

Kilkanaście metrów dalej, pod ścianą ozdobioną wielkim obrazem, na którym święta Łucja trzymała tackę ze swoimi oczami własnoręcznie wyjętymi, stało szerokie, zgoła niepokutne łóżko. Leżał w nim - zakrywszy się przed momentem kołdrą po samą szyję - podskarbnik regionalny Narcyz Barszcz.

- Rusz tyłek, obwiesiu, problem jest! - rzuciła do niego krótko siostra Irena, po czym siadła przy biurku i odpaliła maca.

Narcyz Barszcz ani drgnął. Od tylu lat był już związany z przełożoną Sierocińca Narodowego, a ciągle jeszcze nie mógł przywyknąć do zadziwiającej beztroski, którą ona i pozostałe mniszki objawiały w kwestii nieumartwiania ciał. Więc i teraz obecność siostry Hiacynty go mocno krępowała i choć młoda zakonnica zupełnie nie zwracała nań uwagi, kokosił się długo pod kołdrą, by wreszcie - odnalazłszy w zbałwanionej pościeli popieszczenie wieczorem porzucone gacie - wciągnąć je na znękany grzechem bezwstydu i dźwignąć się z łóżka.

Wreszcie, owinąwszy się szlafrokiem, przydreptał do biurka, a kiedy zerknął na ekran komputera, wszystko stało się dlań jasne.

Wiedział, że uczniowie Domu Orląt musieli obowiązkowo nosić gumowe bransoletki, w których zatopiono nadajniki. Dzięki nim można było nieustannie monitorować miejsce pobytu kadeków. Siostra Hiacynta poinformowała ich przed chwilą, że przed ucieczką Bożydar Bobro zdjął swoją bransoletkę i zostawił pod poduszką w dormitorium, dlatego trochę trwało, nim dostrzeżono jego nieobecność. Miał jednak niesforny ministrowicz - czego mu nie było wiadomo - jeszcze jeden mikroczip, zainstalowany w zę-

bie podczas obowiązkowego badania stomatologicznego, jakie uczniowie Sierocińca Narodowego musieli regularnie przechodzić.

Nadajniki ukryte w plombach dawały Sierocińcowi Narodowemu dodatkową kontrolę nad synami pokrajskich prominentów, do których, rzecz jasna, minister policji również się zaliczał. Oczywiście, Dom Orląt nie chwalił się przed rodzicami owymi ponadnormatywnymi zabezpieczeniami, pilnując dość mocno, by były wyciągane ze szczęk kadetów podczas ich ostatnich wizyt u szkolnych dentystów. Jednakże w ostatnich latach odstąpiono parę razy od tej procedury, dzięki czemu udało się pozyskać o niektórych absolwentach dane na tyle wrażliwe, iż można je było potem sprzedać z adekwatnie godziwym do niegodziwości całego procederu zyskiem.

Gapiąc się teraz w program penetrujący, który w komputerze siostry Ireny pokazywał plan Farszawy, a na nim pulsujący punkcik, którym był kadet Bożydar Bobro, podskarbnik regionalny Narcyz Barszcz przebudził się na dobre. Zwłaszcza gdy przełożona generalna powiększyła obraz na ekranie.

- Dyc to siedziba Konfraterni Wielkiego Pokraju! - zakrzyknęła siostra Hiacynta i wbiła zdziwiony wzrok w przeoryszkę.
- Cóż on tam robi, na Boga?!

- Se miga, purwa, nie widzisz? - zazgrzytała siostra Irena.

Była zła, bo właśnie do niej dotarło, że mleko się rozlało. I że to ledwie początek, albowiem, jak dobrze wiadomo, po rozlanym mleku zawsze leje się krew.

Tymczasem Narcyz Barszcz, uznawszy, że będzie znacznie lepiej, jeśli uda się młodą mniszkę pozostawić w średniowieczu nieświadomości, pochylił się nad nią i z miną pełną udawanego bólu wyjęczał:

- Karły go porwały.

Po czym ciężko opadł na krzesło.

Siostra Hiacynta wbiła w niego spojrzenie tyleż zaskoczone, co przerośnięte strachem.

- Po co? - spytała.

- Jak to po co? - wykrzywił się z ostentacją. - Na macę.

W oczach siostry Hiacynty rozbłysły tysięczne gwiazdozbiory przerażeń.

- A więc to prawda? - wymamrotała zbielełymi wargami.

W innych okolicznościach siostra Irena chętnie pociągnęła by tę polewkę - wszak przespurywysyńsko lubiła brechtać z ludzi! - aliści, jak mówi Xięga, wyznaczona jest godzina na wszystkie sprawy pod niebem i czas darcia łacha to jedno, a czas zwijania dupy to drugie.

Wszawy pokurcz ministra policji wybrał im, niestety, wariant numer dwa.

Dlatego właśnie przełożona generalna Domu Orląt założyła teraz ramię na ramię i prześwidrowała mniszkę okiem kobry, co przed wiekami zrobiła Kleopatrze pa, pa.

- Zniknij, nim cię upodłę, kobieto haremna! Jak mogłaś nie upilnować kadeta Bobro?! - wysyczała.

Preceptorka korpusu kadetów imienia Świętego Longina z Cezarei spurpurowiała, lecz nie śmiała odpowiedzieć ni słowem. Podniosła się tylko szybko z krzesła i w kornym pochyleniu jęła się wycofywać tyłem do drzwi.

Przeorysza obserwowała ją z ciągłym mrozem w zwężonych źrenicach.

- Stój! - krzyknęła.

Siostra Hiacynta znieruchomiała, nie prostując się.

- Karę musisz wymyślić dla siebie!

- Tak, matko przełożona - wyszeptała cicho mniszka.

- Która ma boleć!

- Tak, matko przełożona - wyszeptała mniszka jeszcze ciszej.

- A teraz precz!

W sekundę później siostry Hiacynty już w celi nie było.

- *Purvitas puwitatiss!* - zakłęła srodze przełożona generalna Domu Orląt Sierocińca Narodowego, gdy tylko zostali sami. - Przez tego sztrabancla dziedzielonego przyjdzie nam plan jak mi-

sterium misterny psu w dupę i do grobu złożyć! Musiał nas podejrzeć z puszkami, pomiot bagienny!

- Kapuś policyjny z ojca na syna wykapany! - poczerwieniał ze złości podskarbnik regionalny. - Trzeba go było nie tłuc!

- Trzeba go było zatłuc! - prychnęła siostra Irena. - Człek zawsze płaci za litość, którą mu dobro wewnętrzne podsunie!

Poderwała się z krzesła i zaczęła kołować po apartamencie, drapiąc się oburącz w głowę. Jakby chciała zmusić krew - która i tak w niej wrzała! - do jeszcze szybszego przepływu. Narcyz Barszcz nie spuszczał jej z oka. I dotarło do niego, że choć jego bogdanka chodzi w tę i z powrotem jak lwica, to wygląda bardziej na hienę. Co tam na hienę! Na matkę wszystkich hien! Prawdziwą królową sawanny!

Uśmiechnął się.

Bo taką podobała mu się najbardziej. I taką najbardziej kochał.

Jak dobrze nie mieć w niej wroga - pomyślał.

- Rach-ciach trza z piwnic szmal wyprowadzić! - przerwała jego rozmyślania siostra Irena. - Jak znam tego małpidrona skarłałego Krumpolca, to jeszcze tej nocy nas nawiedzi! Może-ć nawet jedzie!

- Nie wpuścimy go posrańca i już! - zaproponował.

- Toż byłby to kiks gruboskórny i eror! - zapiszczała szczerzo. - Ewidentnie go wpuścić musim!

- Ale...

- Nie aluj mi tu, do purwy! - usadziła go przełożona generalna. - Bo jeśli go nie wpuścim do sierocińca, z nakazem od Pierwszego Obywatela wróci po godzinie! A co gorsza, z tego kryminalisty Maczegewarowicza siepaczami i ekscesantami! Gdzież węż twój przebiegły się podział?!

W jej spojrzeniu podskarbnik Barszcz dostrzegł rozczarowanie. I zmieszał się, bo bez wątpienia miała rację.

Uznawszy zatem, iż najlepiej będzie się oddalić od wstydliwych kolein, które poczyniła na ścieżce dyskursu jego intelektualna niezbornosć, rzucił pospiesznie:

- Zupełnie nie rozumiem, czemu Pierwszy Obywatel tak je Krumpolcowi z ręki.

- Srał to teraz pies, Cyziu! - wykrzywiła lekceważąco wąskie usta. - Lepiej ruszże no głową, gdzie nasz grosz ciężko przyoszczędzony ukryć najlepiej!

- U brata twego? - wypalił bez zastanowienia.

Skrzywiła się jak po piołunie.

- Co jest dziś z tobą, człeku! Udarem cię pizło, na rozumie zbebliło? Toż ja rączego umysłu w tobie wypatruję jak kania dżdzu tudzież hudiniego intelektu, co nas wyplącze z łańcuchów, którymi nas karli pomiot popętał, a ty co? Niedorozwoja mi rekomendujesz i zakałę rodu Rawów? Toć moja matka powinna go zawczasu usunąć, na zasmradzanie przezeń świata nie zezwalając! Ale że ciemna była i niewykształcona, tedy dopuściła do życia owo znikome znamię człowieka!

To rzekłszy, opadła ciężko na krzesło i objęła się czule, bo nic jej tak dobrze na dysgust nie czyniło, jak gładkolicność atlasu, który ją przyoblekał.

Podskarbnik regionalny przycupnął u jej boku, ujął jej dłoń i ucałował z oddaniem.

- Iruś, rozważ to raz jeszcze, albowiem...

- Ani słowa więcej, Narcyzie! - wyrwała rękę z jego uścisku i przycisnęła nią pierś rozfalowaną. - Dognębiłeś mnie, dogrucho-tałeś, do szczeru dopiekleś, wręcz do fondytu!

Chciał ją przytulić, ale poderwała się gwałtownie.

- O bracie mym słyszeć nie chcę, kochany! To dupogłowiec i arcyidiota!

- I o to wszak nam chodzi! - zakrzyknął Narcyz Barszcz głosem rozwibrowanym do ochrypu. - Błogosławieni niech będą głupi i zimbecyleni, albowiem prawdy nigdy się nie domacają! Twego brata w rozumie minus, to nasz w fortelu plus! Nie wspomniawszy, że całkowity wasz bezkontakt rodzinny czyni go sezamem idealnym i czapką niewidką wprost!

Przyskoczył do niej z blaskiem w oku i roz hulaniem adrenaliny.

- Ireno, zaufaj mej przebiegłości! Wszak nikt puszek z forszą u nieznanego brata szukać nie będzie! A za dzień, dwa, jak wszystko przyschnie, odbierzemy od przyglupa co nasze i fru zdupcymy w edenu enigmę! - krzyczał w uniesieniu podskarbnik regionalny. - Czyż to nie brzmi lepiej niżli dekalog, trel ptaszęcia i darmowy netfliks?!

I nim zdołała odpowiedzieć, pociągnął ją ku sobie, odnajdując wargami jej ust tabernakulum. Przegięła się od razu niczym feretron na odpuście, a wizja rychłej zamiany habitu na pretaportery i otkutiry nadpaliła chutliwym płomieniem wibrujące jej w brzuchu motyle. Całą resztę domówiły ich splecione ciała.

Kopę pacierzy później meandrowali piwnicznymi korytarzami, powtarzając po raz ostatni najważniejsze punkty planu rantunkowego.

Ich samolot na Haiti miał wylecieć planowo za jedenaście dni, było już jednak jasne, że nie mają aż tyle czasu. Narcyz Barszcz uznał, że powinni koniecznie interweniować u szefa finansów Pokraju Eryka Sabadury, który miał nie gorsze wpływy niż Eligiusz Krumpolc, mógł więc ich wylot znacznie przyspieszyć. Za te wszystkie miliardy, przetransferowane przez nadskarbnika krajowego dzięki kreatywnej księgowości jego podskarbnika regionalnego, była to - zdaniem tego ostatniego - zapłata naprawdę niewielka.

Także i kwoty, którą chciał wywieźć z Pokraju, Narcyz Barszcz nie uważał za drastycznie wysoką: głupie sześćdziesiąt milionów euro uciulane w pocie i znoju wspólnie z siostrą Ireną podczas wielu lat ich ofiarnej pracy w Komisji Na Rzecz Zwrotu Majątków Kościelnych, przemianowanej dziś na Oficjum Sprawiedliwości Bożej. Przy kasie, którą z tej okazji przytulili biskupi i politycy, była to naprawdę suma przedszkolna.

Poznali się w owej komisji dwadzieścia lat wcześniej.

Przełożona generalna Domu Orłąt Sierocińca Narodowego była wówczas młodziutką zakonnicą, delegowaną do pomocy arcybiskupowi Zachariaszowi Sciekwie, który w rozmowach ze zwracającym majątki reżimem liberałów reprezentował pokrajski

Episkopat. Natomiast obecny podskarbnik regionalny (naonczas świeżo upieczony absolwent studiów ekonomicznych) towarzyszył ówczesnej minister skarbu Tekli Strupinek.

Ich miłość nie wybuchła zresztą wcale nagle. Rodziła się wręcz powoli, w bólach i wzajemnej nieufności, jak zawsze, gdy poryw zmysłów tłumiony jest przez regulaminowe obostrzenia żyć doczesnych i przyszłych. Śmiało można powiedzieć, że w przypadku Narcyza Barszcza i siostry Ireny splot kont poprzedził splot ciał, a miły ruczaj zmysłów dopełnił jedynie rwącą rzekę ich monetarnej jurności.

I trwali tak przy sobie latami, bez ostentacji i skromnie, przede wszystkim starając się nie kłuć innych w oczy opieką, którą Bóg nad nimi roztoczył. Chwilami bywało im z tego powodu przykro, bo któż by nie popadł w prostrację, gdyby mu przyszło spożywać frukty morskie, ribaje i daperiniony w wiecznym oddaleniu od zazdrosnego oka bliźniego? W końcu jednak zawsze osuszali łzę, zaciskali od nowa pięści i brnęli dalej w mętnej rzece życia, bo - choć ciężko było im wyznać - na taką miłość się skazali, taką przebodli się lewizną.

Aż doszli do obecnych stanowisk i splendorów. Ona była przełożoną generalną Domu Orłat Sierocińca Narodowego - najbardziej prestiżowej szkoły w całym państwie, która pod jej ręką stała się perłą w koronie pokrajskiego systemu edukacyjnego, kuźnią nowych elit. To tu lepiono państwowe kadry, wolne wreszcie od miazmatów wolnomyślenia i znieprawienia wartościami iluminatów. On zaś - formalnie ciągle pozostając jedynie skromnym podskarbnikiem regionalnym - pełnił w ośmiornicy potężnego szefa skarbu Eryka Sabadury rolę genialnego maga finansów, alchemika, który bez problemu przemienia szare na złote.

I trwaliby tak najpewniej jeszcze przez długie dekady, gdyby nie obsesje i namiętności krajlidera Konfraterni Wielkiego Pokraju Eligiusza Krumpolca. Ów kuty na cztery nogi karzeł - dotknięty wszystkimi talentami i ułomnościami bystrych zakompleksieńców! - żywił ambicje daleko wykraczające poza bycie jedynie wpływowym totumfackim Pierwszego Obywatela. Pragnął mieć

wpływ na całe państwo oraz wszystkich jego mieszkańców, a chcąc to osiągnąć, musiał przede wszystkim wysadzić z siodła nadskarbnika krajowego Eryka Sabadurę i zająć jego miejsce. Po gruntownej analizie, pogłębionej donosami rozlicznych informatorów, uznał, że szefa krajowego skarbu najlepiej będzie utracić, uderzając w jego zaufanego człowieka Narcyza Barszcza. Kazał go zatem nieustannie śledzić i wkrótce wiedział o nim niemal wszystko.

Szczególnie uradowały go meldunki o relacji podskarbnika regionalnego z przełożoną generalną Domu Orląt. Uznał wówczas, że bogowie mu sprzyjają, albowiem Sierociniec Narodowy także grał w jego planach rolę potężną.

Po pierwsze to w nim obecny krajlider konfratrów cierpiał największe upokorzenia życia. I choć żadna z zakonnic z czasów jego dzieciństwa już tam nie pracowała, a sam dom dziecka został dość dawno przemieniony na elitarną szkołę, to możliwość wzięcia rewanżu za dawne krzywdy choćby i na murach, które słyszały przed laty jego płacz, jawiła się Eligiuszowi Krumpolcowi jako działanie warte każdej ceny.

Wszelako był i powód drugi, nie mniej istotny: właśnie od uczniów Domu Orląt gnom wizjoner zamierzał rozpocząć skarłanie mieszkańców Pokraju na swój wzór i podobieństwo. To miała być jego wiktoria. Jego pieczęć, którą chciał na wieki ostemplować los ojczyzny. To miał być ostateczny triumf jego ducha i woli.

Kiedy więc Eligiusz Krumpolc dowiedział się, że siostra Irena i Narcyz Barszcz organizują wielką akcję charytatywną „Rodakowi Rodak” (której oficjalnym celem była pomoc potomkom pokrajskich żołnierzy walczących dwa stulecia wcześniej na Haiti), uznał, że przyszedł czas na zadanie ostatecznego ciosu. Było dla niego bowiem całkiem jasne, że owa rozdmuchana na cały Pokraj pseudodobroczynność to wyłącznie przykrywka dla wytransferowania za granicę sum zbieranych przy okazji tej akcji przez ludzi Eryka Sabadury. I cieszył się z tego setnie, bo nareszcie wpadł na trop, który mógł mu pozwolić na udowodnienie, że

przestępczy układ - o którym od tylu lat wspominał! - jednak istnieje.

Powiadomił o swoich podejrzeniach Pierwszego Obywatela i wymógł na nim, by przekazał mu władzę nad pokrajskimi finansami, o ile udowodni szalbierstwo Eryka Sabadury. Dzięki temu mógł stać się równy strażnikom bożych skarbów - koboldom, o których tak wiele opowiadał mu w dzieciństwie mistrz Honorat Głom.

Rzecz jasna, nie był już dzieckiem, więc samo tylko pilnowanie cudzych skarbów go nie kręciło. Chciał stać się równy bogom, co - zawsze uśmiechał się w duszy, gdy o tym myślał! - temu głupkowi Pierwszemu Obywatelowi nie wróżyło niczego dobrego.

Plan Eligiusza Krumpolca był naprawdę przebiegły, wszelako zawierał błąd. Jeden jedyny, za to fundamentalny.

Kraj lider konfratrów uważał, że w całym Pokraju nie ma od niego bardziej spurwysyńskiego gracza. Z racji swoich idiosynkrazji i uwikłań psychologicznych nie był w stanie dopuścić myśli, iż ktoś mógłby mu dorównać w kreowaniu intryg, blefów i fint w fincie. Tymczasem podskarbnik regionalny Narcyz Barszcz nie wyskoczył sroce spod ogona. On również bacznie obserwował organizację pokrajskich karłów, tak samo miał w niej swoich szpicli, a na ekranie jego komputera tajne koncepty Eligiusza Krumpolca wyświetlały się o wiele częściej, niż to się działo w drugą stronę.

I dlatego - wiedząc, co i jak myśli cwany karzeł - Narcyz Barszcz przygotował odpowiedź na jego podstępny. Fintę wewnątrz finty w fincie. Czyli właśnie akcję „Rodakowi Rodak”.

Wpierw uczynił wszystko, by mściwy gnom uwierzył, że przechytrzył jego oraz przelożoną Domu Orląt. I że jest zawsze o krok przed nimi. Poprzez podstawionych informatorów potwierdzał więc jego przypuszczenia, że filantropia dla Haiti to wielki przewał, podsuwał cuchnące szwindlem tropy, nadmuchiwał balony nieistniejących matactw i mamił pewnym już wkrótce odkryciem wielkiej ścierny.

Równocześnie pilnował skrupulatnie, by w czasie akcji zbierania pieniędzy nie zdefraudowano nawet pół grosza. By wszystkie rachunki zgadzały się co do joty, a każdy dokument miał silny stygmat dziewictwa i niewinności.

Bawiło go potężnie, że kiedy w ich śmiertelnej rozgrywce szef liliputerii zakrzyknie wreszcie sprawdzam!, zobaczy w kartach, które rzucą mu z siostrą Ireną na stół, wyłącznie niedająca się pokonać bezgraniczną uczciwość. A jednocześnie - świadomość owego faktu podniecała Narcyza Barszcza niemal erotycznie! - ich wirtuozerski przekręt będzie się dalej rozwijał w najlepsze.

Bo im mocniej Eligiusz Krumpolc upierał się przy stanowisku, iż akcja charytatywna „Rodakowi Rodak” jest wyłącznie wyrafinowanym przewalem, tym silniej przybliżał się do prawdy, jednocześnie się od niej oddalając. Wyrafinowanie planu Narcyza Barszcza i siostry Ireny polegało bowiem na jego niewyrafinowaniu. Na prostocie i beczelności. Genialne było w nim to, że był w gruncie rzeczy przewalem najbardziej tandetnym z tandentych. Chodziło o to, by na jak najbardziej kosztownych pod względem legalności dokumentach wywieźć z Pokraju, wraz z kocami, ubraniami, cukrem, mąką, makaronem, pastą do zębów, modlitewnikami, różańcami, zabawkami dla dzieci i podobnym szajsem, ordynarną gotówkę ukradzioną znacznie wcześniej, a teraz ukrytą - Narcyz Barszcz uwielbiał przaśność tego konceptu! - w puszkach z „Saperskim przysmakiem”. I by uczynić to w świetle kamer oraz na oczach całego świata.

Kochanek siostry Ireny doskonale wiedział, że Eligiusz Krumpolc (przekonany, że w świecie wielkich graczy, do których, rzecz jasna, sam się zaliczał, istotne są wyłącznie hiperwymiarowe mistyfikacje oraz pułapki z tysiącem zapadek) nigdy nie wpadnie na to, iż można się uciec do aż tak wulgarnej hucpy.

Że można na poziomie mistrzowskim oszwabiać tak prymitywnie.

Tak gminnie.

Że można chcieć się taplać w konceptualnym rynsztoku i zniżyć do grandy, jaka cechuje wyłącznie tępą czerń, którą Eligiusz Krumpolc bezgranicznie pogardzał.

Rzeczywiście, tego manewru swoich przeciwników krajli-der konfratrów (przez całe życie udający przed sobą samym kogoś, kto umie przeniknąć wszystkie rebusy świata) nie potrafił sobie wyobrazić. I wszystko szło doskonale, a naiwny Eligiusz Krumpolc węszył tam, gdzie miał węszyć, pozostając ślepy na rzeczy, których nie powinien dostrzegać, aż tu nagle na szachownicy zdarzeń wyrósł pyzaty kapuś, syn ministra policji. I choć nie było zupełnie wiadomo, co ów gnojek mógł wiedzieć, nie dało się już dłużej działać zgodnie z pierwotnym planem.

Nad tym wszystkim rozmyślając, Narcyz Barszcz wszedł za siostrą Ireną do piwnicznego magazynu.

Stało tam, oprócz innych „darów dla Pokrajaków z Haiti”, osiem drewnianych palet, a w każdej z nich po pięćset konserw pozyskanego od armii „Saperskiego przysmaku”. Łącznie - matematyka bywa w takich przypadkach bezlitosna - cztery tysiące puszek.

Każda puszka ważyła osiemset gramów. W trzech tysiącach znajdowała się obrzydliwa breja składająca się w czterdziestu procentach z tłuszczu, w dwudziestu z mięsa, nadto z wieprzowych skórek, glukozy, soli i przypraw, suszonej cebuli, przeciwutlenia-czy, wzmacniaczy smaku oraz dużej ilości wody.

Pozostały tysiąc skrywał trzysta tysięcy banknotów dwustueurowych. Łącznie sześćdziesiąt milionów euro.

Każda puszka chomikowała w sobie sześćdziesiąt tysięcy euro w trzystu jednogramowych banknotach, próżniowo zapakowanych w folię i dopełnionych dla wyrównania wagi półkilowym odważnikiem.

W oczywisty sposób ów tysiąc konserw „Saperskiego przysmaku” interesował przełożoną generalną i podskarbnika krajowego dużo bardziej od reszty darów.

Plan pierwotny zakładał, że wszystkie puszkki z pieniędzmi zostaną oznaczone, by ich nie pomylić z resztą. Znakiem rozpo-

znawczym miał być autograf złożony przez jedną z najpopularniejszych pokrajskich aktorek Annę Glass. Owszem, podnosiło to bezczelność konceptu o poziom wyżej, ale - tak twierdził Narcyz Barszcz - bezpieczeństwo o poziomy co najmniej dwa.

Słynna aktorka miała z nimi lecieć na Haiti i dać się tam sfotografować na tle puszek z autografami.

Z ostatniej chwili (...) przerywamy program, by (...) jak się dowiadujemy (...) ulubienica pokrajskiej publiczności Anna Glass (...) którą pamiętamy z takich ról jak (...) żona pilota (...) żona zamęczonego oficera (...) żona sprawiedliwego wśród narodów (...) zgwałcona przez Kozaków (...) pohańbiona przez Tatarów (...) umęczona przez Krzyżaków (...) oraz niezapomniana królowa Jadźwinia (...) została ambasadorką wielkiej akcji charytatywnej „Rodakowi Rodak!” (...) wraz z nią na Haiti trafiło wiele ton wysokokalorycznej żywności (...) do Pokrajaków na obczyźnie przybyła dziś ciepła strawa (...) którzy przed wiekami dotarli (...) których los rzucił (...) aktualnie ponaddwustuletnia poniewierka здаје się dobiegać (...) z gorącej wyspy dla „Wiadomości” Max Bajra! (...) dla Pokrajskiego Radia Komodan Trotylewicz (...) dla „Rechrystianina Codziennego” Pislawa Bymyszorska!

Miała też słynna aktorka udzielić wywiadów mediom pokrajskim i zagranicznym:

Poproszono mnie o złożenie autografów na tysiącu konserw z żywnością (...) organizatorzy akcji zapewniają, że podpisane przeze mnie puszki trafią do najbardziej potrzebujących (...) jestem za pokojem na świecie i nie noszę futer (...) I would like to be a queen in the hearts of the people...

A potem wrócić do ojczyzny w przekonaniu, że podobnie jak Lady Di, Angelina Jolie oraz inne wielkie kobiety, także i ona przyczyniła się do zmniejszenia smutku i cierpienia na świecie. T miały tak również myśleć miliony Pokrajaków - szczęśliwych, że wdowie grosze, które wysupłali z portfeli i portmonetek, poprawią ich pozycję u pana Boga jakby co.

Niestety, z powodu ciągłego braku czasu oraz grania w coraz to nowych filmach, serialach, spektaklach, słuchowiskach, re-

klamach, inicjatywach prolajfowych i antydefowych, porankach dla dzieci, podwieczorkach dla starców oraz w setkach innych podobnych bzdetów, dwieście z tysiąca konserw z forszą ciągle było jeszcze - purwa! - niepodpisanych.

Siostra Irena i Narcyz Barszcz wgapiali się w nie teraz z udręką i naprężeniem.

- Zabierz do brata tylko te podpisane! - rzucił w końcu podskarbnik regionalny. - A niepodpisane ukryjemy i jak się da, kiedyś po nie wrócimy!

- Chyba cię spapuziło, Cyziu! - wykrzywiła się szefowa Domu Orląt. - Alboś się zanadto rozkiełznał w rozrzutności! Toć dwieście puszek dwanaście milionów w trzewiach skrywa! Nie dam im zesucherlawieć, a tym bardziej w chwytne kończyny wrażeń kurdupli popaść! Zwijamy wszystko, kochany! Łącznie z aktorzycą, która nam to zaraz ajn-cwaj-draj na cito podpisze!

Narcyz Barszcz się zatrząsł.

- Toć ona nie odbiera! A jej agent rzecze, iż nocne zdjęcia ma!

- Nie bądź pizgwą, Cyziu! - ofuknęła go siostra Irena. - Nie takim cię pokochałam!

I nie namyślając się wiele, zadzwoniła do Oswalda Upojnego z Oficjum Do Spraw Niepokalaności Czystej Kultury Pokraju. Był to jeden z jej ukochanych absolwentów, syn Wielkiego Łowczego Olgierda Upojnego, człek uczynny i nieswarliwy, od dziecka rozumiejący pojęcia „racja stanu” oraz „ręka rękę myje”.

Ulubiony uczeń w mig pojął wagę sprawy, obiecał pomoc i - czego się po nim spodziewała! - oddzwonił już po kwadransie.

- Jest tak, jak mówiłem, droga siostrze! - zaczął z nieukrywaną radością syn Wielkiego Łowczego. - Moi przyjaciele z prokuratury porozmawiali właśnie z aresztowanym już wiele lat temu handlarzem narkotyków Józefem K., znanym jako diler celebrytów. I ów przypomniał sobie szczęśliwie, że ten cały Ancymonowicz, w którego filmie, jak siostra łaskawie wspomniała, aktorka Glass ma dziś nocne zdjęcia, również zaopatrywał się u niego w odurzające wiktuały!

Siostra Irena przełączyła na tryb głośnomówiący, żeby i podsłuchownik regionalny usłyszał pokrzepiające wieści. A Oswald Upojny rozkręcał się z każdym słowem:

- I jakby tego było mało, kochana siostrzko Ireno, będący wielkim skrupulantem diler Józef K. zdołał to wszystko dopisać do swojego zeszytiku, w którym umieszczał każdego klienta! Szczęście, nie? Co więcej, okazało się, że ów gorszący proceder trwał przez lata! W tej sytuacji prokuratura nie mogła dłużej zwlekać i wydała nakaz aresztowania Salomona Ancymonowicza. I na plan zdjęciowy posłano już służby celem zatrzymania reżysera degenerata!

- Bogu niech będą dzięki! - ucieszyła się siostra Irena.

I długo jeszcze życzyła swemu dawnemu uczniowi łask rechrystusowych, a nade wszystko rychłych awansów, albowiem - jak się przepięknie wyraziła! - tacy ludzie jak Oswald Upojny są solą ziemi i odnawiają jej oblicze.

Tymczasem Narcyz Barszcz nakazał siostrze Hiacyncie obudzenie kadetów ze wszystkich korpusów (nie tylko z tego, z którego uciekł Bożydar Bobro), a kiedy się mocno zaspani zjawili, zarządził karne ćwiczenia fizyczne JEDEN ZA WSZYSTKICH, WSZYSCY ZA JEDNEGO. Polegały na przeniesieniu tysiąca puszek z „Saperskim przysmakiem” do zaparkowanej na dziedzińcu furgonetki. Poddawani od lat licznym musztróm chłopcy uwinęli się z tym zadaniem nad wyraz sprawnie.

A potem zapadła zadziwiająca cisza. Można było wręcz odnieść wrażenie, że jedna z identycznie spokojnych nocy w Domu Orłąt Sierocińca Narodowego przysypia znudzona własnym bezruchem.

Wszelako Narcyz Barszcz i siostra Irena wiedzieli, że to wyłącznie cisza przed burzą.

Pożegnali się czule, on życzył jej szczęścia, ona jemu hartu ducha i ciała, kiedy Krumpolc z resztą niziołków zjawi się w Domu Orłąt, i już-już mieli się rozstać, gdy przełożona generalna powiedziała nagle:

- Za to, że nam z życia diabelski młyn uczynił, spurwiel, podniosiem mu stawkę w grze, karłu! Karłowi!

I ponownie wycisnęła numer w komórce, tym razem dzwoniąc do prezesa Telewizji Narodowej Pokraju Nektariusza Chochlaczewskiego, również dawnego ucznia Domu Orłąt Sierocińca Narodowego. Był to osobnik niesympatyczny w stopniu piramidalnym, tchórz bez honoru, mylący tupet z błyskotliwością, oraz notoryczny kłamca ze skłonnościami do socjopatycznych zachowań seksualnych. W każdej innej szkole - może oprócz specjalnej! - nie miałby szans, wszelako Dom Orłąt Sierocińca Narodowego musiał myśleć perspektywicznie, a tacy ludzie bywali wielce użyteczni, jeśli potrafiło się ich okiełznać.

Więc choć siostra Irena nie znosiła Nektariusza Chochlaczewskiego, całkowicie jej wystarczyło, że ma w swoim komputerze pełny rejestr z jego czipa w zębie. Wszystkie plugawe miejsca, w których lubił bywać od czasu skończenia szkoły. Większość z nich ani trochę nie pasowała do prezesa telewizji nauczającej Pokrajaków jak być prawym i świętym. Oboje o tym wiedzieli i na to właśnie liczyła siostra Irena, dzwoniąc do Nektariusza Chochlaczewskiego w środku nocy.

Odebrał, choć jego głos był daleki od entuzjazmu.

- O tej porze? - warknął rozespany i nieprzyjemny. - Nie dało się rano?

- Dla ciebie już jest rano, śmieciu! - zauważyła oschle.

Chrząknął, by nie zakłąć. Potrzebował sekundy ciszy, by zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazł. Szybko pojął, że arogancją nic tym razem nie ugra.

- W czym mogę służyć, siostrzo przełożona? - spytał grzecznie, choć chłodno.

- Od pierwszego serwisu zaczniesz wrzucać na wszystkich kanałach, że idzie wojna. Na śmierć i życie. Ostateczna i bezpardonowa. Aha, i użyjesz do tego śpiewek, których was uczyłam: wszyscy do broni, śmierć wrogom, nie rzucim ziemi i całej reszty podobnych pierdoł...

Tłumaczyła spokojnie, wręcz cicho, wszelako był w jej głosie chłód z najgłębszych otchłani piekła. Z czeluści, gdzie potępionych pali się już nie ogniem, lecz lodem.

- Masz tak rozbijać łódkę, żeby wszyscy dostali choroby morskiej, jasne? - syknęła na koniec.

Przytaknęła i spróbował uściślić:

- A z kim ta wojna?

- Chuj wie! - prychnęła. - Wymyśl, w końcu jesteś prezesem telewizji.

I rozłączyła się, nim cokolwiek zdążył odpowiedzieć, a po niedługim czasie - ciągle potężnie roztrzęsiona ostatnimi zajściami! - dusiła dzwonek u drzwi swojego pożał się Boże brata, który nie otwierał i nie otwierał, jak to idiota lub człowiek śpiący.

Wszelako żadna z tych wersji nie mogła go w jej oczach usprawiedliwić, toteż kiedy w końcu Sebastian Rawa stanął w drzwiach - z miną tego najgłupszego z rodzeństwa, który w bajkach nigdy nie bierze w spadku młyna czy domu, lecz dostaje jedynie kopa na drogę i kota! - przywitała go słowami dalekimi od pozdrowień tradycyjnie kultywowanych między dziećmi bożymi:

- Długo mam tu kwitnąć, pawianie opierdziały?!

- Irenka? Jak miło i szczęście Boże! - zakrzyknął inżynier. - Pora niespodziana, aliści okoliczność radosna, wręcz chwalebna, że ujmę to tajemniczo!

Jego radość była ewidentnie nieszczerą, za to głośną.

- A ileśmy się to nie widzieli, siostruniu ty moja, siostrzyco?! - huczał, drapiąc się po głowie ruchem nieregularnym, wręcz stochastycznym. - Dwa lata? Trzy? Pięć?

- Sześć, durniu! - warknęła.

Wiedziała, że powinna być miłsza, jednak nawet lata niewiedzenia nie mogły w niej wygasić złości, że ów ludzki wiecheć wyszedł był z tego samego co i ona łona.

- Sześć! Sześć! Sześć! Rację masz! - wyszczerzył się znowu. - A u mnie po staremu, skoro pytasz! Utylizacją się param, cenią mnie, szanują, dzieci już duże porosły, niedługo własną

ścieżką pójdą, w sensie jedno, bo jedyakiem moje dzieci są, rozumiesz-wiesz...

Oparł się o framugę niczym stary gospodarz, zamyślił, zda się, że i fajkę by szast-prast zakurzył, jeno nie miał.

- I cóż to ci jeszcze mogę rzecz, Irutka? - kontynuował. - Aha, z Ilonką wszystko idealnie, na kanikule aktualnie nadmorskiej przebywa, siły przed nowymi zadaniami zbierając! A ja tu zostałem, imaginuj to sobie, Iruchna ty moja, sam samiutki i samiuteńki gdyż... - zawahał się, ale tylko na momencik, a nawet ułamek momencika, bo za chwilę już jechał dalej: - ...gdyż ponieważ ogród w swych pieleszach pielę i pielęgnuję, w tej tu mojej samotni samotnym pozostając jak palec serdeczny! Jak ów latarnik z powiastki patriotycznej, coś mi ją za młodu czytała, a któraż to nam ku pokrzepieniu serc Siamkiewicz pisarz wielki był ostawił! I tak sobie tu trwam sam, siostró ma rodzona, choć zakonna, na posterunku życia! Bez niczyjego towarzystwa, wierz mi, dobrodziko, sam, sam, po trzykroć sam!

I pokiwał głową niczym karawaniarski koń, chcąc zapewne doakcentować w ten sposób każde słowo, które przed chwilą wyrzekł.

Przełożona generalna Sierocińca Narodowego zazezowała na brata z niesmakiem. Był idiotą, bez dwóch zdań, a obecnie mu się najwyraźniej pogorszyło. Z takimi jak on trzeba krótko - pomyślała.

Więc by już przestał pobredzać, wystrzeliła z bicia konkretno:

- Ta twoja szkarada wyjechała?

Zmiął się jak celofan w wiatr.

- Irenka, tyle razy prosiłem...

Machnęła ręką, aż zaświszczało. Zamilkł.

- Mam nadzieję, że razem z tym lucyfera pomiotem upiornym córką twą?

- Owszem, Oliwka także się na wywczasie aktualnie znajduje - przytaknął gorliwie. - A ja tu sam samiutenieńki...

Znów świsnęła ręką i znów zamilkł. Przynajmniej to jedno dobre, że świadków mniej - odetchnęła z ulgą. I przysunąwszy się do brata idioty, wyłożyła kawę na ławę bez owijania i z mostu:

- Ci puszki przywiozłam.

Odkoczył jak oparzony i jął wymachiwać rękami w niepojętym rozstrojeniu, wręcz panice.

- Cipuszek żadnych nie potrzebuję!

Jak to możliwe, że dzielę genom z tym czymś? - przegallo-powało jej przez głowę i by zgłuszyć ową myśl żrącą, wrzasnęła:

- Nie dla ciebie, pusta taca, jeno na przechowanie!

Zamrugał gwałtownie i z kinetycznej nadtelepki przeszedł - klik-klak! - w katatoniczny uwiąd. Była pewna, że to z powodu arcygłupoty, którą go Bóg w swej arcymądrości obdarował. Skąd miała wiedzieć, że przeraził się wielkich trąb, które - sama o tym nie wiedząc! - dzierżyła właśnie w rękach. Przecież nigdy nie zawracała sobie dupy jakąś tam transcendencją, tymczasem jej bratu duch święty podszeptował właśnie, by uważał, bo takie trąby cholerne i znikąd się pojawiające nie zwiastują niczego dobrego.

- Ja nie chcę! - zakrzyknął więc Sebastian Rawa, widząc, jak pierwszą z nich rodzona siostra przykłada do ust.

Niestety, było za późno, bo Irena już w nią dmuchnęła, a grad i ogień - co wyskoczyły ze środka wraz z posępną melodią! - jebutnęły w planetę Ziemię, zmieszane z błotem, trupim jadem i krwią.

- Se możesz chcieć lub nie chcieć, mongole! - charczały grad z ogniem głosem przeoryszy o twarzy gryzonia. -Wszak ja akcję charytatywną międzykontynentalną mam, więc się nie przeciwstawiaj, bo w piekle zdechniesz!

Siostra inżyniera Rawy zachichotała ze wzgardą.

- A zresztą i tak tam zdechniesz!

Każdym słowem kłuła go niczym najjadowitszy skorpion. Lecz choć opadał z sił, to ciągle trwał w niezłomnym oporze oraz absolutnej pewności, że wiedza o czarnoskórej ekspedientce, siedzącej właśnie w sypialnianej szafie, jest jego siostrze potrzebna

jak dziwce po pracy seks. Więc stojąc twardo na progu domu, stał jednocześnie niewzruszenie przy swoim:

- Nie mogę, Irenka! Chciałbym, ale nie mogę!

Zatrąbiła tedy po raz kolejny:

- Chyba cię szatan ojebał! Toć ja tu dobroć szerzę i z transportem wysokokalorycznej stawy zapierdalałam do dzikich za, purwa, Bóg zapłać, a ty mi pomocy odmawiasz?!

Na dźwięk drugiej trąby otwarła się studnia czeluści i wyleciał w niej dym, co zaćmiwszy słońce, przemienił się w szarańczę podobną do pancernych koni. Lecz mimo iż łoskot robaczy ogłuszał tudzież przerażał, inżynier o pardon klękać nie zamierzał i głosem jeszcze hardszym niż uprzednio ozwał się w słowa następujące:

- Istotnie, odmawiam, Irenka! Ze względu na okoliczności oraz nocną ciszę!

Wobec uporu tak ultrasowskiego zajazgotała trąba trzecia i ostateczna:

- Ty zjebie genetyczny ty! Że też cię Bóg nie zabił, kiedy mógł! Wpuszczaj do domu, ci rozkazuję, bo nie zamierzam tu sterczeć do świętego Dygdy, gdy probono moje na piczym włosie się buja!

I wnet od siarki - co się wraz z tymi słowy z trzeciej trąby wydobyła! - pomarła trzecia część ludzkości. A tego było już dla inżyniera Rawy za wiele. Zwłaszcza że z wszystkich narożników Ziemi wychynęli szatani, a było ich miriady miriadów. I pochwywszy nieszczęsnego obrońcę domowego miru, ponieśli go ku pieczarze potępienia, by wygumkować z księgi życia na wieki wieków.

Upadłszy tam, dotknął inżynier czołem przeklętej ziemi Jerycha, po czym wyszeptał:

- Nie zapraszam, bo nieposprzątane jest w domu, Iruś... A i mleka do kawy brak...

- W dupie mam twoją kawę, ciole! I herbatę z nią wraz! - oznajmiła siostra inżyniera z właściwą sobie szczerością. - Najchętniej bym cię nigdy nie oglądała, wszelako zrządzeniem bo-

zym, jak zawsze ludzkiemu umysłowi niepojętym, chwilowo muszę u ciebie dary dla Haiti przechować, zatem przestań odpierdalać tarło i zwijaj garba w kierunku nordwest!

To powiedziawszy, wskazała palcem półciężarówkę, którą zaparkowała nieopodal.

- Wszak sydot się tam mieści, a nie nordwest, sestro! - zaproponował Sebastian Rawa, który interesował się swego czasu żeglarstwem i co nieco jeszcze pamiętał.

Przeorysza Domu Orląt zatrzęsła się z irytacji.

- Toć ja cię metaforą zaszczycam, karczochu! A jedyne, co mi aktualnie przyświeca, to twoje możliwości fizyczne na dystansie furgonetka-dom w ruchu przyspieszonym przećwiczyć!

- Ale po co?

Mniszka wzniosła ręce ku niebu.

- Larum grają, a debil się po co pyta! Boże, ześlij mu, na co zasłużył!

Wszelako przypomniawszy sobie, że instancja niebieska - o ile w ogóle to czyni! - interweniuje zazwyczaj ze znacznym opóźnieniem, na które ona nie mogła sobie obecnie nijak pozwolić, dopadła siostra Irena do brata i dzbuknęła go boleśnie w ramię.

- Toć ja, służebnica pańska, targać nadwagi nie będę! - zawibrowała, aż swąd poszedł z asfaltu. - Więc łap się za „Saperski przysmak”, a im sprawniej go przeniesiesz, tym szybciej się rozstaniemy, gadzie, w czym mi dopomóż Bóg!

Inżynier zamrugał, bo oto pojawiła się miła oku jaskrawość i oświetliła ścieżynę potencjalnego zdupowybawienia.

- Czyli że jak ci wniosę konserwy, się oddalisz? - wbił pełen nadziei wzrok w szurzą fisis siostry.

Starął się poza tym mówić bez ekscytacji, choć to, co przed chwilą usłyszał, wstrząsnęło nim jak Szopenem kaszel. Tymczasem twarz siostry Ireny odkształciła się dziwnostrasznie, a jej kościsty palec wskazał dom, który naście lat temu pułkownik Szmaroń podarował był Ilonie z okazji ich ślubu.

- Na myśl, że przekraczam próg onego leprozorium, mam ściągoty w dołku i żmudzi mnie do wyrzygu!

To były najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek Sebastian Rawa od siostry usłyszał!

Miał wręcz ochotę ją teraz uścisnąć, ale nie było czasu na ciuciubabki i fircyfuszki, złapał tedy kluczyki do furgonetki i jął z zapalem tyrpać puszki, biegnąc w tę i nazad jak mentekaptus.

Bogiem a prawdą nie jest łatwo przenieść osiemset kilogramów. Więc już po kilkunastu kursach inżynier miał mroczki w oczach i zakwasy w udach, a ręce mu się wyciągnęły jak gibonowi. A wszystko na darmo, bo góra konserw w półciężarówce zdawała się nie maleć. Obiecał sobie jednak Sebastian Rawa, że bodajby miał zdechnąć, nie podda się, toteż ocierając czoło, dźwigał dalej, a po wniesieniu puszek do domu, układał je w porządku, jaki mu Irena zaordynowała (pomazane bazyliami oddzielnie, niepomazane oddzielnie) w wymianie zdań następującej:

- Dbaj o te puszki jak matka o miot, draniu, i nie zaglądamy do wnętrza!

- Się tym nie trap, Iruś, bo po szczerości, to ja w „Saperskim przysmaku” gustuję nie bardzo...

- Nie dla ciebie ów przysmak, chudopępek dziamdziały, jeno dla zamorskich rodaków naszych, co raz jeszcze powtarzam! Prasy nie czytasz, mediów nie śledzisz? Toż ja akcją charytatywną o zasięgu globalnym zarządzam, „Rodakowi Rodak” zwaną! Nawet taki ciół jak ty musiał słyszeć...

- Niestety się nie obilo, zapewne z powodu gdyż aktualnie nie w filantropii ja drązę, ale we filmie jeno.

- Gdybyś we filmie drążył, tobyś wiedział, niemcze! Tedy cię uwiadamiam po raz ostatni, iż owe konserwy, co je tobie, zafrańcu, powierzam, to skarb zacny i pierwszorzędny, albowiem na każdej jednej podpis własnoręczny wielkiej gwiazdy kina widnieje pokrajskiej!

- A jakież to, siostrunia? - zainteresował się nagle inżynier.

- Oj, bracie mój ciemny, czemuż cię matka donosiła!

I w ten oto sposób nie poznał inżynier Rawa owego nazwiska, a w kolejnych minutach życia, gdy jako pospieszny puszkonosiciel popadał coraz boleśniej w stres, zakwas i beztlenowe

charłactwo, zagrzebał całą tę rozmowę w zbrylonej glinie nieświadomości. Czyż można się zatem dziwić, że nie dostrzegł również momentu, w którym pod jego dom szybko podjechała i jeszcze szybciej znikła czarna limuzyna, pozostawiając na środku ulicy Annę Glass?

W poblasku dyskretnego księżycyca widać było, że aktorka jest potężnie zdenerwowana, wszelako czyniło to ją jeszcze piękniejszą niż kiedykolwiek. Błada i z wysoko upiętymi włosami, w szarej, stylizowanej na kirasjerską kurcie, tak jednak dopasowanej, by wdzięcznie uwydatniać wszystkie krągłości, w obcisłych spodniach podkreślających zgrabność nóg oraz z rapierem i bandoletem u pasa, wyglądała na boginię pokrajskiej wolności, której te przereklamowane Francuzice Darc i Marianna mogłyby najwyżej czyścić lobuteny.

Siostra Irena podeszła do niej niespiesznie i starając się nadać ustom kształt pełnego empatii i troski uśmiechu, rzekła:

- Zrobiłam co w mocy, gdy mnie doszło, co zaszło.

- Nie wiem, jak dziękować - wyszeptała Anna Glass zdrewniałymi od nerwów wargami.

Otarła łzę, która mimowolnie pociekła jej z oka.

- To było straszne, siostrzo przełożona! Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam! Policja na planie, krzyki, kajdanki! Aresztowali reżysera w środku ujęcia!

Przeorysza Domu Orląt rozłożyła ręce w geście bezradności.

- I jemuż pragnęłam pomóc, atoli wobec żelaznych faktów... - zawiesiła głos i przysunawszy się blisko, pogłaskała czule aktorkę po ramieniu. - Boć narkotyki to grzech śmiertelny, pani Anno kochana ty moja, a także przeciw ojczyźnie zbrodniczy występek...

- Ależ ja Salomona Ancymonowicza znam od lat! - zakrzyknęła w uniesieniu wielka aktorka. - On się nigdy narkotyków nie imał!

Przełożona generalna Sierocińca Narodowego skrzywiła się gorzko, z zafrasowaniem kiwając okorneconą głową.

- Moja biedna pani Anno, tyle wiemy o bliskich, ile ich sprawdzono. Wszak przestrzegał wielki poeta, że wśród serdecznych przyjaciół psy zająca, pamięta pani? I jeszcze ku przestrodze dodawał: samotność, cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi? A tym bardziej aktorka... - rozłożyła bezradnie ręce. - Tak, tak, moja biedna, kochana pani Anno...

Usłyszawszy to, Anna Glass poczuła nagły ścisk w gardle i wargi jej drgać, jak wtedy, gdy w serialu gwałcili ją Kozacy. I jeszcze później w teatrze, gdy grała tę, co nie chcąc Niemca, rzuca się w nurt Piśły.

Więc by się nie rozbeczeć na dobre, przyłgnęła mocno do siostry Ireny i wtuliła się w jej opiekuńcze ramiona. A uczyniła tak nie tylko dlatego, że ledwie godzinę temu na plan filmu „Emilia Pe, czyli życie ojczyźnie oddane” wpadli zakominiarkowani komandosi i kazali wszystkim leżeć długo na ziemi, a potem powlekli ze sobą w kajdankach człowieka, którego może nie kochała, ale do którego jakoś tam była przywiązana. Zrobiła to także - a przede wszystkim! - bo wcześniej myślała o tej brzydkiej przeoryszy z Domu Orłąt Sierocińca Narodowego jak najgorzej. A teraz się okazało, że owa wspaniała kobieta pomaga jej jak komuś dosłownie z najbliższej rodziny.

To było naprawdę piękne i po raz pierwszy od lat Anna Glass pomyślała, że wiara w Boga czyni ludzi prawdziwie lepszymi.

- Wszystko będzie dobrze, moje dziecko, służebnicy pańskiej ty zaufaj - szeptała tymczasem siostra Irena, a jej niespieszny dyszkant jawił się znękaney aktorce jak słodkie wino z gór Beter, miód z ogrodów Engaddi i lilie, co rosną w Cheszbonie. - Podpiszesz puszki do końca, potem wspólnie se polecim, z Murzyniátkami selfi strzelisz, a i sesje typu professional dla ciebie gdzieś pod palmą sporządzim, no i w ogóle takie na tym Haiti szurumburum dobroczynne przedsięwzięciem, że cię Pokrajacy siła pokochają, dyć mocniej jeszcze niż aktualnie, promis i tak mi dopomóż Bóg!

I trwały tak w przytuleniu, jedna myśląc o agapie i transcencji, a druga, że późno i że siku, gdy niespodzianie z boku doszedł je osobliwy dźwięk. Jakby ktoś naduszał gumową kaczkę lub deptał dobre obyczaje.

- Jiiiruuuś... Jiiiruuutka... Jiiruuuuchna...

Przeorysza Domu Orląt puściła Annę Glass i już po chwili stała przy bracie, który wyglądał teraz gorzej niż siennik w portowym burdelu z czasów płaszcza i szpady. Obrócony na nice, przepocony i wyciuchrany, kolebał się w niemiłosiernym zmuzułmianieniu z boku na bok, a każde słowo, które mu wychodziło z ust, brzmiało jak onomatopeiczny gluten i więcej przypominało bagienny mlask bądź bulgot trzewi niż dumną mowę wnuków Adama i Ewy. Długą więc chwilę wzięło, nim mniszka zdołała pojąć, że inżynier skończył, co mu nakazała. Koniec końców się jednak z tego ucieszyła, mówiąc:

- Dobrze się spisałeś, mój synu. W sensie bracie.

Przez chwilę chciała go nawet z tej radości objąć albo przynajmniej dotknąć, ale był tak lepki - i niezmiennie jednak wypsiały! - że zabiła ów koncept, nim w nim zabiło serduszko. Po czym rzekła:

- Niech cię Bóg przytuli, Sebastianie, za twój dobry uczynek lub zmaże kary twe doczesne, nagradzając odpustem całkowitym od cierpienia piekielnego czy tam czyścicowego, amen!

Na te słowa inżynier uśmiechnął się i przez chwilę nawet myślał, by przyklęknąć, wszelako takie mu się pieruńskie gazy kitwały w wątpiach, iż bał się despektu, jaki zgięcie ciała mogło uczynić. A tymczasem jego siostra kontynuowała:

- Jako że i tu na ziemi Kościół Matka Nasza sługi swe najwierniejsze słodkim karmelem nagrody karmić umie, podejdz przeto, bracie mój w macicy i wierze, a poznasz, z kimeś swą dobroczynność dziś uczynił!

I nim zdołał się ogarnąć, pociągnęła go w stronę Anny Glass, w nieruchomym zamyśleniu ciągle rozważającej jeszcze tajemnicę życia i jego etycznej wielopiętrowości.

- Mój brat, z zawodu kanalarz, ale pocziwina - przedstawiła inżyniera Rawę przeorysza Domu Orląt.

Był zbyt zmęczony, by zaprotestować.

- Miło poznać brata tak znamienitej siostry - głos kobiety był dźwięczny i niski, idealnie dopasowany do szarego surduta z akselbantami. - Jestem Anna Glass.

Podawała mu rękę, a kiedy ją ujął, przeszedł go nagły dreszcz, aliści nie dotyk to spowodował, jeno opiumiczna woń, co w owej chwili się zjawiała i nasączywszy sobą przestrzeń, owionęła inżyniera niczym akt komunii z wszystkością. Był w tym zapachu absolut, ból i cisza, a tuż obok dramat, egoizm i furia, nadto groteska oraz halucynacja, instynkt i jaskrawość, dodatkowo też kabała i lament, a jakby nie dość na tym, również łajdactwo, miłość i nienawiść z opętaniem, były panika i rewolta, a jeszcze samozniszczenie, a jeszcze tęsknota, a wraz z nimi wszystkimi utrata, wniebowstąpienie, zakaz i nareszcie żądza.

I to, co tak zapobiegliwie skrywała dotąd podświadomość Sebastiana Rawy, wystrzeliło niczym fajerwerk, uruchamiając mu w mózgu setki ekranów równolegle wyświetlających wcielenia tej, którą trzymał właśnie za rękę. Ujrzał tedy w tym samym momencie sefirę różanopalcą, anioła w sukni z mrozu, piękność z kolibrem nad głową, rozpustną ewangelię czy królową pstrych czarodziejek i poczuł pocałunki ich miodowych warg, ich ogniste języki, uczuł dreszcz obcowania z nadprzyrodzonym, doświadczył zwiewnej omroczości, transgranicznego współjестestwa i boskiej jednowdrugości.

I zapewne trwałby w swej wewnętrznej kosmogonii inżynier Rawa po kres kresów, lecz głos siostry - spokojny, choć zdecydowany - naprowadził go na kurs i ścieżkę rzeczywistości dlań prymarnej.

- Mój kochany bracie Sebastianie, bądź teraz łaskaw zaprosić panią aktorkę do swego salonu celem finalizacji autografowania konserw - ozwała się przełożona generalna Sierocińca Narodowego, wyciskając z siebie wszystkie słodycze. - Wszak nasze współrodactwo haitańskie głodne jest nie tylko strawy z wieprza,

ale i ducha, więc nie darowałoby nam, gdybyśmy owego kulturowego rytuału nie dopilnowali. Idźcież tedy, dzieci, pracować, a chyżo, a ja tu, pod nieba bezpiecznym sklepieniem, za pomyślność ojczyzny różańczyk szast-prast se odmówię.

To rzekłszy, oddaliła się w czerń nocy, a inżynier Rawa powiódł kobietę kwiat, kobietę puch, kobietę superhipertrans do swojej jadalni, a potem patrzył na nią w milczeniu, chłonał jej każdy ruch i gest, każdy grymas i westchnienie, starając się nie oddychać, a jeśli już musiał, wciągał wyłącznie powietrze przez nią już wcześniej zużyte. Pragnął przy tym opowiedzieć jej wszystkie życia, które mógłby przeżyć z nią, a przemilczeć te, które przeżył bez niej.

Więc milczał.

Także długo po tym, jak wyszła.

A kiedy się w końcu ocknął, okazało się, że siedzi na środku sceny i trzymając w dłoni podpisane zdjęcie Anny Glass (które aktorka najprawdopodobniej dała mu na pożegnanie, a czego w oszołomieniu ani trochę nie pamiętał), gra właśnie w drugim akcie dramatu:

ANITA

(z *niepokojem*)

Widzę, że zbladłeś, a myśl twoja krąży
z dala od damy, co przy tobie siedzi.

INŻYNIER RAWA

Ach, wybacz, (pokazując zdjęcie) Znaszże, kim owa kobieta?

ANITA

To Anna Glass jest, aktorka filmowa,
co w popularnym gra repertuarze.
Podoba ci się?

INŻYNIER RAWA

Ona mi się śniła.

ANITA

Plwaj na koszmary, co się śnią! Mamidła!
Diabeł je szepcze, bym ci, księżę, zbrzydła!

INŻYNIER RAWA

Tego bym nie chciał.

ANITA

Więc przybliź organizm,
a ja nagrodę ci wręczę ustami.
Oscar to będzie. Wszak tyś wart Oscara,
już się o niego Anita postara...

Dziewczyna pochyła się jak poprzednio. Inżynier Rawa gwałtownie odskakuje.

INŻYNIER RAWA

Stop! Stop! Stop! Wróćmy do prozy życia! Tyś aktorką,
jam reżyserem, a pracy przed nami huk, fura i rój! Pstrość zatem
porzućmy i ruchy, ruchy, ruchy!

ANITA

A to mi pon zabił ćwika!

INŻYNIER RAWA

Po prostu gwiazdę mi wielką zagraj wnet łan-tu-fri tu! No,
kameraaa.J (klaszcze w dłonie) Akcja!!

ANITA

I o cóż to się rozchodzi, że pon tyło się spodziwo?

INŻYNIER RAWA

Po prostu zaimprovizuj coś! Na przykład, że się zamysłasz... Albo że coś cię trapi, coś cię bambałaka, mermoli coś... Wewnętrzne stany mi swoje ukaż, dobrze?

ANITA

A to męcząco roboto!

INŻYNIER RAWA

Ja wiem, Anito, ale bez tego się nie wgrzyziemy w temat! A wgrzyzając się, zważ przy tym, że z jednej strony musisz wydobyć z postaci jej dziką półzwierzęcość, aliści z drugiej nie powinnaś nic a nic stracić z jej migrenowatości! Jej bluszczowatości! Nie mówiąc już o hamletyczności à la manière des femmes! A ów melanz sprzeczności musi na dobitkę bałwanić się i buzować!

ANITA

Niby jak to kwaśne mlisko?

INŻYNIER RAWA

Dokładnie tak! Odnajdź w sobie tę dychotomię i rozłam! Wszak o to cały czas walczymy i w sztuce, i w życiu!

ANITA

Tak-ta, tak-ta, cy jo wim?

INŻYNIER RAWA

Oczywiście, że wiesz, jesteś przecież genialną aktorką! Zagraj mi więc ową najtragiczniejszą z tragicznych tragedię kobiecą: że nie może się światem zachwycić ta, którą się świat zbyt mocno zachwyca!

Anita podrywa się, staje na środku i kręci się w kółko, robiąc naprzemiennie miny wesole i smutne. Raz się miota, a raz zastyga w bezruchu, potem turla się, wpada w drżączkę, milknie,

znowu skowyczy jak zwierzę, a następnie nuci ciche lulliuje. Nie widzi niezadowolenia reżysera (które z każdą chwilą narasta), a kiedy kończy, uśmiecha się z zadowoleniem.

ANITA

Tak mnie to granie tkliwi...

INŻYNIER RAWA

A mnie wprost przeciwnie! Zabrakło ci poetyckości duszy, Anito! A z niej wszystko się bierze: praprzyczyna, wszechprawda, światowość i pozaświatowość!

ANITA

(rozczarowana)

A gdzież mnie, biesy, wieziecie?

INŻYNIER RAWA

Tam, gdzie nareszcie wyemanuje z ciebie coś w stylu „w dupie mam wszystko, robaki wy śmiertelne, ja was tu tylko zaszczycam sobą!”. Pragnę, byś omiotła swą aurą przestrzeń dookolną, która cię przygniata! Ujarmij ją, dognęb i zbydlęć! Aha, i przy okazji spod powiek strzelaj mi mocniej, bo to, co chcę tobą światu przekazać, ma być, owszem, śmiercią, ale i seksem zarazem!

Zakłopotana Anita staje na środku i próbując ucieleśnić reżyserską wizję, miota się tak samo jak poprzednio. I znów jak poprzednio reżyser krzywi się nieprzyjemnie.

INŻYNIER RAWA

Sakra ich pługa diamdizzaszać zaprzęła! Żle, źle i jeszcze raz niedobrze!

ANITA

Buciki mom trochę ciasne!

INŻYNIER RAWA

A oprócz butów już nic nam dać nie możesz, gdyśmy pośród nędzy cienia w dramacie naszym? Toż mi teraz serce wali młotem, w głowie sen, muzyka, bajka, zakupiłbym sobie grajka! Niech się stopi, niech się spali!

ANITA

Takiś ta nienasyceniec?

INŻYNIER RAWA

(podrywa się)

Żyłem dotąd w takiej cieśni, pośród murów szarej pleśni, teraz zaś w powietrzu wiszę, lecę, jak mnie konie niosą, czary światów, czar nad światem, pod spód więcej nic nie wdziewam, niechże tobą się napieszczę!

ANITA

(do siebie - na stronie)

Cięgiem ino rad by gadać, jakie to kochanie będzie... Co to za skaradne štuki!

(do Inżyniera Rawy)

A może, zamiast bredzić bez sensu, byś mnie w końcu porządnie wyjechał, Sebi?!

INŻYNIER RAWA

(do siebie - na stronie)

Jeszcze chwilę temu oddałbym nerkę, by to usłyszeć. Teraz jednak, po spotkaniu z Anną Glass, uświadamiam sobie, że jako artysta muszę sięgać do gwiazd! Nie tylko w wymiarze filmowym, ale także - a może przede wszystkim! - w wymiarze miłosnym!

Pokraj

(do Anity - ze sztuczną ekscytacją)

Niezły numer z tą brzozą, nie? Myślę, żeby to w nasz dramat wsadzić, wiesz? Nie draży to ciebie nurtuje, bo mnie jak cholera! Taki samolot obrócić wielgachny? Skrzydło na amen odłupać? Że niby drzewko jedno małe...? Śmierdzi mi to, Anita, ci mówię śmierdzi, a tobie...?

ANITA

(mechanicznie - jak kukła)

Brzoza strasznie szybko pusco. Het ściany we trzy roki ocieni.

INŻYNIER RAWA

(do siebie - na stronie)

Bogu dzięki, udało się ją w powrotem zagnać do formy! Teraz zostaje tylko na Adasia poczekać, a jak przyniesie jej rzeczy z hotelu i uda mi się ją w końcu odprawić, uporządkuję całe swoje życie, przysięgam! I odnajdę tę, którą...

W tym momencie rozlega się przeraźliwy dzwonek do drzwi.

INŻYNIER RAWA

(uradowany)

O! O wilku, a onże w ogródku...!

Wybiega z jadalni i otwiera drzwi bez sprawdzania, kto przyszedł. To, co widzi przed sobą, powiększa mu oczy do rozmiarów filiżanek, a przede wszystkim przerzuca w środek filmu.

WNĘTRZE. DOM INŻYNIERA RAWY - NOC

Drzwi wejściowe wylatują z futryny [FX] i wpadają do środka razem z INŻYNIEREM RAWĄ (40). Do domu wchodzi TEŚCIU (63). Ma strzelbę i błędny wzrok.

INŻYNIER RAWA

(wystraszony)

Tato, ja to wszystko wyjaśnię zinterpretuję...!

Teściu przeladowuje strzelbę. Inżynier Rawa zrywa się z podłogi i ucieka do jadalni. Goni go seria strzałów. Błyski. Naboje robią niewiarygodne dziury w ścianach, kolumnach, meblach - wszystko zamienia się w pył.

[detale] Łuski spadające na podłogę. Kowbojskie buty na podłodze, zbliżające się do jadalni.

Przerażone twarze Inżyniera Rawy i ANITY BUŁAS (20). Słyszą zbliżające się kroki. I ponowne strzały - najwyraźniej Teściu postanowił zdewastować cały dom.

Mocne kopnięcie wyważa drzwi jadalni. Teściu staje na przeciw Anity i Sebastiana.

INŻYNIER RAWA

To koleżanka bynajmniej...! Aktorka...!

Teściu nie słucha. Strzela. Anita - trafiona w klatkę piersiową - leci przez całą długość jadalni [slow motion] i roztrzaskuje się na ścianie.

INŻYNIER RAWA

No i co tata narobił? I kto to teraz posprząta?

TEŚCIU

Już nie ty, synu... Już nie ty...

Strzał. Głowa Sebastiana roztrzaskuje się na kawałki [FX]. Ostatnie pociski uderzają w podłogę, [slow motion]

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, nim jednak pułkownik Florian Szmaroń zdołał cokolwiek rzec, Sebastian Rawa zatrzasnął mu drzwi przed nosem. A po sekundzie upychał Anitę w szafie, po raz już drugi tej nocy.

- Jak cię fakam, co to za podludzie z tych paparaców! - pojękiwała piękna żółciostoczanka, wpasowując się między sukienki Ilony Rawy. - Pogoń, Sebi, sflądrysynów, zanim nam klapnie, a potem...

Jeszcze nigdy nie zamykał w szafie tak zmysłowego uśmiechu.

A już po chwili sam się uśmiechał, stojąc w szeroko otwartych drzwiach, z myślą, która niczym dzwon dzwonów, co zgony pokrajskich królów przed wiekami obwieszczała, dzyndziliła mu w głowie: że życie to nie film i niech tak zostanie.

- No, darzbór, darzbór! - przywitał się wylewnie. - A czemuż to nie przy różańcu obronnym znajduję?! Oczywiście, radość to dla mych oczu wielka tak prześwietnego pułkownika oglądać ponownie, aliści się turbuję, by niebytność taty na granicy krajowej jakiego to uchyłku w modlitewnym pancerzu naszej ojczyzny nie wydziabiała!

Niestety, Florian Szmaroń zignorował grzeczne przywitanie i spojrzawszy na zięcia spodełbnie, burknął:

- Sznur, synu, masz...?

Sebastian Rawa poczuł, jak w okamgnieniu wiotczeją mu podwójne helisy w łydkach.

- Ale tato, co tata? A porozmawiać...? Po co od razu sznur że?!

Jednak emerytowany komandos po raz kolejny nie podjął rozmowy i przestawiwszy w progu zięcia, jakby ów nic nie ważył, wniknął do środka.

Chcąc nie chcąc, zgasyły z lęku inżynier podreptał więc za nim.

I dopiero teraz, gdy wspólnie z teściem przyglądał się wewnętrznym spustoszeniom, pojął, jaka groza zaszła w jego rodzinnym gniazdku. Bo choć od ostatniej bytności pułkownika Szma-

ronia nie minęły dwie doby, dom państwa Rawów wyglądał, jakby przewaliły się przezeń wszelkie barbarie od Hunów po kiboli, a ziemia zatrzęsała się tu nie raz i nie dwa, w następstwie czego rabusie szkolili w tym miejscu złodziejski narybek, a dzicy lokatorzy uznawali je za perłę skłotów.

Przez zawalony piętrami konserw przedpokój trzeba się było przeciskać do jadalni ciasnym wąwozem. Tam również straszyl „Saperski przysmak”, w ostatniej chwili podpisywany przez Annę Glass. Ze ścian przerobionego na prowizoryczne studio filmowe pomieszczenia zwisały udające fotograficzne tła szare szmaty, które Adaś w pośpiechu przybił pokrzywionymi gwoździami. Podłogę pokrywała przyklejona czarną taśmą folia malarska, na niej stały kamera i lampy. Nie było prawie mebli, bo większość przeniesiono do innych pomieszczeń, z których także usunięto sprzęty, po to jedynie, by zrobić miejsce rzeczom z jadalni. Dosłownie wszystko uległo dekompozycji, więc Florian Szmaroń wodził teraz nicnierozumiejącymi oczami z lewa na prawo, nie rozpoznając topografii terenu. Co chwilę podnosił też z podłogi jakiś przedmiot, niczym sanitariusz na pobitewnym polu, który poszukuje w zastygłych ciałach choć płomyka życia, a kiedy go nie odnajduje, układa je z szacunkiem i rusza dalej.

Przybity inżynier szedł krok w krok na teściem, zdając sobie sprawę, że teraz to już się żadną miarą nie wywinie. Że wyrok już był zapadł, a pułkownik komandosów, wysłany tu przez jakiś formalistyczny organ, jakiś trybunał zakamieniałej ostateczności, przechodzi z pomieszczenia do pomieszczenia i lustruje każdy kąt jedynie dla zebrania jak największej liczby dowodów, łącznie z głównym, który ciągle siedział - ciepło, ciepło, coraz cieplej! - w sypialnianej szafie.

Wszelako Florian Szmaroń szafy nie otworzył, bo tuż przed nią, rozgrzebawszy wielką stertę ciepniętych w pośpiechu na podłogę ubrań, znalazł holowniczą linkę do passata. I dopiero wówczas zazezował na zięcia, a oko miał tak zimne, że Sebastianowi Rawie serce zabiło żwawiej, choć w synkopie, której kardiologzy nie pochwalają.

- Chodź, synu, miejmy to z dyni...

Inżynierowi się zdało, że zwalisty ekskomandos bardziej owo zdanie wycmokał, niż wypowiedział. Jakby nie to, co się za chwilę stać miało, było jego głównym problemem, ale jakiś ubytek w zębie, przed sekundą odkryty.

A kiedy na dobitkę teściu jął fachowo wiązać linkę w złowieszczą pętlę i po chwili mocować ją na haku żyrandola, niepokój inżyniera wskoczył na leweł łocdefak!

Powiesi mnie, raptus zabździały! - zadrzał Sebastian Rawa, a intuicja dopowiedziała mu, by stanowczo nie lekceważył owej intuicji. Więc zakrzyknął niczym prorok, co przestrzega zatwardziały lud przed złotocielstwem bądź herezją:

- Nie godzi się pochopnie sytuacji oceniać postrzegać, tato! Bo jeśli nawet... postawmy taką tezę... miejsce miała pewna lekkomyślność zawstydzająco wręcz lekkomyślna, którą... idźmy dalej w dywagacjach... moglibyśmy uznać za grubo błąd, aliści przecież... tato...! nie zapominajmy, że życie to coś więcej niżli tylko forma istnienia białka czy system sprzężeń zwrotnych ujemnych, podporządkowanych sprzężeniu dodatniemu, który można wyłączyć prostym klik-klak naprężonej liny! O, nie, nie i jeszcze raz nie!

To powiedziawszy, wybiegł na środek jadalni i chciał jeszcze mocniej przyrejtanie, atoli stryczek tam zawieszony zachocholił go nieprzyjemnie w czubek głowy. Zmieszał się tedy, odskoczył i z kątką jadalni kontynuował już znacznie ciszej:

- Bo życie to pudełko czekoladek, proszę taty... Które należy zjeść do końca, proszę taty... Do ostatniusiego sreberka bądź złotka, bo różnie z tym, proszę taty, bywa...

Psu w tylek owa oracja jednak się zdała, bo gruboskór, łypnąwszy na zięcia bez najmniejszego dla jego argumentacji szacunku, wycedził:

- Jako memlaka cię poznałem, jako memlaka żegnać nie chcę! Więc sklej szast-prast wary, synu, i choć w ostatniej godzinie męzczyzną mi bądź!

Biedny Sebastian Rawa! Zwęszywszy, że jak dwa razy dwa przyszło mu właśnie żegnać padół, zdeformował się na wylęknionym obliczu i zakwilił kozio:

- Ale tato, ojciec nasz wszechmogący, ty ojca nie odbieraj córuni, co ojca potrzebuje, kruszyna...

Na owe słowa twarz teścia oblekła się kontuzją wprost atletyczną.

- A na chuj jej ojciec, jak męża ma? - wysapał zdumiony pułkownik.

- Męża ma? - zakrzyknął nie mniej zaskoczony inżynier.

Florian Szmaroń przeszył zięcia spojrzeniem ocennym i zimnym.

- Co to za mąż, faktycznie, dupy nie urywa. - Skrzywił się, choć bez złośliwości, raczej z kwaśnym splinem. - Pociechy nigdy z ciebie nie było, synu, więc może, do purwy, dasz mi się przynajmniej w spokoju powiesić, rozumiesz-wiesz!

Sebastian Rawa wybałuszył szeroko oczy.

- Siebie chce tata wieszać?!

- A kogo?! - zawył Florian Szmaroń głosem Hioba, któremu dojadło już do cna. - Kto jeszcze na tym gównianym świecie z własnego życia w dwa dni Sodomę z Gomorą uczynił?

W owym pułkownikowym skowycie objawiła się taka żalność, iż po raz pierwszy w życiu inżynier Rawa miał ochotę teścia przytulić i ukołysać. A zaraz potem opowiedzieć mu o swoich ostatnich pierepalkach, bo przecież nic tak w nieszczęściu nie pociesza Pokrajaka jak nowotwór sąsiada. W końcu jednak uznał, że pytanie teścia miało charakter retoryczny, i zbył je milczeniem.

Wszelako ów nie milczał, zatem w następnych chwilach główny specjalista od utylizacji odpadów komunalnych, udający - co pamiętamy! - od niecałych czterdziestu ośmiu godzin reżysera, obejrzał film z życia Floriana Szmaronia, który - co wszak także nie umknęło naszej pamięci! - miał się w tym samym czasie modlić z ojcem uzdrowicielem Dininzulu Mbararą, a bezpośrednio potem z Różańcową Husarią Przygraniczną.

I słuchając teścia, odniósł inżynier Rawa wrażenie, że jego opowieść była filmem akcji, którego nie powstydziliby się ten i ów, co włodarzą światowym kinem.

PLENER. PRZED DWORCEM AUTOBUSOWYM - DZIEŃ

Autobus odjeżdża. Uśmiechnięci Inżynier Rawa i Teściu machają sobie na pożegnanie.

WNĘTRZE. NIELEGALNE KASYNO - DZIEŃ

Zadymione wnętrze kasyna. Kulka kręci się w ruletce. Obrazki ustawiają się w automacie do gry. Kości toczą się po zielonym suknie. Sprawne ręce tasują karty.

Teściu zagarnia żetony i pieniądze. Pali cygaro. Obok niego piękna DZIEWCZYNA. Teściu całuje ją w szyję.

Pieniądze wysypują się z automatu. Teściu i DWIE DZIEWCZYNY. Śmieją się. Zgarniają monety.

Teściu zagarnia jeszcze więcej żetonów i pieniędzy. Pije whisky. Obok niego już TRZY DZIEWCZYNY. Podpalają mu cygaro studolarówką.

Nagle [FX] jedna z trzech Dziewczyn znika. Znika też część żetonów i pieniędzy. Lekko zdziwiona twarz Teścia.

Znika druga Dziewczyna i następna część żetonów i pieniędzy. Mocno zdziwiona twarz Teścia.

Znika trzecia Dziewczyna i ostatnia partia żetonów i pieniędzy. Przerazona twarz Teścia.

Sprawne ręce rozdają karty. Mocno niepewny Teściu ściąga zegarek i kładzie na stole.

Teściu kładzie na stole kluczyki od skody i różaniec.

Teściu podpisuje akt notarialny.

Kości toczą się po zielonym suknie.

Dwóch OSIŁKÓW wyrzuca Teścia na ulicę.

Pojawia się napis: THE END

Ukazawszy zięciowi dramatyzm ostatnich dób, teściu popatrzył cmentarnie na stryczek, przyciągnął stołek, wdrapał się nań i odezwał ze strutą miną:

- Czas przestać śmierdzieć na tym łez padole...

Wystraszony nie na żarty inżynier Rawa złapał go za nogi.

- Niech tata to przemyśli, jeszcze przekonfiguruje! - jął przekonywać.

Stojący nad nim - a i nad grobem! - pułkownik komandosów niemal się wzruszył. I uświadomił sobie, że zięć był z owego chłopczyny bardziej niż chromy, za to ordynans mógłby być doskonały. A także, że daleko pada jabłko mojry od jabłoni możliwości.

- Uczyniłem to już, drogi Sebo! - rzekł Florian Szmaroń, czując się jak Leonidas, przemawiający po raz ostatni do swoich trzystu. - I wolę, by mnie posiadał w oko kondor śmierci, niżbym tłumaczyć miał, gdzie dom i skoda, ślubnemu führerowi!

Cecylia Szmaroń w szale uzasadnionym? No tak, był to obraz, który prawdziwie przemawiał do wyobraźni. Więc choć bardzo inżynier Rawa nie chciał, by do całego pierdzielnika przyplątał mu się jeszcze dyndający w jadalni teściu, wszelako nie potrafił przywołać żadnego kontrargumentu, który by ową potrzebę

definitywnego zniknięcia z oczu ślubnemu führerowi - jak to celnie zostało nazwane - mógł unieważnić.

Florian Szmaroń doskonale wyczuł konceptualną bezradność zięcia i założywszy sobie pętlę na szyję, jęknął cicho:

- Tyrpniesz mi stołek, synu? Gdyż jako rechrystianin uczynić tego nie mogę...

Sebastian Rawa zadrzał, bo choć miał w życiu zawsze ciężko, jeszcze nikt nigdy nie poprosił go o coś równie okropnego. W pierwszej chwili chciał się nawet rozplakać, ale cóż by to dało? Więc odsunął się od stryczka, by zyskać lepszą perspektywę, i zakrzyknął, ile sił w płucach:

- Niech tata mnie nie wplata! Nie czyni ze mnie kata! Ze zbrodnią mnie nie swata, chcąc z bożych odejść łąk! To taty jest prywata, by zmienić się w denata! A ja gestem Piłata umyвам brudek z rąk!

Zamierzał przy tym zaprotestować jeszcze na wiele innych sposobów, albowiem w głowie kłębiły mu się niezliczone jamby, trocheje oraz amfibrachy, gdy niespodzianie posłyszał melodię znajomą i nieznaną zarazem:

We are the champions, my friends

And well keep on fighting till the end...

I poczuł, że wibruje mu śledziona, a kiedy się schylił, zauważył, że jednak nerka. I jął z niej wysupływać komórkę, z tejże zaś niosło się tymczasem:

No time for losers

'Cause we are the champions of the world...

Jak to było? Zielona słuchawka! Palec! Start!

- To ty?! - ucieszył się inżynier na powitanie, bo skoro jego numer znał na całym świecie wyłącznie Adaś, zagadka hudehelysdy? nie należała do szczególnie trudnych.

A jednak - jak to mówią - nie mów hop przed zachodem.

- Nie, nie ja - ozwał się po drugiej stronie celularnego łącza głos zgoła nie Adasiowy. - Pan Pollański? Hotel Patria przy aparacie.

I rzeczywiście pod pobzykującym hotelowym neonem, wśród imperialnych marmurów i palisandrów kolebał się właśnie garbaty recepcjonista z wykałaczką w ustach, a obracając w palcach dowód osobisty najlepszego przyjaciela inżyniera Rawa, sączył do bakelitowej słuchawki:

- Rembelski Adam... Pan kojarzy?

- Oczywiście - potwierdził Sebastian Rawa zgodnie z prawdą.

- Nie żyje.

- Nie żyje? - powtórzył jak echo inżynier, bo na więcej nie było go stać.

- No, prawie - padło w odpowiedzi. - Ale by pan był tu, zachodzi niezbędność, potrzeba!

I nim Sebastian Rawa zdołał dopytać o detale - które w przypadku życia i nieżycia mają jednak znaczenie! - skoliotyczny gnom się rozłączył.

Kochanka w szafie, teść z pętlą na szyi i nieżyjący przyjaciel. No, prawie. Są w życiu tak zwane złożone sytuacje i owa z pewnością do nich się zaliczała.

- Tata poczeka z tym zabijaniem, prolonguje nieco! - wrzasnął inżynier głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Ja teraz wyjść muszę, potrzebuję! Wrócę i powieszę tatę jak należy, promis!

I nie czekając na reakcję teścia, wybiegł z domu.

Przygoda ósma, czyli Bujanie łódką

Narcyz Barszcz krzyczy na belce. Jam jest prawo i sprawiedliwość. Szpitalna wstęga Möbiusa. Czy czarne to białe? Kłopotliwa niewitalność Adasia Rembelskiego. Becia puka do złego zamku. Farszawa w koglu-moglu. Anita z szafy do łóżka. Teściu od stryczka do staniczka. Co wiedzą drzewa? Cynowy Książę melduje się w ogrodzie. Macie sześć godzin, szerloki!

Narcyz Barszcz krzyczał przeraźliwie i Eligiusz Krumpolc musiał sobie włożyć korki w uszy, by się skupić. I choć zamknął się naprawdę daleko - w celi na przeciwległym końcu korytarza - to wycie podskarbnika regionalnego niosło się i niosło wzdłuż ścian i po lukach, nie pozwalając zebrać myśli. A przecież tyle rzeczy wymagało pilnej analizy.

Okazało się, niestety, że trop podany przez kadeta Bożydara Bobro jest mylny: w puszkach „Saperskiego przysmaku” był wyłącznie „Saperski przysmak”, nic więcej. Co prawda pyzaty gówniarz nie wiedział dokładnie, jaką tajemnicę kryły w sobie wojskowe konserwy mięsne zgromadzone w podziemiach Sierocińca Narodowego, jednak z całą przenikliwością swojego denuncjatorskiego umysłu podkreślał, że nigdy nie widział, by siostra Irena i jej przyjaciel czemukolwiek innemu poświęcali tyle uwagi. A że kapuś był bystry, nie należało tego lekceważyć.

Niestety, choć wypatroszyli setki konserw, metodycznie sprawdzając każdą z palet, nic w nich nie znaleźli oprócz półmiesnej brei, która siała fetor tak odrażający, że Eligiusz Krumpolc musiał szybko wyjść z owego liszajowatego magazynu, by nie zwymiotować. Zresztą nie było już w nim po co dłużej tkwić. Narcyz Barszcz zgrywał gieroja, milcząc zawzięcie, a jeśli się odzywał, to wyłącznie, by trajkotać jak katarynka, że „to nocne najście domu, w którym śpią dzieci, jest nielegalne i ma charakter barbarzyńskiego zajazdu”.

Naiwna wiara tego idioty w jakieś - pozał się Boże! - prawo (które, na dodatek, ten łachudra sam regularnie łamał) niepomier- nie kraljidera Konfraterni Wielkiego Pokraju bawiła, więc pochy- liwszy się nad leżącym na podłodze w pulpie z tłuszczu i soli pod- skarbnikiem regionalnym, wycedził:

- Jam jest prawo i sprawiedliwość, Cyziu...

I już-już chciał tego żalosego robaczynę olać, gdy Narcyz Barszcz odszczeknął się kundlowato, okrzykując go żalosem i strasząc Pierwszym Obywatelem.

Błąd, gnojku! - pomyślał Eligiusz Krumpolc i strącił kilka nieistniejących pyłków z rękawa nowego munduru. Skromnosza- rego jak życie zwykłego Pokrajaka i z tego powodu idealnego na czas przejmowania władzy.

Właściwie to nawet lubił określenie „gnom” i nie widział w nim nic obraźliwego. W końcu sam tak siebie często również określał. Atoli uważał, że wyłącznie karły mogą go używać. Po- podobnie jak tylko Murzyni mają prawo nazywać się „czarnuchami” i jedynie homoseksualiści mogą się wyzywać od „pedałów”. Nie miał jednak czasu, by to wszystko teraz temu kretynowi objaśniać, i gdyby chodziło wyłącznie o inwektywę, machnąłby ręką.

Wszelako straszenie Pierwszym Obywatelem, którego naj- wyraźniej - co za rozczarowanie! - Narcyz Barszcz naprawdę uważał na najważniejszą instancję pokrajskiej władzy, sprawiło Eligiuszowi Krumpolcowi wielką przykrość. A wobec braku szczerości we wszystkich pozostałych kwestiach, tej akurat praw- domówności, jakże tu zbędnej, nie należało owemu kundlowi puszczać płazem.

Zatem pochyliwszy się raz jeszcze nad leżącym w sosie z wieprza dziadygą Eryka Sabadury, Eligiusz Krumpolc wycedził:

- Chcesz się skarżyć, tępy nożu? Dobrze. Znajdziemy ci za- tem powód.

Co powiedziawszy, rozkazał szefowi pionu bezpieczeństwa Maksymowi Wódmętowi, by powiesił kochanka siostry Ireny na tęczowej belce, wspierającej jeden z magazynowych łuków.

- Głową do dołu, by skruszał jak zajac - dodał, a potem wyszedł.

Tymczasem - w innej części Domu Orłat Sierocińca Narodowego - Fabrycy Flus i Dźwigosław Drwalski przesłuchali wszystkie zakonnice. Również nie objawiały nadmiernej wylewności, dowiedziano się jedynie, że siostry Ireny nie ma, bo pojechała odwiedzić opóźnionego w rozwoju brata.

Uwiadomiony o tym, Eligiusz Krumpolc mocno się zdziwił. Nigdy wcześniej nie słyszał, by przełożona generalna miała jakiegokolwiek rodzeństwo, w dodatku niedorozwinięte. Również w raportach, które o niej pilnie czytał, nic o podobnym fakcie nie wspomiano. Poważna skucha wywiadowcza - zakonotował i postanowił ukarać naganą szefa biura analiz, konfratra drugiego stopnia Fabiana Wabnego.

Wszelako nie miał najmniejszego powodu, by się tą informacją denerwować. Zwłaszcza od chwili, gdy obszarlider dystryktu zachodniego Joachim Jaszczułg przyniósł mu znalezione na biurku przeoryszy Domu Orłat fotografię z podpisem: Siostruni - Seba. Osobnik ze zdjęcia ewidentnie wyglądał na imbecyla, zatem i wizyta u niego siostry Ireny nie mogła się wiązać z czymkolwiek, co karlich Wielkopokrajaków powinno aktualnie niepokoić. Po prostu taki zbieg okoliczności.

Rozległo się pukanie, a po chwili do celi weszła młoda mniszka, która się przedstawiła jako siostra Hiacynta i cicho spytała, czy napije się kawy. Gdy odmówił, znikła równie bezszelestnie, jak się pojawiła. Wyglądała na snadź sympatyczną, wszelako Eligiusz Krumpolc miał żelazną zasadę, by nigdy niczego nie brać od zakonnicy, więc gdyby nawet po wielotygodniowym marszu po pustyni jakieś mnisze indywiduum zaproponowało mu bukłak wody, nie przełknąłby ani kropli.

Lata dziecięcych cierpień pod sadystycznym knutem siostry Michaeli i jej podwładnych zrobiły swoje i krajlider Konfratrów Wielkiego Pokraju nie żywił złudzeń, co do charakteru całej pokrajskiej formacji sukienkowej, bez względu zresztą na płeć. Pasożyty - inaczej o nich nie myślał. A gdy przyglądał się chciwości,

rozpuście, gniewowi, zachłanności, lenistwu, pysze i próżnej chwale ojczystego duchowieństwa, brało go na obrzyd i rzyg.

Z czasem jednak pojął, że bez pomocy Kościoła pozostanie na zawsze śmiesznym karłem bez znaczenia. A że miał potężne ambicje polityczne, tedy zdusił przymus krytykowania klechów i przypomniawszy sobie wszystkie modlitwy, które mu w zakonnym bidulu wbijano do głowy bolesnymi uderzeniami liniałów i katechizmów, zaczął się ostentacyjnie afiszować z religijnością.

Przyklękiwał więc tam, gdzie już klęczano, cytował obficie Xięgę, ścisnął się z purpuratami i przy fotografiach obcałowywał ich pierścienie, a wszem wobec nieustannie powtarzał, że rechrystiaństwo jest filarem pokrajskiej tożsamości, że jest ostoją tutejszego współziomalstwa i matecznikiem etnicznego jednoródtwa, fundamentem panrodackości, bastionem dobrego imienia i redutą jeszcze lepszego samopoczucia, że jest kośćcem, drzewcem, ogniem i mieczem, pustynią w puszczy i jądrem jasności, a kto tego uznać nie chce, niech wnet spierdala na niemieckie drzewo.

Początkowo wszyscy robili sobie z tego śmichy-chichy, a ten i ów często gęsto wynajdywał zdjęcia, na których Eligiusz Krumpolc - w zbyt dużych gaciach, z wymalowanym uśmiechem i czerwoną kulką u nosa! - kopany był w tyłek przez inne klauny, otrzepywał się z końskiego łajna lub gasił świece pierdnięciem. Z czasem jednak publikowano takich obrazków coraz mniej i mniej, a w ich miejsce poczęły się pojawiać zupełnie odmienne niusy. I z nich to dowiadywali się Pokrajacy, że będąc kiedyś z cyrkiem za granicą, Eligiusz Krumpolc uratował dziewczynkę z pożaru, że lubi samotne wyprawy w góry, kiedy to kozice jedzą mu z ręki jak świętemu Franciszkowi, albo że był już przewściekle bogaty, jeno wszystko rozdał sierotom i wdowom, a teraz musi tyrać świątek piątek jak każdy uczciwy człek.

Po wielu latach systematycznego imprintingu nikt w Pokraju już sobie nie żartował z dawnego klauna. A zwykli ludzie - gdy ich pytano o Cyrk Pincla - powtarzali, że każdy musi od czegoś zacząć i że im również nie wszystko się od początku udawało. Najważniejsze, by wyjść na ludzi! - dodawali, zapominając, że był

to slogan, który im wdrukowano, reklamując Eligiusza Krumpolca jak jogurt czy lek na wzdęcia.

I byli krajliderowi Konfraterni Wielkiego Pokraju już tylko wdzięczni. Bo skoro takiemu pokurczowi, co przez pół życia tkwił gębą w gównie, udało się z niego dźwignąć, to i im się też, purwa, uda!

Dość szybko pojął Eligiusz Krumpolc, że polityka ani na jotę nie różni się od cyrku, w którym był prawdziwym mistrzem. A jego karłowatość jest Pokrajakom niezbędna, bo codziennie przeglądają się w niej, dostrzegając swoją niekarłowatość, ta zaś dla wielu jest wszystkim, czym się mogą w życiu pochwalić.

Zrozumiał też, że ci, którzy widzą w nim karła, karła i tylko karła, nie czują się od niego ani trochę lepsi, zupełnie nie. On im tylko po prostu sobą przypomina, że nie są karłami. I właśnie za to są mu najbardziej wdzięczni, a z tej wdzięczności chętnie zgodzą się go hojnie uhonorować. Tak jak się honoruje starca w tramwaju, ustępując mu miejsca. Bo owo ustąpienie jest widomym potwierdzeniem bycia nie-starcem, a to z pewnością dla wielu jest warte więcej niż ból nóg czy kręgosłupa.

I postanowił to wykorzystać. Zwłaszcza że tych, co mu się nisko kłaniali, myśląc: wspaniały, choć karzeł! - miał głęboko w dupie. Byli dla niego wyłącznie mierzwą. Swój chleb zamierzał bowiem wypiec z tych, co dopiero dojrzewali. Musiał ich tylko skarlić, nim bezmyślnie wzrosną i patrząc na takich jak on z góry, utwardzą się w pogardzie.

I wiedział, że jeżeli mu się to uda, zatrze na zawsze różnice, które wszystko dotąd psuły. I już nikt nigdy nie będzie na niego patrzył jak na raroga i nareszcie - po tylu latach nieznośnych upokorzeń! - zostanie tym, kim przecież od zawsze jest.

Zbawcą narodu.

Drzwi się otworzyły i do celi wszedł kardynał Fabrycy Flus.

- Trzeba by już chyba ściągać gada z liny, bo jeszcze nam tu kojfnie! - krzyknął od progu.

- Czytałem o magiku, co wytrzymał tak sześćdziesiąt godzin - wrzucił ramionami Eligiusz Krumpolc. - A finansisci są twardsi od magików.

Zachichotali obaj.

Fabrycy Flus podszedł bliżej i wyjąwszy z kieszeni sutanny srebrną piersiówkę, jakże pasującą do klamerek przy butach, podsunął ją krajliderowi pod nos. Ów wyciągnął po nią rękę, a wówczas kardynał cofnął swoją.

Znowu się roześmiali.

To był ich stały rytuał, powtarzany od lat. W rzeczywistości Eligiusz Krumpolc nigdy nie tykał alkoholu, a Fabrycy Flus nigdy się nim nie dzielił. Teraz pociągnął potężny łyk i powiedział:

- Ale podskarbniczek naprawdę więcej nic nie wie, mój Giuszku.

Tylko on jeden w całym kosmosie tak się do Eligiusza Krumpolca zwracał. Krajlider Konfraterni nie przepadał za tym, ale Fabrycy Flus niewiele sobie z tego robił. Na szczęście był to naprawdę drobiazg wobec licznych zalet, jakie kardynał posiadał. Dlatego zbawca narodu udał, że tego w ogóle nie usłyszał, i zapytał:

- Wierzysz mi?

- Wierzę - odpowiedział bez wahania Fabrycy Flus.

Eligiusz Krumpolc załapał na niego przenikliwie.

- Dlaczego?

- Bo wierzący jestem.

I roześmiali się po raz kolejny.

Tymczasem w zupełnie innej części miasta brat siostry Ire-ny - cokolwiek przedwcześnie uznany przez krajlidera konfratrów za imbecyla! - walczył z imbecyлизmem zupełnie innej mniszki.

- Nazwisko? - głos zza komputera wybrzmiał niczym pogwizd kosy.

Przyszło mi błędzić po wstędze Möbiusa - jęknął w duchu Sebastian Rawa i odburknął:

- Rembelski Adam.

- Nie denata! Własne! - zaświszczał ponownie głos. - Procedur nie zna?

To już bezczelność! - pomyślał Sebastian Rawa i zakrzyknął:

- Żądam natychmiastowego widzenia z przyjacielem!

Szurnęło głośno krzesło i znad ekranu wychynęła pyzata fizis, ni to dziecięca, ni starcza, z wąskimi kreskami świdrujących oczu.

Siostra Roderyka, zastępczyni przełożonej personelu pozalekarskiego w szpitalu imienia Trzech Młodzianków Cudem Ocalonych W Piecu Ognistym - informowała tabliczka stojąca na biurku.

Antańkowata zakonnica wwiercała w niego lodowate spojrzenie.

- Pytam, czy procedur nie zna?

Gadaj zdrów! - pomyślał inżynier. Zdrowa! - skorygował, wszelako uparcie milczał.

Za to mniszka, uśmiechnąwszy się cierpko do pielęgniarki, z zapamiętaniem wypełniającej przy sąsiednim biurku dokumentację szpitalną, zachichotała:

- Ordnunżek musi być...

Kobieta obok pokiwała głową.

Sebastian Rawa poznał ją od razu, rozmawiali przecież poprzedniej nocy. Telimena Oszloch. Raczej miła, więc również się do niej uśmiechnął. Ku jego zdziwieniu, nie zareagowała.

Tymczasem siostra Roderyka wróciła do poprzedniej śpiewki:

- Nazwisko?

- Rawa Sebastian - jęknął główny specjalista farszawskiej odpadologii. - Magister inżynier.

- No i bardzo zacnie - rozpromieniła się zakonnica. - A teraz, zgodnie z regulaminem naszej placówki religijno-leczniczej, uwiadomimy magistra inżyniera o duszpastersko-funeralnym pakiecie „Winda do Nieba”, który jest prawdziwą dumą naszą i nie waham się, że perłą w koronie...

Jej monotony głos zlewał słowa w foniczną breję. By od niego uciec, Sebastian Rawa wyjrzał za okno.

Świtało.

Dwie godziny wcześniej wybiegł z domu, porzuciwszy teścia, który się wieszał, i pognął do hotelu Patria, gdzie jego najlepszy przyjaciel również przenosił się na tamten świat. Lecz kiedy dotarł na miejsce, Adasia już tam nie było.

- Literalnie kwadrans temu odjechał karetką - poinformował garbaty recepcjonista, a zajrzawszy w papierzyska, cmoknął: - Nie uiściwszy.

Siedzący przy nim kelner o twarzy konia wykrzywił się i zajęczał, jakby był opętany przez czartowskie duchy.

- Nakazuję ci, uspokój się! - osadził go skoliotyczny gnom, a potem wygiął twarz w płonnej nadziei, iż obdarza inżyniera słonecznym uśmiechem. - Pan wybaczy, kochany panie Pollański, ale ów człek wiele w życiu przeszedł, a straszliwa jego historia jasnym jest dowodem ponurej siły, jaką anioł ciemności wywiera na naszą Patrię. Opowiadanie jego może się łącznie przysłużyć pańskiemu zbawieniu, rozkażę mu więc teraz, aby zaczął mówić...

- Pochlebia mi, hotelrzysto, twa troska o me zbawienie, atoli pozwól, że o tern potem! - przerwał mu inżynier Rawa wcale grzecznie, by już po sekundzie rozwiercać tutejsze marmury i palisandry rykiem pogańskiego monstra: - Teraz zaś wołaj mi łan-tufri podwózkę do szpitala, bisurmanie! I módl się, bym kontroli na was nie nasłał! Wy szelmy! Wy indywidua szemrane! Langustą-bójcy w dziuplę dziabani!

I krzyczał jeszcze długo, a złapserdaczywszy hultajów do samego zdechu, nie tylko nie zapłacił grosza, ale jeszcze przejechał do szpitala na koszt Patrii. A jako że droga nie była krótka, zdążył w niej ochłonąć i z niejakim zdziwieniem zauważył, iż mimo nocnej pory Farszawa jest pełna ludzi. Wszelako nie turystów, zakochanych czy będących pod dobrą datą, lecz osobników dziwnie napiętych, przemykających pod ścianami w sposób jawnie konspiracyjny, pojedynczo lub grupkami, w przygarbieniu i okapturzeniu, ewidentnie coś skrywających w wypchanych tor-

bach i niegabarytowych zawiniątkach. I uświadomił sobie, iż nie miał pojęcia, że aż tyle osób w tym mieście cierpi na bezsenność.

- Czy on mnie słucha? - świszczący głos siostry Roderyki wyrwał go z zamyślenia. - Czy on mnie nie słucha?

- Nie słucha - odpowiedział inżynier zgodnie z prawdą.

Wiceprzełożona personelu pozalekarskiego skrzywiła się z niesmakiem.

- Lewacką czelność w nim dostrzegam, a i nadjordańską hucpę, która w niczym zmarłemu jego pomoc nie pomoże... - wymlaskała, a łypnąwszy na ekran komputera, poprawiła się: - ...umierającemu w sensie, bo zauważam, że sprawa jeszcze w toku...

Wstała zza biurka i zrobiła kilka kroków, najpewniej, by zebrać myśli.

- Wszelako przezorny zawsze szybciej zbawiony, jak to mówią - zasapała. - Sugeruję zatem, by o najpewniejszej ścieżce do Pana pomyśleć zawczasu, zwłaszcza że...

- Ale ja to już wszystko wiem! - wszedł jej bezceremonialnie w słowo inżynier i jął pospiesznie wymieniać, odliczając na palcach. - Wiatyk dożylny, algami namaszczenie, dłoni fachowe uładanie, luster zasłanianie, pośladkami zamykanie, słonymi paluszkami na stypie częstowanie i co tam jeszcze było...? Aha, autokar z klimą!

Siostra Roderyka zafalowała szparkami oczu. Była tak zaskoczona, że Sebastian Rawa zachichotał w duchu. Od początku babsko mu się nie podobało, więc miał teraz frajdę, że mógł jej przytrzeć nosa. Tak wielką, że postanowił jeszcze docisnąć, by zakończyć ów nierówny bój szachmatową kropką nad i.

- No i ławy, na których trumna stoi, powywalać myk-myk, a grzebień w pizdu spalić! - popatrzył mniszce hardo w oczy.

Aliści ku swemu zaskoczeniu nie ujrzał w nich prośby o pardon. Przeciwnie - spojrzenie siostry Roderyki było mu nieprzyjemnie wprost znane. Tak właśnie łypali wszyscy, którzy w ostatnich czterdziestu latach uważali go za największego idiotę na Ziemi. Albo - w najlepszym wypadku - za jednego z trzech.

- Czy on się dobrze czuje? - wykrzywiła się siostra Roderyka. - Czy on się dobrze nie czuje?

- Nie czuje - powiedział Sebastian Rawa, znowu zgodnie z prawdą.

- Kto mu takich głupot nawsadzał?! - warknęła mniszka.

- Ona - wskazał pielęgniarkę, z wielkim zapamiętaniem skrobiącą ciągle w szpitalnych księgach. - Ta tu oto Telimena Oszloch poprzedniej nocy.

Długopis w rękę kobiety się zatrzymał, a inżynier odniósł wrażenie, że pielęgniarka boi się nań spojrzeć. Zupełnie przeciwnie niż siostra Roderyka, która z ambarasującą mgiełką w oczach (jaka nad wyraz często oddziela jasność umysłu od niepoczytalności) poczęła mleć słowa w kadencji niepokojącej.

- Co on tu nam judzi, szalejem wprost trąci, a dowody na to aż dwa! Po primo wspaniała nasza tu pracownica, którąż w urojeniu swym hultajskim wskazał bezpodstawnie, ona nie mogła nic mu! Ni wczoraj, ni wcześniej! Albowiem ze względu i za przyczyną ślubu milczenia! A był ów ślub złożony przed laty-laty hen! I od onego czasu ona ni mru-mru! Nic, po prostu nic! Oto więc dowód numer raz!

Inżynier Rawa popatrzył szybko na pielęgniarkę, mając nadzieję, że zaprzeczy. Stało się jednak przeciwnie, bo kobieta potwierdziła wszystko nerwowym ruchem głowy.

A siostra Roderyka kontynuowała swój osobliwy wywód:

- Mało tego, ale prócz tego i na dobitkę nie jest to też w ogóle Telimena Oszloch! Gdyż jest to Meluzyna Oszloch, siostra jej bliźniacza! Bo taki tu mamy w placówce podział, że Telimena pod siostrą Brygantyną służy, a Meluzyna... moja kochana Meluzynka... przy mnie zaś wiernie stoi, choć zazwyczaj siedzi! I to by było po drugie, a *quod dixi, dixi!*

Meluzyna Oszloch ponownie kiwnęła głową, a Sebastian Rawa pomyślał, że w tym dziwnym miejscu ma miejsce demoniczność nie do wytrzymania. Więc by odegnać złe aury, poderwał się z krzesła i zapiotroskarzył na całe gardło:

- Furda, kto z kim tu tyra i jak na imię miewa! Dyć najważniejsze, że ja już tu byłem, miód i wino piłem! A „Winę do Nieba” waszą jak zły szeląg poznałem! Przeto porzucmy psoty i facecje, gdyż do mojego przyjaciela ja z bicza się udać muszę!

To powiedziawszy, przysiadł znów na zydlu i zabębnił palcami po biurku dla rozluźnienia.

Zrobiło się cicho jak w nicości. Meluzyna Oszloch sięgnęła dyskretnie po leżący między papierami różaniec, a siostra Roderyka otworzyła szufladę biurka, wyjęła z niej waporyzator i rozpsiukawszy w powietrzu kilka obłoków święconej pary, oznajmiła ze śmiertelną powagą:

- Onże bredzi, nie mając sinego pojęcia o duszpastersko-funeralnym programie naszym! Co więcej, podejrzewam, że onże opętany jest!

Tego już było za wiele! Więc złapał inżynier Rawa leżący na biurku folder reklamowy programu „Winę do Nieba” i jął go w pośpiechu kartkować, chcąc rach-ciach udowodnić tej antypatycznej mniszce, że go hańbiąco obraża. Wszelako im dokładniej wczytywał się w prospekt, tym większe ogarniało go zdumienie. Albowiem w porównaniu z tym, co czytał w nim poprzedniej nocy, nic a nic się teraz nie zgadzało.

Podniósł tedy znad folderu zdumione oczy i w miejscu kobiet ujrzał czarne gawronice ludzkich rozmiarów, co wykłapywały dziobami szatańskie inkantacje. Więc czyż to dziwne, że okrzyk przerażenia wydarł mu się z gardła:

- Coście zrobiły z jego oczami!

- Słucham? - zakołatała tłustsza z ptaszyc, zapewne nie dosłyszawszy.

- Coście zrobiły z tymi informacjami! - powtórzył, a zaraz potem doprecyzował: - Jeszcze wczoraj przeglądałem ów folder i wszystko w nim było na odwrót!

- Wczorajszy nie odpowiadał duchowi czasu - wzruszyła ramionami siostra Roderyka.

- Jak nie odpowiadał, skoro wczorajszy ledwie! - zdumiał się inżynier. - Powiada wszak Xięga: nie znacie dnia ani godziny!

- zakłapała gawronica. - I jeszcze, że panny głupie biegają po nocy z lampami, roztropne zaś trzymają łapę na oliwie! A co ci, głupia, po lampie, gdy oblubieniec nadejdzie, nie? - popukała się w czoło. - A oliwa wiadomo!

Sebastian Rawa złapał się za głowę.

- To jakieś brednie!

Słyszając to, pyzata mniszka wyskoczyła zza biurka i uniosła wysoko rękę. Bo przecież nic nie przekonuje lepiej niż habit plus palec w niebo.

- Cóż durnemu po Xiędze, gdy mu jej objaśnić nie ma kto! - zatrzęsa się. - I dlatego nas właśnie, skromne swe sługi, Pan do tłumaczenia słów świętych powołał! Atoli skoro mówimy dziś, że czarne jest czarne, to znaczy, że jest dziś czarne, i amen, nawet gdyby białym jeszcze wczoraj było! A ten, kto o wczorajszym białym uparcie wspomina, szatanowi służy, tedy potępion będzie i do piekieł strącon!

- Ale czarne nie może być białe! - zatrząsał się inżynier, bo choć Xięga nie obchodziła go nic a nic, wiedział z inżynierskiego doświadczenia, że nazbyt częste przełączanie rur zawsze się kończy podtopieniem miasta.

- Prowokator! - zagrzmiała na jego słowa siostra Roderyka.

- A może i belzebubi wysłannik! Dzwon! Dzwon! Dzwon! Dzwon! Dzwon!

Meluzyna Oszloch bez namysłu złapała słuchawkę bakelitowego telefonu.

- Ochrona?! - krzyknęła. - Intruz w centrali!

Sebastian Rawa wbił w nią zdumione spojrzenie.

- A ślub milczenia?

- Ardżent zwalnia! - syknęła oszukańcza milczycza i wślepiała się w inżyniera z nienawiścią. - Boć kiedy siarką fetorzy, wszystkie ręce na pokład! Apage!

To szpital wariatów, gdzie szalony jest personel! - pomyślał inżynier Rawa i nie czekając na ochronę, czmychnął przez drzwi.

Wszelako dotarcie do Adasia okazało się o wiele trudniejsze, niż zakładał.

I nie dlatego, że szpitalni ochroniarze tropili go jak wściekłe psy, bo z tym poradził sobie wcale dobrze, wyciągnąwszy z brudownika oddziału operacyjnego - jak się tam dostał, nie miał pojęcia! - prawie niepokrwawiony fartuch i maskę, co pozwoliło mu przemierzać dalej korytarze pod przykrywką chirurga.

Ale szpital imienia Trzech Młodzianków był wielki jak miasto, a przede wszystkim fatalnie oznaczony. I jak się wprędce okazało, nie tylko Sebastian Rawa miał problem z tutejszą topografią. Bo w trakcie tej chaotycznej wędrówki napotkał dziesiątki podobnych sobie skołowaceńców, którzy nie mogli dotrzeć do leżących tu bliskich i błakali się jak upiorne mary w sieci ponurych korytarzy, a widząc przed sobą szpitalny uniform, pytali o drogę a to do oddziału chorób psychicznych imienia Świętego Idziego, a to znów kobiecych imienia Świętej Klary z Antiochii Pizydyjskiej, jak dojść na pediatrię imienia Rzezi Niewiniątek, neurologię imienia Błogosławionego Gwidona z Bambergu i do prosektorium imienia Świętego Wita.

Aż w końcu - po otwarciu wielu drzwi - wsunął głowę do sali imienia Świętego Cyriaka Rzymianina i zobaczył staruszka, oddychającego jak na ów szpital zadziwiająco miarowo, a zaraz potem swego najlepszego przyjaciela, podłączonego do wszystkich możliwych monitorów i urządzeń, łącznie z kropłówką.

I dopadłszy doń, zatrzęsł się ze wzruszenia, a kiedy Adaś począł się skarżyć na ciągle torsje i zbyt miękkie stolce, ściągnął z twarzy maskę i ukazał mu swoją właściwą twarz, inżynierską, nie doktorską.

Łzom nie było końca, mówi się w takich przypadkach, ale o jakichś byle neptkach, a nie o mężczyznach tak nieustraszonych jak Sebastian Rawa i Adam Rembelski. Dlatego nie nastąpiło najmniejsze nawet rozmazgajenie, a w jego miejsce padło kilka pytań i odpowiedzi, suchych jak egzekucyjna palba.

- Czemuś żarł te langusty?
- Bo były.
- Gdzie pseudoszczurunia?
- Becia wzięła do kwarantanny, jak doktor rekomendował.

- Co ten twój sąsiad tak spokojnie śpi? Miarowo oddycha tu?

- Chyba dobrze, że spokojnie, miarowo, nie?

- Nie w tym czarcim przybytku, Adaś - skrzywił się Sebastian Rawa i zwinął dłonie w pięści.

Potem zaś omiół salę wzrokiem, a jego uwagę przykuł stojący w kącie wózek inwalidzki.

- Zbieraj się, żołnierzu! - zakomenderował tonem niedającym szans na negocjacje.

- Ale ja leżeć muszę! - jęknął Adaś.

Inżynier Rawa przygniół przyjaciela bawolim wzrokiem, a potem wycharczał:

- Przestań pizdę płaszczyć, gdy mi teściu ginie!

I pomyślał, że fajnie być komandosem.

Szczęśliwie droga powrotna okazała się już znacznie prostsza i pogubili się właściwie tylko raz, między zakładem dla obłąkanych imienia Świętej Konstancji z Schoppingen a kliniką pokąsanych przez węże imienia Błogosławionej Rozalii Lauderskiej.

Lecz kiedy już-już mieli przejechać łącznikiem przez budynek F do gmachu B, a stamtąd windą na poziom Motylek wieżowca E, by przez obiekt H i halę D wyskoczyć prosto na wyjście w blokhauzie A, niespodzianie ich uwagę przykuło wielkie różowe pudło, stojące pod drzwiami jednego z gabinetów lekarskich, osobliwie przecież znajome.

Sebastian Rawa zatrzymał wózek i porzuciwszy Adasia na środku korytarza, uchylił wieka. W środku kręcił się niespokojnie szary szczur.

Na jego widok inżynier również poszarzał i jęknął:

- Żywina niewymieniona?

Wszelako Adaś nie zwracał już nań uwagi, wpatrywał się bowiem z napięciem w drzwi gabinetu, a potem - wiedziony okrutną jakąś koniecznością! - doturlał tam wózek i mimo protestów inżyniera, nacisnął kłamkę.

Ledwie drzwi się uchyliły, obu przyjaciół doszedł kłopotliwy pogwar przyspieszonych oddechów i pojękiwań. Spojrzeli te-

dy po sobie - jakby w zaskoczeniu - choć przecie charakter owego hałasiku był jednoznaczny.

W końcu Adaś pchnął odrzwia mocniej i napałszy z całej siły na kółka, wjechał zdecydowanie do środka. Tuż za nim wniknął Sebastian Rawa.

Na lekarskiej sofce, w ciał ścisłym uplocie, bileterka z Cudu nad Pisłą oraz rezydent w Klinice Ostrych Zatruc stawali swym mięśniom i kręgosłupom wyzwania potężne, wręcz cyrkowe.

- Księżniczko? - jęknął Adaś, podjeżdżając do tej szkaradnej pornografii cokolwiek za blisko. - Nie do tego zamku pukasz...

Po czym zamilkł, złapawszy się za usta.

Jakby się wystraszył, że słowa mogą zabijać! - pomyślał Sebastian Rawa, lecz już w sekundę potem musiał zweryfikować ów romantyczny ogląd spraw i ludzi, albowiem jego najlepszy przyjaciel - przegrawszy nierówny bój z własnym układem nerwowym, osłabionym przez wcześniejsze zatrucie langustą! - wyrzucił z siebie potężną fontannę wymiocin, ta zaś przyoblekła wielobarwną arabską ciagle jeszcze rozgrzane od chuci ciała wiariolomnych kochanków.

Pisk i krzyk uniosły się z sofy przed obrzyganymi, wszelako i ci poderwali się zaraz na równe nogi i jęli wycierać czym się dało.

- To przecie białorycerz! - krzyczała Becia Kąklusz, wskazując na Augusta Fik-Doleskiego. - „Rycerz, co życie ratuje! Te goż księżniczka pokocha!”.

I wściekła, że cierpi teraz despekt wyłącznie dlatego, że zapragnęła być wierna wieszczej wizji, którą jej z samych szczytów Mąblanku przekazano, usiłowała zdzielić Sebastiana Rawę czym popadnie.

Co z kolei jego tak rozsierzdziło, iż złapawszy leżący na biurku stetoskop, cisnął nim w doktora Fik-Doleskiego (bo przecie, jako dżentelmen, nie mógł w damę!), ów zaś momentalnie rozdarł się w przerażeniu:

- *Primum non nocere! Primum non nocere!*

Owa histeria Augusta Fik-Doleskiego - jakże niemęska! - wywołała w inżynierze jeszcze większą furję, więc zakrzyknął:

- Zabiję cię, biała śmiercio!

Po czym zaczął gonić obrzyganego nagusa po całym gabinecie i nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie Adaś, który jęknął:

- Sebuś, słabo mi...

A w chwilę potem zwiotczał na wózku.

Poniechał tedy inżynier Rawa sprawiedliwości nad rezydentem gaszkiem i lisią rozpustnicą i wraz z nieprzytomnym przyjacielem oraz różowym szczuropudłem, dotroczonym do jego wózka, pomknął wprost do blokhauzu A, by tamtędy opuścić ów niegościnny szpital szaleńców i rozpustników.

Gdy wydostali się na zewnątrz, było już dobrze w ciągu dnia. I choć Farszawa zawsze jest w tej godzinie pełna ludzi i gwaru, tym razem jednak można było odnieść wrażenie, że dosłownie wszyscy jej mieszkańcy wylegli na ulicę, a w domu, pracy czy szkole nie ma żywego ducha.

Przepychał tedy Sebastian Rawa wózek w ciżbie i zakleszczeniu, między blokującymi się wzajemnie ludźmi i pojazdami, i patrzył, jak ze wszystkich kierunków nadciągają mozaikowate czeredy, a człowieczy bezkres zdaje się nie mieć wręcz końca, przynosząc coraz to inne fale i ławice, które uderzają o siebie, a uzyskawszy w ten sposób nowe trajektorie, odpływają w węzowych zawijasach i rozbuzowanych strugach.

I dziwił się owemu ściskowi, nie mogąc znaleźć dlań żadnej racjonalności. Bo też i jej nie było, a poza tym skąd mógł wiedzieć, że to szef telewizji Nektariusz Chochlaczewski wcielił w życie piekielny koncept jego rodzonej siostry, która mu kazała rozbijać pokrajską łódkę przy użyciu wszystkich dostępnych kłamstw, andronów, bałamuctw, hocków-klocków i dub smalonych. A że znał się na swojej robocie prezes Chochlaczewski, to też już pierwsze tego dnia niusy - ukazujące całe spektrum potwornych i wprost nieopisanych zagrożeń, jakie zawisły nagle nad

ojczyzn! - wywołały spodziewany lęk, a wraz z nim ferment i pomruk.

Trzeba zresztą przyznać, że Pokrajacy nigdy nie byli trudnym materiałem do omamiania. Przekonani od wieków i pokoleń, że zawsze ktoś pod nimi kopie doły, przeświadczeni z dziada pradziada, że ktoś ich nieustannie niszczy, dręczy i niewoli, przekazujący sobie z ojca na syna, że ktoś przeciw nim wiecznie i prawiennie spiskuje, przebodzeni niepodważalną wiarą, że sensem życia wszystkich innych jest wyrządzanie im zła i krzywdy, wbijanie czarnoksiężskich igieł w ich pokrajskie laleczki, kpinkowanie z ich najświętszych rytuałów oraz plucie im w ojczyste mleko, a wszystko tylko po to, by ich zdeptać i poniżyć, by im ściągnąć gacie i goluteńkich obwozić po gościńcu świata, a to i tak w wersji najłagodniejszej, bo tak naprawdę, by ich - czystych jak dziewice! - ugnoić narodowo i religijnie, by ich od deski do deski przekreślić i do cna wytępić, by ich w proch zetrzeć i z mapy świata wymazać, anihilować, zlikwidować i na amen eksterminować, aż wreszcie - już zamordowanych, od a do zet unicestwionych i jak trup zimnych - okraść z wszystkiego, co z takim trudem osiągnęli i wypracowali, a czego im ich wrogowie - a imię tych Legion! - przez całe swoje haniebne dzieje tak poniżająco zazdrościli - więc o tym wszystkim przeświadczeni absolutnie i niepodważalnie, reagowali mieszkańcy Pokraju na każdą wzmiankę o naruszeniu ich czci i dumy - a mogło ją, powtórzmy raz jeszcze, naruszyć wszystko! - raptownie, agresywnie oraz na tysiąc, milion i pierdylion procent.

Bo potrzeba narodowej godności i majestatu była lustrzanym odbiciem ich własnego braku wiary w to, że taka godność i taki majestat w ogóle istnieją. Więc im bardziej się uważali za przekundlonych, tym silniej domagali się od reszty świata, by zachwycała się pompatycznością ich rasy. A ponieważ reszta świata nie chciała tego czynić - a przynajmniej nie za często! - jęli sobie wmawiać ową prześwietność i śliczność sami, a że trwało to całe wieki, z wiekami też nabyli niezwykłą umiejętność wprowadzania się w autohipnozę jako wielomilionowa zbiorowość.

Pokraj

I w takim właśnie transie przemierzali teraz Pokrajacy ulice Farszawy, a wykrzykując hasła często sprzeczne i niedające się złożyć w spójny systemat, domagali się w gruncie rzeczy tylko jednego: by ich pokochano tak, jak sami siebie pokochać nie potrafili.

Więc w jedną stronę maszerowali korpooficerowie i korposzeregowi, domagając się dla Pokraju biożywności i prawa do darmowych gier komputerowych, a w drugą napompowani jak piłki sterydopatrioci z krzyczącymi za nich tatuażami:

- Nie mówię szeptem! Pamiętaj słowa matki! Gdy pytają skąd jestem! Pamiętaj słowa matki! Jeśli padam na kolana! Pamiętaj słowa matki! To jeno przez Bogiem! Pamiętaj słowa matki! Witajcie w piekle! Pamiętaj słowa matki! Patrz, komu ufasz! Pamiętaj słowa matki! Dumny od urodzenia! Pamiętaj słowa matki! Masz opór we krwi! Pamiętaj słowa matki! Chuj w dupę policji! Pamiętaj słowa matki! Pamięć to twarda skała! Pamiętaj słowa matki!

W poprzek przemarszów ciągnęły rozśpiewane chóry i ansamble, chwalcące Boga za łaski, jakimi Pokraj nieustannie obdarza, tuż obok zaś modlono się o wybaczenie tuziemskich grzechów, które na ten sam Pokraj ściągały od wieków klęski wojen i rozbiorów.

A potem w jednej chwili wszystko się wymieszało.

Na drogi krzyżowe wjechali cykliści, a na ścieżkach rowerowych zaczęto się biczować z zapamiętaniem. Powstańcy wyszli z kanałów, a wskoczyli w nie rekonstruktorzy walk ulicznych. Rachityczni jajogłowcy zaczęli zapewniać, że nic się nie stało! nic się nie stało! - a wygwizdujący ich łysole domagali się zamorskich kolonii. Ciągniona przez siwe konie laweta obwoziła po mieście trumnę z woskową figurą Świętej Pamięci Rodzicielki Pierwszego Obywatela, a towarzyszący jej ułani śpiewali, jak to jest ładnie na wojnie, i rozkazywali rozmarynowi, by się rozwijał.

I wszyscy domagali się odżydzenia.

Wkrótce gęstwa haseł, pohukiwań i huraobiecaneek zawisła nad miastem niby smog. Tu domagano się Pokraju mocarstwowe-

go, tam znów padały skargi, że elity żyją kosztem wysanego do szczytu suwerena, po lewej peregrynowali ci w pelerynach czerwonych, po prawej ci w czarnych, jedni modlili się do tykwy, a drudzy do sandała.

Nade wszystko jednak łebscy biskupi i kardynałowie powyciągali z kościelnych zakamarków relikwie, jakie tylko udało im się znaleźć, i procesjowali z nimi teraz pod złotymi baldachimami w tę i nazad oraz z wszystkich możliwych powodów, a więc z palcem świętego Geobalda, obciętym przez Moskwicinów, w intencji ostatecznego nad nimi zwycięstwa, z biodrem świętego Sabacjusza przeciw muzułmanom, z napletkiem świętego Wiktrycjusza z Tyberiady dla pokonania aborcjonistów, zaś miednica świętej Pryscyllii Aleksandryjskiej, obnoszona wzdłuż Pisły i przez wszystkie mosty, pomoc miała w zbawieniu kobiet rozwiązłych, ciągle jeszcze w Pokraju obecnych. Z kolei gdzie indziej zaklinano się, że Watykan jest ekspozyturą demonicznych Reptilian, która okupuje Pokraj od tysiąca lat z okładem, a to dlatego, że jest on kluczem do wyzwolenia od plejadańskiej okupacji nie tylko Ziemi i Układu Słonecznego, ale całej wręcz Drogi Mlecznej.

I wszyscy domagali się odzydzenia.

W kilka godzin bezład w Farszawie zrobił się tak potężny, że inżynier Rawa nijak nie mógł dotrzeć do domu. Co przepchał wózek z Adasiem w jakąś część miasta, to napotykał tam albo demonstrację ofiar ataków psychotronicznych, albo egzorcystów przestrzegających przed opętaniem demonem intelektualizmu. W innym znów miejscu odbijał się od przeciwników ciapaterii bądź żydomurzynerii, wszelako nie potrafił rozpoznać, którzy są którzy.

Po jakimś czasie dotarło do niego, że nie tylko każda dzielnica czy kwartał, ale wręcz każda ulica zapchana jest przeciwnikami dosłownie wszystkiego i wszystkich, a więc dzenderozabawkarstwa, plejstejszyństwa, inwitrostwa, walikonizmu, sushi-jedztwa, lucyferomineciarstwa, a nawet kobietoniebicia. A każdemu z owych ruchów oporu towarzyszyły kółka różańcowe, sło-

wicze chóry chłopięce oraz dziewczynki w bieli, rozrzucające płatki. A zaraz za nimi feretrony, obrazy i rzeźby, przy których wierną straż pełnili husarze, lisowczycy, cichociemni, ciężkozbrojni oraz specjaliści od Nie rzucim ziemi, Chabrów z poligonu czy Barki.

I wszyscy domagali się odzydzenia.

W końcu Sebastian Rawa pogubił się zupełnie, choć przecie Farszawę znał od urodzenia. W dymach, kadzidłach i racach jęły mu się machlować jakże łatwo dotąd rozpoznawane miejsca. Na dodatek zdewastowano wszystkie tablice informacyjne, a na ich miejscu pojawiły się kierunkowskazy życzeniowe, wszelako ostemplowane żwawą myślą patriotyczną: NA KOWNO! NA BERLIN! NA MOSKWĘ! NA MADAGASKAR! NA LWÓW! NA CHUJ!

W takim oto rozgardiaszu i koglu-moglu plątał się jeszcze inżynier Rawa przez wiele godzin, kłopotliwie zagubiony między Scyllą powszechnej modlitwy a Charybdą masowego napierdalania, aż w końcu - długo po zmierzchu i sam nie wiedząc w jaki sposób! - zatrzymał się nareszcie przed domem, którego fronton wyłożono kawałkami świecących butelek.

I gdyby nie fakt, że był już innym człowiekiem, toby się chyba rozpląkał.

Niestety, wózka z Adasiem nie dało się wciągnąć, a wszystko przez „Saperski przysmak”, blokujący dostęp do środka niczym linia Maginota. Musiał tedy inżynier porzucić przyjaciela przed drzwiami, co jednak ze względu na upalność wieczoru oraz mentalną nieobecność Adasia, pomrukującego coś bez ładu i składu, nie wydawało się bezdusznością w stopniu najmniejszym. Zwłaszcza że wewnątrz mogły czekać zawikłania o wiele poważniejsze - bo albo pułkownik Szmaroń zdążył już przestygnąć, albo nadal czeka, by zięć wypełnił obietnicę złożoną przed wybiegnięciem, i nie wiadomo, co gorsze.

Przeto trzy razy się cofał Sebastian Rawa, nim ostatecznie wszedł do jadalni, a i potem długo nie otwierał oczu, zaciskając je tak mocno, aż ciśnienie poczęło mu rozsadzać czaszkę. Więc wy-

straszył się, że mu za chwilę gałki wystrzelą z głowy niczym piłeczki pingpongowe na wstrętnym filmie, co mu go Adaś był pokazał po powrocie z Bangkoku, ale i tak oczu nie otworzył, drepząc niepewnie jak ślepiec - trochę w przód, trochę w bok i zaraz potem do tyłu.

Aż koniec końców się o coś potknął i próbując złapać równowagę, rozwarł powieki całkiem odruchowo, niestety przez dłuższą chwilę widział jedynie białą, ostro świecącą taflę. Nareszcie jednak widzenie mu powróciło i ujrzał na ziemi żyrandol, a obok hak ze stryczkiem, atoli pułkownika z nimi nie było.

Uznał tedy inżynier, że musiał się teściu rozmyślić z samoubijaniem, i odetchnął z ulgą. Dopiero wówczas przypomniał sobie o żółciostockiej ekspedientce, którą kilkanaście godzin temu ukrył w szafie. Co prawda można mieć było nadzieję, że już stamtąd wyszła - przecież nie zamknął jej na klucz! - jednakowoż dla uspokojenia wątpliwości, a i dla zwykłej przyzwoitości, należało się o tym upewnić. Ruszył więc w stronę sypialni, otworzył energicznie drzwi i... uświadomił sobie coś, czego większość ludzi nie pojmuje nigdy: że życie naprawdę jest filmem. Bez reżysera, bez kamer, bez nagród i z nieprzychylną publicznością, ale jest filmem, którego sukces polega w dodatku wyłącznie na jednym: by właściwie rozpoznać, w czym się gra.

Tragedii?

Komedii?

Czy - jak on teraz - w tragikomedii.

- Nareszcie żeś wrócił, jak dobrze! - uniosła się lekko Anita.
- Bom się setnie martwiła - ziewnęła, ciągle potężnie rozespana. - Kanapki ci uczyniłam. W kuchni są.

A uśmiechnąwszy się promiennie, złożyła głowę na poduszkę i momentalnie zasnęła, zaś inżynier Rawa jeszcze przez bardzo długą chwilę stał w progu i patrzył na nią z wielką intensywnością.

Bo to był pierwszy raz, kiedy widział ją naga. I bez wątpienia ostatni.

Jest piękna jak anioł, nawet piękniejsza, taką ją zapamiętam - przyszło mu do głowy. A zaraz potem, że powinien to jednak uczynić bez obrazu teścia, który pochrapywał tuż obok, również zupełnie nagi.

Więc zamknął Sebastian Rawa cichutko drzwi sypialni i pomyślał, że przynajmniej powinien zeżreć te kanapki.

W kuchni zastał Adasia.

- Pychotka! - przywitał go najlepszy przyjaciel z wyrazem prawdziwego szczęścia na gąbczastej twarzy. - Tak mnie przegłodzili w tym szpitalu, że wdupcyłem te twoje kanapiory w szast-prast-minuta-osiem! Zacny z ciebie frendzior, żeś je dla mnie nakroił!

- A tyś nie nieprzytomny? - spytał inżynier, czując bezcelowość pytania, wszak było widać.

- I to od wielu godzin! - wyjaśnił Adaś, wycierając usta z masła.

Sebastian Rawa podrapał się w głowę. Miał w niej miriady pytań, lecz wyskrobał z nich ledwie jedno:

- W takimże razie czemuś się nie odzywał, wisusie, gdym cię przez tyle godzin na wózku tarabanił?

- Bo mi się malowniczo jechało, Sebuś - uśmiechnął się rozbrajająco Adaś. - Jak w wesołym miasteczku, pamiętasz, tymi autkami, co się jeb-jeb zderzają.

Na wspomnienie pojazdów, którymi jego najlepszy przyjaciel zmiażdżył mu niegdyś cztery palce, inżynier Rawa również się uśmiechnął.

- Jak mógłbym zapomnieć? - powiedział ciepło. - Daj, acj pobruszę, a ty poczywaj.

- Że co? - zgliszczył się na twarzy Adaś.

- Mówię, żeś pewno zmęczony, więc połóż się u Oliwki, a ja podleję drzewo.

Okrutnie jednak nakłamał, bo wcale nie miał zamiaru go podlewać, chciał się doń tylko przytulić i przeprosić, że ostatnio w ogóle o nim nie myślał.

I cóż, że tragikomedia? - wyszeptał do drzewa, kiedy już je objął. Czy to nie wszystko wszystko jedno, w czym się gra? Może najważniejsze jest po prostu samo granie? Nieustanne zmienianie ról? Bycie raz mądrym, raz głupim? Raz szczęśliwym, a raz nieszczęśliwym? Raz na wozie, a kiedy indziej na tarczy?

Tysiące myśli poczęło mu przelatywać przez głowę. Myśli, których nigdy wcześniej w niej nie napotykał. A drzewo - jego kochane drzewo! - każdą z nich rozumiało i na wszystko, o czym pomyślał, miało odpowiedź posłyszana wcześniej od innych drzew, te zaś znały ją jeszcze od innych, tamte z kolei od starych lasów, lasy od prastarych borów, a bory od kniej przedwiecznych. I była to odpowiedź odziedziczona drzewo po drzewie i puszcza po puszczy po owym drzewiszczu z wszechogrójca rajskiego, od którego wszystko się zaczęło. I które najpierwsze wiedziało, co dobro jest, a co zło.

A potem poczuł, że korzenia się w sobie teraz wzajemnie - on w drzewie, a drzewo w nim! - wymieniając, czego im brakowało. I ujrzał, jak w okamgnieniu ono poczyną żyć i jak rodzą się na nim liście, soczystobarwne i pachnące, jak otwierają kwiaty, a ich miódny aromat ściąga pszczoły, jak przylatują ptaki i wniebomkłym trelem poczynają chwalić wszechpiękno istnienia. I równocześnie sam dostąpił iluminacji, a wraz z nią jakże długo wypatrywanego bezdygotu. Śmiał się zatem uwolnionym nareszcie sercem, całował namnażające się jeden po drugim liście, tańczył w ich dobroczynnym cieniu, a wznosząc oczy ku niebu, śpiewał na chwałę świata:

- Możliwe niemożliwe...! Możliwe niemożliwe...! Możliwe niemożliwe...!

Głos z wysoka oznajmił mu zaś, że musi teraz iść między narody i je o owym cudzie prześwietnym uwiadomić. Przytuliwszy więc drzewo po raz ostatni, wyruszył głosić dobrą nowinę wszystkim ludziom. A kiedy już im wszystkim ją ogłosił, okazało się, że leży pod pergolą z rurek, w kształcie łuku Tudorów. I że jest mu trochę zimno i trochę niewygodnie. Ze łązi po nim ślimak,

pająk też łązi i mucha. Oraz że ma katar, bo jakieś suki trawy zaczęły pylić niczym powalone.

Ale cóż to wszystko mogło znaczyć wobec cudu? Nic przecie!

Więc choć widział się z nim ledwie przed chwilą, na nowo uczuł potężną tęsknicę za drzewem, toteż poderwawszy się z wilgotnej ziemi, wyskoczył spod pergoli, by się raz jeszcze cudem odrodzenia nacieszyć. Lecz ujrzawszy swe ukochane drzewo, okamieniał w bezruchu, a potem jął wyć tak zwierzęco, jak jeszcze nigdy dotąd mu się nie zdarzyło.

Zbiegli się tedy wszyscy pytać o mordodarcia przyczynę.

Uniósł zatem rękę i pokazał im szpetną konstrukcję z konserw, przyklejoną taśmą samoprzylepną do pnia jego ukochanego drzewa. Oblepiała je od ziemi po najwyższe gałęzie, górując nad ogrodem jak Moloch z ziemi Kanaan lub cybertroński Transformer. A dookoła - niby krąg czarci - walały się pozdzierane z puszek etykiety z napisem „Saperski przysmak”, a było ich dziesiątki i setki, cały tysiąc ich było, i każda z podpisem Anny Glass, aktorki bliskiej sercom wszystkich Pokrajaków, a inżyniera Rawy szczególnie.

A potem podniósł garść etykiet z trawy i machnąwszy nimi przed twarzą teścia, zakrzyknął w nieokiełznanym gniewie:

- Co to jest, tato?! No, co to toto?! I czym to, tato?! I po co to?!

Słyszając tę godną pożałowania jąkaninę, oświecił go Florian Szmaroń z uśmiechem łagodnym:

- To Cynowy Książę jest, synu! Więc miast tak nam tu michniczyć, lepiej ty uciesz duszę, pliz!

Nie uczynił tak jednak Sebastian Rawa, lecz ciągle trwając w nastroju schabowym, odmazgnął mu opryskliwie:

- Jaki znów, purwa, Cynowy Książę?

- No twój, pierogu! - odrzekł zdziwiony pułkownik. - Od Anitki!

I przyciągnąwszy dziewczynę przed inżynierskie oblicze, o danie świadectwa ją prosił. Tedy rzekła:

- Dawnom cię przecie iluminowała, niewierny Tomciu, że się formą przestrzenną param, instalacją zwaną.

Na te słowa wspomniął inżynier, że istotnie, gdy stali w kolejce do odprawy na lotnisku imienia Świętej Pamięci Rodzicielki Pierwszego Obywatela, piękna Anita zwróciła się do niego następująco: „Z puszek po pokraj-kokcie to takie cuda potrafię, że ho-ho! Kiedyś ci zrobię rzeźbę, zobaczysz!”.

I przywoławszy ów moment, uświadomił sobie, że oto właśnie wypełniło się słowo. Bo zapowiedziane zostało, że ujrzy, i ujrzał. Choć - i tu kątem oka łypnął na oklejone „Saperskim przy-smakiem” drzewo! - wołałby nie.

Zamyślił się tedy nad dziwnością świata, co skwapliwie wykorzystał teściu, chwając swą nową miłość:

- Ślicznie się dziewczyszyna postarała, przyznać to musisz, synu! A i my z panem Adasiem takoz, nie chwając się, bośmy, podług imaginacji rzeźbiarki znamienitej, wznosili przez całą noc cielca z cyny niby te raby boże!

- Pana pułkownika słowa, stukając obcasem, potwierdzam!
- potwierdził Adaś.

A czarnoskóra piękność dodała:

- Wcześniej głos posłyszałam, co mi rzekł: „Uczyń arkę, Anito, a gdy w gniewie sprawiedliwym przywiodeę na świat wzburzone wody, wnijdź do niej, a niech z tobą wnijdą inni, a którzy wnijdą, tychże uratuję!”

Na to odezwał się pułkownik Szmaroń:

- Oto dlaczego, mój synu, w trudzie i znoju Cynowego Księcia budowalim ze wspomnianym już panem Adasiem! Oto dlaczego go stawialim w takim czołapociu i karkozgięciu!

A Adaś znów dopowiedział:

- Klnę się na honor i potwierdzam to po raz wtóry!

Po czym zwrócił się bezpośrednio do inżyniera:

- Dla ciebieśmy go erygowali, przyjacielu najlepszy, któremu ów z konserw monument na Mąblanku samym był się objawił!

Miał nadzieję na poklask i wicewersę, wszelako inżynier zdawał sobie owe piękne słowa ważyć lekce.

- O, wy dzicy na serce sępowie! Coście zrobili z jego liśćcami?! - zakrzyknął, a potem, zapewne przydając owemu zakrzykowi nadzwyczajną rangę, powtórzył: - Coście zrobili z jego liśćcami?!

Na te słowa ozwał się pułkownik, ciągle spokojny, choć już fumami zięcia zmęczony:

- Liśćmi, synu. Się mówi liśćmi...

Nie spodobała się inżynierowi ta lingwistyczna połajanka, tedy zatrząsł się, krzyząc:

- Tata to niech lepiej milczy, tato!

A wspomniawszy z niesmakiem wczorajszą goliznę teścia u boku żółciostockiego piękna, dorzekł do tego dziko:

- Chuciozaur oraz lubieżysta! I narzeczonych rabuś!

- Ależ senor kawalerze! - zaoponowała gwałtownie Anita, poruszona jaskrawą niesprawiedliwością owego osądu. - Wszak tyś sam mi Florysia wywieszczył, gdyś go w artystycznym przeczuciu wskrośujrzał i zaprorokował!

I by nie strzępić psu w dupę po próżnicy, przywołała nieodległą epifanię, mówiąc:

- A było to w dniu, gdy im rzekł o wyprawie Cynowego Księcia po Czarną Lilię. Pytano go tedy: „Nauczycielu, po czymże Czarna Lilia kochanka ustali?”. I odpowiedział im: „Gdyż na krawędzi śmierci on stoi”. Tedy pytano dalej: „I onaż go uratuje?”. I rzekł: „Całem swem ciałem i duszą”. Amen.

- Amen - powtórzyli jak echo Adaś i teściu, po czym ów ostatni dopowiedział, co następuje:

- Jak zatem zostało przepowiedziane, takóŜ się wypełniło. Albowiem stałem na zydłu ze sznurem przy szyi, a ówŜe był przyczepion do żyrandola i ledwie jedno gibnięcie dzieliło mię od szczeliny życia i śmierci.

- A było to, gdym szafą okrutnie umęczona wychynęła kość zastała rozciągnąć - przejęła pałeczkę narracji Anita. - I cóŜ widzę: w jadalni człek obcy, o wyglądzie typu random, na zydłu stoi. I lęk mnie przeokropny otulił, tedy krzyczę: „A co ty tu za jogę odpierdalasz, włamusie, boćwino złodziejska?!“.

Słyszając to, pułkownik Szmaroń roześmiał się w głos i dopowiedział:

- Tedy ja z kolei, owym krzykiem jak kijem popchnięty, zachwiałem się na zydlu, a równowagę straciwszy, rymsnąłem w dół.

Na to dopowiedziała:

- Tedy patrzę, wisi.

Na to dopowiedział:

- Tedy myślę: oto nadszedł twój koniec, Florianie Szmaroń!

Na to dopowiedziała:

- Tedy wspomniałam prorocstwo: człeka nieznanego ci przyjdzie rach-ciach ratować! I myślę: dobra, dyć taką karmą zostałam przebodzona, wszelako, myślę dalej, jak to, purwa, uczy-nić?!

Na to dopowiedział:

- A ja wiszę i mroczi mam, rozumiesz-wiesz!

Na to dopowiedziała:

- Tedy myślę: „Wypierdalaj, haku, z sufitu!”. I nagle jak nie pierdyknie! Huk, trzask, pył i anim się obejrzała, a Floryś na podłodze leży!

Na to dopowiedział:

- Tedy leżę i patrzę, a tu Czarny Anioł się zjawia. Tedy krzyczę: „Czarny Aniele, trupem byłem, a tyś mię do życia powołał de novo, za co ja ciebie do końca dni moich miłował będę!”. A Czarny Anioł, że z wzajemnością!

Tym wszystkim okolicznościom dawszy świadectwo, padli sobie w ramiona i pokryli gęstymi pocałunkami wszystko, co się godzi całować w przytomności współbraci.

Wykorzystując ciszę, odezwał się Adaś, skonfundowany okrutnie, że już się od dawna nie odzywa:

- Nie odzywam się, bo i cóż gadać po próżnicy, gdy tak znaczne świadectwo i o cudzie tak znamienitym czynione jest!

I zamilkł, a atmosfera zgęstniała niczym galareta z mięs. Wówczas rozległo się niespodzianie:

We are the champions, my friends...

And we'll keep on fighting till the end...

Tedy Sebastian Rawa nadusił przycisk słuchawki i zmuszając się do maksymalnego uśmiechu, zaperlił:

- Dzień dobry, kochanie, jak plaża-słońce-dorsz?

- Jaki dorsz, pajacu? - zaskrzeczała przełożona generalna Domu Orląt.

Z dwojga niedobrego wolałbym już żonę - pomyślał inżynier, po czym próbował się natychmiast rozłączyć, wszelako z nerwów nacisnął nie ten guzik, co zamierzał, i już po chwili wszyscy mogli przez zewnętrzny mikrofon posłuchać jazgotu jego siostry:

- Czy ciebie już szatan całkiem ojebał, Seba?! To ja pokraj-skość szerzę i z transportem wysokokalorycznej stawy zapierdalam do dzikich rodaków za, purwa, Bóg zapłać, a ty mi o rybołówstwie, zjebie genetyczny ty!

Słyszając nienawistny głos Ireny, Sebastian Rawa zabzdurzył perliście, w nadziei, że zdoła ukryć, jak bardzo drży mu głos własny:

- Iruchna moja przeświećta?! Dyc myślałem, że to Ilonka z wczasów się ze mną łączy w Brzegobrzegu! No i jak tam sprawy za lasem, siostrunia, bo mnie, ci wyznam, zdmuchnęła już ta jesień całkiem!

Odpowiedziała mu:

- Jaka jesień, co ty znów za tarło odpierdaldas, paciorze?! Ja nie mam czasu na twoje sianogłowie! Po puszki przyjeżdżam za sześć godzin! Więc żebyś mi wtedy w domu warował, gadzie!

Tedy wszyscy jak jeden mąż jęli się rozglądać po ogrodzie. A gdziekolwiek łypnęli, leżały etykiety. A jakby tego było mało, cały tysiąc konserw, po które nieprzyjemna mniszka miała się zjawić za sześć godzin, wisiał na uschniętym drzewie.

- To niemożliwe, Iruchna! - zgodnie z prawdą oznajmił inżynier. - Ani za sześć, ani za sześćset sześćdziesiąt sześć!

I nie czekając na dalsze słowa siostry rodzono-zakonnej, pizdnał telefon za siebie, ile miał tylko sił, a ów uderzył w rzeźbę z puszek i roztrzaskał się w drobny mak.

To uczyniwszy, rzekł im inżynier:

- Zaiste, powiadam wam: komórki szkodzą!

A potem pokazał palcem Cynowego Księcia i mruknął:

- A z tego jak wybrnąć w sześć godzin, wasza to sprawa, szerloki.

Przygoda dziewiąta, czyli Wojna i Film

Na miękko czy na twardo? Mamcia, ona ma twoje majtki! Szpieżycy Gadulas rozpracowuje spisek. Z niezapowiedzianą wizytą na Haiti. Gdzie jest magiczna kora? Co łączy krajlidera z Pierwszym Obywatelem? Wieprzowa puszka Pandory. Sebastian Rawa świętuje czterdziestkę. Apetyt na „Saperski przysmak” i co z tego wynikło. Pokraj idzie na wojnę

Pościel iskrzyła od promyków, które rzucało figlarne słońce. Pachniała lawendą i żoną. Zza okna słychać było ptaki. Serce ciągle waliło mu jak oszalałe, na szczęście z każdą sekundą i z każdą nową myślą udawało mu się uspokoić jego rytm. Więc dalej regularnie powtarzał: cichaj, głupie, cichaj luli, już minęło, znikło, kysz! - i oddychał głęboko, jakby chciał, by miazmat, który go tak przeraźliwie przydusił, jak najszybciej zeń wyparował.

Niełatwo wrócić, gdy koszmar przekracza wszystko, co do tej pory śniłeś.

- Na miękko jajka czy na twardo, tata?

Pomyślał, że nie może jeść tyle na noc. Przecież te straszne sny to ani chybi z przejedzenia.

- Bo mamcia pyta, jak je przygotować!

Spojrzał na Oliwkę. Stała w drzwiach sypialni, trzymając w rękach swoje ukochane zwierzątko, i z kokardkami przy warkoczykach (tak rano zdążyły je już z Iloną zapleść?) wyglądała naprawdę ślicznie.

Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Na miękko, córcia! Dziś o takich myślę.

- I ja, tatulu, cieszy mnie ta zgoda - pomachała mu dziecięco i wybiegła.

Wstał i jak co dzień wykonał serię ćwiczeń gimnastycznych. Potem umył zęby, postanawiając, że cały wykąpie się dopiero po śniadaniu. Nie chciał sprawić Ilonce przykrości swoim spóźnieniem.

Przywitała go uśmiechem i pocałunkiem. Spytał, w czym ma jej pomóc, odpowiedziała, że poradzi sobie doskonale sama. Ale i tak zaczął kroić chleb, który był cudownie miękki i pachniał dzieciństwem.

Próbował przed nią ukryć niepokój, który ciągle jeszcze w nim dygotał po nocnym koszmarze. Wszelako zbyt długo żyli razem, by nie rozszyfrowała, że jest nieswój. Spytała tedy:

- Czy coś się stało, mężu mój kochany?

Nie było sensu jej oszukiwać.

- Zły sen jak mara usiadł mi na piersi. Za gardło ścisnął.

Próbowała go pocieszyć:

- Lecz już przepadł, zginął... A dzionek nowy nową radość niesie...

Popatrzył na nią z miłością. Czternaście lat byli ze sobą, a ciągle czuł, jakby miodowy miesiąc wcale się nie skończył.

- Wspaniale mieć cię przy sobie, Ilono - uśmiechnął się.

Odwzajemniła uśmiech. Niedzielny makijaż znakomicie podkreślał jej urodę.

- Idź, Seba, podlej drzewo, co tak kochasz - powiedziała. - A ja nam jajca miękkie przygotuję i śniadać będziem.

- Gdzie córka najdroższa? - rozejrzał się.

- Z białą szczurunią bawi się w alkierzu.

Ruszył zatem, jak mu poradziła, w stronę ogrodu, wszelako jakaś nieprzeparta siła kazała mu się cofnąć i objawszy żonę przy kuchni indukcyjnej, pocałował ją. Gdy to uczynił, poczuł spokój, a błyskawica radości rozświetliła mu duszę, wyszeptał więc:

- Ilono, żono, czy to nasze życie, co jak łódź brodzi w suchym oceanie i śliską piersią omija ostrowy, to przyjaźń jest li czy to jest kochanie?

- Mój mężu miły... - odparła splotiona. - Ja ciebie kocham, Seba, jak Irlandię. Tyś duszy mojej harfą jest z płomienia. Tyś lot i górność. Ja twych oczu chmurność, ocalić pragnę, nim pług zapomnienia wielkie uczyni pustki w domu moim... - zamyśliła się. - Zniknieniem twoim...

I dostrzegł, jak w jej oku pojawia się nagła łza, jak spływa po poliku ku sercu i niczym błękitna mgiełka pożądania osnuwa jej źrenice, przyćmiewając w nich dosłownie wszystko.

A potem Ilona przywarła doń gwałtownie, a płomień jej pocałunków rozżagwił mu wargi i jeśli już odrywali od siebie usta, to wyłącznie dlatego, że oczy szukały oczu. Wszelako już po chwili ponownie przywierali do siebie niczym elektromagnesy w taśmociągu segregującym odpady metalowe, wkrótce więc ich krew - rozgrzana do absolutu! - poczęła im wygrywać hymny dziękczynne z nawracającym jak fala lejtmoty wem:

- Co tu się, purwa, dzieje?! Co tu się odpierdala?! Co tu się, purwa, dzieje?! Co tu się odpierdala?! Co tu się...?!

Sebastian Rawa poderwał się z podłogi.

Rechryste, a czemu w ogóle ja na niej leżę?! - pomyślał.

I wtedy dostrzegł swą małżonkę.

Nie całowała się z nim, a nawet była od tego jak najdalsza.

Stała bowiem - z parasolką w dłoni oraz walizką u nogi - w drzwiach jadalni i rozglądała się na boki, a jej coraz bardziej osłupiały wzrok rejestrował a to szmaty zwisające ze ścian, a to kamerę z lampami, a to znów żyrandol z hakiem, leżący na przykrytej folią malarską podłodze, to wreszcie stertę pogniecionych etykiet „Saperskiego przysmaku” w kącie. Obecnością tychże inżynier Rawa był akurat również zaskoczony.

- Ilonka? - jęknął w końcu z braku lepszych conceptów na rozpoczęcie rozmowy. - A tyś nie nad Pałtykiem naszym pałtyckim? Nie w Brzegobrzeżu?

Łypnęła na niego nienawistnie.

- Weź mnie nie wpurwaj, śledziu! Ciągle leje, drogo i ryby!

I trwożliwie minąwszy zwalony żyrandol, weszła do środka, po czym zaczęła dotykać ścian. Jakby nie mogła uwierzyć, że to, co widzi, jest realne. Jakby ciągle chciała mieć jeszcze nadzieję, że jej wyciągnięte ręce przetną powietrze. Bo przecież to kompletnie zdewastowane pomieszczenie nie może być jej jadalenką, którą z takim pietyzmem meblowała i dopieszczała - myślała - toż to jedynie jakiś jej diabelski hologram!

Pokraj

Niestety, ani trochę nie był to hologram, lecz rzeczywistość rzeczywista w stopniu ponizającym. Więc zdawszy sobie w końcu z tego sprawę, mruknęła głosem niepokojąco spokojnym i pogodnym:

- A poza tym idą wojny, Sebastianie. W telewizji mówili, że wielkie. Największe.

Inżynier rozłożył ręce. Sam nie wiedział, co chce tym gestem wyrazić - zgodę, powitanie, bezradność czy... No właśnie, nie wiedział, więc z owego pomieszania wybąkał jedynie:

- Niech na całym świecie wojny, byle Pokraj nasz zaciszny, byle Pokraj nasz spokojny...

I chciał żonę - jak każdy dobry mąż w takiej chwili! - przytulić, boć to przecie doskonale wiadomo, że przytulenie więcej na wojny pomaga niżli całe armie. Ale ona odskoczyła jak oparzona, a na jej twarzy powściągliwość zawiązała mocny alians z gniewem i obrzydzeniem.

- Co tu za sodoma miejsce ma, mów mi ajn-cwaj-draj, ty szkopski synu! - zasyczała.

Podrapał się z zakłopotaniem w głowę.

- Tego się, Ilonka, nie da w trzech słowach...

- To może być, purwa, w dwóch! - syknęła.

Chciał jej wszystko powiedzieć, a nawet jeśli nie chciał, to czuł, że powinien, ale w ogóle nie wiedział, od czego zacząć. Czy od Egiptu, co się okazał langustą w hotelu Patria? Czy może od Cudu nad Pisłą, gdzie mu Adaś powiedział, co musi zrobić, by nie umrzeć przed czterdziestką? A może jeszcze wcześniej - od tego dnia, kiedy czternaście lat temu odwiedził jej rodziców po raz pierwszy?

Gdzie zaczynała się ta cała historia?

Naprawdę miał z tym poważny kłopot, z którego - jak na razie przynajmniej - wybawił go przeraźliwy krzyk córki:

- Purwa, mama...! Purwa, mama...! Purwa...!

Kiedy wpadli do jej sypialni, Oliwka stała nad własnym łóżkiem, w którym nakrywał się kocem wystraszony Adaś.

W jednej ręce trzymała wieko różowego pudła, a w drugiej szarego szczura i była bardzo, ale to bardzo podminowana.

- Szczurunię mi poszarzyło! - jęknęła na widok wbiegających rodziców.

W jej głosie dziecięca ufność wobec świata walczyła ze zwątpieniem w jego ład i niestety przegrywała.

Czując grozę chwili, właściciel wypożyczalni aut ślubnych próbował zwiększyć rozmowę na inne tematy.

- Imponujący brąz, Ilonka - uśmiechnął się. - Tylko po zadość.

Żona inżyniera Rawy nie podjęła jednak tematu swojej opalenizny. Podeszła za to wolno do córki i otaksowała trzymane przez nią zwierzę spojrzeniem kobiety, co z nie jednego pieca itede.

Potem zaś - przygryzłszy wargi, by nie eksplodować przedwcześnie! - mruknęła:

- I ojajczyło ją, biedaczkę.

Co oznajmiwszy, przetarła zmęczoną twarz i dodała:

- Jakieś wytłumaczenie, panowie?

Sebastian Rawa i jego najlepszy przyjaciel zazezowali na siebie nerwowo.

- Ja jestem inżynier, nie biolog - wzruszył ramionami inżynier i wbił oczy w podłogę.

- To wszystko przez żywność! - oznajmił tymczasem Adaś z miną tak pewną, jakby na problemie samoistnej transseksualizacji gryzoni zjadł zęby łącznie z diastemą - Polichlorowane bifenylole, transgeniczne DNA, związki bromu... To wszystko spiski koncernów biotechnologicznych, w których szczury robią za doświadczalne szczury I wasz... - zrobił cmentarną minę Adaś - ...jak się okazuje, niestety też.

Ilona Rawa podeszła powoli do łóżka. Jej mina w połączeniu z parasolką, którą ciągle dzierżyła, nie wróżyła najlepszemu przyjacielowi jej męża niczego dobrego, szczęśliwie dla niego, w całym domu rozległo się świdrujące:

- Ilona...! Ilona...!

W sypialni Cecylia Szmaroń, zwana Cecutkiem, pochylił się nad łóżkiem, w którym, ku jej niepomiernemu zduni icniu, Florian Szmaroń - było nie było jej ślubny od zawsze! - w wyrażnym pomieszeniu usiłować ukryć pod kołdrą jakąś Murzynkę.

- Floryś, na rany Rechrysta! - wymachiwała rękami pani pułkownikowa, a fiszby jej ramion uwalniały spod siebie wipory wściekłości i sromoty. - Kto to jest, mów mi!

- Nie wiem, Cecutku! Szczerze ci powiem: nie wiem! - kłamał w żywe oczy teściu inżyniera Rawy, a włosy na bombiastej kłacie siwiały mu ze stresu niemal w okamgnieniu.

- Nie wiesz i międliasz? - nie mogła wyjść ze zdziwienia t eeylia Szmaroń.

Była tak bezradna w owym zadziwieniu, że jej wiarołomny małżonek uznał, iż nie może już dłużej kłamać.

- To znajoma Seby! - zakrzyknął.

Słyszając to, żółciostocka ekspedientka wychyliła spod kołdry swą piękną główkę.

- Nie żadna znajoma, tylko narzeczona! - sprostowała. Inżynier Rawa - którzy zdążył do sypialni dobiec razem ze wszystkimi - poczuł na sobie jednoczesne i ponad miarę ciężkie spojrzenia żony, córki oraz teściowej. Zbladł więc potężnie i zaraz spróbował poprawić swą piramidalnie nieprostą sytuację, tłumacząc:

- Lileralnie rzecz ujmując: eksnarzeczona!

- Owszem, eks - zgodziła się Anita. - Bo się okazało, że drań żonę ma!

- Co powiedziawszy, przykryła się na znak oburzenia kołdrą.

- Ożpurwa, ty podludziu! - ryknęła Ilona, wgapiając się w męża.

- On też ma żonę! - odbił od razu inżynier i wskazał na teścia.

Na twarzy ekskomandosa pojawiła się osowiałość żołnierza w okrążeniu.

- Nie przesadzaj, synu!

Na te słowa Anita Bułas ponownie wychyliła się spod kołdry i wbiła pełen wielu pytań wzrok w mężczyznę, którego uratowała spod stryka.

- Flori, o czym on mówi? - zakwiliła, a jej dolna, jakże seksowna warga, niepewnie zadrżała. - Ty masz żonę?

- Ależ skąd, kochanie! - gwałtownie zaprzeczył pułkownik i przyłożył rękę do serca. - Ten człek bredzi, niech skonam, jeśli kłamię!

Cecylia Szmaroń złapała się z wrażenia za usta, ale pojawiwszy, że w ten sposób nic nie może powiedzieć, opuściła ręce i zakrzyknęła:

- Wszak jam twą żoną, Floryś!

Spojrzawszy na nią, teściu wykrzywił się abominacyjnie.

- Chyba pani zwariowała!

- Ożeż ty, pindolu kaczy, z sumienia wyssany! - ryknęła Ilona i do żywego dotknięta nowym, jakże gruboskórnym stosunkiem własnego ojca do własnej matki, jęła rodziciela okładać parasolką.

Widząc gwałt w niebezpiecznej bliskości swojego doskonałego ciała, Anita wyskoczyła z łóżka i przezornie stanęła pod ścianą.

- Mamcia, ona ma twoje majtki! - zdumiała się na jej widok Oliwka.

Na te słowa Ilona Rawa zlustrowała zgrabną żółciostoczanekę od stóp do głów, po czym podbiła stawkę:

- I mój podkoszulek, do kuta złamanego!

- Dyć nie wiedziałam, że to twe utensylia - wzruszyła ramionami Anita. - Reżyser mi je dał.

To już było zdecydowanie za wiele jak na wyporność Ilony Rawy. Wypuściła powietrze z płuc, przetarła twarz i spytała:

- Jaki znowu reżyser?

- No jak, jaki reżyser! - złapała się za głowę Anita.

- Najsłynniejszy, wuala!

To powiedziawszy, wskazała palcem Sebastiana Rawę. Ów natychmiast chrząknął, zbierając się do poważnych objaśnień, ale

nie było mu dane ich uczynić, albowiem został uprzedzony przez teściową.

- Toć z niego żaden reżyser! - krzyknęła pani pułkownikowa.

Anita Bułas parsknęła śmiechem. Ta stara wariatka była naprawdę żalosa. Najpierw te brednie, że jest żoną Floriego, teraz znowu to... Szmyrgnięta jak nic.

- No jak nie jest reżyser, jak reżyser, helo!... - wzruszyła ramionami piękna ekspedientka z Liwjatana w Żółciostoku.

W sukurs matce przyszła Ilona Rawa.

- On w śmieciownictwie robi, durna!

- Samaś durna! - odgryzła się Anita. - Jak ty możesz być jego żoną, skoro go w ogóle nie znasz, helo!

No właśnie - pomyślał inżynier, wszelako bał się to głośno powtórzyć.

- W takim razie musimy się chyba sobie przedstawić - oznajmiła Ilona Rawa i podeszła do męża.

- Pan jest reżyserem, tak? - spytała.

Inżynier Rawa zauważył, że węże na głowie żony przestały się gryźć na moment i jęły mu się przyglądać z zaciekawieniem.

- Owszem, Frau Welt - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Jestem reżyserem.

Ilona rozpostarła błoniaste skrzydła, a wszystkie jej szczęki rozwarły się ze zgrzytem.

- To się świetnie składa... - wycharczała, a lepiszcze jej śliny opryskało go żącym jadem. - Bo ja, panie reżyserze, jestem wybitną specjalistką od zdjęć z samopurwawyzwalaczem!

I przygrzmociła mu parasolką prosto w nos.

W pierwszej chwili zobaczył nagły rozbłysk doskonale potwierdzający jej słowa, a zaraz potem zawładnęła nim całkowita ciemność.

*

Wszystkie informacje, które sływały od kilku dni do Eligiusza Krumpolca, świadczyły, że nie dzieje się nic, co powinno budzić jego niepokój.

Wprawdzie nowi szefowie pionu kierowania strukturami nielegalnymi potwierdzili (ku wielkiemu rozczarowaniu krajlidera konfratrów), że akcję charytatywną „Rodakowi Rodak” przeprowadzono zadziwiająco uczciwie i nie został z niej sprzeniewierzony nawet grosz, a każdy ze znaczniejszych donatorów autoryzował sumy, jakie przekazał na pomoc dla haitańskich rodaków, zgadzały się również listy przewozowe, zaś haitańska strona zwerifikowała terminy przylotu znane z papierów zarekwirowanych w Sierocińcu Narodowym jako prawdziwe, wszelako wszystko nadal podlegało należytej kontroli. A dyskretna obserwacja Narcyza Barszcza i siostry Ireny potwierdzała, że zachowują się oni całkowicie normalnie i nie wykonują żadnych podejrzanych ruchów.

Poprzedniego dnia zmniejszono co prawda zestaw ludzi, zajmujących się inwigilacją Domu Orląt, bo z kancelarii Pierwszego Obywatela przyszła prośba, by pomóc w przygotowaniu nagłej wizyty w San Vascobarze, związanej z podpisaniem ścisłej współpracy wojskowej między dwoma krajami, ale Eligiusz Krumpolc miał nadal wrażenie, że w owej najważniejszej dla siebie sprawie ciągle trzyma rękę na pulsie.

Z rozmowy telefonicznej z Pierwszym Obywatelem szef konfratrów dowiedział się, że leci on do San Vascobaru, bo wywiad w coraz bardziej alarmistycznych raportach potwierdził to, o czym już od kilku dni grzmiała pokrajaska ulica: zbliżała się wojna.

- Tedy rozumiesz, kochany mój Eligiuszu, że każdy alianz jez dziś dla naszego państwa, otoczonego przez nieprzyjacioły, na wagę srebra i złota! - objaśniał mu swoje plany Pierwszy Obywatel.

Krajlider Konfraterni Wielkiego Pokraju zgodził się z tą przenikliwą konstatacją, a Pierwszy Obywatel dodał że, oczywiście, zdaje sobie sprawę, iż San Vascobar nie ma żadnego militar-

nego znaczenia w świecie, wszelako to sympatyczne państewko jako jedyne zapowiedziało propokrajską aktywność dyplomatyczną w Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz - co przywódca państwa uznał za szczególnie ważne! - obiecało przyjąć u siebie pokrajskich notabli wraz z ich majątkami na wypadek jakichś tfu-tfu niepowodzeń.

Eligiusz Krumpolc życzył Pierwszemu Obywatelowi sukcesu w jego misji, sam jednak Bogiem a prawdą się nadchodzącą wojną nadmiernie nie przejmował. Po pierwsze - bo nie bardzo w nią w ogóle wierzył i uważał, że jak zwykle wszystko rozejdzie się po kościach. Po drugie - bo histeria, którą jął od wczoraj rozpętywać w światowych kręgach dyplomatycznych Pierwszy Obywatel, była mu bardzo na rękę.

Wszak trudno o lepsze potwierdzenie, że ów człek, któremu wiele lat temu Pokrajacy powierzyli ster władzy, fatalnie się do swojej funkcji nadaje! - radował się w duchu krajlider pokrajskiej liliputerii.

Nareszcie zatem wszyscy zobaczą, że może i jest on dobry na czas sielanki i jedzenia sobie z dzióbków, ale gdy świat tupie nogą, Pierwszy Obywatel zaczyna trząść dupą i zachowywać się irracjonalnie! - kombinował były klaun Cyrku Pincla.

No bo to przecież kompletny absurd, by zabiegać o pomoc militarną kraju, z którego przy dobrych wiatrach za pięć-osiem lat można zrobić własną kolonię!

I gdy tak rozmyślał Eligiusz Krumpolc, rozległo się pukanie do drzwi, a potem szyfrant Mirolad Niewierko zapytał nieśmiało:

- A może jednak szef przyjmie konsorellę pierwszego stopnia Beatrycze Gadulas? Bo ona już od dwóch dni prosi o posłuchanie...

Co za uparta karlica! - pomyślał z irytacją Eligiusz Krumpolc.

Nie znosił, gdy podważano decyzje, które już raz podjął. A przecież po blamażu w trakcie ostatniego spotkania politkomu, usunął ze stanowisk szefa pionu kierowania strukturami nielegalnymi Jonasza Cedziworka i tę Gadulas, co była jego zastępczynią.

Nie widział zatem żadnego powodu, by teraz ową decyzję zmieniać. Ba, by w ogóle się dłużej nad nią zastanawiać.

Wszelako bardzo lubił młodego szyfranta Niewierkę, który miał ładne dłonie. A że ów w dodatku wdzięcznie nalegał i nalegał, zapewniając, iż wedle jego wiedzy Beatrycze Gadulas ma bardzo ważne rzeczy do przekazania, tedy zgodził się ją przyjąć.

- Ale nie dłużej niż przez kwadrans, Miroladku! - zaznaczył z naciskiem.

W rzeczywistości spotkanie trwało trzy godziny, a konsorella Gadulas okazała się tak łebska, że Eligiusz Krumpolc skarcił się w duchu za to, że wcześniej tego nie dostrzegł.

Więc najpierw zaczęła od tropu, za którym poszła, kiedy już ją zwolnił.

- Jak mogłaś to uczynić? - rozgniewał się. - Dyc to nielegalne!

Roześmiała się beczelnie, ukazując rząd przepięknie pozółkłych zębów.

- W życiu wiceszefa nielegalnych struktur jedna więcej nielegalność roboty nie robi, szefie!

Nie przepadał za taką poufalością ze strony podwładnych, ale musiał jej przyznać rację.

Zamienił się tedy w słuch, a konsorella Gadulas opowiedziała mu z detalami, jak to zaszantażowała ludzi z Oficjum Sprawiedliwości Bożej (za czasów reżimu liberałów znanego jako Komisja Na Rzecz Zwrotu Majątków Kościelnych) na czele z sędziwym już arcybiskupem Zachariaszem Ściekwą. I jak to wielu z nich („a zwłaszcza ten obleśny arcy-bi!” - uśmiechnęła się złośliwie Beatrycze Gadulas) dostarczyło jej niezwykle ważnych informacji na temat roli Narcyza Barszcza i siostry Ireny w procedurze malwersowania pieniędzy, gdy zwracano Kościołowi jego majątki.

- Ściekwa potwierdził mi - opowiadała karlica z błyskiem w oku, który dowodził, iż szczerze kocha swoją pracę - że część z sum, które jemu i innym podskarbnik regionalny Barszcz pomagał wyprowadzać na prywatne konta, trafiała później do niego i sio-

stry Ireny! O której wszyscy od lat w komisji wiedzieli, że jest jego kochanką, szefie!

- Masz zamiar na te konta podskarbnika? - dopytywał z każdą minutą coraz bardziej zaintrygowany Eligiusz Krumpolc.

- Nie było żadnych kont, szefie! - wyjaśniła szybko konsorella. - Wszystko szło wyłącznie w formie gotówki! Nic innego Barszcza nie interesowało!

Gdzie są w takim razie te pieniądze? - jął się zastanawiać krajlider, tymczasem dociekliwa szpieżycy kontynuowała:

- Sciekwa obiecał, że na wszystko przekaże naszej Konfraterni twarde dowody. Stawia jednak warunki.

- Jakie?

- By mu pozwolono wyjechać z Pokraju wraz z połową majątku, który nielegalnie zgromadził. Oczekuje w tej sprawie żelaznego listu.

- A co z drugą połową? - zainteresował się Eligiusz Krumpolc.

- O tym wspomina już w bezpośrednim liście - młoda konsorella wyszczerzyła się po raz kolejny i podała Eligiuszowi Krumpolcowi niewielką kartkę.

Ukośnym, nieco starczym i w oczywisty sposób kreślonym w wielkich nerwach pismem, Zachariasz Sciekwa zapewniał o ogromnym szacunku, jakim od lat darzy Konfraternię Wielkiego Pokraju oraz jej założyciela. Za prawość i patriotyzm! - pisał w pełnym uniżoności wstępie.

W części właściwej listu zapytywał dawny reprezentant pokrajskiego Episkopatu w rozmowach majątkowych państwo-Kościół, czy Eligiusz Krumpolc uczyniłby mu ten honor i przyjął połowę majątku. Którą arcybiskup, jak pisał: wiedziony podszeptem anioła, którego mi Jego Ekscelencja Krajlider Szlachetnej Konfraterni Wielkiego Pokraju łaskawie był zesłał! - pragnie obecnie przekazać Wielkopokrajakom na ich szczytne cele. Rzecz jasna w formie nigdzie nierejestrowanej gotówki.

Kończąc zaś, prosił Zachariasz Sciekwa tylko o jedno:

...by mi Czcigodny Nadkonfrater - oby mu Bóg wszelkimi łaskami darzył! - dozwolił dożyć dni w cichej samotni, w jakim to słonecznym zakątku naszej planetki, amen.

Odłożywszy list, szef konfratrów przeprosił konsorellę Beatrycze Gadulas za wcześniejsze - wielce niesprawiedliwe, jak się wyraził - potraktowanie i poprosił, by zechciała zarządzać pionem kierowania strukturami nielegalnymi. Kuta na cztery nogi karlica wylewnie podziękowała za zaszczyt, wszelako z bezpośredniością, jaka zrobiła na Eligiuszu Krumpolcu wrażenie, wyznała, iż marzy o liderowaniu dystryktem centralnym Konfraterni Wielkiego Pokraju.

- Zwłaszcza że dotychczasowy jej szef Gniewosz Safander ma już swoje lata! - zakończyła.

Zaskoczony ową porażającą bezczelnością, Eligiusz Krumpolc wygłosił płomienną tyradę o zasługach najstarszego w polityce karła dla Konfraterni Wielkiego Pokraju. A także o swojej wielkiej do niego przyjaźni i szacunku, jakim Gniewosza Satandera darzył, darzy i darzyć po wiek wieków będzie.

Po czym się zgodził.

A na koniec poprosił jedynie, by szpiezyca zaspokoila jego ciekawość, cóż miało znaczyć w liście zdanie: wiedziony podszeptem anioła, którego mi Jego Ekscelencja Krajlider Szlachetnej Konfraterni Wielkiego Pokraju łaskawie był zesłał!

- W jaki sposób, moja droga Beatrycze, udało ci się przycisnąć tego człeka, o którym powszechnie wiadomo, że wielce surowy jest i nieprzejednany? - nie mógł wyjść ze zdumienia szef pokrajskiej liliputerii.

- Metodą siostr Cinć! - odrzekła przedsiębiorcza karlica bez cienia wstydu i zachichotała. - To naprawdę niezwykle, jak wielu na tym świecie pragnie bzyknąć karlicę! Nawet najsurowszy arcybiskup! Tylko mało kto się potem chce do tego przyznać, szefie!

- Zwłaszcza arcybiskup! - roześmiał się również Eligiusz Krumpolc.

- I to jest dla nas w relacji z ludźmi najcenniejsze! - mru-gnęła zachwycona sobą Beatrycze Gadulas.

Szpakami karmiona! - pomyślał o niej Eligiusz Krumpolc, gdy wyszła. A potem - rozradowany jak nigdy, bo przecie właśnie dostał do ręki dowód, który pozwalał zatrzymać Narcyza Barszcza i jego mnisią kochanicę! - zadzwonił do kardynała Fabrycego Flusa, by go o tym jakże wspaniałym fakcie uwiadomić.

I wówczas wydarzyło się najgorsze. Albowiem kardynał Flus, wysłuchawszy tych rewelacji, bąknął tyleż krótko, co zaskakująco:

- Wszystko pięknie, mój Giuszku, aliści możesz sobie te rewelacje wsadzić gdzieś!

Po czym kazał mu włączyć telewizor.

Z ostatniej chwili (...) przerywamy program, by (...) jak się dowiadujemy (...) zaskakująco zmienić plany (...) wizyta na San Vascobar została poprzedzona (...) jego samolot wylądował zaraz nieoczekiwanie (...) nieprzewidzianie (...) niespodziewanie (...) i na lotnisku w stolicy Haiti Port-au-Prince wygłosi płomienne przemówienie, nawiązując do najchlubniejszych tradycji (...) przypominając fundamenty pokrajskiego patriotyzmu (...) towarzyszy mu ulubienica pokrajskiej publiczności Anna Glass (...) którą pamiętamy z takich ról jak (...) wraz z nią na Haiti trafi wiele ton wysokokalorycznej żywności (...) obecni są również organizatorzy akcji „Rodakowi Rodak” (...) z gorącej wyspy dla „Wiadomości” Max Barejra! (...) dla Pokrajskiego Radia Komodan Trotylewicz (...) dla „Rechrystianina Codziennego” Pislawa Bymyszorska!

Przez dłuższą chwilę Eligiusz Krumpolc miał wrażenie, że śni tysiąc snów naraz, że mu po prostu głowa w jakiś niepojęty sposób oszalała albo że wróg - się jakoś do kuchni wdaruł! - zatrzał mu kakao halucynogenami.

Wszelako dotarło do niego w końcu, iż na żadną z owych łaskawych wersji liczyć nie może. Uspokoił tedy palce, wciskające historycznie przycisk czanel na pilocie, i jał się wsłuchiwać dokładnie w przemówienie, które na haitańskim lotnisku imienia Toussaint-Louverture'a (przywódcy rewolucji haitańskiej, którą - o paradoksie! - dwieście lat wcześniej tłumili pokrajscy legion-

Pokraj

ści), wygłaszał właśnie Pierwszy Obywatel, ubrany w kolonialny uniform i korkowy kapelusz:

- Jez tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw bezcenna! Tom rzecsom honor! Co więcy, my w Pokraju nie znamy pojencia pokoju za wszelkom cene, dlatego pónne som rachuby wrogów na naszom słaboś, bo nie oddamy im niguzika! Hasło obrony Pokraju, które wypowiadam dziż tu na haitańskiej ziemi, gdzie rodacy nasi krew swom pokrajskom za wolnoś naszom i waszom przelewali, jez jakby potężnom linom, przytwierdzonom do grzbietu ojczyzny naszej! Chodzi o to, ażeby jak najwiency dłoni chyciło za te line! Czeba jom se przerzucić przez ramie, rodacy moi umiłowani, i niech wszyscy ciongnom, ciongnom, bodajby im w krzyżach cheszczowało, wszak musim te prace podjonć, by Pokraj nasz pociongnonć hen hen najwyży z wszystkich...!

W tym momencie kamera wykonała lekką panoramę i Eligiusz Krumpolc dostrzegł w jednym z rzędów za przemawiającym siostrę Irenę i Narcyza Barszcza. Coś między sobą szeptali, uśmiechając się. Na ów widok szef Konfraterni Wielkiego Pokraju otarł pot z czoła, tymczasem Pierwszy Obywatel przemawiał dalej:

- Owszem, mamy dziż przeciw sobie mur nienawiśsi. Pytacie mie w zatroskaniu, skonta nienawiś? I kto za niom stoi? Ktokolwiek by stał, odpowiadam: my musim sie nienawiśsi uszczec, bo nienawiś zabija! Zwracam się tedy do wszystkich Pokrajaków w kraju i zagranicom: choć ojczyzna nasza znalazła się nad przepaściami, a dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów pokrajski dom, ulega ruinie, nie dozwólmy, by w naszym kraju powstała pionta kolumna! By kwitł przemys pogardy! Dłategóż to poczeba nam dziż dania odporu na ów bezprecedensowy atak! Na naszy najświntszy wartości! Na naszom tradycje! Na naszom kulturę! Na zbawczom misje Kościoła natenwreszcie! Poczeba nam, umiłowani moi Pokrajacy, wiency solidarnego nogom tup-tup! I pokazania całemu światu, żeżmy nie som, jak to się mówi, pochyłom wierzbom, co na niom każda koza skacze! Jeno żeżmy som jacy

tacy! Żeźmy som i do szabli, i do szklanki! I dlategoż to bendziem rombać, bendziem siekać, dalej, bracia, a nie zwlekać! A kto nam na drodze stoi, tego pałka przez łeb złoi! I tak nam dopomóż Bóg!

Nie mogąc słuchać dłużej ni słowa, Eligiusz Krumpolc wyłączył telewizor.

Szumiało mu teraz w krwiobiegu potężnie i miał wrażenie, że za chwilę eksploduje mu czaszka. Więc by nie tłumić w sobie złej energii, wypuścił ją na zewnątrz w hercach tak rozgalopowanych, aż się w całym pałacyku zatrzęsły szyby:

- To skiszczaj ćwirdolony! To ksiputas dwururny! Jak on mógł mnie tak oszukać, dupogłowiec! Tu skamle o pomoc, a tam wrogów mych aeroplanem przemyca?! To suchostój w kicę pyplany! Bodajbyś zdechł, wybryzgu! Bodajby cię kaci w szarpę dupali!

Drzwi gabinetu otworzyły się i przez szparę wniknęła wystraszona głowa Mirolada Niewierki.

- Szef mnie wzywał? - spytał niepewnie szyfrant.

- Nie! - wrzasnął Eligiusz Krumpolc i cisnął w drzwi okrągłą pieczęcią Konfraterni.

Drzwi błyskawicznie się zamknęły, a kraljider poderwał się z fotelika i jał chodzić w tę i z powrotem po gabinecie, usiłując zapanować nad myślami, które rozbiegły mu się jak insekty w pchlim cyrku Profesora Bandoliniego. I choć trudno mu je było zagonić z powrotem do pudełka zdrowego rozsądku, jedno wiedział z całą mocą: czas tolerancji dla Pierwszego Obywatela skończył się nieodwołalnie.

Zakała jego całego życia!

Pasożyt, który odebrał mu matkę!

Uzurpator, co prawem kaduka zajmował jego miejsce przywódcy Pokraju!

Ten człek musi zostać nareszcie zniszczony!

Próbując rozpałić w sobie stos, Eligiusz Krumpolc podszedł do drabinki, wszedł na nią i wyjrzał przez okno.

Naprzeciw pałacyku Konfraterni był plac zabaw dla dzieci. Nigdy nie lubił tego widoku, teraz jednak czuł, że musi nań patrzeć. Tedy patrzył.

Jak matki pochylają się nad swoimi dziećmi w piaskownicy.

Jak je bujają na huśtaweczkach.

Jak karmią owocami i kanapusiami.

I poczuł, że trzęsie nim wyzwalający płacz.

Zwykłe baby... - łkał. Ani w połowie tak wykształcone i piękne jak moja matka... Która mnie nie chciała tylko dlatego, że miałem za krótkie nóżki i za wielki łeb... I która się mnie wyparła, bo byłem niziolkiem, który w niczym jej nie przypominał... I która mnie oddała do najgorszego miejsca na świecie, a potem urodziła innego chłopca... A ów okazał się idiotą bez wrażliwości, ale dzięki jej miłości - z której mnie własna matka okradła jak pospolita złodziejka! - czuł się ze sobą tak dobrze, że po latach został Pierwszym Obywatelem Pokraju...

No, ale już dość! - pomyślał Eligiusz Krumpolc. Czas odwrócić czas!

Otarł łzy, przypominając sobie chwilę, gdy to wszystko odkrył. Wiele lat temu, kiedy był jeszcze cyrkowym klaunem i kiedy myślał o sobie wyłącznie jak o cyrkowym klaunie. W pierwszym odruchu uznał, że nie chce, by ktokolwiek i kiedykolwiek się o tym dowiedział. I miał wówczas tylko jedno marzenie. Kobieta, która go urodziła, już nie żyła, ale chciał odnaleźć swojego młodszego brata. Tylko po to, by go zobaczyć. W nadziei, że kiedy tak się stanie, zrozumie może swoją matkę, a przez to i w jakiś sposób siebie.

Ale Pierwszy Obywatel (który nie był jeszcze wtedy, rzecz jasna, Pierwszym Obywatelem, choć już się rychtował do wielkiej kariery) okropnie się swojego starszego o siedem lat brata karła wystraszył. I od razu - zupełnie o to nieproszony! - obiecał mu równie wielką jak swoją karierę. W zamian za jedno: milczenie, że kobieta, która ich obu urodziła, potrafiła być tak podła.

- Bo tych jeno kochajom Pokrajacy, co swe matki głośno miłujom! Zapamiętaj to, bracie! - rzekł mu wtedy przyszły Pierwszy Obywatel.

Potęźnie zaskoczony nagłą propozycją świeżo odnalezionego brata, Eligiusz Krumpolc wnikliwie ją rozważał, by w końcu na nią przystać. A potem przez całe dekady trwali w tej symbiozie czy raczej duszącym nelsonie. Jeden wspomagając - jak obiecał - rozwój organizacji karłów, drugi zaciskając zęby, gdy pierwszy nazywał imieniem jego bezdusznej matki coraz to nowe szkoły, szpitale, lotniska czy filharmonie.

No, ale teraz z tym koniec, bracie! - zamruczał krajlider konfratrów, odwracając się od okna. Bo jest rzecz w życiu karła bezcenna! Wspomniałeś ją dziś na Haiti, nie mając wszak o niej zielonego pojęcia! A tą rzeczą honor!

Co pomyślawszy, zerknął w stronę komody bombé z drzewa różanego. Stała na niej szafeczka z czarodziejskim statkiem Skidbladnir, który specjalnie dla niego wyrzeźbił przed wielu laty z kory karzeł nad karłami Honorat Glom.

- Spełni on każde twoje życzenie, ale wyłącznie jedno, więc wybierz mądrze! - powiedział Mistrz, gdy mu go wtedy dawał.

Przez całe życie Eligiusz Krumpolc walczył z pragnieniem, by poprosić czarodziejski statek o to lub owo, jednak nigdy tego nie uczynił. Lepiej lub gorzej, do wszystkiego dochodził w końcu sam. I już dawno przyobiecał sobie, że u schyłku życia przymili się u Skidbladnira o jedno: by mu zagwarantował, że w przyszłym życiu też będzie karłem.

Wszelako teraz stało się dla krajlidera konfratrów oczywiste, że musi zmienić plany. Ze musi poprosić magiczną korę o to, co jeszcze kilka godzin temu miał nadzieję osiągnąć własnymi siłami. A co teraz - przez zły układ gwiazd lub po prostu nieznośną purewskość bytu! - okazało się odleglejsze niż kiedykolwiek.

By uczynił go Pierwszym Obywatelem.

Z tą myślą otworzył szafeczkę. I zadrżał.

Bo Skidbladnira w niej nie było.

W niecałą godzinę później - w towarzystwie obstawy i najważniejszych obszarliderów - otwierał drzwi karceru w piwnicy Domu Orłat Sierocińca Narodowego, w którym od kilku dni siedział zamknięty za donosicielstwo kadet Bożydar Bobro.

Kiedy popatrzyli sobie w oczy, Eligiusz Krumpolc wiedział, że się nie pomylił. Że to właśnie pyzaty syn ministra policji ukradł mu czarodziejski statek. I że stało się to jakąś chwilę po tym, jak po jego rewelacjach na temat puszek „Saperskiego przysmaku” zapanował wśród zgromadzonych w gabinecie szefa liliputów taki entuzjazm, że na moment wszyscy stracili chłopca z oczu.

Stali tedy teraz w milczeniu, okładając się wzajemnie łypnięciami ciężkimi od mnogoznaczeń. A gdy sześciopalcy Dźwigośław Drwalcki, wyciągnąwszy spod siennika kadeta Bobro korę, przyniósł ją krajliderowi, ów zapytał głosem bardziej smutnym niż zagniewanym:

- I cóżeś ty uczynił, nieszczęsny chłopcze?

- To, co tyś powinien, gdyś był w moim wieku! - odrzekł hardo Bożydar Bobro. - Zniszczyłem kobietę, co niszczyła mnie!

Eligiusz Krumpolc rozważał słowa kadeta przez długą chwilę, a potem - trochę zaskakując sam siebie - uderzył go potężnie w głowę.

A Bożydar Bobro, tracąc przytomność, zdołał jeszcze pomyśleć, że kiedy już w końcu zostanie Pierwszym Obywatелеm, w pierwszej kolejności rozstrzela wszystkie karły. Zaraz po zakonnicach.

*

Dwadzieścia cztery godziny później - w cudownej nadoceanicznej rezydencji na jednej z malowniczych wysp, które nie miały z Pokrajem porozumienia o ekstradycji - siostra Irena i Narcyz Barszcz otwierali butelkę najdroższego szampana, jaki zdołali po przybyciu nabyć.

A powód był poważny, bo wszystko udało im się nawet lepiej, niż zakładali.

Najpierw nadskarbnik krajowy Eryk Sabadura - dowiedziawszy się swoimi kanałami o nagłej wyprawie Pierwszego Obywatela do San Vascobaru - wymógł na nim, by ów zabrał na pokład samolotu również dary przygotowane w ramach akcji charytatywnej „Rodakowi Rodak”. Początkowo Pierwszy Obywatel się mocno wzbraniał (tłumacząc to koniecznością zogniskowania uwagi na misji dyplomatyczno-wojskowej, którą musi podjąć w przededniu wojny), szczęśliwie jednak udało się Erykowi Sabadurze przekonać go, że ledwie kilka godzin w stolicy Haiti Port-au-Prince przemieni się w ogromną, jeszcze większą niż dotychczas, sympatię obywateli do ich ukochanego przywódcy. Bo Pokrajacy - jak żaden inny naród na świecie! - ogromnie cenią czule gesty politycznych włodarzy wobec siebie, zwłaszcza te czynione w przededniu wojny. I chętniej wtedy umierają, wybacząc jednocześnie swym przywódcom, że tego nie robią z nimi.

Zdołał też nadskarbnik krajowy nakłonić Pierwszego Obywatela, by swą ściśle tajną misję sanvascobarską uczynił ściśle tajną także przed Eligiuszem Krumpolcem. Odwołano zatem pod byle pretekstem jego filerów sprzed siedziby Domu Orłąt, co skwapliwie wykorzystał Narcyz Barszcz i pod nieobecność lilipucich szpiegów przewiózł wszystkie dary dla haitańskich rodaków na teren wojskowego lotniska. Natomiast przełożona generalna Sierocińca Narodowego odebrała w tym samym czasie od swojego przygłupiastego brata najcenniejszą część transportu, czyli tysiąc oznaczonych autografami Anny Glass puszek „Saperskiego przysmaku”.

Potem podskarbnik regionalny i siostra Irena uczestniczyli w medialnej farsie na haitańskim lotnisku imienia Toussaint-Louverture'a, następnie zaś - pożegnawszy Pierwszego Obywatela oraz Annę Glass, która poleciała z nim do San Vascobaru, by z towarzyszeniem miejscowej orkiestry dętej odśpiewać pokrajski hymn - wypchnęli w głąb haitańskiego interioru wieprzowe konserwy wraz z całą resztą, czyli kocami, ubraniami, cukrem, mąką, zabawkami oraz religijnymi utensyliami. A sami, wzięwszy tysiąc puszek „Saperskiego przysmaku” z sześćdziesięcioma milionami

euro na pokład dużo już wcześniej zmówionej awionetki (na codzień przewożącej w owym rejonie broń i dragi, wszelako odstąpionej im teraz przez uczynnych właścicieli za niewielką sumkę plus obietnicę zainwestowania znacznie większej kwoty w narko-biznes), polecieli na zupełnie, ale to zupełnie inną wysepkę.

I teraz tu właśnie siedzą.

W niezwykle przytulnej kryjóweczce o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych, z dyskretną służbą, dwoma basenami, przystanią dla jachtu oraz elektrycznym płotem, skutecznie odstrasającym zwierzęta wszystkich gatunków, łącznie z najbardziej wścibskim *homo sapiens*.

Siedzą sobie na jednej z malowniczych wysp, które - przywołajmy ów niezwykle istotny fakt raz jeszcze! - nie mają z Pokrajem porozumienia o ekstradycji. I popijając szampana, czekają na komunikat z Port-au-Prince, który z ogromnym smutkiem uwiadomi cały świat, że świętej pamięci Narcyz Barszcz i siostra Irena niespodziewanie zaginęli w trakcie pełnienia dobroczynnej misji wśród haitańskich rodaków, a ich ciała nigdy nie odnaleziono.

- Czy słyszysz, Cyziu, jak te cykady ślicznie dodupcają? Zachwycam się! - zachwyca się właśnie swoją nową rzeczywistością siostra Irena, którą ze względu na bikini, jakie ją aktualnie zdobi, należałoby chyba przestać już nazywać siostrą.

- Jeszcze zatęsknisz za klasztorną ciszą, Ircia! - śmieje się Narcyz Barszcz, dopijając szampana.

- A wypłuj to, bisurmanie! - krzyczy Irena, również setnie rozbawiona.

- Za późno, bo pólkiem! - ekspodskarbnik regionalny chce tak mocno, że aż mu się trzęsie blady brzuch.

- Ja też! - wtóruje mu kochanka, a odstawiwszy swój kryształ precz, dodaje: - No to rach-ciach, miły! Do roboty!

I rozglądają się w zachwycie, a jest ów zachwyt całkiem uzasadniony, albowiem dookoła nich - na wielkim stole, regałach i kamieniach, którymi jest wyłożony taras ich imponującej rezydencji! - stoi tysiąc najpiękniejszych na świecie puszek „Saper-

skiego przysmaku". Tysiąc - koci-koci-łapki! - skarbonuniek, podpisanych przez Annę Glass i wypełnionych sześćdziesięcioma tysiącami euro każda.

Zaiste, powiadam wam, można się rozanielić, patrząc na swoje sześćdziesiąt milionów euro! Więc Narcyz Barszcz i Irena Rawa właśnie to czynią, krzycząc równocześnie:

- Ajn-cwaj-draj!

I łapią każde po konserwie stojącej najbliżej, by je wnet wszystkie na wyścigi pootwierać.

Wszelako otwierając, nie mają zgniłozielonego pojęcia, że dwie doby wcześniej (dokładnie nawet dwie i pół) pyzaty kadet Bożydar Bobro, zamknięty przez siostrę Irenę w zimnej i ciemnej piwnicy, wyciągnął spod siennika kawałek kory i poprosił, by ów zniszczył wszystko, o czym przeorysza Domu Orląt marzy. I że wypowiadając swoje życzenie, miał wielką nadzieję, iż to, co mu poprzedniej nocy opowiedział krajlider Konfraterni Wielkiego Pokraju, jest prawdą: że to jest rzeczywiście czarodziejski statek Skidbladnir, co potrafi spełniać życzenia.

Nie wiedzą, że dokładnie w tym samym czasie, gdy wystraszony ciemnościami kadecik szeptał korze swoje dziecięce prośby, czarnoskóra ekspedientka z żółciostockiego Liwjatana Anita Bułas poczuła nieprzepartą chęć zrobienia Cynowego Księcia z tysiąca puszek „Saperskiego przysmaku”, które zagracały studio słynnego reżysera. I że chciała w ten sposób uhonorować geniusz owego niezwykłego człowieka oraz zrekompensować mu fakt, iż oddała swą cielesność jego teściowi, a nie jemu.

Nie wiedzą również, że wbrew szlachetnym intencjom pięknej Anity, Sebastian Rawa nie docenił należycie owych artystycznych wysiłków, każąc dziewczynie w mniej niż sześć godzin doprowadzić tysiąc konserw do stanu, w jakim były, nim je zmieniła w swą zjawiskową instalację.

I otwierając owe tysiąc skarbonek nie są również świadomi, że emerytowany pułkownik Florian Szmaroń, chcąc Anicie pomóc w tym zadaniu, przeszedł błyskawicznie

- jak na doświadczonego wojaka frontowego przystało! - do działań bojowych i złapawszy komórkę, wykonał do majora Kwiatosława Wydryszki, swego cichociemnego zioma z oddziałów specjalnych, telefon następujący:

- Kochany, mnie tu „Saperski przysmak” niezbędny jest na cito... A na chuj mi dwadzieścia tysięcy, Kwiaciu...? Tysiąc puszek, więcej nie! No, darzbór...!

I że już w trzy godziny później pod dom inżyniera Rawy podjechała wojskowa ciężarówka, a kilkunastu komandosów zgrabnie przerzuciło z niej wprost do jadalni tysiąc konserw z wieprzową breją. Ze w kwadrans potem pułkownik Szmaroń rozdał wszystkim po mazaku i podpisanej przez aktorkę Annę Glass etykietce jako wzór. Ze przez kolejne dwie godziny cała czwórka (Anita, Adaś, inżynier i sam Florian Szmaroń) składała pseudo-podpisy wielkiej pokrajskiej aktorki na tysiącu puszek „Saperskiego przysmaku” i że - choć nie wszystkie z nich się zgrabnie udały! - doświadczony komandos zapewnił fałszerzy, iż nieprzyjaciel jest w takim niedoczasy, że ani trochę nie będzie się owym podpisom przyglądał. I nie wiedzą również, że...

Nie, nie. Już wiedzą.

Wiedzą wszystko.

Bo od pięciu minut, stojąc na tarasie przepięknej karaibskiej willi o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych, nie patrzą ani na swoje dwa baseny, ani na przystań dla jachtu, tylko wgapiają się szeroko otwartymi oczami w kilogramy śmierdzącej brei, w którą - purwa ich w perłę mać dolona! - zamieniły się, nie wiedzieć jak, ich miliony.

I drą się jedno przez drugie wniebogłose, że tona tłuszczu ze świni jest im w rajku na Ziemi absolutnie na chuj potrzebna.

*

Gdyby kilka tygodni wcześniej ktoś powiedział Sebastianowi Rawie, że czterdzieste urodziny będzie obchodził w towarzystwie czarnoskórej kochanki, która finalnie okazała się zresztą

nie jego kochanką, ale kochanką jego przeraźliwego teścia, przed którym notabene drżał całe życie, a który okazał się całkiem miłym facetem, i gdyby ten ktoś dodał jeszcze, że zdmuchując czterdzieści świeczek na torcie, nie będzie miał już inżynier Rawa domu, z którego wyrzuci go powracająca o dzień za wcześnie z urlopu żona, każąc mu w ramach burzliwego rozstania wykopać z ogródka i ponownie wywieźć na wysypisko jego ukochane drzewo, w międzyczasie zamienione w gargantuiczną rzeźbę z wieprzowych konserw, które z kolei przywiozła mu niewidziana od sześciu lat siostra, na dodatek w towarzystwie kobiety, w której on się już wcześniej zakochał na zabój, choć widział ją jedynie w snach, i gdyby ten ktoś jeszcze dorzucił, że będzie owe urodzinowe świeceki zdmuchiwał inżynier Rawa w kantorku wypożyczalni limuzyn ślubnych, należącej do jego najlepszego przyjaciela, który go namówi na samym początku owego niepojętego zapętlenia do udawania reżysera filmowego, a on się zgodzi i zacznie udawać, a co najdziwniejsze, wszyscy mu uwierzą, choć przecie on z dorobku światowej kinematografii zna jedynie Shreka, Potwory i spółkę i kilka innych animacji oglądanych przed laty z córką; więc gdyby się taki ktoś znalazł i mu to wszystko powiedział, toby mu Sebastian Rawa odkrzyknął, żeby się z taką wyobraźnią zabrał do pisania powieści albo co, bo takie rzeczy w prawdziwym życiu się nie zdarzają.

Wszelako jego życie - prawdziwe życie bez wątpienia, nie miał wszak najmniejszego powodu, by w to wątpić! - podpowiadało teraz coś zgoła innego: takie rzeczy się zdarzają z pewnością, bo przecież zdarzyły się jemu.

A skoro tak, to skłaniają one do sformułowania wielce poważnego wniosku, który brzmi następująco: jeśli spotkało cię coś, co rozsadziło ramy twojego życia, a ty - mimo wszystko - żyjesz nadal i co więcej, masz się wcale nieźle, przeto czas najwyższy, byś przyjrzał się uważnie owym ramom, bo jak dwa razy dwa to one zostały fatalnie dobrane do twojego życia, a nie twoje życie do nich!

Dlatego właśnie - wysłuchawszy Sto lat! Sto lat! odśpiewanego mu przez Adasia, Floriana Szmaronia i Anitę - inżynier Rawa podziękował wszystkim kordialnie za życzenia i wyszedł na zastawiony ślubnymi limuzynami dziedzińczyk, by przekoncytować w spokoju to i owo.

Z wszystkich miejsc, które nadawały się do rozmyślań, wybrał po namyśle - ze względu na najwygodniejszą kanapę - miedzianozłotego cadillaca eldorado biarritz z 1959 roku i rozsiadłszy się w nim jak basza, zerknął na zegarek. Do dokładnej, horoskopowej czterdziestki miał jeszcze godzinę i pięćdziesiąt dwie minuty.

Pomyślał wówczas, że jeśli jest prawdą, iż życie zaczyna się po czterdziestce i jeśli za te niecałe dwie godziny nie umrze (zgodnie z teorią owych naukowców, którzy twierdzili, że monotonia życia seksualnego zabija czterdziestoletnich facetów), to musi wszystko, ale to wszystko dokumentnie zmienić! Bo życie jest zbyt krótkie, by je przetrzącać na rzeczy bez wyobraźni i by się po szyję ubagniać w nudzie!

I stało się dla niego nagle oczywiste, że - niezależnie od tego, jak to ciągle abstrakcyjnie brzmiało! - musi zacząć kręcić filmy. Choć nie wie jeszcze jak, choć nie wie jeszcze o czym, a przede wszystkim za co, ale musi je zacząć kręcić i już!

Bo nie jest żadnym inżynierem, do cholery! Jest reżyserem, któremu z powodu niepojętego defektu mózgu, uroiło się, że pracuje w śmieciownictwie!

- Mój Boże! - jęknął więc do Adasia, który się tymczasem do niego dosiadł. - Przecież ja nigdy nie chciałem tak żyć, jak żyłem!

- Nie hysteruj, Seba, w tym kraju wszyscy tak mają - wzruszył ramionami właściciel cadillaca, w którym aktualnie siedzieli, i mruknął z wyraźnym niezadowoleniem:

- Twoja stara przed chwilą zadzwoniła do mojej, czujesz to?

- Czyli ludzie bezdomni? - skrzywił się kwaśno reżyser Rawa.

- Na to wygląda, syzyfie - pokiwał smutno głową Adaś.

Po czym przygniecenii tonażem spraw, popadli w refleksyjny saundofsajlens. A kiedy już do syta nakarmili się ciszą, Adaś rzekł:

- Ci powiem, że najbardziej mi żal tego twojego chabazia, Seba. Bo my ciągle mamy naszą przyjaźń dozgonną, teściu twój Anitę z wicewersą, a biedny chabaż....

Tu zamilkł, nagle wzruszony lub może tylko zawstydzony wzruszeniem, a reżyser Rawa uzmysłowił sobie, że nie tak dawno podobnych objawów wrażliwości daremnie byłoby u jego najlepszego przyjaciela szukać. A ten dalej się zżymał:

- No, nie musiała okrutna eksflamczeska twoja owego drzewinka wyłysiałego na śmietnik szast-prast wykapryszać! Niechby se żył do końca tam, gdzie już nie żył, nie?

- Ona go od początku nienawidziła, przyjacielu, tak samo jak mnie - jał objaśniać podlotę begrandu Sebastian. - Dlatego to właśnie, krzycząc: „Jak ciebie, lędźwiobólu zbyteczny, jak ciebie!”, kazała chabazia wykopać do cna, czyli z korzeniami.

- Szkoda, żeś go tu zatem nie przywiózł - zachłysnął się elegijnie właściciel wypożyczalni aut ślubnych. - By się uprzątęło autka, gdzieś w kątku go postawiło i by se stał...

Ujrzawszy ową miłą wizję oczami wyobraźni, reżyser Rawa ciężko westchnął, odezwał się jednak tak, jak mu już nowy rozum nakazywał:

- Mój przyjacielu, myślę, że nie tylko życia nie wolno gwałcić, lecz i śmierci...

- Prawdopodobnie i ja tak myślę, przyjacielu - pokiwał głową Adaś. - Wszelako rozwiń tę myśl odrobinę i uszczegółów, albowiem popadam w kontuzję, że cię ni chuja nie rozumiem.

- Otóż chodzi mi, przyjacielu, że onegdaj wyrwałem chabazia wysypisku z wstrętnych jego łap, by w pysze swej nieumiarowanej przywrócić do życia niczym doktor Frankenbaum.

- Frankensztajn - poprawił go przyjaciel.

- Niczym oni obaj - podbił stawkę reżyser Rawa. - Wszelako poniewczasie, czyli konkretnie dziś, pojąłem, że to był błąd.

- Wyłuszczył mi łan-tu-fri twą ścieżkę dedukcji, przyjacielu, bom jej ciekaw wielce.

- Otóż myślę, przyjacielu, że już dawno powinienem mu dać od siebie odejść, wszak taka jest kolej rzeczy, że przychodzimy i odchodzimy - kontynuował Sebastian. - I z tego to powodu jedynie, mimo że przemocą przez ekspartnerkę życiową mą do czynu iście barbarzyńskiego przymuszony, postanowiłem go przekuć w szlachetność. Nakazałem tedy podwładnym zataszczyć chabażne zwłoki na wysypisko, skądem je pobrał przed laty, i tak przywalić śmieciem wszelkim, by już nikt nigdy więcej spokoju jego wiecznego nie naruszył.

Mięsiste wargi Adasia przybrały kształt motyla albo symbolu nieskończoności.

- Piękny to gest, przyjacielu - rzekł ze ściśniętym gardłem właściciel wypożyczalni aut ślubnych. - A jak jeszcze wspomnę te srebrne puszki na chabaziu zawisłe niby zbroja woja, co w boju, to ci powiem, że się wzruszam, i uczcijmy to minutą umowną.

W ciszy, jaka zapadła na sześć do ośmiu sekund, Adaś zdążył obetrzeć łzę, a reżyser Rawa sięgnął do płóciennej nerki przy pasku i wyciągnąwszy z niej konserwę „Saperskiego przysmaku”, powiedział z wyraźną kontuzją:

- Lecz wyznać muszę, że jedną wziąłem, przyjacielu. Celem pamiątki.

- Dobrześ uczynił, przyjacielu - pochwalił go właściciel wszystkich limuzyn dookoła. - Bo jak rzecze poeta: „gdzież jego dusza - w krainie pamiątek”, w tym wypadku mając na myśli konserwę mięsną...

- Też tak początkowo myślałem, ale już nie jestem pewien, przyjacielu - skrzywił się mimicznie reżyser Rawa i ściszył głos, jakby się bojąc, by go nie posłyszano. - Bo aktualnie muli mnie w sumieniu głos, żem złodziej. I podle się z tym czuję, przyjacielu.

- Tedy może celem uspokojenia odnieś chabaziu konserwę - zaproponował od razu Adaś, a po namyśle skorygował: - Chabaziowi.

- No, ale z drugiej strony to jedyna po nim pamiątka -jęknął w coraz większym rozpęknięciu reżyser Rawa.

- Tedy ją trzymaj - poradził Adaś.

- No, ale z trzeciej strony sumienie mię podgryza, zem złodziej - skrzywił się ponownie Sebastian. - I że w głębi serca jej nie chcę, konserwy tej pamiątkowej.

- Tedy mi ją daj - Adaś wyciągnął rękę.

- W celu po co?

- Zjem ją - wyznał bez najmniejszej kontuzji właściciel wypożyczalni aut ślubnych.

- Czyżeś zwariował? - oburzył się Sebastian. - Pamiątkę po zmarłym żreć chcesz!

- Też mi pamiątka, co ci podle szepcze! - zirytował się tym ciągłym hamletyzowaniem Adaś. - Poza tym ja lubię „Saperski przysmak"! I całe lata go nie jadłem!

- Ja też - wyznał niespodziewanie reżyser Rawa głosem chłopca z przedszkola Pionierów Joliborskich i przygryzłszy wargi, jęknął: - Tylko nie mamy otwieracza, cholera!

- My mamy wszystko, przyjacielu! - zakrzyknął radośnie Adaś.

I już po chwili otwierał konserwę szwajcarskim scyzorykiem, dobytym z bagażnika swojego cadillaca eldorado biarritz, w którym to bagażniku - jak doskonale pamiętamy - trzymał wszystko.

A potem - ku swemu potężnemu rozczarowaniu! - obaj przyjaciele zamiast wieprzowego mięsa, na które mieli przecież taką ochotę, zobaczyli w puszcze półkilowy odważnik.

- Co to, purwa, ma być? - oburzył się Adaś.

I wyciągnąwszy odważnik, zaczął go oglądać ze wszystkich stron, jakby ów spadł z kosmosu.

W tym czasie zaś reżyser Rawa zalukał do puszek i totalnie zdziwionym głosem oznajmił:

- Tam jest jeszcze coś, Adaś...

*

Miesiąc później wybuchła wojna. A kiedy wybuchała, Sebastian Rawa siedział w idealnie dopasowanym trzyczęściowym garniturze od wyśmienitego farszawskiego krawca w najelegantszym apartamencie hotelu Patria i opowiadał najpiękniejszej kobiecie w Pokraju, jaki film razem zrobią. A ona, przekrzywiwszy lekko głowę w sposób tak wdzięczny, jaki nie przydarzył się światu od czasu Marilyn Monroe, słuchała go z wyraźnym przejęciem.

I przez myśl jej nawet nie przeszło, że ów wytworny i pełen światowych manier mężczyzna dał się jej przed trzydziestoma paroma dniami poznać jako przepocony tragarz konserw antypatycznej zakonnicy, która później tak tragicznie zaginęła na Haiti, co więcej, że Anna Glass spędziła u niego w domu całą godzinę.

Tyle lat marzyłem o tym, by osiągnąć przezroczystość, a z nią niewidzialność, i udało mi się to osiągnąć w najlepszym z możliwych momentów - uśmiechał się teraz w duchu Sebastian Rawa, myśląc, że Anna Glass ani trochę by w to nie uwierzyła, nawet gdyby jej opowiedział tamte chwile z wszystkimi detalami.

Szczęśliwie jednak nie zamierzał, a jedyną aluzją do tamtej nocy, była muzyka, która właśnie umilała ich rozmowę.

Belle nuit, ô nuit d'amour souris à nos ivresses! Nuit plus douce que le jour, ô belle nuit d'amour! - śpiewały czarowne anioły z lekko trzeszczącego winyla, który specjalnie przygotował na to spotkanie.

- Lubi pan Offenbacha, widzę? - spytała, uśmiechając się promiennie.

- Uwielbiam - odpowiedział Adaś, równie elegancki jak Sebastian Rawa, siedzący zresztą obok niego. - Sto razy wolę od maybacha.

Roześmiała się głośno, ujęta finezją dowcipu człowieka, który przedstawił się jej wcześniej jako producent filmowy i rzeczywiście wyglądał, jakby całe życie zajmował się tą wspaniałą profesją.

Reżyser Rawa popatrzył na swojego najlepszego przyjaciela ze zgrozą i uznał, że nie powinien zbyt często dawać mu docho-

dzić do głosu. Dlatego chrząknął, jak zawsze czynią ludzie, którzy mają coś ważkiego do powiedzenia, i uśmiechnąwszy się do Anny Glass w sposób angielski, czyli z lekuchną domieszką sarkazmu i flegmy, zaczął tak:

- Film, który chcemy zrobić, jest na poły baśniową historią, aliści mocno trzyma się w realiach normalnego życia. Kanwą jego są autentyczne ludzkie losy, po wielokroć smutne i dramatyczne, aczkolwiek... - tu Sebastian Rawa zawiesił głos dla silniejszego zaakcentowania kontrapunktowego charakteru swojej opowieści - ...niepozabawione również rysów cieplejszych.

Anna Glass spojrzała na niego z wielką uwagą. Trwaj, chwilo, w nieskończoność! - pomyślał, gdy nagle znowu usłyszał głos Adasia:

- Można by nawet rzec: z lekką domieszką niewymuszonego humoru!

Reżyser Rawa obciął swojego najlepszego przyjaciela spojrzeniem niewolnym od irytacji i powtórzył jak echo:

- Aczkolwiek niepozabawione również rysów cieplejszych, zgoda...

Niestety, magnetyczne napięcie, tak prześlicznie napięte przed sekundą między nim i aktorką, mocno popuściło, a Anna Glass, poderwawszy się niespodziewanie z fotela, zrobiła kilka kroków po pokoju i wyraźnie spięta, wręcz zirytowana, rzuciła:

- Panowie wybaczą, ale ze względu na moje nie najlepsze ostatnio doświadczenia filmowe muszę spytać wprost: czy macie wystarczająco dużo pieniędzy, by zrobić ten film bez pomocy państwa?

- Pieniądze to żaden problem, pani Anno - pospieszył z wyjaśnieniem Sebastian Rawa. - Mamy pieniądze.

- Finansuje nas jedna z najpotężniejszych instytucji świata - dopowiedział właściciel wypożyczalni aut ślubnych.

Reżyser potwierdził to ruchem głowy, po czym rozłożył ręce w geście, który miał sugerować, że ma je związane.

- Niestety, nie możemy zdradzić kto - wycedził.

- Niezwykle cenią sobie anonimowość - jego najlepszy przyjaciel powtórzył dokładnie ten sam gest.

A potem łypnęli po sobie i obu w tej samej chwili przypomniał się ów moment sprzed miesiąca, gdy w miedzianozłotym cadillacu eldorado biarritz z 1959 roku zamierzali wtrącić konserwę o nazwie „Saperski przysmak”, a w niej zamiast wieprzowiny natrafili na półkilowy odważnik i zapakowane próżniowo sześćdziesiąt tysięcy euro.

I stanęły im przed oczami owe dramatyczne minuty, które dzieliły miejsce pracy Adasia Rembelskiego (gdzie się wówczas znajdowali) od miejsca pracy Sebastiana Rawy (gdzie się chcieli znaleźć), kiedy pędzili cadillakiem eldorado biarritz przez Farszawę, z naruszeniem wszystkich możliwych przepisów ruchu drogowego, by zdążyć, nim suchy chabaż z przyklejonymi do niego puszkami - w których, jak zdążyli w trakcie obliczyć, jest sześćdziesiąt milionów, purwa, euro! - zostanie całkowicie przysypany tonami żelastwa, plastiku, papieru i całego innego gówna, jakie Sebastian Rawa kazał nań wysypać.

I widzieli siebie w szalonych obrazach sprzed miesiąca, biegnących po hałdzie śmieci do leżącego na szczycie śmieciowej góry Cynowego Księcia. Wspinających się coraz wyżej i wyżej, zapadających się co chwilę w śmierdzące szczeliny i osuwających, niestety, wraz ze starymi czajnikami, żelazkami, lodówkami i napuchłymi od gazów pieluchami ponownie w dół. A chabaż - w promieniach słonecznych odbijanych od konserw! - przyzywał ich do siebie jak jakiś cholerny yeti na Mount Evereście.

I jak w końcu - całkowicie wyczerpani - doczłgali się do niego i wyszarpując puszki jedna po drugiej, otwierali je, a z każdej uśmiechało się do nich trzysta dwustueurowych banknotów.

I jak Sebastian Rawa zakrzyknął:

- Zawsze wierzyłem, że zakwitnie!

I jak leżeli potem w smrodzie nie do zniesienia, który wydawał im się lodeur du paradis, a panoramując ze szczytu śmieciowego usypiska całą Farszawę, po raz pierwszy w życiu dostrzegli w niej najpiękniejsze miejsce na Ziemi.

Pokraj

- Panowie - Anna Glass wyrwała ich z zamyślenia - jeśli tak jest, jak mówicie, a w to nie wątpię, jestem wasza.

- Zrobimy piękny film o czasach, w których żyjemy!

- zapewnił ją reżyser Rawa.

- Tylko czy wojna nam nie przeszkodzi? - zaniepokoiła się piękna aktorka.

- Tym się proszę ani trochę nie chmurzyć - uspokoił ją natychmiast producent Rembelski. - Ani jej nie zauważymy. Porozmawiajmy lepiej o terminach...

I pochylił się Adaś nad kalendarzem, by ustalić, kiedy im będzie najlepiej zacząć, a Sebastian Rawa - widząc, że dobrze sobie jego najlepszy przyjaciel radzi - podszedł do okna, by spojrzeć, jak się też sprawa z wojną miewa.

A ulicą przed hotelem Patria przemieszczał się wielki narodowy korowód. I jechali w nim naczelnicy, hetmani oraz marszałkowie. Jechali generałowie, pułkownicy i oberszterlejtantowie. Rotmistrze, porucznicy i majorowie. Kapitanowie, wachmistrze i chorążowie. Jechały wszystkie armie z teraz i wszystkie z przedtem. Całe szlachetne towarzystwo i wszystko in genere rycerstwo, by w owej wojnie - której, na miły Bóg, nikt nie chciał, skoro jednak nadeszła, to trudno, dyć do wojaczki nawykli - zwyciężyć, daj nam, Rechryste, szczęśliwie!

Tedy podążała na czele chorągiew husarska Jego Miłości Króla Od Wieków Nieżyjącego, a tuż za nią chorągiew orszańska pułkownika Andrzeja Kmicica, który był z wszystkich żołnierzy w Pokraju najdzielniejszy. Zaraz za nią stukały kopytka koników chorągwi laudańskiej pułkownika Michała Wołodajowskiego, a dalej - w dymie kadzideł - kroczyli uroczyście ich eminencje prymas i interreksi, a także kardynałowie, arcybiskupi oraz biskupi. Tuż za nimi szli proboszczowie, prałaci, wikariusze, zakrystianie, mnisi, zakonnicy oraz doktorzy i znachorzy Kościoła, a wszyscy oni śpiewali na przemian Bóg jest miłością i Dies Irae, dziękując Opatrzności, że ich ornaty i monstrancje tak prześlicznie blikują w słońcu, bo znak to zwycięstwa, dzięki Ci, śliczny Rechryste, niechybny!

Wszelako by owej wiktorii wydatnie pomóc, dźwigano ciężkie relikwiarze, a w nich dwadzieścia dwie święte ręce i trzynaście świętych nóg oraz półtorej głowy, również świętej ogromnie, ponadto litr krwi świętej, poporcjowanej w czterysta dwanaście ampulek tudzież dwadzieścia cztery kilogramy świętych szat świętych. Nie zbrakło też, rzecz jasna, złotych krucyfiksów i diamentowych kropideł, lekcjonarzy z wołowej skóry oraz paschałów i pastorałów, były ołtarze i feretrony, którymi wymachiwano radośnie, a rozmodlone usta wiernych powtarzały Gorzkie Żale i Słodki Jezu. Tym, co modlili się najżarliwiej, rozdawano różańce, a tych, co szli w milczeniu niczym piąta kolumna, straszono czyścem i infamią, wszelako - by ich do cna nie pognębić - sprzedawano im równocześnie odpusty i rozgrzeszenia. A co się tylko dało, wpisywano w Index Librorum Prohibitorum, wygumkowały zaś z Xięgi wszystko, co w czas wojny akurat nazbyt uwierało, jakies tam zbędne i nazbyt rącze słowa o przebaczeniu czy mizerykordii na przykład.

- Bo one się może i sprawdzały w czasie pokoju, ale wojna to wojna! - powtarzał przez wielką tubę biskup połowy Gelatyn Szparkosz. - Zatem alleluja i do przodu oraz daj nam, kochany nasz Rechrystuńciu, zwyciężyć szczęśliwie!

A tuż za hierarchami podążali bohaterowie minionych wojen, zawezwani przez Złoty Róg i Czapkę Z Piór, by dać odpór, gdy ojczyzna w potrzebie. Jechali tedy nieustraszeni żołnierze spod Brunwaldu, Cedzynie i Kocimia, spod Cycory, Podhujców i Zberesteczka, spod Ciaciejowic i Chirkolmu, spod Biednia i Zlegnicy, spod Leszczyńki Grochowskiej i znad Bzdury, a za nimi ciężkobrajni woje Juranda ze Spychowa oraz zaprzyjaźniona i blisko w nimi współpracująca krzyżacka chorągiew imć pana Konrada Wallenroda. Oraz chorągwie pozostałe, a więc chorągiew zbożowa jego miłości pana Nikodema Dyzmy, chorągiew międzygwiezdna jego miłości pana Ijona Tichego, długoręka chorągiew jego miłości pana Tytusa de Zoo, afrykańska jego miłości pana Stasia Tarkowskiego, a także kroczące łeb w łeb: mociumpańska jego miłości cześnika Raptusiewicza i ścichapecka imć

rejenta Milczka daj im, o, słodki Rechryste, zwyciężyć szczęśliwie!

Za nimi zaś ciągnęły trzy regimentarze rolnicze: pierwszy imć pana Błażeja Czepca, drugi imć pana Józefa Ślimaka i trzeci imć pana Bogumiła Niehcica. Tuż za Niehcicem podążał prześwietny pan Józef Tolibowski ze swoimi dragonami nenufarowymi, a za imć Tolibowski m partyzanteria koronna jaśnie wielmożnego pana Maćka Chełmickiego. Dalej zaś lwy północy imć pana Papkina, rotmistrza sławnego i kawalera, frejkompanija dworkowa imć pana Bohatyrowicza oraz żandarmeria pana prokuratora Scurvy'ego, którym to wszystkim, miłosierny Rechryste, daj zwyciężyć szczęśliwie!

Przez chwilę nawet zdawało się reżyserowi Rawie, że już wszyscy wojowie Pokraju przejechali przed jego wzrokiem, a innych nie ma i po prostu być nie może, wszelako wnet zjawili się na widoku pełni energii palownicy pana Tuhajbejowicza oraz bezgłowcy pana Podbipięty. A tuż potem nadjechała rajtaria imć podpantofelnika pana Dulskiego i lejbgwardia imć podchujaszczego pana Piszczyka, której z kolei deptali po piętach popurwieńcy imć pana Wścieklicy oraz dziarscy chłopcy Gnębona Puczymordy. Po nich zaś przybieżeli opijcy i suszykufle imć pana Zagłoby, marzyciele imć pana Rzeckiego, zaopatrzeniowcy imć pana Wokulskiego i wreszcie zamknęli ów przemarsz zwiadowcy i obserwatorzy imć pana latarnika Skawińskiego, daj im wszystkim, dobry Rechryste, zwyciężyć szczęśliwie!

I dopiero wówczas, gdy już wszystkie wojska - oddział po oddziale i komput po kompicie! - przedefilowały przed oknem hotelu Patria, skąd łypał na to Sebastian Rawa, nadjechały dwie czarne lawety z truchłami pokrajskich władców. Na lawecie lewej - ciągnionej przez konie białe - stały trumny w rządku od najpierwszego Piasta do ostatniego Zagiellona, na drugiej - co ją wiozły konie czerwone - całej reszty od Sasa do łasa. A kiedy znikły - uświęciwszy miejsce i czas! - pojawił się Pierwszy Obywatel. Wszelako nie jechał, jeno szedł, wręcz nawet kroczył, skupio-

ny i milczący, jak każdy mądry przywódca, którego kraj na ciężką, choć sprawiedliwą wojnę udać się musi.

A wraz z nim kroczył w milczeniu cały jego prześwietny rząd. Po rządzie zaś posłowie oraz senatorowie, kanclerze oraz hetmani, wojewodowie, szambelani, komesi i kasztelani, następnie - wszyscy w zadumie i ciszy - starostowie, podkomorzowie, podczaszowie, stolnicy, cześnicy, łowczy, krajczy, wojscy, horodniczy, miecznicy i żupnicy, nadto szafarze, referendarze, instygatorzy, burgrabowie, ochmistrzowie, poczmistrze, rajcy, justycjarusze, całość zaś domykali tajni współpracownicy, których tajności strzegły kominiarki, oraz funkcjonariusze antykorupcyjnego oficjum.

Atoli w następnych minutach wzmógł się huk, albowiem w potężnej ciszbie przybył na trasę suweren i sunął już nieprzebranym mrowiem jak najpotężniejszy w galaktyce ruch oporu. Kipiąc wściekłą złością, że wróg znów się ośmielił naruszyć jego godność. Ze znów zapragnął podeptać jego świętości. Że mu chce naszczać w znojną a bogobojną codzienność.

A że było już wszem wobec wiadomo, iż wraży nienawistnik podzielił się był na pierdyliard komturii, by z wszystkich stron nieba i ziemi uderzyć na ojczyznę zdradziecko, przeto i z każdej strony odpór mu dać należało. Zróznicował się tedy w swej patriotycznej jednolitości także ów maszerujący Pokraj i tak oto w jednym szeregu stanęli zarówno woje, którzy zamierzali dać łupnia Niemcom, jak i bojowcy, co poprzysięgli zemstę ciapackim kebabom, a tuż za nimi spięli wspólnie w zespół ramiona orędownicy husarskiego blicpowrotu na Kreml oraz ciężkozbrojni Antyszczepionkarze Pokrajscy.

Niestety, ci ostatni już pod Patrią zdołali się podzielić na wrogie frakcje, jedni bowiem uważali, iż wraz ze szczepionką na polio i dur brzuszny pozaziemski prześladowca implantował im do głów autyzm, inni zaś stawiali kamienie przeciwko orzechom, że zaatakował ich jednak oprawca całkiem ziemski, a grzebnawszy im w kodzie genetycznym, chciał ich zmienić w bezwolnych rabów. Wśród zwolenników tej ostatniej tezy doszło zresztą na-

tychmiast do następnego podziału, gdyż schizma prokremlowska dowodziła, iż niewolnictwo pragną im wszczepić unioniści bilderberscy, a schizma probrukselska - że to plan czekistów z Moskwy.

Później przedefilowali pod oknem reżysera Rawy rodzimowiercy, którzy - niosąc wyciosane z dębu figury Tryglawa i Swarożyca - domagali się powrotu do przedjahwistycznej tożsamości. Tuż obok nich maszerowali patolicy, krzycząc o sterowanej przez jajogłowych filozofów iluminackich dechrystianizacji Pokraju, od zawsze przecie wiernego wierze w Żyda Króla Wszechświata. Tak odmienni w wizjach, co dla ich kraju najlepsze, zgadzali się za to jedni i drudzy w tym, że za wszystkie nieszcześcia ich znekanej ojczyzny winę ponosi diabeł. Z tą niewielką różnicą, że poganie nazywali go patolickim biesem, a rechrystianie pogańskim lucyferem.

Zwolenników wojny z szatanem było zresztą wśród maszerujących najwięcej. Jedni widzieli go w judeomasonerii, inni w dżenderopedalarni. Ci w ciapackich kebabach z psów i w kotach z Azji w pięciu smakach, a tamci w pozał się Boże inteligencikach, co mamroczą te swoje homosумы, cogitoergosумы i undemalummy, dupę nimi tylko zawracając. Dla reszty belzebubem byli obrońcy drzew niedorzniętych, kondoniarze, a zwłaszcza miłośniczki tabletek poronnych. Zaś jeszcze inni dostrzegali go w łądyńskich banksterach, unijnych urzędasach, Arabach Wiecznych Tułaczach oraz wszechświatowym spisku potężnych organizacji Rózo-Krzyża, New World Order i najgorszej z nich - bo szkopskiej! - Kennst Du Das Land Wo Die Zitronen Blühn (KDDLWDZB).

Stał tedy reżyser Sebastian Rawa w oknie hotelu Patria, patrząc na rodaków z różańcem, co szli na wojnę, by wyrwać nienarodzone Pokrajątka z metalowych pojemników, zamknięte tam przez złych rodziców, i na rodaków z różdżką, co zamierzali uwolnić ojczyznę od ładunków termobarycznych oraz skrajnie niskich częstotliwości, za pomocą których sowieccy reptilianie kierowali pokrajским umysłem.

Pokraj

Patrzył też na rodaków z wężem, co wymachując truchłem tysięcy zajęcy, wilków, łośi, kun i dzików, domagali się poszanowania dla odziedziczonej po dziadkach tradycji świętego Hubertusa. I na rodaków z dziarą, prześcigających się, kto ma większy Pokraj 'Walczący na klacie, łydzie, bicu, kapturze, a nawet mosznie, albowiem w nieprzebranej ćmie patriotycznej znaleźli się też i tacy.

Stał nieruchomo jak skała i patrzył na postmodernistyczny Obóz Narodowy, który niósł transparenty przestrzegające przed obcą haplogrupą, i idące tuż obok Pokrajskie Odrodzenie Antypsychiatryczne, co się chciało bronić przed atakami energetycznych myślokształtów.

Widział setki tysięcy ludzi, którzy krzyczeli, że żydowska maca nie składa się wyłącznie z mąki i wody, a pejsaci są hybrydami stworzonymi przez kosmitów na bazie człowieka neandertalskiego, krokodyla i niedźwiedzia koala.

Widział, jak inne setki tysięcy przysięgały na wszystko, że Pokrajacy to jedna z najstarszych ras na Ziemi.

Która pochodzi od Arian.

Która pochodzi od Scytów.

Która pochodzi od Wandalów.

Która pochodzi od Sarmatów.

Że ich starożytne królestwo biło się z samym Rzymem.

Z Asyrią się biło.

Z Babilonem.

Z Aztekami, Sumerami i Dogonami.

Że to Pokrajacy pokonali Hannibala i jego słonie.

Że wymyślili koło.

Że zrobili pierwszą trepanację czaszki.

I drugą trepanację czaszki.

Że oni odkryli Amerykę, bo Krzysztof Kolumb był synem pokrajskiego króla.

Że rozszyfrowali Niemcom nieodszyfrowalny szyfr.

Że pierwszy człowiek na Księżycu nazywał się Twardowski i niech Amerykanie spierdalają, bo się spóźnili 470 lat.

Pokraj

I że z zemsty za ten Księżyc truje się ich teraz bifenolami w miejskich wodociągach.

Implantami i podczepami.

Sodomizmem i gomoryzmem.

Ale że oni nigdy się nie poddadzą.

Że zwyciężą.

Bo są na ordynansach po właściwej stronie.

Bo ich naród jest jak lawa, której nie wyziębi i sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam.

I patrzył, bardzo długo patrzył na to wszystko Sebastian Rawa.

Na tę pokrajską gmatwaninkę.

Na tę ojczystą rzeszkę.

Na ów człowieczy natłoczek.

Śpiewny, gniewny i modlitewny.

Na tych wszystkich naczelników i hetmianiątka.

Na tych od siedmiu boleści szefuńców i półgłówków.

Na wszystkich arcykapłanów od Annasza do Kajfasza.

Na te szabelki pordzewiałe i husarskie skrzydełka pogięte.

Na kulejące koniki i śmigłowce pokryte specjalnym lakierem nieistnienia.

Na omszałe trumienki i najświętsze w nich kościotrupki.

Na kantyczki od urodzenia do usranej śmierci te same, o tym jak -to -na -wojence -ładnie -ze -zwieszoną -głową -powoli i że oj -dana -dana -ojczyzno -kochana -jakże -długo -cierpienie -twe -trwa.

Na ten macoszy matecznik.

Zaszczany zaścianek.

Na to nieba przedpiekle.

Na te pokrajskie obyczaje, ambaje i samograje.

I pomyślał, że ma to wszystko w dupie.